

White Patrick

Wóz ognisty

Bohaterami powieści są cztery intrygujące postaci. Panna Hare, która w samotności nauczyła się odczytywać z gładkiego oblicza przedmiotów i ludzi prawdę i kłamstwo, cnotę i występki. Obdarzona też została umiejętnością odkrywania podobnych jej sprawiedliwych krążących po ziemi. Pani Godbold, uboga pracznka, która przed laty porzuciła ojca i młodsze rodzeństwo w Anglii, by tu w nowym świecie, w pełnej pokorze świadczyć miłosierdzie bliźnim. Alf Dubbo, tubylec opętany żywiołem malarstwa i potrzebą wypowiedzenia się w tym właśnie języku. I wreszcie niemiecki Żyd Himmelfarb, co dotarł na przedmieście Sydney po wszystkich doświadczeniach, które stały się udziałem jego narodu w wieku dwudziestym. Te cztery są dla White'a solą australijskiej ziemi. Wezmą one udział w odegranym raz jeszcze dramacie Ukrzyżowania, odmalowanym przez pisarza z odwagą starego mistrza, we współczesnej scenerii.

Wóz ognisty
Przełożyła MARIA SKIBNIEWSKA

Tytuł oryginału: *Riders in the Chariot*

Projekt okładki: *Maciej Sadowski*

Redakcja graficzno-techniczna: *Mariusz Jaśtak*

© Original edition published 1961 under the title RIDERS IN THE CHARIOT by Eyre & Spottiswoode, London. Copyright Patrick Whi

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 1998

© for the Polish translation by Rafał Skibiński

ISBN 83-7200-085-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA Warszawa 1998

Prorocy Izajasz i Ezechiel gościli u mnie na obiedzie i spytałem ich, jak śmieli tak jawnie twierdzić, że Bóg do nich przemawiał; czy nie przyszło im wówczas na myśl, że mogą być źle zrozumiani i mogli dać w ten sposób początek oszustwom?

Izajasz odpowiedział: „Nie widziałem Boga ani Go nie słyszałem ograniczonymi cielesnymi narządami, ale z^m J^sfy^{mo} j^{tt>e} wszystkim odkryły nieskończoność; powziąłem wtedy przeświadczenie i po dziś je z^{ac} howałem, że głos sprawiedliwego gniewu jest głosem Boga, toteż nie dbając na skutki, pisałem...”.

Zapytałem z kolei Ezechiela, dlaczego jadał gnój i tak długo leżał najpierw na lewym, a potem na prawym boku. Odpowiedział, że chciał „innych ludzi pobudzić, aby dostrzegli nieskończoność; sposób ten praktykują plemiona Ameryki Północnej; a czy postępuje uczciwie ten, kto opiera się natchnieniu swego geniuszu lub sumienia w imię chwilowej tylko wygody lub korzyści?”.

William Blake

CZĘŚĆ PIERWSZA

- Kto to taki? - spytała pani Cokjuhoun, bogata dama, która od niedawna zamieszkała w Sarsaparilli.

- Ach! - roześmiała się pani Sugden - to panna Hare.

- Sądząc z wyglądu, niezwykła osoba - pozwoliła sobie zauważyć pani Colquhoun z pewną nadzieją w głosie.

- Tak - odparła pani Sugden. - Nie da się zaprzeczyć, że panna Hare jest inna.

Kierowniczka poczty nie chciała jednak dorzucić nic więcej do tej informacji. Zaczęła skubać suchą gąbkę. Nawet gdy była w najbardziej towarzyskim usposobieniu i rozmawiała autorytatywnie o pogodzie, która stanowiła jej ulubiony temat, wołała traktować sprawę bezstronnie. Pani Colquhoun sama zresztą mogła stwierdzić, że panna Hare jest drobną, piegowatą osobką i że jej pończochy wyglądają tak, jakby lada chwila miały opaść. Prawdę mówiąc, pani Colquhoun czuła się nieco urażona dyskrecją urzędniczki, nie mogła wszakże długo trwać w tym nastroju, bo właśnie wojna się skończyła, a pokój jeszcze na dobre się nie ustalił.

Panna Hare oddalała się od poczty w zapachu wilgotnych pokrzyw, pod bladym dyskiem słońca. Poranne perłowe światło i białe postrzępione jak owcze runo obłoki obiecywały

złoty dzień, ale między drogą a barakiem, w którym mieszkali Godboldowie, spalone krzaki jeżyn czyhały zwisając w rdzawych skrętach i widok ich budził podejrzenie, że może jednak nieprzyjaciel jeszcze się nie wycofał. Gdy panna Hare je mijała, niezliczone kolce wielu gałęzi wczepiły się w fałdy jej spódnicy ciągnąc ją, napinając coraz mocniej, aż rozpostarła się za idącą, która teraz wyglądała ni to jak kobieta, ni to jak parasol.

- Podrze pani suknię - ostrzegła pani Godbold stojąca na skraju drogi; wyszła zapewne szukać czegoś, któregoś ze swoich dzieci, kozy albo może tylko gazety.

- Możliwe - odparła panna Hare - ale cóż szkodzi mała dziura w sukni? Nic to nie szkodziło.

Pani Godbold była dość tęga. Uśmiechnęła się, patrząc w ziemię niedowierzająco, lecz pogodnie.

- Widziałam wombata! - zawołała panna Hare.

- Nie może być! Wombat w naszej okolicy? Nie, nie wierzę! - odkrzyknęła pani Godbold.

Panna Hare roześmiała się głośno.

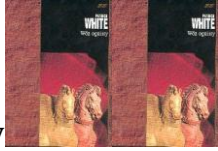
- A jak wyglądał?! - zawołała, śmiejąc się, pani Godbold, wciąż zapatrzona w trawę.

- Opowiem pani - obiecała panna Hare, lecz nie zatrzymując się poszła dalej.

Dla żadnej z nich nie miało znaczenia, że pozostanie wiele rzeczy nie wyjaśnionych. Nie miało dla nich znaczenia, że nie spojrzały sobie nawzajem w twarze, obie rozumiały, że ta chwila nic więcej dać im nie może. Kiedyś, w przeszłości, ich szczególna przyjaźń zyskała pełne potwierdzenie.

Panna Hare szła dalej, a za nią jej usamodzielniona spódnica. Grzbietem dłoni panna Hare trąciła kołek w płocie, żeby usłyszeć dźwięk ojcowskiego pierścionka z krwawnikiem. Często stukała w jakiś przedmiot, żeby tym znakiem za

mknąć okres czasu, który inaczej mógłby się nigdy nie skończyć. Usłyszała zbawczy stuk. Usłyszała też trzepot ptasich skrzydeł nagle



wyzwolonych z ciszy zamruczała. Wzdłuż całej drogi - starsi ludzie wciąż jeszcze „szlakiem” - biegnącej z Sarsaparilli do Xanadu, ziemia była czarna i grząska wczesnym rankiem wczesnej wiosny. Zdawało się, że w sennym krajobrazie każda jego cząstka, nie wyłączając panny Hare, składa się na jakąś doskonałość. Żaden dodatek nie mógłby poprawić harmonii.

A jednak czy panna Hare nie zamierzała właśnie czegoś dodać? Stała pośrodku drogi. Tak samo przed chwilą stała w urzędzie pocztowym, tylko że wtedy przybrała wyraz twarzy taki, jaki ludziom mógł się wydać najwłaściwszy.

- Sprawa jest ważna - powiedziała do pani Sugden. Wiele osób nie rozumiało panny Hare, ale kierowniczka poczty była już z dawna oswojona z jej szczególnym sposobem mówienia.

- Doprawdy? - odparła pani Sugden, układając porządnie jakieś papierki i przesuwając buteleczkę z klejem, od częstego używania niemal zakorkowaną bryłkami zaschniętego klejstru.

Czekała cierpliwie.

- Tak - powiedziała panna Hare.

Nie mogła znaleźć okropnego urzędowego pióra, nie mogła znaleźć formularzy telegramu, żółtawych jak jej cera.

- Nawiązałam korespondencję z pewną osobą. Wdowa. Z Melbourne. Z ogłoszenia w gazecie - wyjaśniła; znalazła wreszcie formularz. - Postanowiłam mieć w Xanadu gospodynię.

- Jeśli tak, cieszy mnie to szczerze - odparła pani Sugden i nie skłamała.

- Ale pani o tym nie powie nikomu? - spytała panna Hare.

Oporne pióro budziło w niej nienawiść.

- Och, z pewnością nie! - zaprotestowała pani Sugden. - Czyż stanowisko w tym urzędzie nie zobowiązuje do dyskrecji?

Panna Hare zastanawiała się chwilę.

Pióro ofiarowane klientom poczty skrobało papier.

- Powiem pani wszystko - zdecydowała się panna Hare. - Ale najpierw muszę wypisać tę depezę. Do Melbourne.

Pani Sugden umiała czekać. Panna Hare zaczęła pisać.

- Podaje się za osobę kompetentną i dobrze wychowaną.

- Mam nadzieję! - wykrzyknęła pani Sugden, czerwieniąc się na myśl, że mogłoby być inaczej. - W dzisiejszych czasach, pod wspólnym dachem!

Panna Hare mozolnie brnęła naprzód przez brzydką pustynię pocztowego formularza.

- Nie boję się - rzekła - niczego. A w każdym razie nie tych rzeczy, których na ogół ludzie się boją.

- No, pewnie, są inne rzeczy - przyznała pani Sugden, która na swoim urzędowym stanowisku musiała nabyć wiele przykrego doświadczenia.

Kierowniczką poczty czekała. Panna Hare miała na głowie stary kapelusz, raczej z łożyny niż ze słomy, tak grubo pleciony; nosiła go niezależnie od pory roku, latem i zimą, a wyglądała w nim czasem jak słonecznik, czasem jak stary rozsypujący się koszyk. Gdy stały obie po dwóch stronach kontuaru, pani Sugden widziała z góry coś w rodzaju pępka pośrodku główki kapelusza. Taka niska była panna Hare. Widać było tylko kapelusz i wyciągniętą rękę borykającą się z piórem. Pióro było krnąbrne. Pani Sugden zastanawiała się nad pochodzeniem kapelusza. Nikt nie pamiętał innego nakrycia na głowie panny Hare.

- Wszystko zawdzięczam kuzynowi Eustachemu Cleughowi - podjęła wążek panna Hare, kładąc nareszcie podpis na formularzu. - Odwiedził nas przed wielu już laty. Pani tego nie może pamiętać. Był taki zwyczaj, że przysyłano dorastających synów w odwiedziny do krewnych zamieszkałych w Australii. Wtedy to ludziom wydawało się bardzo dziwne. Australia! Dwie wojny oczywiście wiele pojęć zmieniły, no i paczki żywnościowe. Słowem, kuzyn Eustachy przyjechał do nas, był jakoś spokrewniony z matką, przez ciotkę Fanny z Banjo. Och, to był cudowny okres. Gościnne pokoje wszystkie zajęte. Niemal co wieczór zapalano wielki świecznik. Odbywały się bale, muzykantów sprowadzano z Sydney. Matka chciała, żebym brała udział w życiu towarzyskim

- byłam wtedy młodą dziewczyną, właśnie dopiero zaczęłam upinać włosy, ale jakże mogłam włączyć się do towarzystwa, jeśli musiałam pilnie obserwować wszystkich gości przybywających do Xanadu. Trzeba pani wiedzieć, że znalazła się między nami pewna panna - nazywała się Helen Antill

- w sukni całej naszytej maleńkimi lusterkami. Przypadkiem usłyszałam, jak matka mówiła, że może nie powinna była zapraszać panny Antill.

„Ani żadnej innej młodej dziewczyny

- odparł na to ojciec. - Ani żadnego młodego człowieka". Ojciec zawsze tak żartował po swojemu. „Jedźmy lepiej w spokoju nasz powszedni budyń - powiedział - z chlebowym sosem". Przepadał za chlebowym sosem do pieczonego drobiu i jedna z kucharek specjalnie go dla niego przyprawiała.

Oo?

- Mieloną cebulą! - wykrzyknęła panna Hare.

Pani Sugden przestąpiła z nogi na nogę. Większa część życia upływała jej na czekaniu.

- Ale o czym to ja chciałam mówić? Aha, o kuzynie Eustachym, który to wyjeżdżał, to wracał, i sprawił chyba

zawód moim rodzicom, chociaż później, po latach, wynagrodził nam to. Tak, tak, obdarzył mnie skromną rentą, gdy mu na to pozwoliły jego środki, przysyła ją stale z wyspy Jersey, gdzie mieszka. Zaczęło się to jeszcze za życia matki. Na szczęście. Bo w interesach ojca zdarzyła się jakaś katastrofa, ale nigdy nie mogłam zrozumieć, na czym polegała. Panna Hare westchnęła przeciągle. Sięgnęła po drugie równie okropne pióro leżące na kontuarze. Gest jej zawisł jednak w powietrzu.

- Niesłychane - rzekła pani Sugden.

- Tak, tak. Myślałam, że kto jak kto, ale pani wszystko wie. Przez tyle lat otrzymywałam tę rentę. Aż nagle fala zalała wyspę Jersey. O, tak.

I panna Hare naprawdę chlusnęła resztką atramentu na kontuar, pani Sugden nie okazała jednak oburzenia.

- Fala niemieckiego najazdu?

- A któż by to zrobił, jak nie oni - odparła panna Hare z odcieniem pogardy w głosie. - Jakby noc zapadła. Przez lata całe nie dochodziły od krewnych żadne wieści, dopiero w piątek rano, dokładnie siedem tygodni temu, dostałam kilka słów, że kuzyn Eustachy żyje. Chociaż niedomaga i środki finansowe ma bardziej ograniczone, uważa za swój obowiązek nadal wspierać mnie skromnymi zasiłkami.

Pani Sugden okazała należytą radość z tego rozproszenia chmur na widnokręgu.

- W ten sposób może pani sobie pozwolić na przyjęcie gospodyni.

- Ta osoba prawie się już zgodziła przyjechać. Panna Hare miewała przebłycki realizmu i surowości.

- Nazywa się pani Jolley - dodała, a że właśnie przez okno dojrzała poranny krajobraz, powiedziała: - Mam nadzieję, że będzie się czuła szczęśliwa w Xanadu. Sydney to nie Melbourne, a tu, na przedmieściu, tyle mamy zieleni.

- Dobrym wszędzie dobrze będzie - zacytowała pocztmistrzyni, nie zastanawiając się nawet, czy sentencja pasuje do aktualnej sytuacji. Kilka zdechłych much leżało na kontuarze dzielącym dwie kobiety, które bezwiednie przyglądały się trupom.

- A co się stało - biorąc głęboki oddech spytała pani Sugden - z tą panną Helen Antill, która miała taką śliczną suknię?

- Wyjechała - odparła panna Hare. - Wszyscy zawsze odjeżdżają. Zaczęła machać prawą nogą. Twarz, która pod wpływem opowieści zwilgotniała i zmiękła, znów teraz była oschła i zastygła. Zazwyczaj gdy mówiła, wargi jej zostawały sztywne, jakby porażone.

- Wyjechała, wyszła za męża za kogoś, o kim nigdy nie słyszeliśmy przedtem, zamieszkała w jakimś domu, miała dzieci, owdowiała. Raz widziałam ją w oknie, jak się czemuś przypatrywała.

Pani Sugden patrzyła w dal, jakby także coś tam dostrzegła.

W tym właśnie momencie rozległy się przed pocztą kroki; ktoś nadchodził, a była to nowa mieszkanka Sarsaparilli, pani Colquhoun, i na jej widok panna Hare ucięła rozmowę; można by rzec: zapuściła nagle kurtynę.

- Dziękuję pani - powiedziała takim tonem, jakby znała urzędniczkę ledwie od paru minut, po czym wyszła.

Teraz zaś znalazła się na szlaku, który rada gminna od niedawna zaczęła nazywać drogą, a nawet niekiedy aleją, i który prowadził z Sarsaparilli do Xanadu. W pewnym momencie ogarnęły pannę Hare wątpliwości i zatrzymała się kamieniejąc w bezruchu, lecz niepewna przyszłość nie mogła długo górować nad bezpośrednią terażniejszością i wkrótce panna Hare ruszyła znów przed siebie. Tam gdzie droga

opadała w dół, panna Hare w biegu strącała spod stóp kamienie, a chociaż pęd szamotał jej ciałem, duch zachował wewnętrzny spokój i pogodę. Niezwykłość tego stosunku między ciałem a duszą za każdym razem ją intrygowała, toteż panna Hare znów przystanęła w zadumie. Z wielu różnych powodów ledwie miała cząstka jej tajemnej, prawdziwej natury objawiała się innym ludziom. Panna Hare stała w miejscu. Natężyła myśli. Albo może pozwalała na swobodną grę swoim instynktom. Chociaż w pobliżu nie było w tej chwili żadnego człowieka, wzdrygała się na myśl o nieuchronnym zetknięciu z ludźmi. Markotnie pogłaskała liście. Ułamała sterczący patyk. Inni ludzie przejeżdżali obsadzoną krzewami drogą, wyglądając przez okna z samochodu, ale nic prawie z tego, co przemykało przed oczyma, nie docierało do ich umysłów. Wieże zieleni pozostawały przez nikogo nie zdobyte, skały nie tknięte. Czasem intruzi wysiadali z samochodów i szukali w pobliżu wody. Panna Hare widziała, jak się zanurzali w zimnych, czarnych, tajemniczych jeziorach wśród skał, a mimo to zawsze pozostawali zamknięci we własnej, niechętej gęsiej skórze. Jej oczy natomiast stale badały otaczający ją świat, jej palce wciąż go dotykały, ona nie potrzebowała takiej kąpieli, by osiągnąć ekstazę pełnego, unicestwiającego wyzwolenia. Przez chwilę stała zagniewana. Ale zaraz w rozmarzeniu ruszyła dalej. Cały ten kraj, każdy patyk i każdy kamień do niej należał, nie tylko formalnie na mocy prawa. Nikt inny nigdy nie umiał weń wnikać tak głęboko jak ona. Szła przez własne, osobiste włości, to wlokąc się niespiesznie, to przystając. Przystawała często. Niebo ożyło, nabrało intensywnego błękitnego koloru. Dość mizerne, ubogie drzewa, cenne nie dlatego, żeby mogły cieszyć wzrok, lecz że stanowiły akompaniament do zmiennych nastrojów ducha, zdawały się w tej

chwili uległe, trochę sennie melancholijne, dopóki panna Hare nie zeszła na dno doliny, skąd droga skręcała, wiła się i wznosiła pod górę. Zbocze, zrazu łagodne, potem piętrzyło się bardziej stromymi terasami, bujnie zarośnięte paprocią i mchem, wysłane miękką, butwiejącą ściółką, a drzewa tutaj rosły prościej, wyżej, tak że panna Hare zawsze dostawała zawrotu głowy, ilekroć za długo patrzyła w górę ku ich migocącym koronom.

Prawowita właścicielka nigdy nie zbliżała się do swej siedziby oficjalną drogą, przez bramę - która zresztą, zgodnie ze swą heraldyczną ambicją, była stale zaryglowana i skuta łańcuchem - lecz na przełaj, skrótem, używanym zwykle przez nią i przez dzieci Godboldów, a niekiedy, jak właśnie tego dnia, jeszcze krótszą ścieżką, znaną wyłącznie jej samej, gdzie trzeba było przedzierać się i czołgać jak w tunelu. Ale ścieżka ta biegła po miękkim, gliniastym gruncie pokrytym tu i ówdzie aksamitem zbutwiałych liści, w który przyjemnie było zapaść kolanami, bo wzbijał się wówczas z niego zapach grzybów i kiełkujących dopiero w głębi ziemi roślin.

Panna Hare przedzierała się więc mozolnie tą drogą, ulubioną i dobrowolnie wybraną. Trochę podrapana, lecz tego nie sposób uniknąć, jeśli się raz wstąpi na ścieżki życia. Wyszurchana przez rozchwiane gałęzie bzu aptekarskiego, którego pączki już prawie dojrzały do jadalnego stanu. Wychłostana przez drobne pędy winorośli sarsaparilla, których fioleto miała ochotę wyssać. Obita przez paprocie, gęstwę paproci. W pewnej chwili padła na kolana obciążone praktycznymi pończochami koloru ziemi; nie dlatego, żeby się zniechęciła lub zasłabła - osiągnęła co prawda wiek, w którym znajomi i sąsiedzi drżeli w oczekiwaniu na udar - ale dlatego, że odruchowo rzucała się na klęczki, ilekroć ogarniało ją

uczucie nabożnej czci, i dlatego, że silne przeżycie najlepiej czasem wyrazić można niezdarnym, żywiołowym gestem.

Odoczywała czas jakiś na klęczkach pod wielką obronną tarczą kapelusza, wbijając tępe, piegowate palce w miękką glebę. Klęczała tak w tunelu wiodącym do Xanadu, a gdyby ją tu ktoś zobaczył, wydałaby mu się ponad wszelkie wyobrażenie groteskowa, brzydka i niemożliwa do przyjęcia. Gdyby miała jeszcze krewnych prócz kuzyna Eustachego, przebywającego bardzo daleko, i prócz garstki Urquhart--Smithów, którzy nie chcieli o niej pamiętać, wszyscy odwróciliby się od tej parodii nieskalanego poza tym rodu.

Dawniej Hare'owie zawsze krytykowali Urquhart-Smit-hów, a ci odpłacali Hare'om równie surową krytyką. Teraz jednak tak niewielu zostało przedstawicieli obu stron, że nie miał już kto sprzeczać się i dyskutować. Jeśli chodzi o samego Norberta Hare, można by się spodziewać normalnego potomstwa z jego zdrowej mieszczańskiej krwi, Norbert bowiem był synem starego pana Hare'a, kupca winnego z Wynyard, jak powszechnie wiedziano. Urquhart-Smitho-wie wiedzieli o tym, rozumie się, lepiej niż ktokolwiek, a zapominając o Smithach, by wysuwać na plan pierwszy Urquhartow, nie mogli nigdy zapomnieć, że ich Eleanor poślubiła Norberta.

Eleanor pochodziła z gałęzi rodu osiadłej w Mumblejung, założonej przez sir Dudleya, który, co należy pamiętać, przybył do Nowej Południowej Walii w minionym stuleciu jako przedstawiciel królowej. Słynny ze swych cylindrów i mistrzostwa w jeździe konnej, sir Dudley świecił wzorem wszelkich zalet, a sławę tę potomkowie podtrzymywali przez czas długi, gdy reszta świata dawno już o nim zapomniała. Jego córka Eleanor rzadziej wspominała ojca niż niektórzy dalsi krewni, lecz to można złożyć na karb jej powściągliwego usposobienia, wątłego zdrowia i niewątpliwie też

niestosownego małżeństwa. Z czterech sióstr ona jedna została przy życiu. Troje ślicznych, pełnych wdzięku dziewcząt, które nie doczekały zamążpójścia, pogrzebano pod drzewami gumowymi za gotyckim kościółkiem, ufundowanym przez sir Dudleya w Mumblejug nie tyle ku pokrzepieniu dusz, ile ku utrwaleniu materialnej tradycji.

Solidny, uroczo staroświecki, bardzo angielski kościółek zdawał się rękojmią niezniszczalności osiągniętego w Mumblejug stanu rzeczy. I nagle Eleanor ośmieliła się na tak okropny postępek, wyszła za Norberta, syna starego Hare'a, kupca winnego z Wynyard. Ludzie dystyngowani, nawet nie znając osobiście Urquhart-Smithow, współczuli im, zgorszeni tym mariażem. Eleanor jednak opuściła dom, zabierając należny sobie dział, a niejeden przedstawiciel pośledniejszego stanu śmiał się z tego zdarzenia.

Nikt zresztą nie odmawiał szacunku staremu panu Ha-re'owi. Nikt też nie przeczył, że zdobył on z pewnością bardzo poważny majątek; z drugiej zaś strony matrymonialne widoki panien z dobrych domów nie przedstawiały się zbyt świetnie w tutejszym środowisku, tak bardzo świeżej daty, i tylko przyjazd jakiegoś utytułowanego młodzieńca był w stanie wzbudzić gorączkowe nadzieje. W gruncie rzeczy mógł dziewczynę spotkać gorszy los niż małżeństwo z młodym Hare'em, a jeśli osoby myślące praktycznie nie pogodziły się natychmiast i bez protestów z wyborem dokonany przez Eleanor, to zawinił sam jej mążonek, który był dziwakiem.

Norbert Hare nigdy nie uznawał półśrodków. Robił albo przynajmniej chciał robić to, co nikomu innemu nie wpadłoby nigdy do głowy. Kiedyś podobno wjechał na siwym koniu po marmurowych sc^dach domu w Xanadu aż na podest, gdzie spłoszony^rercn^^KC pozostawił na dywanie jaskrawożółtą kupkę (aaw^*\f.aNć?rpert nie zawsze swoje

plany urzeczywistniał, lecz snuł je stale, marząc o zbudowaniu sobie pracowni na szczycie chińskiej pagody lub stajni w kształcie meczetu, założeniu hodowli ślimaków burgundzkich lub plantacji drzew nieszpulkowych, wydrukowaniu poezji - własnych - na różnobarwnym jedwabiu, utkany w tym celu we własnych warsztatach. Syn kupca winnego otrzymał wykształcenie, lecz zgodnie ze swoim temperamentem korzystał z niego dorywczo, zmieniając wielokroć przedmiot studiów. W pewnym okresie zamierzał napisać rozprawę o Katullusie, wkrótce jednak odkrył, że brak mu cierpliwości, by zajmować się dłużej tym poetą. Sam pisał dość dużo: epigramy, fragmenty metafizycznych traktatów, które czytywał na głos każdemu, kogo zdołał zmusić do słuchania. Fragment, jak się wydaje, miał w jego oczach większą wartość niż całość. Potem wpadł na myśl ściągnięcia z Włoch przeróżnych marmurów. Sprowadził do łazienki mozaiki przedstawiające nimfy, winogrona i ogromnego złowrogiego kozła. Żeby tę mozaikę złożyć, przyjechali specjalnie zza oceanu dwaj włoscy rzemieślnicy, znęcani obietnicą regularnego zaopatrzenia w *vino*; jeden z nich, chociaż nie wykryto, który, obdarzył irlandzką służącą dzieckiem. Norbert i Eleanor wiele podróżowali, oczywiście za granicą, bo w tych czasach australijczycy Tej Klasy - a Norbert wkrótce się znalazł w Tej Klasie - chętnie jeździli do ojczystego kraju, żeby pokazać, że nie są gorsi od innych. Musieli więc jeździć tam również państwo Hare'owie, a potem nawet dyskretna Eleanor nie zdołała zapobiec plotkom, które dotarły do Australii: że Norbert po drodze w Perugii uwikłał się w jakiś pojedynek i że w Londynie przewrócił się w miejscu publicznym z powodu nadużycia alkoholu. Wszystko to było w jego stylu. Najwspanialszym jednak gestem Norberta, kaprysem, nad którym najwięcej cmokano, zgrzytano zębami lub

szczerzono je w litościwym, smutnym uśmiechu, była budowa domu w Sarsaparilli, poza granicami Sydney. Nazwał ten dom Xanadu - Dworem Miłych Rozrywek - i deklamował na ten temat wiersze damom, które przyjeżdżały w odwiedziny i przechadzały się po południu, powiewając woalami wśród świeżo położonych fundamentów z porowatego żółtego kamienia.

Czarownych dzieł nie tworzy się w pośpiechu, siedziba Xanadu nie stanowiła wyjątku od tej zasady. Kosztowała dużo czasu i cierpliwości, wszyscy się wreszcie zmęczyli. W końcu jednak była gotowa, złota, cała złota, tu i ówdzie zdobna w żelazne koronki, nakryta jasnoszarą importowaną dachówką, ze stajniami i „kawalerską oficyną” odsuniętymi nieco od domu. Tak więc Norbert, syn starego pana Hare'a, kupca winnego z Wynyard, wreszcie się zrehabilitował, przynajmniej we własnych oczach. Lubił wchodzić przez wszystkie kondygnacje swego domu aż pod szczyt, uwieńczony małą kopułą z ametystowego szkła, i tam spędzać samotne godziny, pokrzepiając się zimnym mięsem drobiu, odczytując pierwsze linijki wierszy mało znanych poetów albo po prostu patrząc z góry na swoją posiadłość. Może nawet patrząc dalej, poza jej granice, jeśli zdołał wzrokiem sięgnąć poza park jeszcze ostatecznie nie ukształtowany, ale wedle jego planu założony; może nawet poza stare, rozwichrzone, pierwotne zarośla buszu, bo w oczach jego pojawiał się przelotnie wyraz spokoju, którego by nie mógł osiągnąć, gdyby przykuty do swego miejsca w czasie i przestrzeni musiał dostrzec wrodzony cynizm tychże szarych, rozwichrzonych zarośli.

Zarośla, przemocą odparte, natychmiast znów przypuściły atak na stworzony sztucznie park Norberta Hare'a, aż po

wielu latach córka jego znalazła się na klęczkach w tunelu splecionych gałęzi, wiodących do Xanadu. Cała w plamach i cętkach jak wszystko, co się dziko rodziło w tym kraju, rozglądała się wokoło, wyszukując co ciekawsze szczegóły w otoczeniu. Prawie wszystko - ponieważ żywe - było znamienne, rozwijające się, indywidualne jak jej własne myśli, które trzepotały się i mieniły razem z liśćmi lub też nieruchomiały i sztywniały na wzór patyków albo ulatniały się w przykrym zapachu każdej zmiażdżonej mrówki. Jej ręce, prawie zawsze brudne i podrapane, bo nieustannie zajęte ważnymi czynnościami: wspomaganie rośliny zduszonej przez inne, by mogła wyrosnąć, uwalnianie pisklęcia ze skorupki jaja, odrywaniem łożyska, teraz były oblepione zdychającymi mrówkami - jak spostrzegła ze smutkiem. Jedna mrówka ześliznęła się z ojcowskiego sygnetu, który właścicielka Xanadu nosiła nie jako pamiątkę po ojcu, lecz dlatego, że to godło oficjalnie potwierdzało jej prawa do odziedziczonej siedziby.

Przed laty zdarzyło się raz i drugi, że spróbowała bawić się pierścieniem błyszczącym na palcu ojca.

- To nie zabawka - przestrzegł ją. - Musisz się nauczyć szacunku dla własności.

Zaczęła się więc tego uczyć.

Matka także nosiła pierścionki, najchętniej z ametystami. Upodobała sobie barwy zmierzchu. Jej stroje z żadnego względu na zasługiwały na pamięć. Z wyjątkiem całej kolekcji włóczkowych szali tak lekkich, że nie czuła ich chyba wcale na ramionach. Małej dziewczynce wolno było dotykać ubrań i pierścionków matki, a nawet obchodzić się z nimi bez ceremonii. Eleanor Hare, zbyt delikatna, żeby czemukolwiek ostro się przeciwstawić, dopóki sprawa nie przekraczała

granic dobrego smaku, bardzo gorliwie starała się wypełniać obowiązki żony i matki.

- Tak się boję, Norbercie, że nie będziemy mogli dać naszemu dziecku tyle miłości, ile by należało. Ja z moim słabym zdrowiem, ty z interesami na głowie...

- Och, miłość - odpowiedział ojciec i wybuchnął śmiechem, który mógł na zawsze zburzyć miłość.

- Nie chciałam ci zrobić przykrości - usprawiedliwiała się żona, a potem wycofała się z butelką gorącej wody w swój własny świat, pod wielki włóczkowy szal, zielony w odcieniu szczawiu, by kurować bóle newralgiczne.

- Pilnuj przynajmniej, żeby nie przewracała filiżanek z kawą, zwłaszcza na kolana gości - prosił mąż - a poza tym, żeby nie skubała dali i nie tupiała na schodach, kiedy czytam. Potrzebuję odrobiny ciszy, gdy nad czymś myślę.

- Zupełnie rozsądne żądanie - przyznała. - Dziecko powinno się nauczyć szacunku dla praw innych osób.

Nic tak nie złościło Norberta jak czyjś rozsądek, a szczególnie rozsądek żony.

Tak więc dziecko nauczyło się, o tyle, o ile mu pozwalała wrodzona niezgrabność, poruszać się cicho jak liść i unikać pewnych słów, ponieważ łatwo było je zniszczyć. Na przykład słowa miłość, kruchego jak szkło, a znacznie cenniejszego. O tak, nauczyła się w końcu chodzić ostrożnie drobnymi, sztywnymi krokami. Nauczyła się nawet miłości, ale na swój własny, skryty sposób, bo pokochała labirynty korytarzy, wielkie, chłodne, zielonkawe pokoje, złote kamienne ściany, tunele w gęstwie zarośli.

Panna Hare wstała wreszcie, prostując się o tyle, o ile można było wyprostować się w tunelu, i zaczęła przedzierać się, przeciskać, odpychając przeszkody tarczą ogromnego

łozinowego kapelusza, brnąc naprzód, nie bez drgawek, sapania i groteskowych póz, ku przedmiotowi swej wzniosłej miłości. Gdy się wreszcie wyzwoliła z objęć gałęzi, miała jeszcze ze dwieście kroków drogi przez mniej oporną zieleń, przez rosnące niemal jak las drzewa granatu, wśród których kilka dzikich jabłoni rozkwitało pierwszymi pąkami, a sosny zdawały się smutne, lecz zarazem kojące. Teren wciąż się wznosił, toteż pannie Hare coraz częściej brakowało tchu i łydki bolały ją od wysiłku wspinaczki. Wszystko teraz, zarówno bodźce wewnętrzne jak zewnętrzne, popychało ją wzwyż.

Tak panna Hare stanęła przed swoim domem, jak zawsze, jak po raz pierwszy. Wyszła pomiędzy drzew na brzeg trawnika. Trawa co prawda zdawała się dość zaniedbana, ale widok Xanadu w pierwszym momencie olśniewał oczy, nawet jeśli nie były zaślepione miłością. Panna Hare omal nie ugięła się pod brzemieniem zachwyту, gdy ujrzała swoją wizję ucieleśnioną.

II

Lubiła zaczynać dzień wcześnie. Wstawała po ciemku, objając się o sprzęty, póki nie odnalazła równowagi. Lubiła, zszedłszy na parter, siedzieć i nasłuchiwać szmerów domu, gdy przebrzmiały jej własne kroki, i szumu prymusa, na którym gotowała się woda na herbatę. Panna Hare marszczyła nos, czując zapach nafty, i z wolna tajała, jeśli to była zima, lub odpoczywała, jeśli było lato, od ucisku dusznej nocy. Potem zaczynała wędrowkę po domu, dotykając wszystkich napotykanych przedmiotów. Czasem coś przestawiała: jakąś czarę, podnózek, kiedyś próbowała przesunąć ciężki inkrustowany stół, z którego sterczały poodrywane mosiężne

ozdoby, chwytając jak w pułapkę suknię lub żywe ciało. Najczęściej jednak z wielkim szacunkiem zostawiała wszystko na miejscu. Nieraz też rozsuwała ostrożnie zasłony, żeby wyrzeć na poranny świat, w którym najbardziej stała rzecz staję się najprzezroczytsza i wszystko jest uzależnione od oczu obserwatora. W takich chwilach, gdy z szarych embriónów drzew kształtowała konkretne pnie gumowców, wargi panny Hare miękły i układały się w wyraz miłości.

Zwykle rano czuła się najlepiej. Ale ten ranek był wyjątkowy. Szarpnęła zasłonę. Materiał rozdarł się szkaradnie. Długi strzęp złotego brokatu zwisał jak jęzor. Ale panna Hare nie zatrzymała się, by obejrzeć wyrządzoną szkodę. Od rozmowy, w której zwierzyła swoje plany urzędnicze poczty, upłynęło już kilka dni. Nazajutrz miała do Xanadu przyjechać nowa gospodyni.

- Gospodyni - powiedziała panna Hare, obmacując przeguby palców, by wypróbować ich niedołość, i stwierdzając, że są rzeczywiście niedołączne.

Nie gospodyni zdawała się straszna, lecz obcy człowiek. Tego panna Hare bała się najbardziej: osoby zwanej panią Jolley, jej bioder opiętych granatową spódnicą, szmeru jej oddechu, listów, które się znajdują na stole, zaadresowane ręką jej córek lub siostrzenic, wypełnione wiadomościami o jakimś niewiarygodnym życiu, płynącym gdzieś daleko stąd. To było straszne, straszne.

Panna Hare często w samotności płakała, nie ze smutku, ale dlatego, że łzy przynosiły ulgę; teraz też zapłakała. Ale strach nie dał się ukoić. Z natury nie mogła polubić innych ludzi, choćby z powodu ich twarzy, pomijając już zwyczaj opowiadania o rzeczach, które nigdy się nie zdarzyły, a w które w końcu sami wierzyli. Dzieci były chyba jeszcze gorsze, nie wyćwiczone w nieszczerości, która stępa nieco ostrze napastliwej broni. Wyjątek stanowiły może tylko

dzieci z sąsiedztwa, bo żyły i rosły obok, a prawie nie trzeba ich było zauważać, po prostu istniały, ich obecność zdawała się miłą i naturalną jak powietrze. Najbardziej panna Hare lubiła stworzenia, które nie spodziewały się tego, czego nie miały dostać. Lubiła zwierzęta, ptaki i rośliny. Na nich wyładowywała swoją wielką, lecz żalną miłość, a ponieważ jej nie oczekiwali, miłość przestawała być żalną.

Podobno kiedyś nieopierzone pisklę spadło prosto na kolana panny Hare; wyhodowała je jakimś własnym, tajemniczym sposobem, grzejąc prawdopodobnie na swojej piersi pod bjużką, wstrzykując ustami do dzióbka pożywienie. Pisklę wyrosło na gołębia. Gołąb został przedstawiony dzieciom Godboldów. Oczywiście odleciał, ale panna Hare twierdziła, że do niej czasem wraca. Rozmawiała z nim. Wszyscy prócz małych Godboldów uważali za brednie te jej rozmowy z ptakami. Ona jednak twierdziła z uporem, że można się tego nauczyć.

Utrzymywała, że wszystkiego można się nauczyć, jeśli ktoś bardzo mocno chce, tylko że mnóstwa rzeczy człowiek nie pragnie dość gorąco. Na przykład nie pragnie pokochać drugiego człowieka. Choćby tej gospodyni, którą telegram i coraz bardziej wzmagające się niedołęstwo właścicielki sprowadzą jutro do Xanadu.

- Och, nie, nie, nie! - protestowała panna Hare, chlipiąc w chłodzie wczesnego poranka.

Cały dom powtórzył za nią ten protest.

Większość posiadaczy ziemskich, pragnąc pokazać światu, jak się już wzbogacili, budowała sobie domy z cegły w owej epoce, gdy Norbert Hare postanowił wznieść swój wspaniały dom z kamienia. Cegłę uważał po prostu za rzecz brzydką; nie podobała mu się wcale, a czymże miało być Xanadu, jeśli nie wcieleniem piękna, szczytem rozkoszy dla właściciela? Rozkosz to słowo gorszące w społeczeństwach, które naj
bar

dziej zbyt kowne zachcianki zwykły przybierać w maskę pokory i cnoty. Żaden chyba z ówczesnych bogatych posiadaczy ziemskich nie przyznałby się, że jego dom ma jakieś inne funkcje prócz zaspokojenia praktycznych potrzeb. Rzeczy materialne ceniono za ich użyteczność, a jeśli poza tym oczekiwano od nich przyjemności lub chluby, trzymano to na ogół w sekrecie. I tylko z ust Norberta Hare'a, znanego z zuchwalstwa, usłyszano, że epitet „użyteczny” ma dla niego wydźwięk nie tyle skromności, ile poniżenia. Jest tak bezbarwny, tak bardzo australijski. Ambicja Norberta Hare'a domagała się innych określeń, takich jak „światne” i „wytworne”, a w każdym razie na takie przymiotniki zasługiwało najambitniejsze z jego przedsięwzięć, Xanadu, Dwór Miłych Rozrywek. Norbert nie był człowiekiem szczerym, ale w tym jednym przypadku szczerłość sprzymierzyła się z jego upodobaniami i indywidualizmem. Budowa Xanadu stanowiła jego udział w sumie prawdy, bo ten dom, chociaż „światny” i „wytworny”, stworzony został przede wszystkim dla przyjemności gospodarza. Więcej by znalazł jawnych wielbicieli, gdyby ludzie nie podejrzewali, że zachwyty ich płynię z niezupełnie czystych źródeł. Toteż bogaci dżentelmeni głośniejsz niż kiedykolwiek wychwalali praktyczne zalety cegły i wierzyli, że jeśli wieżyczki zdobiące ich czerwone siedziby przystosują się do wzorów przez epokę uznanych, nikt nie oskarży prostych, przyziemnych hodowców owiec o wygórowane ambicje. Norbert oczywiście nie hodował owiec; gdyby się tym zajmował, jego rodzina mogłaby się śmiać nieco dłużej. Majątek odziedziczył po ojcu, kupcu winnym, który umarł bardzo w porę, wkrótce po ślubie syna; za jego przykładem poszło kilku braci, również kupców, tak do brodu sznych, że nie dostrzegli niebezpiecznego polotu bratanka. Norbert Hare po wszystkich zgarnął spadek i hojnie zaopatrzony

mógł pędzić żywot ziemianina, zgodnie z pojęciami zaczerpniętymi z książek i doświadczeń podróży, nie obarczając się na modłę kolonialną stadami owiec ani uprawnymi polami, bo to przekreśliłoby cel jego dążeń. Pragnął mieć i rzeczywiście zdobył uroczą scenerię dla swoich nastrojów, a więc park pełen egzotycznych drzew, zrzucających jesienią liście, plantacje róż, których widoku i zapachu pożądał, pastwisko dla rasowych krów z Jersey, które by napełniały śmietanką srebrne dzbanuszki na jego stół, stajnię dla koni, którymi powoził po mistrzowsku, trzymając wyłącznie siwki i jeżdżąc zawsze czwórką. To otoczenie i takie gospodarstwo wkrótce pochłonęło go całkowicie i przejęty swoją rolą doradzał, jak leczyć chorą krowę lub pryszczycę u konia (Pan Hare zna się na wszystkim) albo jak zasadzić cynerarie, żeby kwietnik wyglądał niezwykle efektownie; wtrącał się do wychowania córki, burzył ściany, dobudowywał nowe skrzydła, a wszystko rzucał niekiedy, by pędzić na górę do pracowni i zanotować jakiś pomysł, zawsze taki, który komuś innemu znacznie wcześniej już wpadł do głowy.

Mimo nieuchronnych frustracji i migren życie w Xanadu nigdy nie było szare. Pośród gaju dość mizernych egzotycznych drzew, pośród naszyjnika różanych klombów (delikatną cerę kwiatów ochraniały małe parasolki, których rozstawianie i zwijanie wypełniało właściwie cały czas pomocnikowi ogrodnika) wznosił się uroczy, senny dom. Ściany jego oplatała wistaria, której za czasów świetności Hare'ow nie pozwolono nigdy na wulgarną obfitość i która niezawodnie cieszyła wzrok jak boa z piór na pięknej szyi. Wiosną ciężki, korzenny zapach płynął przez okna do obszernych, zielonkawych pokoi; marmurowe schody i malachitowe urny zdawały się topnieć w smugach natarczywej woni, a lustra w złożonych ramach przemyślnie, stopniowo, wciągały w daleką perspektywę poza granice dostępne oczom.

Piękno tego domu budziło niechęć w ludziach, których Hare'owie przywykli uważać za swych przyjaciół, nie mówiąc już o praktycznych krewniakach, jak na przykład Ted Urquhart-Smith z Banjo Downs.

- Co się stanie z tymi wszystkimi cackami, jak Bert puści całą gotówkę? - spytał kiedyś Ted, ogarniając gestem swej zgrubiałej ręki salon w Xanadu, w którym nie sposób było niemal rozróżnić, gdzie kończy się szkło, a zaczyna światło.

Jego siostra Addie pozwoliła sobie parsknąć śmiechem.

Eleanor wahała się chwilę. Jako młoda dziewczyna odznaczała się poważnym usposobieniem, pożycie z Norbertem jeszcze pogłębiło tę jej cechę.

- Myślę, że majątek Norberta jest bardzo bezpiecznie ulokowany - powiedziała wreszcie. - Zresztą dom, jak mówią, sam w sobie stanowi dobrą lokatę.

Żona Norberta Hare'a rzadko odważała się na pozytywne sądy. Teraz zdobyła się na dwa twierdzenia, i to wygłoszone bez zastrzeżeń, co do tej pory wydawało się niemożliwe.

Kiedyś w złości Norbert zarzucił żonie, że stale powtarza jak papuga wyświechtane komunały.

- Ależ, Norbercie, ludzie to na ogół lubią - broniła się biedaczka bardzo jak na nią energicznie. - Nadmiar niespodzianek doprawdy bywa nużący. Nie mając jeszcze po temu żadnych powodów, przedwcześnie zaczęła ubierać się, w harmonii z nieśmiałością swych ametystowych ozdób, w kolory, które nasuwają skojarzenia z żałobą. Pokasływała z lekka i przybierała wyraz twarzy zachęcający do pytań o stan zdrowia, a goście skwapliwie podejmowali to wyzwanie, nie dlatego, by naprawdę byli ciekawi dolegliwości wątlej pani Hare, lecz dlatego, że temat ułatwiał rozwinięcie towarzyskiej konwersacji.

Nie była snobką, chociaż wiele osób o to ją oskarżało. Cierpiała po prostu, gdy widziała słabszych narażonych na

kontakt z tymi, którzy jej się wydawali silniejsi, i dlatego usiłowała znajomych dzielić na grupy, umieszczając ich w różnych przegródkach dla ochrony przed wzajemnym zetknięciem. Całkowicie oderwana od rzeczywistości, зараżała przelotnie tą swoją postawą każdego, z kim miała do czynienia. Nie była jednak postacią całkowicie nieefektywną na mieniającej się barwami jak pawie ogony scenie Xanadu, stanowiła dobre kontrastowe tło dla jaskrawych pomysłów męża. Jedynym katastrofalnym i nieodparcie rzeczywistym rekwizytem, uniemożliwiającym matce doskonale wywiązać się ze swojej roli, była córka, lecz Eleanor Hare od początku nie zdawała sobie z tego sprawy i nigdy nie zgodziła się tej prawdy uwzględnić w komedii życia. Po kilku wyczerpujących i bezowocnych ciężkich pani Hare urodziła wreszcie tę dziewczynkę. Dano jej na imię Maria, ponieważ matka była zbyt osłabiona, by wymyślić coś innego, ojciec zaś, który dla syna sięgnąłby w radosnym uniesieniu po godne imię do klasyków lub do dzieł Tennysona, nie interesował się córką. Dzięki temu nosiła imię Marii, lecz w protestanckiej niewinności.

Pani Hare wkrótce schroniła się przed córką za murami rozsądnej dobrotliwości i z tej pozycji zadawała jej stale okrutne ciosy przez cały okres tak zwanego dzieciństwa.

- Moja kochana córeczka sama powinna rozstrzygnąć, w jaki sposób najlepiej odpłaci rodzicom za wszystko, co im zawdzięcza - tak brzmiało zdanie typowe dla ulubionej macierzyńskiej taktyki. - Powinna dbać o te piękne rzeczy, które jej rodzice tutaj zgromadzili, aby się nimi cieszyć, a nie po to, by dziecko je niszczyło bawiąc się bezmyślnie.

Na często stawiane przez dziecko pytanie matka odpowiadała:

- Tylko nasz Ojciec w Niebiesiech mógłby mojej pieszczoszce odpowiedzieć, dlaczego ją stworzył w takiej a nie innej postaci.

Pani Hare, lubiącej się we własnej płyciźnie, nie przyszło nigdy do głowy, by wnieść wzrok ku Bogu, chyba że wzywała go formalnie na świadka. Uznawała Boga - jakież zuchwalec odważyłby się go nie uznać? - lecz tylko jako stwórcę moralnego i społecznego systemu. Z tego poziomu zawsze chętnie sięgała do portmonetki, pomagała w reperowaniu szat kościelnych lub dźwiganiu z upadku zbłąkanych dziewcząt, a nazwisko jej każdy mógł przeczytać na bilecie wizytowym oprawnym w mosiężną ramkę i przymocowanym do pulpitu ławki na stałym miejscu w kościele.

Dziewczynka pozornie przyjmowała z powagą reprezentowaną przez matkę postawę, lecz nie wywarła ona na nią głębszego wpływu.

Niezależna, dawała się unosić mdłej fali macierzyńskiej słodyczy niby zamysłona przezroczysta rybka poszukująca głębin, o której instynkt szeptał jej, że może jednak gdzieś istnieje.

Postawę ojca trudniej było przyjąć.

Pewnego dnia w obecności córki - a raczej gdy Maria stała odosobniona w niszy salonu, dotykając szmaragdowego jedwabiu, którym sofa urzekała jej palce - ojciec nagle rzucił na podłogę czapkę gestem bardziej niż zwykle gwałtownym i krzyknął:

- Któż mógł przewidzieć, że będę miał rudą córkę! Na Boga, Eleanor, przecież ona jest brzydka, brzydka!

W jego ustach brzmiało to jak najcięższe oskarżenie.

Eleanor Hare z większą niż kiedykolwiek słodyczą skinęła na dziewczynkę, a kiedy Maria podeszła bliżej - bo czyż mogła nie posłuchać? - matka westchnęła i poprawiając na niej szarfę, rzekła:

- Powinien byś, Norbercie, użyć raczej określenia „nieładna”. Ale kto wie, może Bóg, odmawiając Marii urody, miał w tym jakiś szczególny cel.

Maria nie od razu znenawidziła ojca, ponieważ była niedoświadczona i z natury skłonna do ufności. Odpowiedziała mu zaślinionym uśmiechem, który ją bardziej jeszcze oszpecił, a jej ojca bardziej jeszcze rozwścieczył. Bawiła się zawsze sama, bo nikomu nie przyszło do głowy, że mogłoby jej być potrzebne towarzystwo innych dzieci, i obywatła się bez niego doskonale, mając do rozporządzenia patyki, kamienie, liście koziego mleczka, ptaki, owady, dziuple w drzewach, piwnice i strychy Xanadu. Miała kucyka, ale wołała jego towarzystwo od jazdy na jego grzbiecie - bo musiałaby jeździć pod opieką ojca - i wkrótce nauczyła się spełniać jego życzenia, zgadując je ze zmarszczenia nozdrzy, drżenia któregoś mięśnia i zróżnicowanej wymowy milczenia.

Kiedyś, gdy nie mogła wykręcić się od przejażdżki z ojcem i pojechała z nim na przegląd koni na okólniku, rzuciła się na ziemię i zaczęła sobie wygrzebywać w trawie legowisko, podrygując gorączkowo, mrużąc coś bez sensu, zwijając się w kształt strączka lub płodu w łonie matki. Tak się wydawało ojcu. Ale gdy ostrym tonem zażądał wyjaśnienia, dziecko powiedziało z prostotą:

- Teraz wiem, jak się czuje pies.

Wyraz piegowatej twarzy córki obudził w ojcu takie zgorszenie i taki wstręt, że kazał jej natychmiast wstać i postanowił wykreślić ten epizod ze swej pamięci.

W bardzo rzadkich chwilach zdarzało się, że Maria i ojciec, zbliżając się z dwóch przeciwnych stron, jednocześnie dochodzili do wspólnej granicy porozumienia, ale dopiero wówczas, gdy alkohol, rozpacz lub bliskość śmierci rozluźniły słabe hamulce rozumu, innymi słowy, gdy Norbert Hare w oczach córki stał się bardzo podobny do udrećzonego czy też zdesperowanego zwierzęcia.

Do końca życia córka miała zapamiętać pewne zdarzenie z tych czasów i wysilała całą swą intuicję, by pojąć jego sens,

którego rozum nie umiał jej wytłumaczyć. Stała wtedy na tarasie. Była właśnie pora zachodu słońca. Wcześniej tego popołudnia ojciec woził Marię po drogach i ścieżkach wokół Sarsaparilli aż do Barranugli, popisując się swoim zaprzęgiem. Teraz czuła się szczęśliwa, że nareszcie jest sama, że może patrzeć, dotykać każdej rzeczy oglądanej i wdychać jej zapach, a matka ani ojciec nie zażądają z tego powodu żadnych wyjaśnień. Zapamiętała, że z kamiennych wazonów na tarasie spływały wówczas kaskady drobnych mlecznobiałych kwiatów, które w ciemności błyszczały jak smugi księżycowej poświaty.

O tej wszakże godzinie światło było złociste. Albo czerwone. Tak wspaniale, że nawet ruda dziewczynka nie potrzebowała wstydzić się harmonii między kolorami świata i jej włosów.

Nagle z domu wyszedł ojciec. Próbował nowego gatunku koniaku, który przysłano mu specjalnie do oceny, wargi miał jeszcze wilgotne i lśniące od przeprowadzanych prób. Oczy olśnione blaskiem słońca zdawały się niemal czułe. Stali naprzeciw siebie, ojciec i córka, niebezpiecznie odarci z masek. Ojciec zbliżył się, jak gdyby zaintrygowany i zarazem uspokojony. Pogłaskał Marię. Na ogół tego nie robił. Córce nie było zresztą zbyt przyjemnie, gdy tak zanurzał ręce w jej włosach.

Przypominały jej się dwa czarno-białe spaniele, które kiedyś obserwowała, jak tarzały się i bawiły z sobą, bezradne w swej głupocie. Ale właśnie dlatego, że ojciec, ogłupiały w tej chwili, nie panujący nad sobą, spadł do poziomu jej i psów, poddała się pieścizocie bez oporu. Nie zapamiętała, co ojciec mówił, a w każdym razie nie wszystko, bo mówił dużo rzeczy niemądrych i zawiłych, ale w pewnym momencie potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się blasku słonecznego z oczu, jednocześnie załzawionych

1 uśmiechniętych, i ochrypłym głosem powiedział coś, co nie było chyba dla córki przeznaczone, chociaż zwracał się pozornie do niej.

Ojciec powiedział:

- Kto jedzie wozem ognistym, jak myślisz, Mario? I czy się ktoś tego dowie?

Kto? Nie spodziewał się oczywiście, żeby córka mogła go zrozumieć. Wtedy nawet nie myślała, że zapragnie go zrozumieć. Nie poruszyli się jednak, słońce osuwało się po niebie, a oni stali pod rozkołysanymi, splecionymi z promieni rzemieniami uprzęży. Może Maria powinna była się przerazić dziwnością i grozą sytuacji, ale nie czuła strachu. Była przeobrażona, sama już także stała się wiązką czerwonego, niecierpliwego światła, odbijającego się w oczach jej niemądrego, podchmielonego ojca.

Potem ojciec zmarszczył brwi i Maria zrozumiała, że znów są oboje na drodze z Barranugli do Sarsaparilli i wracają w dość bezbarwnym świetle minionego popołudnia.

- Nie podoba mi się ta lejcowa klacz - oznajmił. - Muszę ją zmienić na inną. Niby nie kulawa, a chód ma, jakby kulawa.

Od swoich koni bowiem, jak od wszystkiego, żądał doskonałości i zwykle ją znajdował, tylko nie w ludziach.

Spojrzał na córkę i znowu go zirytowała brzydota dziewczynki; Maria to rozumiała, ale nie mogła nic poradzić, więc uśmiechnęła się do ojca, tak jak się uśmiechają istoty, po których nikt nie może się wiele spodziewać. A jednak te niejasne słowa wypowiedziane po pijanemu, z obojętnością i szorstkością męskiego egotyzmu, zachęciły córkę do oczekiwania od życia jakiejś najwznioślejszej rewelacji. W wiele lat później, gdy postać ojca bardziej jeszcze zmalowała w jej pamięci, myśl Marii wykradała się jak lis albo też po omacku jak robak pełzła na poszukiwanie utajonej prawdy. Jeśli przyjaźń z Himmelfarbem i panią Godbold, a może także błyskawiczne porozumienie z pewnym czarnoskórym tubylcem miały raczej potwierdzić niż wyjaśnić tajemnicę, to stało się tak dlatego, że w gruncie rzeczy olśnienie znaczy tyleż co oślepienie.

Na razie życie w Xanadu mniej doznawało zaburzeń z powodu problemów transcendentálnych niż z powodu kłopotów natury ekonomicznej i społecznej, nękających osoby, które żyją nerwami i z dochodów od zainwestowanego kapitału. Hare'owie nigdy nie mówili o pieniądzach. Pani Hare uważała by poruszanie tych tematów za rzecz w jak najgorszym guście. Pan Hare natomiast nie lubił myśleć o pieniądzach, chociaż gorąco pragnął zawsze mieć ich dużo. Był trochę podobny do podróżnika wędrującego ku krajobrazowi, który mógł się okazać mirażem. Norbert Hare miał szczęście, że odziedziczył spadek po ojcu kupcu i po stryjach kupcach, a zaufany człowiek, który zarządzał przedsiębiorstwem jego zmarłego ojca, był na tyle głupi, że pozostał uczciwy, i na tyle inteligentny, że działał praktycznie, toteż właściciel Xanadu mógł być niemal pewny, że ten krajobraz nie jest złudzeniem. Irytowały go jednak dyskusje na ten temat, a jeżeli alkohol lub bezsenność zmuszały go do zastanowienia się nad finansową przyszłością, spłacał daninę realizmowi, pisząc do swego agenta w Londynie i polecając mu zakup kominka z marmuru z Paros czy też akwareli Boningtona, która, jak zasłyszał, miała być wystawiona wkrótce na sprzedaż. W ten sposób Norbert Hare krzepił się na duchu. Tak płynęło życie w Xanadu i wkrótce trzeba było stwierdzić, że córka domu jest już dorosłą panną. Upięto jej włosy w kok, odsłaniając kark zielonkawy i nie upstrzony piegami pod dotychczasową osłoną rudych włosów. Nie dodało jej to jednak urody, a poza tym była nienormalnie mała.

Matka coraz częściej wzdychała i powiedziała kiedyś:

- Pora, by coś zrobić dla naszej biednej Marii.

Ale natychmiast wpadła w rozterkę, bojąc się, czy ta uwaga nie zabrzmiała wulgarnie. Ojciec nie sądził, aby sytuacja zasługiwała na jego zainteresowanie.

- Będzie, co będzie - ziewnął, pokazując dość ładne, spiczaste zęby. - Jak to się przydarza co najmniej dziewięćdziesięciu na sto nie mających szans okazom rodzaju ludzkiego. Jak się to nam przydarzyło.

- Pokochaliśmy się - ośmieliła się odpowiedzieć żona i poczerwieniała.

Mąż wybuchnął głośnym śmiechem. Żona wołała tego nie słyszeć.

W jakiś czas potem Eleanor Hare z podnieceniem, a jej małżonek z cynicznym zaciekawieniem przyjęli wiadomość, że Eustachy Cleugh wybiera się w podróż dookoła świata i przy okazji odwiedzi swych krewnych w Nowej Południowej Walii. Nic prawie o nim nie wiadano prócz tego, że należy do angielskiej gałęzi rodu Urquhart-Smithow, lecz puste karty są zawsze najbielsze. Pani Hare słyszała, że kuzyn Eustachy jest „szalenie miły”, niemłody już, ale jeszcze nie średniego wieku, zamożny, i że brat jego matki ożenił się z utytułowaną panną Lawinią Lethbridge, córką lorda Trum-pingtona.

- Czym się zajmuje kuzyn Cleugh? - spytała Maria.

- Nie wiem dokładnie - odparła matka. - Sądzę, że po prostu żyje.

Wszystko to wyglądało bardzo przyzwoicie.

Eustachy Cleugh przybywszy do Xanadu niezbyt się zdziwił tym, co zobaczył i co słyszał, ponieważ jako Anglik i członek rodziny

Urquhart-Smithow wiedział z góry, czego można się spodziewać po życiu w kolonii w ogóle, a w domu Norberta Hare'a w szczególności.

- Cokolwiek by mi mówili specjaliści i Urquhart-Smithowie, rasa jest w dziewięćdziesięciu procentach kwestią przypadku - oznajmił pierwszego wieczoru przy stole Norbert Hare. - A mówiąc o przypadku mam na myśli oczywiście nieszczęśliwy przypadek.

- Jakby nie było przyjemnych tematów! - zaprotestowała żona, przyglądając się ślimakom na swym talerzu.

Maria wlepiła oczy w kuzyna. Na braku troskliwego wychowania zyskała przynajmniej to, że wyćwiczyła się w obserwacji, wprawdzie zapuszczała wzrok głębiej, niż pozwalają przyjęte ogólnie zwyczaje, lecz dzięki temu często dokonywała odkryć. Teraz stwierdziła, że kuzyn Cleugh zgodnie z zapowiedzią matki nie jest ani młodzieńcem, ani panem w średnim wieku. Wydawało jej się prawdopodobne, że Eustachy Cleugh zawsze miał mniej więcej trzydzieści pięć lat. Ponieważ sama była w nieokreślonym wieku, myślała z nadzieją, że mogliby się chyba zaprzyjaźnić. Ale jak się o to postarać? Przede wszystkim kuzyn należał do tej samej płci co ojciec. Po wtóre miała wrażenie, że pięknie wypielegnowane, nieco obwisłe wąsy i długie kości złożonych jak wachlarz rąk nie dostrzegają nic prócz osoby Eustachego Cleugha. Może gdyby był psem - na przykład wytwornym włoskim chartem - umiałaby go sobie zjednać wielu niezawodnymi sposobami.

W tej sytuacji mogła tylko podsunąć mu migdały.

Żeby wziąć migdał, otworzył stuloną dłoń. A potem zaczął także otwierać umysł i ofiarował gronu słuchaczy - bo wszystko, co mówił, ofiarowywał raczej całemu towarzystwu niż poszczególnej osobie - relację z podróży, którą wraz z pewnym przyjacielem odbył po środkowych i północnych Włoszech.

- Po krótkim wytchnieniu w Rawennie, gdzie właściwie nie ma nic interesującego prócz mozaiki i [*uppa di pesce*](#) - ale to są rzeczy istotne, nieprawdaż? - udaliśmy się do Padwy, posiadającej, jak mówią, najstarszy w Europie ogród botaniczny. Nie jest zresztą szczególnie rozległy ani też piękny, ogród, jak ogród, lecz odkryliśmy w nim niezwykle subtelne z punktu widzenia ogrodnictwa ciekawostki.

Pani Hare wydawała nieokreślone dźwięki, zgodne z towarzyskim rytuałem. Pan Hare natomiast zaczął mrugać raz za razem manifestacyjnie.

- W Padwie biedny Aubrey Puckeridge zaniemógł na jakąś chorobę, której nie udało nam się rozpoznać, dolegliwości żołądkowe i objawy febry, a stało się to w bardzo nędznej *albergo*, gdzie wpadliśmy na skutek fałszywych informacji wydrukowanych w przewodniku.

Pani Hare powtórzyła te same co przedtem dźwięki, kładąc w nie jednak więcej nieco sympatii.

- I co? Umarł? - spytał Norbert.

- Ależ nie - odparł Eustachy Cleugh. - Czyżby moje słowa dawały powód do takiego przypuszczenia? Chciałem tylko powiedzieć, że biedny Aubrey czuł się bardzo marnie.

- Aha - rzekł pan Hare. - Myślałem, że może umarł. Eustachy Cleugh zauważył, że mąż kuzynki wypił bardzo dużo zabójczego wina z własnych składów.

Opowieść fascynowała Marię nie tyle swoją treścią, ile sposobem, w jaki słowa wydobywały się z ust kuzyna. Układała je w stos jak zwiędłe liście, ale starannie i równo niby banknoty. Zrobiło jej się przy tym smutno.

Mnóstwo rzeczy, które ona próbowała wypowiedzieć, umierało natychmiast, wydobywszy się na powierzchnię, chociaż ich życie - nie mówiąc już o życiu pośmiertnym w jej umyśle - mogło być tak wspaniałe.

Zastanawiała się, czy kuzyn Eustachy zdaje sobie sprawę, jak martwe są jego słowa, i czy z tego powodu cierpi. Tak więc mimo wszystko mieli wiele wspólnego z sobą, chodziło tylko o to, żeby jakoś przetrwać obcość dzielącą ich dwa odrębne życia i odkryć szyfr pozwalający ludziom zrozumieć się wzajemnie.

- A potem, kiedy wyzdrowiał i opuściliście tę nędzną *albergo*? - zapytała, żeby zapoczątkować porozumienie i ofiarować kuzynowi swą pomoc.

Ale Eustachy Cleugh już się zniechęcił.

Raz tylko spojrzął na brzydką córkę kuzynki i przyrzekł sobie, że do końca pobytu w tym domu będzie możliwie jak najrzadziej spoglądał w tę stronę. Szczególnie odrażające wydały mu się jej krótkie, tępe ręce i płomienne włosy, nie ujarzmione jeszcze przez tyranię szpilek. Zadrżał skrycie. Nawet wlepiając wzrok we wzór deserowego talerzyka, nie mógł zapomnieć widoku tego straszliwie niewydarzonego stworzenia. Jak gdyby wszelka fizyczna potworność była osobistą zniewagą wymierzoną panu Eustachemu Cleughowi.

- Sądzę, że kuzyn jest znużony - usprawiedliwiła go pani Hare. - Co do mnie, pierwsze chwile w obcym domu męczą mnie ponad wszelki wyraz. Eustachy oczywiście uśmiechnął się do całego towarzystwa, ponieważ był doskonale wychowany, i wyszeptał jakieś uprzejme zaprzeczenia. Wycofał się jednak wcześniej, jakkolwiek nie do kawalerskiej oficyny, bo - wedle słów pani Hare - należał przecież do rodziny.

Maria prędko zrozumiała, że nic się w jej życiu nie zmieni dzięki obecności kuzyna, ponieważ widywała go bardzo rzadko; zawsze albo czytał, albo pisał - miał, jak się okazało upodobania intelektualne - palił papierosy albo rozmyślał, albo przechadzał się po buszu, studiując australijską florę.

Kiedyś zaproponowała:

- Jeśli kuzyn pozwoli, chętnie bym mu towarzyszyła. Mogę kuzyna zaprowadzić w takie miejsca, których nikt chyba nie zna. Ale trzeba być przygotowanym na czołganie się i przedzieranie. Czasem też spotyka się węże.

Kuzyn umiał się uśmiechać bardzo uprzejmie. Powiedział:

- Świetna myśl. Dobrze. Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyśleliśmy. Tak. Któregoś dnia pójdziemy razem. Jak będzie więcej wolnego czasu.

Zawsze były bowiem jakieś towarzyskie obowiązki: zapraszano sąsiadów, którzy mu opowiadali o swoich owcach, damy, które chciały od niego usłyszeć nowiny z ojczyzny, z tego mitycznego kraju istniejącego właściwie jedynie w ich wyobraźni. W końcu wiele rzeczy zadziwiło kuzyna Eustachego, bo nigdy przedtem nie powstało mu w głowie, że można traktować poważnie owce, i podzielał przekonanie swych znajomych z Anglii, że z wszystkich cywilizacji, rzeczywistych lub wyimaginowanych, tylko włoska zasługuje na uwagę.

Pani Hare przez cały czas nie zapomniała, że należy coś zrobić dla Marii, postanowiła więc wreszcie wydać bal. Przedsięwzięcie samo w sobie było tak wspaniałe, że pani Hare nie pomyślała nawet, jaki wpływ wywrze na losy córki.

Córka ośmieliła się spytać:

- Czy kuzyn Eustachy lubi tańczyć? Jest taki grzeczny, że nie powie tego otwarcie.

Ale matka przebywała już duchem u krawcowej, obliczała, ile trzeba przygotować pasztecików z drobiu, i zastanawiała się, czy w doniosłej chwili służące posłuchają jej rozkazów.

Nawet gdy nadszedł dzień balu, nikt nie zwracał na Marię uwagi. Jedni, ludzie dobrego serca, sądzili, że oszczędzą dziewczynie przykrości nie zauważając jej brzydoty, inni, ludzie okrutni, chcieli sobie oszczędzić przykrości, odwracając oczy od widoku, który mógł tylko zepsuć im humor.

Ubrano ją w srebrzystą biel, ponieważ była młodą dziewczyną, a ten wieczór miał być dla niej bramą triumfalną lub też stosem ofiarnym. Stała, dotykając niedowierzającymi palcami szeleszczącego jak papier materiału swej sukni, ozdobiona biżuterią, którą matka wyjęła z własnej szkatułki: broszeczką z perłami i obróżką z pereł, dawno nie noszonych i pozbawionych blasku po latach leżenia na aksamitnej podściółce zamiast w ciepłe żywego ciała.

Stała, ustrojona zabójczo, jak się wyraził jeden z młodzieńców, ale naprawdę to ją zabijała obroża z pereł.

Naszyjnik był rzeczywiście dość ciasny. Maria z natury miała skłonność do czerwienienia się, czerwone plamy występowały jej na twarzy pod wpływem słońca, wiatru lub wzruszenia, nie mówiąc już o irytacji. Ręce jej wiewły w fałdach wspaniałej srebrzystej sukni, nie zapomniano jej żadnej z wielu niezręczności, jakich się dopuściła. Osoby, omawiające potem bal, zapamiętały zwłaszcza jeden, najbardziej groteskowy szczegół: śmieszny bukiet kwiatów, delikatne fuk-sje, bujnie rozkwitłe geranium, goździki i rumianki ściśnięte razem, drżące i zwisające smętnie od paska. Bukiet bez wątpienia wyglądał dziwacznie i pomysł był bardzo niefortunny, lecz Maria nie mogła się oprzeć chęci włączenia do stroju chociaż tej jednej dobrze znanej rzeczy.

Wieczór upływał wśród muzyki i dzwonienia kieliszków. Brzydka zapomniana dziewczyna powinna by się czuć nieszczęśliwa, ale od rozpaczycy ocaliła ją cudowność widowiska, gra wydłużonych cieni i jezior światła, niezwykłość objawionych nagle twarzy ludzkich, szklanka lemoniady podana na srebrnej tacy przez słuźącego, który jak gdyby jej nie poznawał, i to tutaj, w jej rodzinnym domu.

Zebrało się mnóstwo znakomitych gości: właściciele ziemskich i przedstawiciele wolnych zawodów z żonami - wyłącznie ludzie bogaci, a więc godni wstępu do towarzystwa. Wiele osób miało nocować i dłużej pozostać w Xanadu. Kawalerską oficynę wypełnili młodzieńcy z dalszych okolic, tryskający humorem, szczerzący zdrowe zęby, z cerą opaloną na kolor cegły.

A poza tym - tańce. Tańce.

Maria, nie pragnąc brać w tym udziału, lubiła patrzeć na tańce z jakiegoś przytulnego kąta, ukryta za osłoną mahoniu lub złoceń, w jaskini z chalcedonu lub malachitu. Stąd

widziała tancerzy zeglujących na fali muzyki (najlepszej, jakiej mogło dostarczyć Sydney), butnie i pewnie kierujących swymi ruchami. Czasem tracili panowanie nad sterem i kręcili się w kółko porwani zniecka przez ukryty wir. Ale poddawali się chętnie. Odchyleni, oparci o śliskie ściany muzyki, pozwalali się wciągnąć w głąb leja, a na ich przeczystych zębach drżały uśmiechy i słowa.

Między innymi była tam Helena Antill, która niejednemu mimo swej urody i pewności siebie wydawała się osobą ekstrawagancką. Panna Antill miała suknię, zapewne w stylu orientalnym, naszytą maleńkimi lusterkami, w których odbijały się światła, a niekiedy nawet ludzkie twarze. Poza tym miała wachlarz oryginalnie oprawiony w kawałek koralu o kształcie przypominającym ludzką dłoń. Wachlarz był z pawich piór. A pawie przynoszą pecha.

Ale nic nie mogło speszyć panny Antill.

Maria Hare pomyślała, że mogłaby ją pokochać tak, jak czasem żywiłowo zapalała się miłością do gładkich gałęzi jakiegoś drzewa, do tworzywa marmuru, do długich, niepokalanych nóg rasowego konia napiętych w galopie. Nawet panią Hare urzekł widok panny Antill i chociaż w pierwszym momencie cierpiała męki, widząc, jakie wrażenie ta osoba robi na reszcie towarzystwa, zachwyty wziął w końcu górę nad obronnym instynktem macierzyńskim i Eleanor zaczęła pospiesznie krążyć po całym domu, szukając kogoś, marszcząc czoło, wlokąc za sobą niby natrętną myśl obłok szarych jak mgła tiulów.

- Gdzie jest kuzyn Eustachy? - spytała w przelocie Marię.

- Od dłuższego czasu już go nie widziałam - odpowiedziała córka i odrywając się od marzeń, nagle uświadomiła sobie, jak dziwne jest, że mówi to swej rodzonej matce.

Pani Hare znów zmarszczyła czoło. Nawet w tej chwili, gdy była gotowa złożyć córkę w ofierze, nie przestała

oczekiwać od niej, że ze swej strony spełni do końca obowiązek.

- Powinnaś pilnować, żeby nie był osamotniony. Jeśli nie ma przy nim kogoś innego, powinnaś dotrzymać mu towarzystwa. A każda poważnie myśląca młoda dziewczyna postarałaby się, żeby jej towarzystwo przedkładała nad inne. - Pani Hare westchnęła, przypominając sobie trudności związane z podobną sytuacją. - Mężczyźni nigdy nie wiedzą, czego chcą, jeśli nimi z lekka nie pokierować.

- Ależ to byłoby wstętne kimś k i e r o w a ć - odparła Maria.

- Mówisz tak, jakby chodziło o c i ą g n i ę c i e kogoś przemocą - z rozpaczą stwierdziła matka. - Miałam na myśli po prostu lekkie dotknięcie ramienia, co nieraz sprawia cuda.

- Kuzyn Eustachy nie cierpi, żeby go dotykać.

Pani Hare wolała przerwać rozmowę przybierającą zbyt trywialny obrót. Trudno, musiała dźwigać swój krzyż i zyskując w ten sposób palmę męczeństwa, była przekonana, że prócz niej nikt nie zna źródła tych tortur.

Szukała nadal kuzyna, utwierdzona w zamiarach przez doznany zawód i przez wizję panny Antill triumfującej w swej niezwykłej sukni.

Eustachy Cleugh spełnił wspaniałomyślnie wszystko niemal, czego się po nim tego wieczora spodziewano. Z pozornym zainteresowaniem słuchał informacji statystycznych, których udzielali mu hodowcy owiec. Użytych współczującej uwagi żonom hodowców, skazanym na marnowanie życia w Australii, z dala od tych materialnych przywilejów, których łaknęła ich wrażliwość, nie mówiąc już o duszy. Tańczył, i to jak tańczył, z ich córkami. A przynajmniej ciało jego poddało się dyktaturze muzyki, twarz zaś nie zdradziła, co przy tym czuł. Teraz jednak poszedł na górę, do pracowni kuzyna Norberta, by odetchnąć swobodniej

i przejrzeć album ze sztychami niemieckich kościołów w stylu gotyckim. Tutaj odnalazła go kuzynka Eleanor.

- Eustachy! - wykrzyknęła. - Nie pojmuję, jak mogłeś sobie pozwolić na pominięcie panny Antill. Taka świetna tancerka i uroczą dziewczyna. Nie spocznię, póki nie zobaczę was tańczących z sobą.

I ujęła go za przegub ręki, kierując nim, jak jej się zdawało.

Eustachy Cleugh był za dobrze wychowany, żeby się wyrwać tej łagodnej przemocy. Powiedział więc tylko:

- Tak, to bardzo ładna dziewczyna ta panna Antill.

Maria widziała, jak kuzyn został sprowadzony po schodach. Widziała, jak się przemykał przez salon po zdradzieckiej posadzce. Tego, że „został sprowadzony” i że „się przemykał”, nie zauważył chyba nikt prócz Marii, ale ona spędzała przecież dni całe na obserwacji zachowania się nieśmiałych istot, na przykład ptaków. Teraz obserwowała kuzyna Eustachego, usidlonego przez muzykę i przez pannę Antill. Jakże migotały, jak się mieniły obrazami lusterka na jej sukni! Eustachy nie szamotał się, tańczył bardzo poprawnie, trzymając w pół partnerkę; nikt prócz Marii nie widział, że to on jest trzymany. Jego twarz, prawie dokładnie tego koloru co nugaty, zadawała oczekiwane pytania o spektakle w teatrach, wyścigi i pogodę. W ciągu krótkiego pobytu w Xanadu przyswoił sobie zdumiewająco dużo informacji o sprawach miejscowej doniosłości.

Ale panna Antill zdawała się nie przekonana. Wirowali, wirowali wciąż, lecz na twarzy tancerki malował się taki wyraz, jakby zdania, które chłonęła, miały jakiś smak podejrzany. Panna Antill nie mogła w coś do głębi uwierzyć, w jakąś porażkę... czyżby swoją własną? A może ptak umarł, zanim go dosięgła strzała myśliwego? Nie przerywali mimo

wszystko tańca. Panna Antill czepiała się kosztownego sukna fraka i maski doświadczenia i można by pomyśleć, że drży, ale wszyscy niemal świadkowie tej sceny przypisywali ten efekt grze światła w lusterkach. Jej wspaniała uroda nie mogła znać udręk niepewności.

Potem nastąpiła przerwa w muzyce i pan Cleugh zachował się, jak wszyscy stwierdzili, bardzo dziwacznie. Po prostu przeprosił damę, otarł twarz przeraźliwie białą chustką i odszedł. Pannie Antill oszczędzone zostało większe upokorzenie, pomimo zniewagi, jaka ją spotkała, bo wszyscy niemal mieszkańcy kawalerskiej oficyny otoczyli ją natychmiast, nie licząc wielu nadających się do roli wielbicieli adwokatów oraz kilku poważniejszych wiekiem hodowców, którzy nieoczekiwanie przyłączyli się do tego grona.

Eustachy Cleugh oddalił się w stronę tarasu. Parę dam zauważyło w ogólnym poruszeniu i zamieszaniu, że głupkowata Maria poszła, a raczej pobiegła pędem za nim, gubiąc po drodze zwiędłe kwiaty, lecz na ogół wszyscy zbyt byli przejęci scenką, która się dopiero co rozegrała, żeby śledzić dalszy ciąg niezrozumiałego incydentu. Zresztą wszystkie te osoby nauczono od dziecka tłumić w zarodku niedorzeczne pomysły budzące się w głowach, podobnie jak wypadało będąc w salonie powstrzymywać gazy w kiszkiach.

Maria zastała kuzyna na tarasie, niezupełnie w ciemnościach, bo światła jarzące się w domu rzucały tu odblask, przyćmiony, lecz miły.

- Och! - zaczęła. - Jeżeli kuzyn woli być sam, zaraz sobie pójdę.

Ale byłoby jej strasznie przykro, gdyby ją odprawił.

- Nie - odpowiedział. - Po co odchodzić? W tym szklanym domu wszędzie i zawsze jest się na oczach ludzkich!

- To w innych domach jest inaczej? Roześmiał się prawie naturalnie.

- Nie, chyba nie - odparł.

- Kuzyn nie mógł ścierpieć tańca z panną Antill - powiedziała. - Strasznie mi było kuzyna żal.

Zadrżał. Gdyby mu nie współczuła, byłaby wręcz zgorszona. Ale niekiedy umiała wybaczać nawet ojcu, że jest mężczyzną. Kuzyn Eustachy milczał. Stał cały rozdygotany. Maria dotknęła bluszczu. W zakłopotaniu.

- I nigdy kuzyn tego nie zapomni - powiedziała.

- Przychodzi moment, gdy nie można wszystkiego pamiętać - odparł Eustachy, równie rozsądnie jak szczerze.

Wtedy dotknęła grzbietu jego dłoni, a kuzyn nie cofnął ręki. Oczywiście jego skóra natychmiast dała jej do zrozumienia, że odczuwa to jak dotknięcie przez psa, ale Maria była wdzięczna, że ją przyjęto choćby w tej postaci. W gruncie rzeczy nie marzyła o niczym więcej, na szczęście nigdy jeszcze nie przyszło jej do głowy, żeby uważać się za kobietę. Po chwili kuzyn Eustachy zakasłał i poruszył się bez celu i nieelegancko, jak każdy zwyczajny człowiek, gdy jest sam. Dość niezdarnie. Ale nie odtrącał Marii.

- O Boże! - westchnął i roześmiał się, lecz znowu nieelegancko, inaczej, niż było w jego zwyczaju. - Czy ty także czasem się załamujesz? Nagle? Bez ostrzeżenia?

- Tak, tak! - krzyknęła. - Bardzo często. Naprawdę.

Wydawało jej się niezwykle ważne, żeby o tym wiedział.

Ale kuzyn już ziewał. Jak gdyby nie dosłyszał jej odpowiedzi; albo może usłyszał, lecz nie uwierzył w istnienie czegokolwiek poza zamkniętym kręgiem własnej osoby.

Maria jednak rozumiała, że go sobie oswoiła i że w przyszłości będzie mogła ze spokojem, chociaż w milczeniu, przebywać w jego pobliżu i patrzeć na niego, a jemu nie będzie to przeszkadzało. Ale wkrótce po balu w Xanadu kuzyn Eustachy podjął przerwana podróż dookoła świata, zgodnie zresztą z programem, a w końcu schronił się na

wyspie Jersey, gdzie dom prowadziła mu gospodyni i gdzie gromadził porcelanę, aż doszedł po latach do kolekcji sławnej wśród znawców. Nawet gdyby jej mąż na to pozwolił, pani Hare nigdy by nie mogła zapomnieć, jak okropnie kuzyn Eustachy obraził osobę, która była gościem w jej domu. Wygodnie natomiast było jej zapomnieć, że spodziewała się od kuzyna czegoś niemożliwego, by nie powiedzieć: niedelikatnego. Dopiero w późniejszym okresie życia, przeżywając wspomnienia, natykała się niekiedy na prawdziwy powód, który ją skłonił do wydania balu w Xanadu. Prawda wynurzała się na powierzchnię świadomości niemal cała, niemal jaskrawa, lecz zawsze miała tak wstrętny smak, że Eleanor musiała ją szybko znów odpychać w głąb. Co do Marii, to ją zachowanie kuzyna Eustachego mniej oburzyło, ponieważ już wówczas mniej się spodziewała po ludzkim zwierzęciu i dzięki temu nie była zaskoczona, jeżeli zbaczało z drogi, na którą inni ludzie pragnęli je skierować. Brzydota i słabość ludzkiej natury, odsłonięte w takich momentach, wydawały się Marii znacznie bliższe prawdy. Toteż umiała zrozumieć kuzyna i litowała się nad nim, umiała nawet zrozumieć swego ojca i czuła dla niego litość, nawet gdy spoglądał na nią z nienawiścią za to właśnie, że pewne rzeczy widziała i rozumiała. Kiedyś zaobserwowała, jak bito psy za to, że podpatrzyły jakiś sekret duszy swego pana. Oczywiście, nie była psem i ojciec nigdy jej nie zbił, ale raz zdarzyło się, że zaczął strzelać do świecznika. Było to pewnego wieczora latem, po upalnym dniu. Oczekiwana burza wciąż jeszcze nie wybuchła, wisząc ołowianą chmurą nad górami od zachodu, a powietrze roilo się od skrzydlatych mrówek, objijających się o ludzi i o szkło, trzepoczących skrzydłami w ostatnich chwilach swego życia, nad którym, jak się zdawało, nie miały żadnej władzy.

Służba, z wyjątkiem starego stangreta, który krzątał się koło stajen, nie wróciła jeszcze z jakiejś zabawy, a rodzina Hare'ów kończyła właśnie kolację, której głównym daniem była kura na zimno. Kurę w najlepszych intencjach podlano sosem jajecznym, który w upale i zmroku nieodparcie przyciągał latające mrówki; czerwonawe ich ciała, ze skrzydłami lub już bez nich, wiły się, konając na barokowym, namaszczonym kadłubie ptaka.

- Wstrętne stworzenia - powiedziała z oburzeniem pani Hare, dla której wszystkie owady były plagą.

Maria nie wyraziła swego zdania, bo uwagi rodziców zwykle nie wymagały potwierdzenia, lecz dalej spokojnie jadła, a raczej przeżuwała, i to dość hałaśliwie, chrupką lodygę selera i drapała się przy tym, ponieważ skóra świerzbiła ją w okresie upałów. W tych nieznośnych warunkach ona jedna czuła się stosunkowo znośnie.

Dla innych osób było to nie do wytrzymania. Światło w jadalni nabrało ciemnobrunatnej barwy.

Norbert Hare chwycił ptaka za jedyną pozostałą jeszcze nogę i cisnął go przez otwarte okno w dekoracyjny klomb floksów. Prześladował go między innymi ten pech, że stale sam niszczył własne dzieła.

Jadł jeszcze w tym momencie. Usta miał pełne, policzki wypchane, oczy prawie białe z wściekłości.

- Norbercie! - wykrzyknęła żona. - Co pomyślą służące? Wiedziała dobrze, że będzie musiała sama, przyświecając sobie latarnią, przeszukać kępę floksów.

Wówczas Norbert chwycił bochenek chleba i cisnął go w ślad za pieczoną kurą. Chwycił nóż do krajania drobiu i karafkę z portwajnem i cisnął także za okno.

Ulżyło mu.

Zona się rozplakała.

- No! - rzekł sam do siebie. - Ale nie sposób wyładować się całkowicie.

Żona łkała dalej.

- To moja wina - powiedziała córka na wszelki wypadek, niepewna, czy rodzice tego właśnie sobie życzyli.

- Gdyby trzeba koniecznie znaleźć winowajcę, to mogłaby nim być równie dobrze ta pieczona kura! - wrzasnął ojciec. Zdawało się, że teraz już oszalał do reszty. Biegał, miotał się, podniecony jakimś zamiarem, który w nim dopiero dojrzewał.

Nagle, jak gdyby coś sobie przypomniał, podszedł do biurka i wyjął z szuflady pistolety.

W salonie Xanadu, oddzielonym od jadalni rozsuwanymi drzwiami, był świecznik wyjątkowo piękny, sprowadzony wielkim kosztem z jakiegoś zrujnowanego europejskiego pałacu i zwieszający teraz swoje kryształowe owoce nad ziemią antypodów. Widniał pod sufitem wspaniały, niekiedy roziskrzony, niekiedy senny i opalizujący łagodnie, zawsze kuszący do ucieczki z nieskończonej płaszczyzny monottonnych myśli. Maria kochała go, ale była przekonana, że nikt prócz niej nie wie o tej miłości.

Teraz ojciec załadował pistolety i wypalił w świecznik.

Wydawał się bardzo mały i śmieszny, gdy stał pod przezroczystymi gałęziami.

- Przeżuwacz! Przeżuwacz! - wrzasnął. I strzelił raz jeszcze.

- Wybaw nas, Boże! - krzyknął. Strzelił znowu.

Co chwila sypał się dręczący kryształowy kurz. Nie można było na razie ustalić rzeczywistych rozmiarów szkody. Chociaż pani Hare spazmatycznie próbowała tego dokonać.

- Masz! - wrzasnął Norbert. I znowu: - Masz!

- Chodź, Mario. Nie mogę dłużej znieść twego ojca - oznajmiła matka i pociągnęła córkę do małego pokoiku,

używanego tylko przy okazji wizyty lekarza lub jakiegoś petenta domagającego się pieniędzy.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, krzyknęła:

- Co ja zawiniłam, żeby zasłużyć na tyle cierpień! Córka milczała, wiedząc, że to ona jest główną przyczyną cierpień matki. Zresztą znacznie bardziej interesowało ją nasłuchiwanie, co też dalej zrobi ojciec.

Strzały odzywały się teraz coraz rzadziej, lecz posadzka trzeszczała, pokoje drżały, cały dom zdawał się brać udział w gniewie Norberta.

Prawdopodobnie ojciec biegał to tu, to tam. Aż wreszcie w pewnej chwili zapanowała cisza, jej bierna budowla wzniosła się piętrami obojętności i pokładami duszącego pierza.

- Jak myślisz, co tam się mogło stać? - zadała pani Hare pytanie, którego zapewne od niej oczekiwano.

- Może to go mniej bawi, kiedy nikt się nie przygląda - odpowiedziała córka, bez urazy zresztą.

- To prawda - przyznała matka, zaskoczona, że słyszy prawdę z ust dziecka.

Maria była przecież głupia, a prawda jest czymś, czego na ogół się unika, żeby nie uchybić dobremu smakowi i żeby nie zmaćcić spokoju swego umysłu.

- Pójdę i zobaczę - powiedziała wreszcie Maria.

- Ależ ty jesteś odważna! - zawołała matka ze szczerym podziwem.

- Nie, nie jestem wcale odważna - odparła córka.

Nie umiała jednak wytłumaczyć, że nie istnieje dla niej możliwość śmierci, bo płonie cała życiem, a gdyby umarła, życie samo zostałoby zgaszone.

Dom wydał jej się ogromny i pusty. W atmosferze nareszcie coś się zmieniło i zimny wiatr ciągnął przez pokoje, strącając z parapetów okien martwe mrówki. Zasłony umocowane na kółkach wydymały się jak żagle.

Ojciec zszedł z piętra bardzo spokojnie, jakby dotychczas czytał w swej pracowni i opuścił ją w poszukiwaniu szklanki wody. Tak niewinna sytuacja mogłaby się przedłużyć, gdyby nie złowrogi wygląd domu i gdyby nie wyraz oczu Norberta, który właśnie już dotarł do stóp schodów.

Patrzył na Marię, usiłując wciągnąć ją w tragedię, którą przygotowywał. Patrzył uparcie. Byłoby to może przerażające, gdyby nie przeciągało się zbyt długo.

Może zrozumiał, że pomylił się w rachubach, bo nagle podniósł pistolet - Maria dopiero w tym momencie spostrzegła, że ojciec trzyma wciąż jeszcze broń w ręku - i strzelił mierząc we własną głowę. Chybił. Płat tynku ze sztukaterii zdobiącej sufit spadł ciężko na posadzkę.

Ten łoskot ostatecznie pokonał Norberta, który w tym momencie zwałił się na wielki, sztywny łożinowy fotel, stojący tuż obok. Zrobił to dość niezdarnie i śmiesznie, bo nie obmyślił sobie z góry tych gestów albo może przestał się interesować dalszym rozwojem wypadków.

Przez chwilę wydawało się, że córka nie pozwoli mu jednak na zerwanie rozpoczętego wątku. Nie zdołała się przemóc, żeby nadal nie patrzeć na niego, prosto w jego twarz, gdy tak siedział w niewygodnym fotelu, a chociaż przebaczył jej tę winę, że istniała, wątpliwe, czy mógł kiedykolwiek przebaczyć jej, że widziała go w tym momencie.

Maria nie spodziewała się oczywiście przebaczenia. Podeszła, podniosła pistolet leżący na podłodze, odłożyła go na pierwotne jego miejsce, może w naiwności ducha, a może dlatego że odziedziczyła instynktowną złośliwość; Norbert był zbyt znużony, żeby zadać sobie to pytanie.

Siedział wciąż, wpatrzony we własną kamizelkę.

- Wszyscy ludzie są dekadentami - powiedział. - Degeneracja zaczyna się w chwili narodzin. Zdrowe i czyste pozostają tylko dusze nie narodzonych.

Kiedy się odwróciła od niego i stojąc przy biurczku wymacywała palcem jakąś nierówność w jego blacie, zapragnął jej dokuczyć.

- Powiedz, Mario, czy ty się uważasz za jedną z tych nie narodzonych dusz? - spytał.

- Nie rozumiem takich rzeczy - odpowiedziała. - Jeszcze nie.

I spojrzała na ojca.

- Kłamczuchu!

Nigdy nie będzie mógł przebaczyć jej tego spojrzenia i tego, że nie dała się zranić dość głęboko.

- Och, tak, możesz mi wykręcić rękę. Jeżeli zechcesz - wybelkotała zeszywniałymi wargami, bo oskarżenie sprawiło jej rzeczywisty fizyczny ból. - Prawdę rozumiem. Nie w słowach. Nie mam daru słów. Ale wiem.

Pojęcia oderwane budziły w niej dreszcz lęku. Co innego, gdyby mogła czegoś dotknąć - na przykład mchu - albo poczuć woń palącego się drewna.

Ojciec wciąż tkwił w fotelu, lecz jakby już złagodniał.

Oszczędziła mu więc dalszych upokorzeń, wychodząc przed dom, gdzie gwiazdy sennie spływały ku jej wyciągniętym rękoma. Szła płacząc, razem ze łzami łykając strumienie światła, lepкими grzbietami szorstkich dłoni rozmazując na policzkach brud.

Upłynęło wiele lat od śmierci Norberta, od dnia gdy złożono go pod trawą w Sarsaparilli, kamień spękał od słońca i ognia, a jaszczurki kręciły się w kamiennych szczelinach, i wówczas już Maria Hare posiadała trochę tej mądrości, której się wypierała wobec ojca w dniu jego chybionego samobójstwa. Czasem, kuszykając, zapuszczała się w busz ubrana po swojemu w szkaradny, wystrzępiony brązowy

sweter i starą, sztywną spódnicę, siadała wreszcie, wciąż nasłuchując, oczekując ufnie, póki nie została obdarzona. Pokraczne jej członki kamieniały wówczas, ale myśl wypuszczała delikatne młode pędy lub długie, kręte, cierpliwe wąsy winorośli i spoglądając na ziemię, często u swoich stóp odkrywała szczątki jakiejś męczeńskiej ofiary. Jeśli wtedy łzy wzbierały w jej jaszczurzych oczach i spływały po pancerzu skóry, Maria nie była już śmieszna. Oczywiście, była wariatką, zasługiwała na pogardę wedle sądu ludzkiego rozumu, ale cóż te sądy są warte? Rozum ostatecznie przystawia pistolet do własnej głowy - i nie zawsze chybia. Często wieczorem z tarasu przed swoim opustoszałym domem, wypatrując Ognistego Wozu, zadawała sobie pytanie, jak ojciec przyjąłby jej metamorfozę; zapewne z tym większym wstrętem, chociaż podejrzewała, że dzielił jej wizję, bo przecież raz, stojąc obok niego na tym samym tarasie, na własne oczy widziała, jak szarpał zasłonę. Teraz górowała nad nim doświadczeniem, a czas, milczenie i czerpane z przyrody nauki dały jej przewagę.

Czekała więc, oddech falował w jej piersiach, krew pulsowała w rozdygotanych żyłach. Czekała w ten ostatni wieczór przed spodziewanym przyjazdem nieznajomej, która nazywała się pani Jolley. I wkrótce naprawdę koła zaczęły orać spokojne pola białego nieba. Maria czuła oddech koni na swoich zbruzdzonych policzkach. Unosiła się w powietrzu z wyciągniętymi w górę krótkimi ramionami, wiatr dmuchał między jej rozstawione szeroko palce, a złoto trąb odbijało się echem w złocie ojcowskiego sygnetu. W wigilię przyjazdu nieznajomej osoby zamknął się wokół Marii krąg grozy, nie wiedziała jednak w tym momencie, czy zdarza jej się to po raz pierwszy. Nie pamiętała. Uświadamiała sobie tylko przeżywaną w tej chwili udrekę. Czuła, że traci przytomność, że brudne fale unoszą strzępy rozkładającego się ciała.

Później, gdy podniosła się z ziemi, nie próbowała zgadywać, co ją powaliło, jaki cios ugodził w jej odrętwiały umysł i zbolełe ciało, noc już bowiem zapadła zimna i ciemna. Przez chwilę tarła aż do bólu zaciśnięte pięści jedną o drugą, żeby powstrzymać drżenie, a potem ruszyła po omacku w głąb domu, czepiając się brokatu, podstępnych złocień, śliskich szylkretów, najzimniejszych nieczułych marmurów.

III

Nazajutrz, w dzień wyznaczony na przyjazd pani Jolley, Maria nie ośmieliła się wyrzeć z domu do późnego ranka, w obawie przed nawrotem wczorajszych przeżyć. Nie czuła się dość silna, żeby je znieść powtórnie. Mimo to wstała jak zwykle po ciemku, objając się i tłukąc podczas wciągania swetra. Tego ranka rozpałała w kuchennym piecu ogień z gałązek, które uzbierała, i małych polan, których mozolnie przedtem narąbała. Zamiotła też z grubsza pokój przeznaczony dla gospodyni. Nie rozsunała jednak zasłon w oknach, dopóki nie stwierdziła, że słońce już pełnym blaskiem pada na podłogę. Wtedy na nic więcej już nie czekając, wyszła z domu i natychmiast pochłoneły ją liczne drobne obrządki, jednocześnie banalne i nabożne.

Ranek lśnił jeszcze świecznikami rozkołysanych świateł i kroplami rosy. Wielkie blaszki wysokiej trawy nie obeschły dotąd z wilgoci. Maria lubiła je ocierać, wyręczając słońce, które miało to zrobić potem znacznie lepiej niż ona. Wkrótce jednak dała za wygraną. Doszła do wieku, gdy za dużo już ją to męczyło. Rozsypała okruchy i ptaki zleciały się, podskakując i podfruwając u jej stóp, zaczepiając pazurkami o jej ramiona, a jeden nawet przysiadł na rondzie jej kapelusza. Dużymi zardzewiałymi nożycami cięła ze znajomością rzeczy

kromki chleba na kawałki odpowiedniej dla ptaków wielkości. Gdy się pochylała, spódnica sterczała z tyłu sztywno i Maria wyglądała wspaniale, uroczyście, jak pewna odmiana wielkich sinych gołębi, których parę sfrunęło właśnie z gumowego drzewa. Wszystkie gardziele poruszały się i przetykały żarłocznie, grdyka Marii energiczniej niż inne. Na znak zespolenia. W ptasim rytuale.

W ustalonym porządku spełniała następne czynności. Naczerpała wody i rozstawiła miski. Kilka dni przedtem spomiędzy kamieni w murach domu wypełznął wąż, bardzo czarny i lśniący, z płowymi smugami wzdłuż boków. Był piękny, oczy Marii rozbłysły na jego widok. Ale chociaż znieruchomiła natychmiast, wąż nie docenił kapłańskiej godności uosobionej w nieznałomej kobiecie i wrócił przez kamienną szczelinę pomiędzy fundamenty domu. Odtąd każdego ranka stawiała dla niego miseczkę z mlekiem, lecz wąż nie dał się dotychczas oblaskawić. Gotowa była czekać cierpliwie, pewna, że w końcu nawiąże się między nimi doskonałe porozumienie.

Czas płynął. Zerwał się chłoszczący wiatr i z góry uderzył w jej czoło. Maria jęknęła, przerażona nie tą doraźną fizyczną przykrością, ale bardziej odległym, psychicznym bólem, który ją czekał tego popołudnia. Będzie musiała rozmówić się z tą kobietą.

Wróciła pod dach.

Przynajmniej ma swój dom. Może przedstawić swój dom. Jego wspaniałość przemówi za nią głosem marmuru i złota, nie wspominając już o bardziej dyskretnym szepcie jedwabnej mory. Wędrowała to tu, to tam, wpuszczając do wnętrza coraz więcej światła, a sztylety blasku, dymiąc, przebijały dywany i w cieniu niektórych pokoi wyrastały, nigdy przedtem nie widywane tu, złote filary.

W małym, rzadko używanym pokoiku - tam właśnie schroniły się z matką wieczorem w dniu chybionego

samobójczego zamachu ojca - znalazła wachlarz dość piękny i wytworny, z szylkretu i piór flaminga, dar, który matka pewnej zimy w Assuanie dostała od ormiańskiego kupca.

Panna Hare wzięła wachlarz do ręki, lecz nie odważyła się go otworzyć, bo widziała w lustrze swoją twarz. Znów przebiegł ją dreszcz strachu. Już czas. Powiedziało jej o tym światło, nie żołądek, bo rzadko czuła głód w ciągu całego dnia, żywiąc się niemal wyłącznie wrażeniami; zegary też w Xanadu nie ogłaszały godzin, bo od dawna stały, i Maria nigdy nie trudziła się ich nakręcaniem. Światło dostarczało wszelkich potrzebnych informacji. A w tej chwili okna wysokie i zimne ziały blada-wym światłem późnego popołudnia.

Panna Hare zaczęła biegać i krzątać się nieporadnie. Usiłowała doprowadzić do ładu swoje ubranie, naśladować ruchy, które inni ludzie wykonywali przy tej okazji. Tylko że tam, gdzie kto inny pogładziłby z lekka, ona waliła z wszystkich sił. Z włosami zupełnie nie umiała sobie poradzić, ale nie zamierzała przecież rozstawać się ze swoim nieodłącznym kapeluszem.

Pani Jolley wysiadła z autobusu na rogu przed pocztą w Sarsaparilli. Nie mógł to być nikt inny, z pewnością była to pani Jolley, w czarnym palcie zszytym z niezliczonych brytów - złożonym, jak się zdawało, wyłącznie ze szwów - pod którym, zgodnie z przewidywaniem Marii, krył się granatowy kostium. Kapelusz odznaczał się jaśniejszym, wręcz śmiałym niebieskim kolorem, na przekór żałobie, o której pani Jolley wspominała w liście do przyszłej praco-dawczyni. Od ronda spływała równie śmiała, a może nawet wyzywająca, krótka liliowa woaleczka. Mimo wszystko postać ta idealnie ucieleśniała obraz dystygowanej osoby, czekającej na przystanku autobusowym na identyfikację, ale dyskretnie, ale dzielnie, z brązową walizką w ręku.

„O Boże, nie ma rady, muszę to zrobić” - stwierdziła z westchnieniem panna Hare.

Pani Jolley tymczasem uśmiechała się, patrząc na jakąś niewidzialną osobę w głębi dość kamienistej ulicy. W kąciku ust miała dołek, uśmiech odsłaniał rząd nieskazitelnych zębów.

- Przepraszam - powiedziała wreszcie panna Hare - czy to pani?

Przepraszam... - odchrząknęła. - Czy to pani zapowiedziała swój przyjazd do Xanadu?

Pani Jolley omal się nie zachłysnęła, ale błyskawicznie opanowała ten odruch.

- Tak - powiedziała bardzo wolno, przez zaciśnięte zęby. - Tak się to miejsce nazywa, jeśli mnie pamięć nie myli. Do niejakiej panny Hare.

Maria czuła się straszliwie śmieszna w oczach pani Jolley i marzyła, żeby odroczyć moment przedstawienia się tej osobie.

Ale białe zęby pani Jolley - bielszych doprawdy świat nie widział - zdawały się coraz bardziej niecierpliwe. Wyraz twarzy, który zapewne niejedną nazwałby macierzyńskim, stał się pod naciskiem podejrzeń nieco nieufny. - Ja jestem panna Hare - powiedziała Maria.

- Ach, tak? - z niedowierzaniem odparła pani Jolley. I wezwała na pomoc swoje zęby.

Ale brutalny popołudniowy wiatr nie dopuścił do dłuższych ceregieli.

Wepchnął liliową woalkę w oczy pani Jolley, ośmielił się nawet szarpnąć połą czarnego palta.

- Tak - potwierdziła panna Hare. - To ja. Pani Jolley z trudem uwierzyła własnym uszom.

- Mam nadzieję, że będzie się pani w Xanadu czuła dobrze - ciągnęła dziwaczna osobistość. - To wielki dom. Ale mieszkać możemy jedynie w jego małej części, a tylko dla urozmaicenia spacerować po innych pokojach.

Pani Jolley ruszyła za swą przewodniczką po kamieniach w pantoflach specjalnie kupionych na podróż. Były czarne. Rozsądnie zapięte na pasek. Mimo to obawiała się, że kostki jej nie wytrzymają tego marszu i że ostry szuter przegryzie na wylot podeszwy.

- Pani nie ma samochodu? - spytała.

- Nie - odparła panna Hare. - Samochodów nie ma. Mijały barak Godboldów i gałęzie jeżyn czepiały się płaszczu pani Jolley.

- Nigdy nie mieliśmy samochodów - ciągnęła panna Hare. - Nawet za życia ojca. Oczywiście wtedy samochody były nowością. Trzymaliśmy konie. Ojciec lubił konie, wspaniale wyglądał, kiedy powoził czwórką swoich siwków.

Pani Jolley nie dała się przekonać. Wspominając tramwaje, była bliska łez.

- W naszej rodzinie - oznajmiła - wszyscy mają samochody.

- Och, nie - odparła panna Hare. - U nas nie ma samochodów.

Od czasu do czasu odgłosy dwóch oddechów mieszały się z sobą ku utrapieniu obu kobiet; każda z nich chciała się wyprzeć jakiegokolwiek związku z drugą.

- Dla matki to wielka satysfakcja - powiedziała pani Jolley, maszerując dzielnie mimo obolałych kostek - że jej dziewczęta - a mam trzy córki - mają być dostatni i zapewniony.

- Oczywiście - odparła panna Hare. Ale nie uwierzyła. Ani trochę.

Szły drogą, którą Rada Miejska od niedawna zaczęła nazywać aleją i która prowadziła w stronę Xanadu. Gdy dotarły do jej końca, pracodawczyni wskazała swojej podwładnej dziurę w płocie i zapuściły się w mniej uciążliwy, dłuższy z dwóch skrótów.

Uświadamiając sobie coraz jaśniej swoją odpowiedzialność, panna Hare przyspieszała kroku. Pani Jolley podążała za nią, słysząc co chwila szelest drącego się materiału. Cisza w zaroślach była przerażająca.

W tych okolicznościach młoda zieleń dębów i olch skupionych w takiej sile, że zwyciężały gąszcz krzewów, wdarła się zbyt jaskrawą nutą, a jej ozdobniki z kwiatów dzikich jabłoni i śliw, tu i ówdzie przekreślone czarną siatką gałęzi, stanowiły zbyt natrętny efekt.

- Dobrze zrobiłam, że włożyłam fildekosowe pończochy

- zauważyła pani Jolley.

Liliowa woalka straciła wiele ze swej wesołości.

- Kulki ostu trochę kłują, ale łatwo dają się oderwać.

- Panna Hare rzuciła te słowa pociechy przez ramię.

Była zdenerwowana, jak gdyby na dnie jej umysłu tkwiła jakaś okropna myśl, której nie mogła sobie przypomnieć. Szły dalej.

- Już blisko - zachęcała panna Hare. Szły dalej.

- Jesteśmy! - oznajmił głos właścicielki Xanadu. Pani Jolley nie odpowiedziała i prawie nie spojrzała. Wspięły się po stopniach. Pod nogami obcej kobiety

mozaikowa posadzka werandy dźwięczała tak głucho jak nigdy. Ale bardziej jeszcze głuchy zdawał się dom.

Panna Hare otworzyła drzwi frontowe. Weszły. Stały. Trwało to wieki.

- No tak - odezwała się wreszcie pani Jolley. - Od razu widać, że dawno tu nie było gospodyni.

Głosy Xanadu nie zaprotestowały. Przyznały jej rację z zimną obojętnością kamieni.

- Cokolwiek się o nim myśli, dom przez to nie staje się gorszy - powiedziała panna Hare.

- Ani też lepszy - dodał niski głos pani Jolley.

Żadna z nich nie umiałaby dokładnie wytłumaczyć sensu wypowiedzianych słów. Każda widziała to, co widziała, a mówiąc ściślej, panna Hare zaczęła przypominać sobie to, o czym zapomniała. Żyły jej nabrzmiały na skroniach. Jak gdyby ktoś obcy, ktoś o chytrze spuszczonej powiekach, tknął palcem właściwe drzwi i odsłonił wnętrze.

- To był salon - powiedziała, zmuszona do użycia czasu przeszłego. - Dalej, za rozsuwanymi drzwiami, jadalnia.

Przymus był brutalny.

Trwał czas terazniejszy, późna godzina popołudnia, gdy światło bywa bezlitosne. Biały blask oświetlał meble, wśród których zabandażowana przeszłość czekała na diagnozę.

- W życiu nie widziałam nic podobnego - wyznała pani Jolley, cofając się jak mogła najgłębiej pod osłonę własnego ubrania.

Czego nie zżarł czas, to dobijało teraz światło. Zdawało się, że serwantki i małe figlarne stoliczki rozsypią się pod jednym ciosem. Porażone były nawet ciężkie inkrustowane meble i ośmionogi, wykładany metalowymi płytkami stół.

Podejmując wątek pierwotnych zamierzeń, dwie kobiety błąkały się to tu, to tam, stale jednak w odwrocie. W pewnej chwili zaczęła łomotać jakaś obluźwana okiennica. Stopy intruzów więzły w miękkich szczątkach ptasich gniazd, rozrzuconych na dywanie z Aubusson, który zamienił się w kobierzec utkany z gałązek, kurzu, pleśni i owadziach poczwarek. Do jadalni, od strony, gdzie jakiejś pamiętnej burzy wichura zerwała dachówki nad okiennym wykuszem, wtargnął wiatr. Czarne gałęzie cięły jak piła. Młode liście przekłuwały niby sztylety dyskretne kolory ozdób wykonanych rękami człowieka. Małe strzępy błękitu nieba migotały i trzepotały się obłądnie. Tu i ówdzie deszcz zaciekł szerokim strumieniem, gdzie indziej spływał cienkimi strużkami po ścianach na marmury, które nabierały koloru spróchniałych zębów.

- Także w tych miejscach, gdzie psy naszczały - stwierdziła z westchnieniem panna Hare.

- Co proszę? - spytała zdumiona pani Jolley.

Pani domu nie odpowiedziała: myśli jej do niej należały, czy chciała dać im głośno wyraz, czy nie; wobec tego gospodyni odłożyła zdanie, tak jak je dosłyszała, na półkę w spiżarni swej pamięci, by tam dojrzało i przechowało się na ewentualny późniejszy użytek.

Wreszcie panna Hare odchrząknęła, ale chrząknięcie także zabrzmiało słabo: była rzeczywiście do szczytu wyczerpana.

- Teraz chyba już zaprowadzę panią do jej pokoju

- oznajmiła.

Schody pięły się wzwyż łagodnymi zwojami wewnątrz studni światła, a piękno ich wywoływało bolesny skurcz w gardle właścicielki.

- Siadywałam tu często - powiedziała - przysłuchując się muzyce, patrząc na tancerzy. Och, widok z góry był wspaniały!

Schody pięły się wyżej, mijały zamknięte drzwi i wyloty korytarzy, otwartych na dalekie perspektywy, pełne mysich pisków.

- Oczywiście wielu tych pokoi nie otwierano od lat

- powiedziała, machając ręką i wracając do rzeczowego tonu.

- Nie były potrzebne. Zwłaszcza po śmierci mojej matki. Umarła na początku wojny. Drugiej... tak, to była druga wojna. Podczas pierwszej straciłam ojca. Matkę zastałam martwą w jej fotelu. Ale nie pora na rodzinne historie. W dodatku na schodach.

- Sama jestem matką - rzekła pani Jolley - i zawsze chętnie słucham o innych osobach w podobnej sytuacji.

Jej obrączka dzwoniła trącąc kute żelazo. Mimo zadyszki pani Jolley była zdecydowana działać energicznie. Gorset nie był dostateczną podporą w tej wspinaczce po schodach.

Przyrzekła sobie zachować postawę godną matki i osoby dystyngowanej; oby tylko te dwa powołania nie okazały się sprzeczne.

- Ten pokój - powiedziała panna Hare - przygotowałam dla pani. Pościeliłam łóżko. Co prawda, każdy ma pod tym względem własne upodobania. To tutaj.

Czy drzwi się otworzą?

Pani Jolley wolałaby, żeby się nie otwarły; marzyła, żeby tak zostać z panną Hare na podeście schodów, przyglądając się sobie wzajemnie, mimo że i to rozwiązanie było oczywiście niezadowolające.

Ale drzwi otworzyły się lekko, można by rzec nawet: skwapliwie.

- No, zobaczymy - powiedziała pani Jolley. Uśmiechnęła się.

Jej niebieskie oczy widziały tylko na pewną ograniczoną odległość i ani trochę dalej, może dzięki temu właśnie zdołała już ochłonać, chociaż jeszcze udawała, że jest wstrząśnięta. Panna Hare usiłowała uwierzyć, że twarz nowej gospodyni świadczy o dobroci serca, lecz podejrzewała, że dołek w policzku nie oczarował nikogo prócz jednego mężczyzny.

Pani Jolley nie wiedziała, od czego zacząć, toteż stała ugniatając swe nagie ramiona, jak gdyby nie osiągnęły jeszcze dostatecznego kształtu i wymagały takiego modelowania. Ich mleczna biel pokryła się w wiosennym chłodzie sinymi plamami, wyraźnymi na tle jedwabnego dzempera - który własnoręcznie zrobiła na drutach - koloru ostrzygi i teraz za obszernego.

Pani Jolley była osobą dystyngowaną i nie żałowała nigdy trudu, by to podkreślać. Jeśli instynktownie wyczuwała, że ktoś ma na ten temat wątpliwości, powtarzała niezmordowa

nie artykuły swej wiary. Nie tknęłyby cebuli - zapewniała - nawet za skarby świata. Była natomiast amatorką puszystego ciasta biszkoptowego i maślanych bułeczek posypanych cukrem. Dystygowanej kobiecie zawsze wypada nosić kolory pastelowe. Używać perfum „Islandzkie maki”. Przy tym lubiła jednak pogawędkę z inną dystygowaną osobą na przystanku autobusowym lub zza płotu ogródka. Lubiła przejażdżki rodzinnym samochodem bez szczególnego celu, po to po prostu, żeby spod eleganckiego kapelusza spoglądać z góry w twarze przechodniów. Wówczas mechanizm, w który ją zaopatrzyła wyższa pozycja towarzyska, wprawiał jej głowę w leciutki ruch wyrażający niewiarę.

Ale wolała wierzyć i dlatego chodziła często do kina. Patrząc na film i ssać cukierki - byle nie twarde karmelki - odrzuciwszy papierek wraz ze wspomnieniami i planami przyszłości pod fotel - to była najwyższa rozkosz. Swoją drogą szkoda, że nie wypada ssać w kinie twardych karmelków; przepadała za zapachem gorącego, lepkiego karmelu. Najdziwniejsze sytuacje były dopuszczalne i możliwe, gdy tak siedziała w kinie. Szczupły młody mężczyzna w twee-dowej kurtce i skórzanych spodniach mógł lada chwila wychylić się z ekranu i wyciągnąć ręce... Na tę myśl cukierek stawał w gardle pani Jolley. Ava i Lana, mimo różnicy w wymiarach i okolicznościach, mogły być jej córkami. Najbardziej lubiła filmy o matkach. Umiała na pamięć krzywdy, których należało się spodziewać, nie mówiąc już o nagrodzie, toteż gdy w końcu głos organów wzbijał się triumfalnym akordem, było to jedynie ukoronowaniem jej apoteozy. Czując różane i fiołkowe tchnienie *vox humana* i uderzenia młoteczków w głębi własnego łona, doznawała takiej pełni zadowolenia, że zapominała nawet o mężu, który umarł w saloniku o godzinie dziesiątej wieczorem, w chwili gdy mu podawała drugą filiżankę herbaty. Była to ciężka krzywda,

lecz pani Jolley przeżyła ją i, jak się zdawało, dość zniosła prób na jawie i we śnie, by się uodpornić na wszelkie późniejsze ciosy. Panna Hare bała się, że będzie się bała swojej gospodyni.

- Mam nadzieję, że się pani oswoi z tutejszymi warunkami - powiedziała.

- Brak mi będzie tramwajów - odparła pani Jolley.

W jej głosie dźwięczał szczepek tramwajów, w oczach migotały melancholijnie ich fioletowe skry.

- Och, Boże - westchnęła panna Hare. - Przyznam się, że nigdy nie czułam sentymentu do tramwaju.

- Brak .mi też będzie sobotnich wieczorów - ciągnęła pani Jolley - kiedy zwykle wpadałam na chwilkę do Merle albo Dot, albo Elmy. Elma jest najmłodsza, wyszła za palacza, zresztą bardzo eleganckiego człowieka, bo żadnej z moich córek nigdy by nawet w głowie nie powstało wyjść za kogoś, kto by nie był prawdziwym dżentelmenem.

- Dziwi mnie, że się pani zdobyła na rozstanie z córkami - powiedziała panna Hare, trochę za cicho.

- Ha, takie jest życie - odparła pani Jolley, sięgając po ścierkę - jak to mówią.

Wyjęła ścierkę w kuble, wyciągnęła ją i spojrzała na chlebobawczynię.

- A raczej taka jest śmierć - powiedziała. Pannę Hare zdjęła zgroza.

- Jakby to była moja wina - dodała pani Jolley. - W swoim własnym fotelu.

- W fotelu to nawet jakoś bardziej naturalnie - ośmieliła się zauważyć panna Hare. Wspominając matkę, która umarła w podobnych okolicznościach, pocieszała tymi słowami samą siebie.

- Nie mogę sobie po prostu wyobrazić pani razem z matką - rzekła pani Jolley i roześmiała się nagle. - Tutaj, wśród tych wszystkich mebli. Jak dwie myszy.

- Och, była z nami Peg, a także William Hadkin.
- Peg? Jaka Peg?
- Nazwiska nie pamiętam. Może go nigdy nie znałam. Zawsze mi się wydawała stara. I zawsze tutaj była. Inne służące odeszły, kiedy wpadłyśmy w kłopoty, ale Peg została i żyła z nami jako przyjaciółka. Tutaj też umarła. Ale później niż moja matka. Dopiero wtedy byłam zupełnie sama.
- A ten pan, o którym pani wspomniała?
- William. Stangret. Nie dosłyszał. - Panna Hare zrobiła pauzę. - Mówiło się o nim, że mu brak którejś klepki. Ale to zwykle znaczy, że ktoś rozumie inne rzeczy niż większość ludzi. William naprawdę rozumiał dużo. I wcale nie był taki głuchy, jak twierdził. Nie lubiłam go.
- I ten Hadkin też umarł?
- Nie. Po prostu odszedł.
- A to dopiero! - powiedziała pani Jolley. - Wcale mu się nie dziwię. Czym wyście tu się wszyscy żywili?
- Różnymi rzeczami - odparła, ziewając, panna Hare.
- Na przykład chlebem. Chleb jest wspaniały. Lubię odrywać z bochenka piętę i zjadać tak, bez niczego więcej. Na spacerze. I kruszyć go dla ptaków. To bardzo wygodne. Ale miałyśmy oczywiście miesięczną pensję od kuzyna Eustachego, jak pani pisałam. Niewiele to było, a w dodatku podczas wojny się urwało. Och, zapomniałam. Była jeszcze koza. Miałam kozę, która nam dawała mleko. Bardzo mi jej brak.
- Co się z nią stało?
- Niech pani o to nie pyta! - krzyknęła panna Hare.
- Nie wiem.
- Dobrze, dobrze, nie pytam - odparła pani Jolley; teraz ona się przestraszyła.

Co za dom.

Ale panna Hare była raczej smutna niż przestraszona. Nie umiała odpowiadać na pytania. Pytania były jak śruby

wkręcane w głąb mózgu. Patrzała na kubel pełen szarej wody, którą ścierka gospodyni rozprowadzała bez większego skutku kałużami po podłodze. Trzej zięciowie tej kobiety zbudowali domy z cegły, pudła, w których zamyka się życie. Jakie to naiwne. Przecież ceglane domy zięciów rozsypią się kiedyś jak dziecinne klocki. Tylko wspomnienia są niezniszczalne.

Panna Hare wzruszyła ramionami - poza tym znudziła ją pani Jolley - i odeszła korytarzem w głąb swego domu.

Ale wspomnienia także dręczyły. Trzepotały jak łachmany kotar, bezcennych, przetykanych złotymi nićmi zasłon, z których wylatywały mole, zawsze szare albo koloru nocy, i sypał się duszący pył.

- Teraz mamy lato, więc trzeba zabezpieczyć bardzo starannie futra, Mario - mówiła pani Hare - najlepiej zawinąć w arkusze „Heralda”. A potem włożysz je do mocnych płóciennych worków i ciasno zwiążesz u góry. Inaczej nie byłabym o nie spokojna.

Pani Hare do końca znajdowała szczęście w przestrzeganiu rytuału minionych czasów.

Więc Peg przybiegała na swoich chudych jak patyki nogach i bezzębnymi dziąsłami, które jej pani tolerowała z uwagi... no, z uwagi na wszystkie okoliczności, odpowiadała:

- Tak, proszę pani. Nikt nie lubi kłopotów z molami. Ale niech się pani spuści na mnie. Już ja się tym zajmę.

Pokazywała swej pani worki porządnie ściągnięte u góry. Córka wiedziała, że to jest komedia i że w workach nie ma żadnych futer, lecz tylko zmięte papiery. Matka jednak tym się zadowalała.

Pani Hare, łagodna za młodu, dystyngowana w wieku dojrzałym, na starość upodobniła się do konia utoczonego

z polerowanej kości słoniowej. Siedziała niekiedy przez pół godziny bez ruchu, a potem nagle wstrząsała głową, jakby odganiając muchę. Podobieństwo do konia nadawała jej długa, wąska twarz i długie, żółtawe zęby, w których lubiła chrupać cynamonowe sucharki, wypiekane dla niej przez Peg. Po podwieczorku zapadała znów w stan poprzedni, a podczas gdy sucharki i herbata bulgotały w jej starczym delikatnym żołądku, światło mierzchnącego dnia modelowało dalej z niesamowitą, iście chińską subtelnością, wizerunek końskiej głowy.

Czasem pani Hare przechadzała się po szczytkach ogrodu wsparta na ramieniu swej przysadzistej córki, ale nie zwracała wiele uwagi na otoczenie. Wolała wspominać sukcesy towarzyskie odnoszone niegdyś na Wyspach Bor-romejskich.

Kiedyś spytała:

- Mario, a gdzie jest grota? Grota, którą twój ojciec kazał zbudować z muszel. Czy może z bloków górskiego kryształu?

Córka tylko chrząknęła, bo właściwie niczego więcej matka od niej nie oczekiwała.

Pewnego dnia pani Hare zaczęła się uzalać:

- Marzyłam w swoim czasie, że moja córka zostanie małżonką ambasadora. Że będzie miała smukłe, piękne nogi, w ręku wachlarz i że będzie kierowała konwersacją całego towarzystwa. W końcu okazało się, że nikt niczym nie kieruje. Nawet własnymi krokami.

- Ale wtedy - podjęła po chwili weselszym tonem - nie mogłabyś mnie oprowadzać po ogrodzie, a ja zdana na własne siły pewnie bym upadła i może coś bym sobie złamała.

Córka znów chrząknęła, bo jakże miała inaczej na to odpowiedzieć?

Nagle matka zaczęła chłostać trawę.

- Wstrętne, wstrętne zielsko! - krzyczała, uderzając laską zbite kępy, aż drżały kitki paspalum.

- Nie rób tego - błagała córka. - Proszę cię, przestań. Bezsilny bądź co bądź gniew szybko wygasał.

- Nie myśl, Mario, że nie jestem do ciebie przywiązana - mówiła matka. - Mogę z całą szczerością powiedzieć, że teraz już naprawdę wszystkich kocham. Nawet twojego ojca.

Przychodziło jej to o tyle łatwiej, że żadna z jej namiętności nigdy nie była gorąca.

- W końcu nawet zawody zdają się nabierać jakiegoś sensu - powiedziała, gdy słońce już zachodziło. I pewnie by uścisnęła ramię córki, gdyby jej starczyło na to sił.

Wróciły do domu, córka, która zawiodła matkę, i matka, która ostatecznie znalazła w swoich zawodach oparcie.

Kilka miesięcy później, patrząc na martwą postać w tak naturalnej pozie siedzącą w fotelu, córka płakała z żalu, że nie może po matce płakać w sposób, który by ją zadowolił. Mogłaby płakać namiętnie, ale tego by pani Hare ani nie pochwaliła, ani nie zrozumiała. Toteż Maria zamiast opłakiwać jej śmierć opłakiwała życie, takie wyobrażenie życia, jakie sobie wyrobiła, znając gwałtowność burz na niebie i miękkość młodych brunatnych paproci.

Szczyściem Peg była w Xanadu, Peg bowiem wiedziała, co trzeba zrobić.

Posłała Williama do Sarsaparilli, urzędniczka poczty zatelefonowała, gdzie należało, i wkrótce przyszli jacyś ludzie zabrać zwłoki. Deszcz padał tego dnia, w hallu długo potem pachniało mokrymi płaszcami.

To była ostatnia posługa, jaką Maria oddała swej matce. Peg powiedziała:

- Jeśli panienka czuje, że pogrzeb zanadto by nią wstrząsnął, nie trzeba w nim brać udziału. Kto by się panienką zaopiekował, jakby dostała ataku?

Posiedzimy sobie we dwie

tutaj, przy piecu, napijemy się kawy i przegryziemy chlebem. Niech proboszcz zajmie się resztą, od tego przecież jest.

Peg mimo podeszłego wieku zachowała jakąś więź z dzieciństwem i dzięki temu umiała poprzez grubą skorupę pozorów rozeznawać kształt rzeczywistości. Była najmilszą towarzyszką w domu. Maria kochała ją. Lubiła siedzieć w milczeniu i trąc własne zmarszczki przyglądać się spokojnej twarzy służącej, uzbrojonej w drucziane okulary twarzy starszej siostry, która wiedziała coś niecoś o zwyczajach zewnętrznego świata, ale nie zapomniała też wszystkich dzieciennych zabaw.

Peg pochodziła z okolicy i często się po niej kręciła. Na rowerze wyruszała przez pagórki i zdumiewająco szybko osiągała szczyt. Zdawała się drobna i krucha. Jak gdyby bezcielesna pod szeleszczącą, własnoręcznie upraną i nakrochmaloną suknią. Peg sprzątała i prała doskonale, gotować jednak nie umiała. Lubiła tylko smażyć dzemy i wytapiać wosk, toteż zwykle tchnęły od niej te dwa zapachy. W zupełnie nieoczekiwanych momentach wyłaniała się znienacka spod łóżek z nasyconą woskiem ścierką w ręku. W swoich oprawnych w drut okularach. W sukni, która była kiedyś jasnoniebieska, a z czasem stała się prawie biała.

- Poczytaj mi, Peg - rozkazywała jej pani, Maria Hare.

- Sama niech panienka sobie poczyta - odpowiadała ze śmiechem Peg. - A zresztą, co bym mogła czytać?

- Lepiej rozumiem, kiedy ty mi czytasz głośno. Proszę cię, Peg. Poczytaj katalog Anthony'ego Horderna.

- Ojej, ależ panienka ma pomysły! - śmiała się chcąc nie chcąc Peg. Była trochę mizerna w oczach.

Peg najbardziej lubiła czytać Biblię, ale nie na głos, ponieważ jej panienki to nie interesowało. Stara służąca wciąż wracała do Ewangelii. Listy Apostolskie nudziły ją,

a Objawienie Świętego Jana wolała omijać; nie chciała też nigdy dyskutować o tym ostatnim rozdziale swojej wystrzępionej księgi.

- Powinna by panienka to lepiej poznać - mawiała podnosząc oczy znad Biblii.

Ze swymi jasnymi rzęsami wydawała się bezbronna, ale niewinność ją chroniła.

- Och, nie! - protestowała niemal z lękiem Maria. - Wiem, że to nie dla mnie.

- To jest dla każdego - nalegała bardzo serio Peg.

- Nie, dla mnie nie.

- Bo panienka nie chce spróbować. Skąd może panienka wiedzieć?

- Wszystkiego, co powinnam wiedzieć, dowiem się po swojemu i we właściwym czasie. Ja jestem inna - odpowiadała Maria.

- Tak, tak - wzdychała Peg. - Inna i jednocześnie taka sama.

Nie mogła się temu nadziwić.

Chociaż pod wieloma względami wcale się nie różniły, Peg nie miała tej arogancji, w którą często popadała Maria. Panna Hare kochała starą służącą, ale kochała także własną arogancję. Była z niej dumna, a chociaż nikt prócz niej tego klejnotu nie doceniał, chciała się nadal nim ozdabiać. W ten sposób osiągała niepospolitość, może nawet piękność, jak sobie roiła w swej próżności.

Ale Peg nie dawała się tym oszukać. Trochę piskliwym głosem mówiła:

- Czy panienki aby znów nie napadają fanaberie?

Peg mówiła zawsze szczerą prawdę, jak szkło i jak woda, jak wszystko, co niewinne.

Tym większa była rozpacz Marii, gdy pewnego dnia weszła do pokoju Peg i zobaczyła ją martwą. Umarła, ledwie

zdążywszy się ubrać. W pogodny ranek. Leżała na swym łóżku w sukni niegdyś niebieskiej. Krucha jak gałązka jednego z tych wonnych ziół, rozmarynu czy tymianku, czy może werbeny pachnącej cytryną, które ludzie lubią zrywać i przechowywać.

Po chwili Maria odważyła się dotknąć zmarłej służącej. Dopiero wtedy zrozumiała, że jest już zupełnie sama. Długo stała w kącie pokoju, patrząc na Peg, aż wreszcie, już niemal w południe, przypomniała sobie o istnieniu Williama Hadkina.

Maria Hare nigdy nie lubiła Williama, może dlatego, że w ów wieczór, gdy jej ojciec urządził pamiętną strzelaninę, a cała służba bawiła na jakimś pikniku, on jeden, głuchy stangret, został w stajni. Nigdy też nie dowierzała głuchocie Williama, pamiętając piorunujący wstrząs, jakiego sama wówczas doznała. Mimo wszystko William został wiernie z nimi i póki żyła pani Hare, zabierał je czasem obie na przejażdżkę starym powozikiem, który ocalał z katastrofy. W dodatku został na głodowej pensji. Co prawda był stary, mało co jadł i niewielkie w ogóle miał potrzeby. Od śmierci pani Hare przestał się golić, żeby nie drażnić wrażliwej skóry, ale zawsze widywało się go z jednakowo krótkim szpeciniam-stym zarostem i z tą samą strużką śliny w tej samej białej fałdzie brody. Cuchnął trochę, jak większość starych ludzi. To może też odstręczało Marię od niego. Starzy mężczyźni na ogół cuchną gorzej niż stare kobiety.

Jemu więc panna Hare zaniosiła wieść o śmierci Peg.

- A tak - powiedział. - Spodziewałem się tego. Ostatnio już życie ledwie się w niej kołatało.

Smarował tłuszczem rzemienie upręży, od dawna już bezużytecznej, ale nie chciał wyjść z wprawy.

- A ja nawet do głowy tej myśli nie dopuszczałam - odparła panna Hare.

- Bo też to sztuka, w której państwo zawsze byli mistrzami - powiedział William głaszcząc rzemień.
- Co to ma znaczyć? - spytała panna Hare. Drżała, ale nie z gniewu.
- Jak sięgam pamięcią - rzekł William - zawsze państwo byli z tych, co sobie wmawiają bajki.
- Chcecie powiedzieć, że niektórzy z nas mieli wyobraźnię.
- Właśnie. Potrafili dom podpalić bez zapalki.
- Dość tego, mój Williamie - ucięła panna Hare tonem, którego nauczyła się od rodziców. - Musicie zająć się biedną Peg.
- Dobrze, dobrze - odparł. - Proszę mnie nie popędzać. Nie ruszał się z miejsca, oglądając dziurki w rzemiennym pasku.
- Nie rozumiem, dlaczegoście zostali, jeśli tak nas nie cierpicie - powiedziała panna Hare.
- Z przyzwyczajenia - rzekł. - Dużo rzeczy dzieje się po prostu z przyzwyczajenia.

Panna Hare zawsze w lot poznawała prawdę, jeśli się na nią natknęła, nie miała więc na to odpowiedzi.

Ostatnie i najgorsze spotkanie z Williamem Hadkinem odbyło się w parę tygodni po śmierci starej Peg. Maria zastała go na podwórku, gdzie właśnie zabił koguta. Łebek ptaka haniebnie martwy leżał obok, a William ze śmiechem patrzył na bezgłowy kadłub, miotający się jeszcze w śmiertelnych podrygach wśród kałuży własnej krwi.

Maria Hare osłupiała. Nie miała siły poruszyć się nawet wtedy, gdy krew zamordowanego koguta zbryzgała jej buciki.

William ją obserwował.

- Ano cóż! - powiedział, wciąż się śmiejąc. - Panienska musi przecież coś jeść, a to bądź co bądź jest tylko stary łykowaty kogut.

Nie przestawał się śmiać.

- Pamięta pani, o czym kiedyś rozmawialiśmy? - spytał. - Kogut tak się przyzwyczaił, że tańczy dalej, chociaż mu głowę ucięli.

- Moim zdaniem, jesteście mordercą - powiedziała panna Hare.

- Jakże? Dlatego że zabiłem koguta dla pani na obiad?

- Są różne sposoby zabijania.

- O tym to już nikt nie wie lepiej niż pani.

- Co takiego? Ja?

- Proszę zapytać swego tatusia.

Maria Hare zbladła okropnie. Stangret odszedł do swoich zajęć, lecz ona długo jeszcze stała bez ruchu pod szopą na drzewo i patrzyła na grzebień martwego ptaka.

Wkrótce potem William Hadkin bez słowa zabrał manatki i zniknął z Xanadu. „Tym lepiej, teraz będę wreszcie naprawdę niczym nie skrępowana” - szepnęła do siebie panna Hare, drżąc ze strachu. Dopiero wspomniawszy o kozie odzyskała otuchę.

Koza zjawiała się w Xanadu jeszcze przed śmiercią Peg. Nigdy się nie wyjaśniło, skąd przyszła. Była biała, wyraźnie kotna i chodziła jak pies za kobietami, a skubiąc trawę i liście przebierała wśród nich jak gdyby kapryśnym ruchem. Gdy urodziła nieżywego koziołka, Peg oświadczyła, że trzeba kozę doić, i Maria wzięła ten obowiązek na siebie. To wypełniło jej życie. Z czasem dostroiła swój umysł do spokojnej mądrości kozy i kiedy wieczorem przykuciała obok niej, zabierając się do dojenia, kiedy zostawały sam na sam, ich złączone ze sobą cienie nabierały pozorów ma-terialności. Aż wreszcie miłość zatriumfowała nad rozsądkiem i Maria drżała ze strachu, żeby zwierzęcia nie spotkało jakieś nieszczęście, żeby go jej nie odebrała następna z tych klęsk, których seria zostawiła ją samotną przy życiu, albo

też żeby koza po prostu nie zechciała odejść tak, jak przyszła. Toteż o zmierzchu panna Hare biegła zamknąć swoją kozę w małej, koślawej zagrodce, widocznej z okna kuchni i znajdującej się na skraju podwórka. Zaopatrzywszy kozę w zapas gałązek i pożegnawszy czułymi wyrazami, zamykała co wieczór furtkę zagrody, ale wracała pod nią później kilka razy, żeby się upewnić, czy jej ulubienica nie zniknęła za sprawą jakiegoś diabelskiego figla. Koza była na swoim miejscu. Przesłaniając lampę Maria z daleka widziała w mroku jej bielejący pysk. Spojrzenie bursztynowych oczu zażegnawało strach, wydłużone wargi poruszały się, a Maria odczytywała z nich przyjazne pozdrowienie. Nawet w ów ranek najstraszniejszego dla Marii doświadczenia wyabstrahowany obraz koziej maski nie stracił swej magicznej mocy. Mimo że z rzeczywistej kozy nie zostało nic prócz czaszki i strzępu kudłatej skóry pośród ruin szerniałej i dymiącej zagrody. Maria nigdy jasno nie rozumiała, jakim sposobem przeżyła odkrycie tej całopalnej ofiary. Ale poranek był łaskawy. Liście kładły się na jej twarz. Ziemia słała się miękko pod jej dygocącymi kolanami. Maria bowiem poszła natychmiast ukryć się w gąszczu i została tam długo, ale jak długo, tego nikt nie mógł jej powiedzieć, ponieważ nikt nie wiedział, że wyszła z domu. Przebyła w buszu pewnie ze dwa, trzy dni, bo wróciła odrętwiała, podrapana i głodna, a w każdym razie głodna jak na osobę, która nigdy niemal nie odczuwała głodu, i wyteżała myśli, żeby przypomnieć sobie bolesny powód swej tak długiej nieobecności. Żując czerstwą kromkę starego chleba, który od razu po powrocie wyszperała w spiżarni, rozważała pewną możliwość: „Jeśli będę ze wszystkiego odarta, może odkryję to najważniejsze, co tkwi we wnętrzu”.

Czuła, że nigdy w życiu nie rozumowała tak jasno jak w tej chwili, i w zamyśleniu przełknęła całą kromkę rozmiękłego chleba.

Pani Jolley biła się z myślami.

Może to pajęczyny. Ściągnie je wszystkie w dół. Może powrozy. Może łańcuchy. Darła je, szarpała, rwała i cięła, z wszystkich sił, palcami, pazurami, łokciami także, starając się wyzwolić. Ale nigdy nie mogła poczuć się wolna. Szare sznury oplątywały ją, lgnęły do niej jak wyrzut sumienia.

- Zwariować można! - wykrzykiwała od czasu do czasu. - Ale oczywiście wolno człowiekowi wymówić taką posadę... jutro albo pojutrze, każdego dnia.

Nikomu nie przyszłoby na myśl oskarżyć panią Jolley o brak rozsądku; tchnął z niej wszystkimi porami nawet w chwilach, gdy omotana w pajęczyny, z włosami uwięzionymi w klamerkach, zęby zostawiwszy w szklance w swej sypialni, odpowiadała nieco bełkotliwie. Kiedy wydymała wargi i kręciła głową, by wykrztusić odporne słowa, trudno było zgadnąć, czy strzegła jakiegoś sekretu, czy też po prostu przeszkadzał jej karmelek.

Bądź co bądź chciała pozostać osobą dystyngowaną, choćby o wszystkim innym musiała zważyć.

Albowiem lustra ściagały ją w korytarzach i zdarzyło się nawet raz, że nie mogąc się opanować, pędem przebiegła pół piętra schodów na górę. Bez żadnej wyraźnej przyczyny. Po prostu nogi ją same poniosły, uda, wciąż jeszcze krzepkie, jędrne i gładkie, zaczęły gorączkowo przeć naprzód; gdy osiągnęła górny podest, piersi jej falowały gwałtownie pod gorsetem.

- Każdy miewa chwile słabości - mawiała pani Jolley. Na przykład gdy w kąciku jej błękitnego macierzyńskiego oka wzbierały łzy.

- Tak się niepokoję, że pani nie czuje się w Xanadu szczęśliwa - powiedziała panna Hare. Siedziały przy śniadaniu, w kuchni, chrupiąc frytki.

- Nie o to chodzi - odparła pani Jolley. - Wszędzie czuję się mniej lub bardziej szczęśliwa. Ale przyzwoitej kobiecie czegoś innego potrzeba. Panna Hare żuła swoje frytki.

- Czego?

- No, rozumie się, domu rodzinnego, męża, dziecięcych głosików - odparła pani Jolley.

- Nie wiem - powiedziała panna Hare. - To jest moje życie. To jest mój dom rodzinny.

I dalej żuła frytki.

- Czasami jest pani okropnie twarda - zaprotestowała pani Jolley - i nie chce pani mnie zrozumieć.

Panna Hare żuła frytki.

- Po stracie drogiej osoby czuje się człowiek trochę zagubiony. Przyzna pani?

Panna Hare niczego nie przyznawała. Dobrze znała twardość skały, którą powinna osiągnąć, żeby stawić czoło pani Jolley.

- Jak gdyby częśćka nas samych umarła z nim razem. A jeżeli człowiek nie odchodzi jego śladem, to tylko przez poczucie obowiązku wobec innych. Czytałam kiedyś swój horoskop - rzekła pani Jolley skubiąc obrus. - Było tam napisane, że mam nadzwyczajnie rozwinięte poczucie obowiązku.

- Ja przecież nie zabraniam pani odejść czyimkolwiek śladem - odparła panna Hare. - Jeśli dobrze rozumiałam pani słowa.

- Pani dobrze wie, że miałam na myśli mojego nieboszczyka męża - powiedziała pani Jolley - i nie uda się pani zranić mnie, choćby pani nie wiem co mówiła.

Ten wyraz twarzy!

- Och, Boże, to się nazywa śniadanie - westchnęła panna Hare.

Pani Jolley wybuchnęła śmiechem. Śmiała się, śmiała bez końca.

- Nie pytam, co panią tak ubawiło - oświadczyła panna Hare.

- Ludzie bywają tacy śmieszni! - powiedziała śmiejąc się pani Jolley.

Miała na szyi pod skórą supły, prawie że wole, a niżej rysowało się wgłębienie, na którym pewnie oczy jej męża zatrzymywały się z upodobaniem, a może z odrazą.

Panna Hare skończyła porcję frytek i swoim zwyczajem odwróciła talerz do góry dnem.

Pani Jolley przestała się śmiać. Bardzo, bardzo łagodnie powiedziała:

- Brudasek z pani. Tak, brudas. Przyglądała jej się, czekając na odpowiedź.

- Przyzwyczajenie jest przyzwyczajeniem - stwierdziła panna Hare.

- A brud brudem - odparła gospodyni.

- Proszę pani, dwie osoby nie mogą ze sobą współżyć, jeśli nie zgodzą się uszanować wzajemnie swoich przyzwyczajzeń. Nauczyłam się tego stopniowo i nie bez bólu, obserwując ptaki i zwierzęta.

- Nie jestem ptakiem ani zwierzęciem - oświadczyła pani Jolley. - Jestem...

- Ach, tak, wiem, czym pani jest. Proszę, niech mi pani tego nie mówi - przerwała jej panna Hare.

- Wcale mnie pani nie zna - powiedziała pani Jolley - i w ogóle nic pani nie wie o świecie.

- Rzeczywiście - zgodziła się panna Hare. - Często miewa pani rację.

- Wiem, kim jestem - rzekła pani Jolley - i tym gorzej dla mnie. Nieboszczyk mój mąż myślał, że wie, ale nie wiedział. Zdawało mu się, że wie. Och, tak, wszystko wiedział. Chodził na kursy wieczorowe i zbierał znaczki. Latami spłacał raty za encyklopedię, która stała w dębowej szafce obok kanapy.

Niespodziewanie pani Jolley zaczęła płakać. Panna Hare siedziała, jak mogła najciszej, wpatrzona w gospodynię.

- Nic mu przecież nie zrobiłam - szlochała pani Jolley - starałam się, żeby miał dom czysty i wygodny, a jednak tego wieczora, kiedy podałam mu herbatę, można by pomyśleć, że popełniłam zbrodnię.

Panna Hare przyglądała się jej czujnie. Kuchnia w Xanadu należała do tych starych, ciemnych kuchen, które przygnębiają. Ale panna Hare nie dała się jej nigdy przygnębić. W tej chwili była bardzo ożywiona.

- Czy to znaczy, że mąż panią obwiniał o swoją śmierć? Pani Jolley aż dech zaparło.

- Jaka pani jest twarda! - wykrzyknęła. - I ten dom! Człowiek słyszy nie tylko, jak trzeszczą spróchniałe meble, ale także, jak myśli w jego własnej głowie kołaczą. Oczywiście odejdę stąd. Ale wobec tych okoliczności jeszcze nie zaraz.

Umilkła. Zdawało się, że umie błyskawicznie opanowywać i wzburzenie, i chyba wszystko, co zechce. O ile pannie Hare było wiadomo, właśnie takie typy uchodziły na świecie za kobiety praktyczne.

- No, dość tego! - powiedziała pani Jolley. I ściągnęła wargi.

Dla panny Hare jednak rozmowa jeszcze się nie skończyła. Przeciwnie, wątek myśli dopiero się rozwijał. Gdyby nie była tak zafascynowana, uciekłaby od pani Jolley, która wywołała to wspomnienie.

- To, co pani przed chwilą powiedziała, coś mi przypomniało - rzekła. - Tylko jeden człowiek obciążał mnie winą za swą śmierć.

- Kto?

Pani Jolley trzymała już w ręku obrzydliwy, urzekający ją, odwrócony talerz panny Hare.

- Mój rodzony ojciec.

- Niewiele mi pani dotychczas opowiadała o swoim tatusiu. - Pani Jolley dopiero teraz z wolna to sobie uprzytomniła.

- Bo niewiele jest do opowiadania, i same smutne rzeczy - odparła panna Hare.

- Bądź co bądź rodzony ojciec.

- Ale to stara historia. Śmierć miał okropną. Utopił się w cysternie.

- Gdzie?

- Tuż pod domem. Na podwórku. Do tej cysterny ścieka deszcz z dachu i zostawiało się ją wtedy jeszcze odkrytą. Zakryto ją dopiero później, ze względu na moskity.

- I pani ojciec do niej wpadł?

- Och, niektórzy ludzie, wolę od razu panią uprzedzić, mogą tę sprawę przedstawiać inaczej. Ojciec uchodził za człowieka niezrównoważonego.

- I pani to wszystko widziała?

- Czasem się zastanawiam, co widziałam naprawdę.

Norbert Hare przeżywał momenty olśnienia. Raz i drugi uchyliły się przed nim drzwi, gdy słuchał muzyki albo też gdy skręcał z za rogu jakiejś włoskiej uliczki czy też gdy wracał oszołomiony i bez tchu, ze wzrokiem zamglonym i niepewnym po zbyt zuchwałym spotkaniu pośród kamiennych gałęzi gotyckiego lasu. Zdarzało się nawet, że wizję

wyzwalał zwykły widok pasma gór wznoszących się za jego posiadłością w Xanadu, chociaż Norbert nieufnie odnosił się do objawień przekazywanych tak tanim sposobem. Jakikolwiek było źródło tych przeżyć, zdawał sobie sprawę z ich cudownego bogactwa i z tego, że mógł ich dostąpić jedynie w migawkowych przebłyskach, co przypisywał, słusznie lub niesłusznie, własnej nieudolności. Czasem wybuchał przykrym śmiechem, który wydawał się świadkom bezsensowny, tak że wielu znajomych i sąsiadów uważało w końcu Norberta Hare'a za wariata. Tylko jego córka Maria, sama, jak łatwo było spostrzec, niespełna rozumu, wyczuwała rozterkę ojca. Może zrozumiałaby ją nawet, gdyby na to pozwolił.

Ale sama myśl o tym zdawała się nedorzeczna.

Pewnego parnego ranka, latem, w porze roku, gdy życie wyczuwalnie pulsuje pod trawą w przytłaczającym zapachu zmiętej trawy i w bezlitośnie słodkim gruchaniu gołębi, Maria Hare wyłoniła się realna i widzialna z głębi myśli swego ojca. W jednym z tych momentów, gdy każde z dwojga ludzi oddałoby duszę, byle uniknąć się wzajemnie, lecz żadne nie śmie pierwsze się cofnąć. Stała jak wryta na jego drodze, pośrodku ścieżki wijącej się ku podwórku, pod drzewami kamforowymi. - To ty! Maria! - krzyknął Norbert Hare. Kąciki jego warg rysowały się ostro jakby w suchej białej soli.

Nie potrzebował nic dodawać, tak jasno wyraziły się w tym okrzyku jego uczucia. Oczywiście Maria nie mogła nic odpowiedzieć. Stała, gniotąc w palcach źdźbło trawy.

Gra światła obdarzyła ją jak gdyby cieniem urody pod osłoną starego marszczonego czepka, który miała na głowie; wiejskiej urody, zgrzebnej i śniadej, i nietrwałej. Ojciec jednak nie chciał jej tego przyznać. Od wielu lat zapewne przekreślił wszelkie możliwości tego rodzaju, bo teraz jej to powiedział, z daleka, lecz bardzo dobitnie; słowa jego za

brzmiały tak jak niektóre tony niosące się w ciszy wyraźnie z wielkiej odległości:

- Szpetna jak embrion. Nie donoszony płód.

Świat zawirował od ich wzburzenia, oślepiająco białe promienie światła zderzyły się, wczepiły w siebie nienawistnie jak szpony.

Maria czuła, jak pot strugami spływa wzdłuż jej ciała. Dostrzegła, że wargi ojca zaciskają się, a chrząstka występuje wyraźnie na napiętej szyi.

- Tobie pewnie się zdaje, że nie można z tym skończyć! Ale decyzja należy do mnie.

Maria nigdy potem nie była zupełnie pewna, czy rzeczywiście słyszała, oddalając się, te słowa, może tylko chciała je usłyszeć.

Zaduch bił od zgniecionej trawy. Dusiła się pod całunem liści.

Nagle głos rozległ się krzykiem spotęgowanym przez kamienny megafon.

Zawróciła z drogi i orientując się, że wołanie dochodzi z cysterny, zajrzała w jej głąb; zobaczyła ojca szamoczącego się w wodzie. Włosy opadły mu na oczy sztywną, czarną, moką frędzlą. Oczy straszne, bardzo blade, patrzyły daleko przed siebie, a głos rozdygotany z zimna i strachu wtórował rozpaczliwym bełkotem bulgotowi wody. Maria wiedziała, jak zimna jest ta woda, bo kiedyś zanurzyła w niej rękę, gdy w okresie suszy ogrodnik zaczerpnął jej wiadrem z cysterny.

Teraz w tej wodzie tonął jej ojciec.

- Zrób coś, Mario! - słyszała jak we śnie. - Sprowadź kogoś!

Ale brzmiało to zarazem śmiesznie. Norbert przypominał spaniela wrzuconego przemocą do wody i komicznymi ruchami zacierającego prawdę swojej psiej tragedii.

Jednakże pobiegła co sił. Chwyciła jakiś drąg, był to stary, odrapany palik, którym podpieranano sznury z suszącą się

bielizną. Stała nad tonącym wysoko w górze, w blasku, na krawędzi cysterny.

To go jak gdyby przeraziło jeszcze bardziej; może wyglądała naprawdę potwornie z tej perspektywy i pod tym kątem, z drągiem, który starała mu się podsunąć.

Krzyczał teraz jak mały chłopiec pobladłymi, mokrymi ustami.

- Sprowadź kogoś! Mario! Nie gub mnie! Zlituj się! Na miłość boską! Prędko!

Drag, chociaż twardy, był narzędziem miłosierdzia, lecz Norbert go odpychał rękami, które już zsiniały, jak zauważyła, i to się pogrązał w wodę, to z niej wynurzał, a za każdym razem śmiertelna zasłona włosów znów opadała mu na czoło.

Wreszcie Maria zakasała spódnicę i przytrzymując ją zgarniętą na brzuchu uciekła pędem, sama nie wiedząc dlaczego. Rozdwoiła się na dwie odrębne istoty.

Biegła przez pustynię ranka, która lgnęła do niej lepкими mackami. Raz Maria upadła, ocierając się całym ciałem

o żwir. Dom zdawał się pustą muszlą, z której wycofało się nawet odległe echo morza. Pomocnik ogrodnika nie krzątał się tego dnia około delikatnych parasolików chroniących urodę róż.

Gdy wreszcie Maria Hare sprowadziła Williama Hadkina

1 jakiegoś chłopaka, było już jasne, że ojciec padł ofiarą swego szaleństwa; żal nic tu nie mógł pomóc. Norbert zniknął. Plusnęła żaba.

Liść spadł na wodę. Kiedy w końcu wyciągnęli topielca z czarnej głębi, jego blade oczy spojrzały straszliwie na tych, którzy go nie umieli ocalić, a córka po raz pierwszy spostrzegła, jak bardzo wyraz twarzy ojca podobny jest do jednego z grymasów zjawiających się czasem na jej twarzy.

Wkrótce Sarsaparilla dowiedziała się, że Norbert Hare wpadł do cysterny w Xanadu. Ci, co go z wody wyciągnęli,

byli gotowi przysiąc, że dobrowolnie do niej skoczył, ale niektórym osobom postronnym przychodziło nawet do głowy, że kto wie, może... Ale podejrzenie byłoby grzechem przeciw miłości bliźniego, a poza tym nieprawdopodobieństwem. Na tym więc sprawa stanęła czy też raczej tak została złagodzona, aby pogrzeb mógł się odbyć z należytą ceremonią. Zrazu zdawało się, że wdowa nigdy nie dźwignie się ze swej żałoby. A może z doznanego wstrząsu?

- Jakże mi żal pani biednej matki - powiedziała pani Jolley. - Nawet dziś jeszcze. Chociaż już nie żyje. Tylko kobieta, która sama była żoną i matką, może współczuć prawdziwie.

- Są ludzie, którym się zdaje, że tylko oni są zdolni rozumieć psa.

- Co proszę? - spytała pani Jolley.

- Nic - odparła panna Hare, śmiejąc się nad swą filizanką.

- Mówiliśmy o mojej matce. Myślę, że ona sama sobie współczuła dostatecznie. Nawet za bardzo.

- Ależ pani jest twarda!

- Zmuszono mnie, żebym stwardniała. Mimo wszystko niezupełnie - dodała po chwili namysłu i cichszym głosem.

- Gdyby nie to, byłabym umarła.

- Co też pani mówi!

- Och, jest dużo rzeczy, które naprawdę kocham.

- Czy pani jest chrześcijanką?

- O! - westchnęła panna Hare. - Nie do mnie należy odpowiedź, nawet gdybym jaśniej rozumiała to pytanie.

- Bo ja tak - oświadczyła pani Jolley. - Od dziecka należę do anglikańskiego kościoła. - Gotowa była tego dowieść, choćby pięścią. - Pytam - nalegała - czy nikt się nie zatroszczył o pani wychowanie religijne?

Panna Hare czuła się zbyt zakłopotana, żeby odpowiedzieć.

- Czy nie wpojono pani wiary? W coś chyba pani wierzy? Panna Hare wahała się długą chwilę. Potem z wolna odparła:

- Wierzę. Nie umiem powiedzieć w co, tak jak nie umiem powiedzieć, czym jestem. To za trudne. Nie mam daru. Daru słów. Ale tak, wierzę! Wierzę w grzmoty i błyskawice, w wilgotną trawę, w plamy światła, w ciszę. Jest tyle różnych dobrych rzeczy. Na ziemi. Wszędzie.

- Ale co jest ponad tym wszystkim? - wyrwało się pani Jolley pytanie.

- Tamto! - krzyknęła panna Hare. - Tamto! Wolałabym, żeby mnie pani o te sprawy nie pytała.

Zerwała się z krzesła, rozchwiana i drżąca, tak że panią Jolley ogarnął lęk. Jakże nienawidziła tej pocętkowanej twarzy. Co będzie, jeśli ta kaleka dostanie napadu konwulsji?

- Przepraszam, że poruszyłam ten temat, jeśli jest dla pani tak przykry - powiedziała gospodyni bardzo stanowczo, nie patrząc już na swą pracodawczynię i głosem bardzo opanowanym.

- Ach, nie o to chodzi - szepnęła panna Hare. I wyszła.

Pani Jolley nasłuchiwała, spodziewając się usłyszeć łoskot upadającego ciała. Spodziewając się nawet śmierci panny Hare. W końcu jednak musi zwyciężyć to, co jasne i konkretne, wiadome i przewidziane.

Toteż pani Jolley pospieszyła do pieca, żeby upiec torciki, chociaż nie przypadła w tym dniu żadna uroczystość, lubiła bowiem piec ciasto, a zwłaszcza różowe torciki posypane drobnymi kryształkami cukru i ozdobione jakimś napisem. Różowe torciki cieszyły się popularnością w Lidze Matek i w Stowarzyszeniu Pań, w Kółku Młodzieży i w Kole

Seniorek, a na tym, co popularne, można zawsze bezpiecznie polegać. Pani Jolley podśpiewywała przy tej robocie. Lubiła najbardziej różowe hymny. Śpiewała nawet te, których słów nie znała. Śpiewała i piekła torcik. Świat widziała na różowo. Kochała Pana Jezusa z wydłużoną różową twarzą i poetycznymi kędziorami, kochała Go w słowach i na witrażach. Wszystko wtedy wracało na swoje miejsce. Domy rodzinne i małe dzieci były ocalone. Różowy torcik wszystko uświęcał.

Ściany wielkiej czarnej kuchni Xanadu omal nie pękały.

Pani Jolley śpiewała i piekła torcik. Cegła po cegle urastała jej budowla, to znaczy oczywiście piękny, przekładany okrągły tort. Jakże kanciaste jednak były cegły domów rodzinnych, które pani Jolley opiewała. I zaludniała. W wyobraźni rozmieszczała damy i dzieci - dżentelmenów znacznie mniej

- niby warstwy tortu: dziewczęta w czystych sukienkach, z dziecinnymi pierścionkami na paluszkach i z torebkami w ręku, uroczych chłopaczków, piegowatych, ostrzyżonych z grzywką, z zębami nadpsutymi od nadmiaru torcików. Pani Jolley śpiewała i chwaliła Boga. Niszczyć czy ratować na jedno wychodzi, jeśli ktoś opłacił ratę ubezpieczenia.

W miarę jak zbliżał się czas, gdy miała swój tort poluk-rować, rozkoszny zapach ciasta i filary rodzinnej moralności skrzepiły dzielną kobietę. Zostanie; jeśli zachwiała się chwilowo, to jedynie pod wpływem nerwów i towarzystwa tej nieszczęsnej wariatki.

Ach, ludzie kochani, trzeba się mimo wszystko pośmiać.

Gdy panna Hare wróciła, pani Jolley pękała z uciechy. Białe jej zęby przecinały mroki kuchni.

- Zechce się pani ze mną podzielić powodem tej radości?

- spytała pracodawczyni.

- Czy zechcę! - zanosila się od śmiechu pani Jolley.

W końcu panna Hare musiała się w obronie własnej uśmiechnąć.

- Ach, ludzie kochani, co też ze mnie za kobieta!

- wykrzykiwała radośnie pani Jolley. - Co też ja wyrabiam!

Spojrzała na pannę Hare. Gdyby nie brakowało jej tchu, dmuchnęłyby tak potężnie, że cały ten zakurzony dom z kart zwaliłby się na głowę właścicielki, i odeszłyby ku horyzontom niewzruszonych pewników.

IV

Panna Hare nie wiedziała na pewno, w którym momencie zaczęła się bać pani Jolley, ale myślała, że stało się to owego ranka, gdy gospodyni ofiarowała jej różowy torcik z wypisaną doprawdy pięknymi, fantazyjnymi literami dedykacją: „Dla niegrzecznej dziewczynki”.

- Jaki piękny tort! - wykrzyknęła panna Hare z uczuciem bardzo bliskim zgrozy.

- Nie rościłabym sobie pretensji do artystycznych talentów, gdyby mój zięć, palacz - mąż najmłodszej, Elmy

- stanowczo tego nie twierdził - odparła pani Jolley.

Ale powiedziawszy to, odkaszlnęła na dowód skromności.

- Chyba nie pogniewa się pani za ten żarcik - dodała.

- Dwie dystygowane kobiety żyjące pod wspólnym dachem powinny pielęgnować poczucie humoru.

Obserwowała pracodawczynię, a dołeczek pojawił się na swoim miejscu w mlecznobiałym policzku.

- Jestem za tym jak najbardziej!

Panna Hare śmiała się; prawa jej noga zdrewniała, uderzając obcasem o kamienne kafle kuchennej podłogi. Wtedy pani Jolley spuściła oczy.

Tak, właśnie od tego momentu gdy pani Jolley spuściła powieki, panna Hare zaczęła się jej bać. Oczywiście nie bała się o swoją cielesną osobę. Nie mógł jej grozić fizyczny zamach, była za stara, za brzydka, za biedna, za mało znacząca w życiu innych ludzi. Wyczuła jednak niebezpieczeństwo dla niematerialnej, ważniejszej części swojej istoty. Dotychczas myślała, że ta jej część stała się z biegiem lat i pod wpływem samotności właściwie niezniszczalna. Nawet wypadki historyczne i wojny nie naruszyły jej. Jeśli pominąć stosunki między nią a ojcem, potem zaś przykre starcie z Williamem Hadkinem i śmierć nieszczęsnej kozy, panna Hare nie zetknęła się prawie ze złem. Gazet nie czytywała; poznawała życie żyjąc, a nie czytając o nim. Toteż świat obracał się wokół osi, którą mu sama wyznaczyła, dopóki pani Jolley nie wkroczyła ze swym bagażem cnót do Xanadu.

Lukrowany napis od dawna został zjedzony, lecz pannę Hare prześladowało wspomnienie różowego torcika. Musiała, chciała koniecznie zrozumieć tę zagadkę, chociaż istniały ciemne zakamarki myśli, w które wzdragła się zapuszczać, tak jak w złowrogie gąszcze, gdzie można było natknąć się na małe konające kłębuszki futra, na zmiażdżone jaskółcze jaja albo na trupa czaszkę kozy.

Trudno było zgadnąć, ile naprawdę wiedziała pani Jolley. Spuszczała oczy, przybierała maskę. Była też zasłona pogawędek, panna Hare ich lękała się najbardziej; te stosy cegieł, które pani Jolley piętrzyła na domy dla swojej rodziny, czerwone ceglane pudła rozrastające się i zachłanne, ci zięciowie, wszyscy rzekomo solidni, rozpierający się w swych ubraniach, wycierający chlebem tłusty sos z talerza w oczekiwaniu na okres zasłużonego odpoczynku, rozkoszy jedwabnych obić i szacownego dębu. I te dzieci za czyste, za grzeczne, za dobre, dobre wręcz nie do zniesienia.

Nic prócz wiary nie mogło się oprzeć tak bardzo materialnym argumentom; panna Hare miała wiarę i żeby ją wzmocnić w sobie, biegła w busz, wyszukiwała nić kryształowego wątku i szła za nią kamienistą dróżką. Każda sadzawka objawiała własną tajemnicę, w której sama panna Hare uczestniczyła w niemałej mierze. W końcu czuła się odrodzona. Wracając inną drogą rozpoznawała znak Ręki w każdym żyłkowanym liściu i wraz z każdą pszczołą wciskała się w boskie Usta. Jeśli nie wznosiła oczu ku wieczornemu niebu, to tylko dlatego, że jeszcze nie odzyskała pełni sił. Ranek jest porą dusz słabszych, rankiem więc panna Hare przechadzała się z sercem wdzięcznym i nie pozbawiona pewnej ważnej, tajemnej mądrości.

Jednego z takich poranków rozterki i rozstrzygnięć zbliżyła się bardziej niż kiedykolwiek przedtem do ciemnoskórego człowieka. Spotkała go już parę razy na drogach w pobliżu Sarsaparilli, wiedziała jednak od dzieci Godboldów, że mieszka gdzieś dalej, w Barranugli.

Był tubylcem, czymś w tym rodzaju w każdym razie, zdaniem najstarszej dziewczynki Godboldów, Elsie.

- A może Syryjczykiem albo Indianinem, albo Cyganem - przekrzykiwała siostrę Grace.

Maudie jeszcze głośniej krzyczała, że Grace nie ma o niczym pojęcia.

- Bądź co bądź wiadomo na pewno, że w sobotę czarnuch się upił i leżał w pokrzywach - twierdziła Kate.

Elsie ją ofuknęła.

fedynej bezstronnej i rzeczowej informacji dostarczyła Maudie.

Powiedziała, że ten człowiek pracuje w fabryce, gdzie wyrabiają latarki do rowerów i gdzie przez krótki czas pracował też jej ojciec, dopóki mu się nie sprzykrzyło, w fabryce pana Rosetree, tuż pod Barranugli. Maudie widziała czarnucha w towarzystwie innych robotników. Miał

z sobą chlebak i nie wiadomo po co taszczył dużą kwadratową deskę. Godboldowie mieli sześcioro dzieci, same córki, a kilka z nich zawsze można było spotkać w zaroślach koło Xanadu; to wlokły ze sobą jakiegoś szczeniaka, to usiłowały od-chuchać jakieś pisklę, zawsze bardzo zajęte własnymi sprawami. Na swój sposób wiedziały dużo. Mięśnie i podeszwy stóp miały twarde, umysły za to wrażliwe.

Mogłoby się wydać dziwne, że nie miały dokładniejszych wiadomości o ciemnoskórym człowieku, lecz panna Hare nie dziwiła się temu i nie pragnęła, żeby było inaczej, bo szanowała cudze sekrety. Rzadko spotykała się z ludźmi, a gdy się jej to zdarzało, nie wiedziała, jak z nimi mówić. Wolała przyglądać się im spoza liści, kiedy ona sama była dla nich niemal tylko grą światła i cienia. Wtedy znajdowała się wreszcie naprawdę w swoim żywiole.

Tak też przyglądała się swojemu ciemnoskóremu człowiekowi, gdy przechodził jedną ze ścieżek w pobliżu Xanadu. Pewnego razu wtargnęła w głąb jego oczu i od pierwszego wejrzenia poznała rzeczy swojskie; wtargnęła przy następnej okazji znowu i dwie dusze musnęły się nawzajem z ufnością skrzydłami, ale na jedno tylko mgnienie oka, bo nagle oboje się przestraszyli. Odtąd zwykle unikali spotkania, aż dopiero tego pamiętnego ranka, wkrótce po pierwszej ciężkiej próbiej, jakiej pani Jolley poddała Marię, czarny człowiek do niej przemówił.

Było to tak:

Panna Hare wyszła zza kępy narcyzów na skraju gąszczu, u zakrętu drogi biegnącej poniżej Xanadu. Wyszła i stanęła, orientując się błyskawicznie, że wpada w pułapkę bez odwrotu. Słyszała już bowiem kroki zbliżające się po kamieniach. I natychmiast tuż przed nią zjawił się czarny człowiek. Nieznajomy potraktował wówczas sytuację zupełnie naturalnie. Był bardzo chudy, skóra i kości, można by pomyśleć,

że ledwie się wlecze, gdyby nie jakaś pewność w postawie. Lekko, sennie rozchylone grube wargi odsłaniały niewątpliwie wspaniałe zęby, a głos brzmiał przyjemnie, bezpośrednio i nieoczekiwanie. Czarny człowiek zwrócił się bowiem do panny Hare bez namysłu, jakby od dawna było przesądzone, że to zrobi.

- Woda - powiedział wskazując palcem - już podpływa do pani. Czy pani nie zauważyła? Stoi pani na mokradle.

Panna Hare spojrzała na swoje stopy.

- Woda - powtórzyła, a raczej wykrztusiła.

- Za chwilę pani poczuje - ostrzegał. - Wleje się pani przez wierzch do bucików.

Odszedł, ona zaś stała dalej przy drodze nieruchoma, jakby patrzyła przed chwilą na przeciągającą procesję.

Przemoczone buciki oczywiście nic jej nie szkodziły. Ranek był ciepły, bezwietrzny. Liście odpoczywały przytulone do siebie.

Nieznajomy oddalał się drogą, stopy jego wytrwale, chociaż lekko, deptały kamienie. Był niezwykle chudy i zdawał się słaby, ale panna Hare zauważyła spokój jego ramion. Przynajmniej w tym momencie był w nich spokój. Wątpliwe, czy jakikolwiek człowiek, tak samo jak i powietrze, może być zawsze spokojny.

Patrzyła na jego plecy, czuła się obdarowana i pełna wdzięczności. Dwoje wtajemniczonych spokojnie zamknęło się w łupinie swych ciał. Wiedzieli oboje, że nie jest prawdopodobne, aby się kiedyś porozumieli w słowach. Wymienili jednak z sobą znaki dobroci, które każde z nich miało na zawsze przechować. Z zamkniętymi oczyma rozpoznali w sobie nawzajem apostołów prawdy. To wystarczało.

Woda wreszcie wlała się górą do jej bucików, tak jak przepowiedział czarny człowiek, ale panna Hare wcale się tym nie przejęła i nie od razu cofnęła się z tego miejsca.

W domu zastała panią Jolley, która właśnie wróciła z kościoła.

- Och, przepięknie śpiewano hymny! - wykrzyknęła pani Jolley. - A co za kazanie. Pastor czarujący.

- Cieszę się, że pani to przypadło do smaku.

- Religia to nie obiad - oburzyła się gospodyni.

- Jest wszystkim, co kto chce w niej znaleźć.

- Oczywiście, że są poganie wśród ludzi. A co pani robiła, jeśli wolno zapytać?

- Byłam w buszu.

Pani Jolley zacięła swoje nieskazitelne zęby.

- I to w niedzielę.

- Każdy dzień równie dobry.

- Ale niedziela nie jest dniem strachów na wróble - wyrwało się z ust pani Jolley.

- Nie - odpowiedziała jak gdyby mniej śmiało panna Hare. - To dzień chrześcijan.

Pani Jolley nie dosłyszała.

- Spotkała pani kogoś ze znajomych? - spytała swej pracodawczyni tonem bardzo oziębłym. Pracodawczyni, a jakże. Za taką płacę wyświadczała jej po prostu łaskę.

- Nie - odparła panna Hare, w pewnym sensie zgodnie z prawdą.

Złękła się jednak, że w gruncie rzeczy skłamała.

- A właściwie - poprawiła się - spotkałam czarnego człowieka.

- Ech, jakiś wstrętny tubylec. Ja bym się takiemu nie pozwoliła do siebie zbliżyć. W dodatku na pustkowiu. To podejrzane kreatury. Pani sobie kiedyś napyta biedy. Proszę sobie zapamiętać moje słowa, czy się nie sprawdzą.

Musiała jednak uśmiechnąć się, nawet nie do siebie.

- Słyszałam, że tubylcy to brudasy. Piją i robią awantury - przyznała panna Hare.

Ale sama poczuła się brudna. Pani Jolley zbrukala ją.

Pani Jolley powiesiła futro na oparciu kuchennego krzesła. Srebrny lis, jak oświadczyła, prezent od rodziny. Futro pani Jolley stanowiło wątpliwe napomnienie.

Panna Hare była zgnębiona.

Pani Jolley to spostrzegła. Wyciągnęła z szafy rondel umyślnie bardzo hałaśliwie.

- A jak się ten człowiek nazywa?

- Nie wiem - powiedziała panna Hare - ale spytam Godboldów, jeśli to panią interesuje.

- A co to za jedni ci Godboldowie?

- Dzieci. Przyjaźnię się z ich matką.

- Co pani powie. A więc ma pani przyjaciółkę.

- Tak.

- Osoba z towarzystwa?

- Mieszka w baraku poniżej biura pocztowego i zajmuje się praniem.

Pani Jolley sapnęła głośno.

- Nigdy bym się nie spodziewała, że taka dama jak pani, ze sfery i tak dalej, może mieć znajomości w niższych klasach. Rozumie się, nie krytykuję. Nie moja sprawa. Ale jeśli mam być szczerą, nie wyobrażam sobie, żebym mogła utrzymywać stosunki z osobą, która mieszka w baraku.

Panna Hare była już w tej chwili zanadto wzruszona, żeby ją cokolwiek jeszcze mogło dotknąć.

- Ach, pani Godbold to najlepsza kobieta w świecie - powiedziała bardzo pokornie.

Panna Hare pamiętała, jak nasłuchiwała tych kroków na schodach.

Zdawały jej się bardzo stanowcze, dość ciężkie, nieubłagane, dopóki z czasem nie oswoiła się z nimi, tak że spostrzegła już tylko ich wytrwałość. Wreszcie leżąc w swej sypialni na piętrze z trudem tłumiała zamęt własnych wzburzonych uczuć, czekając, aby drzwi się otwały.

Zimą podczas drugiej wojny światowej sąsiedzi, a przynajmniej ten czy ów spośród nich, zaczęli się zastanawiać, co też się dzieje z tą starą panną Hare. Myśl była obojętna, nikt się dłużej na niej nie zatrzymywał, aż pewnego ranka mała Grace, jak wszystkie dzieci Godboldów często tutaj grasująca, biegnąc po oszronionej trawie przez łąkę, która ongi była pięknym trawnikiem przed domem w Xanadu, zauważyła w jednym z okien coś, o czym zaraz powiadomiła matkę.

Niewiele zobaczyła, bo lustro toaletki stojącej pod oknem zasłaniało widok, lecz wydało jej się, że dostrzegła przelotnie starą pannę Hare. A panna Hare wyglądała bardzo dziwnie. Grace Godbold nigdy nie widziała upiora, była jednak przeświadczona, że wyglądałby właśnie tak, blado i brudno.

Matce, kobiecie sumiennej, wydało się rzeczą najprostsza włożyć natychmiast kapelusz i skromny płaszcz i pójść do Xanadu, żeby sprawdzić, co tam się dzieje.

Nikt się nigdy nie dowiedział, jakich wrażeń doznała pani Godbold w salonach i na schodach w Xanadu. Z natury dyskretna, pani Godbold była też małomówna. W każdym razie zaglądając do różnych pokoi i nawołując, trafiła w końcu do komórki mniej więcej pośrodku ogromnego i rozsypującego się plastra, w której przetrwała ostatnia żyjąca mieszkanka tego ula.

Panna Hare leżała na łóżku wśród wspaniałości i łachmanów.

- To pani Godbold, prawda? - powiedziała. - Od kilku dni czuję się trochę chora. Mam nadzieję, że to przejdzie, trzeba tylko cierpliwie poczekać. Nie uznaję doktorów i ceregieli, bo mamy przykład na zwierzętach. Ale okropnie trudno mi oddychać i strasznie jest zimno, kiedy na dworze przymrozek.

- Rozumiem - odparła pani Godbold i zamyśliła się. Zaczęła natychmiast działać. Po prostu, lecz kojąco, bo

taką już miała naturę, prześcieliła wygodnie łóżko. Umyła

pannę Hare wieczorem, używając do tego celu kryształowej miednicy, którą państwo Hare przywieźli z Wiednia - tak, chyba z Wiednia - ale bardzo dawno temu. Nagrzała cegły, owinęła je w koc. Z baraku, w którym mieszkała, przyniosła tego pierwszego wieczora w małym emaliowanym dzbanuszką mleko, a także brunatne jajko i parę kromek chleba odkrojonych z olbrzymiego bochna, i przez wiele następnych dni dostarczała tych prowiantów.

Tak pani Godbold pielęgnowała pannę Hare owej zimy, gdy właścicielka Xanadu chorowała na zapalenie płuc. Mało kto dowiedział się o tym, bo pani Godbold nie mówiła nikomu, Godboldowie byli w ogóle poza nawiasem, a ze starą, brudną, zwariowaną panną Hare nikt się też nie zadawał.

Jednakże panna Hare wróciła na widownię. Z początku bardzo niepewnie, czepiając się mebli, nasłuchując znajomych głosów w pustej klatce schodowej.

- Widzi pani - powiedziała pani Godbold. - Wkrótce wyjdzie pani znów na świat boży.

- Ach, wtedy dopiero odetchnę naprawdę - odparła panna Hare.

Szybko jednak spojrzała w trochę płaską i bladą twarz swej opiekunki.

- Ale będzie mi też żal, że już mnie pani przestanie odwiedzać - dodała.

Pani Godbold chrząknęła czy mruknęła coś, co trudno by przełożyć na słowa.

Obie wyjrzały przez okno na park Xanadu, gdzie mgły się właściwie podniosły tak, że świat cały w tej chwili mógłby się wydać złudny i melancholijny, gdyby nie solidna materialność ich dwóch złączonych w grupę postaci.

Pani Godbold stała się dla panny Hare odtąd już na zawsze najpewniejszym dowodem istnienia dobroci. Była zbudowa

na zbyt masywnie i wiele osób z pewnością uznałoby jej powierzchowność za nieprzyjemną; miała zanadto grubo ociosaną, zbyt płaską twarz, tęgie ramiona, bujne piersi, cerę woskową, pory rozszerzone pod wpływem pary bijącej z kotła. Nikt jednak nie mógłby zaprzeczyć szlachetności jej czoła. Włosy nosiła zwinięte w grube, lśniące sploty, oczy miała jednolicie szare.

Każdy dzień jej życia przeciągał się nieskończenie. Umiała na pamięć szare godziny, gdy świat dopiero się wyłania z nocy, a odpoczywała dopiero późnym wieczorem, podziwiając na niebie gwiazdy. Gdy jedno dziecko, już odłączone, obejmowało ją jeszcze za szyję, drugie zwykle sięgało łakomie do jej piersi, a trzecie niecierpliwiło się w matczynym łonie. Szorowała, prała, gotowała, szyła, dźwigała męża z podłogi na łóżko, gdy niekiedy wieczorem walił się pijany z nóg.

- Pani się zamęczy - ostrzegała panna Hare.

- Przywykłam - odpowiadała pani Godbold. - Zresztą jestem silna. Byłam jeszcze małą dziewczynką, a już pracowałam w polu i wędrowałam całe mile piechotą. Mieszkaliśmy na moczarach. Zanim dorosłam. Płaska ziemia, ale niełatwo mimo to było na niej żyć. - Roześmiała się.

Lubiliśmy się też ślizgać wszyscy, chłopcy i dziewczynki, a było nas dziewięcioro w domu. W srogą zimę ślizgaliśmy się po zamarzniętych zalewach, biegaliśmy na łyżwach mila za milą, a cały świat wydawał się kruchy. Gałęzie krzaków można by chyba stłuc jak szklanę.

Oczy jej nagle rozbłysły, gdy to mówiła. Krzepkość jej postaci nadawała szklanym gałązkom jakąś tajemniczą, pożądaną, nieosiągalną i odrębną wartość.

Pewnego dnia panna Hare, zgorączkowana i naprawdę bardzo chora, zwierzyła się opiekunce:

Boję się, że upadnę i skaleczę się, tyle szkła wszędzie dokoła. Czy mogłaby pani potrzymać mnie za rękę?

- Dobrze - odparła pani Godbold.

Gdyby trzeba, gotowa była chyba nawet odciąć sobie rękę razem z obrączką ślubną.

- Złote - mruczała panna Hare. - Gryzą wędzidło. Czy pani widziała konie? Ja nie. Ale czasami koła miażdżą mnie boleśnie, nie do zniesienia. Pani Godbold siedziała nieruchomo jak posąg. Potężne zady koni czekały, ogonami omiatając wieczne przestworze. Koła wozu były z kutego złota, mocno osadzone na osiach, jak należało się spodziewać. Tak przynajmniej wydawało się chorej; własna jej wizja nigdy nie przybrała skończonego kształtu, pozostała zamętem światła czy też w najlepszym przypadku konturem niewyraźnego, palącego bólu.

- Nigdy - skarżyła się panna Hare. - Nigdy. Nigdy. Jakby nie było mi sądzone nigdy się dowiedzieć.

Przy tych słowach zdołała się dźwignąć na łóżku.

- Niech pani się stara zasnąć. Zaszkozi pani sobie mówiąc tak wiele - radziła opiekunka.

Wydawało się, że jest zagniewana, o tyle, o ile pani Godbold umiała się gniewać, jakby chora zniszczyła jakieś wspólnie do nich należące dobro.

- Och, jaka ja jestem strasznie chora - jęknęła panna Hare.

Pani Godbold czas jakiś pozwoliła trwać ciszy. Potem, bardzo ostrożnie, ośmieliła się coś zaproponować.

- Będę się za panią modliła - powiedziała.

- Jeśli to pani coś pomaga - westchnęła panna Hare - proszę, niech się pani modli. Ale moim zdaniem lepiej pomagają liście, wilgotne liście przykładane do czoła.

Zapadła w sen, a pani Godbold siedziała jeszcze przy niej dość długo. Nic nie mąciło ciszy wieczoru. Nieruchome światło poprzedzające zmrok przez chwilę trzymało w równowadze nie pajączyny.

Kiedy panna Hare była już zdrowa, postanowiła przy jakiejś okazji wybadać przyjaciółkę.

- Zdaje mi się, że podczas mojej choroby wymieniliśmy pewne zwierzenia.

Pani Godbold nie chciała odpowiadać, lecz nie miała wyboru.

- Jakie zwierzenia? - spytała odwracając oczy.

- O Wozie.

Pani Godbold oblała się rumieńcem.

- Ludziom w chorobie przychodzą czasem dziwaczne myśli do głowy.

Ale panna Hare nie dała się zwieść tymi słowami i zachowała przeświadczenie, że łączy je wspólna tajemnica, nawet wówczas gdy jej przyjaciółka wróciła do swego baraku poniżej biura pocztowego, gdzie była dożywotnim więźniem miłości i pracy.

O tym, że istnieje jakaś tajemnica, była również przeświadczona pani Jolley, bo węchem wyczuwała drzwi, które się nigdy przed nią nie otworzą. Zresztą wcale nie chciała być dopuszczona do wnętrza. Za nic, nawet na chwilę.

- Wygląda mi na dziwaczkę - orzekła, gdy pracodawczyni zakończyła historię swej choroby, a raczej te rozdziały historii, które nadawały się do przekazania.

Panna Hare roześmiała się. Twarz miała zupełnie przeobrażoną.

Pani Jolley wyraźnie się nadęła.

- I cóż się z nią stanie? - spytała. - Cóż się z nią stanie w tej budzie, z taką gromadą dzieciaków i z takim mężem... Co ten jej mąż na to?

Czyżby trafiła palcem na ranę?

- Ach, mąż to zjawia się, to przepada. Nieraz ją bije, a kiedyś nawet omal jej zębów nie wybił. Siedział, proszę pani, w więzieniu. Za pijaństwo. Tak, ten jej mąż! - musiała przyznać panna Hare.

I zaczęła kołysać głową z boku na bok z wyrazem zatroskania i tak groteskowo, że dostarczyła swej gospodyni nie lada satysfakcji.

- Tyle jest zła na świecie! - wykrzyknęła wreszcie panna Hare z rozpaczą.

- Zapomina się o tym.

- Co do mnie, nigdy nie zapomina - oznajmiła pani Jolley. - Zło stale przebywa wśród nas, choćby w gazetach, nie mówiąc już o sąsiednim podwórku.

- A ja zapomniałam - uświadomiła sobie dopiero teraz panna Hare - dopóki mi p a n i nie przypomniała.

- Dlaczego jednak nie porzuci tego męża? - spytała pani Jolley, wykonując jakieś bardzo wytworne manipulacje z białkiem jajka.

- Uważa za swój obowiązek wytrwanie przy nim. Poza tym kocha go. Panna Hare z trudem wymówiła te oszałamiające słowa.

- Muszę kiedyś przechodząc tamtędy udzielić jej paru dobrych rad.

- Niech się pani nie waży! - krzyknęła panna Hare w obronie jakiejś bardzo kruchej wartości. - To kobieta ogromnie wrażliwa - dodała.

- Wrażliwa. I wyżyma cudze prześcieradła! - odparła pani Jolley.

W tej chwili panna Hare powzięła podejrzenie, że w końcu wszyscy będą zdani na łaskę lub niełaskę jej gospodyni.

- Każda wierząca dusza musi niezawodnie znaleźć pociechę w wierze - stwierdziła pani Jolley.

- Trudno nie wierzyć w panią Godbold - odparowała panna Hare.

Ale już słabiej. Pani Jolley wprawnie operowała słowami. Pani Jolley miała na zawołanie całą rodzinę, swoje trzy córki i trzech zięciów, nie mówiąc o licznej gromadzie wnucząt.

- Do takich historii nie jestem przyzwyczajona - powiedziała wreszcie gospodyni. - Obracałam się zawsze w innej sferze.

W to panna Hare uwierzyła bez trudu, ale tego też się obawiała.

- Pani Flack przyznaje mi także - powiedziała pani Jolley

- że znalazłam się ostatnio w obliczu takich faktów, że nie można ode mnie żądać, abym je zrozumiała lub przyjęła.

- Pani Flack?

- Moja przyjaciółka - wyjaśniła pani Jolley słodkim głosem. - Bardzo dystygowana osoba, poznałyśmy się w autobusie. A potem znów ją spotkałam w kościele. Wdowa

- dodała - po dekarzu, który przed kilku laty spadł z dachu, wykonując jakieś zamówienie w Barranugli.

- Nigdy o tej pani nie słyszałam.

- Inne środowisko - odparła pani Jolley z godnością, jeśli nie ze wzgardą.

- Pani Flack mieszka przy Mildred Street we własnym domu z wszelkimi wygodami. Jej mąż, z uwagi na swoje znajomości w tej branży, mógł wszystko urządzić pierwszorzędnie. Aha, byłabym zapomniała: ojciec pani Flack, bogaty kupiec, postarał się oczywiście, żeby córce na niczym w życiu nie zbywało.

- Oczywiście - przytaknęła panna Hare.

Powinna by może z kolei wyobrazić sobie powierzchowność pani Flack, ale jej wyobraźnia cofnęła się przed tym wysiłkiem. Pani Flack pozostała więc dla niej tylko nazwiskiem, nie wymawianym i tajemniczym.

Sama pani Jolley również nabrała tajemniczości. Zjawiała się nieraz w drzwiach lub wyłaniała spoza kotary dzielącej

pokoje, pokaszując delikatnie. Oczy miała spuszczone. Albo też je podnosiła. Spoglądała na pannę Hare. Oczy pani Jolley były błękitne.

- Szukam popielniczek - wyjaśniała - wszystkie moje córki oczywiście palą. Trzeba często wysypywać niedopałki i popiół.

Wycofywała się szybko. Była teraz bardzo dyskretna i małomówna.

Wkrótce znów się zjawiała.

- Czy pani czego nie potrzeba? - pytała czasem szeptem. Czego właściwie może człowiek potrzebować? - zastanawiała się panna Hare.

- Nie, niczego - musiała stwierdzić.

Siedziała w swoim ulubionym fotelu, starym, ale rzeczywistym.

- Ludzie mają różne gusta - mówiła pani Jolley, dotykając obicia palcem.

- My na przykład mamy we wszystkich salonikach welwet, a pani Flack - wie pani, już kiedyś o niej wspominałam - upodobała sobie „ptipłę”.

Ale pani Flack natychmiast zniknęła z widowni.

- Nic pani nie trzeba? - pytała raz jeszcze pani Jolley. Panna Hare krzywiła się i marszczyła, usiłując odkryć w sobie jakieś stosowne życzenie.

- Nie - przyznawała wreszcie ze wstydem. Pewnego razu pani Jolley oznajmiła:

- Dostałam list.

Odszukała pracodawczynię na tarasie. Wieczór już zapadał. Wielkie rozkołysane obłoki wlokły się po wyboistym niebie ku swej szkarłatnej zagładzie.

- Nie widziałam tego listu - powiedziała panna Hare.

- Och, przyszedł na *poste restante*. Całą korespondencję odbieram zawsze na poczcie. Kwestia przezorności, że tak powiem.

Panna Hare obserwowała wędrówkę chrząszcza po wypełnionym osadem wgłębieniu kamiennej urny. Wolałaby, żeby jej w tym nie przeszkadzano.

- List jest od pani Apps - ciągnęła pani Jolley - czyli od mojej najstarszej córki Merle. Merle ma specjalną słabość do swojej mamusi, pewnie dlatego, że w dzieciństwie była bardzo chorowita. Za to potem szczęście się do niej uśmiechnęło. Dostała męża, który niczego jej nigdy nie odmawia, oczywiście w granicach rozsądku i o ile mu pozwala zawodowa kariera. Apps jest wyższym urzędnikiem celnym, niedługo już dosłuży się emerytury. Nie powiem, że jest ceniony w pracy, bo on jest dla nich wręcz nieoceniony. Toteż Merle często się styka z dygnitarzami ze służby celnej, a kiedy ich przyjmuje u siebie w domu, urządza zimny bufet. Krokiety *de poisson*. Żurfiksy. Różne takie frykasy. Do tego zwykle jedno danie solidniejsze, na przykład kura po królewsku. Nie mam zwyczaju przechwalać swoich córek, ale Merle rzeczywiście umie wystąpić jak się należy. Jej bufety bywały nawet opisywane w gazecie, i to nie raz.

Panna Hare obserwowała chrząszcza.

- Więc Merle pisze - ciągnęła gospodyni - i nie mówi tego wyraźnie, bo jest zawsze bardzo delikatna, ale daje do zrozumienia, że wcale jej się nie podoba decyzja jej mamusi, która postanowiła sama na siebie pracować, odkąd ojciec opuścił rodzinę tak nagle i tak tragicznie.

Pani Jolley śledziła twarz panny Hare.

- Oczywiście nie wie ode mnie ani połowy prawdy. Bo wtedy by dopiero podniosła krzyk. Ale rozumie pani, w jakiej mnie to stawia sytuacji. Zwłaszcza że jestem tą kobietą, co zawsze współczuje ludziom w nieszczęściu.

Pani Jolley śledziła twarz panny Hare. Wiatr się zerwał i źle się czuła w otwartej przestrzeni. Należała do osób, które

idąc drogą przyspieszają kroku, żeby co prędzej znaleźć się wśród domów i sklepów.

- Każdy jest właściwie nieszczęśliwy, tylko nie zawsze umiemy to dostrzec - powiedziała panna Hare, pomagając chrząszczowi. - Ale zwykle w nieszczęściu znajduje się jakieś wynagrodzenie.

Pani Jolley głośno wciągnęła powietrze. Nie cierpiała tego okropnego tarasu, wiatr szarpał siatkę na jej włosach, a zapach nocy zdawał się niebezpieczny.

- Przy takiej symbolicznej pensji przykro kobiecie przyzwyczajonej do czegoś lepszego słyszeć radę, że ma liczyć na inne wynagrodzenie - zaprotestowała.

- Och, jak niektórzy ludzie umieją mówić! - wykrzyknęła panna Hare nie bez podziwu. - Moi rodzice rozmawiali w ten sposób godzinami. Ale pod osłoną ich słów można było siedzieć dość wygodnie. Jakby w namiocie. Wie pani, kiedy pada deszcz.

Pani Jolley nie odmówiła sobie westchnienia:

- Pani rodzice, biedni ludzie!

Takim tonem, że musiało to zranić pannę Hare. Cofając palce i stwierdzając, że nie zdoła w niczym pomóc chrząszczowi, spytała:

- Dlaczego pani stale interesuje się moimi rodzicami? Marmurowe niebo zdawało się tragiczne, chociaż zarazem

niewzruszone; czarne i szafirowe pręgi przerzynały już teraz jego liliowe i różowe warstwy. Księżyc wyglądał jak blada przedpotopowa ćma.

- A kto pierwszy o nich wspomniał w rozmowie? - odparła pani Jolley śmiejąc się pod wiatr, rzeczywiście dokuczliwy. - Ja zawsze uważam, żeby nie dotknąć niczyich uczuć, a już zwłaszcza osoby, która była świadkiem tak niezwyklej śmierci.

Panna Hare niemal skamieniała pośród opuszczonych kamiennych urn i posągu Diany - *Scuola Canova* - która miała rękę odłupaną od napiętką.

- Zechce pani zostawić mnie samą - powiedziała.

- Właśnie to pani starałam się delikatnie zapowiedzieć - odparła pani Jolley. - Od nikogo nie można żądać ofiar przez całe życie. A właśnie pewna przyjaciółka, osoba słabego zdrowia, prosi mnie czy raczej proponuje, żebym jej dotrzymała towarzystwa.

Panna Hare bulgotała jak żaba. Nie tyle ją wzburzyła możliwość rozstania, ile sposób, w jaki została o niej powiadomiona, i zaskoczenie.

- A więc jeśli takie są naprawdę pani zamiary... - wybełkotała.

Pani Jolley chętnie miażdżyła przeciwnika, gdy podejrzewała go o słabość.

- Przecież pani poprzednio sama sobie radziła - przypomniała z uśmiechem. - Nie moglibyśmy nazywać się Australijkami, gdybyśmy nie umieli sobie radzić. Każda z moich córek potrafi, jak trzeba, zreperować korki, pomalować ścianę albo zastąpić przy jakiejś majsterce stolarza.

Pani Jolley przybrała monumentalną pozę odstraszącą od wszelkiej dyskusji.

- Pewnie - odpowiedziała panna Hare.

Ostatecznie zawsze zostanie małą rudą dziewczynką. Uśmiechy przemykały przez jej twarz jak płytka woda po kamieniach.

- No, tak - westchnęła pani Jolley. - Więcej nic powiedzieć nie mogę. Życie nie stoi w miejscu, trzeba z nim razem płynąć naprzód.

Nagle wciągnęła powietrze, jakby łykała wiatr. A może czegoś się zlekła.

- Proszę mnie puścić - powiedziała dość żywo, ale panując jeszcze nad głosem. - Proszę puścić moje ręce - dodała już głośniej. - To boli!

Panna Hare nie mogła już oprzeć się czarnym podmuchom nocy, które ją popychały, ale nie doznała tej satysfakcji, by

sposrzec strach pani Jolley, poniewaŹ ją samą ogarnęło przeraŹenie; w tym bowiem momencie, przynajmniej na chwilę, została wyrwana z łupiny ciała.

Co do pani Jolley, to ciemności pochwyciły ją jak w kleszcze; ledwie tyle zachowała swobody ruchów, Źeby walczyĆ z wężami swego sumienia. Tak dwie kobiety szamotały się na wysypanym Źwirem tarasie. MoŹe wiatr, moŹe ktoś inny zerwał gospodyni siatkę z włosów, syk czy teŹ jęk dobył się spomiędzy jej lśniących zębów.

Parę razy w tygodniu pani Jolley, w rękawiczkach, w kapeluszu z woalką, nie szła po prostu, lecz kroczyła ulicami Sarsaparilli w stronę siedziby swojej przyjaciółki. Droga pod górę i przez miasto nie była daleka, lecz dość daleka, by nadać przechadzce charakter wyprawy misyjnej. O ileŹ bezpieczniej dŹwięczał tu bruk pod nogami! Pani Jolley stapała po nim i przytupywała z zadowoleniem. JuŹ sam widok autobusu kursującego po zabudowanym gęsto terenie przyspieszał krąŹenie krwi w Źyłach. Plastry wołowiny i zwoje flaków krzepiły ducha, a wystawa artykułów Źelaznych rozgrzewała serce. Tak pani Jolley wędrowała pod lophos-temonami aŹ na Mildred Street. Punkt świetny: pięć minut marszu do kasy oszczędnosćiowo-poŹyczkowej, lekarz na najbliŹszym rogu. Pani Jolley kroczyła, uśmiechając się do pań siedzących w oknach ceglanych domów. Pozostawało jej tylko raz jeszcze wygładzić na sobie fałdy spódnicy i była gotowa, u celu.

Ceglane mury domu pani Flack wyglądały naj solidniej ze wszystkich, kafelki lśniły jaśniej niŹ inne, zapewne dzięki znajomościom jej męŹa w branży budowlanej. Na emaliowanej tabliczce widniała nazwa domu: KARMA. Mimo wątłego zdrowia właścicielka nadwreŹała siły, by utrzymać swą

siedzibę w nieskazitelnym porządku, chociaż oczywiście wynajmowała od czasu do czasu za kilka szylingów pewnego staruszka, który kosił jej trawę, a nawet udało jej się już prawie namówić innego, jeszcze starszego człowieka, do wykonywania tej samej czynności za jeszcze niższą cenę. Poza tym co czwartek przychodziła krzepka kobieta, do której należały wszelkie roboty wymagające schylania się lub dźwigania; prawdopodobnie jednak umowa z nią w bliskiej przyszłości zostanie zerwana. Będzie to zależało od rozwoju wypadków.

Panią Jolley zachwycał zatrask u furtki pani Flack, a także sama furтка, drewniana jak na wsi. Zachwycał ją żywopłot z drobnych żółtych różyczek. Dreszcz rozkoszy przenikał ją, gdy gładziła ręką powierzchnię ceglanego muru tego domu. Odgłosy świadczące o komforcie pogrążyły ją w otchłań zazdrości.

Pani Flack rzadko na powitanie przyjaciółki zdobywała się na więcej niż pomruk: „Hmmm!” albo okrzyk: „Kogo to widzę!”, w najlepszym zaś razie mówiła:

- Nie patrzałam na kalendarz, ale coś przeczuwałam dzisiaj!

Pani Jolley jednak dobrze rozumiała wymowę tych manifestacji. Łasiła się jak kot, chociaż ocierała grzbiet tylko o powietrze.

O pani Flack krążyło powiedzenie, że jest żółta jak cytryna, lecz naprawdę karnacja jej przypominała raczej skórę ciejącą. Od lat uskarżała się na zaburzenia wątroby. Cierpiała męki z powodu kamieni w woreczku żółciowym, a ponadto miała żylaki, nie mówiąc już o jej Biednym Sercu. Można by myśleć, że jest zaślubiona swemu Biednemu Sercu, gdyby się nie wiedziało, że od dawna żyje we wdowieństwie. Mimo wszakże tylu dolegliwości i ciężarów krzątała się powoli, lecz energicznie, a nawet, rzadko wychodząc

z domu, była zdumiewająco dobrze poinformowana o wszystkim, co się działo w mieście. Do tego stopnia, że nieliczne osoby nie darzące jej szacunkiem podejrzewały ją o dar wszechobecności i mawiały, że nie omija nawet miejsc pod łózkami sąsiadów, gdzie zazwyczaj znajdują się tylko kłębuszki zbitego kurzu oraz nocniki. Większości ludzi jednak zanadto imponowała, by odważyli się podawać w wątpliwość jej autorytet. Kapelusze nosiła zawsze skromne, informacje rozpowszechniała rzeczowo. Gdzie nie ma lekkomyślności, tam zwykle człowiek dopatruje się prawdy, a zęby pani Flack, szerokie i realne, nadawały tym większą wagę i grozę jej słowom.

Pani Jolley zapominała języka w gębie w obecności swej przyjaciółki. Przyjaciółki! Niepokojące, chociaż magiczne słowo. Pani Flack, smagając krzewy żółtych różyczek biczem wody z plastikowego węża albo też siedząc w saloniku jak prorokini w obłoku pary nad filiżanką herbaty, podnosiła tylko wzrok, a potem zabierała głos.

- Bóg raczy wiedzieć - mówiła na przykład - jak ta nieszczęśliwa istota, którą obie znamy - nie trzeba wymieniać nazwisk - przeżyła te wszystkie lata o suchym chlebie i kawie! A przecież ma rodzinę dość zamożną, może nawet bogatą. Chcąc sobie oszczędzić kłopotów, krewni próbowali po śmierci jej matki umieścić biedaczkę w pewnym zakładzie, ale podniosła krzyk, czepiała się oburącz kraty, tak że w końcu musieli ją zostawić w domu. Oto nauka! Zawsze dziękowałam losowi za to, że sama nie mam żadnych krewnych, żadnych obowiązków, nawet długów hipotecznych na swoim domu.

- Och! - pani Jolley nie mogła powstrzymać się od protestu. - Co do mnie, jestem matką.

Pani Flack umilkła i wydłubując z sucharka przypalony rodzynek, przyglądała mu się z miną oskarżyciela.

- Nie posiadam w tej dziedzinie żadnych doświadczeń
- wyznała.

Chwilę siedziała zasepiona, potem roześmiała się, lecz bardzo delikatnie - należy pamiętać, że była słabowita - cedząc śmiech przez wąskie, blade wargi.

„Jak płatki sera z bufetu Merle” - pomyślała pani Jolley, lecz natychmiast zawstydzila się tego braku szacunku.

- Nie o to mi chodzi - powiedziała prędko, zgarniając parę okruszyn z serwety. - A raczej nie to miałam na myśli.
- Po pauzie spytała: - A więc pani jest naprawdę zupełnie samotna?
- Tak, moja droga - westchnęła pani Flack.

W takich momentach rozmowy zdarzało się coś dziwnego, coś tak niezwykle subtelnego, że uszłoby zapewne uwagi postronnych świadków, a wiadome było tylko dwóm zainteresowanym osobom. Wzajemna sympatia działając jak katalizator unicestwiała zewnętrzne powłoki, wyzwalając dwie nagie istoty, umożliwiając im zjednoczenie i rozplątanie się. Myśl grała chyba niewielką rolę w tym stanie bardzo biernym, zupełnie bezkierunkowym, lecz trudno byłoby nie kojarzyć żadnych procesów umysłowych z tym bezwzględny i przenikliwym milczeniem. Dwie kobiety nieruchome w fotelach wypełniały pokój szarą jak éma barwą swej wspólnej duszy. Ciche westchnienia rozpryskiwały się migocząc na wyściełającym całą posadzkę dywanie. Bulgotliwe płynne odgłosy dobywające się z żołądków opłukiwały i tak już nieskazitelne forniry. Spojrzenia odpychały się wzajem, jako zbędne pomocnicze środki porozumienia. Można by nazwać to doskonałą komunią dwóch dusz, gdyby moment ów nie przypominał zarazem doskonałego spisku.

Pierwsza zwykle wracała do rzeczywistości pani Jolley. Określone obrazy znów wypełniały wymiecione wnętrza jej umysłu. Na przykład - ponad wszystkie ulubiony - obraz

bladoniebieskiej plastikowej toaletki stojącej w gościnnym pokoju w domu pani Flack.

Twarz pani Jolley twardniała wówczas i pokrywała się bruzdami niby nagle skamieniała różowo-błękitna puchowa kołdra.

- Może samotna, ale za to w uroczym domku - szeptała.

- W samotności nic nie cieszy - odpowiadała zwykle pani Flack.

I uśmiechała się przy tych słowach.

Sytuacja nie była tak bardzo smutna. Obie to dobrze wiedziały.

Rozumiały, że dramat ich pragnień - jeśli zapragną - może znaleźć szczęśliwe rozwiązanie.

Syte herbaty i satysfakcji, rozumiały się tym lepiej i nabierały tym większej wiary we własne siły, toteż można było przewidzieć, że zbliża się chwila, gdy te dwie dyskretne i wybredne panie zechcą dobyć sztyletów i spróbować ich ostrzy na słabszych śmiertelnikach. Sprężyny obitych „ptip-łą” foteli wywyższały je ponad poziom świata, przyjaciółki mogły więc podnosić wieczka i zagłębiać w głąb pudełek, w których krzatali się inni ludzie, rozłupywać czaszki niby skorupki jajek ugotowanych na twardo, czytać listy jeszcze nie napisane, węszyć sekrety, które miały się stać źródłem strachu dla wplątanych w nie osób. Rzeczywiście w pewnym momencie dwie damy przystępowały do tych czynności. Metody ich były twarde jak stal, chociaż antyfona zawsze dźwięczała tonami spiżu.

- Tacy na przykład lekarze - mówiła pani Flack. - Lekarz to bądź co bądź też tylko człowiek.

- Mnie tego nie trzeba mówić! - czuła się w obowiązku wtrącić pani Jolley.

- Ale mamy prawo oczekiwać od nich innego postępowania.

- Często nas zawodzi to oczekiwanie.

- Bardzo często. Trzeba pani wiedzieć, że ten doktor, co mieszka na rogu, ile razy mi robił zastrzyk - muszę z pewnych powodów brać stale zastrzyki - to się do mnie przyciskał. Czy to konieczne? - zadawałam sobie oczywiście pytanie. - Czy to się zgadza z lekarską etyką, żeby przyciskać się do pacjentki z powodu najzwyczajniejszego zastrzyku? A miał, proszę pani, dech taki gorący i tak od niego zalatywało... No, nie chcę rzucać na nikogo podejrzeń, ale żeby to o mnie chodziło, wstydziłabym się otwarcie zionąć w ten sposób alkoholem.

- Ts, ts! Ci lekarze! I pomyśleć, że uczciwa kobieta musi w niektórych przypadkach poddawać się badaniu przez takiego mężczyznę.

- Och, badanie! Ja się nigdy nie dałam i nigdy nie dam zbadać. Nigdy!

- No, są też kobiety lekarki.

- Ha! Lekarki!

- Jak pani myśli, czy lekarki badają też pacjentów mężczyzn?

- Nie wiem. Mnie na pewno żadna z nich nie tknie. Mam o lekarkach swoje zdanie.

Pani Jolley chętnie by to zdanie usłyszała, lecz nie wypadało nalegać.

- Tak, tak - westchnęła pani Flack i umilkła.

Każdy by jednak zgadł, że wkrótce się ocknie znowu. Była to tylko pauza między dwoma menewrami, przerwa, podczas której wtajemniczone osoby odchrząkują i groźnie patrzą na ignoranta, który pozwoli sobie na objawy zadowolenia. Pani Jolley prędko się w tym zorientowała.

- W czwartek wieczorem - powiedziała, budząc się z zadumy pani Flack - trzy osoby widziały Lurleen, córkę pani Khalil, za kościołem metodystów.

- Pod gołym niebem?

108

- Na tr-awie.
- Nie samą chyba?
- Och, Lurleen by nie znalazła towarzystwa!
- Z mężczyzną?
- Z trzema. Za każdym razem z innym. W przerwach filmu. Pani Jolley musiała się roześmiać.
- No cóż, takie już są dziewczęta!
- Mam nadzieję, że nie wszystkie - powiedziała pani Flack; jej blade wargi niekiedy przeobrażały się w dwie tasiemki lepkiego plastra. - Takie dziewczęta warto by wygnać -z miasta. Ale jeżeli przedstawiciele prawa... Czy można się spodziewać porządku w Sarsaparilli?
- Pani coś wspomniała o przedstawicielach prawa?
- Wolę się do tego nie mieszać - odparła pani Flack. - Ale fakt, że szelki policjanta znaleziono w koniczynie na polu w pobliżu kina. Nie może się wyprzeć, bo nazwisko jest wypisane tuszem na szelkach.
- Mógł je po prostu zgubić.
- Mógł zgubić.
- Albo wyrzucić.
- Mógł wyrzucić. Chociaż były nowiuteńkie, cena jeszcze wyraźna na skórcie. Nie, proszę pani, posterunkowy McFag-gott jest zbyt skąpy, żeby zgubić albo porzucić części garderoby w koniczynie, chyba że tam spełniał służbowe obowiązki, od których stracił głowę. Pani Jolley zasyczała jak pospolita gęś. Różowo-błękitna jej twarz posiniała.
- Co też pani powie! - syczała, czekając niecierpliwie na ciąg dalszy. Ale pani Flack stuliła ramiona. Ścisnęła w dłoniach spierzchnięte wierzchołki żółtych łokci.
- Odbiegłyśmy od tematu - zauważyła, może nawet z wyrzutem.

Pani Flack bowiem instynktownie wyczuwała, że przyjaciółka ma coś do powiedzenia.

Rozmowa ta odbywała się nazajutrz po pamiętnym wieczorze, kiedy to pani Jolley na tarasie przeżyła przykrą scenę. Jak bardzo przykrą, wołała sobie nawet nie przypominać. Dotykała jednak od czasu do czasu swoich rąk w kostkach. Kiedy energicznym krokiem i w podnieceniu szła z wizytą do przyjaciółki, miała z pewnością niezłomny zamiar zwierzenia się przed nią, a może nawet powzięcia doniosłej decyzji. Czy jednak mogła to zrobić? Czy była gotowa?

- Ta nieszczęsna istota w Xanadu! - podsunęła jej temat pani Flack. - Zawsze się lituję nad ludźmi chorymi i niespełna rozumu.

- Jeśli o nią chodzi, miała swoje dobre czasy.

- Przyznaję, różnie się ludziom wiedzie.

- Ona miała swoje dobre czasy. Wszyscy oni kiedyś się naużywali.

Pani Jolley jak najszybciej oblizywała zaschłe wargi, jak najciaśniej zwijała w kłębek swoje ażurowe eleganckie rękawiczki.

Oczy przyjaciółki przeszywały ją spojrzeniami, przypominając w niemiły sposób, że ktoś tam się kryje w jej skórze.

- Oczywiście, trzeba także o sobie myśleć - zgodziła się pani Flack.

- Trzeba myśleć o sobie.

- Bez krzywdy dla niej.

- Nie ma obawy - zaśmiała się pani Jolley. - A swoją drogą ona też niech pozna takie życie. Jak każda dziewczyna na poddaszu. W upale, co siódme poty wyciska. Łuskać groch. Przecierać strąki przez sito. Czyścić ruszt w piecu. Tak, czyścić ruszt.

- Czyżby pani była mściwa?

- Nie, mściwa nie jestem. Ale pamiętliwa.

- Co jak co, ale mściwa nigdy nie byłam - oświadczyła pani Flack. Chwilę siedziały, milcząc, żeby raz jeszcze doznać rozkoszy odcieleśnienia i wspólnoty.

Czas jednak płynął. Pani Jolley wstała żywo, po swojemu rześka, strzepnęła eleganckie rękawiczki.

- No, bardzo było miło - powiedziała - ale muszę już wracać do mojej biednej paniusi.

Prychnęła, uśmiechnęła się i mrugnęła jednocześnie. Pani Flack przybrała natychmiast dostojną i uroczystą pozę. Każdy jej gest zdawał się godny klasycznego posągu.

- Jeśli się pani kiedyś zdecyduje, ten fotel będzie specjalnie dla pani zarezerwowany - powiedziała, kładąc dwa palce i pierścionek z rubinem na okazałej wypukłości wyściełanego siedzenia.

Pani Jolley nie pozwoliła sobie nie tylko na żadną uwagę, lecz nawet na spojrzenie. Zrozumiała jednak cały utajony sens tych słów.

- Na tym fotelu On siadywał po wczesnej kolacji - wyjawiała przy tej okazji pani Flack. - Lubił sobie odpocząć po kolacji. Nikt tego fotela nie będzie używał, chyba wypróbowana przyjaciółka.

Ale pani Jolley była zbyt zdenerwowana, żeby podjąć decyzję. Usta i ręce odmawiały jej posłuszeństwa. Jakby dwóch władców sprzeczało się, który z nich pociągnie za sznurki. W końcu odpowiedziała tylko:

- Spodziewam się listu, który ułatwi mi rozstrzygnięcie o mojej przyszłości. Rozumie pani, jak to jest.

- Każdy sam tylko wie, czego mu potrzeba - z uśmiechem odparła pani Flack.

Zdana na łaskę Losu, wyczerpana rozterką, pani Jolley pokornie i ulegle spuściła głowę. Pozwoliła się odprowadzić przez hall, pod portretem

Dwóch księżniczek z P^{sem} ' P°d

włóczkowym dywanikiem przedstawiającym charta i wyszytym własnoręcznie przez panią Flack w okresie oczekiwania na oświadczyzny pana Flacka.

Przyjaciółki rzadko przedłużały pogawędkę przy pożegnaniu, wymieniały co najwyżej krótkie uwagi na temat możliwego deszczu lub pogody, toteż po chwili pani Jolley już wędrowała ulicą, z głową wciąż skromnie spuszczoną, jakby po komunii wracała od ołtarza, świadoma, że wszystkie panie z wszystkich okien zauważają ten jej świątobliwy nastrój. Bo przyjaźń niewątpliwie oczyszcza duszę.

Chociaż nie wspomniano już ani razu jej nazwiska, pani Flack była stale obecna w Xanadu. Panna Hare czuła tę obecność. W określonym, trochę metalicznym świetle, za kępami zwichrzonych, spragnionych wody laurów, w kątach pokojów, gdzie nóżki mebli zapadały się między spróchniałe deski podłogi, na podestach schodów, gdzie podarte tapety bezwładnie zwisały brunatnymi girlandami albo opadały od ściany wielką pojedynczą wiotką płachtą, pani Flack narzucała się szczególnie natrętnie, aż wreszcie panna Hare już nie tylko lękała się utracić towarzyszkę i gospodynię, która nawet w najlepszych chwilach przedstawiała skarb dość wątpliwy, lecz zaczęła obawiać się gorszej klęski: niebezpieczeństw grożących całemu jej mieniu. Na razie pani Flack za pośrednictwem pani Jolley wcisnęła się w szczeliny pomiędzy kamienie. Właścicielka Xanadu budziła się w swej podartej pościeli i z drżeniem oczekiwała na grzmot walących się murów. A może będzie to tylko straszliwy głuchy pomruk opadającej biernie masy pyłu?

Obie możliwości przerażały pannę Hare.

Pewnej nocy dostała czkawki, a marmurowe sale Xanadu rozbrzmiewały odgłosami tej samej przypadłości. Panna Hare

błądziła tam i sam, zawadzając to ramieniem, to łokciem o sprzęty, wśród rozbrzęczanych szkieł. W salonie tracony kryształ spadł na podłogę.

- Co tam wyprawia moja niezgrabna dziewczynka?! - zawołała pani Jolley. - Czy nie mogę pani nawet na chwilę zostawić samej?

Już nadbiegała. Zawsze w krytycznych momentach zjawiała się jak gdyby z wysokości, człapiąc przydeptanymi pantoflami po marmurach. Niosła z sobą lampę, która płynęła przez noc niby bukiecik kwiatów. Wreszcie pani Jolley stała pośrodku salonu z bukiecikiem żółtych kwiatów w ręku.

- Nie można pani zaufać - oświadczyła godna zaufania gospodyni, widząc lśniąco okrzyki dzbana ze srebra i kryształ.

- Przecież to moje własne rzeczy - ośmieliła się zauważyć właścicielka.

- Och, tak - ze śmiechem odparła gospodyni. - Pani własne rzeczy, na pewno.

- I nikt mi ich nie odbierze?

- Nikt, pani sama w drobny mak wszystko wytłucze. Cały dom chyba także. Co pani wtedy zrobi? Będzie pani biwakowała pod *bunya-bunya* i liczyła krople deszczu?

- Mam czkawkę - powiedziała panna Hare - a raczej miałam. Zdaje się, że już mi przeszła.

Żółty bukiecik drgał w ręku pani Jolley.

- Przestrach panią uleczył. Mogłaby pani zrobić majątek, ciskając tymi gratami we wszystkich cierpiących na czkawkę z całej kuli ziemskiej.

Ciemności wirowały wstrząsane wybuchami uciechy pani Jolley. Mimo że uzdrowiona z czkawki, panna Hare czuła się bardzo niedobrze.

- Proszę pani - zaczęła - pani przyjaciółka... Groźne słowo rozległo się jak grzmot.

Ale pani Jolley, zwijając się w pancerzu gorsetu, pochylona, zbierała szczątki dzbana i wydzwaniała na nich lodowatą melodię, zgarniając je z różnych stron na jedno miejsce. Możliwe, że nie dosłyszała słów panny Hare. A panna Hare nie miała pojęcia, jak by dokończyła zdanie, gdyby początek dotarł do uszu gospodyni.

Pani Flack bowiem władała wprawdzie atmosferą, lecz nie była potęgą dotykalną.

Po chwili pani Jolley wyprostowała plecy.

- Nie opuści mnie pani? - spytała panna Hare. Gospodyni milczała.

Można by pomyśleć, że odkryła

właśnie obrzmienie na swej wardze. Sytuacja była niezwykle kłopotliwa.

- To znaczy w tych ciemnościach - wyjaśniła panna Hare.

- Przedtem pani tu była sama. - Głos pani Jolley dźwięczał teraz jak dzwon. - Razem z czkawką. I jeszcze dawniej. I jeszcze dawniej.

Zdawała się rozdrażniona.

- Och, tak - odparła panna Hare. - I będę. Jeśli mi nic nie przeszkodzi.

Otworzę okiennice. Zapomniałam o księżycu. Posiedzę sobie trochę. W spokoju.

Wkrótce kilka plam światła rozlało się na posadzce, a panna Hare żeglowała po nich długo po odejściu pani Jolley. Dłużej, niż przewidywała, utrzymała się na powierzchni i wielkim wysiłkiem woli zdołała uniknąć zderzeń z brzegami ciemności. Groziły jej jednak inne niebezpieczeństwa, niektóre zjawy rozplywały się w ostatnim momencie życzliwie, w innych rozpoznawała bez wahania siły wrogie. W zamglonej ciszy dwie kobiety, najgorsze jej dręczycielki, rozpuszczały włosy i zasłaniały nimi twarze jak welonem. Słów z ich ust nie mogła dosłyszeć. Uprzytomniła sobie, że nie umie odgadnąć motywów działania, jeśli nie może czytać z twarzy.

Nad ranem pani Jolley objawiła się w bieliźnie i wyrwała ster z zziębniętych rąk podróżniczki. Potrząsana gniewnie łódź ociekała wyraźnie kroplami rosy na wszystkich wypukłościach.

- Ależ pani mnie nienawidzi - powiedziała panna Hare, oglądając teraz uosobienie zła.

Twarz ratowniczkii drgała z irytacji. Usta postarzałe bez zębów powinny by wyrażać niewinność, lecz słowa niemal w pianie wściekłości dobywały się spomiędzy dziąseł.

- Chodzi mi tylko o pani zdrowie - syknęła pani Jolley. - Jestem w pewnym stopniu odpowiedzialna, chociaż nie rozumiem, co mnie opętało, że się tego obowiązku podjęłam.

Zło jest zarazem dobre - zrozumiała panna Hare.

- Ale jeszcze się pani nie nacieszyła do syta dręczeniem mnie - powiedziała.

- Nie będę sobie na próżno strzępiła języka na dyskusje ze zbzikowaną osobą - odparła pani Jolley, prowadząc ją w stronę schodów.

Przy śniadaniu zachowywały się obie tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Ranek był rzeński. Pannie Hare zdawało się, że wraz ze światłem zstąpiło na nią objawienie. Przepęłniała ją wiedza. Promieniała nowymi odkryciami.

- Widzę teraz - oświadczyła, chrupiąc frytki - że myliłam się co do Xanadu. Niepotrzebnie się bałam. Nie lękałam się już, że mogę je stracić, bo zachowam na zawsze nabyte doświadczenie.

- A cóż pani ma za doświadczenie?! - wybuchnęła gospodyni.

- Przez wiele lat, kiedy jeszcze dom był pełen ludzi, siadywałam pod stołem między ich nogami i widziałam wiele różnych rzeczy.

- W dużym domu zawsze się dzieją różne rzeczy, ale widzi je tylko służba. Pani siedziała na tych samych miękkich poduszkach co pani mama i tatuś.

- Byłam służącą służących. Byłam bardzo brzydkim dzieckiem. Pokojówki czytały mi swoje listy, ponieważ dla nich prawie nie istniałam, a czasem pozwalały mi sobie usługiwać, zwłaszcza kiedy się stroiły, żeby w dużych eleganckich kapeluszach iść na spotkanie z przyjaciółmi.

Pani Jolley prychnięciem zbyła te bzdury.

- Lepiej niech pani się zajmie frytkami - poradziła.

- Ale nie o tych doświadczeniach mówiłam. Myślałam o innych, na przykład o wodzie. Jeśli człowiek długo przebywa z nią sam na sam, staje się do niej podobny. Wnika w wodę.

Pani Jolley wstała i wrzucała statki do zlewu. Porcelana szczekała ostrzegawczo, lecz jakoś nic się nie tłukło.

- Nie wiem jeszcze, czy to będzie mi zaliczone jako dostateczny wkład - ciągnęła panna Hare. - Może ktoś mi powie. I zarazem nauczy, jak odróżniać niezawodnie dobro od zła.

Twarz pani Jolley, zajętej wciąż jeszcze przeżuwaniami, napęczniała gruzłami. Najwidoczniej gospodyni nie zamierzała odpowiedzieć, i to nie tylko dlatego, że miała pełne usta.

- O ile wiem, samo Xanadu, chociaż muszę je nadal kochać, jest złe.

- Co to, to prawda! - wykrzyknęła pani Jolley, przełykając wreszcie ostatni twardy kawałek, z którym się dotychczas mocowała.

- Podobnie jak pewne wyroby z plastiku - dodała panna Hare. - Plastik jest zły, zły.

Teraz czuła się niewątpliwie silniejsza, a pani Jolley była urażona.

Wkrótce potem poszukiwaczka poszła do ogrodu, chwilowo pokrzepiona nową wiedzą. Zdawała sobie oczywiście również sprawę z wielkich jej, niestety, braków, jak zawsze dających o sobie znać mrowieniem w czubkach palców.

Zdawało się naturalne i wkrótce już stało się zupełnie jasne, że pani Jolley knuje coś, a nawet może planuje całą serię tortur, sądząc z pilności, z jaką liczyła dni. Przystawała często na długą chwilę przed kalendarzem, który nabyła w sklepie towarów mieszanych, uzupełniając w ten sposób niedostatki domu, bo panna Hare nie tylko nie zwracała uwagi na dni, ale w ogóle nie zastanawiała się nad przepływem czasu.

- Kto by to powiedział, że już tu jestem tak długo

- stwierdziła kiedyś głośno.

- Ja powiem - roześmiała się panna Hare. - Ale to rzeczywiście niespodzianka.

- Tylko dlatego, że mam sumienie - wyjaśniła pani Jolley.

- Możliwe - powiedziała panna Hare.

- I czekam na radę.

- Chętnie bym pani służyła radą, gdybym mogła - odparła panna Hare całkiem szczerze. - Ale nie można rozstrzygać za drugiego człowieka.

Pani Jolley wzbijała ścierką w powietrzu obłok kurzu, co robiła dość często, zapewne za podszeptem sumienia, lecz bez żadnego rezultatu.

- Wie pani, myślę, że teraz jestem dość silna, żeby zostać sama, jeśli pani zdecyduje przenieść się do przyjaciółki.

Pani Jolley odpowiedziała pomrukiem.

- Przyjaźń - zauważyła - czasem pociąga za sobą ryzyko.

- Przyjaźń jest jak dwa noże - powiedziała panna Hare.

- Kiedy je pocierać o siebie, ostrzą się nawzajem, ale często się zdarza, że jeden się nagle osunie i odetnie człowiekowi palec.

Wtedy pani Jolley wpadła we wściekłość i rozdarła szarpnięciem firankę w oknie jadalni, ale panna Hare nie zmartwiła się tym wcale. Czuła, że zyskała chwilową przewagę.

A może w niej też tkwiło jakieś zło, które niekiedy brało górę? Jakiś pierwiastek ludzki. Panna Hare tęsknie wspominała chwile, gdy zatracala własną osobowość, stapiając się z drzewem, krzakiem czy też z martwymi przedmiotami albo wnikając w dusze zwierząt, których pragnienia były jednoznaczne, a więc uczciwe.

Zgnębiona, chociaż zarazem wzbogacona w nową mądrość, nie była zaskoczona, gdy zdarzył się wypadek, dzięki któremu pani Jolley odzyskała szacunek dla samej siebie.

Pewnego ranka, o chłodzie, bo wczesną porą, gospodyni wyszła na podwórko i tam tupiała i hałasowała tak, że zaniepokoiło to nasłuchującą pracodawczynię. Panna Hare stała w spiżarce, gdzie w kąciaku czuła się zazwyczaj dobrze w zapachu jabłek, niekiedy wśród pisku myszy, a zawsze w świetle przesianym przez stare, pogięte trzciny żaluzje. Tym razem jednak, gdy wsłuchiwała się w podejrzaną krzątanicę na podwórku, serce waliło jej w piersi gwałtownie, aż w końcu, rozróżniając wyraźnie i niewątpliwie szczęk łopaty na kamieniach, poderwała się, zląła pospiesznie z krótkich, lecz stromych schodów, przebiegła nieskończenie długi chodnik w zalatującej woni stęchłej wody i wreszcie zatrzymała się, niezdarła i zawstydzona, w progu drzwi wychodzących na dziedziniec.

- Ach! - krzyknęła. - Zabiła go pani.

Głos, dobyty resztką tchu, zranił jej gardło i zabrzmiał niespodziewanie w zimnym porannym powietrzu.

- A tak! - wrzasnęła pani Jolley.

Podwórko nie było odpowiednim dla niej miejscem, wiedziała to. Włosy miała rozwiane, schludną zwykle suknię w nieładzie, lecz wobec **niezwykłości** sytuacji i dokonanego w zrywie odwagi czynu neszyja sje nawet tym zamęt. Uśmiech, który powinien by/^ec*wy^, diabelski, zdawał się miły i niewinny, gdy spogljf[t]jała^pa **kOTWec** łopaty.

Czy też na węza, którego szczątki jeszcze drgały.

- Zabiła go pani - oskarżała ją panna Hare, rozzalona. - Stawiałam dla niego mleko i wypijał je, a czasem pozwalał mi stać w pobliżu i patrzeć, chociaż nie zdobyłam nigdy całkowicie jego zaufania. Jest widać we mnie coś złego.

Oddychała ciężko.

- Zabiła pani węza.

- To nie zabójstwo - odparła pani Jolley, odstawiając łopatę. - To uwolnienie świata od złej istoty.

- Komu wolno rozstrzygać, co jest złe? - zapytała panna Hare.

Bądź co bądź znalazła dość siły, żeby znieść to, co się stało, w dodatku tutaj, na podwórku, gdzie zdarzyło się tyle innych nieszczęść, gdzie dokonała się ofiara biednej kozy, nie mówiąc już o nieopisanej grozie śmierci ojca.

Schyliła się, żeby pozbierać szczątki węza.

Pani Jolley z krzykiem chwyciła się za włosy.

- On panią ugryzie! - wrzeszczała. - Podobno jad w nich zostaje, nawet kiedy zdechną.

Piegowate, szkaradne ręce panny Hare były niezmiernie tkliwe i śmieszne.

Pani Jolley najpierw zachichotała, potem roześmiała się głośno.

- Ależ jestem odważna - triumfowała. - Sama nie wiem, jak mogłam to zrobić.

Nie chciała nawet patrzeć, gdy pracodawczyni grzebała węza.

Wyczerpało ją to zwycięstwo.

Ale niemal zaraz potem nadała się znowu.

Dąsała się przez kilka dni, zapominając nawet o dystynkcji i macierzyństwie, aż w końcu panna Hare próbowała ją zagadywać:

- Czy Elma jest zwolenniczką plastiku? Albo też prosiła:

- Niech mi pani opowie o tym wieczorze, kiedy Merle urządziła bufet i przyjęcie dla wysokich urzędników celnych i kiedy sos się przypalił. - Interesowało ją to szczerze, chętnie by popatrzała też na urzędników siedzących przy polerowanych biurkach i pijących w godzinach służbowych herbatę ze śmietanką.

Czasem pytała:

- Czy pan Apps ma wąsy? Nigdy mi pani o tym nie mówiła.

Albo:

- Ciekawe, czy ja bym się bała palacza?

Pani Jolley nie odpowiadała, ponieważ była w złym humorze, a panna Hare trochę się wstydziła, że umie współzawodniczyć w okrucieństwie z innymi ludźmi.

- To ja jestem zła - wzdychała półgłosem.

Dom tymczasem wciąż rozbrzmiewał rozmaitymi głosami. Gdy kobiety zapomniały pozamykać okiennice, co zdarzało im się teraz niemal codziennie, wiatr ciągnął przez pokoje zasypując brokaty liśćmi, a raz na parterze pośrodku stołu znalazł się nawet papier od śniadania jakiegoś turysty czy komiwojażera. Panna Hare, gdyby nie jej stereoskopowe wspomnienia, byłaby zmartwiona i zaskoczona.

- Tego już za wiele - powiedziała pani Jolley. Przyniesiony z wiatrem papier dał się bez trudu zgnieść

w kulkę i cisnąć w kąt, gdzie nie rzucał się w oczy. Zrobiła to panna Hare. Przez cały jednak czas było jasne, że coś musi się stać. Pani Jolley czekała na natchnienie, panna Hare na wyjaśnienie, a kto czeka, ten zwykle w końcu osiąga przedmiot pragnień w tej lub innej postaci.

W przypadku gospodyni uporczywy brak materialnych znaków osłabił być może jej wiarę, a to powodowało zwłokę. Czy możliwe, by sterty czerwonej cegły, do których

przywykła się garnąć, były skazane na rozsypanie się w gruzy tak samo jak kamienie Xanadu? Byłaby to zbyt wielka, zbyt niewiarygodna bomba burząca ład jej uporządkowanej duszy, toteż pani Jolley odtrąciła tę myśl od siebie. Ale bomby zawsze zdają się niewiarygodne, póki nie spadną naprawdę. Ilekroć to podejrzenie przekradało się przez drżący welon jej wiary, otwierała książkę do nabożeństwa i daremnie szukała jakiejś skutecznej modlitwy, łudząc się, że taka modlitwa istnieje, choć dotychczas nie zauważona. Czasem chciała nawet wezwać na pomoc cień swego zmarłego męża, lecz w porę przypominała sobie okoliczności, w jakich się pożegnali, podniesioną brew, usta zacięte, na zawsze już wgryzione w ostatnie słowo, twarde niczym kamień. Pani Jolley rezygnowała więc z tej pomocy. Cierpiała na zgałę i nieraz na całe przedpołudnie zostawiała zęby w szklance.

Prawdziwą wszakże przyczyną jej zmartwień była oczywiście pracodawczyni. A skoro to zostało ustalone, panna Hare musiała odpokutować.

Snując wciąż nowe plany, gospodyni krzątała się po domu. Próbowwała teraz wszystkich drzwi dotychczas nie otwieranych i manewry te zaprowadziły ją kiedyś na górę, pod kopułę z ametystowego szkła, gdzie zastała tylko zaduch i mnóstwo starych obgryzionych kurzych kości. Szperała po szafach, wśród gąszczy długich haftowanych sukien; zimny deszcz dżetów kapał na wierzchy jej dłoni, źdźbła piór i kłębki puchu, przegapione przez ścielące gniazda myszy, drażniły jej nozdrza. Nie wzdragała się w razie potrzeby przed wyłamaniem zamka, żeby przeczytać nagromadzone po szufladach listy, lecz nigdy w nich nie znalazła nic prócz słów.

Nie rozporządzała żadną poważną bronią, nabitą niezawodnym ołowiem albo też zakończoną stalowym ostrzem, które by rozstrzygnęło sprawę okrutnie, choć czysto, i ten brak doprowadzał ją do szczerzej rozpacz. Nie mogła uwierzyć,

by tak ponure tunele zbutwiałej świetności prowadziły ostatecznie ku pustej i niewinnej arenie. Rozważając tę niezbitą poszlakę winy, pani Jolley zatrzymała się któregoś ranka przy inkrustowanym stole i nagle spostrzegła przedmiot, który zapewne leżał tam od dawna, lecz którego dotąd nie zauważyła, roztargniona wskutek nadmiaru kłopotów: wachlarz obszyty piórami flaminga, dar ormiańskiego kupca z hotelu w Assuanie. Ledwie trochę rozchyliła ten nędzny szczątek połamanego szylkretu, podartego pergaminu i piór, które z biegiem lat zbladły i straciły płomienną barwę. Pani Jolley znieruchomiała; w umyśle jej jakieś okno uchyliło się tak, jak ten wachlarz, na pół otwarty w rękę.

Panna Hare zrozumiała to od razu aż nazbyt jasno.

Staneła w progu w swoim nieodstępnym słomkowym kapeluszu na głowie. Sam fakt, że gospodyni odkryła jej wachlarz, nie miał większego znaczenia; stosunki między matką a córką opierały się bardziej na obowiązku niż na miłości. Córka jednak wyczuła w tej chwili, że wachlarz może się stać osią, od której zależeć będzie obrót sprawy, otwarcie jakiejś nieobliczalnie szerokiej perspektywy.

- Lepiej niech go pani odłoży - zaproponowała. - Jest stary i bardzo kruchy.

- Piękny wachlarz - powiedziała z nieszczerym uśmiechem pani Jolley. Z na pół otwartego okna wychyliła się na pół diabelska, na pół dziewczęca.

- W sam raz na bal - dodała.

Zawirowały jej przed oczyma jaskrawe wspomnienia balów, na których obnosiła tacę z lodami dla tancerzy.

- Proszę, niech pani go odłoży - błagała panna Hare, bez nadziei jednak.

- Jak to sobie balowali w tych swoich łabędzich puchach - śmiała się pani Jolley - które potem mole zżarły. Całe noce, aż do rana.

I wtedy stało się coś strasznego. Pani Jolley zaczęła tańczyć, z początku powoli, jakby tylko na próbę, suwając praktycznymi codziennymi bucikami po posadzce salonu Xanadu. Wyraz jej twarzy, ruchy rąk i nóg były jeszcze niepewne. Ale zwyciężył w niej demon odwagi. Mięśnie policzków przestały drżeć. Usta zastygły w porcelanowym, obsesyjnym, sinawobiałym uśmiechu. Posuwiście, płynnie, chociaż trzeszcząc trochę, co było nieuchronne wobec sztywności pancerza, wymykała się spod władzy własnej woli i woli pracodawczyni.

Pracodawczyni! Zawsze ją ten tytuł śmieszył. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Posuwiście, płynnie wymknęła się z salonu do jadalni. Już nawet obracała się w kółko.

Głowę odchyliła wstecz. Mięśnie napięły się na szyi. Śmiech wydobywał się z naprężonego gardła jak gdyby twardymi bryłami.

- Na balu! Na balu! - podśpiewywała pani Jolley. Trzeszczała. Wirowała, kaszłała. Z powodu kurzu.

- Choćby się pani nie wiem jak starała, mnie pani zranić nie może! - zawołała panna Hare. - Nie będę patrzeć na to.

A jednak szła za nią - czy może ją prowadziła? - w swym słomkowym kapeluszu. Potykała się i zataczała na krótkich, niezdarnych nogach.

- Wszyscy młodzieńcy cisnęli się, żeby zatańczyć z córką właściciela Xanadu - śpiewnie recytowała pani Jolley.

Gestykulowała przy tym wachlarzem, przewracała oczyma, które odmłodziły i stały się bezlitosne, jak błękitne oczy przyszłych matek.

- Wszyscy kawalerowie, wąsaci i gołowąsy! - krzyknęła. - A także mazgaje kuzyni.

- Och! - jęknęła panna Hare.

Kłębek pierza flaminga sfrunął z wachlarza.

Panna Hare szła krok w krok za tancerką. A może ją prowadziła? W każdym razie zataczała się chwiejnie. I pochłipywała.

Figury tańca, chociaż krętym szlakiem, poprzez salę i przedpokój, korytarzami, podestem schodów i schodami niebezpiecznie stromo pod górę, prowadziły wprost w przeszłość, która nigdy nie zdawała się tak groteskowa jak w tych draperiach z perkalu i przysypana suchym różem. Gdy tak panna Hare szła za nią - czy też ją prowadziła - a pani Jolley płasała, czasem lubieżnie wtulona w ramiona partnera, czasem zmuszając złocone krzeselko do tanecznych podrygów, wszyscy tancerze i wszystkie dawne walce wracały do Xanadu: dostojne łona i drobne pączki, żyły koralu i wyblakły atrament, kredowe policzki i wykrzywione grymasem udreki twarzy i młodzi ludzie, młodzi ludzie. Nigdy lakierki nie piekły tak boleśnie jak podczas tego morderczego popisu pani Jolley. Nigdy orkiestra z Sydney nie grała tak wspaniale pod kandelabrami. Nigdy rozmowa nie zadała głębszych ran.

Powłócząc nogami, zataczając się, potykając, tancerze co chwila niebezpiecznie obijali się o balustradę. Panna Hare chwyciła się za serce, pani Jolley wstrzymywała oddech z przerażenia. Mimo czaru arabski, którą można było, narażając życie, wysnuć z powietrza i muzyki, właścicielka Xanadu wołała patrzeć na one-stepa. Ten taniec zdawał się łagodniejszy, łaskawszy dla smukłych piękności, tak pracowicie i smutnie kołyszących się w rytmie tam-ti-tam.

Ten taniec pośród wielkich, chłodnych, rozjarzonych pokoi był straszliwie smutny, zarówno w lustrze, jak we wspomnieniu.

W końcu panna Hare musiała zaprotestować.

- Dość. Proszę. Dość! - zawołała, a sznurki rządzące jej ruchami tym razem na szczęście nie zawiodły i zdołała podnieść rękę.

Zatrzymali się tancerze. Zatrzymała się pani Jolley.

- Dziękuję - szepnęła bez tchu panna Hare. - Za wiele jak na mnie wrażeń w ciągu jednego dnia.

Niemal ginęła pod gaśnicą swojego ciężkiego kapelusza. Pani Jolley zdziwiła się i zapewne przemówiłaby tonem bardziej karcącym, gdyby nie to, że była zdyszana.

- Ależ mnie pani urządziła z tym tańcem - powiedziała.

- Mogłyśmy obie karki poskręcać, ale nie śmiem krytykować, po pierwsze nie wypada w moim położeniu, a po drugie wiadomo, że pani nie zawsze może za siebie w pełni odpowiadać. Tak to jest.

- Nie mogę za siebie odpowiadać? - spytała panna Hare. Bardzo cicho. Gospodyni w pierwszym momencie zaniepokoiła się, czy nie za wiele sobie pozwoliła, potem zdecydowała się zaryzykować jeszcze więcej. Nie wolno tracić takiej okazji.

- Nie pamięta już pani pewnego wieczora na tarasie

- zawołała szybko - ani tego, co pani wtedy powiedziała i co zrobiła, i jak potem pani zemdlą!

- Na tarasie? Kiedy? - spytała panna Hare. Cichutko.

- Trudno, żebym zapisywała daty - warknęła przez zaciśnięte zęby pani Jolley. - Nie mogę też dokładnie powtórzyć pani słów. Ale miałam na kostkach sińce przez kilka dni.

- To ja panią posiniaczyłam?

- Jeszcze jak. Zrobiłaby mi pani gorszą krzywdę, żeby nie to, że tak prędko pani zemdlą.

- Nie pamiętam nic a nic.

- Miała pani coś w rodzaju ataku.

Fala przerażenia omal nie zatopiła panny Hare.

- Czy coś powiedziałam? - spytała. - Coś ważnego?

- Zależy, co dla kogo ważne.

- Proszę mi powiedzieć - rozkazała panna Hare. Pani Jolley wahala się przez chwilę.

- Proszę powiedzieć - nalegała pracodawczyni.

Pani Jolley zmieniła taktykę, częściowo dlatego, że wyczuwała bliski już *coup de grace*, a częściowo dlatego, że sama się trochę bała.

- Mówiła pani coś o Wozie.

Rzuciła te słowa lekko, a strach nie przeszkadzał jej w pilnym śledzeniu ich efektu.

- Nie chcę słuchać kłamstw! - krzyknęła panna Hare.

- Prawda jest najprawdziwsza, gdy ją ludzie nazywają kłamstwem - triumfowała pani Jolley.

- Pani jest zła, przewrotną kobietą - oskarżyła ją panna Hare. -

Wiedziałam o tym. Od początku wiedziałam.

- Kto tu jest przewrotny i zły? Czy nie ten czasem, co czeka o zachodzie słońca na wozy ogniste jak na taksówkę?

- Pani jest zła, okropnie zła - powtórzyła panna Hare.

- A pani jest chora. Powinnam była wezwać lekarza, ale nie zrobiłam tego po prostu przez delikatność.

- Nigdy niech pani nie wzywa do mnie lekarza. Nigdy.

- Nie pobędę tutaj już długo.

- Nie ucieknie pani od swoich myśli, a to jeszcze gorsze.

- Co pani wie o moich myślach?

- Tylko to, co mi pani powiedziała.

Pani Jolley ścisnęła w garści fałdy fartucha i nie mogła jakoś z nimi się rozstać.

- Obie jesteśmy z tej samej gliny - mruknęła.

Na to panna Hare nie chciała się zgodzić i gorączkowo szukała w najskrytszych zakątkach myśli dowodu, że należy do wybrańców.

- Co ja właściwie powiedziałam? - nalegała. - Co powiedziałam tamtego wieczora? Na tarasie?

Pani Jolley milczała nadąsana.

Gdyby nie zmęczenie, panna Hare przestraszyłaby się jeszcze bardziej.

Gdzieś w pobliżu buczał szerszeń, zajęty

budową gniazda. Gospodyni ulotniła się swoim zwyczajem. Nie mogła istnieć bardziej bezludna i wietrzna pustynia niż kraj, o którym opowiadał głos szerszenia.

A jednak był to jeden z najpogodniejszych dni wiosny, odkąd pojawiła się świeża trawa. Zdawało się, że pod trawą tętni życie świata. Światło nie było już szczerozłote i nie płynęło ze słońca, lecz zielonkawie i przymglone żółtym oparem sączyło się z ciała trawy. Kiedy panna Hare weszła w królestwo zieleni, groty traw ukłuły ją boleśnie, stała się celem dla tysiąca ostrzy. Znała oczywiście gorsze rzeczy. Toteż poszła dalej. Poszła dalej przez wojowniczą, szorstką, szeleszczącą trawę, przez polanki cienia, gdzie zielsko kładło się miękkimi, ocieźzałymi, cuchnącymi pokosami. Poszła ku miejscu, gdzie niegdyś był sad i którego nie odwiedzała, jak jej się zdawało, od bardzo dawna. Nie obrażony tak długim zaniedbaniem sad powitał ją uroczyście. Gąszcz starych drzew przedelfilował w pełni nowego blasku, ozdobiony nietrwałą urodą dziewiczych kwiatów. Rosła tu między innymi śliwa, największa chyba w świecie.

Śliwa najwidoczniej osiągnęła w tym dniu szczyt dorocznej chwały. Zbita masa bieli śmiało współzawodniczyła z zielenią trawy i podkreślała błękit nieba. W dodatku słońce wróciło i zapanowało nad światem, zatknąwszy roziskrzoną chorągiew w koronie drzewa.

Panna Hare brnęła dalej przez pachnące mocno trawy. Chętnie by tak płynęła wiecznie po ich falach ku wyspie swojego drzewa, wyciągając ręce już nie błagalnym gestem, prosząc o ratunek, lecz na znak, że je poznaje.

Wychynął z cienia gałęzi, gdzie zapewne dotychczas siedział.

- Och - powiedziała panna Hare i zatrzymała się, po kolana zanurzona w morzu traw.

Czekał na nią pod drzewem ktoś, kogo widziała po raz pierwszy w życiu.

- Przechodziłem - powiedział - i zauważyłem to drzewo.

- Ach tak. To moje drzewo - odparła. - Prawda, że piękne? A ja tego nie spostrzegłam przez wiele lat.

Pomrukiwała radośnie i przyjaźnie. Nieznajomy, jak się zdawało, także ją witał życzliwie, a w każdym razie nie odtrącał przyjaźni. To jej dodało otuchy.

Był bardzo brzydki i niewątpliwie nietutejszy.

- Może chciałby pan posiedzieć w cieniu i nacieszyć się tym drzewem? - spytała.

Uszczęśliwiona ciepłem i słońcem, nie zmartwiłaby się nawet, gdyby nieznajomy odmówił. Zwykle przecież spotykała się z odmową.

Ale ten człowiek nie odrzucił zaproszenia.

- Jestem Himmelfarb - przedstawił się poprawnie, zabrzmiało to jednak dziwnie.

- Ach tak?

Oboje schylili się jednocześnie, żeby wejść pod gałęzie, które miały baldachimem osłonić ich głowy.

CZEŚĆ DRUGA

v

Kiedy usiedli na dwóch kamieniach, które zdawały się być dla nich przygotowane u stóp drzewa, oboje przez chwilę wzajemnie o sobie zapomnieli, odwróceniu ku materialnemu światu, jak gdyby chcieli po raz ostatni objąć wzrokiem znajome kształty, przeczuwając, że może wkrótce nowe doświadczenia usuną je z kręgu ich życia. Z wnętrza kwitnącego namiotu mogli teraz zauważyć, że gęstwinię sadu przecinają liczne szare kreski suchych gałęzi. Drzewa, żywe, lecz zagrożone, które zieleniły się tym jaśniej, że były chore, melancholijnie protestowały przeciw jaskrawości światła, a drobne zeschnięte pomarańcze płonęły gorączkowym złocistym rumieńcem. Wszystko to niezwykle wyraźnie narzucało się oczom i myślom patrzących spod śliwy dwojga ludzi i mogłoby się wydać zaprzeczeniem nadziei, gdyby nie mnóstwo dowodów ciągłości życia: ptak wtulony w szary kielich gniazda, gromada młodych królików kręcących się nieustannie w trawie, ruchliwe powieki, które zdradzały, że jaszczurka nie skamieniała na słońcu. Było zupełnie cicho, tylko w gałęziach śliwy życie szumiało coraz głośniej, coraz głośniej, ogłuszająco, aż wchłonęło oboje słuchaczy. Panna Hare zwróciła się do swego towarzysza, niepewna, czy należy on do tego typu ludzi, przed którymi trzeba się usprawiedliwiać.

130

- To właśnie naprawdę mnie interesuje - powiedziała. Bardzo przydałaby się jej pomoc rąk, ale ręce odmawiały współpracy. - Te wszystkie rzeczy - dodała, pomagając sobie niezdarnym ruchem głowy - to rozumiem. Uświadomiła sobie, że jej wymowa jest beznadziejnie, bardziej niż kiedykolwiek nieudolna. Język zdawał się w ustach mały, okrągły i twardy.

Nieznajomy jednak przytaknął skinieniem głowy. Stwierdziła, że ten człowiek zechce traktować ją serio. Wyprostowała swobodnie kolana, obciążone brzydkimi wełnianymi pończochami. .

- Nam wciąż jeszcze trudno to docenić, chyba teoretycznie - rzekł. - Do niedawna byliśmy zamknięci w naszych gettach. Drzewa i kwiaty rosły poza murem, a właściwie poza granicą naszych doświadczeń.

Panna Hare skrzywiła się, napotykając już na wstępie rozmowy trudności.

- Muszę panu coś wyznać - powiedziała. - Nie mam wiele wykształcenia. Ojcu mojemu brakowało cierpliwości. A poza tym uchodziłam za niedorozwiniętą. - Wyznanie z trudem przeszło jej przez usta, ale uznała je za konieczne. - Mimo to wiele rzeczy zawsze umiałam zrozumieć.

Nieznajomy wcale się nie zdziwił albo też z natury był bardzo poważny.

- Mówiłem tak - podjął - bo jestem Żydem i wieki historii przyzwyczyły mnie do spoglądania we wnętrze, nie na zewnętrzną część świata.

- Och, inni ludzie także mają ten zwyczaj... - Urwała na chwilę. - To bywa straszne - szepnęła.

Ogarnęła ich zjeżona cisza.

Potem panna Hare wyciągnęła rękę i nieporadnym, lecz skutecznym gestem urwała gałązkę śliwy.

- Proszę patrzeć - rzekła, pokazując ją swemu towarzyszowi.

W tępych paluchach ścisnęła kwiaty. Czy w tym człowieku, podobnie jak w wielu innych, jej osoba wzbudzi odrazę?

Pochylił się, żeby z bliska obejrzeć kwiaty. Panna Hare nigdy jeszcze nie znalazła się tak blisko żadnego mężczyzny, nawet ojciec w rzadkich momentach zbliżeń zachowywał z reguły pewien dystans, unikał wszelkich gestów, które mogłyby się rozwinąć w uścisk; nic więc dziwnego, że w tej chwili obserwowała uważnie nieznanego.

Przyglądała się krótkim kędziorom wijącym się na jego szyi tuż nad kołnierzykiem. Splątana obfitość trochę podobnych do drutu niegdyś czarnych włosów roztkliwiała ją jak każdy przejaw życia, a jednocześnie panna Hare czuła się winowajczynią, jakby podpatrzyła sekret, którego godny szacunku przyjaciel nie usiłował przed nią ukrywać.

Nieznanomy z przesadnym zainteresowaniem oglądał kwitnącą gałązkę.

- Już prawie przekwita - powiedział.

- Nie, to dopiero początek - sprostowała. - Teraz zacznie się okres, który wiele osób uważa za nieciekawy. Małe jak główka szpilki zielone owoce. Zanim się zjawia duże, fioletowe, puszyste śliwki.

- Ale zjawia się też robaki - przypomniała sobie. - Śliwki będą pełne robaków.

Mówiąc, przez cały czas studiowała pory jego skóry. Brzydka twarz nieznanego jeszcze się przed nią nie otwarła, chociaż panna Hare wyczuwała, że ten człowiek nie będzie nic umyślnie zatajał. Twarz miał kamienną, ale z pewnością było w niej to ciepło, które mają w lecie posągi przechowujące żar słońca długo po zachodzie. Szczególnie fascynował pannę Hare jego duży nos. Powinien by się wydawać okrutny, a tymczasem przeciwnie, wyglądał tak łagodnie, że miała ochotę go dotknąć.

- Pani bardzo dokładnie bada przyrodę - ze śmiechem powiedział nieznanomy.

- Już nie muszę badać - odparła. - Już teraz ją znam. Zaczerwieniła się po tych słowach, które Peg nazwałaby przechwałką.

Himmelfarb wciąż przyglądał się gałązce, chociaż oboje wiedzieli, że jest to już niepotrzebne. Kwiaty stały się czymś swojskim, jakkolwiek ręce panny Hare nadal obejmowały je łagodnie; przypominało to Himmelfarbowi zachowanie się zwierząt, psów uspokojonych co do zamiarów swego pana, kotki powracającej do karmienia swoich małych na oczach obcego człowieka. Piegowate, niezdarne ręce panny Hare tchnęły bezgraniczną ufnością.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałam pańskiego nazwiska - powiedziała jakimś obcym głosem, może zapożyczonym od matki czy od dawnej guwernantki.

- Himmelfarb.

- Och, nie! - zawołała. - Tego nigdy nie zapamiętam. Może pan ma imię łatwiejsze?

- Mordechaj.

- Jeszcze gorzej! - krzyknęła. - Znacznie gorzej. Zrobiła minę bezradną, lecz była zadowolona.

- Nazywano mnie rozmaitymi nazwiskami. Czasem wymyślonymi na poczekaniu. Właściwie jednak żadne nazwisko nie jest konieczne - powiedział. - Nawet prawdziwe.

Panna Hare spuściła wzrok, uchylając się od tego, czego nie mogła w pełni zrozumieć.

- Ja się nazywam bardzo zwyczajnie - oznajmiła z zawstydzeniem, prawie nie śmiać wymówić imienia i nazwiska. Ale gdy je w końcu powiedziała, Himmelfarb zdawał się uradowany i spytał niemal z entuzjazmem:

- Czy pani zauważyła, że jeśli dobrze się wpatrzeć, można na księżyciu dostrzec zająca?'

Aluzja do nazwiska Hare ang. zając.

- Nie wiedziałam. Wcale mnie to zresztą nie dziwi - odparła poważnie.
- Zwierzę ofiarne.
- Co pan mówi? - spytała bez tchu.
- W niektórych krajach ludzie wierzą, że zając poświęca się na ofiarę.
- Och, nie. Nie chcę w to wierzyć! - krzyknęła. - Dość sztyletów spotyka się na swej drodze, nawet gdy się ich nie szuka umyślnie.
- Wyobrażenie dobrowolnie poświęcającego się zająca jest z pewnością mniej okrutne niż pojęcie kozła ofiarnego, protestującego bekiem, ciągniętego przemocą za rogi.
- Kozła? Niech pan o tym nie mówi. Błagam. Ja doprawdy nic z tych rzeczy nie rozumiem.

Umilkł od razu i tak naturalnie, że uspokoiła się, ale powiedziała:

- Nigdy chyba nie spotkałam dotychczas Żyda. A może jednak. Był taki stary człowiek, którego ojciec czasem wzywał. Stroiciel fortepianów. Czy Żydzi bardzo się różnią od innych ludzi?
- Bardzo, różnica jest wielka jak świat.
- Pan jest z tego zadowolony?
- Nie mamy wyboru.
- Rozumiem - oświadczyła. - Ja też się różnię od innych. Roześmiał się i podniósł gałązkę z przywiedłymi już kwiatami, którą panna Hare właśnie upuściła.
- Można by wnioskować, że to nas zrównuje matematycznie i moralnie - rzekł. - To mnie cieszy.

Mówił bez ironii. Toteż z kolei ucieszyła się panna Hare. Ten Żyd nie będzie się z niej wyśmiewał.

- W fabryce, gdzie pracuję - mówił, zwróciwszy się znów do wnętrza, za mury wyższe niż te, o których przed chwilą wspominał - traktują mnie jak najdziwniejszą istotę w świecie.

- Oczywiście! - zawołała. - Oni zawsze się tak zachowują. Co pan robi w tej fabryce? Gdzie ona jest? Nie mogę sobie tego wyobrazić. Proszę mi opowiedzieć.

- W Barranugli. Wyrabiamy tam różne rzeczy, ale przede wszystkim latarki do rowerów.

- Nie cierpiałabym takiej roboty - odparła z uniesieniem. - Ale mieszka pan gdzieś w pobliżu? Mam nadzieję...

- W Sarsaparilli.

- Tak?

- Za pocztą.

- We własnym domu?

- Można by to tak określić.

- Wiem, wiem, taki mały brązowy domek. Och, własny dom bardzo pomaga. W domu można się ukryć...

I jak gdyby coś sobie przypominając, dodała:

- Do pewnego stopnia.

Żyd miał wrażenie, że szalona, pokraczna osoba umie wbijać mu drzazgi pod paznokcie i jednocześnie muskać go piórkiem.

- Ja mam dom - powiedziała ostrożnie. - Tam. Za sadem. Może go panu kiedyś pokażę. Zobaczymy.

Bo ten Żyd z pewnością zrozumie istotną tajemnicę i chwałę, której pani Jolley i osoby jej pokroju nie będą nigdy zdolne pojąć. Tak jest: chwałę, ponieważ rozkład, nawet ludzka odmiana zgnilizny, nie zawsze oznacza koniec.

- Rzadko rozporządzam wolnym czasem. Himmelfarb zdawał się być zakłopotany. Nie odrzucił zaproszenia. Raczej próbował opierać się czemuś, czego, być może, pragnął.

- Rozumiem - rzekła panna Hare. - Fabryka. Ale czasem musi pan odetchnąć. Nawet rośliny muszą oddychać.

Własny jej oddech brzmiał teraz spazmatycznie, chociaż zarazem triumfalnie. Nigdy jeszcze nie rozmawiała w ten

sposób z żadnym człowiekiem. Niespodziewane ziarna myśli kiełkowały w jej głowie i zdawało się, że lada chwila zrozumie rzeczy, które dotychczas były tajemnicami innych ludzi.

- Nieraz pozwalałem sobie naruszać granice pani ogrodu - wyznał Żyd - i siadywałem pod pani drzewem.

- To dopiero początek - zauważyła przyjaźnie.

W dzieciństwie nauczyła się podnosić pisklęta i sadzać je na gałęzi, a także pomagać skaleczonym lub wystraszonemu zwierzętom.

- Będzie pan tutaj przychodził, prawda? - prosiła, ale tym razem we własnym interesie. - Chciałabym, żeby mi pan różne rzeczy opowiedział. O swoim życiu. Dobrze?

Była po prostu zachłanna. Jej ręce gestami zastępowały słowa, których nie umiała znaleźć.

- Wielu szczegółów, wielu epizodów nie mogłaby pani na pewno zrozumieć - odparł Żyd trochę bardziej oziębłym tonem. - Z natury rzeczy.

- O, tak - zgodziła się natychmiast. - Tak już zawsze jest, że się wielu spraw nie rozumie. Ale to nie szkodzi. Bo jakiś drobiazg, z pozoru nieważny, wszystko wyjaśni. Tak jasno. Człowiek czuje się niemal olśniony - szepnęła.

Nagle zaczęła się dławić nadmiarem myśli i słów. Miała nadzieję, że nie wyda się nowemu znajomemu kretynką.

I tak się stało, że Żyd zawstydział się przelotnego odruchu wstępu, który w nim wzbudziła. Ten wyrzut sumienia nie był obcy uczuciu, jakiego doznawał w podobnych okolicznościach, gdy z powierzchownych zwykle przyczyn jego osobisty smak kazał mu w duchu odsuwać się od pewnych przedstawicieli własnego plemienia.

- To długa i zawiła historia - powiedział, opierając się⁰ pień drzewa, tak że kora zadrasnęła mu szyję, chociaż nie

zauważył nawet tego. - Może coś z niej pani opowiem. Kiedyś, innym razem.

Co najdziwniejsze, zaczął opowiadać natychmiast, może zdając sobie z tego sprawę, a może bezwiednie, aż wreszcie tak się zapamiętał, że zwierzył tej kobiecie z najbardziej poufnymi, najokropniejszymi szczegółami wszystko, co go w życiu spotkało. Oczywiście, mówiąc tak w parnej, nieruchomej atmosferze miał wrażenie, że zwraca się do zwierzęcia czy nawet do czegoś niższego od zwierząt. Widział kiedyś grzyby, które wydały mu się najbardziej bierną ze wszystkich postaci istnienia. Panna Hare tak samo umiała trwać całkowicie bez ruchu. Dopiero później Himmelfarb, uprzytamniając sobie tę swoją postawę, wzdrygnął się z poczuciem winy, jak gdyby zdeptał jakieś żyjące stworzenie.

Teraz jednak, pod drzewem dzwoniącym od pszczoł i ciszy, z bólem i rozkoszą zagłębił się niby we śnie we wspomnieniach. Nigdy chyba jeszcze nie pozwolił sobie na taki powrót w przeszłość.

Panna Hare słuchała.

- Tak? - szeptała niekiedy, ale tylko na początku opowieści; albo: - Och, nie, nie, niemożliwe.

Ręce jej usiłowały rozpraszać w powietrzu trudności, z którymi oboje się borykali, albo odpychać grożące niebezpieczeństwa.

Mordechaj Himmelfarb urodził się w Niemczech północnych, w mieście Holunderthal, w zamożnej rodzinie kupieckiej w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Jego ojciec Mosze handlował futrami za pośrednictwem licznych powinowatych z Rosji, których wielu zjawilo się przejazdem w Niemczech w okresie dzieciństwa Mordechaja. Wujowie i ciotki omawiali przyczyny tych podróży zwykle przy

drzwiach zamkniętych, a rozmowom akompaniowały ciche jęki rozpacz, jakimi matka przyjmowała wieści o krzywdach wyrządzanych jej plemieniu. Jeśli ojciec często zostawał po drugiej stronie zamkniętych drzwi i wołał głaskać głowę syna lub nawet popijać w knajpce piwo, nie wynikało to z braku współczucia, lecz z nadmiaru wrażliwości. Zdarzenia tego rodzaju tak silnie go wzruszały, że wołał zamykać na nie oczy.

Mały Mordechaj obserwował falę przyjezdnych napływającą niespodzianie i odpływającą po pewnym czasie; byli to kuzyni z Moskwy i Petersburga, już nie tak bogaci i głądcy jak dawniej, i ich żony, rozgorączkowane, cierpiące na bóle głowy, czepiające się resztek świetności, wciąż jeszcze zdolne sprawiać niespodzianki, gdy z najtajniejszych kieszonek mufki wydobywały drobne przedmioty z emalii i brylantów. Mordechajowi powiedziano, że cały ten różnorodny tłum uchodźców dąży do Ameryki w poszukiwaniu wolności, sprawiedliwości i lepszego jutra. Z hallu swego własnego, bezpiecznego niemieckiego domu patrzył, jak wyjeżdżali przez bramę o żelaznych kutyh sztachetach.

Zjawiali się też skromniejsi goście, w ciemniejszych, bardziej wyszarzałych ubraniach; przeszli przez równie ciężkie próby, matka przyjmowała ich z szacunkiem i tkliwością, ojciec witał bardziej jeszcze niż zwykle jowialnymi słowami. Między nimi znalazł się pewien rabin z Galicji, którego twarzy później Mordechaj nigdy nie mógł przywołać z pamięci, chociaż zapamiętał obecność i dotknięcie rąk.

Ten daleki kuzyn matki uratował z pogromu tylko to, co miał na sobie, i wiarę, którą żył. Dokąd się wybierał, nie wiadomo, ale zatrzymał się na chwilę w Holunderthal, w domu przy ulicy Holzgraben, a tam kuzynka zaprosiła go do małego, trochę ciemnego pokoiku, gdzie zazwyczaj przyjmowała poufne wizyty i prowadziła rozmowy

z prześladowanymi przez los krewniakami. Matka, jak zawsze w tym okresie na czarno ubrana, siedziała gładząc głowę syna. Nie patrzyła jednak na niego. W mrocznym wnętrzu, rozmawiając z przyjezdnym rabinem w języku, którego chłopiec dopiero później miał się nauczyć, matka promieniowała jakimś blaskiem. Mały Mordechaj miał ochotę przyglądać się dłużej tej lampie, która w niej zapłonęła, lecz niejasne poczucie dyskrecji kazało mu spuścić wzrok. A wówczas, jak spostrzegł, sam stał się przedmiotem zainteresowania dla tych dwojga. Matka pociągnęła go naprzód, na środek dywanu pokrytego geometrycznymi wzorami. Rabin dotknął chłopca ręką. Rabin swymi niemal kobiecymi dłońmi szukał na jego czole jakiegoś znaku. Kładł ręce na wilgotnych włosach onieśmiałego dziecka. Przez cały czas nie przerywał rozmowy z kuzynką w nieznanym języku. Wewnętrzny opór tajał w sercu chłopca, skąpanego w strumieniu słów, owianego obłokiem trwożnej czci. Wreszcie wszedł ojciec, bardziej niż zazwyczaj jowialny; poprawiał lśniące mankiety, przyglądał i tak nieskazitelne wąsy, w których każdy włos z osobna leżał na swoim miejscu i które zawsze pachniały prześlicznie pomadą. Ze śmiechem - bo Mosze śmiał się bardzo często, niekiedy ze szczerą chęcią, a niekiedy z zakłopotania - włączył się do rozmowy żony i kuzyna, ale zmieniając od razu jej tonację. I w końcu powiedział po niemiecku, jak gdyby z odrobiną przymusu: - Ano tak, nasz Mordechaj to po prostu mały cadyk. Śmiał się wciąż, bez złośliwości zresztą, na to był za uprzejmy. Jeżeli żona wybaczyła mu niesmaczny dowcip, to właśnie dlatego, że Mosze nieraz dał dowody swego w gruncie rzeczy dobrego serca. Mosze Himmelfarb był Żydem światowego usposobienia i liberalnych upodobań. Sprzyjający los prowadził go za

wymanikiurowaną rękę i przystrajał z dyskretną elegancją. Nic w nim nie było przesadnego, chyba tylko jego twarz, czasem z nagłą rażąca swym widokiem tolerancyjne osoby, które zapraszały Żydów, aby w nich wzbudzać podziw dla własnego dziwactwa. Nie przynosiło to jednak uszczerbku dobrym wzajemnym stosunkom. Mosze, ceniąc wysoko emancypację i żywiąc szczerą sympatię do gojów, nigdy by do tego nie dopuścił. Miał oczywiście rację. Wszyscy wyemancypowani Żydzi z grona jego znajomych gotowi byli zawsze poprzeć go, gdy twierdził, że nastał wiek oświecony i słońce powszechnego braterstwa nareszcie zaświtało nad zachodnią Europą. Żydzi i goje brali się wzajem w objęcia - przynajmniej od czasu do czasu - ze łzami roztkliwienia w oczach. Skończyły się dawne ponure czasy. Co prawda pozostawał jeszcze problem Europy Wschodniej, zdarzały się godne ubolewania wypadki. O tym każdy wiedział i każdy czuł się osobiście tym dotknięty, lecz nie sposób całego domu zamieść do czysta za jednym zamachem. Na razie więc wśród zachodniego żydostwa zbierano pieniądze na pomoc dla ofiar, a Mosze z reguły pierwszy składał ochoczo datki na ten cel. Lubił dawać, czy to okazałe sumy na liczne religijne akcje, czy to dzieła niemieckich poetów w podarunku synowi, czy to wino i cygara tym spośród gojów, którzy godzili się z nim obcować i w których był tak głęboko, z tak wielką wdzięcznością zakochany. Szczęśliwy, kto umie kroczyć pośrednimi ścieżkami, prawie nigdy nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo i nie dostrzegając, ku czemu zdąża. Mosze Himmelfarb należał do takich szczęśliwców. Rzadko krytykowano go bezpośrednio, chyba w błahych rodzinnych sprawach, bo zawsze uważał, by nie narażać się na krytykę. Nie naśladował fanatyków i uznawał swe zobowiązania wobec środowiska, w którym żył, chociaż praktykował swój własny obrządek.

Mordechaj zapamiętał jedwabne cylindry, w których ojciec występował zarówno z okazji państwowych, jak religijnych uroczystości.

Sprowadzane od angielskiego kapelusznika cylindry symbolizowały wytworną doskonałość, dostępną rozsądnemu człowiekowi. Bo Mosze Himmelfarb był niewątpliwie rozsądnym człowiekiem. Jeśliby ktoś twierdził, że Mosze nie był też niczym więcej, to stosowałby do niego inne, bardziej surowe, a można by nawet rzec, przestarzałe miary, wedle których błyszczący kapelusz uznać trzeba za przedmiot błahy, czczy, żałośnie kruchy.

Mimo wszelkich swoich słabości, mimo kręgu znajomych, wśród których wielu znalazłoby się ludzi tego samego co on pokroju, pachnących cygarami i dostatkiem, Mosze Himmelfarb, zawsze pełen najlepszej woli, nadal chodził do synagogi przy Schillerstrasse. Mosze i jego znajomi nie dali się zgnębić, tak jak inni współwyznawcy, nakazami swej religii, ponieważ byli rozsądnymi, raczej przyzwoitymi niż pobożnymi ludźmi, a gdyby ktoś oskarżył ich otwarcie i gdyby się ośmielili na to odpowiedzieć, oświadczyliby zapewne, że dusza żydowska nareszcie została wyzwolona. Mury się rozpadły, duszne izby otworzyły się na przewiew świeżego powietrza, kajdany rygorów w końcu się rozluźniły. A jednak wszyscy ci ogładzeni w świecie Żydzi z synagogi przy Schillerstrasse kołysali się wraz z innymi, gdy zginał ich wicher wspólnej modlitwy. Stojąc obok ojca mały Mordechaj uważał pilnie i czuwał, by dać się ponieść w tym samym kierunku. Głaskał frędzle ojcowskiego tałesu¹ lub ukrywał twarz w jego miękkich fałdach. Czekał na chwilę, gdy ojciec uderzy się w pierś za wszelkie grzechy w niej zamknięte. Ogarniała go wtedy melancholijna radość, że wszystko dzieje się jak należy w tym lesie Żydów, pośród którego się znalazł.

Słowniczek terminów żydowskich znajduje się na końcu książki.

Wszystkie karki były tak miękko spowite w wełnę, że chociaż niektóre z nich zdawały się tłuste i czerwone, Mordechaj czuł się podniesiony na duchu i zerkał ku górze na galerię po przeciwnej stronie sali, gdzie, jak wiedział, siedziała jego matka. Odgradzona kratami. Syn nie mógł jej dostrzec inaczej niż oczyma wyobraźni, lecz te oczy widziały ją wyraźnie, siedzącą tam, zupełnie nieruchomą.

W pamięci Mordechaja matka pozostała rzeźbionym posągami. Możliwe, że w rzeczywistości ulegała na tyle wymaganiom życia i mody, by przeobrażać się kolejno w różne postacie, ale we wspomnieniach syna utrwalił się jeden tylko obraz: czarna suknia, wysoki kołnierz z tiulu i fiszbinów, ozdobiony wąską, skromną riuszką, szerokie, żółtawe czoło, naznaczone bliznami litościwych myśli, oczy, które z żalem, lecz łagodnie wchłoneły kłamstwa tego świata, usta, które przewyciężyły tajone cierpienia, religijne wątpliwości i wszystkie gorycze prócz jednej. Od początku było widoczne, że chłopcu bliższa jest matka, chociaż dopiero wiele lat później okazało się, że po niej odziedziczył charakter. Dalszym znajomym wydawało się niezrozumiałe, że ojciec, tak miły, tak hojny, nie miał na syna większego wpływu. Matka natomiast robiła trochę posepne wrażenie, sztywna, z upodobaniem otaczająca się gronem ciemnych, nieokrzesanych, fanatycznie ortodoksyjnych Żydów, zazwyczaj swoich krewniaków. Chłopiec oczywiście kochał i szanował dobrego ojca, śmiał się i gawędził z nim, jeśli tak wypadało, albo też słuchał w skupieniu, gdy Mosze tłumaczył mu piękno dzieł Goethego czy też innych poetów. Mosze był więc zachwycony swoim synem i obsypywał go kosztownymi podarunkami, przynosząc zegarek albo mosiężny teleskop, albo „Dzieła zebrane” oprawne w skórę. Jednakże tego chłopca, myślącego, chociaż normalnie wesołego,

a czasem nawet rozhukanego, kształtowała raczej matka, jej milczenie i jej duchowa samotność.

Frau Himmelfarb nigdy się nie pogodziła z ściśle uporządkowanym, nazbyt ogładzonym życiem północnoniemieckiego miasta. Gdy prowadziła swego syna między malowanymi fasadami renesansowych kamienic lub uroczystych i bogatych *biedermeierowskich* domów, jej nieufne oczy odtrącały te dowody, świadczące, że ludzie w ten sposób próbowali zamknąć w czterech ścianach nieskończoność. *Mordechaj* pamiętał, że tylko w pewnych mrocznych średniowiecznych ulicach matka jak gdyby wyzwalała się od ucisku materialnego otoczenia. Zdawało się, że cała się rozwiewa, z ust jej dobywały się miękko jakieś niewyraźne prawie słowa, stopy jej niemal tańczyły, kiedy biegła po wyboistym bruku, leciutko przeskakując przez kałuże brudnej wody. Odwiedzała mnóstwo dość przykro cuchnących, okropnych domów, zanosila tam dary i wypytywała dzieci, ciekawa ich stanu zdrowia albo ich wiedzy o Bogu, czasem nawet zakasywała suknię, a potem na kolanach szorowała podłogę, zaniedbaną przez chorą gospodynię. W dusznych zaułkach, w ciemnych mieszkaniach żydowskiej biedoty budziła się w matce *Mordechaja* dusza galicyjskiej dziewczyny; pamiętał, że w innych okolicznościach zdarzało się to bardzo rzadko, na przykład podczas wizyty krewniaka, wydziedziczonego rabina, w przedpokoju własnego domu lub gdy pisała listy do swych niezliczonych powinowatych.

Matka należała do rozproszonej rodziny. Było to dla niej źródłem smutku i chłuby. Jakby się czuła gościem w domu, wołała rozkładać swe przybory do pisania na okrągłym stole nakrytym czerwoną pluszową serwetą niż na zdobnym w złote okucia biurku, które *Mosze* najczulej jej ofiarował. Mały *Mordechaj* bawił się pluszowymi pomponami, a od czasu do czasu spoglądał na rosnący stos listów i zgarniał niepotrzeb

ne już koperty, z których później pozwalano mu odklejać znaczki. Niekiedy matka w ciągu jednego dżdżystego popołudnia pieczętowała koperty zaadresowane do Polski, Rumunii, Stanów Zjednoczonych, nawet do Chin i Ekwadoru. Pisała, póki wszystkiego z siebie nie rozdała swoim bliskim.

Dopiero wiele, wiele lat później Mordechaj zrozumiał, jak doniosłą rolę grała ta rozproszona rodzina w tajemnym życiu jego matki; dopiero później zrozumiał, że w jej przeświadczeniu ich wszechobecność mogła zapewnić i przyspieszyć odkupienie całego świata. Ta myśl, zawsze w niej żywa, chociaż nie wypowiedziana nigdy, wywyższała ją niejako spośród mnóstwa pobożnych kobiet, które stale przepływały przez dom Himmelfarbów, jadły struclę, piły kawę, omawiały dobroczynne przedsięwzięcia, obwieszczały narodziny, małżeństwa i zgony, a czasem nawet pozwalały sobie w obecności gospodyni na wybuchy lekkiej, jeśli nie swawolnej pogawędki. Zawsze jednak wracały do jednego punktu. Zespolone, tworzyły niby zbity w kulę rój pszczół popychanych instynktem wiary, upojonych miodem swojego Boga.

Obecności tego Boga wśród orzechowych mebli okazałego domu - bo Himmelfarbowie przenieśli się tu z mieszkania nad sklepem w okresie, którego Mordechaj nie obejmował pamięcią - nie podawał w wątpliwość światowy, lecz przezornie powściągliwy Mosze, a mały chłopiec przyjmował ją jako pewnik i nie zmienił tej postawy nawet wtedy, gdy wyrósł na zarozumiałego młodzieńca; w swym ówczesnym sceptycyzmie zwątpił nie o samej religii jednak, lecz o tym, czy jest mu ona potrzebna. Religia, niby zimowy płaszcz, stała się dokuczliwym, zbędnym ciężarem, kiedy wiosna rozkwitała w lato i ujawniały się stopniowo naturalne źródła ciepła. Myliłby się wszakże, kto by sądził, że młody człowiek wyzbył się miłości i szacunku dla trwałych zalet swojego starego, odrzuconego płaszcza. W okresie przesilenia miłości

własnej, w płomieniach fizycznego żaru, na samą myśl o nim tajał z tęsknoty.

Tymczasem jednak mały chłopiec żył otulony ciepłą rzeczywistością osłony, którą rodzice dali mu na stały użytek.

Zaledwie skończył sześć lat, gdy matka powiedziała zdawkowym tonem, jak zwykle mówiła rzeczy najważniejsze:

- Czy wiesz, Mosze, że pora już, aby nasz syn zaczął nauki?

- Joj - ojciec, ciesząc się własnym żartem, aż zmrużył oczy z udanego przerażenia. - Czyżbyś chciała już męczyć malca? I to co gorsza, hebrajszczyzną?

- Tak - odparła z powagą. - To nasz własny język. Mosze często sam sobie zadawał pytanie, jak to się stało, że

poślubił swoją żonę. Którą zresztą kochał. Tak więc zapadła decyzja.

Chłopcy z ich środowiska zwykle chodzili na naukę do *Herr* Ephraima

Gliicka, mełameda; lecz Mordechaja miał zapoznać z elementarzem

kantor Katzmann, do którego *Frau* Himmelfarb żywiła szczególne

zaufanie. Mordechaj nauczył się alfabetu w zawrotnym tempie. Wkrótce też umiał pisać całe zdania i recytować modlitwy. To go wbiło w pychę.

Odwracał głowę i mamrotał teksty nazbyt już dobrze znane lub

deklamował je za głośno, z beczelną duchową arogancją.

Pewnego razu kantor zmuszony był napomnieć go tymi słowy:

- Jeżeli Żyd jest dumny, Mordechaju, tym bardziej gorzko mu będzie łykać proch ziemi. A to go na pewno nie ominie.

Sam kantor był pokornym Żydem, obarczonym gromadą zezowatych

dzieci i gderliwą żoną. Jedyłą jego chlubę stanowił piękny głos. Gdy aż

do dna wyczerpał jego siłę, zdawał się doprawdy spustoszony wewnątrz i opadał na

krzesło z uśmiechem śmiertelnej błogości. Mordechaj zapamiętał zwłaszcza moment, gdy po wzlotach Rosz Haszana i Jom Kipur kantor wyglądał jak ktoś, kto porwał się na nieosiągalne szczyty. Białe przymknięte powieki nie zdrżały nawet, kiedy siedząc uśmiechał się lekko spoza nich. Kantor był małym człowieczkiem i uczeń bardziej go kochał we wspomnieniu, niżli szanował w życiu.

Gdy Mordechaj miał dziesięć lat, oddano go do gimnazjum. Jeszcze przed bar micwą uczył się greki, łaciny, francuskiego, a szczególnie upodobał sobie język angielski. Zaczął zgarniać nagrody. W kołach dobrze poinformowanych jak i w tych, które wcale poinformowane nie były, mówiono, że Mordechaj ben Mosze jest wyjątkowo zdolnym chłopcem.

- Widzisz, Małko - powiedział ojciec, już w duchu planując obdarzenie syna jakąś dodatkową, kosztowną nagrodą

- naszymu Martinowi pewnie jest sądzone wyrosnąć na wybitną osobistość.

Nabrał bowiem tego śmiesznego i wstrętnego zwyczaju, że nazywał syna niemieckim imieniem; żona, słuchając go, ściągnęła brwi jak gdyby pod wpływem fizycznego bólu, lecz na przekór tej mimice udręki okazała zadowolenie z sukcesów swego dziecka.

- Ach! - zawołała. - Tak... - zaczęła mówić, nagle jednak porwał ją kaszel.

- Tak, zawsze przecież wiedzieliśmy, że nie jest głupcem.

Jak uporczywie męczył ją kaszel.

- Ale to są sprawy uboczne - zdołała wreszcie wykrztusić.

- Pragnę tylko jednego: żeby mój Mordechaj zostawił po sobie pamięć bogobojnego człowieka.

Tak żona swoją surową konsekwencją mroziła ojcowską radość; toteż Mosze z czasem przestał ją kochać, jakkolwiek nadal szanował. Ze zwykłą swoją swobodą, zawsze uprzejmie,

składał na żonę wiele ciężarów, ponieważ wiedział, że ona umie je dźwigać, i rzeczywiście dźwigała mężnie, rozporządzając mimo dość wątłego ciała niemałą siłą ducha.

Sam na sam z synem często pozwalała sobie na odprężenie, nawet wtedy, kiedy już był dorosły. Stawała się w swoim tajemnym rozradowaniu niemal płocha, tak że te objawy zbędne, by nie rzec: nienaturalne, w osobie tak godnej z natury, zawstydzaly chłopca.

- Mordechaj ben Mosze - zwracała się do niego półgłosem i na pół ze śmiechem.

Jak gdyby chciała w ten sposób ustalić jego niewątpliwą tożsamość. W obecności syna snuła na głos myśli, czasem mówiąc po niemiecku, częściej w języku jidysz, a Mordechaj z czasem nauczył się, śledząc jej szept, wiązać poszczególne ogniwa w łańcuch. Opowiadała też różne historie o krewnych i o świętych. Niekiedy bywała wręcz natchniona. Jej stół sederowy stanowił ucieleśnienie prostych dogmatów. Obrządków szabasu dopełniała z takim czarem, że mąż, patrząc, jak świece posłuszne jej rękom zdawały się urastać i rozjarzać jaśniej, czuł w sobie na nowo rozbudzoną szczerą tęsknotę do pobożności.

Najmilszym ze wszystkich świąt obchodzonych przez rodzinę w domu przy Holzgraben był Sukot, ponieważ ta uroczystość najmniej duchowych wymagań stawiała ojcu; tak przynajmniej zaczął to sobie tłumaczyć syn. Gardząc z jakichś zapewne atawistycznych powodów dość dużym trójkątnym ogrodem pachnącym muchomorami i wilgotnymi liśćmi, rozstawiali namiot pod kratami werandy. Posilano się w to święto rzadko i dopiero o późnej godzinie, pod gwiazdami, a odpowiednim do tego miejscem w Holunderthal było wzgórze nad Stadtwald. Symbole drzew cytrynowych i palm rozkwitały wesoło w nieco płytkiej wyobraźni ojca. Teraz już bowiem jasno się okazało, że nie dla niego

były surowe szczyty pokuty, czuł się dobrze tylko u podnóży gór, w atmosferze Dziękczynienia. W tych okolicznościach dodatkowe obowiązki obciążające matkę były źródłem zakłopotania dla rodziców, a z czasem stały się także, jak podejrzewał ojciec, kłopotliwe dla syna. Wracając z synagogi po wyczerpujących trudach Jom Kipur brał niekiedy w dwa palce policzek syna i zaglądając mu w oczy, pytał sam siebie, po czyjej stronie ostatecznie stanie Mordechaj. W rozterce między nadzieją a lękiem Mosze wzdychał, a przełknąwszy pierwszy haust ożywczej kawy, powtarzał westchnienie tym razem głośniej.

Wszystkie nadzieje skupiały się na bar micwie. Kandydat oczekiwał zbliżającej się ceremonii z niebezpieczną pewnością siebie. Otrzymał filakterie i tańce, a także mnóstwo upragnionych podarków od rodziców, wujów, ciotek i kuzynów. Wygłosił tak dźwięcznie i z tak niewzruszoną logiką rozprawę na zadany temat, że nim skończył, ciotki już zaczęły sobie wzajemnie wieszować. Chłoneły po prostu tę twarz - w pewnej mierze kopię ich twarzy - rozplamioną pod gładko przyczesanymi włosami i ładną czapeczką. Mordechaj w podnieceniu nie miał cierpliwości, by słuchać długo czyjegoś głosu prócz własnego. Gdzieś w głębi estrady kręcił się ojciec, który - nie bez łyzy w oku - odrzucił duchową odpowiedzialność. Wśród krewnych jego żony ten i ów pozwolił sobie na ironiczny uśmiech, spostrzegając biednego małżonka Małki. Lecz srebrny błysk pergaminowych zwojów przywołał wszystkich natychmiast do właściwej powagi. Po uroczystości odbył się wspaniały obiad, podczas którego obsypano przyjętego oficjalnie w poczet mężczyzn młodzieńca pochlebstwami i czułościami. Mordechaj był w tej godzinie swego triumfu dumny, onieśmielony, podniecony, obojętny, hałaśliwie wesoły i niezdolny okazać - a może nawet uświadomić sobie - prawdziwych swoich uczuć.

Któż mógł przewidzieć, jaką drogę obierze ten wstępujący w życie chłopiec? Na pewno nie wiedział tego zadowolony z siebie ojciec; matka może wyczuwała prawdę wrażliwymi końcami palców i dzięki subtelniejszemu jeszcze porozumieniu dusz.

W wygodnym, lecz brzydkim domu, w zamkniętym kole krewnych i przyjaciół, pod strażą anielskich skrzydeł, olśniony miłością Boga, Mordechaj przyjmował schemat wyznaczony mu przez plemię, religię i rodziców. Istniał jednak poza tym świat zewnętrzny, którego matka się lękała, do którego ojciec tęsknił i o którym Mordechaj coraz więcej się dowiadywał. Mały, blady, milczący chłopiec wyrósł na kościstego, szorstkiego młodzieńca, ciemny puch niepewnie kiełkował na jego twarzy, wargi o wiele za wcześnie rozkwitły, zaś duży nos nabrał wyraźnie dominującego znaczenia. Nastąpiła epoka luster, w ich taflach Mordechaj ustawicznie próbował odczytać swoją tajemnicę. Był teraz silny, zmysłowy, żółty, dla jednych wstrętny, dla innych - wyzywający. Czym się stał ponadto, nikomu jeszcze wówczas nie było dane dostrzec.

- Powiedz, jak się czuje człowiek, który jest brzydkim Żydem? - pytał go przyjaciel Jürgen Stauffer.

Oczywiście żartem. Wtedy bowiem przeważały w ich stosunkach przyjaźń i śmiech. Las pstrzył płamkami cienia chłopięcą skórę, gdy wędrowali po nim ramie przy ramieniu, ślizgając się na podszewkach po grubej warstwie opadłych liści.

- No, powiedz - nalegał śmiejąc się Jürgen.

Miał włosy w charakterystycznym niemieckim odcieniu złota, a w oczach pod powierzchnią cętkowanych tęczówek widoczną życzliwość.

- Czuje się jak stwór biegający na stu nogach - odparł Himmelfarb. - A może bez nóg w ogóle. Na przykład jak

wąż. Albo skorpion. W każdym razie jak ktoś stworzony specjalnie na zgubę gojów.

Potem śmiali się obaj jeszcze głośniej. Dla młodego Żyda niedziela była dniem cieplejszym niż szabas, gdy ze swym przyjacielem Jurgenem Staufferem przechadzał się po dzikszej części miejskiego parku w Holunderthal.

- Opowiedz mi o paschalnej ofierze - prosił Jürgen.

- Aha, o tym chrześcijańskim dziecku, które zabijamy?

- Tak mówią.

Jak serdecznie śmiał się Jürgen.

- Krajemy je, chłepczemy krew, plasterki mięsa kładziemy między dwie kromki chleba i posyłamy rodzicom, czy tak?

- Ach, *Gott*! - zaśmiewał się Jürgen. Jak lśniły mu wtedy zęby.

- Mój stary Himmelfurz! - wykrzykiwał. - *Du liebes Rindvieh!*

Potem rzucali się na siebie i okładali kułakami. Splatali się z sobą. Nie mogli się nasycić przyjemnością tych zapasów na ściółce z liści. Po walce, zdyszani, leżeli patrząc w górę poprzez przeredzoną zieleń i rozmawiali o przyszłości, w której wszystko jeszcze było nieodgadnione, prócz tego, że na pewno nic nie zerwie więzi ich przyjaźni. W ciszy wzdychali pod brzemieniem wzajemnego uczucia.

- Ale kiedy ja zostanę oficerem kawalerii - ze względu na stryja Maxa nie ma mowy o innej karierze - a ty profesorem języków, wątpliwe, czy będziemy mogli widywać się często - wywiódł rozsądnie Jürgen Stauffer.

- Będziesz musiał tak się urządzić, żeby ujeżdżać konie wokół gmachu tego uniwersytetu, który ja zaszczycę swoją osobą - odpowiedział Mordechaj.

- Martinie, to straszny nałóg, że nie umiesz nigdy o niczym mówić poważnie. Beznadziejny, beznadziejny, przewrotny nałóg.

I Jürgen, nie ruszając się ze swego miejsca, szturchnął przyjaciela.

- To ty jesteś beznadziejny, jeśli nie chcesz obrać bardziej cywilizowanego zawodu.

- Kiedy ja naprawdę lubię konie - bronił się Jürgen. - A poza tym jestem trochę głupawy.

Himmelfarb miał ochotę go uściskać.

- Głupawy? Jesteś osioł nad osłami.

Gdyby nie zmęczenie, zaczęliby znów mocować się z sobą; leżeli jednak spokojnie, wsłuchani w letnią pogodę i we własny błogi nastrój.

Od czasu do czasu zapraszano młodego Żyda do rodzinnego domu przyjaciela, bo liberalne poglądy pozwalały państwu Staufferom dopuszczać gości niezależnie od ich rasy. Ojciec Jürgen, Gerhard Stauffer, był oczywiście wydawcą. Nawet szczerze lubił książki i bardziej ubolewał nad niezasłużonymi porażkami pisarzy, niż cieszył się z łatwych zwycięstw. Jego żona, za młodu drugorzędna aktorka, wycofała się w zacisze prywatnego życia i w stan małżeński wraz z całym rynsztunkiem teatralnej techniki. *Frau* Stauffer umiała przekonać każdego ze swych gości, że scena, którą właśnie wspólnie odegrali, przyczynia się ogromnie do sukcesu sztuki.

- Martin usiądzie przy mnie - mówiła z naciskiem *Frau* Stauffer, poklepując miejsce na kanapie gestem najtrafniej do sytuacji dobranym. - A teraz, kiedy sobie tak wygodnie siedzimy - ciągnęła, pochylając się nieco w stronę młodzieńca - musisz mi opowiedzieć, co dziś robiliście. Naturalnie tylko rzeczy karygodne. O innych nie chcę nic słyszeć. W takie dżdżyste popołudnie mam ochotę słuchać zwierzeń, od których krew zetnie się w moich żyłach.

Mówiąc to *Frau* Stauffer uśmiechała się znacząco. Zachowała bowiem przeświadczenie, że każdy tekst można poprawić, a każda scena wymaga podkreślenia efektów.

Chłopiec jednak zdawał sobie sprawę ze swego braku talentu. Siedząc obok pani domu, pośród wyczarowanych przez nią obłoków, cierpiał z powodu własnej niezdarności.

Czasem dla odmiany atakował go z innego skrzydła pan domu i usiłując zabawić mało zaszczytnego gościa, wypytywał go o zdanie na temat książek lub artykułów w najnowszej prasie.

- Czy odkryłeś już Dehmela? - pytał na przykład pan Stauffer. Albo też: - Martinie, co sądzisz o Wedekindzie? Bardzo jestem ciekaw twojego szczerego o nim zdania.

Jak gdyby to zdanie mogło mieć jakąkolwiek wagę dla tak znakomitego człowieka.

Onieśmielony chłopak doceniał zaszczyt, lecz marzył o tym, żeby co prędzej znaleźć się znów w cztery oczy z przyjacielem. Względy rodziców dopiero w retrospekcji pochlebiały mu naprawdę.

- Widzisz - powiedział bez zazdrości Jürgen - ty jesteś szanownym intelektualistą. A ja - niemieckim chłopakiem stajennym.

Może jednak dla tych właśnie powodów młody Żyd uwielbiał przyjaciela. Jürgen miał starszego brata, który wyłaniał się niekiedy ze swego tajemniczego pokoju: przyszczaty, upośledzony lekkim astygmatyzmem, z pajdą chleba z masłem w ręku. - Konrad za szybko wyrósł i musi się specjalnie odżywiać - tłumaczyła pani Stauffer. Konrad zjawiał się i znikał, ignorując wszystko, co nie mieściło się w orbicie jego własnej osobowości. Szczególnie, jak się zdawało, pogardzał młodszymi chłopcami. A może tylko żydowskimi chłopcami? Wówczas jeszcze nie było to wiadome.

- Co on tam robi wiecznie zamknięty w swoim pokoju? - pytał Mordechaj jego młodszego brata.

- Studiuje - odpowiadał Jürgen z miną, która świadczyła, że nie należy od niego oczekiwać głębszego zainteresowania

tą sprawą. - Niezły chłopak - dodawał. - Tylko trochę zadziera nosa. Pewnego dnia Konrad Stauffer wychynął ze swego pokoju, żując *Brötchen* posypane kminkiem.

- Znowu tu jesteś? - zwrócił się do Mordechaja. - Stołujesz się u nas stale czy co?

Wśród ogólnego zakłopotania sam roześmiał się ze swojego dowcipu. Była poza tym mała siostrzyczka, Mausl. Warkocze jej lśniły jak ogony niektórych zwierząt. Kiedyś objęła młodego Żyda ramionami w pół i przyciskając się do niego z wszystkich sił, próbowała go przewrócić. - Jestem silniejsza od ciebie - oznajmiła.

Nie dowiodła jednak tego i nie zdołała skłonić go do próby.

Śmiała się tuż przy jego piersi. Oddech jej palił mu skórę, nagą pod rozpiętą u szyi koszulą.

Najprzyjemniejsze i najbardziej niepokojące były wieczorne przyjęcia w wielkim salonie, gdy zbierały się dziewczęta z kokardami we włosach, w sukienkach przepasanych szarfami, w zapachu *kölnisches Wasser* bijącym od ich szyi. Niektóre panny już nosiły gorsety, a wśród męskiej młodzieży kilku było zupełnie dorosłymi młodzieńcami, przeważnie synowie oficerów kawalerii, a sami już kadeci. Stanowili okazy doskonałości, zawsze wiedzieli, jak się zachować, toteż młodszy z upokorzeniem słuchali własnych, łamiących się głosów i patrzyli w lustra, które przypominały im, że w kępkach zarostu kryją się wciąż jeszcze pryszcze.

Pewnego wieczora, gdy starsi wycofali się do biblioteki, żeby pograć w karty, jakiś zuchwalec zaproponował rzeczywiście gorszącą zabawę.

„Kogo z obecnych w tym pokoju najbardziej lubisz?” - pytano każdego po kolei. „Dlaczego?” - padało następne

niedyskretne pytanie, a potem dalsze, wszystkie nieuchronnie zmiernające w tym samym kierunku i wszystkie ściśle osobiste. Nerwowe śmiechy i ryki młodocianych osłów rozszerzały jeszcze krąg onieśmienia.

- Kogo lubisz najbardziej, Mausi? - spytano wreszcie córkę domu.

Mausi Stauffer odpowiedziała bez wahania:

- Martina Himmelfarba.

Na te słowa niejedna z młodych pańienek wybuchnęła perlistym śmiechem, gdyby nie uciskała jej fiszbinę gorsetu. Wobec tej przeszkody panny zakołysały się tylko i ze świstem chwyciły oddech.

- Dlaczego, Mausi? - spytał kuzyn Fritz, syn stryja Maxa. Blizna na jego lewym policzku rysowała się z niezwykłą wyrazistością.

- Bo... bo mi się wydaje interesujący - odparła Mausi.

- Nie, Mausi - zaprotestowała sztywna pannica w okularach w stalowej oprawie nad bladą, płaską rozetką ust. - To nie jest wystarczająca odpowiedź. Musisz zapłacić grzywnę. Dostaniesz pięćdziesiąt uderzeń kantem linijki w dłoń.

Mausi krzyknęła. Nie zniosłaby takiej kary.

- Dobrze, damy ci jeszcze jedną szansę - powiedział kuzyn Fritz, piękny i złowrogi w swoim kadeckim mundurze. - Dlaczego podoba ci się ten twój Himmelfarb?

Nazwisko zabrzmiało w jego ustach szczególnie egzotycznie i śmiesznie. Mausi krzyknęła znowu. Potrząsnęła warkoczami.

- Dlatego... - chlipnęła pociągając nosem, splatając ciasno chude nogi i pocąc się w zwojach zmiętego muślinu. - Dlatego - wrzasnęła dziwnym głosem, który z niej wydarli prześladowcy - że jest podobny... - zawahała się po raz ostatni i dokończyła: - ... do czarnego kozła!

Zdawało się, że wszystkie brązy spadną z piedestałów, ale weszła tylko zaprzyjaźniona z rodziną Staufferów stara panna, która wróciła do salonu po szal, lecz instynktownie zrozumiała, że powinna tu zostać.

Himmelfarb w tym samym momencie umknął korytarzem do łazienki.

Wychodząc, zastał pod jej drzwiami Konrada z ręką na klamce.

- Och - jęknął Konrad i odskoczył. Był blady i speszony, ale możliwe, że miał przygotowane przemówienie. - Po prostu banda głupich Niemców - zdołał powiedzieć mimo zadyszki. — Niemcy to bestie.

- Czy my nie jesteśmy także Niemcami? - spytał Mordechaj.

- Kto wydaje osąd, ten się spod niego siłą rzeczy wyłącza - odparł przyszczaty młodzieniec ze śmiechem. - Czy jeszcze tego nie odkryłeś? Och, Boże - westchnął. - Mam tego dość na dzisiejszy wieczór. Wracam do swego pokoju.

Mordechaj nie wiedział, co myśleć o Konradzie.

Nie zobaczył go zresztą przez wiele następnych lat. Pamiętny wieczór miał między innymi ten skutek, że *Frau* Stauffer postanowiła spuścić kurtynę i zakończyć komedię odgrywaną w stosunku do młodego Żyda. Jürgen coraz wyraźniej unikał z nim spotkań. Gdy Mordechaj próbował choćby pośrednio pytać o wyjaśnienie, Jürgen grzebał obcasem dziurę w ziemi i milczał albo też mruczał pod nosem niezrozumiale i wbijał wzrok w odległy punkt, co miało zapewne znaczyć, że chodzi o rzeczy spoza widnokregu dostępnego oczom przyjaciela.

W przytłaczającej atmosferze, która go otoczyła, Mordechaj z trudem chwycił oddech. Matka, spostrzegłszy sińce pod oczyma i bladość cery, zaczęła go poić jakimś środkiem wzmacniającym, a po zużyciu połowy butelki Mordechaj przespał się z prostytutką imieniem Marianna, która miesz

kala na poddaszu przy jednej z najstarszych ulic miasta. Ciało jego doznało nowej, chociaż zrazu przerażającej ulgi.

- Och wy, Żydzi - westchnęła Marianna, przyglądając mu się podczas chwili wytchnienia, której w swej wspaniałomyślności nie włączała do rachunku. - Brakuje wam tego obrzynka i przez to się jeszcze bardziej palicie.

Klient, znużony, patrzył na ogromne szarżółte brodawki jej piersi i zastanawiał się, czy wystarczy mu instynktu, żeby kierować kruchą łodzią, w której samotnie ruszył na nieznane wody.

Dla chłopca, poddanego teraz władzy ciała, obrzędy w rodzinnym domu stały się wkrótce nie do zniesienia uciążliwe. Na przykład szabas, który w dziecięcych latach przeżywał w ekstazie tak niewinnej doskonałości, że nie zdziwiłoby go, gdyby oblubienica we własnej osobie wkroczyła do pokoju, teraz przeobraził się w nieskończenie długie godziny pustki wypełnionej potrzaskami, które zastawiały ustawicznie zacne ciotki i brzydkie kuzynki, zadając pytania, jak mu się zdawało tylko po to, żeby wydobyć z niego wyznanie winy. Zarówno modlitwy, jak potrawy więzły mu w gardle, gdy czekał na zachód słońca i na zapach korzennych przypraw, który miał go zbudzić z koszmaru. Zbudzić z miłością. On zresztą nawzajem kochał to wszystko, co odtrącał nie z własnej woli, jak myślał zrazu, próbując się przed sobą usprawiedliwić, lecz wskutek zмовy niewiadomych osób rządzących jego przyszłością.

Najsroższą męczarnią była próba miłosierdzia. Ojciec, z poczucia obowiązku lub może spragniony dowodów własnej cnoty, zbierał co sobota w synagodze pokornych, czasem wręcz obdartych i niedomytych współwyznawców i zapraszał ich do swego świątecznego stołu, a Martin - Mordechaj wysilał się, ofiarowując biedakom miłe słowa i podsuwając najsmaczniejsze kąski, żeby okupić wstręt, jaki w nim ci

goście wzbudzali. Szczególnie wyróżniał się spośród nich pewien drobny człeczyna, farbiarz, cały umazany niebieskim barwnikiem; w skórę jego dłoni raz na zawsze wżarły się sine plamy. Mordechaj uświadomił sobie dotykając niedolę tego człowieka, gdy pewnego wieczora farbiarz potknął się na jednym z pięknych dywanów Moszego Himmelfarba. Syn domu poczuł się niejako osobiście odpowiedzialny. Ręka jego osunęła się po wyświechtanym ubraniu, chwyciła coś, co wydało się chłopcu kłębkim łachmanów, i w ostatniej chwili powstrzymała starego Żyda od upadku. Ale Mordechaj przestraszył się, serce podeszło mu do gardła, jak gdyby to on sam przed chwilą o włos uniknął katastrofy; stary farbiarz natomiast rozplęwał się w unizonych wyrazach wdzięczności za ten, jak mówił, wielkoduszny czyn, ręką wodził pieszczotliwie po plecach swego wybawcy, nie omijając ani centymetra ich powierzchni, obsypywał go tak pretensjonalnymi epitetami, jak „podpora kalek” czy „obrońca biedaków”.

Kiedy Mordechaj uciekł w końcu i pobiegł się umyć, matka stanęła w drzwiach i powiedziała najbardziej oschłym tonem, na jaki mogła się zdobyć jej tkliwość:

- Jesteś wstrząśnięty, mój synu, a przecież nie poznałeś jeszcze nawet setnej części prawdy. - Przyglądała mu się uważnie. - A teraz wytrzymaj przedko ręce - dodała już łagodniej - i wracaj do nas. Nie wolno dopuścić, żeby ten biedak zauważył, co się stało.

Matka w swej miłości pragnęłaby z całego współczującego serca pocieszyć najbliższych, ale nie było to możliwe. Najczęściej słowa jej były solą jątrzącą rany.

Nastał w domu okres niejasnych sytuacji i chwiejnych postaw. Syna zaczęło to bawić. Wzruszał ramionami i zaciskał usta, gdy kidusz otwierał szabas. Przyprawiał drwiną słowa modlitwy, mierzył w niewinne tarcze. Nie zdołał

wprawdzie zburzyć tego, co kochał najbardziej, lecz tak daleko zaszedł w swej przewrotności, że burzycielskie zamachy stały się dla niego żalosną namiastką rytuału.

Natychmiast po tym pozornym przynajmniej dopełnieniu obowiązków wybiegał z domu. Włóczył się po ulicach, zaglądał w oświetlone okna, ocierał się o przechodniów i przepraszał z zapalem, który musiał wyglądać na bezczelność. Ogarnięty pasją życia, podniecał się zapachem ulic aż do szalu. Obmacywał piersi dziewczek, które podłożywszy pod łokcie poduszki, wyglądały z otwartych okien. Nienasycony głód białego ciała popychał go do bladych, chętnych niemieckich dziewcząt, które pozwalały się przyciskać do ścian albo wgniatać w trawę parku nad stojącą wodą, w zapachu gnijącej zieleni.

Gdyby nie to, że stwardniał szybko, zżarłby go chyba wstręt do samego siebie.

Ale zahartował się jak stal. Przyczesywał gładko kędzierzawe włosy. Zapuścił wąsy. I studiował.

Nawet w okresie najgorszego rozprzężenia Mordechaj w oczach niewinnych i nieświadomych pozostał chłopcem oddanym wyłącznie książkom. Rzeczywiście czepiał się ich kurczowo jak tonący brzytwy. Cóż pewniejszego i rozsądniej-szego niż słowa w swej istocie? Dopiero odmieniane i łączone z sobą rozplływały się w tym samym burzliwym wirze, który groził wessaniem w kipiel całej rozgorączkowanej, roześmianej szyderczo załogi, nieszczęsnych ginących dusz.

Na uniwersytecie intelektualne zainteresowania młodego człowieka zacieśniły się do studiów nad ulubionym językiem angielskim. Ta łagodna, smakująca trochę chlebem mowa stała mu się manną. Lecz wbrew woli i zamierzeniom myśli jego nadal lgnęły do twardej mowy, której nauczył się w chłopięcych latach od kantora Katzmanna. Wracając w różnych okresach do hebrajszczyzny, nabrał stopniowo biegłości i często do późna w noc czytał hebrajskie księgi

zarówno dla nauki, jak dla gorzkiej przyjemności, którą z nich czerpał. W wieku dwudziestu lat Mordechaj Himmelfarb uzyskał tytuł doktora w zakresie anglistyki, a wkrótce potem zaproponowano mu dalsze studia na uniwersytecie w Oksfordzie.

Mosze był uszczęśliwiony nie tylko z wrażenia, jakie ten sukces miał zrobić wśród znajomych, lecz także dlatego, że uwielbiał Anglików za doskonały gatunek sukna, obuwia i jedwabnych cylindrów, w które lubił się ubierać z okazji różnych uroczystości. Jeżeli w ogóle wyczuwał, jak z racji wrodzonego temperamentu daleko mu do Anglików, odległość potęgowała jeszcze uroki cudzoziemców. Rodzony jego syn miał być teraz przeniesiony na drugi brzeg, na brzeg wybrańców. Dystans między nimi, i tak już wyraźny, wzrośnie tym bardziej. Starszy pan już widział siebie w roli ofiarnego żydowskiego ojca, który na peronie kolejowym, w kłębach pary z lokomotyw, żegna syna. Na samą myśl o tej scenie łączyły szczęścia i żalu wzbierały w jego oczach. Zawsze wzruszało go i urzekało to wszystko, co bezpowrotnie się oddala: odjeżdżające pociągi, twarze gojów, stosunki z własnym synem; gdyby ośmielił się nie szepnąć, lecz choćby pomyśleć o tym - on, który tak hojnie składał dary na ruch syjonistyczny - dołączyłby do tej listy również zbawienie Izraela, pojmowane jako cel możliwy do osiągnięcia.

Nie syn, lecz ojciec pierwszy zaniósł tę wielką nowinę matce i dzięki temu może mniej boleśnie ją odczuła.

Frau Himmelfarb, zajęta właśnie cerowaniem, zrazu nic nie odpowiedziała. Wpatrywała się nadal w skarpetkę z nieco krótkowzroczną cierpliwością, która ją zawsze cechowała.

- Miałem nadzieję - nalegał mąż - że zrozumiesz, Małko, jakie to daje szanse naszemu chłopcu, jeśli obierze karierę profesorską.

Żona przyglądała się w zamyśleniu skarpetce.

- No, co powiesz? - spytał i zaczął tłumaczyć rozsądnie, lecz porwany chęcią przekonania jej, natychmiast wpadł niemal w krzyk: - Pora, żebyśmy my, Żydzi, uznali wreszcie zmiany, jakie na świecie zaszły. - Przy tych słowach Mosze już dosłownie trząsł się cały. - Ile możliwości otwiera się przed nami!

- Oj, Mosze, Mosze - westchnęła matka swoim zwyczajem, który zawsze najgorzej rozjątrzał męża.

- To nie jest odpowiedź.

- Cokolwiek ty i inni ludzie z niego zrobicie - powiedziała matka - ja proszę tylko Boga, żeby zawsze w nim rozpoznał dobrego Żyda.

- W dzisiejszych czasach ważniejsze jest, żeby świat poznał w nim dobrego człowieka - odparł Mosze.

Całą tę rozmowę słyszał przypadkiem syn, bo wszedł w tej chwili do pokoju i słuchał z tym cynicznym, chociaż życzliwym rozbawieniem, z którym teraz przyjmował wszystkie poglądy rodziców.

- Oj, Mosze - westchnęła znów matka - zapominasz, że gdy oba plemiona zostaną podzielone na dobrych, złych i pośrednich, Żydzi będą się wyróżniali wśród reszty ludzi.

- No właśnie - wybuchnął ojciec, spostrzegając wreszcie obecność syna. - Mówię po prostu, że pojedziesz na studia do Oksfordu, a matka zaraz się wdaje w filozoficzne, żeby nie rzec: rasistowskie wywody. Żyd i człowiek. Spodziewam się, że jestem człowiekiem. A czym ty jesteś?

- Chciałbym wierzyć, że jednym i drugim jednocześnie - powiedział młodzieniec - ale czasem obawiam się, że nie jestem ani jednym, ani drugim.

Mordechaj uśmiechnął się, ponieważ było to bardzo dalekie od tego, co naprawdę chciał powiedzieć.

- A więc do tego już doszło! - krzyknęła matka. - Słyszysz, Mosze? Czym się to skończy?

Zrozpaczona obracała i rozciągała w palcach zacerowaną pedantycznie skarpetkę.

- Nie bójcie się, to nie znaczy, że zamierzam poderżnąć sobie gardło - rzekł syn, śmiejąc się, wysuwając naprzód brodę i szczerząc zęby w grymasie, który już był tylko cieniem uśmiechu.

- Jakie to straszne, gdy człowiek widzi, że najlepsze jego chęci rozumiane są opacznie - jęknął Mosze w poczuciu swej krzywdy.

- Ależ ja doceniam intencje ojca - z należytą gorliwością zapewnił, syn. - Wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Tyle dobroci. Zawsze byłeś dobrym ojcem. Możesz być pewny, że ci się odwdzięczę.

Mosze Himmelfarb rozplakał się.

- A matka... - niemal krzyknął syn, bo udzieliło mu się wzruszenie ojca, a poza tym myśl o matce wciągała go głębiej niż kiedykolwiek w metafizyczny gąszcz, z którego, jak miał nadzieję, już się wyrwał na wolność. Głos go ponosił, nabrzmiewał *crescendo* aż do melodramatu, a Mordechaj sam zdawał sobie z tego sprawę jaśniej niż słuchacze. - Matka, której nauki, przykład, uczynki mogłyby odkupić całe plemię. Z wyjątkiem jednego człowieka, dla którego już nie ma odkupienia.

- Trzeba się modlić za ciebie, mój biedny synu - stwierdziła łagodnie Małka Himmelfarb i spuściła głowę nad skarpetką, teraz już zmiętą i odtraconą.

Mordechaj wybiegł z pokoju, lecz przeżyta scena długo jeszcze stała mu przed oczami; czarne włoski na wytwornych, lecz słabych i niezbyt sprawnych rękach ojca; tętno, które dostrzegał lub którego przynajmniej domyślał się w skroni matki; okazałe, żalosne meble, w których każdy supełek na obiciu, każdą szczerbę i każdą plamę poznał, badając je ukradkiem podczas rozmów, marzeń i modlitw.

Chciał się modlić, lecz nie mógł. Opanowała go na długo, na stałe jak gdyby duchowa amnezja. Kiedyś na sali egzaminacyjnej zdarzyło mu się, że przez jedną włokącą się w udreće godzinę miał całkowitą pustkę w mózgu, lecz potem nagle zapomniane włoskie słowa wróciły jak fala do jego głowy; spodziewał się więc, że w tym przypadku stanie się coś podobnego, i gotów był na to czekać tygodnie lub nawet, jeśli trzeba, miesiące.

Ale nic się nie zmieniło.

Co najwyżej chwilowy poryw współczucia odwracał w innym kierunku ostrze cynizmu. Tak było pewnego wieczora, gdy syn spostrzegł ojca, opuszczającego wesołe miasteczko na peryferiach Holunderthalu w towarzystwie urzędnika z browaru, Goltza, znanego Mordechajowi z widzenia i reputacji, oraz dwóch bezimiennych dziewczyn, które zawód swój miały wypisany na czołach. Ukryty w kępie strzyżonych drzew syn śledził w niebieskawych rozbłyskach fajerwerków twarze trojga podpitych Niemców i ich żydowskiego błazna. W migotliwym świetle nienaturalne rozpasanie szanowanego, niemłodego Żyda wyglądało wręcz na obłęd. On także migotał i zataczał się, prowadząc swych kompanów wśród ścisku, zgiełku i hałaśliwej muzyki. Tamci osiągnęli już stan, w którym obowiązują jedynie prawa pijackiej zabawy. Urzędnik browaru zatrzymał się na chwilę i wetknąwszy głowę w krzaki, zwymiotował. W obrzydliwych rozkisłych twarzach wargi otwierały się bezmyślnie, zionąc oddechem lub śpiewem. Ramię usiłowało odwzajemnić urojony uścisk innego ramienia. Usta ssały powietrze w parodii pocałunku. Tak przeszli, ocierając się niemal o swego sędziego. Mordechaj znieruchomiał; patrzył pilnie, dostrzegał pory w ich skórze, każdy włos z osobna, błysk złotych plomb w zębach. Słów przez nich wymawianych nie słyszał, lecz tylko dlatego, że zagłuszała je burza rozpaczy, która nieprędko w nim

ucichła, nawet wtedy, gdy od dawna zniknął mu sprzed oczu śmieszny podstarzały satyr, jego rodzony ojciec. Widok był tym bardziej trudny do zniesienia, że swojski, bo przecież Mordechaj znał tę żądzę, sam nieraz wdychał zapach uszmin-kowanych spoconych twarzy, czepiał się uperfumowanych sukien dziewcząt.

Za długo żył, przynajmniej o ten jeden wieczór za długo, bo nazajutrz wieczorem na dobranoc nie mógł się zdobyć na ucałowanie ojca. Stał chwilę za jego krzesłem. Patrzył na chudy kark winowajcy. Czy przebić go nożem, którym nauczył się władać zręcznie jak każdy szojchet? Ale zadrżał na tę myśl; rozum jest nie dość doskonałym orężem. Pochylił się nad ojcem, a Mosze wziął ten gest litości za wyraz podziękui. Stary Żyd natychmiast rozrzewnił się, dumny, że wdzięczny syn docenia to wszystko, co dla niego zrobił.

Wkrótce potem Mordechaj wyjechał do Oksfordu. Wprawdzie dużo się wówczas mówiło o wojnie, o nieobliczalnym temperamencie cesarza i o tym, że Francuzi nie chcą uznać niemieckich ideałów, lecz młodzieńcowi wydawało się nieprawdopodobne, aby sytuacja międzynarodowa nie nagięła się do jego potrzeb w rozstrzygającym momencie życiowej kariery. W skromnym płaszczu z doskonałego materiału i świetnie skrojonym, w podróźnej czapce z kraciastego tweedu, którą go mile obdarzyła jedna z ciotek, prezentował się bardzo elegancko, gdy dreptał po peronie dworca. Zebrali się tam wszyscy. Mosze był po prostu zakochany w nowej skórzanej walizce z monogramem, którą kupił na drogę synowi. Ale matki nie zdołał olśnić blichtr materialnego świata, z którego niewiele dano jej dotychczas poznać, a suknie jej, jak zawsze w doniosłych i uroczystych chwilach, zdawały się wydobyte z kufrów na strychu. Co do syna, to ten z ulgą myślał, że wreszcie będzie mógł pozbyć się

osobowości, którą rodzice, w swoim mniemaniu, raz na zawsze go obdarzyli. W końcu pociąg ruszył. Później zaś tego samego dnia prom poniósł go we mgle przez morze.

W Oksfordzie Himmelfarb nadal wyróżniał się postępami w nauce. Z początku zamierzał ograniczyć działalność do książek, ale wkrótce stwierdził, że może wywierać wpływ na życie innych ludzi. Na swój semicki sposób był bardzo ujmujący. Wyrobił się towarzysko. Mężczyźni ubiegali się

o jego szacunek, kobiety rywalizowały o jego serce, on zaś każdej pozwalał się ludzić, że zwyciężyła.

Jedna z nich wszakże umiała chyba zdobyć i utrzymać jego namiętne zainteresowanie. Doszło między nimi do takiej zażyłości, że była mowa o małżeństwie, chociaż żadne z dwojga nie pomyślało nawet o zapytaniu rodziców, czy uważaliby taki związek za pożądany. Catherine była córką arystokraty prowadzącego hulaszcze życie. Ponieważ ojciec zajęty był pogonią za przyjemnościami, a matka odumarała ją wcześniej, Catherine korzystała z większej swobody niż inne dziewczęta. Delikatna, blada, upodobania miała niemal we wszystkich dziedzinach bardzo proste, a wyraz twarzy uroczy

I czysty, toteż mogłaby uchodzić za anielską istotę, gdyby wybrała ostrożność. Catherine jednak wybrała coś innego. O jej zachowaniu wiele mówiono, w środowiskach wulgarnych ze znawstwem i uznaniem, w bardziej wykwintnych z niesmakiem, uzupełniając nieznaną rzecz wyobraźnią. Uzbrojona w przywileje urodzenia i majątku, Catherine mogła sobie pozwolić na lekceważenie do pewnego stopnia opinii i zdawało się, że z każdego skandalu wypływa jeszcze bielsza i czystsza niż przedtem.

Młody Żyd wziął oszołomienie zmysłów za miłość. Oboje zresztą byli trochę olśnieni płomieniami namiętności, którą przeżywali wspólnie, toteż nic dziwnego, że zakochany młodzieniec odczuł boleśnie, gdy w najgorętszym okresie

romansu przyłapano jego kochankę w hotelowym łóżku z jakimś hinduskim księciem. Po raz pierwszy Catherine widocznie zrozumiała, jak wąska jest kładka, na której tańczy, bo niemal natychmiast rozeszła się wiadomość, że wyjechała za granicę pod opieką ciotki na czas nieokreślony.

Kochanek dostał od niej list z Florencji. *Mój najmilszy M.*

Zastanawiam się, czy będziesz mógł kiedykolwiek przebaczyć mi omyłkę, którą z, ^{mo}J^e ^w^ⁿy popełniłeś. Nie oczekuję przebaczenia. Bardzo mało w ogóle spodziewam się po ludziach, bo wiem, jak niewiele oni mogą się po mnie spodziewać. Ale dzisiaj, w dżdżysty wieczór, w tym samym miasteczku, które się roi od «angielskich dam przebywających z^a granicą», ogarnęły mnie sentymentalne z^{at}hcianki. Byłabym w rozpacz, gdyby nie to, że umiem Cię na pamięć i potrafię wyczarować Twoją obecność, chociaż wi^{em} > Że dzisiaj odtrąciłbyś mnie z^e wstrętem...

Dalej, wpadając w literacką wenę, pisała o „zielonych pagórkach Toskanii, których brunatne zmysłowe cienie działają tak podniecająco”, ale Mordechaj nie był ciekawy dalszego ciągu. Zmiał list, cisnął go do kosza i rozluźnił krawat. Nigdy w życiu nie zobaczył już Catherine, chociaż **czytywał** niekiedy wzmianki o niej w prasie. Prowadziła nadal życie zgodne z wymaganiami swego temperamentu; jako dojrzała już kobieta omal nie została uduszona przez jakiegoś boksera w Pimlico, ale dożyła starości i zginęła od bomby podczas drugiej wojny światowej w przytułku dla ofiar alkoholu w Putney.

Mordechaj wrócił do książek z pasją właściwą młodemu wiekowi i z zawziętością odziedziczoną po matce, lecz

wkrótce po owym dniu, gdy zniszczył z obrzydzeniem list kochanki, otrzymał list inny, od ojca, znacznie bardziej wstrząsający.

Kochany synu!

*Nie mogę dłużej zwlekać z powiadomieniem Ciebie o doniosłej decyzji, którą z^{mus} **KPⁿJ** byłem podjąć. Przejdźmy od razu do rzeczy: od pewnego już czasu słuchałem nauk pewnego kapłana Kościoła rzymskokatolickiego i jestem szczęśliwy mogąc dzisiaj donieść Ci, że w z^{es} **K.b** czwartek po południu przyjąłem chrzest. Wielki ciężar spadł z^{me} go serca. Po raz pierwszy w życiu czuję się naprawdę wolny, jestem chrześcijaninem.*

*Od lat studiując problemy żydostwa, doszedłem do wniosku, że pozostało tylko to jedno wyjście. Niechętnie używam wyrażenia: praktyczne wyjście, lecz narzuca mi się właśnie ten przymiotnik. Tak mało dając, jakże wiele w z^{am}^^{an} otrzymujemy. Trzeba być głupcem, by nie dostrzec, jak różnorodne i olbrzymie daje to korzyści, jako człowiek szczerze troszczący się o losy naszego narodu, nie chcę jednak zbytnio tych korzyści podkreślać, modłę się tylko, aby więcej wśród nas z^{na}^^a **Z**^[•] się ludzi gotowych zawrócić **Z**. błędnej, daremnej drogi, której się uporczywie trzymają.*

Co do Ciebie, Martinie, od dawna wyczuwam, że przeżywasz kryzys wiary. Tym bardziej wydaje się prawdopodobne, że rozsądek skieruje Cię na słuszną i bezpieczną ścieżkę, gdy dojrzejesz do decyzji- Natomiast dla Twojej biednej matki nie widzę niestety nadziei. Ona pozostanie zawsze uwikłana w gąszczu żydowskiego faryzeiz^{mu}, a rozsądny krok, który przedsięwziąłem, nadal będzie jej sprawiał tylko ból. Mimo wszystko będę się modlił, aby jakiś cud zjednoczył w końcu nasze dwie dusze.

Nie chcę nudzić Cię drobnymi sprawami naszej firmy - zresztą mamy teraz ^{em} okres zastoju - ani też wprowadzać uwag

*o sytuacji międzynarodowej do tego listu, który i tak pewnie Cię
Zaskoczy, a może nawet z^{mar}twi, mój drogi chłopcze-Zawsze całym
sercem Ci oddany
ojciec*

Nigdy jeszcze Mordechaj nie czuł w sobie takiej pustki, jak po przeczytaniu tego ojcowskiego listu. Jeśli przedtem jego własne wewnętrzne źródła wyschły, wiedział, że są wokół niego inni, przede wszystkim rodzice, zawsze bogaci w oliwę i korzenie tradycji. Tymczasem teraz ojciec stłukł swoją lampę i wszystko zawartość z niej wyciekła. Zamknął się w pamięci zakątek, do którego nigdy już nie trzeba powracać.

W tym okresie osobistej udręki młody Żyd zmuszał się do normalnego spełniania obowiązków, chociaż ci, którzy się z nim wówczas stykali, często podejrzewali, że patrzy nie na nich, lecz na kogoś niewidzialnego, stojącego za ich plecami. Z wielu listów, które napisał do swego ojca apostaty, jeden wreszcie wysłał, lecz ten ujawniał najmniej jego prawdziwych uczuć i musiał boleśnie rozczarować odbiorcę. List bowiem wyrażał reakcję syna w tonie co najmniej obojętnym, a może nawet bezdusznym.

O matce Mordechaj nie śmiał myśleć i nie odważył się wspomnieć o uczynku ojca w liście, który niezwłocznie do niej napisał.

Po raz pierwszy miał wrażenie, że zagrożona jest jego nietykalna i świetna przyszłość, a to zarówno wskutek coraz gwałtowniejszego kurczenia się w nim ducha, jak i wskutek zachowania się osób, które dotychczas traktował niemal jak posągi w dobrze znanym ogrodzie. Posągi zaczęły się ruszać. W dodatku to, co zawsze wydawało mu się litą skałą historii, ujawniło głębokie szczyrby. Czas, przedtem zakrzepły, teraz płynął. Niektórzy znajomi Mordechaja już pakowali walizki.

Przypominali mu, że wojna jest nieuchronna i że jako Niemiec powinien wraz z nimi wracać, póki jeszcze czas, by ofiarować swe usługi niemieckiej ojczyźnie.

Himmelfarb, nie czując się w pełni ani Niemcem, ani Życiem, był w rozterce, gdy nadszedł list od matki.

Ukochany synu!

Ojciec na swój sposób z^{aw^a}domił Cię o tym, o c%ym ja nie mam siły pisać. Jak widzisz, jestem obecnie u moich sióstr i pozostanę tutaj, dopóki nie dźwignę się po tym ciosie. Siostry są dla mnie dobre i troskliwe bardzo, bardziej, niż K.^{as^u} &^uji-

Och, Mordechaju, mogę sobie tylko wyrzucać, że w jakiś sposób uchybiłam obowiązkowi z^{on}J> i boję się, że jako matka także nie spełniłam swego zadania.

Mordechaj odwrócił wzrok. Nie mógł patrzeć w twarz matki. Było tak, jak gdyby nie przeżyła rozdarcia zasłony.

Ten list wreszcie wyzwolił jej syna z bezwładu i wahania. Wkrótce potem Mordechaj już płynął po Morzu Północnym. Pozornie - wracał jak inni do kraju. Na tyle starczyło mu siły woli, ale na nic więcej. W swej dumie wyobrażał sobie, że jego wola jest stalowym kablem, lecz okazała się w rzeczywistości nitką i kto chciał, szarpał nią okrutnie, plątał niezdarnymi palcami, a nawet mógł ją zerwać. Tak więc morskie powietrze przewiewało wiatr klatkę obudowaną młodzieńczymi kośćmi. Ładna nigdyś cera Mordechaja straciła kremowy odcień i nabrała brudnego, szarżółtego koloru. Ci spośród towarzyszy podróży, którzy się do niego zbliżyli, wkrótce odeszli na drugi koniec pokładu, wyczuwając, że sytuacja przekracza granice przeciętności i że wchodzi tu w grę halucynacje lub może nawet obłąd. Parę jednak osób znalazło o wiele prostsze wyjaśnienie: ten przeklęty Żyd był pijany.

Pijany czy trzeźwy, dość, że przybył do Holunderthal z wzorową punktualnością. Szkielet dworca wypełniali nieznajomi ludzie, których twarze zdawały się przeświadczone o swym wyzwoleniu od upływu czasu. Tylko ojciec w ciemnym, przyzwoitym palcie wyglądał starzej. Wąsy mu drżały ze wzruszenia, gdy miał powitać syna. A może z niezwykłego zmieszania? Ciotka Zipporah, siostra matki, kobieta, której Mordechaj nigdy nie lubił, ponieważ zalatywało od niej biedą i osoba jej kojarzyła się z klęskami, odezwała się pierwsza, jak gdyby zdławionym głosem.

Ciotka i ojciec wzajemnie ustępowali sobie miejsca.

- Tak - zaczął Mordechaj - podróż mieliśmy bez niespodzianek.

I czekał.

- Powiedzcie mi prawdę - rzekł wreszcie. - Matka? Nasłuchiwał.

Ciotka zaskowyczała jak szczur schwyty w końcu w potrzask.

Uwięziony między belkami holunderthalskiego dworca skowyt ten

zabrzmiął okropnie. Wścibscy przechodnie zwolnili kroku, by

podслуchać sekret i zależnie od jego natury zareagować w ten lub w inny sposób.

- Tak! - krzyknęła ciotka Zipporah. - Twoja matka. W sobotę wieczorem. Bardzo nagle, Mordechaju.

Ojciec przygwoździł go swoim głosem.

- Okazało się, że od dawna była chora, ale tała to przed nami, Mordechaju.

Ciotka wybuchnęła znów lamentem:

- Ojoj, Mosze. To nie było nic złośliwego. Doktor Ehrenzweig sam mi to powiedział. Ani cienia złośliwości.

W porównaniu z jej wylewnym żalem postawa wdowca wydawała się bezlitośnie oschła. Ale jego rozpacz była zupełnie innego rodzaju.

- Doktor Ehrenzweig zapewnił mnie - z naciskiem stwierdził Mosze - że nie cierpiała. Nie miała żadnych bólów. Aż do końca.

- Nie cierpiała! Nie cierpiała! - Rozdygotany głos ciotki brzmiał jak fanfara. - Cierpieć można na różne sposoby. Doktor Ehrenzweig jest odpowiedzialny tylko za fizyczny stan pacjenta.

Ojciec schwycił syna za łokieć.

- Ta kobieta chce się zemścić, oczywiście nie może być bezstronna! - krzyknął.

Mordechaj wiedział jedno: matka umarła.

Wyszli z dworca, wsiedli do dorożki, deptając główki kilku goździków, które rzucił jakiś inny podróżny, nie chcąc widocznie obarczać się bukietem.

Przez parę tygodni aż do wybuchu wojny młody Himmelfarb pozostał w ojcowskim domu. Ojciec znosił podarunki i składał je u stóp syna, lecz nie kupił jego przebaczenia. Syn wznowił stosunki z krewnymi i gminą, która go przyjęła w dniu bar micwy za swego, bo oficjalnie był nadal Żydem. Ale często, kiedy się zbliżał, starsi urywali rozmowy, a kiedy wchodził do pokoju, młode skromne dziewczęta spuszczały oczy i oblewały się rumieńcem. Pogodził się z rolą wyrzutka. Nie zrozumiał, że prawdziwą przyczyną podejrzliwości nie jest ani odstępstwo ojca, ani jego własne duchowe zobojętnienie, i że niemal każda dusza musi przejść pewien okres próby, zanim otrzyma święcenia.

Z przyjaciół niemieckich nikt mu nie pozostał. Jurgen Stauffer gdzieś tam ćwiczył się w jeździe konnej, czekając chwili, gdy wyruszy na podbój Europy; Mordechaj zresztą nie pragnął zobaczyć twarzy przyjaciela, młodzieńczego wdzięku stwardniałego w rysach mężczyzny, wyrazu zielono-niebieskich oczu, które rycerskiego ducha minstreli zamieniły teraz na *Wille %u' Macht*. Ojciec Jurgena, wydawca, umarł

na serce; wdowa po nim wkroczyła w długotrwały i nieobliczalny okres wieku przejściowego. Tylko starszy z braci Staufferów mignął kiedyś Mordechajowi w cieniu kapelusza na platformie tramwaju. Konrad Stauffer najwidoczniej nie pamiętał dawnego znajomego lub może nie chciał go sobie przypomnieć. Przybrał minę sztucznie i nieprzekonująco gburowatą. Himmelfarb wiedział, że Stauffer wydał tomik wierszy, którego nikt nie czytał, i że obecnie drukuje wywrotowe recenzje oraz artykuły w radykalnej gazecie rodzinnego miasta.

Wkrótce jednak nowa rzeczywistość pochłonęła obraz Stauffera, a wraz z nim całą przeszłość i tę część życia, którą Himmelfarb ośmielał się uważać za osobistą własność. Wojna dla niego jak i dla innych nie była niespodzianką, to znaczy, że nie wybuchła nagle niby wulkan, lecz jak fala wzbierająca od dawna przelała się wreszcie przez brzegi i zagarnęła wszystkich. Byli tacy, którzy z przerażeniem myśleli o swoim w niej udziale, wielu wszakże przyjęło ją śpiewem i powitało jak kochanka, który wprawdzie może pogruchotać kości i posiniaczyć ciało, lecz którego ślina, trując, jednocześnie upaja, a namiętność wyzwala najwstydliwiej ukrywane żądze.

Himmelfarb wyszedł z przeżyć osobistych ostatniego okresu sceptyczny i zobojętniały, toteż wojna - pierwsza w jego życiu - mniej nim wstrząsnęła, niż można by się spodziewać. Nawet wtedy, gdy szaleństwo rozpętało się do szczytu, stwierdzał z zawstydzaniem, że sprawy wojny zajmują ledwie margines jego świadomości. Mimo to, jako dobry Niemiec, zgłosił się na ochotnika do armii i został przyjęty do służby w piechocie. Dwukrotnie był ranny. Zdobył nawet odznaczenia.

Kiedyś wśród błota i gruzów zburzonego francuskiego miasteczka miał wątpliwe szczęście spotkać się z Jurgenem

Staufferem. Elegancki porucznik uściskał nieco obszarpanego żydowskiego szeregowca - słońce zachodziło i nie było w pobliżu nikogo - i niewątpliwie był gotów za najlżejszą zachętą przeobrazić niewinne spotkanie w scenę operową.

- Ach, *Gotń* - krzyknął *Herr Leutnant*. - Martin! Z tysięcy ludzi właśnie ty, mój kochany, stary Martin! W dodatku o zachodzie słońca! W Treilles! Na zakończenie zwycięskiej ofensywy!

Żyd zastanawiał się, jak zdoła wznieść się jego śladem na te wyżyny, choćby do ich podnóży.

- Serce się raduje - piał dalej *Herr Leutnant* - z odnowienia starej, cennej przyjaźni w tak nieoczekiwanym momencie.

Może szczere przekonanie, a może wprawa przyczyniała się do tego, w każdym razie bohaterski tenor promieniał. Stał obok przyjaciela pośród ruin ulicy w przepisowej postawie, z twarzą złocistą w oprawie z kartonu i filcu, oblaną blaskiem zachodzącego słońca. Zmęczony szeregowiec czuł bijący od oficera zapach pasty do butów i toaletowego mydła.

- A jak ci się wiedzie, Martinie? Dlaczego nic o sobie nie mówisz? - spytał porucznik, zmieniając ton.

- Świetnie - odpal Żyd. - Co prawda, arka moja runęła. Jurgen Stauffer ryknął śmiechem. Zęby miał wspaniałe.

- Zawsze dowcipny! Mój stary niezawodny Martin! Trzymaj się! Koniec już blisko!

- Ale jaki? - spytał Żyd.

Oficer machnął ręką na pożegnanie. W swej chwale mógł sobie pozwolić na pobłażliwość wobec zuchwalstwa prostaków. Przebaczył więc, śmiejąc się wciąż, oglądając się za siebie przez ramię ku przeszłości, ku tej własnej niepojętej pomyłce, i pospieszył po błocie do generała, któremu był niezbędnie potrzebny.

Pokój bywa niekiedy bardziej burzliwy niż wojna. Tak się wydawało wielu ludziom, którzy przeżyli następny okres,

uganiając się za okrawkami kiełbasy lub główką marynowanego śledzia, wyrażając w pieśniach radość już nie odczuwaną, zapędzeni przez głód i potrzebę ciepła w erotyczne przygody, o jakich poprzednie pokolenie nie miało nawet wyobrażenia.

Płynąc i tonąc, deptając i będąc nawzajem deptane, stado ludzkie parło naprzód, a z nim razem dał się ponosić Żyd Himmelfarb. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek nawiedzała go chęć stawienia oporu prądowi, w każdym razie nigdy jej nie uległ, a nawet czerpał pewną pociechę z ocierania się o szczerę podobną do własnej. W pierwszych tygodniach swobody gorączka wrażeń i obce ramiona powstrzymywały go od powrotu do własnego łóżka, oczekującego w rodzinnym domu. Zresztą w tym środowisku mógłby roześmiać się za głośno, puścić bąka przy jadalnym stole lub popisać się jakimś innym nedorzecznym wybrykiem. Mosze bowiem ożenił się powtórnie. Wziął za żonę młodą kobietę, która nazywała się Christel Schmidt, miała upięte pod siatką włosy, ciężkie i żółte jak koński nawóz, na szyi zaś obrączkę Wenery. *Trotzdem, nett und tüchtig.* Poza tym nic sobą nie przedstawiała interesującego. Mosze poznał ją przed kościołem po niedzielnej mszy. Dziewczyna zgodziła się za niego wyjść trochę z ciekawości, ale przede wszystkim dlatego, że miała już dość głodowania. Jeśli chodzi o starszego pana, to zapewne wizja ostatnich dostępnych jeszcze rozkoszy, jakie obiecywała uległość tego kobiecego ciała, pozbawiła go resztek rozsądku.

I pasierb, i jego właściwie niewinna macocha odetchnęli z ulgą, gdy po kilku miesiącach nominacja Mordechaja na lektora języka angielskiego przy uniwersytecie w Bienenstadt położyła kres groteskowej sytuacji.

Żegnany nieśmiałym błogosławieństwem starego ojca doktor Himmelfarb wyje-

Ale porządna i dzielna (niem.).

chał z podejrzeniem w sercu, że tę zgoła niedochodową posadę na drugorzędnej uczelni zawdzięcza jakimś niewiadomym wpływom. Wielu skromnych Żydów ofiarowywało natarczywie swe rekomendacje, które miały mu otworzyć wstęp do domów współwyznawców, prawdopodobnie tego samego co oni pokroju. Doktor Himmelfarb przyjmował te propozycje z wdzięcznością i rozbawieniem; zwłaszcza farbiarz, odrażający biedak pamiętny z lat dzieciństwa, przyłapawszy Mordechaja na rogu ulicy uczepił się jego rękawa, powtarzając bez końca:

- W Bienenstadt mieszka bardzo dobry człowiek, drukarz, kuzyn szwagra mojej nieboszczki żony. On pana przyjmie z taką dobrocią i miłością, do jakiej pan w maleńkości przywykł, nie potrzebuję chyba panu o tym przypominać. Polecę mu pana całym sercem. Nazywa się Liebmann. Doktor Himmelfarb postarał się, jak mógł najprędzej, wyzwolić z objęć farbiarza, ale ten wołał jeszcze za nim:

- Najlepszy w świecie człowiek! Nazywa się Liebmann. Może nawet przesyłabizowałby na głos to nazwisko, gdyby ktoś w tym momencie nie zepchnął go do rynsztoka.

Wkrótce potem doktor Himmelfarb wyjechał do Bienenstadt.

Bienenstadt pod wieloma względami przypominało miasto, w którym się Mordechaj urodził; niewątpliwie było mniejsze, lecz malowane tym samym pędzlem. Barwy niebieskie i szare, gdzieniegdzie nakrapiane zmatowiałymi złoceniami, roztopiały się w południowej drzemce. Słowa ciekły z ust mieszkańców nieskazitelnym potokiem. Twarze uśmiechały się z zawodową życzliwością i tchnęły przeświadczeniem, że tylko one w całym świecie mają zawsze rację. Monotonny szmer życia w Bienenstadt mimo nuty obłudy działał na Himmelfarba kojąco. Większość studentów słuchała rozkazów nauczyciela z szacunkiem charakterystycznym

dla poważnych młodzieńców, a kilku, jak się zdawało, spodziewało się od doktora Himmelfarba czegoś więcej niż nauk, których im udzielał, bo po wykładzie czekali w napiętej ciszy jak gdyby na jakieś objawienie bardziej osobistej natury.

Mówiąc ściśle, nie tyle był, ile mógł być kochany, gdyby się w owym okresie nie wycofał w głąb siebie, tak że nikt nie mógł go osiągnąć.

Podarł wszystkie listy polecające, które mu narzucili różni znajomi przed wyjazdem z Holunderthal, miał bowiem wrażenie, że gdyby z nich skorzystał, naraziłby się na śmieszność albo na nudę. Wiele przesiadywał w swoim pokoju, do późna w noc czytając Spenglera.

Dopiero po kilku miesiącach zaczęło go prześladować w myślach pewne nazwisko, ale z początku nie mógł sobie uświadomić, skąd je zna. Stało się to dla niego źródłem irytacji, jak bywa natrętna fraza muzyczna wybrzdąkiwana wciąż w kółko przez sąsiada. Miał to nazwisko po prostu na końcu języka. Wreszcie przypomniał sobie, że nosi je kuzyn wstrętnego farbiarza mieszkający w Bienenstadt. Ale wobec tego sprawa była jeszcze bardziej śmieszna i drażniąca niż przedtem. Himmelfarb nie zamierzał nawiązywać tego rodzaju znajomości. Gdy w końcu zrozumiał, skąd wzięło się to nazwisko w jego pamięci, wybuchnął śmiechem, wypuszczając przy tym z płuc kłęb papierosowego dymu. Zapalił nowego papierosa. Spozrzegł, że palce jego nabierają żółtawego zabarwienia. I że ręce mu trochę drżą.

A potem zupełnie nieoczekiwanie pewnego popołudnia poczuł, że musi odszukać owego zecera Liebmann. Odetchnął z niewypowiedzianą ulgą - by nie rzec: z zachwytem - gdy pod jego stopami zadźwięczał bruk starej dzielnicy miasta. Lekki wiatr rozwiewał mu włosy, zbyt długie i bujne, aby zadowolić wymagania elegancji i dystynkcji.

Tak zawędrował przed dom Liebmann. Wybrał godzinę przedwieczorną, licząc, że o tej porze drukarz będzie już

wolny od obowiązków zawodowych. Rzeczywiście na parterze panowała cisza i pustka, w drzwiach wisiała zamknięta kłódka. Dr Himmelfarb obszedł dom i znalazł w bocznej ścianie inne drzwi, które wyglądały, jakby prowadziły do prywatnego mieszkania. Potwierdziła to kilkunastoletnia dziewczynka, która mu otworzyła; ale ojciec jej nie wrócił jeszcze z synagogi. Po chwili namysłu, jakby posłuszna głosowi instynktu, zaprosiła gościa na górę, gdzie nad drukarnią mieszkała rodzina Liebmannów. Wprowadzono go do pokoju, w którym okiennice były otwarte, a młoda kobieta rozpakowywała właśnie jakąś paczkę, wydając z niej nóż do przecinania kartek.

- Ach, tak, Izrael! - powiedziała ze śmiechem, gdy gość pozostawiony przez jej młodszą siostrę na progu, powołał się na farbiarza. - Od lat już się z nim nie widzieliśmy. Nawet nie pamiętam, kiedy to było.

I skrzywiłaby się może, gdyby jej nie powstrzymała dobroć serca.

Pokazała gościowi nóż, który dopiero co dostała w paczce.

- Od kuzyna - wyjaśniła - który wrócił z Janniny. Ale na nic mi się ten prezent nie przyda - dodała z żalem i tym razem pozwoliła sobie na grymas, bardzo zresztą zabawny.

- Kto prócz wielkich dam na scenie używa specjalnego noża do rozcinania kartek książki albo kopert?

Oboje roześmiali się i duet ten zabrzmiał nienaturalnie głośno.

- Można by chyba znaleźć jeszcze inne zastosowanie?

- powiedział gość, wciąż jeszcze ze śmiechem.

- Z pewnością! - zgodziła się dziewczyna. - Jest bardzo ostry.

Koniec noża wbiła w poduszczyk swego palca, która zbieleła pod naciskiem, a to pobudziło ich do nowego, jeszcze serdeczniej szego wybuchu śmiechu.

Zmieszali się, bo nigdy przedtem żadne z nich nie zachowywało się w ten sposób. Było to niezgodne z ich zwykłym usposobieniem, nienaturalne. Ale zarazem rozweselające. Śmiali się do utraty tchu.

Wreszcie dziewczyna podjęła znów rozmowę.

- Tak, ojciec wkrótce przyjdzie - powiedziała i lekkim tonem dodała: - Wtedy napijemy się kawy. Ja jestem najstarsza, mam na imię Reha. - Potem wyliczyła imiona licznych sióstr i braci. - To Izrael nie opowiadał panu o naszej rodzinie? Co prawda mało się znamy. Nie, matka moja nie żyje.

Pokój był duży, staroświecki, a dom miał stromy dwuspadowy dach.

- Pan pewnie myśli, że jestem okropnie gadatliwa - powiedziała, odgarniając z czoła kosmyk włosów. - Przy mnie nikt nie może dojść do słowa. Jak się panu tutaj podoba? To znaczy w Bienenstadt?

- Owszem - odparł. - Owszem, chyba mi się podoba.

- Proszę mi opowiedzieć, co pan tu robi - zachęciła. Opowiedział więc i teraz już wyzbył się nienaturalności. Reha była pulchna, dość niedbale ubrana. Wszystko w niej

zapowiadało, że będzie pogodną i szczęśliwą kobietą, jeśli tylko los jej na to pozwoli. Patrząc na nią, Himmelfarb mimo woli, a może przez delikatność, przechylał głowę gestem zupełnie dla siebie nowym. Reha nie starała się niczym zwrócić jego uwagi, nie była ani trochę zalotna, twarz miała zresztą raczej nieładną, a jednak stwierdził w duchu, że chce jej się spodobać, nie oczekując nawet nagrody; wystrzegał się nazbyt wyszukanych gestów i zawiłych zdań, żeby mimo szczerości intencji nie wydać jej się pretensjonalnym.

- Uczy pan angielskiego - szepnęła, marszcząc czoło. - A mnie zawsze po angielsku brak słów. Nie umiałam się zmusić, żeby więcej czytać.

- Mogę pani pożyczać książki - zaofiarował.

Oboje zdawali sobie sprawę z klasycznego schematu tej rozmowy, ale nic im to nie przeszkadzało.

Nadszedł ojciec. Był to drobny, chudy, stary Żyd; kulał na jedną nogę i wyglądał tak, jakby go trawiła jakaś choroba, a może nigdy nie zablźniony żal po stracie żony. Gdy usłyszał, kto przysłał do niego doktora Himmelfarba, ożywił się jednak i powtórzył parę razy:

- Biedny Izrael! Biedny Izrael!

Takim tonem, jakby beznadziejność losu krewniaka stanowiła jakąś zaletę.

- Trzeba panu wiedzieć, że na przekór swemu imieniu Izrael jest bezdzietny - dodał, nic pytając nawet, w jakim stopniu doktor Himmelfarb zna historię farbiarza. - Miał jakieś nieszczęśliwe przeżycia za młodu. Ale poświęcił się innym sprawom. Można przecież siać ziarno na różne sposoby.

Było widoczne, że drukarz wolałby znów zamknąć się w sobie, mimo to samorzutnie, oschle, lecz uprzejmie powiedział:

- Mam nadzieję, że zechce pan do nas stale przychodzić w szabas. Niech się pan tu czuje jak w rodzinnym domu. Chciałbym z panem przedyskutować pewne ustępy z Ksiąg. Ciekaw jestem też pańskiego zdania o sytuacji w ogóle.

Formuła zaproszenia brzmiała oficjalnie, lecz żółtawą cerę drukarza zabarwiał ciepły odcień serdecznej łagodności. Jego oczy zbyt były niewinne, żeby unikać patrzenia prosto w oczy bliźnich, a pod ich spojrzeniem Himmelfarb musiał spuścić wzrok, chociaż ufał, że dobroć gospodarza nie pozwoli mu dostrzec zamętu uczuć, jaki panował w duszy gościa.

- Jest wiele spraw, które pan, panie doktorze, będzie mógł nam wyjaśnić - ciągnął dalej drukarz. - My tu żyjemy w zamkniętym kręgu. W tym nasza wielka słabość.

Gdyby gość nie zacisnął z wszystkich sił mięśni gardła, zapewne przeraziłby swego poważnego gospodarza krzykiem protestu. Ale przynajmniej temu zdołał zapobiec.

Chwilę jeszcze trwała rozmowa, a potem Reha wróciła, niosąc kawę. Zatrzymała się, ze zdziwieniem i smutkiem patrząc na ręce Himmelfarba, który dopiero wtedy spostrzegł, że kurczowo zaciska pięści. Rozluźnił je co prędzej. Zbielałe kostki odzyskiwały normalną barwę. Reha zaczęła się krzątać tak swobodnie, że Himmelfarb mógł zwątpić, czy rzeczywiście coś zauważyła. Nalewała kawę, pochylając się i uśmiechając w lekkim obłoczku pary. Zapachniało dobrą przedwojenną kawą. Do tego trójkątne kawałki sernika.

Himmelfarb skorzystał z zaproszenia i przychodził w dni szabasu do Liebmannów. Z początku powstrzymywała go nieśmiałość, ale ten dom go ciągnął, więc wkrótce cotygodniowe odwiedziny weszły w zwyczaj. Ponieważ cała rodzina gospodarza uważała jego obecność za rzecz najoczywistszą w świecie, Himmelfarb wreszcie zaczął ją tak samo traktować. Podsuwano mu przy stole szabasowe potrawy, oczekiwano po nim, że przyłączy się do wspólnych śpiewów, w przeświadczeniu, że nigdy nie zerwał z żydowskim obyczajem. Chwilami szczęście, którego doznawał, budziło w nim uczucie zakłopotania. Ale jeśli ktoś to spostrzegwał, to chyba tylko jeden Ari.

Ari, najstarszy z synów, miał, jak się zdawało, szczególny dar węszenia cudzych sekretów, a przede wszystkim słabości. Nosił na okrągłej głowie tradycyjną czapkę, a zarost ciemnymi kędziorami obramowywał jego policzki. Ari mrucał modlitwy przez zęby, szerokie, podobne do zębów kozy, z oczyma na pół przymkniętymi, prawie z uśmiechem. W synagodze zwrócił się kiedyś do Mordechaja, nie zniżając nawet głosu: - Widzisz tego typu? Tego z kręconymi włosami. Taki z niego głupiec, a raczej, chciałem powiedzieć, taki dobry

Żyd, że gdyby jego dziadek włożył maskę i oświadczył, że jest prorokiem Eliaszem, nasz Abram by uwierzył.

Ari nie oczekiwał, że Mordechaj się roześmieje, ale sam się roześmiał.

Był całkowicie wyobcowany, ale niezły chłopak w gruncie rzeczy.

Maszerował ze śpiewem po podmiejskiej łące wraz z innymi młodymi Żydami z organizacji, do której należał. Poza tym bardzo kochał rodzinę i przy stole nieraz obejmował ramieniem szyje swoich sióstr.

Mordechaj wierzył, że nawet Ariego z czasem polubi. Z szabasowej kolacji najbardziej lubił skórki od chleba. Okruszyny sypiące się w palcach budziły w nim pokorę.

- No co? - pytała czasem Reha. - Nie smakuje panu karp? A może sos?

Zapewniał ją, że wszystko jest doskonałe, a gdy potem zapadało milczenie, Reha zajmowała się własnym talerzem albo czegoś szukała na stole. Podobnie jak matka Mor-dechaja, miała krótki wzrok. W początkach ich znajomości nie mogła sobie odmówić żartów na temat „wiódl ślepy ślepego”, bo Himmelfarb, jak się okazało, odziedziczył po matce słaby wzrok i musiał na krótko przed przybyciem do Bienenstadt zaopatrzyć się w okulary. Siedziały mu trochę niezgrabnie na nosie i może by osłabiły naturalną obronność tej twarzy, gdyby nie potęgujący się na niej wyraz pewności.

Dla Mordechaja, odkąd nie czuł się już obcy, szabas był źródłem stałej radości, czy to wtedy gdy o zmierzchu siedział w domu drukarza, czy wtedy gdy w synagodze dotykał łokciem łokcia przyjaciela Liebmann, okryty tak jak i on powłóczystym tałesem. Podobnie jak w ciągu roku w zależności od przypadających świąt zmieniają się okrycia Arki, dusza Mordechaja nabierała innych barw. Znów wypełniała go wiara.

Dotykając wargami frędzli tałesu, pił czystą radość.

Jesienią, gdy przeminęły upały, namawiał czasem Rehę, która w głębi serca trochę bała się otwartych przestrzeni, na

dalekie spacery we dwoje po jałowych wrzosowiskach ciągnących się na północ od Bienenstadt; pewnej październikowej niedzieli, kiedy usiedli, żeby odpocząć w piaszczystej, nieco bardziej przytulnej kotlinie, spytał, czy nie chciałyby zostać jego żoną.

W pierwszej chwili nie odpowiedziała ani słowa; przesypywała w rękę ziarna piasku i zdawała się smutna czy może rozżalona.

Prawdę mówiąc, zaskoczyło to jego próżność, ale tylko na krótką chwilę. Bo potem Reha powiedziała bardzo wolno, bardzo łagodnie:

- Tak. Tak, Mordechaju. Miałam tę nadzieję. Od początku miałam nadzieję. A właściwie wiedziałam, że tak będzie.

Gdyby nie wielka prostota, z jaką je wymówiła, te szczerze słowa mogłyby się wydać zarozumiałe, a nawet nieskromne.

- Och, mój drogi! - Rozpląkała się nagle. - Będę musiała bardzo się starać. Wybacz, że się tak zachowuję. W takiej chwili! Boję się, że pod wielu innymi względami także nie będę ciebie godna.

- Kochanie! - odparł lekkim tonem. - W oczach świata prowincjonalny intelektualista jest postacią komiczną.

- Ach, nie rozumiesz - wykrztusiła z trudem. - Jeszcze nie rozumiesz. A ja nie umiem się wysłowić. Ale my... niektórzy z nas... chociaż o tym nie mówimy z sobą, wiemy, że ty nam kiedyś przyniesiesz wielką chlubę.

Ujęła jego palce i przyglądała im się z roztargnieniem, prawie ze smutkiem. Pogłaskała żyły na grzbiecie ręki.

- Zawstydzasz mnie - powiedział Mordechaj. Był zaskoczony.

- Przekonasz się - odparła. - Ja jestem tego pewna.

I podniosła na niego wzrok, teraz już z ufnyim uśmiechem. Zapragnął ją pocałować - wydawała mu się taka dobra i bliska - ale jednocześnie postanowił sobie, że zapomni

0 dziwnych, wręcz historycznych przepowiedniach, które wywołał swymi oświadczeniami.

- Reho! Reho! Gdybyś wiedziała! Jestem najpodlejszy z ludzi.

To jednak nie powstrzymało jej od utulenia jego głowy w ramionach. Można by pomyśleć, że chce ją zagarnąć dla siebie na tak długo, jak długo wolno człowiekowi cokolwiek posiadać na tym świecie. Ale robiła to pokornie, świadoma, że jej samej przypadnie w całej sprawie drobna tylko rola.

Kiedy w końcu wstali, udzieliwszy sobie nawzajem pociechy słów i pieśzcot, byli oszołomieni i zawstydzeni. Wieczór zapadał nad odludną i trochę zakisłą kotliną wrzosowiska, a spiżowe trąby wywoływały ich imiona.

Potem dni rozpędzone goniły jeden za drugim, roztraj-kotane głosami starych kobiet, młodszych sióstr i kuzynek, aż wreszcie pan młody czekał pod chupą na oblubienicę. Tak jak przewidziano, nadeszła cichutko niby tchnienie. Stanęli teraz oboje, lecz już nie skrępowani więzami niezdarnych ciał, pod baldachimem z zakurzonego aksamitu, w osobliwym zapachu świętości i stęchlizny wypełniających synagogę w Bienenstadt, pośród gromady kupców i sklepikarzy, którzy byli nasieniem Izraela rzuconym w ten zakątek Niemiec. Powłoka cudownego baldachimu otwarła się dla dwojga wybrańców, błękit nieskończoności wciągnął ich w siebie, obie dusze wzleciały razem, z początku nieśmiało, jak dwie chusteczki, gdy trzepoczą na wietrze i spierają się o kształt i kierunek, aby po chwili, z natury rzeczy pogodzone z prawdziwą sytuacją, rozpostrzeć się, połączyć z sobą, wzbić jak najwyżej jednym mocnym białym płomykiem.

Tak właśnie dusze połączonej pary opuściły na czas jakiś wszystko, co ich otaczało, chociaż ciała oblubienca i oblubienicy zostały pod baldachimem, poddając się wzruszającemu i prostemu obrzędowi zaślubin, w którym może uczestniczyć

cała gmina wiernych. Stare kobiety i starzy mężczyźni wyciągali szyje, żeby dostrzec złotą obrączkę, gdy ją pan młody wsuwał na palec panny młodej. Zmurszali starcy i zmurszałe staruszki, i wszyscy inni znów się pograżyli w atmosferze miłości i wspomnień. Poczuli na wargach radosny smak wina i z drżeniem czekali na stłuczenie pucharu.

Pan młody wychylił bowiem kielich, a szczęście nigdy się nie powtarza, każde trzeba na nowo przeżyć i na nowo uświęcić. Pan młody podniósł więc kielich, przezysty, nieskazitelny, lecz nietrwały. Oto już pryska, już się tłucze, już go nie ma. Wśród ciszy, która zaległa na moment, okruchy szkła iskrzyły się na ceglanej posadzce.

Znaleźli się oczywiście wśród świadków i tacy, którzy zapłakali nad stłuczonym szkłem, lecz nawet oni przyłączyli się do ogólnej radości i wszyscy wykrzykiwali z głębi serca. Naprawdę cieszyli się tym aktem, dokonany wspólnie. W każdym z osobna odrodziła się nadzieja. „Mazł tow!” - wołali starzy bezzębnymi ustami, a z czerwonych warg młodych dziewcząt dobywał się głos przenikliwy, rozedrgany od hysterii i napięcia oczekiwania.

Tylko dla pana młodego jak gdyby rozpoczął się inny etap. Mordechaj zdawał się być niemal posepny, gdy nerwowo przestępował z nogi na nogę pod baldachimem, teraz już śmiesznym i oklapłym. Czas poniósł oblubieńca za daleko, za prędko, tak że zarost znów zjeżył jego ogoloną twarz, a kiedy Mordechaj zamyślony i chmurny spuścił głowę, biały kitel, który nierówno wystawał spod ślubnego żakietu, ocierał się brzegiem o szorstkie źdźbła włosów kielkujące już na brodzie. Pan młody ściągnął brwi i przygryzł koniec wąsa; dosłyszał pierwszy, nikły jeszcze szelest sypiących się grudek ziemi, zapowiedź lawiny, która ostatecznie potwierdza śmiertelność człowieka.

Potem, w domu teścia, Mordechaj wpadł w taki wir powinszowań, uścisków i rad, że na czas jakiś człowieka

myślącego zagłuszy! w nim człowiek zmysłowy. Nie bardzo słuchał, co do niego mówiono, ale wbrew swym zwyczajom na wszystko odpowiadał uśmiechem półotwartych, nabrzmiących warg. Niekiedy też przecierał oczy zamglone od blasku świec. I wciąż śmiał się zamiast mówić. Powietrze zresztą zgęstniało wokół niego od zapachu gęsiego smalcu i oparów złocistego rosołu.

W nastroju wyzwolonej zmysłowości, jaki się wytworzył podczas wesela, Mordechaj nie uważał za tragedię, że nie miał przy sobie nikogo ze swej rodziny. Ojciec taktownie przeziębził się właśnie w tym okresie i musiał leżeć w łóżku. Ciotki, chorowite i pochłonięte własnymi sprawami, nigdy właściwie nie przebolewały okoliczności, w jakich umarła ich siostra. Jedna tylko postać wyłoniła się ze świata wspomnień, a kiedy wzięła pana młodego w objęcia, Mordechaj poznał farbiarza z Holunderthal.

- Nie wątpię, że będziesz wiedział, co należy zrobić - wymokał ten okropny człowiek prosto w ucho oblubieńca. - Wiem, że nie zawiedziesz naszych nadziei. Serce twoje tknęła łaska i zostało odmienione.

Stali wśród rojących się gości, zewsząd potracani, tak że Mordechaj z trudem podtrzymywał farbiarza od upadku, chwytając go co chwila za osypane łupieżem ubranie.

- Tknięty i odmieniony? - Roześmiał się i dźwięk tego śmiechu wydał mu się głupawy. - Niestety, jestem nadal i zawsze sobą.

- Właśnie w tym rzecz i właśnie w tym przyczyna - odparł farbiarz.

Tłum zmuszał ich do zbliżenia i Mordechaj wyczuł, że ciało biedaka, nędzne, wymizerowane, jak mu się zawsze wydawało, ma w sobie niespodziewanie dużo ciepła i siły. Nie budziło też w nim takiego wstępu jak przy poprzednim zetknięciu, ale może tylko dlatego, że wypił już kilka kieliszków wina.

- Zadajesz mi zagadki, jesteś tajemniczy!

Chociaż stali tak blisko siebie, musiał krzyknąć, żeby przezwyciężyć zgiełk.

- To nie sekret - odpowiedział czy raczej odkrzyknął farbiarz. -

Równowaga ducha to nie sekret. Samotność to nie sekret. Prawdziwa samotność jest możliwa tylko tam, gdzie istnieje równowaga. Duch niespokojny zakłóciłby nawet najlepiej przygotowany umysł.

- Ależ to niemoralne - zaprotestował pełnym głosem Mordechaj. - W dodatku przy dzisiejszej okazji! To się sprzeciwia wspólnocie społeczeństwa. Człowiek nie jest pustelnikiem.

- Jeśli to człowiek właściwy, staje się światłem, które opromienia całą społeczność, tym jaśniejszym, że świeci w pustej izbie.

Niemal ryczeli te słowa, ale nikt inny ich nie słyszał, z czego zapewne należało się cieszyć; w tym momencie rozmowy rozdzielił ich drukarz, pragnąc przedstawić zięcia paru znajomym i krewnym.

Kiedy ten jego samozwańczy przewodnik zniknął, znów wchłonięty przez tłum, Himmelfarb zrozumiał, że koślawy farbiarz, który nawet na wesele przyszedł z rękami umazanymi fioletem, należy do osób na jego drodze nieuniknionych. Poznał kształt jego zniekształconego ciała, fakturę wiecznie tego samego ubrania; na długo przed spotkaniem z tym człowiekiem dowiedział się z lustra, jaki wyraz mają jego oczy. Teraz, w tej chwili zrozumienia, wszystkie przebłyski połączyły się w jedno światło i Himmelfarb był pewny, że obraz farbiarza będzie w sobie odtąd nosił zawsze, tak jak obraz nowo zaślubionej żony, tak jak swój własny los. Był już związany. Odpowiadał więc nadal z roztargnieniem na pytania weselnych gości, usiłując jednocześnie pogodzić w swym umyśle to, czego nauczyła go o miłości Reha, z tym,

co dotychczas było wstrętem odczuwanym do kulawego nędzarza. W blasku miłości żony musiał odkryć i skupić iskierki miłości ukryte w tym biedaku. Albo też musiałby wyprzeć się sensu egzystencji własnej i swego całego plemienia.

Nie pojmował, jak to możliwe, że nikt nie spostrzega bezmyślności jego odpowiedzi i że Reha patrzy mu w oczy z wyrazem bezgranicznego zaufania.

Zrazu młode małżeństwo mieszkało razem z rodziną drukarza, ale wkrótce znalazło sobie mały, trochę staroświecki dom, z wysokimi, lecz ciasnymi pokojami, z bardzo stromą klatką schodową, i przeniósło się na własne gospodarstwo; czynsz był niski, dzięki czemu mogli sobie pozwolić na przyjęcie dziewczyny do pomocy pani Himmelfarb: *Herr Docent* zresztą rzucił palenie i wprowadził inne drobne oszczędności w trybie swego życia, między innymi zaczął chodzić piechotą na wykłady zamiast jeździć tramwajem. Wszystkie ciotki i kuzynki twierdziły, że młodej parze nic do szczęścia nie brakuje, i prawie się nie myliły. Byli szczęśliwi w swoim małym, zamkniętym kręgu na krańcu miasta. Kto szuka urozmaicenia w zmianach i ruchu, a nie w różnorodności tych samych powtarzających się zdarzeń, uznałby takie życie za monotonne i ciasne. Nic jednak nie wskazywało, żeby Himmelfarbowie mieli ochotę zboczyć ze ścieżki, na którą wstąpili. Opuszczali Bienenstadt tylko na jeden, zawsze ten sam miesiąc w roku i spędzali wakacje w Schwarzwaldzie, zawsze w tym samym solidnym pensjonacie, gdzie była kuchnia koszerna. Doktor Himmelfarb co prawda wyjeżdżał niekiedy na kilka dni do innych uniwersyteckich miast, jeśli profesor wolał się nim wyręczyć zamiast osobiście uczestniczyć w jakiejś konferencji. A w parę lat po ślubie pojechał też do Holunderthal, wezwany telegramem na pogrzeb ojca.

Ojca zabiło małżeństwo z młodą kobietą, jak słusznie głosiła powszechna opinia. Ale umarł ze skrucą w sercu. Nietrudno o skruchę, kiedy życie się kończy. Pochowano go w asyście mamroczącego księdza, któremu towarzyszył zakatarzony kościelny. Garstka osób oddających mu ostatnią posługę rekrutowała się spośród przyjaciół tak świeżej daty, że cały obrzęd odbył się w nastroju obojętności. Twarze były przeważnie dobrotliwe, zaciekawione, pełne szacunku, poprawne, ale ten i ów, znudzony czy też cierpiący wskutek złego krążenia, przytupywał jawnie lub na rozgrzewkę klepał się po bokach, a ktoś bardziej od innych cyniczny zauważył, jak to nieszkodliwy żart szybko czasem staje kością w gardle. Wszyscy niecierpliwie czekali na zakończenie ceremonii. Ale każdy musiał dorzucić swoją grudkę ziemi. I wezwać pomocy Matki Bożej dla starego Żyda, który od tak niedawna ją znał, a co gorsza, jak podejrzewano, zawarł z nią znajomość nie bezinteresownie. Przysypano go więc ziemią i pokropiono wodą, ale nikt go nie oplakiwał, nawet rodzony syn, bo jego rana była za głęboka, żeby z niej mogły trysnąć łzy. Syn, zabłądziwszy nad grób od niewłaściwej strony, pomiędzy zwały ziemi i kamienie, nie wiedząc, jak oddać zmarłemu cześć, stał żółtoblady w srebrnym świetle popołudnia. Niektórych uczestników pogrzebu fascynowały - zarazem odpychały - wybitnie żydowskie rysy jego twarzy. Zauważono, że Mordechaj chwieje się od czasu do czasu. Uginał się pod brzemieniem. Wiara bowiem nie byłaby wiarą, gdyby nie trzeba było się z nią czasem zmagać. „O niezachwiana Opoko, oszczędź rodziców i dzieci, a bądź im miłosierna...”. Więc Mordechaj zmagał się z Opoką i modlił się za ojca, który był lotnym piaskiem, czyli człowiekiem światowym, nosił wąsy pięknie pachnące i nigdy nie czuł się szczęśliwszy niż w chwilach, gdy ofiarowywał w prezencie „Dziela zbiorowe” oprawne w skórę.

Himmelfarb nie zabawił w rodzinnym mieście dłużej, niż wymagały interesy. Na szczęście przedsiębiorstwo ojcowskie już przed kilku laty zostało pomyślnie zlikwidowane. Wdowa, zamierzając jak najprędzej zapomnieć o tym rozdziale swej historii, wybierała się szukać pociechy w pewnym zagranicznym uzdrowisku. Dom przy ulicy Holzgraben przypadł w spadku synowi, który postanowił go na razie zamknąć i czekać, aż nadarzą się odpowiedni lokatorzy.

Doktor Himmelfarb pragnął jak najspieszniej powrócić do życia, które sobie zbudował i w którym mimo poprawy stanu majątkowego nie miały nastąpić żadne głębsze zmiany, ponieważ Reha nigdy by nie umiała się nagiąć do światowych zwyczajów, on zaś kochał swoją żonę, a poza tym pochłaniały go wykłady i praca nad książkami.

Nie wszyscy w Bienenstadt wiedzieli, że doktor Himmelfarb napisał i opublikował uczoną i znakomitą małą monografię: *Powieści Johna Olwera Hobbesa*. Wprawdzie *Frau Doktor* usilnie napomykała o tym w rozmowach z paniami z zaprzyjaźnionego kółka, lecz wiadomość ta jakoś nie przeniknęła do ogółu. Dlaczegoż zresztą miało być inaczej? Książka stanowiła dość poślednie osiągnięcie naukowe, w najlepszym wypadku mogła zainteresować specjalistę studiującego boczne ścieżki literatury. Inaczej jednak przedstawiała się sprawa drugiego, na większą skalę podjętego dzieła, pod tytułem: *Angielscy powieściopisarce dziewiętnastego wieku oraz ^\wi<l\ki Z literaturą i życiem w Niemczech*, napisanego również w spokojnym okresie pobytu w Bienenstadt. Książka ta zwróciła uwagę poważnych kręgów akademickich, jeśli nie szerszej publiczności, i wydawało się pewne, że autor jej wkrótce cieszyć się będzie powszechnym uznaniem jako autorytet w swojej dziedzinie. Toteż wśród pań z kółka *Frau Doktor* toczyły się pogodne dyskusje na temat zasłyszanych na mieście pogłosek: że doktor Himmelfarb niezadługo może

obejmie katedrę anglistyki na tym czy innym uniwersytecie - co do tego bowiem, które miasto zaofiaruje mu to stanowisko, krążyły sprzeczne wieści; panie uśmiechały się przymilnie i wyrażały nadzieję, że *Frau Doktor* Himmelfarb będzie mogła udzielić im ściślejszych informacji. Ale *Frau Doktor* nagabywana w sprawie przewidywanego awansu denerwowała się, jakby ją popychano do kuszenia losu. Wolała czekać na logiczny rozwój zdarzeń, nieuchronnych wobec świetnych zdolności jej małżonka. Wykręcała się więc od bezpośredniej odpowiedzi. Albo szeptała jakąś wypróbowaną banalną formułkę, na przykład:

- Wszystko w swoim czasie. Życie dopiero się dla nas zaczyna.

Po czym namawiała panie na drugi kawałek sernika.

W pewnym sensie była to najrozsądniejsza możliwa odpowiedź, bo chociaż *Herr Docent* zaczynał siwieć - rzecz dość naturalna u tak ciemnego bruneta - i tracić dawniej tak smukłą linię, a żona jego była po prostu gruba, można by udowodnić, że małżonkowie zbliżali się dopiero do pełni osiągnięć swego wspólnego życia. W małym domku na skraju miasta. W cieniu dębu i w skromniejszym cieniu fasoli, którą gospodarna wiejska dziewczyna zmuszała do wspinania się na tyczki w ogródku za domem. Nikt doprawdy nie mógłby sobie życzyć i z pewnością sami Himmelfarb-bowie nie pragnęli zniszczenia atmosfery spokojnej egzystencji, jaka tu panowała zwłaszcza rankiem, kiedy puchowa pościel wietrzyła się na słońcu w oknie pierwszego piętra.

Mimo to *Frau* Himmelfarb, cierpiąca od niedawna na lekką zadyszkę, miewała, w chwilach gdy nie kontrolowała swej twarzy, wyraz nieco znużony, jakby zapewnianie świata o niezmaconym szczęściu wymagało od niej pewnego wysiłku. Zastanawiając się nad tym, odwiedzając ją panie orzekły, że winę ponosi dąb, rosnący za blisko domu; może to

sąsiedztwo zbyt wielu drzew zużywających tlen powoduje te skurcze, które w końcu mogą doprowadzić do astmy; inne panie, śmielsze w swych przypuszczeniach, uważały, że to bezdzietność odbija się na stanie nerwów.

Jedna z nich, osoba nieokrzesa, jeśli przykładać do ludzi miarę intelektualistów, żona kupca galanteryjnego z bocznej ulicy, przyjmowana wyłącznie ze względu na jakieś pokrewieństwo, wypaliła bez ogródek:

- Pora, moja kochana Reho, żebyś miała dziecko. Przecież obowiązki rabonim nie zaczynają się i nie kończą na książkach. Nie ma to jak poczciwy, wesóły ojciec rodziny. Niechby pisał z błędami, ale niech w domu będzie pełno jego dzieci.

Inne panie, z których jedna odznaczała się tym, że czytywała „West-Östlicher Divan”, doszły do wniosku, że mimo wszystko należy zerwać stosunki z żoną galanteryjnego kupca; na dobitkę cuchnęło od niej potem i czosnkiem.

Reha Himmelfarb odpowiedziała z prostotą:

- Kimże jesteśmy, Ryfcu, żeby rozstrzygać o obowiązkach mężczyzny? Himmelfarb, który przypadkiem dosłyszał tę odpowiedź, pokochał swoją żonę tym serdeczniej.

Stali się sobie nawzajem jeszcze bliżsi, usiłując wyrazić tę miłość, która, jak się zapowiadało, nie miała zostawić żadnych trwałych dowodów. Nikt by też nie wiedział, jak bardzo byli sobie potrzebni, gdyby nie doszedł do uszu publiczności oddźwięk z księgarni, gdzie na karcie tytułowej książki doktora Himmelfarba widniała dedykacja: *Mojej żonie, bez której zachęty i pomocy...* Słowa jednak nie przekonują wątpiących tak jak żywa rękojmia, a żona kupca galanteryjnego mimo swego prostactwa czy może dzięki niemu, wiedziała o tym dobrze.

Pewnego wieczora przyglądając się żonie, gdy zapalała szabasowe świece, Himmelfarb pomyślał: „Ze wszystkich

ludzi na świecie Reha najmniej zna zwątpień". Lecz w tej samej chwili wydało mu się, że pulchne i z natury sprawne ręce żony stają się przezroczyste i drżą nad migotliwym płomieniem. Reha nagle krzyknęła z cicha, jakby zaskoczona bólem.

- To wosk ze świecy! Gorący wosk kapnął mi na rękę, kiedy się wcale tego nie spodziewałam - szepnęła pospiesznie, ledwie dosłyszalnie, poczuwając się widać do obowiązku usprawiedliwienia, że uchybiła powadze świętego obrządku.

Ale płomienie świec jarzyły się równo i spokojnie: śliczny, czysty blask szabasu nie wiadomo dlaczego świecił blado, niemal mdło, w lustrze zaś twarze obojga wyglądały jak ulepione z miękkiego, topliwego wosku. Należało dopełnić dalszego ciągu ceremoniału, więc •Himmelfarb nie mógł od razu podzielić się z żoną swymi refleksjami, dopiero znacznie później podszedł do niej, mówiąc:

- Reho najmilsza, widzę, że jesteś gorzko zawiedziona. Mimo że się trochę opierała, wsunął sobie pod kurtkę na pierś jej rękę, żeby ją czuć jak najbliżej swego serca.

- Dlaczego?! — krzyknęła. - Przecież jesteśmy z sobą szczęśliwi.

Wkrótce dostaniesz katedrę. Wszyscy to mówią.

Słuchał tego trochę z irytacją, trochę z miłością.

- Ale nie mamy dzieci, które kuzynka Ryfka zaleca jako lekarstwo na wszelkie niedomagania.

Nie patrząc na niego, Reha odpowiedziała:

- Z góry wiedziałam, że nasze losy będą szczególne.

- To są rozważania abstrakcyjne na tematy, których nie rozumiemy - odparł. - W praktyce życiowej chciałbym, przynajmniej dla ciebie, wszystkiego, co daje pociechę i radość.

- Ach, dla mnie! - zaprotestowała. - Ja jestem niczym. Twoim podnóżkiem. Albo raczej poduszką! - roześmiała się. - Prawda, jestem twoją poduszką?

Wydawała się bardziej niż kiedykolwiek pulchna i krągła, gdy tak spoglądała mu w oczy, wydawała się nawet szczęśliwa, ale podejrzewał, że to kosztowało ją dużo wysiłku. Objęła go ramieniem i wtuliła twarz w jego kamizelkę.

- Nie chciałabym w naszym życiu zmienić najmniejszego nawet szczegółu - powiedziała. I zaraz innym już tonem, jakby recytując bardzo ważny i pilny komunikat, dodała: - W poniedziałek muszę się wziąć do smażenia galaretki z jabłek, które Mariechen przywiozła ze wsi. Jest pewna stara książka, o której często wspominała moja matka i w której podane są niezawodne sposoby klarowania galaretki. Tytuł mam gdzieś zanotowany w papierach po matce. Jutro, wracając do domu, będziesz przechodził koło sklepu Rutko-witza, więc proszę cię, wstąp tam i spytaj, czy przypadkiem nie ma tej książki. Dobrze, Mordechaju? Rutkowitz trzyma takie góry starych książek, może się między nimi i ta znajdzie. Zglądała mu w oczy z takim przejęciem, że wzruszył się i zarazem uspokoił.

W poniedziałek, gdy wychodził z domu, Reha przybiegła z zapisanym na kartce tytułem. Mordechaj zdążył o całej sprawie zapomnieć.

- Proszę cię, pamiętaj! - nalegała. - Nie zacznę roboty. Będę czekała, bo może jednak znajdziesz u Rutkowitza tę książkę.

Wyraz jej twarzy świadczył, że przywiązuje wielką wagę do tej prośby. Mordechaj wyszedł uspokojony, że jego żona jest prostą, kochającą istotą. Jeśli niekiedy słowami zahaczała o jakieś głębsze sprawy, było to przypadkowe, ona sama nie uświadamiała sobie tego.

Rutkowitz był cichym, niemłodym już Żydem, a jego napchany książkami sklep mieścił się przy jednej z ulic ukrytych za gmachem uniwersytetu. Himmelfarb nie omieszkał obrać tędy drogi do domu i przerzucił stosy tomów

w poszukiwaniu książki, której tak bardzo potrzebowała jego żona. Nie trzeba chyba mówić, że jej oczywiście nie znalazł, odkrył natomiast inne książki, które go zainteresowały i ubawiły.

- Widzę, że pan się zajmuje magią, panie Rutkowitz! Umyślnie zwracał się do poważnego księgarza niestosownie lekkim tonem. Rutkowitz wzruszył ramionami.

- Mam trochę starych ksiąg kabalistycznych i chasydzkich - odparł bardzo oschle. - Pochodzą z pewnego księgozbioru w Pradze.

- Czy to są cenne rzeczy?

- Niektórzy je sobie cenią.

Księgarz był człowiekiem bardzo ostrożnym.

Himmelfarb zapalił się do pięknej czcionki i przypomniał sobie język, którego początki wpoił mu niegdyś kantor Katzmann. Nie mógł się oprzeć pokusie i zaczął czytać głośno, tak bardzo zapragnął usłyszeć własny głos, składający hołd odziedziczonej tradycji.

Usłyszał więc te słowa:

Nocami zasiadałem do pracy, zestawiając z sobą litery i medytując nad nimi i w ten sposób spędziłem trzy noce. Za trzecim razem, po północy, zdrzemnąłem się trochę z piórem w ręku, z papierem na kolanach. W pierwszej chwili zauważyłem, że świeca się dopala, wstałem więc, żeby ją zgasić, jak często robić musi człowiek, budząc się z drzemki. Wkrótce jednak spostrzegłem, że w pokoju nadal jest jasno. Rozejrzawszy się uważnie, stwierdziłem z wielkim zdumieniem, że światło promieniuje ze mnie. Rzekłem: „Nie wierzę w to”. Chodziłem tam i sam po całym domu, lecz, o dziwo, światło mnie nie opuszczało; położyłem się na tapczanie, nakryłem się cały, ale, o dziwo, światło wciąż było wokół mnie...

Przezorny księgarz trzymał się nieco na uboczu, żeby móc wyprzeć się współnictwa z osobistymi zainteresowaniami klienta.

- Czy pan docenia fizyczne korzyści ekstazy mistycznej, panie Rutkowitz? - spytał Himmelfarb.

Chociaż dzieliło ich ledwie kilka kroków, księgarz najwidoczniej postanowił sobie odgradzić swój umysł od tego, co się obok działo. Nie odpowiedział.

Himmelfarb nadal szperał wśród starych druków i rękopisów. Wpadł w trans. Księgarz opuścił go, a może przestał istnieć. W ciszy zmierzchu, przy świetle jedynej elektrycznej żarówki, Mordechaj czytał i słuchał swego głosu:

Dusza przepelniona miłością do Boga, spętana więzami miłości, a serce radosne i lekkie. Niepodobny do sługi, który swemu panu służy niechętnie, człowiek nawet wśród najgorszych przeciwności pała w głębi serca miłością i pragnie służyć, szczęśliwy, że wypełnia wolę Stwórcy... Albowiem gdy dusza rozpamiętuje bojaźń Bożą, z jej głębi tryska płomień serdecznej miłości i uniesienie najsubtelniejszego szczęścia wypełnia serce... Miłujący nie marzy o dobrach tego świata; nie czerpie już niegodnej przyjemności z obcowania z żoną ani też nie chełpi się nad miarę swymi synami i córkami, lecz pragnie jedynie być posłuszny Stwórcy, czynić dobrze bliźnim, czcić święte imię Pańskie. Wszystkie jego myśli rozpłomienia ogień miłości do Boga...

Himmelfarb odszukał księgarza, który siedział przy biurku w parterowym pokoju sklepu z taką miną, jak gdyby nie zdarzyło się nic szczególnego... bo cóż się właściwie zdarzyło? *Herr Docent* doszedł z księgarzem do porozumienia i wrócił do domu, dźwigając kilka najciekawszych starych hebrajskich ksiąg oraz parę luźnych, uszkodzonych pergaminów.

- Czy znalazłeś tę książkę dla mnie?

Reha ukazała się w hallu, gdy usłyszała na schodach kroki męża.

- Nie miałem szczęścia - odparł.

Wcale się nie zmartwiła, lecz natychmiast zawołała w stronę kuchni:

- Mariechen, dziś wieczorem zabieramy się do smażenia galaretki.

Starym sposobem. *Herr Doktor* nie znalazł książki.

Mąż tymczasem wchodził na górę. Zastanawiał się, czy powiedzieć żonie o swoich nabytkach, ale Reha nie zwróciła uwagi na książki, których miał pełne ręce, uznał więc, że jest zwolniony od wyjaśnień.

Odtąd często wieczorem, skończywszy poprawianie stosów prac pisemnych albo też pożegnawszy studentów, którzy przychodzili do niego na lekcje, zasiadał samotnie w swym pokoju nad starymi księgami. Czytał, rysował od niechcienia, automatycznie obracał w palcach rozmaite przedmioty albo nasłuchiwał głosu ciszy i czasem, jak się zdaje, myśli ponosiły go w różnych kierunkach.

Pewnego razu przerwała mu te rozmyślania żona.

- Nie mogę zasnąć - wyjaśniła.

Miała włosy rozpuszczone i szesane tak, że wyglądała, jakby stała na tle ciemnej, delikatnej gęstwiny, przez którą jednak przeświecało światło.

- Czy nie przeszkadzam? - spytała. - Przyszło mi do głowy, żeby wziąć coś do czytania. - Westchnęła. - Coś krótkiego. I melodyjnego.

- A więc może Mórike - zaproponował.

- Dobrze - odparła z roztargnieniem. - Mórike w sam raz się nada.

Gdy przechodziła w rozwianym szlafroku, od podmuchu poruszyły się leżące na biurku papiery i Reha nie mogła się powstrzymać od zapytania.

- A to co, Mordechaju? Nie wiedziałam, że umiesz rysować.

- Tak sobie gryzmoliłem - odparł. - To ma być Wóz.

- Och! - wykrzyknęła z cicha i odwróciła wzrok, jakby tracąc zainteresowanie. Spytała co prawda: - Co za wóz?

- ale zdawkowo, może tylko po to, żeby zrobić mężowi przyjemność.
- Tego właśnie sam nie wiem na pewno - odpowiedział. - Bardzo trudno rozróżnić. Ilekroć zdaje mi się, że już zrozumiałem, odkrywam jakąś nową jego postać, wiele różnych postaci, a wszystkie bogate w mnóstwo ukrytych znaczeń. Na przykład jest to tron Boga. Ta postać jest dość oczywista: wóz cały ze złota, chalcedonu i jaspisu. Ale jest także wóz Odkupienia, bardziej niejasny, intrygujący, szczególny. A twarze tych, którzy w nim się znaleźli? Nie mogę zobaczyć bodaj mgliście wyrazu ich twarzy.

Reha przez cały czas przeszukiwała półki.

- O tym wszystkim piszą stare księgi? - spytała.

- Coś z tego jest w niektórych księgach.

Reha wciąż szperała w bibliotece. Ziewnęła. Roześmiała się lekko.

- Myślę, że prędzej zasnę, niż znajdę Mórikiego - powiedziała.

Mimo to wzięła jakąś książkę. Poczuli na karku pocałunek, zanim wyszła. A może została, żeby go osłaniać z bliska, może zostawiła przy nim jakąś tajemną część swojej istoty, gdy drzwi się za nią zamknęły? Mordechaj nigdy nie wiedział na pewno, ile w słowach jego żony i w jej zachowaniu przejawiało się zrozumienia, jak daleko Reha zaszła z nim razem na drodze wewnętrznego życia.

Bo teraz Himmelfarb kroczył tą drogą. Nieodparcie pociągała go cisza i wpadał w ponury nastrój, jeśli wieczorem jakieś przeszkody nie pozwalały mu wycofać się wcześniej do swego pokoju. Reha dalej szyla lub cerowała. Twarz jej nie wyrażała sprzeciwu. Z łagodnym uśmiechem zgadzała się ~ ale nigdy nie zostało wyjaśnione, czego ta zgoda dotyczy.

W starych księgach było wiele wskazówek, do których Mordechaj nie ośmielał się zastosować i które świadomie starał się traktować sceptycznie albo nawet w razie potrzeby z grubym cynizmem. W końcu jednak - miejmy nadzieję, że bez wiedzy swego racjonalistycznego umysłu - zaczął gorączkowo zestawiać i kombinować litery, a nawet medytować nad Imionami.

Zachowywał jednak postawę jak najbardziej oschłą, celeb-ralną, podczas gdy duchowo tęsknił do ekstatycznych uniesień tak świeżych, że mogłyby nasycić jego pustynię niebiańską rosą. Mimo wszystko jego kościste czoło nadal czuło gorący ucisk jakby żelaznej obręczy. A niekiedy ogarniały go odrętwienie i chłód, dusza zdawała się uwięziona w sztywnym, obitym skórą fotelu, kostki rąk twardniały, jakby wyrzeźbione z dębowego drewna.

Zwykle zatrzymywał się na takim szczeblu, że nie nadawał się do roli naczynia, które miała wypełnić łaska duchowego przeżycia; zasypiał i budził się o świcie. Raz jednak ocknął się ze snu o szarej godzinie przedświtu i zobaczył oblicze, i poznał je. Zerwał się na nogi, by przyjąć wysłannika światłości lub stawić opór złowrogiemu majakowi. Zdjęła go zgroza. Przeraził się, bo ujrzał własną twarz, ale rozpływającą się jakby w wodzie czy w ogniu. Tak więc ów długo oczekiwany moment ograniczył się do wizji własnego odbicia. W zniekształcającym lustrze. Któż zatem mógł mieć nadzieję zbawienia? Szczęściem nie zdołał wykrzyknąć bluźnierstw, które mu się cisnęły na usta, bo głos został mu na czas pewien odjęty. Nie mógł też usłuchać niszczycielskiego popędu i rzucić się na materialne przedmioty, które go otaczały i które były maskami ludzącymi ducha, ponieważ wolę miał spętana i tylko łamał paznokcie na zasupłanych węzłach. Walczył i chwiał się we wnętrzu kolumny własnego ciała. W końcu padł głową naprzód i uderzenie o kant biurka oszczędziło mu dalszej męczarni.

Reha Himmelfarb znalazła swego męża w tym stanie, gdy weszła wczesnym rankiem. Był jeszcze słaby i oszołomiony, prawie nieprzytomny, jakby po udarze mózgowym. Żona usiłowała rozgrzać jego ręce w swoich dłoniach, całowała go z płaczem, próbowała tchnąć ciepło w jego zimne wargi, aż ochłonawszy z pierwszego strachu pobiegła zatelefonować po doktora Vogla. Lekarz zbadał pacjenta i orzekł, że *Herr Docent* jest wyczerpany wskutek przepracowania. Kazał mu leżeć w łóżku i przez parę tygodni Himmelfarb nie widywał nikogo prócz swojej kochającej żony. Był to okres niezmiernie przyjemny. Reha przeczytała mu całą powieść *Effi Briest*, a Mordechaj leżał z zamkniętymi oczyma i słuchał niezbyt uważnie, lecz jakoś przenikały do jego świadomości epizody tej wzruszającej, chociaż trochę niemądrej historii. Nade wszystko chyba cieszył go głos żony wymawiającej słowa ciepło, łagodnie i starannie, brzmiący w jego uszach jak głos sennej rzeczywistości.

Następne dwa tygodnie przyznanego na jego rekonwalescencję urlopu spędzili Himmelfarbowie w małym uzdrowisku nad Bałtykiem. Szare światło i chłodne powietrze stanowiłyby miłe uzupełnienie sielanki nieskałanych wydm i białych drewnianych domów, gdyby uroku nie zmacił pewien przykry incydent. Pierwszego wieczora zeszli wcześniej do hotelowej jadalni, gdzie zgorzkniały pomocnik kelnera wskazał im stolik. Wkrótce zaczęli się schodzić inni goście, same osoby dystyngowane, których twarze i ubrania były tak dyskretne, że aż trudne do odróżnienia. Przywitano się poprawnie. Cisza nie wróżyła żadnych niespodzianek. A jednak zdarzyło się coś niespodziewanego, wręcz niepokojącego. Emerytowany pułkownik, z którym mieli dzielić stolik nowo przybyli Himmelfarbowie, podszedł do swego miejsca, chwycił papierową kopertę ochraniającą wedle tutejszego zwyczaju serwetę każdego z gości, zawrócił do hallu

i grzmiącym głosem oświadczył urzędnikowi recepcji, że nie przywykł jadać przy wspólnym stole z Żydami.

Nic podobnego nie spotkało jeszcze nigdy Himmelfarbów. Byli wstrząśnięci, dosłownie zadrżeli. Niewątpliwie większość obecnych na sali osób czuła się zażenowana, chociaż ten i ów zachichotał.

Przedstawiciel zarządu hotelowego przeprosił państwa Himmelfarbów jak należało, oni jednak stracili apetyt na kolację i zadowolwszy się kilku łykami bezbarwnej zupy, opuścili salę. W ciągu nocy oboje - każde na własną rękę - postanowili nie poruszać tej sprawy w rozmowach ze sobą, ale oboje dobrze wiedzieli, że nie zapomną nigdy o tym epizodzie.

Powietrze nadmorskie było kojące, bardziej liberalni goście hotelu przez cały czas pobytu Himmelfarbów kłaniali im się skrupulatnie, a nawet manifestacyjnie; mimo to drobne liżące plażę fale połyskiwały stałą, a kwilenie mew budziło w tajemnych zakątkach umysłu melancholijne echa.

Bądź co bądź morskie powietrze i przesypiane noce wpłynęły zbawiennie na zdrowie doktora Himmelfarba; powrócił do Bienenstadt uzbrojony w siły, niezbędne do stawienia czoła oczekującym go zmianom. Wkrótce bowiem te same osoby, które dotychczas szeptem opowiadały o dziwnym załamaniu nerwowym pana docenta, zaczęły głośno rozprawiać o jego awansie i bliskim już wyjeździe. Został rzeczywiście wezwany na konferencję do Holunderthal, po czym rozeszła się oficjalna już wiadomość, że ofiarowano mu katedrę anglistyki na uniwersytecie w rodzinnym mieście i że przyjął tę propozycję.

Oboje Himmelfarbowie mieli teraz pełne ręce roboty.

- Już samo przewiezienie książek będzie bardzo kłopotliwe - z dumą żaliła się *Frau* Himmelfarb.

- Przejrzę je - obiecał mąż - i myślę, że sporo z nich bez żalu zostawię tutaj.

- Och, ja się nie uskarżam - zapewniła żona.

- Jeśli tak, to muszę stwierdzić rozdźwięk między twoimi uczuciami a tonem, jakim je wyrażasz - powiedział Mor-dechaj raczej z czułością niż z krytyką.

Ostatecznie spakowano wszystko. W ciasnych pokojach domu na skraju Bienenstadt zostawili, odchodząc, tylko parę garści słomy i odrobinę sentymentalnego żalu.

Profesor Himmelfarb, syn kuśnierza Moszego, rozporządzał teraz osobistym majątkiem i mógłby prowadzić życie wystawne, gdyby zechciał. Nie pozwalało mu jednak na to jego usposobienie, a zresztą nie miał skłonności do takiego trybu życia. Oczywiście otwarto na nowo rodzinny dom przy Holzgraben. Wprawdzie fasada w stylu grecko-gotyckim ze stiukowym przyczółkiem i kariatydami wyglądała odstraszająco, lecz we wnętrzu przetrwał miękki puch wspomnień i dowody zbyt kownych upodobań kuśnierza. Ogólne wrażenie nowej siedziby i otoczenia trochę z początku przerażało panią profesorową. Nie tylko bowiem przytłaczająco oddziaływały na nią monumentalne meble, ale naprzeciw domu roztaczała się parkowa, bardziej wypielegnowana część Stadt-waldu, tak że z okien pierwszego piętra Himmelfarbowie widzieli za rabatami bulwiastych begonii i celozji starannie strzyżone trawniki, idealnie wyrównany żwir i w zwięzającej się perspektywie Lindenallee, ozdobionej posągami dyskretnych dyskobolów i wstydlivych nimf, spiętrzony, nieprzejrzany, gęsty masyw właściwego lasu.

Ta oficjalna oprawa, jakkolwiek przypadkowa, dodawała siedzibie wartości i dostojeństwa, toteż w latach, które nastąpiły po przeprowadzce z Bienenstadt, gdy jeszcze można było się ludzić pozorami solidności świata, jedynie ironiczne traktowanie rzeczywistości chroniło profesora Himmelfarba od dumy z własnej materialnej sytuacji; nie mógł ulec pokusie, zwłaszcza gdy wracając z przechadzki po miejskim lesie widział wyłaniającą się stopniowo fasadę

budynku, który był niewątpliwie jego domem, a który w wylocie alei lipowej wyglądał na pałacyk, na spełnioną zachciankę bogacza.

Zagrożony niebezpiecznym samozadowoleniem profesor prychnął przez nos, trochę nieprzyzwoicie ubawiony, a trochę wystraszony; zaraz potem musiał obejrzeć się przez ramię, myśląc jednocześnie z zakłopotaniem, że ktoś mógł go usłyszeć, i z pewną uciechą, że może ktoś naprawdę usłyszał.

Z biegiem lat, piastując odpowiedzialną funkcję, posiwiiał i przytył; czas odcisnął na nim głębokie piętno i niejednen słuchacz, widząc go za katedrą mniej zwracał teraz uwagi na jego słowa, jakkolwiek subtelne i pouczające, niż na grubo ciosaną, monolityczną postać. Podczas swych regularnych przechadzek nosił laskę - podobno jesionową - raczej dla towarzystwa niż dla podpory; zawsze też biegł za nim mały, wyliniący pies, który wabił się Teckel i do którego *Herr Professor* od czasu do czasu zagadywał, odwracając się z powagą. Ubierał się zwykle w szorstkie i prawdę mówiąc, niezbyt wykwintne tweedy, ale poza tym otaczała go powłoka z trudniejszej do określenia materii, zarazem ochronna i prowokacyjna. Przechodnie, mijając go, zastanawiali się, czym właściwie imponuje im ten tęgi i brzydki Żyd. Oczywiście wielu ludzi poznawało go i kłaniało się tak znakomitej osobistości. Dopóki nie nadeszło dziesięciolecie pogardy, zarówno Niemcy jak Żydzi lubili na oczach ludzkich wymieniać uścisk ręki z profesorem Himmelfarbem; panie rumieniły się przy tym i szczerzyły zęby, niewątpliwie pamiętając pogłoski krążące na temat jego gorszącej młodości.

Żona nigdy, w żadnych okolicznościach, nie towarzyszyła mu w wędrówkach po lesie i rzadko ją widywano u boku męża na czerwonych, gładko wygrabionych, żwirowanych alejkach parku. Wychowanie nie wyrobiło w niej nawyku spacerów, jeśli gdzieś chodziła, to jedynie do znajomych sklepów, gdzie wśród połyskujących brunatno ryb i prze-

zroczystej oliwy celebrowała obrzędy, w które była tak dobrze wtajemniczona. Wkraczając w wiek średni nabrała niepożądaną ociążałości fizycznej, chociaż zachowała szczególną pogodę ducha. Dla wielu przytłoczonych smutkiem była podporą. Czasem, na przykład gdy kobiety zbierały się, żeby szyć śmiertelną koszulę dla kogoś ze swego grona, kto przedwcześnie odszedł z tej ziemi, gdy młode dziewczęta drżały i kłuły sobie palce pochylone nad tachrichin, a starsze kobiety zbyt dawno dawały się pochłonać wspomnieniom, Reha jakąś uwagą czy po prostu swoją obecnością przywracała im poczucie ciągłości życia. A wtedy kobiety rozumiały, że wszystko jest pewne i dobre, że może świat ich potrwa jeszcze przez czas jakiś, na przekór myślom, które narzucała biała płócienna płachta leżąca na ich kolanach.

- Ludzie tłuści mają przewagę nad chudymi; łatwiej im pływać po powierzchni. - Tak pani profesorowa wyjaśniała swoją władzę nad przyjaciółkami.

Co prawda w niej także budziły się czasem wątpliwości i lęk, ale nie wiedział o tym chyba nikt prócz jej męża. Mordechaj, wracając z przechadzki, z daleka dostrzegał Rehę w oknie pierwszego piętra. Patrzała przed siebie. Ale na jego widok wychylała się z okna, gestykulowała smagłą, pulchną ręką, jak gdyby aż do utraty tchu uszczęśliwiona i uspokojona, że dane jej było doczekać jego powrotu. W tych momentach, rozdzielone odległością okna od ulicy dwie dusze zbliżały się do siebie z najgłębszym zrozumieniem i miłością.

- Co dzisiaj widziałeś? - pytała często *Frau Himmelfarb* Ale wówczas już podejrzewał, że Reha także nie daje się zwieść złudnej masce słów. Z biegiem lat wszystkie postacie materii, nawet najbardziej wśród nich nieprzenikniona substancja słów, stawały się coraz bardziej przezroczyście. A jeśli chodzi o twarze ludzkie, to Mordechaj był wzruszony, przejęty, zdumiony i zawstydzony tym, co w nich czytał.

W swoich stosunkach z gronem profesorskim na uniwersytecie, w wykładach dla studentów, w publikowanych artykułach i książkach, które pisał, profesor Himmelfarb objawiał się jako człowiek prawego charakteru i systematycznego, niekiedy nawet pedantycznego umysłu, a często również błyskał dyskretnym dowcipem. Kto by go obserwował, jak z wolna, równym krokiem przemierzał zasłane suchymi liśćmi aleje Stadtwaldu albo porządnie utrzymane bruki miejskich ulic, nie posądzałby go o chorobliwe skłonności i niewłaściwe ambicje. A jego dręczyło nieustanne pragnienie przedarcia się poza granice rozumu; marzył, żeby skupić rozproszone isierki przebłyskujące od czasu do czasu poprzez grube łupiny ludzkich twarzy, aby dotrzeć do iskier światła uwieczonych w drzewie i kamieniu. Jego własna niedoskonałość umożliwiła mu rozpoznanie fragmentarycznej natury wszelkiej rzeczy, lecz jednocześnie powstrzymała go od podjęcia olbrzymiej pracy rekonstrukcji. Tak więc ten niedoskonały człowiek musiał nadal szukać. Wciąż zaglądał w gąszcz krzewów, w okna, w głąb oczu albo też laską próbował zmacać grubość kamienia, jak gdyby poszukując dalszych dowodów, zamiast zgromadzić te nieskończenie małe ziarenka światła, o których istnieniu już się przekonał, i zasiać je z powrotem w łonie boskiego ognia, z którego rozprysnęły się niegdyś, na początku. Wracał do domu i zdając sobie sprawę z niedostatku własnych narzędzi poznania, odpowiadał na pytanie żony:

- Nic. Nic nie widziałem. Nic nie zrobiłem.

Reha spuszczała głowę; nie była urażona, że mąż coś przed nią ukrywa, ani też upokorzona, że istnieją zagadnienia dla niej niepojęte, ale martwiła się, ponieważ wyczuwała dystans między tęsknotą a możliwością spełnienia i ponieważ nie mogła mężowi w żaden sposób dopomóc.

A jednak panowała między nimi harmonia najdoskonalsza chyba, jaką dwoje ludzi może osiągnąć; było im dobrze

z sobą w długie wieczory, gdy w bibliotece domu przy Holzgraben, po swoim przygarbiony profesor Himmelfarb siedział nad książką albo nad korektą, a jego żona robiła na drutach lub szyła, zazwyczaj dla kogoś z krewnych lub dla jakiegoś biednego Żyda, o którego potrzebach doszły ją wiadomości.

Pewnego wieczora, kiedy skupiona cisza tak ich pochłonęła, że nawet zegar powstrzymał się od wybicia godziny, Reha Himmelfarb nagle podrapała się drutem w głowę - co wiele osób uznałoby za gest nieelegancki, ale co jej mężowi wydawało się zupełnie naturalne - i przerwała milczenie. Jak na nią, było to niezwykle zachowanie.

- Mordechaju, co się stało z tymi starymi książkami? - spytała.

- Z jakimi książkami?

Spojrzał na żonę przez grube szkła okularów jak gdyby z pogardą.

- No, mam na myśli te judaika.

Powiedziała to nienaturalnie żartobliwym tonem. Jakby naśladowała kobiety, które pragnąc w jakimś ukrytym celu wyciągnąć mężów na zwierzenia, próbują mówić ich uczonym językiem.

- Niezbyt jasno się wyrażasz, Rehalein.

Był już teraz podrażniony. Nie miał ochoty odpowiadać na pytania.

- Wiesz dobrze, o czym mówię - odparła Reha. - O tych starych kabalistycznych księgach i rękopisach hebrajskich, które znalazłeś u Rutkowitza.

Profesor Himmelfarb odłożył książkę, którą czytał tego wieczora.

Przerwano mu brutalnie lekturę.

- Zostawiłem je w Bienenstadt - wyjaśnił. - Nie były mi już dłużej potrzebne.

~ Takie cenne księgi.

- Nie miały szczególnej wartości. Co najwyżej stanowiły intelektualną ciekawostkę.

Wówczas Reha Himmelfarb zadziwiła swego męża. Pozwoliła sobie zapytać:

- Więc nie wierzysz, żeby można było dojść do prawdy poprzez objawienie?

Himmelfarbowi nagle zaschło w gardle.

- Owszem, w to wierzę - powiedział. - Ale nie wierzę już, aby wolno było igrać z tym, co jest ponad nami i poniżej nas. Takie próby są pewną postacią egotyzmu.

Ręce mu drżały.

- I mogą doprowadzić do zaburzeń umysłowych.

Ale jego żona, chociaż zaczęła tę rozmowę w tonie łagodnym i lekkim, nagle sposepniała i wpadła w ton napastliwy.

- Och, ty! - krzyknęła, jak gdyby dławiąc się wzburzoną od rozpaczki krwią. - Dla ciebie wszystko będzie jasne. Ale dla nas, prostych ludzi?

- Nie ma w gruncie rzeczy różnicy.

Nie mógł patrzeć na straszliwe, obłądne gesty jej rąk, potrzęsających drutami i wełną.

- Gdy wybije ta godzina - bełkotała szerniałymi wargami - ty będziesz umiał to znieść. Bo twoje oczy widzą dalej. Ale my, reszta ludzi, co mamy myśleć, o co się oprzeć, żeby śmierć stała się możliwa do zniesienia?

- O ten stół - odparł, lekko dotykając stołu. Reha odłożyła druty i wełnę.

- Och, boję się, Mordechaju - szepnęła. - Stoły i krzesła nie ruszą się, żeby nas wybawić.

- Bóg to zrobi - odparł. - Bóg jest w tym stole. Reha zapłakała.

- Byli ludzie, którzy umieli znieść najstraszliwsze tortury skupiając myśl na Imieniu. - Mordechaj usłyszał te słowa wypowiedane własnym głosem.

Ale ta sentencja zabrzmiała nieprzekonująco. Wiedział bowiem, że sam nic nie zdoła zrobić dla ukochanej żony. W najlepszym razie mógłby tylko zasłonić ją własnym ciałem.

W tym okresie profesor Himmelfarb jak zwykle wykładał na uniwersytecie, jednocześnie pracując nad swoimi książkami.

Pokrewieństwo ducha: studium \wiad\ków między literaturą angielską a niemiecką z końca dziewiętnastego i początków dwudziestego wieku - dzieło to, wedle powszechnej opinii, miało utrwalić sławę profesora w świecie naukowym, lecz byli też ludzie, którzy obawiali się, że książka nie dozna łaskawego przyjęcia w kołach rządzących aktualnie w Niemczech.

Zdarzenia bowiem przybrały już wtedy inny obrót, a nowy nurt, początkowo ledwo dostrzegalny, szybko pogłębiał się i rwał naprzód. Okazało się, że wielu Niemców jest w gruncie rzeczy Żydami. Rodzice, ufając ruchowi emancypacyjnemu, mogli stworzyć sobie metafizyczne pojęcie diaspory, dzieci ich, jak się zapowiadało, będą musiały pogodzić się z surową rzeczywistością wygnania. Niektórzy pogodzili się nawet dość pochopnie. Wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych i spowili się w nylonowe marzenia, których przezroczyste zwoje nigdy jednak nie ukryły całkowicie śladów obrzezania. Ci uchodźcy zawsze mieli więc sen niespokojny. Niektórzy wrócili do Palestyny - tak, wrócili, bo jakże inaczej nazwać koniec wygnania? - lecz nie dostąpili tego osobistego poznania wspaniałości Adonaj, którego domagała się ich atawistyczna tęsknota. Tych spotkał najgorszy chyba zawód. Jakże się żaliły ich rozdwojone dusze. Och, gdzież te wieczory u Kempinsky'ego, te popołudnia w Heringsdorf. Inni, odrzuceni na kamienie Syjonu, zakorzenili się wśród nich w końcu, chociaż mozolnie, niejako na mocy prawa przyrody. Wyhodowali twarde, gorzkie pędy, oparli się żywiołom, bo tam nareszcie przetrwanie było procesem naturalnym.

Wielu jednak, żyjąc w brzydkich własnych willach albo w cienkich ścianach mieszkań, przy ciasnych uliczkach, pod drzewami gumowymi, w estetycznych pastelowych apartamentach, z różnych powodów nie mogło się oderwać od europejskiego ośrodka; protestowały przeciwko temu ich kości albo też kochali swoje meble, albo byli przekonani, że nieszczęście ich ominie, albo tracili głowy upojeni pocałunkami, albo paraliżowało ich przecucie zguby, albo nieśmiałość nie pozwalała im uwierzyć, że mogliby swoim losem sami pokierować, albo też silna wiara kazała im czekać na natchnienie od Boga. Ci wszyscy zostali. A tymczasem atmosfera gęstniała wokół nich. Każdy zarzut, choćby nie wypowiedziany głośno, w nich godził. Bali się nawet myśleć, spoglądając podejrzliwie na drzwi, trzymając się jak najbliżej murów, kuląc się do spłowiałych róż tapety, starając się w toalecie kierować strumień moczu wzdłuż ścian miski, żeby żadnym szmerem nie przypominać o swym istnieniu.

Przez cały ten obłądny okres Mordechaj Himmelfarb prawie nie myślał o rozsądnych drogach ucieczki. Jako człowiek oficjalnie potępiony nie mógł swych funkcji spełniać normalnie, ale usiłował je wykonywać o tyle, o ile mu pozwalano. Jeszcze wówczas nie usunięto go całkowicie ze stanowiska na uniwersytecie, bo niegdyś podczas wojny oddał usługi niemieckiej ojczyźnie, co mu pamiętano. Na razie zwolniono go jedynie z części obowiązków, spuszczano oczy i odwracano się plecami w tej kłopotliwej i trudnej sytuacji. Częściej teraz niż dawniej chodził piechotą, żeby nie narażać się na przykrości w tramwajach i autobusach, toteż ubranie coraz luźniej zwisało na rusztowaniu kości, a twarz tym wyraźniej upodobniła się do pierwowzoru, którego wyparłby się ze wstydem jego ojciec apostata. Nadal przechadzał się stale po miejskim lesie, siadając, jeśli czuł się zmęczony, na żółtej ławce. Tak chodząc to

207

tu, to tam, wczesnym rankiem czy późnym wieczorem, w nikłym lub tężejącym świetle, przestając z ptakami i kotami, miał wrażenie, że nauczył się na pamięć każdego kamienia i wszystkich trosk miasta, w którym się urodził, i że umie wyjaśnić przynajmniej najbardziej ukryty sens zniekształconego świata.

Oczywiście powinien był nie szczędzić wysiłków, żeby znaleźć jakieś praktyczne wyjście, choćby przez wzgląd na żonę. Przyszedł list od kuzynów z Ekwadoru. Himmelfarb dowiedział się, że jego szwagier Ari na czele grupy młodzieży wyjechał do Palestyny i tam osiadł na roli. Tylko Mordechaj nie otrzymał żadnej wskazówki, jaką rolę wyznaczono jego osobie i jak długo ma czekać w zawieszeniu, rezygnując z własnej woli. Zdecydowany nie bać się niczego, co mogło się stać z jego cielesną powłoką, ani nawet męczarni duchowej, którą zapewne będzie musiał znieść, zdobyłby się na pewną rezygnację, gdyby nie dręczyła go nieustannie pamięć o żonie.

Jeden z kolegów, matematyk Oertel, aryjczyk i człowiek poważany, który zresztą później za swą postawę był prześladowany i poniósł śmierć, zwrócił się pewnego dnia do profesora Himmelfarba, błagając, aby przyjął pomoc od przyjaciół i opuścił kraj, dopóki nie jest za późno. Himmelfarb zawahał się na moment. W królestwie Samiela gest ludzki był czymś tak wzruszającym, że Mordechaj na chwilę poddał się słabości i przyjąłby ofiarowaną pomoc - gdyby nie myślał o żonie. Reha nie uciekłyby bez niego, wiedział to dobrze.

- Oertel - wyjąkał. - Oertel! - A gdy wreszcie odzyskał mowę, wyjaśnił: — Grzechy Izraela dały Samielowi moc, na której się dziś wspiera. Mam obowiązek odpokutować w jakiś sposób za te grzechy, które są także moimi grzechami. Ale pan tego oczywiście nie może pojąć. Nie może pan zrozumieć.

Opowiadając przyjaciółom, że Himmelfarb odrzucił pomoc, Oertel dodał, że biedak najwyraźniej oszalał.

Himmelfarb zaś wrócił do żony, którą za głęboko kochał, aby jej wspomnieć o propozycji kolegi. Wciąż jeszcze wolno im było mieszkać w domu pyszniącym się grecko-gotycką fasadą. Nawet po dymisji, której wkrótce potem mu udzielono, profesor żył nadal pod własnym dachem. Lecz było to życie niepewne. Służące odeszły, jedne żegnając ich z żalem, inne z pogrozkami, a w zajęciach domowych pomagała pani profesorowej tylko jakaś żydowska starowinka. Na szczęście Himmelfarbowie rozporządzali środkami materialnymi, zapewniającymi im jaki taki byt, przynajmniej przez krótki czas. Niekiedy widywano, jak *Frau* Himmelfarb, ubrana skromnie - bo zresztą-nigdy nie odznaczała się elegancją - szła sprzedać jakiś cenny przedmiot ze swych zasobów. I tak trwali. W cichym domu pokoje nigdy nie były puste. Wypełniały je myśli. Z górnych okien park nigdy nie zdawał się bezludny. Na idealnie uporządkowanych rabatach begonie bulwiaste bujały się, jak gdyby czekając dnia, gdy odegrają swą rolę w widowisku rozpasanych żądź. Któregoś dnia Himmelfarb odwiedził swego dawnego przyjaciela. Zastąpił bowiem, że *Oberleutnant* Stauffer mieszka w niedalekim sąsiedztwie. Ale mówiono, że popadł w dziwaczne manie i trzyma w wannie celuloidowe kaczkę.

Oberleutnant sam otworzył drzwi gościowi, ubrany w mały fartuszek obszyty koronką.

- Jurgen! - powiedział gość.

Lecz natychmiast zrozumiał, że las, który ich niegdyś rozdzielił, rozrósł się w nieprzebyty gąszcz i że z nich dwóch Jurgen zabłąkał się głębiej. Twarz oficera, a raczej to, co z dawnej jego twarzy zostało w kawałku skóry napiętym na kościach, zastygło na chwilę w kontemplacji przed okropną zjawą, wyczarowaną w progu ku jego szczególnej udreće.

209

- *Herr Oberst* nie przyjmuje - powiedział w końcu Jürgen. Ta twarz, drzwi, słowa - wszystko było rozedrgane.

- I nie wolno mu przyjmować Żydów. Pod żadnym pozorem.

Drzwi się zamknęły za Jurgenem Staufferem. Ale znów, tym razem na ulicy, wypłynęła nagle przeszłość. Ucieleśniał ją Konrad, starszy brat

Jürgena, człowiek obecnie cieszący się powszechnym uznaniem, zwłaszcza za jedną ze swoich powieści, bardzo poczytną i poświęconą stosunkom między oficerami a prostymi żołnierzami w czasie wojny. Konrad Stauffer zdołał podbić wybredną publiczność, a podobno nawet sfery rządzące, ponieważ pisał odważnie i wstrząsnął opinią. Konrad mógł sobie pozwolić na wszelkie znajomości. - Ależ to Himmelfarb! - powiedział. - Właściwie prawie się nie zmieniłeś. Ten sam, tylko w powiększonej skali.

I ujął go z szacunkiem pod łokieć. Ręce miał pewne. Cera lśniła świeżością na twarzy dokładnie i niedawno ogolonej, namaszczonej kremem toaletowym, który błyszczał w porannym słońcu. Sukces nadał Konradowi Staufferowi połysk i zapach kosztownej, z najlepszym smakiem wyprawionej skóry. Wiele osób przyznałoby się pewnie, że go nienawidzi, gdyby im starczyło odwagi, by rzucić wyzwanie tej groźnej arogancji.

- Mam nadzieję, że nas odwiedzisz. Niczym nie ryzykowałem.

- Mieszkamy tuż - dodał, wymieniając adres z wolna, dobitnie, prawie z przesadną ostentacją. - Żona będzie rada' cię poznać. Ale przyjdź w najbliższych dniach. Możliwe, że wkrótce wyjedziemy z miasta.

Uśmiechnął się przy tych słowach. Himmelfarb obojętnie przyjął spotkanie z Konradem. Stauffer widocznie spostrzegł to, bo pożegnawszy go, zawrócił i raz jeszcze chwycił Żyda

za guzik u palta. Można by pomyśleć, że usiłuje się usprawiedliwić.

- Przyjdiesz, prawda? - nalegał. - Obiecujesz?

Któż w tych czasach mógł składać obietnice? Z kolei uśmiechnął się Żyd. Ale wytworzyła się między nimi odrobina ciepła.

Mimo to Himmelfarb wątpił, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze Konrada Stauffera. Resztką woli, która w nim nadal działała, popychała go na wąską ścieżkę życia, nie na boczne drogi towarzyskich stosunków, choćby najbardziej interesujących.- Poza tym miał swoją książkę. Jej poświęcał lwią część czasu, sporządzając noty i wprowadzając poprawki; chociaż stracił nadzieję, że ujrzy ją w druku, byłoby mu przykro pozostawić dzieło nie ukończone. W chwilach wolnych od pracy rzadziej niż dawniej wychodził z domu, nie dlatego, że raniły go ludzkie spojrzenia - na to już był odporny - lecz dlatego, że nie chciał bez konieczności rozstawać się z żoną.

Nie śmiał zastanawiać się, jak bardzo zależna jest od niego ta istota łagodna i kochająca, a zarazem pełna tajemnic i niespodzianek. Odkrył natomiast, jak bardzo sam jej potrzebuje. Czasem bez widocznej przyczyny wyciągał rękę, żeby jej dotknąć. Gdy nie znajdował żony przy sobie, szukał jej, szedł do kuchni, gdzie najczęściej przebywała, wyręczając w pracy staruszkę przyjętą na miejsce dawnej kucharki. Pytał ją o jakiś drobiazg, znany od lat.

- Co to jest?

- Siekana kurza wątróbka - odpowiadała Reha pewnym, spokojnym głosem, dzięki czemu mniej dziwny wydawał się fakt, że jej mąż nie poznaje tak prostych rzeczy.

Reha patrzyła z nim razem na zwykłą kuchenną miskę, jak gdyby jej zawartość miała jakieś rytualne i doniosłe znaczenie. Powszednie, wzruszające obrządki pomagały im obojgu zażegnwać wewnętrzną udrękę i myśl o możliwości rozłąki.

Dowiedzieli się, że zniknął doktor Herz, że zniknęli Weillowie i Neumannowie, że *Frau Doktor* Mendelssohn już nie pokazuje się w klinice. Mówiono o tym tonem spokojnym, a ponieważ nowiny dotyczyły osób z kręgu dalszych znajomych, życie zaś płynęło nadal surowo i jednostajnie, więc można by nie zauważyć, że ktoś uchył. Tylko stara kobieta posługująca u Himmelfarbów zniedołężniała do reszty. W dodatku nie mogła sypiać. *Frau* Himmelfarb często w nocy musiała zrywać się z łóżka, żeby pocieszać służącą.

Zdarzały się jednak noce, gdy trudno było znaleźć słowa pociechy. Wiara opuszczała nawet silne dusze, rozsypywała się jak trociny.

Pewnego listopadowego wieczora Himmelfarb wracał do domu. Właśnie skręcił w Friedrichstrasse. Nagle stanął. Nie mógł zrobić ani kroku dalej. Tramwaj pędził wśród zmierzchu. Na chodnikach zielonkawe, przypominające rośliny twarze przechodniów sunęły jak w hipnotycznym śnie przez mrok, zdane na instynkt, który je prowadził. Ale już w piwiarniach łyse głowy skupiały się na zwykłych miejscach wokół stolików. Obierano ze skorupki jajka na twardo. Wargi wtulały się w poduszki piany wypełniającej po brzegi kamionkowe kufle. Nie było żadnego widocznego powodu, aby jedna dusza poczuła się nagle uwięziona w pajęczynie ciemności, aby jeden człowiek na rogu Friedrichstrasse stracił nagle władzę nad swoim ciałem. A jednak Himmelfarba ogarnął strach silniejszy od niego. Himmelfarb zawrócił i puścił się biegiem przed siebie. Uciekał. Biegł, biegł ciągle, wyzbywszy się godności osobistej i fizycznego ciężaru lat. Jakież duchy nocy obrzucały go przekleństwami, gdy je mijał, lecz on prawie tego nie słyszał, nieczuły na gwałtowne zderzenia, które ku swemu zdumieniu powodował w normalnym poza tym ruchu wieczornym.

Przebiegł Friedrichstrasse, przeciął Königin Louise Platz, pomknął w Bismarckstrasse i dalej w Krótengasse. Musiało starczyć mu tchu na ten rozpaczliwy bieg aż do Siid Park. Skazaniec zapragnął bowiem teraz ludzkiej życzliwości. A właściwie chciał być przyjęty pomiędzy tych, którzy stali dalej od otwartego grobu.

Państwo Staufferowie mieszkali w wielkiej stalowoszarej kamienicy, której surową w linii fasadę zdobiły rozmieszczone w pewnych odstępach girlandy i wieńce z betonowych owoców i kwiatów, zazwyczaj kojarzące się z wysokim czynszem. Gość sprawdził numer domu, dotykając wypukłych rzeźbionych cyfr z jakąś żalną ulgą. Na podeście schodów zaczął podciągać skarpetki gestem młodzieńca, który stwierdza, że znalazł się u celu i za chwilę rozstrzygnie się jego los, dobry lub zły. Usiłując przybrać zwykłą ludzką maskę, wykrzywił usta w okropnym uśmiechu, zanim nacisnął dzwonek u drzwi przyjaciół. Przyjaciele. Przyjaciele. Z drżeniem patrzył jak na cud na solidny mosiężny guzik. Przyjaciół był pewniejszym ratunkiem niż ludzie związani z nim wspólnotą krwi, pewniejszym nawet niż ta abstrakcja nad abstrakcjami - Bóg. Toteż ręce trzęsły się Himmelfar-bowi w tej chwili oczekiwania. Przygotowywał się w duchu na towarzyską rozmowę, na nieuniknione cygara i koniak.

Drzwi otwarł ktoś, kto później miał zapewne stać się dla niego ważną osobą, ale teraz był tylko zamazaną białą sylwetką.

W hallu, w pomarańczowym blasku orientalnej latarni, Konrad Stauffer odkładał właśnie słuchawkę telefonu.

Szybko podszedł do drzwi wejściowych.

- Jakże się cieszę, jak się cieszę, że udało ci się tutaj dotrzeć - powiedział.

- Moja żona - wyjaśnił, wskazując smukłą, wyprostowaną białą sylwetkę.

- Jakże się cieszę - powtórzył. - Myśleliśmy o tobie.

- Słyszałam o panu tak wiele, że byłam ciekawa pana poznać - uprzejmie powiedziała pani Stauffer.

Oboje Staufferowie zdawali się wzburzeni. Ale zabezpieczywszy drzwi frontowe łańcuszkiem, Konrad odzyskał spokój na tyle, żeby zaprosić gościa dalej w głąb mieszkania, do gabinetu wyściełonego wschodnimi dywanami, które w pierwszym momencie wydawały się jednolicie ciemne, lecz potem, ożywając stopniowo, zagrały barwami.

Frau Stauffer skierowała się prosto do inkrustowanego pudelka, wyjęła z niego papierosa i zapaliła. Sposób, w jaki wydmuchiwała przez nos dym, świadczył, że była tego bardzo spragniona. Po chwili oprzytomniała.

Gestykułując nerwowo, lecz pojednawczo, starała się gościa poczęstować wszystkim, czym rozporządzała.

- Czy pana też fascynuje ta trucizna? - spytała, zdobywając się na szeroki uśmiech.

Przyniosła na miseczce zagarnięte w pośpiechu czekoladki z likierem kosztownej zagranicznej marki, przysmak, który od dawna znikł z życia wzgardzonych śmiertelników. Srebrne papierki na srebrnej miseczce błyszczały złowrogo niby zaczarowane klejnoty.

A poza tym sama pani Stauffer. W napiętej sytuacji, w którą jednocześnie byli i nie byli uwikłani, Mordechaj uświadomił sobie, że w epoce jego młodszej zmysłowości ta kobieta zrobiłaby na nim duże wrażenie.

Obcisła suknia z surowego jedwabiu doskonale przylegała do smukłego ciała, które rysowało się w miarę dostrzegalnie pod śniadą skórą. Ale dziś

Frau Stauffer miała katar czy też czuła się chora. Przywierała do

kaloryfera, narzuciła na siebie stary, wełniany żakiet, lecz nawet w tym stroju zachowywała jakąś wyszukaną elegancję, berliński szyk.

Z wyrazu ich twarzy widać było, że Staufferowie czegoś od gościa oczekują.

- Przyszedłem dzisiaj... - zaczął Himmelfarb, spoglądając z lekkim uśmiechem to na nich, to na koniak, który gospodarz oczywiście przed gościem postawił.

- Tak? Tak?

Konrad zbyt gorliwie starał się mu usłużyć, *Frau* Stauffer była zanadto zdenerwowana. Dwa razy podchodziła do drzwi, nasłuchując, czy nie ma za nimi służącej, chociaż jak sama wyjaśniła, posłała ją na poszukiwanie dobrych butów z cholewami.

Himmelfarb w tej chwili zrozumiał, że nigdy nie zdoła wyrazić -tego nagłego popłochu serca, przyspieszenia tętna, wrogości znajomych ulic, ostrej, gruczołowatej woni bez-rozumnego strachu. Słowa bowiem są narzędziami rozsądku.

- Ja... - wyjąkał nedorzecznie. Nie był przecież niczym.

Staufferowie nalali mu wobec tego drugi kieliszek koniaku.

- Ależ tak, rozumiemy - szeptali ze współczuciem. Rozumieli jednak chyba tylko własny niepokój, który ich nie opuszczał. W tej udreće, a także by ułatwić sytuację swemu niegdyś bardziej zrównoważonemu gościowi, zaczęli mówić o Schönbergu, o malarstwie Paula Klee, o Brechcie. Jako liberalni Niemcy składali mu w ofierze swój intelekt razem z czekoladkami, koniakiem oraz autentycznymi ha-wańskimi cygarami. Wszyscy troje czuli jednak, że każdy gest, na jaki mogli się zdobyć, karleje w tych okolicznościach. Stauffer był trochę podpity. Alkoholowe podniecenie nadawało mu pozory człowieka czynu, a przynajmniej zwolennika sabotażu. Należał chyba do tych intelektualistów, którzy za późno w swym życiu, za późno może w historii odkryli możliwość działania. Płonął chęcią czynu, a jeśli nie myślał o wykarczowaniu całego drzewa niesprawiedliwości, pragnął bodaj wyrwać kilka jego dzikich pędów. Gdy się rozparł na

wschodnich dywanach, zaścielających zbyt wspaniałą kanapę, między mankietami spodni a brzegiem skarpetek ukazała się naga skóra i dzięki temu wydawał się młodszy, bardziej szczery, ale zarazem w gruncie rzeczy bezsilny.

Frau Stauffer długimi bladymi paznokciami przeczesywała swoje bezwłose ramiona. Pod cienką warstwą oliwy, której używała do makijażu, jej pociągła, zwązająca się ostro ku brodzie twarz przynajmniej w teorii opowiadała się za pogodnym spokojem.

Konrad sypał nazwami geograficznymi: Maroko, Pacyfik, wyspy Galapagos. Wkrótce jednak powrócił w bliższe okolice, które znał lepiej. Najlepiej zapewne znał Riwierę. Himmelfarb słyszał te wszystkie nazwy, lecz nie kojarzył ich ze sprawami praktycznymi.

- Berno - powiedział Konrad, przybliżając się coraz bardziej do granic ojczystych. - Nudne, ale zacne miasto. Moglibyśmy tam spotkać się na lunchu. Na przykład w czwartek. Jeśli się zdecydujesz, radzę ci jednak nie brać ze sobą bagażu, nic, co by ważyło więcej niż szczoteczka do zębów. Żyd miał wrażenie, że w jego mózgu wirują łagodnie płatki śniegu, ale na szczęście nie zasłaniają mu jeszcze całkowicie świata. Ich słodkie obietnice poderwały go z miejsca.

- Muszę już iść - oznajmił.

Wierząc, że to będzie ostateczne, rozstrzygające odejście.

- Muszę iść do żony. W domu jest też pies. O tej porze co wieczór trzeba wyprowadzić psa.

- Pańska żona? - *Frau* Stauffer zachłysnęła się przy tym tak gwałtownie, jakby cofała się przed ciosem. Zawieszona w pęczku u jej bransoletki niepolerowane półszlachetne kamienie drgały, objijając się o siebie boleśnie i dźwięcznie.

- Nie pomyślałem o twojej żonie - powtarzał wciąż Stauffer.

Żyd śmiał się teraz. Śmiał się, bo nikt nie mógł pojąć, jak nieustannie obecna w nim była myśl o żonie, w każdej chwili życia z wyjątkiem tej jednej, dziś wieczorem, gdy sam Bóg zniknął w pierwotnym chaosie.

- Obawiam się - powiedział - że dzisiaj popełniłem coś, czego nigdy już nie okupię. Obawiam się... - powtarzał w kółko. Pogwałcony Żyd.

- Nie, nie - błagalnie odpowiadali Staufferowie. - To my, to nasza wina. Nie wiedzieli, jak go przeproszać, Konrad Stauffer, skromny triumfator, i jego przesadnie prosta, przesadnie skomplikowana żona.

- To my, to my - wmawiali Himmelfarbowi z uporem. Jak brzęczały bibeloty u bransoletki! Żyd wyglądał na starca, gdy włókł się ku drzwiom.

- Sądzę, że was nie powinien obejmować powszechny wyrok - rzekł cicho. - To my nie możemy nigdy uniknąć zbiorowego potępienia. My jesteśmy jednością. Żadna najmniejsza nawet cząsteczka nie odpada bez szkody dla całości. A ja, obawiam się, że tym właśnie zawiniłem. W momencie zaćmienia rozumu. Dzisiaj, tego wieczoru.

Stali już w hallu, w pomarańczowym świetle orientalnej latarni.

- Ależ to okropne, okropne! - niemal krzyknął Stauffer. Czuł się osobiście wplątany w sprawę. - Początkowo sądziliśmy, że przyszedłeś do nas w poszukiwaniu ratunku. - Głos jego brzmiał donośnie. - Ponieważ dzisiaj - ciągnął niepewnie, lecz mimo napięcia głosu dobierając starannie słowa - jak nam dano znać przez telefon na sekundę przed twoim przyjściem... - podniósł ton do krzyku - ... dzisiaj odbywa się właśnie niszczenie żydowskiego mienia!

- Ach, Konrad! - jęknęła jego żona, protestując przeciw tej prawdzie.

Ale wóz strażacki jak gdyby potwierdził słowa Stauffera. Przemknął jak pocisk w solidnej ciszy niemieckiego przedmieścia, zostawiając za sobą czarny tunel trwogi.

Tylko Himmelfarb zdawał się wcale nie zaskoczony. Nawet się uśmiechał. Teraz, gdy wszystko zostało wyjaśnione. Teraz, gdy minęła niepewność.

- A tyś przez cały ten czas nie wiedział o niczym! Twoja żona!

Stauffer był pogrążony we własnym przerażeniu. Na jego męskiej twarzy pojawiło się dziecinne zdumienie, jak gdyby mały chłopiec nagle spostrzegł, że zabawa w piratów przeobraziła się w prawdziwą napaść. Po namaszczonej oliwą policzkach pani Stauffer spływały łzy, gdy podsuwała gościowi popielniczkę, aby mógł do niej złożyć reszkę oryginalnego hawańskiego cygara.

Mały, nie dość obronny łańcuszek u drzwi zgrzytnął, gdy go wysuwano z jego łóżyska.

Himmelfarb odchodził.

Już odszedł z tego domu, już zapomniał o swych szczerze życzliwych przyjaciółach, których powinien by wspominać z wdzięcznością i miłością, gdyby w jego duszy było miejsce na cokolwiek.

Sud Park zdawał się spokojny, lecz czujny. Warstwa pięknie skoncentrowanej, drażniącej oczy pomarańczowej barwy oddzielała ciemności od sylwety miasta. Rzadko się zdarza, by człowiek mógł podjąć wątek życia w tym samym miejscu, w którym go przerwał, lecz taki właśnie zamiar przyświecał mężczyźnie spieszącemu przez ulicę w rozwianym płaszczu, wyężającemu wszystkie siły. Na Krótengasse grupki Żydów stały wśród lśniącego stłuczonego szkła. Zawodzenia kobiet pobudziły Himmelfarba do większego jeszcze pośpiechu. Na Bismarck^{^^9}\$j?[^]kiś mężczyzna krzyczał ile sił w płucach, dopófa[^]ktoś z **ttiimu** nie zaczął go

okładać pięściami, wtedy bowiem krzyk zmienił się w skowyt przerywany głuchym werblem ciosów.

Himmelfarb nie biegł właściwie. Ugiął kolana, żeby posuwać się prędzej, bliżej ziemi. Własny oddech jakby się od niego oddzielił. Himmelfarb słyszał sapanie obok siebie, jak gdyby natrętne zwierzę towarzyszyło mu i nie dawało się odpędzić. Na rogu Königin Louise Platz szalał ogień. Synagoga przy Schillerstrasse płonęła. Ale z większym umiarem. Na skraju chodnika stał wóz straży pożarnej. Kilku strażaków kręciło się przy nim. Co mogli poradzić? Dość brzydki, przysadzisty, przyziemny stary budynek nabrał nie wiedzieć jakim sposobem gotyckiego wdzięku w tym swoim wzlocie ku niebu. Skoro głosy wreszcie ścichły, wszystko można było znów okupić.

Gdy Himmelfarb skręcił w ulicę Holzgraben, po twarzy spływały mu krople cięższe niż pot, a żyłastą szyję wyciągał przed siebie tak, jakby ją nadstawiał pod nóż. To była jego własna ulica. Jak zawsze cicha, szanowna, niemiecka. Przerwa w dostawie prądu, spowodowana przez zamieszki, zatopiła jednak znajomy widok w czarnym śnie, i Himmelfarb przedzierał się przez niego ku domowi, w którym mieszkał, by stwierdzić to, czego się już spodziewał.

Drzwi oczywiście były otwarte. Kołysały się lekko, jak tylekroć, gdy je odnajdywał w snach.

Dom stał się pustą muszlą, dla której skończył się czas zachowywania pozorów, ale Himmelfarb w nocy i w ciszy, które wypełniały mury, nie wyczuwał jeszcze pustki.

Szedł dalej, wymacując drogę stopami, które zdawały się długie i drewniane, tak samo jak patyki palców u rąk. W ciemnościach schylił się i dotknął ciała małego psa, już sztywnego, już utrwalonego w swoim kształcie niby rzeźba na grobowcu; tylko wyszczerzone zęby urągały spokojowi, który jest przywilejem umarłych. Najokropniejsze

było dotknięcie czegoś, co było, jak zrozumiał Himmelfarb, językiem.

Wtedy Żyd zaczął krzyczeć. Wywoływał imię żony: - Reha! Reha!

Z głębi domu odpowiedziało tylko echo.

Mordechaj zawsze wyobrażał sobie, że w najgorszych momentach Reha, jego wybawicielka, zjawi się, żeby przytulić głowę męża do swej piersi.

Ale Reha nie przyszła.

Mordechaj dalej więc błąkał się po mieszkaniu i krzyczał.

Wzywał Boga i głos przez okna wybiegł pomiędzy nagie gałęzie drzew, aż gromadka ludzi na ulicy wybuchnęła śmiechem, lecz po chwili ucichła przestraszona.

Mordechaj wspinał się coraz wyżej. Z domu na zawsze ulotnił się zapach korzeni i znikło błogosławione światło świec, w którym nawet najbardziej oporna materia nabierała przezroczywości. Zamiast niego blask księżyca ślizgał się, drżał na chodniku wyściełającym schody i na szybach ziejących pustką okien. Blask zimny.

Wreszcie dotarł w poszukiwaniu do górnego piętra i znalazł tam starą posługaczkę. Płakała żałośniej niż kiedykolwiek, przede wszystkim ze strachu, ale tłumiała szloch, bojąc się, że ściągnie na siebie gorsze jeszcze nieszczęście, bo nawet meble wydawały się teraz wrogie.

Stopniowo opowiedziała mu wszystko, co już i tak odgadł.

Tamci przyszli, przyszli po Himmelfarba.

Cóż mogła dodać stara kobieta, czego by sam już od dawna nie wiedział?

Opuścił ją, nie słuchając dłużej jej bełkotu.

Schodził z płaczem, bez celu, gdzieś w głąb tej studni trzeszczących ciemności. Wywołując imię, które jak mu się zdawało, już dopełniło swego przeznaczenia. Niósł przez

ciemność ten strzęp samego siebie, który mu zostawiono. Usiadł i tak siedział w ciemnościach.

VI

- Wóz - panna Hare ośmieliła się przerwać milczenie, które zapadło, z woli narratora, niby gęsta kurtyna nad spektaklem jego życia.

Panna Hare co prawda drżała i wahała się, bo czuła że gwałci jedno z podstawowych praw rozmowy, dla którego wpojono jej szacunek, wiedziała, że przedmiot własnych zainteresowań, choćby był najdonioślejszy, należy odsuwać na dalszy plan.

- A więc panu także wiadomo o Wozie.

Nie mogła pohamować tych słów. Ale wyszeptała je tylko. Bardzo wolno i bardzo cicho.

Spotkanie miało doniosłość momentu, w którym pierwowzór identyfikuje wreszcie swój gatunek. Mimo to litość powstrzymywała ją od natarczywego kierowania rozmowy na własną, palącą sprawę, a zresztą wargi miała niemal sparaliżowane od męki, którą przeżyła uczestnicząc w dziejach przyjaciela. Toteż słowa, chociaż odważyła się je wymówić, zawisły drżące w powietrzu jak wizja Wozu, niejasna, póki ktoś drugi jej nie potwierdził, tak by dwie dusze stopiły się w jedną.

- Jeśli zobaczymy się kiedyś znowu... - Skamieniały człowiek poruszył się i przemówił.

Jej zaciśnięte kurczowo ręce, jej pulsujące gwałtownie gardło protestowały przeciw zdawaniu ponownego spotkania na przypadek. Ale oczywiście nie mogła tego wytłumaczyć, a twarz jej nie umiała powiedzieć więcej niż język; panna Hare wiedziała, że w chwilach najsilniejszych wzruszeń wygląda jak apoplektyczna indyczka.

221

- Jeżeli będziemy się nadal spotykali - ciągnął Żyd - a ja powrócę znów do tego dnia, gdy zdradziłem swoją żonę i wraz z nią nas wszystkich, niech mi pani wybaczy. To wspomnienie wciąż tkwi na dnie wszystkich moich myśli. Chwila może stać się wiecznością, zależy to od jej treści. Dlatego wciąż jeszcze przeżywam tę ucieczkę przez ulice miasta do domu przyjaciela, żeby się w nim ukryć. Wciąż jeszcze odtrącam to, czego nie miałem siły znieść. A przecież oni wszyscy ufali mi. Widzi pani, liczyli, że to właśnie ja okupię ich grzechy.

- Nie bardzo rozumiem, co ludzie mają na myśli, mówiąc o grzechu - musiała przyznać się panna Hare. - Stara służąca często próbowała mi to wytłumaczyć, ale nigdy nie mogłam pojąć jej wyjaśnień. Peg twierdziła, że popełnia grzechy, ja jednak wiem, że tak nie było. Tak samo jak wiem, że to drzewo jest dobre; jeśli zawiniło, to chyba tylko tym, że dało trochę robaczywych owoców. Wszystko inne to twór wyobraźni. Ja też nieraz wyobrażam sobie różne rzeczy. Och, tak. To mi dobrze robi, utrzymuje mnie w korbach. Ale rankiem sen się rozwiewa. Proszę spojrzeć - dodała, wskazując łagodne falowanie trawy. - Czyż patrząc na świat spod tego drzewa nie widzi się, że wszystko jest dobre?

Przez chwilę sama w to wierzyła. Stawała się idiotką, byle go pocieszyć.

- Jak więc wytłumaczyć istnienie zła? - spytał Żyd. Wargi jej zaschły.

- Tak, zło istnieje! - zawahała się na chwilę. - Są ludzie opętani przez zło. Niektórzy bardziej od innych! - dodała z przekonaniem. - Ale zło samo się wypala. Czasem ktoś przy tym ginie.

- Strawiony przez własny grzech - zaśmiał się Żyd.

- Ach, pan mnie chwyta za słowa! - krzyknęła. - Nie jestem inteligentna. Ale coś niecoś wiem.

- Któż nas zatem zbawi?
 - Wiem, że na pogorzelsku wyrasta nowa trawa.
 - To ziemską pociecha.
 - Ależ ziemia jest cudowna. Nic nie mamy prócz ziemi. To ona mnie wskrzesiła, gdyż bez niej już bym umarła.
- Żyd nie umiał ukryć w łagodnym spojrzeniu błysku przebiegłości.
- A na końcu? Gdy już ziemia nie będzie pani mogła wskrzesić?
 - Zapadnę w nią - odparła - i trawa ze mnie wyrośnie. Słowa te zabrzmiały jednak smutniej, niż pragnęła.
 - A Wóz, o którym chciała pani ze mną mówić przed chwilą? - spytał. - Czy nie uznaje pani możliwości odkupienia!
 - Och, słowa, słowa! - krzyknęła, odpędzając je wszystkie gestem piegowatych rąk. - Nie rozumiem ich sensu. Ale Wóz istnieje - przyznała.
 - Widziałam go. Chociaż pewna osoba usiłuje mi wmówić, że to było tylko złudzenie, spowodowane atakiem choroby. Widziałam. Pani Godbold, której ufam i wierzę, widziała go także. Nawet mój biedny ojciec, któremu nie ufałam i nie wierzyłam, który był zły, tak, zły, nawet on podejrzewał, że istnieje tajemnica, zakryta przed jego oczyma. A pan, taki uczony, znalazł Wóz w książkach i zrozumiał pan więcej, niż pan chce powiedzieć.
 - Ale nie tych, którzy jadą Wozem! Ich nie mogę dostrzec ani zrozumieć.
 - Czy można wszystko naraz zobaczyć? W moim domu jest mnóstwo rzeczy, które czekają, abym je spostrzegła. Nawet najzwyklejsze przedmioty ukazują się nam dopiero wtedy, kiedy przyjdzie właściwy moment.
- Żyd aż dygotał z radości.
- Ależ to pani jest ukrytym cadykiem.
 - Co to znaczy?

- W każdym pokoleniu, jak mówią u nas, jest trzydziestu sześciu ukrytych cadyków, którzy chodzą po świecie nie rozpoznani, leczą, wyjaśniają prawdę i spełniają dobre uczynki.

Z wolna rumieniec wypłynął na policzki panny Hare, lecz nie powiedziała nic, bo to wyjaśnienie, chociaż trafiło w najtajniejszą głąb jej myśli, nie wyjaśniało jednak wszystkiego.

- Mówią też - ciągnął Żyd głaszcząc trawę - że twórcze światło Boga nappełniło cadyków. Że to oni są Jego Wozem.

Panna Hare spuściła oczy i zacisnęła pięści, bo czuła wzbierającą w niej falę. Spojrzała na zbielące kostki swoich rąk z nadzieją, że może tym razem uniknie ataku. Wprawdzie ataki te przynosiły jej najwspanialsze wzloty, lecz wzdrygała się na myśl, że człowiek, którego szacunek tak bardzo pragnęła zachować, byłby świadkiem jej cielesnego upokorzenia.

- Zapamiętam ten poranek - rzekł Himmelfarb - nie tylko dlatego, że dzisiaj poznałem panią.

Rzeczywiście, patrzącym spod drzewa wydawało się, że nigdy jeszcze światło nie kształtowało tak wspaniale materii jak tego ranka. Roztopiony błękit opływał hojnie brzeg nagrzanego miski świata. Senne źdźbła trawy poruszały się w tańcu najszczerzej radości. Monotonny śpiew pszczelego chóru spadał dźwięcznymi kroplami złota. Wszelkie stworzenie przyłączyłoby się do pochwalnego hymnu, gdyby nie nagły zgrzyt, który je spłoszył w tej chwili.

- Co to? - spytał Himmelfarb. Oboje lękliwie wyjrżeli spod gałęzi.

W głębi opuszczonego sadu wyrósł czarnobiały słup, ale ruchomy i rozkołysany.

Cisza pękła, wieże zieleni runęły. Wzbiły się w pióropusze kurzu i pyłków nasiennych.

- Haloo! Hej! Ho! - wołał głos sumienia. Panna Hare zbladła.

- O tej osobie będę musiała panu opowiedzieć - oznajmiła przyjacielowi. - Ale nie teraz.

Pani Jolley stąpała ciężko, posuwając się wciąż naprzód i nawołując wytrwale. Zdawało się jednak mało prawdopodobne, aby zechciała wtargnąć na nie znany sobie teren.

- To zła kobieta. - Panna Hare zdecydowała się wyjawić przynajmniej tyle, pokazując palcem swą gospodynię. - Do jakiego stopnia jest zła, tego jeszcze nie wiem na pewno. Ale spiskuje z drugą diabolicą i we dwie ściągają na różnych ludzi wiele cierpień, zanim zło obie je zniszczy. Himmelfarb skłonny był jej uwierzyć. Sposób, w jaki przygotowywał swoje nogi do ponownego uruchomienia, świadczył, że zdaje sobie sprawę, iż zasiedział się pod drzewem zbyt długo, i chce odejść, chociaż najgroźniejsza kon-spiratorka znikła.

- Niech mnie pan nie opuszcza - błagalnie powiedziała panna Hare. - Nie wrócę do domu. Za nic na świecie. Chyba dopiero później, o zmroku.

- Zanedbuję pewne obowiązki - mruknął Żyd.

- Jeśli pan odejdzie, zaniecha pan mnie - odparła takim tonem, jakby była piękną damą strojną w sznury pereł.

- A zresztą - dodała - nie skończył pan historii swego życia. Żyd poczuł się stary i słaby. Panna Hare nie chciała, żeby odszedł, ale on zastanawiał się, czy starczy mu sił, żeby zostać. A zwłaszcza - żeby dokończyć opowieść.

- Wiem - szepnęła z niezwykłą jak na nią słodyczą

- wiem, że teraz nastąpi część najboleśniej. Ale będę cierpiała razem z panem. Dwoje ludzi ma więcej sił niż jeden człowiek.

Żyd poddał się i znów drzewo osłoniło ich namiotem pośród pustkowia.

Piękne gałęzie niby żelazne tarcze więziły ich ciała, lecz myśli pozostały wolne i mogły zstąpić w najodleglejsze zakątki piekieł.

VII

Himmelfarb nigdy nie zdołał obliczyć, ile czasu przetrwał w domu przy Holzgraben po zniknięciu żony. W ostatecznej rozpaczy był mniej niż kiedykolwiek zdolny do podjęcia jakiegoś planu działania. Snuł się po opustoszałym, zimnym domu, chociaż opuściła go nawet stara posługaczka, by zakopać swój strach głębiej, w ciemniejszych, bardziej obronnych zaułkach miasta. Błądził z pokoju do pokoju wśród sponiewieranych mebli, po dywanach, które nie zagłuszały jego kroków. Gdy był głodny, wyjadał jak szczur resztki z misek i garnków.

Przeważnie jednak ślęczał nad swoimi rękopisami, a kiedyś omal nie zabrał się do opracowywania wykładu, który powinien by we wtorek wygłosić na uniwersytecie, gdyby nie zmienione okoliczności.

Niekiedy siedział po prostu przy biurku i trzymał w ręku nóż do rozcinania kartek, prezent od kuzyna z Grecji. Fascynowało go srebrne ostrze, o którym niegdyś młoda Reha Liebmann powiedziała, że nadaje się do innych celów niż otwieranie listów i przecinanie kartek w książkach. Wspominając to, Himmelfarb wymacał odstęp między swymi zębami i może by nawet wbił ostrze we własne serce, gdyby dostrzegł jakiś sens w umieraniu po raz drugi.

Tak więc się stało, że ten człowiek umarły czy też ten żywy upiór odłożył beużyteczny nóż. Nie mógł zebrać myśli, całe godziny spędzał w stanie pośrednim między duchem a materią, usiłując pochwycić wśród mglistych majaków coś, co mu się wciąż wymykało, i powracając w końcu we własną skorupę i do rzeczywistego świata.

Kilkakrotnie w tym okresie wychodził z domu, jak się bowiem zdawało, nikt - przynajmniej na razie - nie interesował się starym samotnym Żydem; a Himmelfarb nadal szukał rozwiązania problemu pokuty.

Widząc go na czystym

zwirze Lindenallee albo na bardziej dla niego stosownych, bo nie tak ściśle określonych ścieżkach leśnego parku, nikt by nie podejrzewał, że tego człowieka zaprzatają myśli niemal nieprzyzwoite. Nikt by nie odgadł, że mężczyzna w szarym palcie, z grubą laską w ręku, z pozoru solidny, osiągnął w rzeczywistości stan takiego odcieleśnienia, iż przenika twarze spotykanych ludzi.

Stało się to nałogiem oplątanego jedną myślą Żyda i czerpał stąd pewną pociechę, zwłaszcza gdy wyobraził sobie, że jak wszystkie rzeki muszą się w końcu mieszać w nieobjętej masie morza, tak on wchłonie w swoją bezkształtną istotę wszystkie te ślepe dusze ludzkie, miotające się i szamoczące w usilnym dążeniu do nieznanego celu. Od chwili gdy mu się ta wizja objawiła, nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, ilekroć patrzył - nie zważając na różnice krwi i wiary - w nieświadome jeszcze twarze; nie pomyślał o tym, że nie wszyscy ludzie, którym pragnął ofiarować pomoc, zechcieliby ją od niego przyjąć. A tymczasem odporne dusze wstrząsały się z odrazy i cofały, nie dawały się wciągnąć w otchłań jego oczu. Raz nawet pewien przechodzień krzyknął głośno. A ktoś inny odpowiedział pogroźkami.

Nic jednak nie zrażało ich wybawcy. Przepęłniała go nie znana mu przedtem, najdobrotliwsza miłość. Tylko po zmierzchu, gdy nawet ludzka niechęć umykała z wilgotnych ścieżek, Żyd mógł docenić zasięg swojej władzy. Podczas tej zimy, mimo że przyniosła tyle zamętu i duchowych klęsk, wyobrażenie Wozu wypłynęło znów na powierzchnię świadomości i zbliżyło się tak, że niemal mógł je dotknąć. Niekiedy wieczorem zdawało mu się, że potrafi rozróżnić kształt Wozu nad czarnymi dachami miasta, prawie muskający nagie szkielety drzew; chwilami zdawało mu się, że czuje w gasnącym świetle dnia, jak go owiewa poruszone pędem Wozu powietrze. Przystawał wtedy na wysłanej butwiejący

mi liśćmi dróżce i usiłując się oprzeć potężnemu nurtowi wspomnień, gorączkowym gestem zawijał się ciaśniej w płaszcz, by ochronić niegodne, drżące ciało.

Pewnego dnia Himmelfarb obudził się przed świtem i natychmiast zerwał się z łóżka. Chłód i ciemności powinny by go zniechęcić, ale tej nocy miał sny tak pogodne, doświadczył we śnie wrażeń tak tkliwych i ciepłych, że był jak gdyby nasycony słońcem. Krzątał się po omacku i chociaż nic nie pamiętał z treści snu, zachował przeświadczenie powziętej pod jego wpływem decyzji: postanowił przenieść się do znajomego szewca, biednego Żyda, który mieszkał wciąż jeszcze przy Krótengasse. Ogolił się, w niecierpliwym pośpiechu i podnieceniu kalecząc twarz w kilku miejscach, odmówił modlitwy, ubrał się, zapakował do walizki trochę rzeczy, parę drobiazgów, z którymi nie miał siły się rozstać, a więc napaśtek z kości słoniowej należący do jego żony, na nic niezdatny plik rękopisów, które nie miały szans ukazania się w druku, a także tchnące ironią, lecz bezcenne prezenty od ojca apostaty: tańce i filakterie. Ledwie skończył te zajęcia w bladym świetle wczesnego ranka, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Himmelfarb nie wzywał przez telefon taksówki, wiedząc, że żaden z kierowców nie zgodziłby się po niego przyjechać, mimo to zszedł na dół wraz z całym doczesnym dobytkiem, jak gdyby wierzył, że ktoś stawił się punktualnie na umówioną godzinę, aby go zabrać.

- Widzę, że jesteś gotów - powiedział Konrad Stauffer. Himmelfarb ani trochę się nie zdziwił, chociaż w duchu

czy też we śnie rozstrzygnął przedtem stanowczo, że przeniesie się do Lasera, żydowskiego szewca z Krótengasse.

Przez chwilę wyrywali sobie wzajemnie bagaż i zimne palce Żyda trochę mechanicznie ocierały się o ciepłe ręce przyjaciela nad spornym uchwytem walizy.

- Pozwól, że ja ją zaniosę - prosił Stauffer.

Himmelfarb ustąpił. Nagle wydało mu się to zupełnie naturalne. Stauffer miał na sobie kurtkę z miękkiej skóry, pachnącą w dodatku oszałamiająco. Wszystko zachęcało do kapitulacji. Elegancki samochód już błyszczał w niepewnym jeszcze świetle. *Frau* Stauffer stała obok z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie odkryła coś zupełnie dla niej nowego; ręce schowała w staroświeckiej mufce, której nikt inny nie umiałby tak jak ona nadać stylu jak najbardziej nowoczesnego.

Wszyscy troje zachowywali się tak, jakby dopiero wczoraj się rozstali.

- Był gotów i czekał na nas! - oznajmił żonie Stauffer i roześmiał się z tych swoich zdawkowych słów jak z najlepszego dowcipu. - Musisz zająć tylne siedzenie - zwrócił się tonem rozkazu do Himmelfarba. - Wsiadaj, Ingeborg - rzucił bardziej surowo rozkaz żonie.

Frau Stauffer wsiadła, zatrzasnąwszy hałaśliwie drzwiczki, czym chyba zawsze, nie tylko tego dnia, irytowała Konrada. Ale sadowiąc się na swoim miejscu, lekko otarła się o męża ramieniem i znów zapanowała między nimi zgoda; można by oczywiście pomyśleć, że to jest sojusz tylko na ten jeden rozpoczynający się zimowy ranek, lecz podczas wizyty w ich domu Himmelfarb zauważył wymieniane spojrzenia i przedłużane zetknięcia rąk, świadczące, że małżonkowie jeszcze się sobą nawzajem nie nasycili.

Samochód sunął przez białe ulice.

- Pan pewnie nie jadł śniadania. Myśmy też zapomnieli o jedzeniu - powiedziała *Frau* Stauffer odwracając się do pasażera. - Czuję się, jakbym miała pestkę zamiast żołądka. Ale zaparzymy kawę, jak tylko znajdziemy się na miejscu.

Domy się przeredziły. Kragłe twarze migają zmienione w długie smugi.

- Wieziemy cię do Herrenwaldau - wyjaśnił Stauffer.

Prowadził wóz i jego głos brzmiał bardzo poważnie. Wystrzyżony kark był sztywny, lecz mimo fałd wydawał się piękny, skupiony i napięty nad skórzanym kołnierzem.

- Przenieśliśmy się tam - ciągnął Stauffer - ponieważ w obecnych czasach milej jest w gruncie rzeczy mieszkać wśród drzew.

Herrenwaldau był to majątek ziemski oddalony o siedem czy osiem mil od miasta. Himmelfarb przypomniał sobie, że słyszał przed laty o nabyciu przez Staufferów tej siedziby, którą zdaniem wielu osób powinno było zakupić państwo jako pamiątkę narodową. Oryginalny dom zbudowała pod koniec siedemnastego wieku pewna księżna, aby dyskretnie przyjmować tu kochanków; było to coś pośredniego między miniaturowym pałacem a dużym dworem. Czas niemal całkowicie zniszczył budynek, lecz mówiono, że nowi właściciele odnowili jedno skrzydło i urządzili sobie tam mieszkanie. Wszystko - zarówno informacje dotyczące jego własnej przyszłości, jak migające w pędzie krajobrazy - Himmelfarb przyjmował ze wschodnią uległością, przeciw której może by się zbuntował, gdyby nie to, że ruch samochodu usypiał w nim uczucie wstydu. Kołysany w miękkim, bezpiecznym wnętrzu, zauważył, że obicia wozu są tego samego koloru co skóra pani Stauffer. Za oknem poranne światło przeobrażało surową zazwyczaj okolicę, bo niebo i ziemia, mgła i woda mieszały się o tej porze z sobą w warstwach niewinnego błękitu i szarości. Gleba zdradzałaby swe ubóstwo, gdyby szron nie pokrył piasków błyszczącym szkliwem.

Dla Staufferów ta droga była najwidoczniej rzeczą zwykłą i dobrze znaną, zachowywali się, jakby nie pamiętali o istnieniu pasażera, i od czasu do czasu wymieniali jakieś uwagi o serze lub świecach; mimo to *Frau* Stauffer w końcu mruknęła głośno i grubiańsko: „No!”.

Wjeżdżali bowiem między kamienne słupy bramy, pod ogołoczone z liści wiązy, ukoronowane starymi, czarniejszymi niż gałęzie gniazdami i osnute ostatnimi strzępami mgły.

Nic nie mogło Himmelfarbowi przesłonić szarzyzny zimnych murów, obojętnej, zrezygnowanej wytworności tego obcego domu; lecz gdy gospodarze zajęli się wygarnianiem z samochodu paczek, podszedł bliżej i dopiero wtedy zobaczył, że na kamieniu pleni się życie: fioletowe, zielone i rdzawopomarańczowe porosty okrywały mury plamami zmieszanych i zamazanych barw. Nigdy przedtem tego zjawiska nie zauważył i nie od razu nabrało w jego oczach znaczenia, jakie później miał do niego przywiązywać, ale uśmiechał się, kiedy *Frau* Stauffer odwróciła się od samochodu, by szepnąć prędko:

- Nikogo tu nie ma! Nikogo, nikogo!

Jak mała dziewczynka, która osiągnęła prawdziwą wolność, znaną dotychczas jedynie w teorii.

- Ingeborg chce przez to powiedzieć - wyjaśnił jej mąż - że nie trzymamy służby, odkąd nasz rząd dostał manii na punkcie siły roboczej.

Humor zdawał się tym bardziej wisielczy, że Konrad, wyciągając z samochodu piecyk naftowy, nabił sobie guza na głowie.

- Ale - dodał - pewien gospodarz z sąsiedztwa dzierżawi część naszych pól i spłaca czynsz produktami oraz dość skąpo odmierzaną pracą.

Dzierżawcy na przykład karmią drób, gdy nas nie ma w domu, i kradną jajka, gdy jesteśmy. Musimy ustalić dla ciebie taki tryb życia — zakończył - żebyś w przyszłości nie był narażony na niebezpieczeństwo spotkania.

Na razie jednak nie brano pod uwagę możliwych niebezpieczeństw.

Trójka spiskowców, uginając się groteskowo pod pakunkami, wkroczyła do domu, pachnącego w ogóle starością, a w szczególności grzybem.

Pokazano Himmelfarbowi przeznaczony dla niego pokój. Konrad Stauffer powiedział mu, że dopiero niedawno właściciele domu odkryli ten zakamarek. Z zewnątrz maskował go kamienny parapet, od wnętrza zaś boazeria, którą trzeba było odsunąć, aby się dostać na schody prowadzące do pokoiku, może specjalnie tak kiedyś zakonspirowanego ku wygodzie romansowej księżnej. Nowi gospodarze umeblowali tę izdebkę naprędce dla swego gościa, wstawiając polowe łóżko, nie malowaną skrzynię i w jeden kąt starą wanienkę do nasiadówki, a w drugi ów piecyk, przytaszczo-ny właśnie samochodem. Poza tym pokoiik był pusty, co najzupełniej odpowiadało życzeniu przyszłego lokatora. Rozpakowując swój skromny dobytek Himmelfarb uświadomił sobie ze smutkiem i bez wątpliwości, że pusty pokój już stał się jego domem i nie wiadomo, jak długo domem dla niego pozostanie.

Gdy zaś wieczorem zobaczył swoje odbicie w jednym z wysokich złożonych lusterek, zrozumiał, że poza tym pokoikiem nigdy w domu Staufferów nie poczuje się na swoim miejscu.

Obiad jednak zjedzono w miłym nastroju przy zniszczonym dębowym stole, na którym po sprząnięciu talerzy i ukończeniu gospodarskich zajęć Ingeborg Stauffer oparła głowę.

- W Herrenwaldau nigdy nie będę w pełni szczęśliwa - oznajmiła, a raczej wyprorokowała *Frau* Stauffer. - Zawsze tu muszę przewidywać jakieś zdarzenia, które zburzą harmonię. Boję się na przykład, że dom zostanie zarekwirowany na jakiś nikczemny użytek. Widzę już jakiegoś partyjnego kacyka, z gatunku nadętych prowincjonalnych samozwańczych władców, wyciągającego nogi w butach na tych krzesłach. Czuję zapach pudru rozsyanego na toaletce przez jego kochanki.

- Moja żona ma rozstrojone nerwy - przerwał jej Konrad; siedział odwrócony do nich plecami i robił rachunki czy też przeglądał listy, które nadeszły podczas jego nieobecności.

- Oczywiście - powiedziała ze śmiechem Ingeborg. Zerwała się od stołu, pobiegła po kieliszki i wszyscy troje napili się taniej, mocnej jak ogień żytniówki. Ingeborg chwilami umiała promieniować szczęściem. Umiała też grać Bacha, ale nieświetnie i na marnym klawesynie.

- Między Bachem a Hitlerem coś się zepsuło w państwie niemieckim - rzekł Konrad. - Trzeba wrócić do Bacha, wymijając po drodze bliźniacze bagna Wagnera i Nietzschego, zerkając w stronę Weimaru i miast hanzeatyckich, słuchając głosu poetów.

- *Tristana* mimo wszystko musisz mi zostawić - zaprotestowała Ingeborg, podchodząc do męża i wieszając mu się u ramienia. Jej włosy miękkie, nieokreślonego koloru, a jednak wytworne, zdawały się ciemne w blasku świec.

- Dobrze, daruję ci *Tristana* - zgodził się Konrad. - Zresztą *Tristan* jest własnością ogółu.

Ingeborg leciutko wpiła zęby w krótko ostrzyżony kark męża. Krzyknął, ale ze śmiechem.

I to jak gdyby przypomniało im, że już pora iść spać.

Prowadzili tę grę przez kilka następnych dni, a Himmelfarb tymczasem próbował zaglądać do zamkniętych pokoi i badał zdziczały ogród, gdzie nie strzyżone szpalery bukszpanów i cisów maskowałyby dobrze jego ruchy, gdyby nie zdradzał ich zapach tymianku wzbijający się spod stóp. Raz i drugi zdarzyło się, że tylko drżąca zasłona zieleni dzieliła go od wiejskich dziewcząt, córek dzierżawcy, jak się okazało, które przybiegły w jakimś interesie, z wyrazem podejrzliwości na piegowatych twarzach pokazując mlecznobiałe pulchne kolana nad grubymi pończochami. A raz ledwie zdążył odwrócić się i wycofać, gdy *Frau* Stauffer witała bardziej dostojnego gościa.

Tego wieczora Staufferowie byli bardziej niż zwykle milczący i zamyśleni. Himmelfarb z własnej inicjatywy postanowił rzadziej opuszczać swój pokój, ale wiedział, że odgadł trafnie nie wypowiedziane życzenia gospodarzy. Ingeborg, jak gdyby za wspólną umową, zaczęła mu odtąd nosić posiłki na górę. Dzbanki też zawsze były pełne wody. Rzadko teraz muzyka urozmaicała wieczory. Cały dom wypełniała gęsta cisza.

Wreszcie Ingeborg wyjaśniła mu, że Konrad pojechał do Berlina. Lokalne władze bowiem zainteresowały się ich domem, pytały, jaki z niego robią użytek, ile jest pokoi, kto u państwa Staufferów bywa. Konrad miał załatwić tę sprawę w stolicy. Niemal każdą sprawę mógł załatwić za pośrednictwem swojej siostry, małżonki pewnego ministra, a podobno także przyjaciółki większego jeszcze dygnitarza. Ingeborg udzieliła mu tych informacji z zakłopotaniem, lecz uznała widocznie, że musi je zrozumieć; odeszła, a gość został sam, wpatrzony w wyostrzoną krawędź życia, na której wszyscy troje starali się utrzymać równowagę.

Himmelfarb jak przez mgłę przypominał sobie chude, gorące ramiona małej Mausy Stauffer, obejmujące go w pół. Wtedy omal nie zgubiła go w oczach świata; dziś miała go ocalić, bezwiednie z pewnością, powołana w tej sytuacji przez brata do roli *deus ex machina*.

Konrad wrócił dość zadowolony, chociaż pełen ironii.

- Czasem dochodzę do wniosku, że sukces, nawet naj-przyzwoitszy i najuczciwszy, nigdy nie przychodzi sam. Nieuchronnie wlecze za sobą pewien cień wstydu. Wybraniec musi być trochę skażony - powiedział Konrad, który wszedł do izby na poddaszu, niosąc dodatkową lampę i butelkę koniaku. - Kto wie, może czyści są tylko ci, którzy próbowali, lecz którym się nie powiodło. Jak myślisz, Himmelfarb, może bez porażki nie ma odkupienia?

- W takim razie byłoby wielu zbawionych, którzy wcale na zbawienie nie liczyli - odparł Żyd.

Konrad już dyszał ciężko i wcale nie z powodu wspinaczki do kryjówki na strychu.

- Ale ty jesteś wierzący - mruknął.

- Ja jestem ten wieczny chrząszcz, który co dzień rano spostrzega, że osunął się niżej, niż był, jak mu się zdawało, poprzedniego wieczora. I znów pełźnie dalej. Wolałbym jednak uważać się za chrząszcza, którego popycha wiara, niż za chrząszcza pełznącego z przyzwyczajenia.

- Lepiej być jakimkolwiek chrząszczem niż nikim. Konrad Stauffer, tak pozornie wszystko lekceważący, tym bardziej musiał wzruszać, okazując komuś szacunek. Himmelfarb, w ten sposób wyróżniony, w przyptywie pokory pragnął odwdzińczyć się przyjacielowi, lecz nie mógł spodziewać się po temu okazji.

Stauffer bowiem coraz mniej czasu spędzał w Herrenwaldau.

- Znów do Berlina? - spytał kiedyś Himmelfarb.

- Berlin to tylko jeden z wielu celów moich podróży - odparł Konrad.

Ustawicznie to wyjeżdżał, to zjawiał się na krótko w domu.

Żona jego tymczasem usługiwała gościowi z nieoczekiwaną regularnością. Była wciąż po swojemu szykowna, chociaż teraz w skromniejszym stylu. Schudła, stwardniała, wycofał się w świat, do którego, jak się zdawało, nikogo za sobą nie pragnęła wciągnąć.

Himmelfarb tym łatwiej mógł to jej życzenie uszanować, że sam wycofał się do swego pustego pokoiku. Przesiadując w tej mrocznej celi, rzadko był beczynny, lecz jeszcze nie osiągnął stanu zubożenia, samotności, bezinteresowności, stanu, w którym, wedle pouczeń starego farbiarza, można odnaleźć światło rozjaśniające szersze obszary nocy.

Niekiedy, gdy wysiłał myśl, by osiągnąć niewiadomego świata, mącił jego skupienie głos radia oznajmiając coś, napominając, odchrząkując chrapliwie. Albo też przychodziła Ingeborg, by uzupełnić treść słów, którą Himmelfarb i tak odgadł. W miarę bowiem jak wykuwano łańcuch zdarzeń, można było przewidzieć następne ogniwa. Ingeborg potwierdzała więc tylko przewidywania.

Pewnego wieczora wrócił Stauffer i Himmelfarb spostrzegł, że przyjaciel zrównał się z nim wiekiem, a może nawet prześcignął go o parę lat.

Młodzięczy, zmysłowy, rozbijając płytki mężczyzna postarzał się nagle, podobnie jak ciało jego żony nie mogło już zamaskować fizycznego wynędznienia, które dotychczas objawiało się jedynie powierzchownie, w zaniedbaniu stroju.

Stauffer przywiózł wiadomość, że Wielka Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę.

- A więc, dzięki Bogu, jesteśmy nareszcie całkowicie zaangażowani - rzekł, jakby odpowiadając na własne wątpliwości.

Potem już nie odwiedził przyjaciela, a Ingeborg potwierdziła domysły Himmelfarba, że Konrad opuścił Herrenwaldau.

- Tak - powtórzyła ze szczególnym naciskiem - lepiej, że wyjechał. A nawet jeśli tym razem jego nieobecność przeciągnie się dłużej, można oswoić się z samotnością, można się do niej przyzwyczać, jak do wszystkiego.

Na przykład do wynoszenia tac z pokoju gościa, do tej czynności, którą Ingeborg spełniała obojętnie, z prostotą wzruszającą Himmelfarba za każdym razem na nowo.

- Ileż pani dla mnie się trzyma! - wyrwało mu się kiedyś, gdy Ingeborg nalewała gorącą wodę z ogromnego dzbana do staroświeckiej wanienki.

- Och! - krzyknęła z pośpiechem, jeszcze zdyszana po wejściu na strome schody. - Czy pan nie rozumie? My

robimy to wszystko także dla siebie. Bardzo, bardzo nam tego potrzeba. I nie tylko nam. Wszystkim.

Odeszła natychmiast, przygryzając wargi, zasepiona wstydem.

Himmelfarb wiele razy miał ochotę zagadnąć ją o działalność jej męża, lecz Ingeborg zniknęła, zanim zdążył dopuścić się tej niedyskrecji, z czego potem był zresztą rad.

Raz jednak powiedziała:

- Pan przecież wie, że Konrad nigdy by nie zrobił nic takiego, co pan mógłby potępić.

Coraz bardziej była powściągliwa, z pewnością świadomie. Nocą każde z nich w oddalonych od siebie częściach domu nasłuchiwało histerycznych protestów artylerii przeciwlotniczej, kaszlu i pomruków, wstrząsów prehistorycznych fundamentów, gdy brytyjskie samoloty po raz pierwszy zrzuciły bomby na jakiś pobliski cel. Ingeborg nie przyszła. Nazajutrz jednak Himmelfarb zauważył, że szesała włosy znad czoła i ściągnęła je tak mocno, iż jej zawsze odsłonięta twarz zdawała się jeszcze bardziej naga.

Mimo to nie zdradzała nic.

Trzymając w ręku przechyloną pustą filiżankę i wpatrując się w szare fusy zbożowej kawy, *Frau Stauffer* powiedziała:

- Mój śliczny kaczor nie żyje. Mój wielki rasowy kaczor. Nieraz syczał z gniewem, bywał nieznośny jak człowiek. Ale taki mocny, taki piękny ptak.

Himmelfarb uznał za swój obowiązek zainteresować się, w jaki sposób zginął kaczor.

- Któż to może wiedzieć? - odpowiedziała cicho.

Nic nie miało znaczenia, oczywiście, prócz samej śmierci.

Pewnej nocy bomby padły tak blisko, że na mgnienie oka pokoje domu w Herrenwaldau zmieniły kształty. Żyd zadrżał na poddaszu, wiedział jednak, że jest bliżej niż kiedykolwiek swojego Boga, bo wszystkimi myślami przylgnął do tego, co było najbardziej dla nich swojskie. Gdy czarne cienie skrzydeł

przekreślały księżycową poświatę, a całe zło świata godziło pociskami w kruchy, porośły mchem dach, Himmelfarba ogarnęła cudowna egzaltacja. Potem, kiedy już ocknął się z niewysłowionego wrażenia, a dom pod nim przestał prężyć się i trzeszczeć, kiedy nie było słycać nic prócz oddalającego się tętna i szumu silników, na wąskich schodach rozległy się kroki i do pokoju weszła Ingeborg Stauffer; długą, drżącą dłonią osłaniała latarkę, którą trzymała tuż przy piersi, tak dawniej odważnej i wytwornej.

- Bałam się okropnie - wyznała.

- Celowali w ten dom - stwierdził - ale dlaczego, to już chyba tylko oni wiedzą.

- Tak strasznie, strasznie się bałam - powtarzała Ingeborg, drżąc.

Pod wpływem strachu stała się znów bardziej ludzka i po raz pierwszy wydała mu się stara. Płakała.

Himmelfarb starał się więc ją pocieszyć i obejmując ramieniem ciało niemal nagie - Ingeborg już rozebrała się do snu - głaskał, pieścił, dodawał otuchy. Wkrótce była znów ciepła i młoda. Jemu też wróciła jakaś część młodości i fizycznej siły. Na krótkiej ścieżce między duchem a ciałem zdążył uświadomić sobie, że byłby zdolny do popełnienia nikczemnej zdrady, przybierając ją w maskę nieuchronnej konieczności.

Wtedy w świetle przyćmionej lampki zobaczył w lustrze twarz jej i swoją.

Zobaczył wyraz twarzy Ingeborg Stauffer, która ocknęła się pierwsza.

Wstręt, mimo że skrywany, był wyraźny. Jego własna twarz była twarzą starego głupca. Żyda.

- Spróbujmy teraz zasnąć - powiedziała Ingeborg. Nigdy jej głos nie brzmiał łagodniej, uprzejmiej, niż w chwili gdy odchodziła.

Nazajutrz bardzo wcześnie Himmelfarb dosłyszał hałas zwiastujący jakiś atak ze strony zewnętrznego świata. Gdy wszedł na stół i otworzył małe okrągłe okienko, wyciągając szyję i wyglądając spoza balustrady mógł dostrzec pod pustym niebem skrawek ogrodu, drzewa i żwirowaną aleję wjazdową. Tego ranka po niecelnym bombardowaniu zajechała ciężarówka, wypełniając cenne, bo ograniczone pole widzenia, i wyskoczyło z niej kilku żołnierzy, a między nimi jeden, jak się zdawało, podoficer.

Frau Stauffer znacznie później niż zwykle przyniosła śniadanie i -zawiadomiła, że w domu zakwaterował się oddział wojska. Aby zbadać szkody i usunąć bomby. Wobec czego *Frau* Stauffer oczywiście nie będzie mogła przychodzić na górę, chyba w ostateczności. Kawa była tego dnia prawie zimna, ale zauważył to, dopiero gdy ją wypił. Jednocześnie jego pokoiak zaczął mu się wydawać dziwnie kruchy, a nawet chyba niepotrzebny. Czy to znaczyło, że zbliża się pora, by rozbić skorupkę? Doprawdy, cisza tutaj panowała jak we wnętrzu jajka i pozwolono w niej Mor-dechajowi nabrać sił, teraz jednak instynkt, głosy ludzkie, starcie stali ze stalą - wszystko przypomniało mu, że ma do spełnienia jakiś nieokreślony obowiązek w zewnętrznym świecie. Cisza, jak się zdawało, nie mogła go już niczym więcej wzbogacić. Przechadzał się tam i sam po pokoju niespokojnie, ale bardzo cicho, bo do tego już nawykł. Ledwie usłyszał, że po paru dniach rozległy się znów na schodach znajome kroki opiekunki.

- Wyjechali - oznajmiła, lecz ton ulgi nie brzmiał szczerze.

Naprawdę bowiem wcale nie odeszli. Twarz jej mówiła, że nigdy już nie odejdą, chociaż oczy widziały i uszy słyszały, jak odjeżdżali aleją za bramę.

Himmelfarb zrozumiał, że dla mieszkańców domu w Herrenwaldau zaczyna się nowy etap okupacji duchowej. Wkrótce potem Ingeborg Stauffer powiedziała mu:

- Już teraz wiem, że Konrad nigdy nie wróci. Prawda, ujęta w słowa, zdawała się oczywista, bo oboje wcześniej już ją przeczuwali, chociaż nie mieli dotychczas odwagi podzielić się swoją wiedzą.

- Dostała pani wiadomość? - spytał niedorzecznie Himmelfarb.

- Nie - Ingeborg skuliła ramiona. - Nigdy, nigdy nie dostanę żadnej wiadomości. Ale będę zawsze wiedziała, że go już żywego nie zobaczę. Himmelfarb podejrzewał, że świadomie nie pozwalała sobie nazwać Konrada „swoim mężem”; dawniej to określenie wymawiała tak gładko, tak rozrzutnie nim szafowała, lecz teraz nie miała dość sił, by go użyć. Zdjęty litością miał ochotę wyciągnąć do niej rękę.

Twarz jej ożywiła się trochę.

- Łatwiej to znieść, gdy się o tym od dawna myślało - powiedziała. - On sam to przewidywał. Och, wiem, Konrad mimo swoich sukcesów zawsze był niepoważny. Oboje się z tym godziliśmy. Nie miał wielu złudzeń. „Moje książki będą żyły tak długo jak ja, nie dłużej” - mawiał.

O tajnej, nielegalnej organizacji pani Stauffer nie umiała powiedzieć, nie wiedziała prawie nic. Himmelfarb jednak zrozumiał, że Stauffer do tej organizacji należał. Jakie spełniał w niej funkcje - pozostało tajemnicą.

- W każdym razie - powiedziała Ingeborg, powtarzając uwagę, którą już kiedyś od niej słyszał - nigdy by nie zrobił nic takiego, co pan mógłby potępić.

Dotychczas po prostu udzielała informacji, lecz teraz, przyciskając łokcie do swych boków, wyznała:

- Kochałam go! Kochałam!

Twarz zwykle kamienną wykrzywił grymas i *Frau* Stauffer bełkotała, jęczała jak każda zrozpaczona kobieta. - Mój najdroższy mąż! - powiedziała wreszcie. Odeszła.

Himmelfarb bardziej niż kiedykolwiek czuł się obcy w Herrenwaldau. Deski trzeszczały w ciemnościach. Nocą ciemnoczerwony rdzeń nabrzmiewał i narastał w krokwiach. Żelazne łóżko twardniało, raniło boki lokatora. I wtedy przyszła jego żona, wzięła go za rękę, a potem razem patrzyli w dół, ku studni ciemności, na której dnie świeciły nikłym fosforycznym blaskiem ludzkie twarze. Mordechaj tęsknił - ach, paliła go ta tęsknota - żeby spojrzeć raz chociaż w twarz Rehy Himmelfarb, lecz ona jak gdyby kierowała jego wzrok na inne, nieznajome twarze, i kto wie, może jej własna twarz zmieniła się nie do poznania. Z niewidzialnych oczu szybciej płynęły łzy. Krwawe łzy - zobaczył je na grzbiecie swojej dłoni. Głosy ciemności wzbierały coraz głośniejsze. Aż w końcu litość, niby fala niegaszonego wapna, wzbijając się z dna studni pochłonęła Himmelfarba. Był znów sam. Reha odeszła; już zrozumiał sens tego wspólnego przeżycia.

Himmelfarb wydzwignął się z głębi snu w jasny ranek. Mimo wczesnej godziny było już widno. Himmelfarb spostrzegł, że spał - nie wiadomo dlaczego - w ubraniu, zapewne żeby być w pogotowiu; jak gdyby urzeczywistniając to przeczucie, zewnętrzny świat znowu zaatakował Herrenwaldau. Stojąc na stole, przez okrągłe okienko, między filarkami kamiennej balustrady Himmelfarb zobaczył tym razem poprzedzający ciężarówkę samochód osobowy, zatrzymujący się gwałtownie na zarosłym zielskim żwirze.

Z samochodu wyszedł oficer. Niewątpliwie ważna figura, toteż jakby w uznaniu jego rangi Ingeborg Stauffer już stała w progu, aby powitać gościa z należnymi honorami. Ubrana

była w skromny kostium świąteczny wciąż jeszcze kroju, chociaż Himmelfarb niejednokrotnie widział na jego wyłogach przylepione ziarnka poślada. Czekala, stojąc w starych gumowych butach, które wkładała zimą, kiedy szła karmić swoje kaczki.

Obserwator mimo znacznej odległości szybko zrozumiał, że jest świadkiem aktu nie historycznej wprawdzie, ale raczej osobistej zemsty. Z twarzy paru szeregowców można było wyczytać, że także to rozumieją. Podoficer zapomniał wydać rozkaz. Oficer, rzecz jasna, stosował ściśle przepisy rycerskiej uprzejmości, wypełniając swoje osobliwe zadanie. *Frau* Stauffer również nie zapomniała, czego ją nauczono. Jej głos, zawsze lekki, gdy występowała w roli pani domu, rozlegał się w mroźnym powietrzu. Do okienka na poddaszu dochodziły jednak tylko najwyższe tony uprzejmego śmiechu. *Frau* Stauffer miała nawet na rękę bransoletę z szerokich złotych ogniw i na niej pęk breloczków z niepolerowanych półszlachetnych kamieni, które zderzały się z sobą przy każdym ruchu, grożąc zakłóceniem powagi rozmowy.

A więc z góry wiedziała i była przygotowana. Lecz w pewnym momencie intensywnej ciszy Himmelfarb mógłby przysiąc, że usłyszał dziwny dźwięk, jak gdyby pękającej struny, wysoki, czysty, rozpaczliwie nietrwały. *Frau* Stauffer schyliła głowę, jak gdyby na znak poddania. Wsiadła do samochodu z ręką przyciśniętą do piersi, ten gest nie był jednak obroną przed nieuchronnym ciosem, lecz przyozdobieniem nieuchronnego ciosu właściwą miarą wdzięku.

Samochód zawrócił tak ostro, tak konwulsyjnie, że koła wyłobiły głębokie ślady w żwirze alei. Himmelfarb mógł na sekundę dostrzec twarz Ingeborg Stauffer, patrzącej przez szybę na zdziczały, zaniedbany ogród. Ona już także wyszła poza ramy tej rzeczywistości. Nie miała więc prawa protestować, że tak brutalnie została sama z tych ram wypchnięta.

Uwożono ją, a twarz jej była pusta tą doskonałą pustką, która poprzedza wypełnienie.

Jednocześnie oddział żołnierzy pod komendą podoficera zakwaterował się w Herrenwaldau. W domu rozlegały się ludzkie głosy. Szczekał wojskowy rynsztunek.

Himmelfarb osunął się spod okienka do swego pokoju i prawie z rezygnacją stwierdził, że teraz kolej na niego. Nie spieszył się wcale. Pomodlił się, strzepnął ręką kurz z palta, zapakował do walizki swój skąpy dobytek i zszedł na dół. Dom wprawdzie rozbrzmiewał gwarem, który można by uznać za dowód ożywienia, grube buty gwałciły delikatną posadzkę, głosy szydziły z wilgotnej ciszy wieków, ale pokoje, przez które Himmelfarb przechodził lub które mijał, zachowały pogodną obojętność wobec własnego losu. Gotów wydać się w ręce pierwszej osoby, która by zakwestionowała jego obecność, Himmelfarb schodził coraz niżej. Wiele przedmiotów dotykanych po drodze nasuwało smutne wspomnienia. Ale dopiero pewien odległy sufit ozdobiony płaskorzeź-bionym herbem podszeptał mu pytanie, czy nie udałoby się mimo wszystko raz jeszcze rzucić okiem na rodzinne miasto.

W długiej sali służącej właścicielom za bawialnię, skąd jeszcze nie ulotniła się ich atmosfera, zwinięte w kłębek koty zgromadziły się na plamie zimowego słońca. Głośnik radia krzyczał o wojnie. Za oknami na tarasie krępy chłopak z cerą wieśniaka stał z karabinem w ręku i dłużył w nosie. Himmelfarb przez chwilę wahał się, czyby nie zagadnąć młodego żołnierza. Ale poprzestał na uśmiechu. Żołnierz ze swej strony wahał się, czyby nie zatrzymać starszego pana, tak niewątpliwie dyskretnego, tak niewątpliwie przynależnego do świata łagodnych obyczajów, który chłopak dobrze znał. Poczucie władzy, nigdy nie nazbyt pewne, zawiodło go w tych okolicznościach. Karabin drgnął mu w garści. Żołnierz po chłopsku kiwnął głową obcemu panu.

Himmelfarb szedł z wolna dalej. Wyczuł, jak gwałtownie biło serce chłopaka wystraszone własną, wciąż jeszcze nie przewyciężoną dobrotliwością.

Ale już się zaczął ten osobliwy ranek, podczas którego każdy człowiek mógł być wystawiony na próbę. Zbieg szedł ostrożnie pod nagimi wiazami, na których krakały wrony. Jak gdyby porzucił samego siebie, tego, z którym w pokoiku pod dachem już się pogodził. Zdawało mu się też bardzo właściwe, że znów panowała zima, gdy powracał tą długą, nieomylną drogą, którą kiedyś - przed miesiącami czy przed latami, jak dawno temu? - przyjaciele wywieźli go na spotkanie z ciszą i oczekiwaniem. Zimowe powietrze wspaniale rzeźwiło umysł, toteż Himmelfarb spostrzegł, że pilnie obserwuje wszystko, że interesuje go niezmiernie każde ziarnko piasku na skraju szosy. Parę razy spotkał jakiegoś chłopca lub dziecko, lecz ci ludzie zanadto byli pochłonięci codziennymi sprawami własnego życia, żeby pomyśleć o nagabywaniu obcego. Od czasu do czasu odpoczywał, bo jego nogi okazały ludzką słabość.

Niemal cały dzień zajęła Żydowi droga do Holunderthal. Zimowy wieczór zapadał, kiedy Himmelfarb zbliżał się ku ciemniejącemu masywowi miasta, które już nawiedzili zwykli nocni goście. Na niebie w oddali, aż po sam pomarańczowy rąbek horyzontu wykwitwały kłęby, pierścienie, uroczyste strzępki bieli. Rozpętała się burza fajerwerków. Zwykle solidne, czarne budynki objawiały się w innej, bardziej transcendentalnej postaci, rozprute ukazywały fontanny ukrytego ognia. Przeobrażały się rzeczy uważane dotąd za pewne i niezmiennie. Dwie srebrne ryby w płomieniach spływały z kobal-owego nieba ku ziemi. Wchodząc do miasta Himmelfarb stwierdził, że tego wie-^ora celem nalotu jest fabryczne przedmieście Scheidning. am najwyżej wzbijał się pióropusz dymu, tam był ośrodek

działań, chociaż niekiedy zabłąkana bomba na chybił trafił padała w wymarłą ulicę, przez którą właśnie szedł. Stare cegły rozsypywały się z westchnieniem. Kamienice w atakach kaszlu wypluwały wnętrzności, a raz podmuch rzucił Himmelfarba na chodnik i mógłby myśleć, że ziemia się pod nim rozstępuje, gdyby twardy beton trotuaru i głuchy łoskot upuszczonej walizki nie zepsuły efektu dnia ostatecznego.

Gdy wszedł w głąb miasta, zerwał się wiatr, rozwiewając połę jego palta i szarpiąc rondem kapelusza. Na ulicach swobodny ruch ludzki niemal całkowicie ustąpił miejsca zorganizowanym działaniom środków mechanicznych; warczały silniki, dzwoniły dzwonki, strzelała artyleria przeciwlotnicza, twarde konfetti szrapneli sypało się bez ustanku, niewinne i niewidzialne.

Żyd szedł wśród tego wszystkiego dalej.

Nie pomyślał nawet, że mógłby się bać. Jak gdyby był maszyną i poruszał się na rozkaz steru. Co prawda w pewnej chwili litość zawładnęła jego metalowym ciałem i schylił się, żeby zamknąć oczy człowiekowi, którego nie przyjął do swego wnętrza grobowiec gruzów.

Wtem usłyszał turkot zbliżających się kół. Sanitarka? Straż ogniowa? Żyd nadludzkim wysiłkiem szedł dalej. Teraz bowiem koła już muskały czarną łupinę miasta. Konie rżały głośno, cwałując przez jadowitą zieleń nieba. Konie wyciągały błoniaste szyje, nozdrza ich lśniły mosiądzem w blasku ognia. A Żyd, oszołomiony, szedł pod kołami wozu nietknięty. Zamierzał pierwotnie odwiedzić dom przy Holzgraben, nagle jednak wyobraźnia ukazała mu spustoszenie, zobaczył w wizji stiukową skórę domu zdartą przez bomby i prze ludzką złośliwość. Skierował się więc prosto do znajomeg komisariatu policji na róg Dorotheenstrasse.

Gdy wszedł, dyżurny policjant przerzucał nerwowo jeden po drugim jakieś urzędowe papiery. Po prostu żeby zabić czas. Zostawiono go tu, jak się zdawało, samego.

- Robią miazgę z fabryki rękawiczek - poinformował obcego przybysza. - Na miłość boską! Fabryka rękawiczek!

Trochę za tłuste ręce wciąż błąkały się jakby z nadzieją między urzędowymi aktami. Obrączka na palcu wpijała się w ciało. Ręce były pulchne.

- A któż by pomyślał, że Holunderthal jest taki łatwopalny - powiedział dyżurny policjant. - Na miłość boską!

- Przyszedłem - zaczął Himmelfarb, wyjmując portfel w poszukiwaniu dowodu osobistego; identyfikacja własnej osoby nabrała tego wieczora szczególnej wagi. - Przyszedłem, żeby się oddać w wasze ręce - wyjaśnił.

- W tym bałaganie! - jęknął policjant. - Nie mamy czasu nawet na podlewanie kwiatków w doniczkach.

Jego duże, ruchliwe dłonie wyglądały bezradnie. Razem z szeroką, żółtą obrączką ślubną. Nawet gdy podniósł wzrok, oczyma duszy patrzył nadal w swoje wnętrze.

- No więc co? - zapytał mimo wszystko. - Czego pan chce?

- Jestem Żydem - oświadczył Himmelfarb. Podał dokumenty.

- Żyd, hę?

Policjant był jednak roztargniony i zakłopotany niemożnością znalezienia jakiegoś innego dokumentu.

- No cóż - burknął. - Będzie pan musiał poczekać. Żyd! - dodał tonem skargi. - O tej porze, w nocy! Kiedy jestem tutaj sam!

Himmelfarb wobec tego usiadł na ławce pod ścianą. Policjant miał rację, noc była głęboka, a teraz cudowna cisza zaległa nad płonącym miastem.

Gdzieś na ulicy dał się słyszeć śpiew ochryply z przejęcia, chociaż jednocześnie niepewny. Pozaczasowy niemiecki głos śpiewał:

Czy to wojna, czy to pokój, Nalej piwa, buzi daj...

- Piwo i pocałunki. Pijackie brednie - warknął policjant. - Można pęknać ze śmiechu. Piwo i pocałunki to dobre dla ludzi.

Spojrzał na Himmelfarba.

- A więc Żyd, co?

Wraz z nastaniem ciszy policjant odzyskał poczucie obowiązku.

Himmelfarb zorientował się, że go przewieziono na kolejową stację rozdzielczą, położoną o kilka mil na południo--wschód od Holunderthal. Przedtem już słyszał od Ingeborg Stauffer, że miejsce to mocno ucierpiało, bombardowane zaciekle jako punkt ważny w wojennym wysiłku i w życiu narodowym. Teraz dowiedział się, że miejsce to służyło między innymi za punkt zborny dla Żydów, których wywożono do innych części kraju lub nawet za granicę.

Gdy tu przybył, natychmiast zanotowano jego dane personalne, a potem zapędzono go do jednego z licznych wielkich baraków. Była jeszcze noc, a w baraku zgodnie z przepisami wojennymi panowały ciemności, Himmelfarb nie mógł więc dokładnie oszacować, ilu ma współmieszkańców, lecz zdał sobie sprawę, że barak jest ciasno upchany ludźmi i że zbiorowa dusza tłumu cierpi tutaj i wzdryga się z lęku. W ciemnościach, tym gorszych, że narzuconych przez człowieka - a może zesłanych przez Boga? - dusza zabłąkana

lamentowała i usiłowała odnaleźć sens nonsensu. Chwilami lament brzmiał głosem dziecka, lecz zaraz potem nabierał tonów głębszych i mocniejszych. Potem wzbił się głos starczy, jak gdyby z głębi dziejów. Płacz i skarga. Czasem rozlegał się odgłos policzka i kopniaka, gdy wpychano jednego więcej podłego Żyda do baraku, a czasem słup światła bijąc z latarki od progu sięgał w głąb i rozdzierając zasłonę mroku ujawniał żółtą plamę twarzy albo rąk zaciśniętych na dobytku, jak gdyby on był najcenniejszy z wszystkiego, co ludzie ci mieli do stracenia. Dozorcy niekiedy śmiali się z dostrzeżonych w przebłysku światła niczemności, na ogół jednak tutaj, w punkcie zbornym, woleli ciemność, w której mogli nienawidzić masę żydowską w nierozdzielnej abstrakcji. Przy świetle poranka, który opieszale i chłodno zaglądał zimną pomiędzy nagie ściany baraku, Himmelfarb zaczął rozróżniać rysy poszczególnych osób, mimo że skuleni, przytuleni do siebie w obronie przed zimnem i nieszczęściem współplemieńcy jego przypominali raczej zamuloną kałużę. Oczywiście ten i ów dbał jeszcze o przyzwoite pozory. Gdzieniegdzie wśród szarych bruzd skóry na twarzy starszej damy bieleły ślady pudru. Stary Żyd spowity tałasem, zarówno dla ciepła, jak z pobożności otrzepywał z kurzu frędzle, zanim je pocałował. Jak dotąd smród jeszcze nie dokuczał. Tylko w kącie, gdzie jakieś dziecko zabrudziło się i matka z trudem doprowadzała je do czystości. W tym kącie niewątpliwie cuchnęło gnojem. Niewątpliwie też słyhać tam było beznadziejne skargi. W bladym świetle głos męski recytował modlitwę o powszechne dobro, lecz głos matki przeczył mu, wyznając niewiarę, aby zbawienie ją także mogło objąć. Pierwsza kropla błota rozpaczy już do ludzi przyłgnęła.

W pewnej chwili, gdy o zmierzchu Żydzi krzatali się zmieniając pozycję, prostując zdrętwiałe nogi, szukając

w zaduchu tchnienia wyimaginowanego świeżego powietrza, oddzierając cenne kęsy z czerstwych bochenków chleba, które wielu zdołało dotychczas zachować, a w paru grupkach próbując nawet ugotować naprędce jakiś ciepły posiłek na maszynie spirytusowej - Himmelfarbowi wydało się, że poznaje w tłumie starego farbiarza, znajomego z lat dzieciennych; wyprostował grzbiet i oparty o skrzynię, która wpijała mu się między żebra, już otworzył usta, żeby przywołać, pozdrowić, przytrzymać za rozwiane poły wszystkie wspomnienia przeszłości i uchwycić się ich mocno, miłośnie. Ale uprzytomnił sobie, dotykając własnej skóry, że farbiarz musiał już dawno umrzeć, zapewne w spokoju, i może jemu właśnie przekazał w spadku szczególny obowiązek miłości dla swych dzieci zepchniętych w otchłań nędzy, obowiązek, który Mordechaj będzie musiał dźwigać, póki z kolei on też nie zostanie wyzwolony.

Spadkobierca siedział więc, rozważając obowiązki, które go czekają w przyszłości. Nagle jednak zagniewana kobieta, żona sklepikarza, oskarżyła starszego pana, i to na dobitkę wykształconego człowieka, że ukradł jej plasterek sera, który zdołała pochwycić, wychodząc z domu, i którym właśnie chciała się posilić. Kobieta wręcz wymyślała mu, dopóki nie spostrzegła swej cennej własności leżącej w brudzie na podłodze między nimi.

Starszy pan, profesor czy coś w tym rodzaju, uśmiechnął się, podając ser kobiecie. Ona jednak zachowała niechęć do człowieka, przez którego musiała się wstydzić.

Siedząc tak pośród skrzyń i tobołków, worków, książek, kiełbasy i naczyń kuchennych Himmelfarb przygarniał do serca dzieci farbiarza. Mimo że one wcale tego nie pragnęły. Kilkakrotnie, gdy spróbował rzeczywiście wejść pomiędzy ludzi, rozmawiali z nim chętnie, wyliczali szczegółowo swoje materialne krzywdy, ale mieszały się i milkli, gdy usiłował

poruszyć szczerze głębsze sprawy, bo podejrzewali go wówczas o zamach na nienaruszalne sekrety ich dusz. Większość miała przy sobie rodzinę lub przyjaciół. W tej mierze czuli się bezpieczni. Toteż nie byli gotowi dać mu tego, co chciał tylko sam im ofiarować.

I on więc, i oni siedzieli nadal w ciasnym baraku. Pewnego dnia zapędzono tu grupę Żydów z pobliskiego obozu. Zbici w gromadę, w szorstkich pasiakach, z ogolonymi głowami, zapadniętymi oczyma, wychudli jak szkielety, ludzie ci bez słowa dali do zrozumienia, że im już nie przystoi ani rozmawiać, ani nawet przestawać ze współplemieńcami; powszechnie się zgodzono, że są to wybrańcy cierpienia, którzy powinni być od reszty oddzieleni. Ale dawniejsi mieszkańcy baraku poczuli się bądź co bądź do wspólnoty losu i niekiedy głosy ich łączyły się w modlitwie:

Zechciej, Panie Boże nasz, Boże ojców naszych, zawieść nas na ścieżkę pokoju, kieruj w pokoju krokami naszymi, w pokoju nas umacniaj, prowadź nas przez życie w radości i pokoju do upragnionej przystani... Chór głosów żydowskich recytował modlitwę podrózną, bo też czekała ich naprawdę podróż, chociaż tym razem nie miała to być wycieczka do Gildesheim ani też odwiedziny u krewnych we Frankfurcie.

Niezrozumiały bełkot rozśmieszał dozorców.

Wiele dni przetrwali Żydzi w barakach stacji przetokowej opodal Holunderthal. Trudno im było wyobrazić sobie, że istnieją sprawy ważniejsze od ich własnej, chwilami jednak przypominało im się, że tam, na świecie, toczy się wojna: nocami na niebie zjawiały się ogniste znaki, które już przedtem widzieli, artyleria przeciwlotnicza nadal sypała swoje nieweselne konfetti na oblubienicę ciemności. Trzeciej nocy bomba trafiła w pociąg z amunicją i cała ziemia zatrzęsała się

w posadach. Kiedy baraki zatłoczone Żydami odzyskały zwykły kształt, gdy ucichły huki eksplozji, a rozszalałe syreny i gwizdki wyczerpały swą energię, więźniowie długo leżeli, oczekując gorszego jeszcze ataku, bezpośrednio przeciw nim skierowanego. Nie byli zdolni uwierzyć, że mogą istnieć inne jakieś cele dla bomb.

W końcu pewnego mroźnego poranka wyprowadzono ich z baraku. Odległy stukot młotka kującego zimną ciszę zabrzmiałby żałobnie, gdyby bliższy syk i szelest oraz rozpylona mgła uchodzącej pary nie stwarzały złudzenia ciepła. Ludzie krzatali się zajęci jakimiś zagadkowymi sprawami o tej niezwyklej porze przedświt. Kilku robotników, którzy przyszli objąć zmianę, przytupując i zabijając ręce pokrzykiwało na dozorców, przypominając im parę prostych brutalnych sposobów na więźniów - żeby czasem o tych chwytach nie zapomnieli. Lecz tym, którzy mieli bezpośrednio do czynienia z transportem Żydów i którzy dopiero co wyrwali się z ciepłych legowisk i oparów snu, nie potrzeba było dodatkowego bodźca, by rozjątrzyć ich urazy. Poganiając swą trzódkę ostrzami bagnetów, pozwalali sobie na lekkie, prowokacyjne dźgnięcia. Jeden z dozorców, bardziej chamski i bardziej zaspany od innych, wepchnął bagnet między pośladki grubego Żyda na tyle, żeby usłyszeć ryk przerażonej ofiary. Jakaś kobieta zawodziła głośno, że w baraku, który w poprzednich dniach stał się jej domem, zostawiła coś cennego. Oplakiwała gorzko rozstanie z nagimi deskami, które już się przeobraziły w jej wspomnienia, oraz stratę włóczkowej rękawiczki. Niektórzy jednak wśród podróżnych, przeważnie młodszy oraz pewien starszy pan, powszechnie uchodzący za profesora uniwersytetu, nie dali się onieśmielić surowości tego poranka. Cokolwiek miało się zdarzyć, zawsze było możliwe, że nie stanie się nic gorszego, niż przewidywali. Toteż wzrok

ich z nadzieją śledził nawet najmniej obiecujące widoki: długie czarne stonogi nieruchomych wagonów, krzywe sylwety dźwigów oraz wręcz rozległy krajobraz, w miarę jak światło wydobywało go z mgły. Ci szczęśliwsi od innych ludzie mogli przynajmniej chronić się w swoich wizjach, gdy tak stali, czując pod cienkimi podeszwami butów chrzęszczący szron, ściskając w ręku liche walizki, teczki lub owiązane sznurem tobołki. Czekali. Dreptali. Czekali. I znów dreptali naprzód. Wreszcie wzmożony nieco nacisk, dreszcz podniecenia i szepty przebiegające w tłumie pozwoliły się domyślić, że pierwsze szeregi już zaczynają wsiadać do pociągu. Wkrótce też okazało się, że jest to prawdziwy pociąg, nie bydlęce platformy, o których krążyły pogłoski, lecz przyzwoite wagony z przedziałami, oczywiście nie najnowsze - z wielu poręczy sterczało włosie - ale pociąg, zwykły, pociąg z korytarzami, z oknami, które z pewnym wysiłkiem można było otworzyć, z białymi pokrowcami na oparciach, niewątpliwie przybrudzonymi w miejscach, gdzie opierały się przedtem głowy innych pasażerów, ale pociąg, prawdziwy pociąg. Żydzi wsiadali więc ochoczo, a ten i ów ryzykował nawet żarty. W końcu korytarza nie brakowało nawet ustępów i nikt nie zgłaszał pretensji, gdy odkryto, że w umywalniach i klozetach nie ma wody. Żydzi czuli się i tak bardzo wdzięczni.

- Co to się stało? - pytali jedni drugich, jeszcze zdyszani, jeszcze skuleni, jeszcze ociekający potem w grubych zimowych ubraniach. Nikt nie myślał odpowiadać, wystarczało pytanie. W bladym rannym świetle oczy iskrzyły się przedziwnie, bo w tych ludziach, tak niedawno zagrożonych śmiercią, nagle znów rozbłysnął ogień.

Gdy pociąg z wolna ruszał i sprzęgła zahaczały uchwyty, ostre szarpnięcie rzuciło ludźmi, a pewna pani, której twarz jeszcze nie wróciła do formy pod woalką, poczęstowała

profesora swoją *Brötchen*, obłożoną cieniutkimi plasterkami kiełbasy; pani ta, tonem osoby dobrze poinformowanej, oznajmiła mu, że kurs polityki w stosunku do Żydów zmienił się zasadniczo. Z głową pochyloną i z miną wtajemniczonej twierdziła, że jest to wiadomość pewna, lecz nie miała ochoty wyjawiać, skąd ją zaczerpnęła, czy z czyichś miarodajnych ust, czy też z własnej intuicji. Nie pozostawało nic innego, jak uznać tę nowinę za wiarygodną, i nie stała się przez to mniej radosna. W przedziale zakipiało od rozmaitych domysłów, a pani podniosła woalkę, przygotowując się do kulturalnej rozmowy w wykwintnym towarzystwie. Profesor tymczasem chciwie żuł bułkę.

- Wszystko możliwe - szepnął, lecz dał do zrozumienia, że woli nie dyskutować szerzej na ten temat.

Jadł bowiem z rozkoszą i oczy wyłaziły mu z orbit jak psu, który dorwał się do ochłapów. Żuł swój przysmak nie zważając, że subtelne płatki kiełbasy cuchną, elegancka zaś bułeczka skamieniała ze starości.

W przedziale siedzieli oczywiście inni jeszcze pasażerowie. Prawdę mówiąc, przedział był mocno napchany. Znalazła się tam również matka z chorym dzieckiem, które ustawicznie robiło pod siebie, lecz bez odpowiednich lekarstw nic na to nie można było poradzić. Znalazł się też wdowiec w czarnym sztywnym kapeluszu, ojciec dwóch chłopców, którzy posiadali na spółkę drewnianego konia. Znalazła się para, młody mężczyzna i młoda kobieta, którzy od początku spleli ręce i za nic nie chcieli być rozłączeni, a już broń Boże nie przez śmierć. I jeszcze jakieś dwie osoby, tak niczym się nie wyróżniające, że Himmelfarb nigdy potem nie mógł odtworzyć w pamięci ich twarzy, chociaż starał się o to usilnie. Pociąg toczył się przez Niemcy czy może przez Europę.

Odrętwiały krajobraz roztajał tymczasem. Nagie gałęzie brzoź powiewały niby miękkie włosy zamiast kłuc stalowymi

biczami. Pola i lasy uwolniły się chwilowo z kleszczy zimy. Czarna woda płynęła między brudnymi podmuchami śniegu. Takie cudowne wyzwolenie. W jakimś podwórku gromadka chłopów stała, śmiejąc się, wokół kupy dymiącego nawozu. Dziewczynka blada jak kiełki rzeżuchy tańczyła na łące i nadstawiała fartuszek, ale co chciała w ten sposób schwycić, tego pewnie sama nie umiałaby powiedzieć.

Pociąg wpełzał coraz dalej w głąb Europy, a pani, która częstowała profesora bułką, nawijała pasemka włosów na obciążony czarną rękawiczką palec. Włosy były jaskrawo-rude. Pani łaskawie oznajmiła, że pochodzi z Czerniowiec i posiada dziedziczny majątek oraz indywidualny talent. Niestety, okoliczności zmusiły ją do przeniesienia się z widowni tyłu sukcesów do Niemiec Północnych.

Mali chłopcy, trzymając między sobą malowanego konia, spojrzeli ciekawie.

- *Na, ja* - westchnął ojciec w czarnym, sztywnym kapeluszu.

Miał dolną wargę długą, obwisłą i sceptyczną.

Krajobraz za oknem zmieniał się. Niebo nie ukazywało się w pełni swej chwały, lecz przeświecało zza rozdartych chmur. Ale dość było tego nieba dla Himmelfarba, który za okularami przymknął oczy - nie ze znużenia, lecz raczej z dosytu. Po dniach ciemności zbyt wiele i zbyt prędko zostało mu objawione. Czuł się nasycony.

Drzemał, budził się i znów zasypiał, a pociąg kołysał go i pachniał tak samo jak wszystkie inne pociągi. Chore niemowlę spało; matka zdołała jakoś je umyć.

- Tak, to zmiana polityki - twierdziła pani z Czerniowiec, powracając z klozetu, gdzie nie było wody.

Rozmawiała z pewnym rabinem z Magdeburga i on ją przekonał. Ten pociąg wiozł pierwszy transport Żydów do Europy Wschodniej. W przyszłości wszyscy Żydzi z Europy

Środkowej będą mieli możliwość wyjazdu do Bukaresztu, a stamtąd dostaną się do Stambułu i popłyną do Palestyny. Państwa neutralne interweniowały w ich sprawie. Toteż ilekroć pociąg zatrzymywał się, słychać było śmiechy, pieśni i radosny gwar wzdłuż korytarza tak zapchanego ciałami ludzkimi i pakunkami, że jedynie radość mogła poruszyć zbitą masę.

Pani z Czerniowiec promieniowała dobrą nowiną, a bezimienne dusze chwaliły Boga. Tylko skostniały ojciec dwóch chłopców wprawdzie patrzył przed siebie i oddychał, lecz nie brał w niczym udziału.

Zmierzch szarym pyłem posypał biały puder na twarzy pani z Czerniowiec; kobieta mniej niż ona niezmordowana w swej tajemniczości wyglądałaby po prostu brudno. Ona jednak skwapliwie skorzystała z szarej godziny. Przetarła policzki kremem z małego słoika i zanuciła - w środkowym rejestrze - parę taktów pieśni o gwieździe wieczornej.

Wyjaśniła, że głos jej kształcili najlepsi wiedeńscy mistrzowie. W Konstancy chwalono ją po występie w *Wolnym strzelcu*, w Grazu, gdy w operetce śpiewała w *Zemście nietoperza*. Cóż za sukces. Ostatnio zgodziła się przyjąć parę uczennic, ale tylko parę, i to wybranych. Towarzyszyła pewnej młodej księżniczce w podróży do Bied i spędziła tam miłe wakacje, bawiła się i poznawała świat. Ileż wdzięku i dystynkcji miała księżniczka Elena Ghika. Jakże smakował tort kasztanowy nad jeziorem w Bied!

Młodszy z dwóch chłopców zaczął płakać. Nigdy w życiu nie czuł większej pustki w brzuchu.

Natomiast krajobraz się wypełniał. Ciemność sączyła się dolinami, krzepła w rozpadlinach górskich. Jej czarna, lepka masa lgnęła do szyb w oknach wagonu.

Nocą było niewątpliwie smutniej.

Tej nocy ktoś w pociągu umarł i wywleczono jego ciało w jakimś miasteczku, któremu był zupełnie obcy. Współpo-drożnym mignęły jego znikające pięty, szarpnięte ostro. Śmierć podrażniła dozorców, zwłaszcza że znów ścisnął mróz i metalowe pięty trupa zawadziły w przelocie o inne metalowe przedmioty. W ciągu dalszej podróży, ale już za dnia, umierali inni i zostawali w przedziałach w tej pozie, w jakiej wyzionęli ducha.

- Czyżby rząd, zmieniając politykę w stosunku do Żydów, zapomniał o zmarłych? - spytała matka, której chore dziecko śmierdziało teraz okropnie.

Ale pani z Czerniowiec odwróciła twarz. Z zasady nie przyjmowała do wiadomości uwag z ust ordynarnych osób. Nie mogła przecież odpowiadać za przeoczenia władz. Uwielbiała muzykę i konwersację, wszystko inne nudziło ją, czego wcale nie tała. Cera jej rzeczywiście zdradzała zmęczenie.

- A zresztą może lepiej umrzeć? - zastanawiała się matka chorego dziecka.

- Umrzeć! - zawołała pani z Czerniowiec, ze śmiechem zwracając się nie do tej dość ordynarnej kobiety, która wspomniała o śmierci, i nawet nie do całego grona zebranego w przedziale, lecz do abstrakcyjnego ideału wytwornych przyjaciół: - Ach, tak! Umrzeć! Gdybym się nie obawiała, że pociągnie to za sobą *des ennuis e'normes*¹, zażyłabym zapewne moją bezcenną maleńką dawkę cyjanku. Ach, tak! Dawno, dawno byłabym to zrobiła! Bo muszę się przyznać, że nigdy się z moim cyjankiem nie rozstaję ani na chwilę.

Zerknęła w głąb upudrowanego dekoltu. Dotknęła ręką piersi. I roześmiała się czy raczej zmusiła do udanej wesołości swoją śmiertelnie smutną twarz. Coraz bardziej zapadała się w sobie.

Ogromne kłopoty (fr.).

Ból, kołysanie pociągu, pytania. Bo znów zaczęli sobie nawzajem zadawać pytania. Dlaczego ten pociąg? Taki pociąg? Dlaczego nie bydłące wagony?

Aż w końcu ojciec w sztywnym kapeluszu, nie mogąc tego ścierpieć dłużej, krzyknął:

- Czyż nie rozumiecie?! Nie mieli innych wagonów. Bombardowanie zniszczyło bydłące platformy. A tu im się zgromadziło tylu Żydów. Nie mieli innego wyjścia.

Rozwiązanie zagadki nie zawsze jest pociechą. Ach, gdyby mogli otworzyć jakieś drzwi, znaleźć za nimi prawdę.

Może ją znalazła para zakochanych, bo twarze ich były jak skrytki zawierające skuteczny lek; tylko że tym lekiem mogli jedynie siebie nawzajem ratować.

Znalazł coś także profesor, który wycofał się daleko, tam gdzie nikt inny nie mógł za nim podążyć. Himmelfarb, czując się winowajcą, wracał od czasu do czasu, aby obserwować, jak twarze ludzi, których szczerze kochał, gorzknieją coraz bardziej, jak w nich może już wzbiera nienawiść, bo taka jest natura ludzka.

Pociąg wiozący Żydów toczył się przez Europę. Minuty wgrzyzały się w kiszki głodnych, ale godziny ostatecznie napełniły je twardą pustką.

Razem z okruchami stęchłego chleba okruchy godności sypały się na podłogę wokół ich stóp.

Raz i drugi zdarzył się nalot. Pociąg stał w ciemnościach wśród spokojnych pól. W zaciemnionych, rozbrzmiewających echem pudłach wagonów wielu ludzi nie trudziło się nawet padaniem na podłogę, jak gdyby już nic gorszego nie mogło ich spotkać. Wygarbowali sobie skórę o starty do osnowy plusz i brudne pokrowce na oparciach kanap - ostatnie pamiątki po Europie Środkowej.

Pociąg minął jakąś widocznie ważną stację węzłową z jej splotem srebrzystych śliskich szyn, zwolnił biegu, przycichał,

wyraźnie zdążał do określonego celu i w końcu pewnego ranka zatrzymał się bardzo łagodnie wśród ciemniejszej, wilgotnej zieleni, pod bledszym niebem, na schludnej bocznej stacyjce wybrukowanej iskrzącymi się kamiennymi płytami, na stacyjce, która mogłaby się wydać butna w połysku świeżej farby, gdyby nie tchnęła tak wielkim spokojem. Po obu stronach ściana lasu mieniła się od zieleni do czerni. Stacyjka, jak głosił napis, nazywała się Friedensdorf.

- Bez wątpienia zajechali do Polski - twierdziła pani z Czerniowiec, bo na stacji węzłowej dosłyszała kilka zdań w języku polskim, którego kiedyś liznęła trochę dla zabawy czy może dla gimnastyki umysłu, jak dawała do zrozumienia.

Pociąg stał nadal w mokrym od deszczu lesie na boczniccy w Friedensdorfie. Usłyszeli głosy Niemców. Drzwi wagonów otwały się z trzaskiem. Buty zgrzytały na kamiennych płytach, w powietrzu krzyżowały się rozkazy.

- Witajcie! Witajcie! - rozległ się urzędowy głos spotęgowany przez głośnik, chociaż jednocześnie głuchy. - Witajcie w Friedensdorfie! Była nawet muzyka. Wieże muzyki wyrosły ponad stożki świerków. Zawrotne walce wirowały gładko na płytach albo też niewidzialne zespoły ludowe wybijały takt tańca na drewnianej estradzie i w ten sposób w wielu naiwnych sercach posiane zostało ziarenko ufności. Niejeden z pasażerów gotów był uwierzyć, jak między innymi pani z Czerniowiec, że przywieziono ich do jakiegoś obozu przejściowego dla Żydów objętych zorganizowaną emigracją do Ziemi Obiecanej. Tutaj odżywią się i odpoczną, czekając na pociągi, które po nich nadjadą z zagranicy.

Jakkolwiek było naprawdę, wkrótce pasażerom kazano wysiąść z pociągu i znów znalazły się płochliwe dusze, które żałowały tego schronienia w obdrapanych wagonach, jak przedtem lamentowały, opuszczając baraki na stacji

przetokowej. Nic jednak nie pomogło, wszyscy zgromadzili się na peronie w wilgotnym powietrzu pod gołym niebem, ogarnięci zapachem igieł sosnowych, wonią, której fale nawet w szczęśliwych chwilach spychały swoje ofiary na dno bolesnej nostalgii. Było już widoczne, że wiele starszych osób, osłabionych przez głód i niewygody podróży, nie zniesie dłużej trudów, toteż ich najbliżsi sąsiedzi czuwali, by podtrzymać upadających. Nie mówiąc już o chorych i małych dzieciach. Sądząc z wyrazu ich twarzy, dzieci podobne do świeżo wyklutych piskląt wspomniały sobie doświadczenia poprzedniego życia. W przeciwieństwie do ludzi dorosłych, którzy zdążyli zapomnieć, dzieci korzystały z wątpliwego przywileju intuicji, toteż wiele z nich zachowywało się tak, jakby podejrzewały, że skorupa żółtego nawozu, okrywająca ziemię, bardziej jeszcze stwardnieje.

Dorośli starali się pocieszać te nerwowe dzieci. Pocieszali je także dozorczy. Byli wśród nich dobroduszni ludzie. Himmelfarb zapamiętał chłopskie dowcipy, wymieniane na polanach leśnych i na wiejskiej drodze z Niemcami o uczciwych twarzach. Głosy ich brzmiały z całą szorstką surowością ziemi i jabłek. Gdy ustawiali nowo przybyłych na peronie, zęby ich lśniły bielą rozłamanego jabłka, z ust płynęła patoka perswazji. Oczywiście zdarzały się także przejawy bestialstwa. Bestia zawsze się czai, gotowa do napaści, w ciężkich butach, ze zjeżonym włosiem, z genitaliami rozpychającymi opięte sukno munduru. Niektórzy dozorczy swoim zachowaniem przypominali pasażerom pociągu przypadki, o których woleliby nie pamiętać.

Wkrótce wszyscy byli gotowi do wymarszu i pomaszerowali, chociaż najskwapliwiej parły naprzód ostatnie szeregi. Gromada szła pod głośnikami grzmiącymi muzyką wśród mokrych pięknych sosen. Mógłby to być widok nędzny i żałosny. Bo na przekór wysiłkom władzy, na

przekór

barytonowi, który z żelaznej wieży nakłaniał goszczonych w Friedensdorfie podróżnych do porządku i czystości, pochód rozpląwał się bezkształtnie. Ale to szli chorzy, starcy, nietykalni Żydzi. Stare kobiety okraciem na plecach synów, ze sterczącymi chudymi nogami w opadających pończochach; dziadkowie wlokący za sobą tałesy i zapach starości; zrozpaczeni mężowie, osłaniający w ścisłości brzuchy swoich żon; zamożni mieszczaństwo z teczkami, w jednakowych kapeluszach. Tak przybyli na miejsce i zamknęła się za nimi obronna brama. Zapadła w koło siatka brzęczącego, błyszczącego drutu.

- Ach, patrzcie, państwo. Rozdarłam woalkę.

Pani z Czerniowiec była bliska płaczu, ale dotknąwszy czarną skórzaną rękawiczką ramienia profesora, opanowała się szybko.

- Jestem pewna - powiedziała - że podczas krótkiego pobytu będziemy tutaj traktowani z należnymi względami. I w dobrym zdrowiu dotrzemy do Konstancy. A może wprost do Stambułu. Wracając do naszej poprzedniej rozmowy, profesorze, muszę panu powiedzieć, że spacer w lasach Bukowiny były cudowne. Zbieraliśmy poziomki, a jedliśmy je posypane miłym cukrem i podlane młodą śmietaną.

Mocno sponiewierana, z twarzą sinawą pod ostatnimi śladami pudru, pani z Czerniowiec umiała jeszcze błysnąć oczyma z zauczernionych rzęs.

Może pod wpływem muzyki. Muzyka ją podniecała, jak się zdaje, bardziej niż innych, a właśnie ktoś nastawił płytę z jakąś melodią Lehara i strzępki walca sfruwały z żelaznej wieży.

- *Achtung! Achtung!* - przerwał muzykę urzędowy głos, dość ciepły baryton. - Wszyscy nowo przybyli mają się udać do łaźni. Mężczyźni w lewo, kobiety w prawo. Wszyscy się **Wykapiają**. Kapiel. Mężczyźni w lewo. Żeby zapewnić wzorową

czystość, pasażerowie będą poddani przepisowej dezynfekcji. Kobiety w prawo.

W rozedrganym od fałszywej odwilży powietrzu rozłączani ludzie podnieśli krzyk. Urzędowy głos skarcił ten brak rozsądku. Ale czyż każdego z nich po wielekroć już nie oszukał rozsądek? Ciała nierozsądne przywierały do siebie wzajem w ostatniej, przedłużonej próbie zespolenia się w jedno. Niektóre trzeba było rozdzielać przemocą, zaciśnięte kurczowo ręce unosiły w rozłakę strzępy ubrań i pasma włosów.

- Profesorze, czy myśli pan, że każą nam się rozbierać publicznie? - załkła pani z Czerniowiec.

- Nie wstydzmy się naszej nagości - poradził Himmelfarb. Ale pani z Czerniowiec nagle zaczęła krzyczeć:

- Nie zniosę tego! Nie zniosę! Och, nie! Nie! Nie!

- Będę się modlił! - zawołał za nią. - Za nas wszystkich! Ręce zwisały mu bezradnie w pustce.

Pani z Czerniowiec nie usłyszała już tego męskiego głosu, usiłującego zapanować nad sytuacją, która nawet dla proroków byłaby może za ciężką próbą; panią z Czerniowiec pochwycono bowiem szybko i wepchnięto do budynku łaźni, aby jej histeria nie zaraziła innych, uległych, bardziej tępych, zimniejszej krwi. W ostatniej chwili, gdy Himmelfarb patrzył na towarzyszkę podróży, była już tylko czarnym bezradnym kłębkim rozdzieranych szmat.

Bo mężczyzn odepchnięto wstecz twardym ramieniem, a nawet niekiedy nagą stają. Zrozumieli, że nigdy już się z sobą nie spotkają, i na tę myśl kilka kobiet zaczęło krzyczeć, a jeden z młodych mężczyzn w przypiływie tkliwych wspomnień zawył chrapliwie, dławiąc się niemal własnym językiem.

- *Achtung! Achtung!* - odezwał się urzędowy głos, zapowiadając informację lub pouczenie. - Po rozebraniu się

goście proszeni są o powieszenie swych ubrań na ponumerowanych hakach i porządne złożenie innych przedmiotów na ławeczce pod ubraniem. Wszystko otrzymają z powrotem po... W tym momencie mechanizm się zaciął.

- *Achtung! Acht...* Na numerowanych hakach... Otrzymają z powro...
Ppp... ppp...

Himmelfarb, wtłoczony przez drzwi do męskiej łaźni, oddał się w ręce Boga. Własne jego ręce rozsupływały krawat. Dokoła większość mężczyzn wdrożonych do dyscypliny w kraju, w którym się urodzili lub który wybrali na swą ojczyznę, instynktownie spełniała rozkaz. Jakiś duży, tęgi człowiek tak się poddał hipnotycznemu bezwładowi, że ściągnął już koszulę przez głowę. Himmelfarb na razie tylko przyglądał się okropnym sennym ruchom sąsiadów.

„W ręce twoje, Panie” - szeptały znów jego wargi.

I wtedy stało się coś niespodziewanego.

Przeciskając się przez zbitą masę ciał, szedł jeden z dozorców, duży, zdrowy, łagodny, jasnowłosy chłopak, i z jakimś leniwym, powolnym namysłem wybierał to tu, to tam człowieka.

- Ty się nie rozbieraj - powiedział do Himmelfarba. - Zgłosisz się do mnie przed budynkiem, dostaniesz funkcję w obozie.

Wyglądało to na kaprys, że dozorca wybrał tego starszego człowieka, ale może były po temu jakieś oficjalne przyczyny. Himmelfarb niewątpliwie wyglądał jeszcze wtedy okazale. Dorównywał dozorczy wzrostem i szerokością pleców, lecz wzrokiem sięgał głębiej niż ten zwierzchnik, który pod jego spojrzeniem zamrugał szybko niebieskimi, płytkimi oczyma. Możliwe więc, że wspaniale rozwinięty fizycznie młodzieniec w głębi duszy świadomie wybrał tego, w kim przeczuwał duchową wyższość. A może nic o tym nie wiedząc, posłuchał jakiegoś nakazu z góry.

Kilku innych Żydów, młodszych i starszych, lepiej lub gorzej zbudowanych, w osłupieniu poszło za dozorcą.

Przed łaźnią piaszczysty dziedziniec przerażał względną pustką, a także chłodem, bo mgła spływając z drzew wciskała się między warstwy przepoconej odzieży. Wybrańcy stanęli w koło, dygocąc z niepokoju w klatkach żeber.

Teraz dopiero spostrzegli, że prócz nich gromadka ludzi w rozmaitych ubraniach, lecz niewątpliwie wszyscy z klasy niewolników, zebrała się jak gdyby w luźny oddział.

Jeden z nich odezwał się do stojącego najbliżej Himmelfarba:

- Kobiety już za chwilę wejdą - poinformował niepewną, kulawą Niemczyzną. - Kobiety zwykle idą pierwsze.

Trudno było rozpoznać, do jakiej należał rasy. Mógł być czarnowłosym Słowianinem, może Polakiem albo też synem jakiegoś śródziemnomorskiego szczepu, w każdym razie miał w żyłach krew pośledniego gatunku.

- Wejdą? - spytał Himmelfarb. - Co to znaczy? Dokąd?

- Do gazu - wyjaśnił tamten grzecznym, przyjaznym tonem.

Niesamowitym zarazem Himmelfarbowi przypomniał się pewien kolega, który umarł na raka gardła.

- Tak - szepnął mu nowy przyjaciel. - Wkrótce puszcza gaz. A potem będziemy musieli zawlec trupy do dołów.

Mówił o tym jak o porządku prac przy zniwach, nie jak o regulaminie piekła.

W tym momencie jakimś okrutnym przypadkiem drzwi od łaźni kobiecej otworzyły się nagle i na zawsze pamiętne widmo pani z Czerniowiec, chwiejąc się na nogach, stanęło w progu.

Stary bezradny Żyd, w dodatku intelektualista, jej przyjaciel, wyciągnął ku niej rękę.

- Boże, pokaż, co możesz! - krzyknęła pani z Czerniowiec. - Ten jeden jedyny raz! Chociaż raz!

Przeciągłym, ochrypłym głosem.

Stała przez chwilę w otwartych drzwiach i pewnie by upadła, gdyby jej pozwolono zatrzymać się dłużej. Czaszka, przedtem okryta rudymi włosami, jeżyła się siwą szczecina. Jedna pierś zwisała, po drugiej została tylko stara blizna. Brzuch zapadał się nad wzniesieniem łona. Uda bardziej jeszcze niż reszta ciała wynędzniały. Ale głosu jej nie można było zapomnieć. Ten nagi głos wołał do niego z pomroki dziejów, odwieczny, nie milknący nigdy.

Wówczas mężczyzna nagle osłabł i runął na kolana, rozdzierając je z furją, świadomie o żwir, i z drugiego brzegu tej samej otchłani krzyknął do swej przyjaciółki, dobywając słowa spomiędzy zdrewniałych warg. - Imię! Pamiętaj, nie mogą nam odebrać Imienia! Choćby nas ze skóry odarli, Imię nas okryje. Zbawi. Nareszcie!

Zdażył to krzyknąć, nim ją wciągnięto z powrotem do wnętrza łaźni. Czuł, że spada, że spada w dół jego ludzka powłoka. Kiedy policzkiem dotknął kamieni, tysiące ust owiało go swoim tchem, napełniając jego ciało substancją, której nie umiał nazwać.

Gdy Himmelfarb zdołał znów dźwignąć głowę, zrozumiał, że po raz drugi w życiu zemdłał albo też Bóg miłosiernie wyrwał go z łupiny ciała. Był już wieczór, i to bardzo dziwny wieczór. Przedmioty, które poprzednio wydawały się najsolidniejsze - na przykład nowy budynek łaźni i żelazne wieże - rozplynęły się częściowo we mgle. Porządnie rozplanowane osiedle, które poznał jako Friedensdorf, spowijała krwawa luna czy aura, jak poczwarę osnutą tajemniczym, nadprzyrodzonym kokonem. Jakieś sylwetki, w których, choć nie widział wyraźnie, domyślał się postaci ludzkich, przebiegały jakby z jakimś transcendentnym posłannictwem na tle łuny, teraz już nie tak szkarłatnej, lecz

rozpływającej się w kolor pomarańczowy, a na brzegach w błękit. Nagle i żywo stanął mu w pamięci wydłużony, niebieskoszary, nieruchomy słupek popiołu na końcu drogiego cygara, które gdzieś kiedyś wypalił. Widział siebie, jak odkłada niedopałek cygara w pomarańczowym blasku małej lampy w orientalnym stylu. I wtedy oczywiście przypomniał mu się jego przyjaciel, Konrad Stauffer. Z wolna odzyskiwał zmysły.

Rzeczywistość nagle wtargnęła do świadomości leżącego na ziemi człowieka. Wszystko, co przed chwilą było kojąc niematerialne, stało się boleśnie konkretne. Na lewej dłoni otwarła się rana. Granatowoczarne kłęby dymu gryzły w oczy i wdzierały się do nozdrzy. Wkoło krzyczeli ludzie. Himmelfarb czuł tchnienie pomarańczowych płomieni, a pod sobą drgawki ziemi wstrząsanej wybuchami. Kule świstały w powietrzu, ale z rzadka. Nad wszystkim panował ogień. Friedensdorf płonął.

W tej właśnie chwili Himmelfarb spostrzegł, że zgubił okulary. Wydało mu się to katastrofą groźniejszą niż pożar. Zrozpaczony zaczął szukać po omacku wkoło siebie, dotykając kamieni, kawałka gorącego metalu, kałuży lepkiej cieczy, gałęzi, znów kamieni, czołgając się w bezowocnej wędrówce po tym skrawku świata, który miał pozostać dla niego pustynią.

Czołgał się, szukał wytrwale.

Czasem podnosił wzrok na pomarańczową lunę, która teraz jak gdyby ogarnęła już wszystko. Gdzieś od lewej strony karabin maszynowy pluł ogniem. Z jego własnych ust oddech dobywał się ognistym płomieniem. Himmelfarb łkał, sapał, szukał. Aby odzyskać błogosławiony kształt wszelkiej rzeczy.

Przeszukał już teren w koło tak szeroko, że nie mógł mi dłużej nadziei. Mimo to ręce, byle czymś się zająć, macały

wciąż jeszcze nawet wtedy, gdy Himmelfarb zawędrował daleko od miejsca swego upadku. Dotknął drutu. Rozdarł dłoń na jego kolcach. Dotknął wiszącej na nich bawełnianej szmaty. Dotknął powietrza. Tuż za szmatą czy może flagą trafił rękami na pustkę. Nie była to wprawdzie szeroka brama triumfalna, lecz mały, najeżony kolcami otwór w otaczającym obóz drucie. Po prostu ktoś przeciął druty.

Żyd schylił głowę i wyszedł, wciąż na klęczkach, poza ogrodzenie. Włókł się na kolanach dokądkolwiek, a może tam, dokąd jak mu się wydawało, powinien dążyć. Jak kaleka pełznął przez kamienie na krwawiących kolanach. Wiedział, że trzeba dźwignąć się na nogi, ale nienaturalna poza była chwilowo najbardziej naturalna dla jego zdrętwiałych nóg, a co ważniejsze, przypuszczał, że jeszcze nie przekroczył granicy dzielącej piekło od życia. W pewnym momencie kolczasty drut wpił się w jego czoło, a Himmelfarb, wyciągając przed siebie ręce, nie dziwił się, gdy zranił je boleśnie o nowe druty. Była to oczywiście zewnętrzna linia ogrodzenia.

Mógłby tutaj zostać, zadowolając się tym, że prześladowcy nic o nim nie wiedzą, ale czując, że go ogarnia letarg, odruchowo wyciągnął rękę w poszukiwaniu oparcia, żeby się nie przewrócić. I po raz drugi dotknął miękkiego, nie opierającego się wcale powietrza. Ta miękkość pobudziła go do gwałtu. Wyrwał się z opłotów drutu, rozdzierając na strzępy ciało, oddech, ubranie. W końcu jednak był wolny i przesunął się przez wąski, wąziusiński otwór, zrobiony przez ludzi, którzy wycięli sobie przejście poza drugą zaporę drutów.

Powietrze, które owiało teraz jego spocone, zakrwawione czoło, kłuło chłodem. Na jego spotkanie zbliżały się jakieś sylwetki, może ludzie, a może drzewa, nie miał siły zastanawiać się nad tym, póki wreszcie nie dotknął kory.

Dźwignął się na nogi. Wlókł się przez las od jednego do drugiego przyjaznego pnia. Mokre igły lgnęły mu do skóry, ich zapach przenikał z labiryntu drzew do labiryntu jego mózgu, aż wreszcie Himmelfarb był prawie pijany wolnością.

Szedł dalej i byłby tak wędrował bez końca, gdyby nie otoczył go w pewnej chwili las rzadszy, zaludniony dziewiczymi sylwetkami - zapewne młodych brzoź - o korze tak gładkiej i czystej, że upadł pod nimi z płaczem, twarzą do wilgotnej ziemi.

W jakiś czas potem zjawili się ludzie. Jakiegokolwiek byliby rasy, jakiegokolwiek poglądów, Himmelfarb nie mógłby się poruszyć. Otoczyli go w krąg. Coś mówili. „Polacy” - pomyślał resztką świadomości. Nasłuchiwał ich milczenia, ich oddechów, kiedy go nieśli przez nie kończący się las.

Wreszcie owiał go zaduch chlewu i trawy, a potem ułożono go na piecu w jakiejś chałupie. Marzył, żeby tu zostać w ciepłe i ciemnościach. Leżał oparty głową o jakiś twardy kłoc, ale chwilami spoczywał na łonie Stwórcy. Przyszły kobiety i opatrzyły jego rany. Przynosiły mu zupę. Cienką i wodnistą. Parującą zapachem kapusty. Czasem w zupie pływały kluski i wtedy trudniej było ją przełknąć.

Trzeciego dnia wedle jego rachuby sprowadzono do niego człowieka o młodzieńczym głósie, który zagadnął go po niemiecku i powiedział mu wszystko, co chłopci tutejsi wiedzieli o niedawnych wydarzeniach we Friedensdorf. Polak opowiedział, że więźniowie, których Niemcy zachowali od śmierci, aby ich użyć do opróżniania komór gazowych z trupów i do różnych robót w obozie, zmówili się i zbuntowali. Przez długie tygodnie zbierali i chowali broń oraz amunicję i dopiero w dniu przybycia ostatniego transportu Żydów spiskowcy poczuli się dość silni, by rozpocząć akcję. Niewolnicy powstali, zabili komendanta i kilku dozorców, wysadzili w powietrze zbiornik paliwa, podpalili część bu

dynków, poprzecinali druty i zbiegli, żeby się przyłączyć do partyzantów. - A co się stało z resztą Żydów? - ośmielił się zapytać Himmelfarb. Polak przypuszczał, że większość zginęła, niektórzy w komorach gazowych, inni w ogniu, który strawił Friedensdorf. - Pan miał szczęście - powiedział.

Himmelfarb później ustawicznie rozpamiętywał etapy swojego ocalenia, lecz nigdy nie mógł sobie wyjaśnić, na czym polegała jego cudowność. Gdy odpoczął i odzyskał siły, przebrali go i poprowadzili za rękę. Na pół ślepy człowiek w chłopskim przebraniu nie mógł zliczyć, ilu rąk dotykał w swojej wędrówce na wschód. Poruszał się wciąż w zacierającej wszystko, może miłosiernej mgle, poznał zapachy mokrej trawy, ciepłego siana, tartej brukwi, oddechu krów. Przywykł do głosów, których mowy nie rozumiał, chyba gdy towarzyszyły jej gesty lub gdy wyrażała uczucia w pieśniach. Przekonał się, że istnieje wiele różnych najzwyczajniejszych głosów, których dotychczas nigdy nie słyszał, i stwierdził, że przenika nieprzeczuwane pokłady ciszy. Nade wszystko nauczył się rozpoznawać stan całkowitego zawieszenia, w którym ludzie podobnie jak zwierzęta czekają na oddalenie się niebezpieczeństwa.

Dopiero w Stambule profesor Himmelfarb odzyskał wzrok i coś niecoś z własnej tożsamości. Jakże migotała woda, jak drżały liście na drzewach! Gdy spojrział na świat przez nowiutkie okulary, musiał spuścić oczy, zawstydzony, że przyjmuje tak hojne dary.

Postanowiono wówczas, że Himmelfarb w przeciwieństwie do wielu innych otrzyma pozwolenie na wyjazd do Kraju, chociaż w braku jakichś nieodpartych znaków lub

sankcji on sam w głębi sumienia nadal wątpił, czy jes tego godny. Toteż niechętnie podnosił głos do wtóru z innymi pasażerami nieco zardzewiałego frachtowca, który niósł ich wzdłuż brzegów Turcji. Młodzi Żydzi siedzący na pokładzie, spleceni z sobą ramionami, śpiewali. Ta młodzież - krępi, bujni owłosieni chłopcy i dziewczęta o oliwkowej cerze - wyhodowana na wstydlivych śmietnikach Europy, zbliżała się ku swemu lepszemu przeznaczeniu. Żydzi nareszcie wracali do ojczyzny. Tam rozpoznają kamienie, których nigdy nie wi dzieli, a każdy kamień będzie ich własnością.

Lecz trzymający się nieco na uboczu starszy pan - podobno profesor - nie brał w tym, jak się zdawało, udziału. Przechadzał się po pokładzie, często z wahaniem zawracał z drogi, stąpał ostrożnie, może jeszcze niezupełnie przyzwyczajony do trochę zbyt modnych, dopiero co otrzymanych[^] używanych butów. Ogromna przepaść lat dzieliła oczy wiście tego zamyślonego człowieka od młodszych, weselą cych się Żydów. Czasem ktoś z młodych odzywał się do niego, zapraszał do uczestnictwa we wspólnym upojeniu i szczęściu, a nawet próbował go zaczepić niewinnym, przyjaznym żartem. Wkrótce jednak młodzi dali za wygraną; odwracali od niego oczy, pogryzając fistaszki wydobywane z małych torebek, w które między innymi darami zaopatrzyły ich miłosierne Żydówki w stambulskim porcie. Kołysali się w błogim spokoju. A potem znów zaczynali śpiewać, zrazu ledwie mrucząc, z wolna wpadając w zapał.

Kilku starszych Żydów próbowało upomnieć się o swój udział w radości i przyłączyć do chóru, lecz okazało się, że nie mają do tego nastroju.

Morskie powietrze zabarwiło ich twarze nowym, niewątpliwie zdrowszym kolorytem, oczy im błyszcząły z estetycznego zadowolenia, gdy obserwowali deseń kruchych, drobnych fal, powtarzający się bez końca na

tych klasycznych morzach. Ale na wielu starszych twarzach uśmiechy zamierały w pół drogi, jak gdyby utknąwszy na wystającym zębie, złotym znaku milowym. Zdarzało się, że ktoś musiał zasłaniać usta chusteczką, żeby radość nie wymknęła się spod kontroli i nie wyraziła głosem, w którym by inni jej nie rozpoznali. Bądź co bądź nikt tutaj nie był zbyt oswojony z radością. Nabywali tę nową i trudną do opanowania emocję razem z nowymi ubraniami, w wielu przypadkach źle dopasowanymi, ofiarowanymi przez organizację w Stambule.

Lud wybrany, stojąc lub siedząc na pokładach czy też oparty o burłę, patrzył na nieprawdopodobne morze. A profesor Himmelfarb przechadzał się lub przystawał między współpasażerami, którzy w końcu przestali na niego zwracać uwagę. Komitet pomocy zadał sobie zdumiewająco dużo trudu, żeby zadowolić wedle swego najlepszego rozumienia uczucia i gust niemłodego, kulturalnego uchodźcy, którego zapewne wchłonie życie akademickie na uniwersytecie w Jerozolimie. Wyposażono go w ubrania mniej więcej takie same, jakie prawdopodobnie zwykle dawniej nosił. Na przykład palto, europejskiego kroju i z europejskiego materiału, należało pierwotnie do pewnego doktora filozofii z uniwersytetu w Yale. Gdy obecny jego właściciel przechadzał się po rojnym pokładzie w podmuchach morskiej bryzy, gdy ciemne, obszerne, a mimo to w jakiś sposób uciskające palto przylepiało się niezgrabnie do jego boków, nikt nie myślał kwestionować praw dystyngowanego starszego pana do tego okrycia. Nikt prócz samego Himmelfarba.

W ośrodku dla uchodźców długo stał z tym paltem na ręku, aż wreszcie zaniepokoiło to Żydówkę kierującą rozdziałem odzieży.

- Nie podoba się panu profesorowi to piękne nowe palto? ~ zapytała.

Miała meszek na górnej wardze, zegarek nosiła na prak tycznym rzemyku i pracowała przedtem w ochronce dla dzieci.

- Owszem - odpowiedział. - Bardzo mi się podoba. Ale stał dalej bez ruchu.

- Może więc weźmie pan swoje palto i siądzie z innymi przy stole - zaproponowała grzecznie. - Pani Saltiel będzie rozdawała słodycze na drogę. Potem wypijemy sobie po filiżance kawy.

Stanowczym gestem dotknęła jego rękawa.

- Wydaje mi się niesłuszne - rzekł - żebym przyjmował dary, które mi się jeszcze nie należą.

- Oczywiście, że się panu należą! - stwierdziła energicznie opiekunka; miała pełne ręce roboty, a poza tym, mimo przeszkolenia, łatwo się niecierpliwiła. - Naszym obowiązkiem jest wynagrodzenie krzywd ludziom, którzy tyle wycierpieli - tłumaczyła, próbując łagodnej perswazji.

- Nie, to ja muszę wynagrodzić krzywdy - powiedział jej uparty podopieczny. - Boję się, abyśmy za łatwo nie zapomnieli, że przynależność do narodu nie zwalnia od osobistych zobowiązań.

Ale opiekunka już go popychała w stronę stołów, przy których inni Żydzi oczekiwali na następne dary.

- Na pańskim miejscu wzięłabym palto i nie myślałabym już o tym więcej - powiedziała.

Zanadto była zmęczona, żeby szanować subtelne skrupuły. Na włoskach jej wąsików perliły się wyraźnie drobne kro pelki potu.

Himmelfarb wziął więc piękne palto i niósł je niezdarnie przewieszzone przez ramię, póki ktoś nie zwrócił mu uwagi, że zamiata nim kurz z podłogi.

W takim też opornym usposobieniu zajechał czy może wrócił do Jerozolimy - jak gdyby tylko on jeden musiał

odtrącić wolność złotego miasta, w którym każdy kamień, nie mówiąc już o twarzach przechodniów, rozdzierał mu serce. Pewnego wieczora Himmelfarb położył się na nagim stoku wzgórza, które wiatr powlekał srebrem, i w pierwszej chwili wydało mu się, że chociaż ziemia mogłaby się otworzyć łagodnie, bardzo łagodnie, na przyjęcie jego ciała, dusza wzbroniła mu tego i kazała mu wstać; zbiegł więc czy raczej stoczył się z góry w rozwianym palcie, tak że kilku Arabów wybuchnęło śmiechem, a brytyjski sierżant zaczął mu się przyglądać podejrzliwie. Ale znalazłszy się u stóp wzgórza, Himmelfarb przyoblekł się w godność i wybrał jeszcze widoczną w zapadającym mroku ścieżkę prowadzącą z powrotem do miasta, które jak się zdawało, nigdy nie miało się stać jego miastem. Na ulicach spotykał wiele znajomych osób, a powitania wahały się w skali od wybuchów uczuć do rozsądnej powściągliwości. Na King George Avenue natknął się na Appenzellera, fizyka z Jeny, znajomego jeszcze z lat studenckich, człowieka dość gruboskórnego i szorstkiego, który zwykł poklepywać innych po ramieniu, aby zyskać nad nimi przewagę.

Appenzeller nie wierzył w duchy. Od razu rzekł:

- No wiesz, Himmelfarb, szczerze mówiąc, nie jestem nawet zdziwiony. Zawsze byłeś taki solidny. Pamiętasz, jak ludzie przepowiadali, że zajdziesz daleko? Zaszedłeś rzeczywiście daleko, mój drogi! - Śmiał się z własnego dowcipu, pory mu wilgotniały wokół nozdrzy. — Byłeś już chyba u Canopu-sa? Co, jeszcze nie? Czekamy, czekamy na twoją wizytę. Bardzo mi się przydasz. Każdy tu ma rolę do odegrania.

Himmelfarb pamiętał niezawodną głupotę Appenzellera poza laboratorium i salą wykładową.

- Może kiedyś później - odpowiedział tylko, a ta powściągliwość obudziła w jego koledze wzgardę.

Appenzeller przypominał sobie, że ten duży, ciężki mężczyzna uległ niekiedy prawie dziewczęcemu onieśmieleniu. Fizyk zaś należał do ludzi, którzy rezerwę automatycznie biorą za objaw moralnej słabości.

- Nie trzeba rozpamiętywać przeszłości, to szkodliwe - doradził, zaglądając dawnemu koledze w oczy tak głęboko, jak umiał, chociaż nie tak, jakby pragnął; chętnie by mu zadał jakiś cios niby żartem. - Zresztą cena tych rzeczy spadła, skoro tak wielu to samo cierpiało.

Twarz Appenzellera ociekała dobrymi radami, sączącymi się przez pory, zawsze wyjątkowo rozszerzone.

- Wybieram się właśnie do Hajfy - odparł Himmelfarb. Fizyk zdziwił się, a może nawet poczuł się zawiedziony, że próbny sztych nie otworzył żadnej widocznej rany. Prostactwo Appenzellera można by tłumaczyć tym, że on sam nie zaznał wielu cierpień.

- Sprawy rodzinne - ciągnął dalej ten oschły pedant Himmelfarb. - Słyszałem, że najstarszy brat mojej żony mieszka tam w jakimś kibucu pod Ramat David.

- Ach, rodzina! - uśmiechnął się Appenzeller. - Cieszę się, że masz kogoś.

- Zakaszlał i zaśmiał się głupio. - Spodziewamy się więc zobaczyć cię u nas po powrocie wypoczętego. Sądzę, że spodoba ci się w tym kraju - dodał - jeśli nie dojdiesz do wniosku, że trochę tu za dużo Żydów.

Tym żartem Appenzeller pożegnał przyjaciela, który chętnie się z nim rozstał.

Pojechał do Hajfy, korzystając z komunikacji autobusowej zorganizowanej na czas wojny, a nawet z wojskowych ciężarówek. Podwieziono go kawałek drogi do Ramat David, lecz ostatni odcinek wolał przejść piechotą do osiedla, w którym spodziewał się zastać Ariego Liebmana, swego szwagra. Droga biegła pomiędzy małymi, przysadzistymi wzgórzami, tworzącymi, jak się okazało, osłonę rozległych pól kibucu.

Raz i drugi uderzył stopą o nawierzchnię drogi. Trudno mu było pojąć, że wszystko to jest ziemia uświęcona. W pewnej chwili ukląkł na skraju drogi wśród kamieni, w zapachu kurzu, niezdolny dłużej oprzeć się chęci dotknięcia ziemi...

W kibucu wszyscy byli pochłonięci sprawami życia. W kancelarii jakaś kobieta wstała znad swoich papierów, żeby mu wskazać pole. - Ari Liebmann i jego żona - oznajmiła - pracują tam, na plantacji pomidorów. Ari, którego pamiętał jako młodego chłopca o ruchliwej twarzy i dość merkantylnym nastawieniu, zakrzepł w jednym z grubych szablonów męskiej dojrzałości. Był twardy, suchy, siwawy. Uścisnęli się, zapłakali, a potem usiedli pod drzewem oliwnym, bo farmer musiał przyznać, że wyjątkowa okazja upoważnia go do przerwy w pracy.

- Rahel! - zawołał w stronę pola zarośniętego gęsto krzakami pomidorów.
- Moja żona - wyjaśnił gościowi.

Trochę ociągając się, nadeszła kobieta, z którą, jak pomyślał Mordechaj, łączyły go teraz jakieś rodzinne związki. Żona Ariego, zbudowana na kształt stożka, ubrana była w bardzo opięte granatowe szorty. Biodra i uda miała ogromne, lecz twarz dość przyjemną, z wypisaną w rysach historią. Kiedy usiedli wszyscy troje razem, Ari postanowił:

- Musisz przyłączyć się do nas. Mógłbyś uczyć dzieci. Tutaj wiodłoby ci się lepiej niż gdzie indziej. Żyd staje się prawdziwie Żydem dopiero wtedy, gdy zwiąże się z własną ziemią.

Ari i jego żona mieli twarde ręce; poplamione sokiem młodych pędów pomidorowych, które przycinali tego dnia na polu.

- Rahel tutaj się urodziła. Ona jest sabra. Sama ci zresztą o sobie opowie - tłumaczył Ari i oboje wybuchnęli śmiechem.

Mordechaj wyczuł, że tych dwoje osiągnęło pełnię życia. Należeli do tego kraju jak kamienie i drzewo oliwne, pod którym siedzieli.

- Zawsze dość będzie Żydów poświęcających swą inteligencję sprawom nieistotnym. Ale naprawdę ważne jest tylko to - powiedział Ari chętnie, ogarniając gestem posiadłości kibucu.

Mordechaj pomyślał, że Ari jest niebezpiecznie pewny siebie.

- Tak, zostań tutaj z nami - zapraszała Rahel. - W Jerozolimie nie zbraknie ludzi i bez ciebie.

Wówczas Himmelfarb odpowiedział:

- Gdybym czuł, że Bóg chce, abym tu został, czy to w Jerozolimie, czy w waszej dolinie, na pewno bym to zrobił. Ale On tego nie chce.

- Ach! - wykrzyknął Ari - Bóg! - Zaczął patykami kreślić coś na ziemi. - Jakże się modliliśmy dawniej! - westchnął ze zrozumieniem. - W Bienenstadt. Dla dobra dusz! - Zgarbił się i roześmiał, tak jakby usiłował wykrztusić flegmę. - Przypominam sobie: Reha orzekła, że ty odegrasz rolę Mesjasza.

Gdyby obaj nie mieli za sobą tylu i takich doświadczeń, oskarżenie zabrzmiałoby bardziej brutalnie. W tych jednak okolicznościach Mordechaj miał wrażenie, że mowa nie o nim, lecz o jednym z papierowych jego sobowtórów zgubionych w przeszłości.

Zresztą w tej chwili z drzewa na kamienistą glebę Palestyny spadła oliwka, zielona, twarda, konkretna.

- W co ty wierzysz, Ari? - musiał zapytać Mordechaj.

- Wierzę w lud żydowski - odparł mu szwagier. - W budowę ojczyzny. W obronę państwa żydowskiego. W pracę jako lek na wszystkie choroby.

- A dusza ludu żydowskiego?

- Ach, dusza! - Ari z nieufną miną dźgał ziemię. -wiedzmy raczej: historia.

Rahel patrzyła gdzieś daleko w górzysty krajobraz. Zdawała się znużona czy może zakłopotana.

- Historia - rzekł Himmelfarb - to odzwierciedlenie ducha. Ari nie umiał cierpliwie znosić beczynności. Kręcił się nerwowo na swoich tęgich pośladkach.

- Czy mamy zatem siedzieć tutaj i pozwalać historii, żeby nas odzwierciedlała? - spytał szczerząc krótkie, mocne zęby.

- Bo zdaje się, że taka jest twoja propozycja.

- Nic podobnego! - zaprzeczył Mordechaj. - Chciałem tylko przypomnieć, że duchowa wiara stanowi również czynną siłę. Toteż ona właśnie zaludnia świat po każdej próbie zniszczenia go, podejmowanej przez ludzi czynu.

- Jeszcze ci nie zdążyłem powiedzieć - przerwał mu Ari

- że my z Rahelą już mamy dwoje wspaniałych dzieci.

- Tak, Ari, odgadłem, że nie brak wam niczego do pełni życia - westchnął Mordechaj. - Chwilowo. Nic nie jest, niestety, trwałe. Nawet ta dolina. Nawet ten kraj. Ziemia się buntuje. Będzie wyrzucała kamienie - dziś wieczorem - jutro

- zawsze. A wy, wybrańcy, będziecie nadal potrzebowali kozłów ofiarnych, takich jak my, którzy nie czekając, aż nas powloką na stos, sami się ofiarujemy dobrowolnie.

- I gdzie zamierzasz praktykować ten swój... idealizm?

- spytał Ari Liebmann.

Himmelfarb zmieszał się, najwyraźniej zaskoczony pytaniem.

- Bo ja wiem... - zawahał się na chwilę. - Może w Australii.

Nigdy przedtem kraj ten nie przychodził mu na myśl, teraz nasunął się nieoczekiwanie, może dlatego, że taki odległy, może też dlatego, że taki nie pociągający.

- Australia! - wykrzyknął Ari i na tym poprzestał, nie znajdując dla szaleństwa diaspory nic lepszego od przemilczenia.

Rahela zmieniła temat rozmowy.

- Przenocujesz u nas? - zapytała, ale widać było, że liczy na odpowiedź odmowną.

- Nie - odparł Himmelfarb.

Nie chciał bez ważnych powodów tracić dłużej czasu. Ruszyli we troje w stronę osiedla.

- Musisz przynajmniej coś zjeść - nalegali Liebmannowie. Zgodził się na tę praktyczną propozycję.

Nie była to pora obiadu, lecz Rahel zakrzętnęła się w kuchni, przyniosła chleb, kubek mleka, małą salaterkę tartej marchwi i postawiła to wszystko przed podróżnym w długiej, pustej sali. Wkrótce zimne mleko paliło mu podniebienie, a tamci dwoje, siedząc po przeciwnej stronie stołu, śledzili jakieś własne tajne obrazy w deseni amerykańskiego obrusa albo też przyglądali się Himmelfarbowi, jak gdyby w nadziei, że połknie ich winy szybko i gładko razem z mlekiem.

Wreszcie Rahel zgarnęła dłonią okruszyny z obrusa. Zerkała już na zegarek. Zbliżała się godzina, gdy miała odebrać dzieci ze żłobka. Usta jej zdawały się coraz bardziej głodne.

Poza tym wieczorem kursował tą drogą autobus i żeby na niego zdążyć, Himmelfarb musiał się spieszyć - jak mu powiedzieli krewniacy. Rahel wciąż spoglądała na zegarek. Było to oczywiście zupełnie naturalne u tej rzeczowej kobiety.

Stali na skraju mizernych zarośli, które kiedyś miały się stać lasem szpilkowym, aż wreszcie kłęb kurzu zwiastował im zbliżanie się autobusu.

- Mazł tow! - zawołał Ari Liebmann, ściskając zbyt mocno rękę szwagra. Tym razem już się nie rozplakali, bo łzy rozżalenia płynęły głębiej, bardziej skrycie niż przedtem. Kurz Ziemi Obiecanej spowijał dwóch Żydów. Światło kapało ich w szafranie.

A potem autobus wchłonał Mordechaja i pokonawszy na wstępie pewne trudności, przerzucił go na następny etap jego wędrówki.

Stamtąd, popędzany przez swoje marzenia, wędrował przeciw biegowi rzek ku źródłom. Nie był nigdy sam, bo cielesnej powłoce towarzyszył stale związany z nią duch, aż w końcu rankiem pewnego dnia - letniego na tej półkuli - oznajmiono mu, że osiągnął oficjalny cel podróży.

- Oto Sydney - powiedziano pasażerom.

Grupa żydowskich imigrantów z niepokojem wypatrywała przyjaciół, którzy mieli ich powitać na tej ziemi. Jeden tylko podróżny, trochę dziwny, może niekłopotliwy, lecz jakiś inny, Mordechaj Himmelfarb w ciemnym, przepoconym, źle dopasowanym ubraniu, stał samotnie na uboczu. Jego bowiem już tutaj powitano. Gdy upalny powiew zamiótł żużlową nawierzchnię lotniska, wzbił się z niego zupełnie wyraźny słup ognisty.

Dzień już się chylił ku wieczorowi, gdy Żyd skończył swoją opowieść. Śliwa, która początkowo obiecywała chronić ich od okrucieństw tej historii, potem jednak jeszcze bardziej wzmagając udękę obojga, znów odzyskała wrodzoną subtelność kształtów i głosu. We wnętrzu jej brokatowego namiotu cienie leżały jak zwinięte w kłębek ociążone zwierzęta, cętkowane i pręgowane brunatnym światłem. Kwiaty wprawdzie teraz wyglądały jak przybrudzony haft na tle głębokiego, zbielełego nieba, lecz potęgujący się z każdą chwilą ruch i śpiew odświeżał wiotkie zasłony gałęzi, wieczorny podmuch przepływał bowiem przez Sarsaparillę w stronę Xanadu, wszystko po drodze unosząc i muskając, przeciskając się wśród dusznych gąszczów, obmywając powierzchnię liści i wreszcie głaszcząc twarze dwojga rozbitków usadowionych u korzeni drzewa.

Panna Hare wzdrygnęłaby się pewnie, gdyby jej ciało dopiero co nie zostało zdjęte z koła tortur. Teraz najlżejszy ruch był dla niej bolesny. Wreszcie wstała, szepcząc:

- Muszę iść do domu, bo w przeciwnym razie ta osoba, której nazwiska nie chcę wymawiać, zrobi awanturę.

Żyd także wstawał niezdarnie, wypróbowując niepewne nogi. Podobnie jak jego słuchaczka, nie zdradzał chęci mówienia o tym, co razem przeżyli; nie wspominali również

o ponownym spotkaniu, chociaż oboje mieli na nie nadzieję.

- Ja też muszę się spieszyć - powiedział Żyd, patrząc trochę niespokojnie na słońce. - Późno już, bardzo późno.

Rozstali się tak w ciepłym wieczornym świetle. Dwie sylwetki, malejąc, coraz bardziej przyspieszały kroku. Podrygując, szamocząc się, płynęli przeciw fali wieczoru, a ból

1 trawy okrutnie paraliżowały ich ruchy.

CZĘŚĆ TRZECIA

VIII

Dom w Sarsaparilli, do którego wracał Himmelfarb, miał pewne zalety, ale dość szczególne i nie wszystkie widoczne. Niewątpliwie deski trzymały się razem i przeciwstawiły się ciekawości ludzkiej. Poza tym dokoła rosły wierzby, śliczne, gdy drucziana siatka miękła wczesną wiosną, może jeszcze piękniejsze zimą, kiedy stalowa ich nagość zestrzajała się z bardziej surowymi myślami. Nic więcej nie zdobiło małego domku, nic, co można by nazwać ogrodem. Pomysł założenia ogródka nie mógł przyjść do głowy obecnemu właścicielowi, który, wyzuty całkowicie z zainteresowań, nie wyobrażał sobie w ogóle istnienia jakiejś hierarchii wśród tworów przyrody. Toteż wieczorami, jeśli nie miał innych zajęć, siadywał na werandzie, na samym jej brzeżku, jak gdyby nie do niego należała, i z przyjemnością wdychał skisłą woń chwastów. Gdy tak siedział, a światło zmieniało się i zieleń stapiała ze zmierzchem, bladość jego twarzy zdawała się rdzeniem jakiegoś ciemniejszego, intensywniej zielonego płomienia.

Tego wieczora po rozstaniu z panną Hare Żyd spieszył się do swego domu. W powietrzu unosiły się pyłki, pękały nasiona. Grzbiety jego dłoni ocierały się o kłujące ciernie i pokrzywy. Kamienie osuwały się spod stóp. Żydowi

brakowało tchu i chociaż posuwał się krokiem stanowczym, a może nawet triumfalnym, na stromym stoku oddech jego nabrał chrapliwego tonu,

Kiedy doszedł na miejsce...

Kiedy dotknął mezuzy na odrzwiach...

Kiedy potem modlitwa szema zjawiała się na jego wargach, został raz jeszcze przyjęty. Otwarły się nie tylko stoczone przez robaki drzwi jego doczesnego domu, lecz także tajemna furta wewnętrzna.

Cisza nigdy nie była ciszą ~w domu Żyda. Wypełniały ją myśli i na przemian z nimi leciuteńkie szelesty gałęzi ocierających się o deski ścian. Nigdy też nie były puste pokoje, umeblowane z krańcową prostotą nabożności. Wiedział, do czego się spieszy, idąc po suchych, uginających się pod stopą deskach podłogi prosto do celi, w której pod naciskiem konieczności umieścił kilka żałośnie materialnych sprzętów: łóżko, krzesło, wieszaki na ubrania i umywalnię, jeden z tych gratów często spotykanych w prowincjonalnych salach licytacyjnych, z żółtym blatem i modelowaną w płaskorzeźby porcelaną. Nic ponad to, jeśli nie liczyć okna otwartego na zielony tunel i mroczniejsze ścieżki kontemplacji. Znalazłszy się w tym pokoju, w ośrodku swego życia, Żyd jakby się zawahał; ręce jego i wargi szukały tego stopnia pokory, który zawsze mu się wymykał, którego nigdy może nie miał osiągnąć. Stał pod spłóviałymi chorągwiami światła, kolana jeszcze mu drżały od pospiesznego marszu i nie mogąc doczekać się stanu pożądanej, lecz niedościgłej doskonałości, zaczął wreszcie zwykle swoje modlitwy. Bądź pochwalony, Panie Boże nasz, królu wszystkiego świata...

Wyrzucił w zmierzch linę.

281

... który jednym słowem sprowadzasz zmrok wieczorny, mądrością swoją otwierasz bramy niebios, rozumnie odmieniasz pory dnia i roku, gwiazdy zostawiłeś pośród nieba na warcie, posłuszne Twojej woli...

Wiązał i spajał słowa, aż drabina stanęła mocno. ... miłością wiekuiącą ukochałeś dom Izraela...

Każdym tchnieniem dodawał nowy szczebel wiary.

... obyś nigdy nam nie odjął miłości Twojej. Błogosławiony bądź, Panie, który ukochałeś lud Izraela.

Kiedy noc zapadła, a krzesło i łóżko rozpląnęło się w kruchej łupinie pokoju, Żyd tak się unicestwił w modlitwie, że tylko Słowo zostało, jako jedyne świadectwo jego materialnego bytu.

Po przyjeździe do kraju, który sobie obrał, Himmelfarb zaskoczył swoich protektorów i doradców, przekonanych, że profesor uniwersytetu będzie ubiegał się o stanowisko godne jego intelektualnych talentów. Czyby otrzymał takie stanowisko, nie wiadomo, lecz odmowa dostarczyłaby i jemu, i jego opiekunom tego dostępnego w wojennym okresie luksusu, jakim jest okazja do narzekania.

Himmelfarb jednak nie zamierzał ubiegać się o profesurę. Wyjaśniał to bardzo prosto:

- Intelkt nas zawiódł.

Jego współplemieńcy uważali to wyrzeczenie się ambicji umysłowych i rangi za dziwactwo, może nawet zasługujące na wzgardę. Obcy niezbyt się interesowali przypadkiem

starszego, wykształconego Żyda, który bez protestu dał się zwerbować jako jeden z fizycznych robotników, potrzebnych w okresie wojennym; był zresztą cudzoziemskim przybłądą, cholernym uchodźcą z Europy, powinien więc cieszyć się, że w ogóle pozwolono mu żyć. Himmelfarb cieszył się z tego rzeczywiście, nawet bardzo, i bez skargi przyjął skierowanie do pracy w chlewni. Tak się przywiązał do pogodnych, ekstrawertycznie nastawionych zwierząt, że doznał szczerego żalu, gdy z czasem i stopniowo okazało się, iż nie ma już dość sił, aby sprostać swoim obowiązkom.

Chorował, a po wyleczeniu froterował podłogi w tym samym szpitalu, w którym przeleżał jako pacjent. Przez czas jakiś zmywał naczynia w kantynie wojskowej. Czyścił też publiczne ustępy.

I za wszystkie te dobrodziejstwa był wdzięczny.

Koniec wojny zastał go w Barranugli, gdzie pracował w fabryce latarek do rowerów, a znalazł się tam z przyczyn niezbyt dla siebie chwalebnych. Asceta, wyzuty z osobistych dążeń, tak się oddalił od swego ideału, że zateęsknił do fizycznego odosobnienia. Polubił spędzać weekendy na wędrówkach podmiejskich i kiedyś przy tej okazji natknął się na mały, brunatny dom, stojący pustką wśród trawy w Sarsaparilli. Stwierdził, że białe mrówki, korniki, grzyb, tandetne urządzenia sanitarne oraz przeciekający dach ściągnęły wartość nędznego domku do granic jego możliwości nabywczych; wówczas tłumione dotychczas przezornie pragnienia wybuchły pełnym ogniem, spalając wszelkie opory woli. Nie mógł myśleć o niczym innym, wracał ustawicznie na to miejsce, drżąc z lęku, że ktoś inny również dostrzeże uroki domu. Zmizerniał, wychudł, oczy mu zapadły jeszcze głębiej. W końcu duch uległ materii tak, że Himmelfarb pobiegł wpłacić depozyt. Musiał kupić tę rudere.

Osiadając w Sarsaparilli obiecywał sobie skarby spokoju i gdy zgromadził trochę najniezbędniej szych gratów, gdy

nacieszył się przez kilka dni nowym nabytkiem, poszedł na poszukiwanie pracy do sąsiedniego miasta Barranugli.

Trudno powiedzieć, że obrał posadę w firmie „Brighta Bicycle Lamps”. Wyręczono go właściwie w wyborze.

- „Brighta Bicycle Lamps” to nowa, lecz rozwijająca się firma - rzekł urzędnik w biurze pośrednictwa pracy. - Prócz latarek do rowerów fabryka wyrabia inne metalowe przedmioty, na przykład przybory do geometrii i spinki do włosów. Jest tam sporo wolnych miejsc dla robotników niewykwalifikowanych. Zaraz, zaraz, mam pewną myśl... Właściciel, jeśli się nie mylę, jest chyba cudzoziemcem, Pan Rosetree. Tak. Mam nadzieję, że pana nie urażę, jeśli powiem, że to miejsce w sam raz dla pana. Właściciel pochodzi skądś z Europy Środkowej.

- Rosetree - powtórzył nazwisko Himmelfarb.

Oko Żyda zwilgotniało ze wzruszenia. Kidusz wzbił się nad mury w zachód słońca.

- A więc doskonale - powiedział urzędnik. - Gdyby pan miał jakieś kłopoty z porozumiewaniem się po angielsku, może pan zawsze zwrócić się o pomoc do pana Rosetree. Nie znalazłby pan w tych stronach stosowniej szego dla siebie miejsca.

Himmelfarb przyznał, że trudno o posadę odpowiedniejszą, i uległ wskazówce z zewnątrz. Wyrzeczenie się siebie oznacza w gruncie rzeczy przyjmowanie tego, co ofiarowuje przypadek.

Poszedł więc do firmy „Brighta Bicycle Lamps”, która mieściła się w baraku na krańcu miasta, na brzegu zielonej rzeki.

Gdy zgłosił się na wstępną rozmowę, kazano mu usiąść i nie troszczono się o niego przez odpowiednio długi czas, ponieważ rozwijające się przedsiębiorstwo musi dbać o wrażenie, jakie robi na ludziach; petent znalazł się w samym

sercu świata pana Rosetree i rzeczywiście świat ten mógł mu zaimponować. Przez jedne drzwi obserwował dwie panie, jedną pulchną, a drugą chudą, które trzymały się wzorowo, były skupione na swych obowiązkach i wystukiwały błyskawicznie korespondencję pana Rosetree, ledwie muskając palcami klawisze maszyny; przez drugie drzwi dostrzegł piekielną otchłań, w której wycinano szablony latarek i montowano je bardzo niedbałe, za to z wielkim hałasem. Różne części maszyn obracały się, wirowały, przesuwały to na boki, to w górę lub w dół z okropnym hukiem i stukiem, w jednym zaś kącie cmokały i bulgotały z jakąś obleśną chytrością, a przez drzwi otwarte na ciasne, mokre, betonowe podwórko, gdzie krzątał się pogardliwie półnagi chłopak w gumowych butach, dyszały od czasu do czasu i syczały parą tak przenikliwie, że zarażały nienawiścią cały rozdygotany budynek. Jednakże uprzyjemniano pracującym czas muzyką. Z włączonego radia grzmiał właśnie soczysty kontralt, rozsadzając niemal pudło odbiornika. „Szukam jedynej, jedynej mojej dziewczyny” - śpiewał głośnik, nie oszczędzając najodleglejszych nawet zakątków. Kobiety przy swoich taśmach montażowych zρέcznie powtarzały wciąż ten sam ruch, jedyny, jakiego od nich wymagano. Albo poprawiały protezy w ustach. Albo przesuwały językiem gumę. Albo przyklepy-wały metalowe klipsy, którymi naszpikowały sobie włosy przed piątkowym wieczorem. Były też dziewczęta ściągające wyskubane brwi w zamyśleniu nad swoją niedolą. Mężczyźni w trykotowych koszulkach stali z rękoma na biodrach lub skręcali miękkie papierosy, lub przeglądali wiadomości sportowe w gazecie, a niekiedy nawet, w razie nieuniknionej konieczności, raczyli się schylić i przyłożyć rękę do jakiegoś technicznego obrządku wymagającego ich udziału.

Pośrodku hali, zgięty wpół, szukał czegoś na podłodze ciemnoskóry mężczyzna; w tej pozie, jak zauważył Himmel

farb, prezentował sterczące i guzowate żebra, kiedy zaś wyprostował się, wyglądał, jakby zbudowany z samych kości, żył i wąskich pasemek elastycznych mięśni, nad wszystkim zaś dominowała ciemna twarz uderzająca nieprzytomnym wyrazem. Murzyn czy może Mulat chwycił znów miotłę i zaczął ją popychać przed sobą, snując się tam i z powrotem między ławami. Niektóre kobiety spuszczały oczy, gdy je mijał, inne uśmiechały się znacząco, ale nie do niego. Czarnuch jednak, pochłonięty jakąś własną sprawą, zdawał się nie spostrzegać niczego, nawet swoich automatycznych gestów zamiatacza. Zamiatał, zamiatał wytrwale. Skóra, napięta na rusztowaniu nagich żeber, grała jak obraz olejny ukrytymi światłami. Tymczasem on dalej zamiatał. Ciężka głowa i trochę wyzywająco zarysowane jabłko Adama zdawały się świadczyć, że czarny człowiek postanowił sobie znosić to zajęcie z rezygnacją.

W pewnym momencie Himmelfarb spostrzegł, że tłuszciej-sza z dwóch sekretarek usiłuje mu coś zakomunikować. Nie ruszając się ze swego biurowego pokoju, coś do niego wołała.

— Pan Rosetree ma teraz wolną chwilę i może pana przyjąć - mówiła. Obie maszyny do pisania umilkły. Chudsza z dwóch stenotypistek uśmiechała się do klawiszy, poprawiając wstążeczkę jakiejś intymnej części garderoby, opadającą na jej białe, napięte, stale zjeżone gęsią skórką ramię.

Oszołomiony wszystkim, czego się napatrzył, petent nie drgnął z miejsca.

- Pan Rosetree - powtórzyła pulchna pani dobitniej, tak jak się mówi do cudzoziemców - ma teraz chwilę czasu. Może pan wejść, panie

Himmelfarb - dodała, walcząc z pokusą śmiechu.

Koleżanka jej prychnęła śmiechem, lecz natychmiast opanowała się i zaczęła wygładzać elegancki haftowany ręcznik, który wisiał na oparciu krzesła za jej plecami.

- Proszę tędy! - niemal krzyknęła pulchna bogini, pocąca się na poduszce z piankowej gumy.

Niepokoilo ją, że w tej sytuacji zwraca na siebie powszechną uwagę.

- Dziękuję - rzekł Himmelfarb i uśmiechnął się do ręki, która wskazywała mu drogę.

Pulchna maszynistka oczywiście nie wstała z krzesła, ograniczając, swoje usługi do poziomu otrzymywanej pensji. Ale opuściła rękę.

Himmelfarb wszedł do sanktuarium pana Rosetree.

- Witam, panie Himmelfarb - powiedział pan Rosetree. - Proszę siadać - zapraszał, nie troszcząc się jednak o to, czy petent ma na czym usiąść.

Sam natomiast rozparty był wygodnie. Uformowany był jak gdyby z kilku połączonych z sobą kul. Cała jego postać przywodziła na myśl gumę, rozprężoną elastyczność, chociaż faktura przypominała raczej pewne nieco mdłe i oślizłe gatunki towarów wystawianych jako delikatesy, na przykład surowe kiełbaski. Wyglądał jakby dopiero co skończył polerowanie swych paznokci i zapomniał usunąć z biurka pulchne ręce; dolną wargę wysuwał w zadumie nad jakimś problemem, który należało rozstrzygnąć w najbliższej przyszłości.

Nic nie wskazywało, żeby tym problemem był Himmelfarb, lecz petent podejrzewał, że jest przyczyną niesmaku, który pan Rosetree najwidoczniej miał ochotę wypluć.

- Ma pan jakąś praktykę? Nie? Trudno. Praktyka nie jest konieczna.

Najważniejsze dobre chęci. - Pan Rosetree pytał i odpowiadał tonem zarezerwowanym na momenty pomniejszych katastrof.

- Ale wynagrodzenie w takim razie dostanie pan niższe - oznajmił. - Na początek. Ze względu na brak kwalifikacji.

Gumka, którą mówiąc to wrzucił do bakelitowej przegródki, plasnęła nieprzyjemnie.

- Zrozumiałe - rzekł Himmelfarb z uśmiechem. Czuł się z pewnych powodów szczęśliwy.

„Czy to spryciarz, czy głupiec?” - zastanawiał się pan Rosetree. W pierwszym przypadku należałoby się rozgniewać, w drugim wystarczyłaby pogarda. Był w rozterce. Nagle zapragnął zbuntować się gwałtownie przeciw tej wątpliwości i przeciw wszystkim innym.

Atmosfera zgęstniała od niemiłego napięcia.

Ale Himmelfarb, uradowany w głębi serca, nie wyczuł zmiany klimatu.

- Pan nietutejszy? - Nie mógł powstrzymać się od tego pytania, ale postawił je bardzo ostrożnie, bo sam przecież nosił w życiu różne maski.

- Jestem Australijczykiem - odparł pan Rosetree.

Lecz zaczął nerwowo przestawiać jakieś drobiazgi na biurku.

- Ach, tak - rzekł Himmelfarb. - Coś mi się wydało. Przepraszam.

- Nie przeczę, że przybyłem tutaj z pewnych osobistych powodów.

Osobistych i prywatnych. - Pan Rosetree podrzucił gumkę w powietrze i chciał ją chwycić, lecz to mu się nie udało.

- Nie chciałbym być niedyskretny, ale myślałem, że może pan pochodzi z Polski.

Pan Rosetree zmarszczył brew i zgiął oporną gumkę wpół.

- Nie, raczej z Wiednia.

- *Also, sprechen wir %ou^{sammn} Deutsch.*¹

A więc mówmy po niemiecku (niem.).

- Nie tutaj w firmie. Tu pod żadnym pozorem, nigdy
- pospiesznie zaprotestował pan Rosetree. - Jesteśmy teraz
Australijczykami.

Chciał pozbyć się tej kłopotliwej sytuacji, ona jednak przylepiała się do niego jak przeżuta guma. Himmelfarb bowiem coraz głębiej wciągał go w spisek, zniżając głos i pochylając się nad biurkiem. Mimo że zmęczony, zdobył się na wyszeptanie:

- Pan jest przecież z naszych?

- He?

Pan Rosetree był nie tylko wzburzony wewnątrz, lecz również fizycznie zakłopotany, nie mógł, jak się zdawało, poradzić sobie ze spodniami, uwierającymi go boleśnie w pachwinach.

- Tak - upierał się Himmelfarb - myślę, że pan jest na pewno z naszych.

Pan Rosetree wreszcie wyzwolił się, szarpnięciem rozdzierając jakieś pęta, może materialne, a może inne.

- Jeżeli tak okrężną drogą próbuje pan dowiedzieć się, jakiego jestem wyznania, a trzeba pamiętać, panie Himmelfarb, że w tych krajach religia nie jest sprawą najważniejszą

- to mogę panu wręcz oświadczyć, że należę do katolickiej parafii przy kościele Świętego Alojzego.

Pan Rosetree nie dawał się byle komu nastraszyć.

- Parafia katolicka w Paradise East - sprecyzował.

- Ach, tak! - Himmelfarb skapitulował. Wyprostował się na krześle.

W tej samej chwili do pokoju wszedł mężczyzna w trykotowej koszulce. Był tak potężnej budowy, że dyktowe ściany jak gdyby rozstępowały się, aby go pomieścić.

- Słuchaj, Harry, zabrakło wymiaru dwadzieścia dwa

- oświadczył. - Nie ma już ani sztuki.

- Nie ma dwadzieścia dwa?!

Nareszcie pan Rosetree mógł wybuchnąć.

- Właśnie - przytaknął facet w koszulce, który okazał się dość łagodny, gdy już raz zaprezentował swoją siłę; stał, skubiąc włosy pod lewą pachą i oddychając przez otwarte usta.

- Nie ma wymiaru dwadzieścia dwa! - wrzasnął Harry Rosetree. - Ależ ten gość, o którym ci mówiłem, przyrzekł dostarczyć wczoraj!

- I gównem dostarczył - odparł łagodny facet. W braku lepszego zajęcia Himmelfarb obserwował

brzuch opięty trykotową koszulką. Niekiedy umiejscowienie ludzkiego pępka wydaje się niemal idealnie logiczne.

- Co ja mam z tymi ludźmi zrobić? Chciałbym wiedzieć! - jęknął pan Rosetree.

Wargi miał oślinione. Sięgnął po książkę telefoniczną i wertował ją gorączkowo, chwytając kartki pełnymi garściami.

- Ludzie tacy już byli i tacy będą - pocieszał go majster. Nagle tłuściejsza z dwóch pracujących w sąsiednim pokoju

pań wetknęła głowę przez drzwi. Wałki tłuszczu na jej szyi nabrały sinawego odcienia.

- Panie Rosetree, przepraszam, ale pani Rosetree prosi do telefonu.

- Chryste Panie! Moja żona?

- Można przełączyć?

- Chryste Panie! Skoro pani Rosetree tego sobie życzy! Pan Rosetree najwidoczniej należał do ludzi, którzy lubią żartować na temat małżeńskich więzów. Podniósł słuchawkę.

- Tak, kochanie. Oczywiście. Jeszcze jak! Nie, kochanie, nigdy nie jestem tak zajęty, żebym dla ciebie nie miał czasu. Tak...ta...ta... Co? Chcesz piec szarlotkę? Ależ ja prosiłem

0 Torte. Ani dla Archa, ani dla Marge, ani dla nikogo w świecie nie poświęcę się do tego stopnia, żeby jeść szarlotkę. Zrób to dla mnie, Shirl. Dobrze? A teraz muszę się zająć interesami.

Wetknięcie ładunku nitrogliceryny w sprawy domowe zrobiło mu przyjemność, ale spochmurniał znowu, gdy przypomniał sobie, że ma inne kłopoty, oszustwa dostawców na przykład, a prócz nich coś gorszego jeszcze, nieuchwytnego, jak podejrzewał. Jest też Himmelfarb.

I Harry Rosetree zrozumiał, że utajony w nim ból, którego nigdy nie mógł się całkowicie pozbyć, zaczyna narastać w cienkich, lecz dotychczas obronnych ścianach jego biura, osiągając coraz większe rozmiary niby stos nagich, ropiejących trupów. Harry Rosetree omal nie zwymiotował, tak wstrętny był trupi zaduch, tak nieodparta świadomość, że mimo niezłej głowy do interesów nigdy nie potrafi się uwolnić od stosu trupów. Zdławionym głosem powiedział petentowi:

- Proszę przyjść w poniedziałek. Do pracy. Ale robota będzie monotonna. Uprzedzam pana. Cholernie nudna. Zabójcza.

- Wiele razy już mnie zabijali - odparł Himmelfarb. - I to boleśniejszymi sposobami.

Wstał.

Ach, ci żydowscy intelektualiści! Harry Rosetree gardził tą bandą niedołęgów. Freud, Mozart, te wszystkie kawiarniane brednie! Jeśli prócz tej grupy nie znienawidził całej rasy, to dlatego tylko, że z natury był raczej skłonny do miłości

I wciąż jeszcze pragnął być kochany, kochany tak, jak to się zdarza tylko w początkach życia. Ale dzieciństwo jego przeminęło, nie zostawiając ani śladu prócz wspomnienia głosu ciemnowłosych kobiet, głosu, który wciąż rozbrzmiewał w jego pamięci.

- Co ci jest, Harry? - spytał majster, Ernie Theobalds.
- Co się dzieje z twoją nogą? Nigdy dotychczas nie zauważyłem, że coś z twoimi nogami jest nie w porządku.
- Nic mi nie jest.
- Ale kulejesz.
- Po prostu noga mi ścierpła.

I Harry Rosetree przytupnął parę razy, żeby się pozbyć odrętwienia.

W sekretariacie dwie panie gorliwie bębniły na maszynach. Himmelfarb wyszedł i powędrował brzegiem zielonej rzeki, gdzie nigdy nikt nie chadzał. Rzeka migotała. Jakieś ptaki

- chyba jaskółki - latały nisko, tuż nad wodą i Himmelfarb wyciągał do nich rękę. Oczywiście nie sfrunęły na nią, ale dotknął migotliwych łuków lotu. Jak gdyby od jego palców zwisały sznurki, jak gdyby mógł kierować ruchami śmigających ptaków.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że nie zapytał przyszłego pracodawcy o płacę. Nie martwiło go to zaniedbanie, nic mu nie mogło zmącić spokoju w tym zielonym blasku, który nie tylko spowijał go, ale jakby z niego samego promieniował. Woda płynęła, światło zalewało zwichrzona zarośla. Nic nie mąciło jego spokoju, prócz jednego momentu, gdy zachłysnął się na myśl, że może zuchwale sięgnął po władzę, do której nie miał prawa, i zadał sobie pytanie, czy w jego najpokorniejszej roli wolno mu przyjmować błogosławieństwo światła i wody.

W poniedziałek Himmelfarb wyruszył rano do fabryki. Zapakował lunch do brązowej fibrowej walizeczki wraz z paru wartościowymi przedmiotami, których nie chciał zostawiać w domu; mógł przecież wybuchnąć tam pożar. Wsiadł do autobusu kursującego do Barranugli, wysiadł, zanim wóz dotarł do miasta, przed fabryką pana Rosetree nad rzeką. Wyznaczono mu miejsce przy wiertarce; miał

wywiercić otwór w płaskim stalowym krążku, potem w drugim, trzecim i tak dalej. Majster Ernie Theobalds, pokazując mu, jak należy to robić, nie omieszkął dodać stosownego dowcipu. Wręczono Himmelfarbowi legitymację związkową i sprawa była załatwiona.

Jeździł autobusem do Barranugli codziennie z wyjątkiem soboty, bo w sobotę fabryka nie pracowała, tak jak i w niedzielę. Wkrótce nabył niezłych kwalifikacji w swojej nieskomplikowanej pracy, wystarczyło zręcznie przesuwając metalowy krążek. Siedząc tak godzinami przy wiertarce, z bólem wspominał pewne postawy i epizody ze swej przeszłości, które dotychczas wydawały mu się zupełnie naturalne. Na przykład żałował arogancji poglądów i stylu, jakiej dopuścił się w monografii mało znanego angielskiego pisarza, a właściwie we wszystkich swoich pracach krytycznych. Wiele zdań z wielu modlitw, które recytował bezmyślnie w epoce młodzięczego zarozumiałstwa, teraz nareszcie ożyło na jego wargach. Najczęściej wspominał jednak ludzi, których zawiódł, a między nimi przede wszystkim swoją żonę Rebę, obrzydliwego starego farbiarza i panią z Czerniowiec. Czasem, gdy wywiercał otwór, wiertarka zdierała mu skórę z dłoni, a Himmelfarb przyjmował ból z poddaniem.

Paru towarzyszy pracy miało może ochotę pożartować z nim, podzielić się wytartymi obiegowymi dowcipami, lecz wstrzymywała ich jakaś dziwna odmienność tego człowieka. Większość tutejszych ludzi nigdy nie spotkała podobnej twarzy. Nikomu nie chciało się podejmować odkrywczej wyprawy, żeby przekonać się, na czym polega zagadka. Niekiedy cudzoziemiec musiał się odzywać, lecz zawsze wydawało się to zdarzeniem niesłychanym, jakby ryba za szklaną szybą otworzyła nagle usta i wydała z siebie kilka niezbyt zrozumiałych słów zamiast jak zwykle wypuścić w wodę przezroczyście bańki powietrza.

Toteż plastikowe panie i zasapani mężczyźni schylali z powrotem głowy nad robotą. Bezzębni młodzieńcy rechotali niewesołym śmiechem, a dziewczęta minami dawały do zrozumienia, że nie dadzą się łatwo nabrać.

Raz i drugi zdarzyło się, że czarnuch, krążąc z miotłą, przystanął na chwilę obok wiertarki Himmelfarba.

A Himmelfarb postanowił sobie: „Może do niego kiedyś zagadam, dzisiaj jeszcze nie pora na to”.

Nie było zresztą danych, by w czarnym biedaku podejrzewać jakiegokolwiek powinowactwo, tyle tylko że przystając tak na chwilę, promieniował odrobiną ciepła ludzkiej obecności.

Po jednej takiej próbie zbliżenia stara baba o niebieskawo-siwych włosach przerwała na moment pracę na taśmie montażowej. Wyrzucając w górę ręce, krzyknęła do cudzoziemca:

- Brudas! Brudas! Taśma sunęła dalej.

- Ten czarnuch to zgniłek! Zarażony! - wrzasnęła. Możliwe, że przedmiot jej wzgardy nie słyszał tych słów

albo też raz na zawsze zamknął uszy na zniewagi, lecz Himmelfarb zmieszał się, zamiast odpowiedzieć stosownym żartem.

Któryś z robotników, biorąc jego zmieszanie za dowód, że cudzoziemiec nie rozumiał słów kobiety, podszedł i szepnął mu do ucha:

- Ona chciała przez to powiedzieć, że ten typ ma wszystkie możliwe choroby. Zaczynając od syfa.

Himmelfarb w dalszym ciągu milczał, więc robotnik dał za wygraną.

Zresztą brzydził się w ogóle cudzoziemcami. A taśma sunęła dalej.

Czasem w przejściu rozlegały się kroki pana Rosetree, chwilę wahały się przy wiertarce, lecz nie zatrzymywały się tutaj nigdy. Himmelfarb nie czuł się dotknięty, że

pracodawca nie odezwał się do niego ani razu od pamiętnego ranka pierwszej rozmowy. Niczego innego nie można było wymagać od wybitnego biznesmena, męża, ojca, pana uroczego domu.

Pracownice bowiem nieraz w warsztacie opowiadały głośno o sprawach szefa. Wprawdzie żadna z nich nie postawiła nogi w jego domu, lecz znały na pamięć każdy pożądaný szczegół umeblowania. Zresztą nie zazdrościły mu niczego, chyba przelotnie, gdy któraś była niezdrowa lub zirytowana, że nie może zapłacić zaległej raty za pralkę. Na ogół raczej uwielbiały oznaki materialnego bogactwa innych ludzi.

Pan Rosetree jaśniał chwałą.

Czasem wychodził ze swego gabinetu i z pomostu śledził szeregi pracowników oraz hałaśliwych, drgających spazmatycznie maszyn. Wówczas kobiety chyliły głowy w pozie świadczącej o osobistym zainteresowaniu robotą, a mężczyźni, nawet najgorsi malkontenci, ślali mu przekleństwa tak nieszkodliwie tępe i grube, że nawet gdyby te pociski dosięgały celu, mogły go jedynie powierzchownie zadrasnąć. Pod urokiem pieniądza naj złośliwsi miękli i z sentymentalną pobłażliwością zazdrościli temu niegroźnemu durniowi, który był ich zwierzchnikiem. Himmelfarb przy swojej wiertarce zawsze wyczuwał obecność pracodawcy na pomoście, chociaż nie podnosił wzroku i nie patrzył w tym kierunku.

Państwo Rosetree mieszkali w Paradise East, przy Persimmon Street pod numerem piętnaście, w ceglany domu, zaopatrywanym w wodę z sieci miejskiej, lecz nie włączonym do miejskiej kanalizacji, rozporządzającym natomiast własnym urządzeniem ściekowym. Telefon oczywiście był zainstalowany. Któż by mógł przeżyć bez telefonu przedpołu

dnie? Dzielnica już teraz uchodziła za dość szykowną, a w przyszłości miała jeszcze awansować, wówczas jednak państwo Rosetree pewnie ją opuszczą, by zgarnąć zysk na zwyżkującej cenie ziemi. Ta ziemia oporna, piaszczysta i jałowa, nie mogła przecież być niczym innym jak lokatą pieniędzy. Rano pani Rosetree słyszała wokół swego ceglanego domu łoskot ścinanych drzew gumowych. Wszędzie w pobliżu wyrastały nowe domy. Domy z cegły.

Harry Rosetree był bardzo dumny ze swojej siedziby. W niedzielę lubił przechadzać się przed swoim moreloworóżowym domem, między szlachetnymi krzewami, które tu posadził i na których tkwiły jeszcze etykiety umieszczone tak, aby można było bez trudu odczytać fantastyczne nazwy, gdyby ktoś z gości o nie zapytał. Kto by się oparł uczuciu dumy? Zwłaszcza jeżeliby posiadał najnowszy model forda, pierwszy importowany z Ameryki po wojnie? Poza tym były dzieci. Pan Rosetree, pobłażliwy ojciec, miał prawo szczycić się swoim synem Steve'em i córką Rosie, którzy robili tak szybkie postępy w nauce; mówili gorszą australijską gwarą niż dzieci rdzennych Australijczyków, przepadali za lodami i frytkami, umieli wytrząsnąć sos pomidorowy z butelki nawet wtedy, gdy w szyjce utknęła czarna, zaschnięta bryłka gęstej mazi. Toteż Harry Rosetree tajał od zachwyty dla swoich dzieci, a także dla swojej żony, która nauczyła się jeszcze więcej niż one.

Z ogromną pewnością siebie orzekała: „To nie po australijsku”. Miała wrodzony talent do asymilacji. Lepiej niż ktokolwiek opanowała język. Mówiła nim tak dźwięcznie, że słowa wypadały z jej ust niby starte miedziaki. Oczywiście to ona, Shirl Rosetree, była rzeczywistą właścicielką ceglanego domu, błyszczącego szkłem samochodu o opływowych liniach, szlachetnych krzewów, stojącego zegara wydzwaniającego godziny głosem dzwonów z West-minsteru, radiodbiornika o politurowanym orzechowym

puddle, pralki i miksera. Wszyscy o tym wiedzieli, bo podejmując przed południem przyjaciółki herbatą i bułeczkami mówiła: m ó j dom, m o j e dzieci, m ó j wóz. Miała poza tym futro, na razie tylko jedno, ale zamierzała wkrótce nabyć i drugie, korzystając z dobrej koniunktury. Któż mógł jej mieć to za złe? Shirl Rosetree nieraz przymusowo zmieniała miejsce zamieszkania. „Najlepiej lokować w złocie - mawiała. - Złoto najłatwiej ukryć”. Toteż przed wyjazdem kupiła przy Rotenturmstrasse mały złoty krzyżyk i nosiła go dotychczas. Gdy była podniecona, krzyżyk podskakiwał i obijał się o jej piersi, ale stanowił pewną pociechę. Do czasu. Bo już na początku znajomości Marge Pendlebury powiedziała:

- Nigdy bym się nie spodziewała, że państwo są papiści. Tu, u nas, tylko wśród urzędników administracji bywają katolicy, jeśli w ogóle przyznają się do jakiejś religii.

Shirl słuchała czujnie, dowiadując się, że jeszcze nie pod każdym względem dostosowana jest do otoczenia.

- Arch i ja należymy do metodystów, ale rzadko chodzimy do kaplicy, życie jest na to za krótkie - dodała Marge.

Odtąd krzyżyk mniej radośnie podskakiwał na piersiach pani Rosetree.

- Wiesz co, Harry? - powiedziała do męża. - Arch i Marge należą do metodystów.

- No i co z tego? — spytał mąż.

- Zdaje się, że tu ludzie przeważnie należą do metodystów. Harry poklepał żonę. Była pulchną kobietką, ale nie zawsze miękka. Czasem wpadała w gniew.

- *Urn Gottes Wilkn, du Trottel, du wasserkopf! Muss ich immer Sechel fur %wei haben?*¹ - krzyczała.

Na miłość boską, ty durniu, ty półgłupku! Czy zawsze muszę myśleć za dwoje? (niem.).

Ale dawała się ugłaskać, chociaż pilnowała, żeby mąż nie potargał jej trwałej ondulacji.

- Masz całą resztę - napominała. Niekiedy garnęli się do siebie z przerażającą niemal namiętnością. W ciemnościach ceglanej łupiny, wśród cennych mechanicznych sprzętów Shirl i Harry Rosetree przeobrażali się bezlitośnie z powrotem w Szulamit i Chaima Rosenbaumów. Aj, aj, jak brutalnie rozbrzmiewały w hallu dzwony z Westminsteru! Mysz jednym lilipucim kęsem mogłaby przeciąć nić życia. Dwoje wędrowców brnęło razem przez wydmy nocy, zawsze jednak dochodząc nie gdzie indziej, lecz w przeszłość, i wreszcie rozstawało się, aby uciec w sen, który jest także zwodzicielem. I znów Chaim był domokrażnym przekupniem towarów żelaznych, i często musiał we śnie uciekać co tchu przez wieś; Szulamit, mimo złotego krzyżyka, który we śnie tracił moc, słyszała nad wyboistą ulicą głos babki, chudej, zżółkłej kobiety, wołającej wnuczkę do domu, bo gwiazdy już wzeszły i pojawiła się oblubienica.

Koszmary nocne byłyby nie do zniesienia, gdyby światło dzienne szybko ich nie rozwiewało, przywracając światu łagodne kształty. Ranek pojawiał się w Paradise East przy akompaniamencie szczęku weneckich żaluzji. Wokół stały solidne domy w całej swej ceglanej okazałości. Przez okna widać było sznury na bieliznę i galwanizowane pojemniki na śmieci. W dziennym świetle Rosenbaumowie ośmielali się czasem ulegać tęsknocie do *Beinfleisch mit Krensoss*. Pochłaniali tę potrawę, jakby się bali, że im ją ktoś lada chwila odbierze. Wargi im błyszczwały od tłustego mięsa, policzki wydymały się od nadmiaru klusek.

- Dlaczego nie jesz mięsa, Steve? - musiał czasem pytać Chaim Rosenbaum.

- Mama obiecywała na dzisiaj kotlety.

- Polej sobie *Beinfleisch* sosem pomidorowym. Będzie ci się zdawało, że jesz kotlet - doradzał ojciec.

Ale Steve Rosetree nienawidził odstępstw.

- Po co nam te cholerne cudzoziemskie potrawy?

- Steve, proszę nie kłąć - upominała nie bez dumy matka. Lubiła wydłubywać świetnie utrzymanym karminowym paznokciem resztki *Beinfleisch* z zębów. Rozpamiętywała minione przyjemności.

Pewnego dnia Shirl Rosetree spytała:

- Harry, co słyhać u tego starego Żyda, o którym nam opowiadałeś, wiesz, tego w twojej fabryce?

- Co ma być słyhać?

- No, co porabia.

- Chryste Panie! Skądże mam wiedzieć, co porabiają wszyscy beznadziejni Żydzi przyjeżdżający do naszego kraju.

- Ale ten jest chyba wykształcony, sądząc z tego, co opowiadałeś.

- Umie mówić. Mówi tak dobrze, że nikt go nie rozumie. - Harry Rosetree czknał. - W niektórych Żydach nosem wyczuwa się prawowiernych.

To rozśmieszyło jego żonę.

- Czasy się zmieniły, co? Teraz musisz węszyć prawo-wierność!

Ale chętnie by znów popatrzyła na ręce zapalające świece Chanuka.

Nawet zwoje nie są tak gęsto zapisane jak woskowe twarze niektórych starych Żydów.

- Racja, czasy się zmieniły - przytaknął mąż. - Nie rozumiem tylko, po co miałbym prowadzić ewidencję poczynań każdego Żyda, który się tu nawinie!

- Mniejsza z tym - powiedziała żona. Kłapnęła szczękami ni to ziewając, ni to śmiejąc się, i błysnęła złotym zębem. Ale dorzuciła uwagę, której natychmiast pożałowała: - Nie uciekniesz, Harry, krew się odzywa.

- Krew się odzywa i krew się leje! - odparł mąż, krzywiąc usta gorzkim grymasem. - Czyśmy nie dość widzieli, nie dość się nauczyli?
- Jaka krew? - spytała córeczka. W rozmowach rodziców nieraz pewne słowa niepokoiły ją i budziły w niej podejrzliwość.
- Nic ważnego, kochanie - powiedziała matka. - Mamusia rozmawia z tatusiem.
- W klasztorze - oznajmiła Rosie Rosetree - jest figura Pana Jezusa i krew wygląda tak, jakby była mokra. - Zwinęła wargi w lejek, przez który cedziła wyrazy podniosłych uczuć. - Taka prawdziwa, że na Wielkanoc rozplakałam się i siostry musiały mnie pocieszać. Siostry są strasznie miłe. Wiesz, mamusiu, ja chyba zostanę zakonnica. Będę świętą, będę miała wizje róż i takich różnych rzeczy.
- Widzisz, Shirl, jaka nasza Rosie jest mądra - rzekł z uśmiechem ojciec. - A że jest rozsądną córeczką swojego starego tatusia, więc z czasem będzie miała wizje bardziej praktyczne. Bo samym zapachem róż nikt nie wyżyje.

Shirl Rosetree westchnęła. Zmarszczyła czoło. Oczywiście, Harry mówił prawdę. Ale prawda zawsze jest tylko półprawdą. Właśnie dlatego Shirl bywała często *nervös*. W dodatku sytuacja rodzinna krucha wciąż jak bakelit. Czasem Shirl obawiała się rozchorować z tego wszystkiego na serce i chciałyby się poradzić dobrego europejskiego lekarza, tylko że ci doktorzy okropnie zdzierają skórę z pacjentów. Albo księdza. Ale od spowiedzi zawsze się odchodzi ze świadomością, że nie wszystko zostało wyznane. Zresztą, co by jej ksiądz mógł powiedzieć? Nic. Nigdy nie opuszczała konfesjonału bez zgagi. Stary cuchnący dziad w drewnianej klatce.

Teraz też paliła ją zgaga. Skutki *Beinfleischu* z pysznym *Krensossem*. Wiedziała, że jej to szkodzi na wątrobę. Więc Shirl Rosetree sapała i kręciła w palcach złoty krzyżyk spoczywający w cieniu jej piersi.

- No, dość tych bzdur - stwierdziła. - Takie gadanie do niczego nie prowadzi. Położę się trochę i przejrzę jakieś ilustrowane pismo. Ton ich głosów oznajmiał, że ktoś obcy znalazł się między nimi. Jeśli ten ton nie śmiał drwić, to tylko dla szczególnych, osobistych czy nawet mistycznych powodów, a także dlatego że szyderstwo jest luksusem, do którego państwo Rosetree dopiero od niedawna nabyli prawo. Głos opinii Sarsaparilli, wypowiadając się na ten sam temat, nie był tak powściągliwy i nie hamowały go wątpliwości, czy ma prawo sądzić ludzkie dusze i zapalczywie ferować wyroki.

- Nigdy się nie spodziewałam, że do tego dojdzie! - powtarzała pani Flack. - Tłumy obcych imigrantów pchają się do naszego kraju, a tymczasem wielu naszych chłopców jeszcze nie wróciło, nie mówiąc o tych, którzy czekają już tylko na nagrobek za oceanem. Oto jak rząd i premierzy spełniają swoje obietnice. Ciekawa jestem, kto nas wyżywi, jeśli tyle gąb przybywa, i to cudzoziemskich przybłędów; czytałam, ilu ich przyjechało, ale nie pamiętam liczby.

Z kolei, odchrząknawszy, zabierała głos jej przyjaciółka, pani Jolley:

- Rzeczywiście, to daje do myślenia, to bardzo dziwne. Bo któż dzisiaj liczy się w kraju? Nie pani i nie ja. Tylko spryciarze, którzy smarują łapy urzędnikom i politykom. Nic dla nas, wszystko dla nowych przybyszy.

- Są naturalnie między urzędnikami także ludzie przyzwoici - zastrzegła pani Flack.

- Naturalnie, kto jak kto, ale ja wiem dobrze, skoro mój zięć, pan Apps, mąż mojej Merle, jest urzędnikiem.

- Nie wątpię, że nawet politycy przestrzegają szlachetnych zasad w rodzinnym gronie.

- Ba, w rodzinnym gronie! Polityk jest także ojcem rodziny. A kto ma dzieci, ten inaczej patrzy na świat.

Wygłaszane ogólniki wzniosły je w atmosferę tak rozrzedzoną, że obie panie nie śmiały już spojrzeć na siebie wzajem i każda w rozmarzeniu zatapiała wzrok w bezdennych głębiach własnych myśli, śledząc, jak się tam rozwijają z kłębuszka.

W pewnej chwili oczy pani Flack zatrzymały się na jakimś określonym zewnętrznym przedmiocie. Była to jedna z dwóch dobrych wróżek z gipsu stojących wśród pierwiosnków na trawniku od frontu, obok złotych cyprysów.

- Słyszałam - powiedziała - że jeden taki zagraniczny Żyd mieszka... - urwała, jak gdyby coś przetykając z trudem - ... za pocztą przy Montebello Avenue, w drewnianym domu... - Ściągnęła cienkie, bezbarwne wargi — ... w domu tak zżartym przez białe mrówki, że po prostu słyhać, jak się próchno sypie, słyhać z daleka, kiedy się stoi na brzegu chodnika, a raczej na miejscu, gdzie powinien być chodnik.

- Tak, przy Montebello Avenue - powiedziała pani Jolley. - Widziałam. Bardzo dziwnie wygląda ten pan. Czy raczej człowiek. Mówią, że to Żyd z Europy. Już od dość dawna tam mieszka.

- Dom jest, co prawda, spróchniały - podjęła pani Flack - ale przyzna pani, że dom zawsze jest domem, a mamy wielu bezdomnych i wielu naszych żołnierzy wraca teraz do kraju.

- Należałoby stosować klauzulę uprzywilejowania do osób na to zasługujących - rzekła pani Jolley.

- Co pani przez to rozumie? - spytała pani Flack. Pytanie katastrofalne, bo pani Jolley sama nie była pewna, co rozumiała.

- No, wie pani, chciałam powiedzieć, że wracający żołnierze to bądź co bądź wracający żołnierze - odparła.

- Słusznie.

Pani Flack zmięła. Ale pani Jolley uznała, że trzeba zakończyć wizytę. Spotniała już w zgięciu kolan bardzo nieprzyjemnie. Wtedy jednak pani Flack zrobiła sensacyjną propozycję:

- Co by pani na to powiedziała, gdybym panią odprowadziła kawałek drogi? Nic lepszego dla zdrowia jak świeże powietrze.

Była to istna rewolucja, ponieważ pani Flack nigdy, przenigdy nie odbywała spacerów i nie wychodziła z domu bez koniecznej potrzeby ze względu na serce, ciśnienie, żyłki i w ogóle delikatne zdrowie. Świeże powietrze było równie obce jej żółtej cerze jak Żydzi Sarsaparilli.

- Oczywiście, droga pani, jeśli pani sądzi, że to pani nie zaszkodzi - zdobyła się wreszcie na odpowiedź pani Jolley. — Ale muszę już się spieszyć - dodała. - Moja pani - prychnęła śmiechem przy tym określeniu - czeka na mnie w Xanadu.

- Tylko kawałek - powtórzyła pani Flack. - Nigdy się nikomu nie narzucam. Nie chcę iść dalej niż do Montebello Avenue.

- Ach! - zachichotała pani Jolley. Podniecająca była taka wspólna przechadzka pod domami, które już nie miały sekretów przed panią Jolley w jej liliowej woalce i przed panią Flack w płaskim czarnym kapeluszu z zakurzoną kokardą.

- Tutaj - powiedziała pani Flack ściągając twarz, tak że rysy jej zaostriły się jeszcze bardziej - mieszkają ludzie, których nie powinno się tolerować w przyzwoitej dzielnicy.

Pani Jolley omal nie nadwerężyła sobie szyi.

- Szczegółów nie mogę pani powtórzyć, krew by pani zastygła w żyłach - oznajmiła ku rozczarowaniu przyjaciółki pani Flack. - Powiem tylko, że żyje tu ojciec z młodziutką

dziewczyną, mówiąc bez ogródek - z rodzoną córką! Mają maleńki samochód, nie wcisnęłoby się między nich dwoje ani szpilki. Dziewczyna nosi bluzki tak przylegające, że wygląda jak naga.

- Co pani powie? - pisnęła pani Jolley.

Mimo woli poczuła wdzięczność dla pani Flack, że dzięki jej wspaniałomyślności posiadała nagle tyle nowej wiedzy; zaczerwieniła się, ale dzielnie maszerowała dalej.

- A tu poczta - mówiła pani Flack - i na poczcie ta pani Sugden... Halo, dzień dobry, jak się pani miewa! - zawołała.

Pani Sugden podziękowała, miewała się jak najlepiej.

Pani Flack nienawidziła jej, bo urzędniczka poczty nigdy nie dała się pociągnąć za język.

Teraz przyjaciółki posuwały się ostrożniej, bo weszły już w Montebello Avenue. Na kamieniach łatwo było wykręcić kostki. Zamiast trotuaru trawa, sama w sobie dostatecznie nieprzyjemna, a w dodatku ociekająca czarnym sokiem albo tnąca pończochy, zapowiadała gorsze jeszcze i osobliwsze formy złośliwości, które mogły tutaj czyhać na każdym kroku.

- Cóż to za szaleństwo, że chce pani mieszkać nadal w Xanadu! - brnąc w trawie, zawołała pani Flack.

Pani Jolley zazwyczaj odpowiadała: „Kobieta musi trzymać się zasad” - dziś jednak, gdy pani Flack tak niewątpliwie udowodniła swoją żywotność, jej przyjaciółka czuła się przy niej mała. Odpowiedziała więc tylko:

- Biedny nie może wybredzać.

- To ja jestem biedna! - niespodziewanie krzyknęła pani Flack. Obca okolica i bujna trawa usposobiły ją lekkomyślnie. Woskowa cera zaczynała topnieć.

- Patrz! - syknęła nagle, chwytając przyjaciółkę za spódnicę.

Zachowywała się jak wytrawny myśliwy, gdy w końcu pokazuje nieufnemu nowicjuszowi obiecaną zwierzynę. Co

prawda, na razie nie było widać zwierza, lecz tylko jego kryjówkę. Zza krzaka jeżyn dwie panie obserwowały dom, w którym mieszkał obcy Żyd. Mała brązowa buda była odpowiednio, bezwstydnie nędzna. Po drugiej stronie płotu, z którego poprzedni właściciele na chybił trafił powyrywali zimną kołki na opał, wiechcie chwastów kiwały groźnie kulami puchów. Oczywiście rosły tu także wierzby, nikt nie mógł temu zaprzeczyć, ale wartość ich zdawała się wątpliwa, ponieważ nic nie kosztowały. Wierzby opływały koślawy domek cichymi kaskadami zieleni i łagodnie muskały jego drewniane ściany. Niejeden przechodzień mógłby zapragnąć kąpieli w tej kojącej głębinie i utonąć w niej, lecz dwie przyjaciółki pragnęły czegoś innego, czegoś, co by dreszczem przejęło ich serca, na przykład widoku martwego nie donoszonego noworodka albo porąbanego trupa. Tymczasem musiały zadowolić się oglądaniem rynny, która ledwie trzymała się dachu, okien wprawdzie lśniących czystością, lecz pozbawionych ogólnie przyjętych ozdób, koronek lub siatki.

- Żeby chociaż pelargonie! - powiedziała z gorzką satysfakcją pani Flack. Wtem jak na zamówienie drzwi się otwarły i ktoś się w nich ukazał? Gdyby to był sam Żyd, wrażenie dostatecznie zelektryzowałyby obserwarki, ale to była na dobitkę kobieta! Kobieta! Tęga, niemłoda, w workowatej spłowiałej sukni. Kobieta oczywiście niedystygowana. Pierwsza poznała ją pani Jolley. Ona też bywała niekiedy bystra, chociaż pani Flack przewyższała ją darem jasnowidzenia.

- Kto by to pomyślał! - szepnęła pani Jolley. - Przecież to pani Godbold. Pani Flack osłupiała, lecz prędko zapanowała nad sobą.

- Zawsze wiedziałam, że pani Godbold jest skryta, ale nie przypuszczałam, że kryje takie tajemnice.

- Niesłychane, do czego są zdolne niektóre kobiety - powiedziała pani Jolley.

Teraz przed dom wyszedł sam właściciel. Żyd. Dwie przyjaciółki ścisnęły sobie ręce przez rękawiczki. Nigdy w życiu nie widziały tak wyżółkłego, tak dziwnego mężczyzny. Dziwnego? Ach, potwornego, potwornego! W ich cnotliwych piersiach szalała burza, cnotliwe gorsety ledwie mogły utrzymać ją w ryzach.

Flegma napłynęła pani Flack do ust, tak że musiała ją co prędzej przełknąć.

Pani Jolley, jak już się przyznała, miała poprzednio sposobność raz i drugi rzucić okiem na tego człowieka, gdy kursowała między Xanadu a Sarsaparillą, lecz nie zdążyła wtedy zauważyć całej brzydoty, wyniszczenia, nieporządku zarostu, bryłowatości ciężko sklepionej głowy i tego straszliwego doprawdy nosa. Miała wręcz ochotę przeproszać swoją wstydliwą przyjaciółkę za ten widok. Ale przyjaciółka wpatrywała się, wyciągając szyję.

- Ogromny chłop! - szepnęła przez zaślinione zęby.

- Mały to on nie jest - przyznała pani Jolley. Wspierały się wzajemnie, przytulone do siebie udami.

- I kto by to pomyślał - wykrztusiła pani Flack. - Taka pani Godbold! Tamci dwoje stali na stopniach werandy, pani Godbold niżej, Żyd wyżej, tak że musiała podnosić ku niemu głowę, ukazując twarz w wieczornym świetle.

Ta twarz, płaska, pospolita i zwykle mało wyrazista, teraz niewątpliwie była przebudzona pod wpływem jakiegoś głębokiego, tajemnego przeżycia; a może tylko światło wy-złacając płaszczyzny, rozpraszając mgłę zniechęcenia i zwątpień, którą za sobą wlecze życie, rozluźniając ciasno splecione warkocze, otaczało głowę aureolą, zapewne nie nad-przyrodzonego pochodzenia - tego nie mógłby przyjąć

rozsądek - lecz stanowiącą urocze tło dla chmury pyłków i muszek. Doprawdy, nawet stary Żyd nabierał jakiegoś dostojeństwa, gdy rozmawiał, a niekiedy śmiał się do swej przyjaciółki, zamknięty z nią razem w tej świetlistej otoczce, w łonie światła. Czy dodało im siły jakieś ważne wydarzenie, czy też osłabli, zapominając w tej chwili o wszelkiej ostrożności? Dwie obserwatorki bardzo chciały się tego dowiedzieć, ale nie mogły, nie mogły rozstrzygnąć. Wyciągały szyje, przełykały ślinę, schowane za krzakiem jeżyn, pod rondami kapeluszy, dyszące nadzieją, że zobaczą coś haniebnego.

- Co to może być? - spytała wreszcie pani Flack.

Ale pani Jolley nie usłyszała pytania. Ogłuszał ją własny oddech chrapiący w ustach.

Żyd bowiem coś pani Godbold pokazywał. Wyglądało to jak paczuszka czy może ptak... Ale nie, to nieprawdopodobne, skąd by się wziął taki biały ptak... oboje skupili na tym przedmiocie całą uwagę.

- Po prostu ma obandażowaną rękę - orzekła pani Jolley. - Ona mu ją opatrzyła. No, cóż, to niczego nie dowodzi.

Pani Flack cmoknęła z niedowierzaniem. Czuła się już zupełnie wyczerpana.

Rozstając się - ludzie często w ostatnim momencie podrzucają w górę piłkę przyjaźni, która ukazuje się wtedy widzialna, świetlista i urocza; tak właśnie żegnali się ci dwoje, Żyd i pani Godbold. Złota kula zawisła w powietrzu. Z odsłoniętych gardeł wzbił się szybki śmiech i dwa głosy spotkały się zgodnie; światło rozszczepiało się na ich zębach. Była to chwila tak piękna, tak poufna, tak tajemnicza, że nawet niedyskretne obserwatorki zaskoczone jej niezwykłością wstrzymały się na mgnienie oka od nienawiści.

Gdy jednak powróciły całkowicie do właściwego sobie stanu ducha, pani Jolley spytała przyjaciółkę:

- Jak pani myśli, czy ona często go odwiedza?
- Nic nie wiem - odparła pani Flack, tonem dając do zrozumienia, że wie dobrze o wszystkim. - Tss! - syknęła nagle jak żmija.
Pani Godbold bowiem skręcała właśnie na drogę.
- Do zobaczenia w kościele - szepnęła pani Jolley.
- Do zobaczenia w kościele - powtórzyła pani Flack. Przed ich oczyma mignął Chrystus, o którym miały sobie przypomnieć w niedzielny ranek. I z tym się rozeszły.
Pani Jolley skierowała się żwawo, chociaż dyskretnie, zboczem wzgórza w kierunku Xanadu. Chętnie by zabiła jakieś zwierzę, na tyle groźne, żeby zwycięstwo podsycało jej dumę, na tyle słabe, żeby mogła je zwyciężyć, wątpiąc jednak, czy odpowiednia ofiara znajdzie się na jej ścieżce, mimo że okolica była pełna zarośli; marzyła więc tylko o rozmaitych dostępnych sposobach dręczenia ludzkiej istoty.
Poranek tego dnia, gdy wiertarka, borująca nieskończoną ilość dziurek w nie kończącej się serii metalowych płytek, skaleczyła rękę Himmelfarba, był jak nieskończona równina brudnożółtego koloru, połyskująca metalicznie, ilekroć przez mętne okienko nad drzwiami lub przez szparę między żaluzjami przenikał miecz światła. Każdy jego cios odbijały stalowe ostrza i ludzka obojętność. Jednakże zadawał niekiedy rany. Mężczyzn w trykotowych koszulkach dławili w gardle fale wspomnień, rozpływając się kwaśnym odorem w powietrzu, a niektórym wyrywały się z wnętrzości wiatry, i to wcale nie tłumione. Wśród kobiet, które obnażyły się na tyle, na ile pozwalała przyzwoitość, i wydawały się straszliwie białe, niejedna przysięgała, że albo wygra na loterii, albo rzuci męża. Wszystkie powierzchnie, skórę i metal, powlekła warstwa wilgoci. Rozgrzane ciała stapały się z nią w jedno.

Tylko metal jak gdyby sprzymierzył się z ironią, bo maszyny obracały się, huczały, terkotały z jeszcze hałaśliwszą wesołością, syczały i bryzgały jeszcze jadowiciej niż zwykle.

Zaraz po przerwie nasada małego świdra musnęła rękę Himmelfarba. Krótko i lekko. Zdarzenie to miało przebieg wcale nie dramatyczny i nikt chyba go nie zauważył. Na razie Himmelfarb prawie nie poczuł bólu. Nauczył się już całkowicie wyłączać z fabrycznego otoczenia i wszelkie rany, jakie mogło mu ono zadać, nawet duchowe, znosił zazwyczaj obojętnie. Ale ręka krwawiła. Dość głębokie cięcie biegło brzegiem lewej dłoni.

Po chwili więc Himmelfarb wstał i spokojnie poszedł do umywalni, żeby obmyć ranę. Zdawało mu się, że nikogo tam nie ma, lecz nagle spostrzegł czarnego zamiatacza, który patrzył w lustro, może się w nim przeglądając, a może szukając okna i drogi ucieczki.

Himmelfarb splukał rękę pod kranem. Krew płynęła z rany długimi, zanikającymi strugami. Wyglądało to bardzo dziwnie, nawet fascynująco pięknie.

Tego samego zdania był widać czarny człowiek, bo zapatrzył się w krwawiącą ranę z nieodgadnionym wyrazem ciekawości, skupienia czy może współczucia. W każdym razie widok ten pochłaniał całkowicie aktywną cząstkę jego osobowości.

Teraz dopiero Himmelfarb poczuł przeszywający ból. Przez chwilę bał się, że czarny towarzysz pracy przemówi do niego po raz pierwszy, on zaś nie będzie zdolny odpowiedzieć mu nic prócz zdawkowych słów.

Ale został oszczędzony. Czy może zawiedziony.

Czarny człowiek bowiem obrócił się, odtrącając na pół tylko skryzalizowaną wizję, wycofując się z tego kroku, którego nie umiał dokonać czy też na który jeszcze nie chciał sobie pozwolić.

Odszedł, a Himmelfarb, zawiązawszy lewą dłoń prawie czystą chustką, wrócił do wiertarki i do resztki roboczego dnia.

W nocy nawiedzały go sny na przemian łagodne i dręczące. Reha, jego żona, podawała mu najpierw na półmisku najśłodsze, przyprawione cynamonem jabłko, a potem piołun. Ani jednego, ani drugiego nie mógł dosięgnąć. Reha uśmiechała się wprawdzie, lecz nie do niego, uśmiechem przymglonego szczęścia, który zapamiętał. W końcu odwróciła się i wręczyła jabłko jakiejś trzeciej osobie, wyraźnie polecając, żeby ona mu je podała.

Obudził się rano w potach, mniej ukojony widokiem zmarłej żony niż rozgoryczony niemożnością dosięgnięcia jabłka.

Wstał z zawrotem głowy, lecz przygotował się jak zwykle do modlitwy, układając fałdy szala; nie swego tałesu w niebieskie pasy, bo tamten zginął we Friedensdorfie, lecz nowego, który nabożnie przyjął w Jerozolimie i odtąd nosił, dotykając czarnych nici na pamiątkę przeżytych doświadczeń. Gdy miał z kolei rozwinąć filakterie i spowić nimi lewe ramię, ból w zranionej ręce stał się trudny do zniesienia. Himmelfarb zniósł go jednak. Odmówił modlitwy, odmówił osiemnaście błogosławieństw, jakże bowiem inaczej mógłby przeżyć dzień?

Zapakował tałes i filakterie - to właśnie były te cenne przedmioty, których nie chciał bez opieki zostawiać w domu - do fibrowej walizeczki razem z kromką chleba i plasterkiem sera, wsiadł w autobus do Barranugli i ruszył w drogę pośród gajów, kołysany falą rozmów dotyczących wyłącznie pogody.

Tego ranka ściany budynku niemal pękały od hałasu, gorąca i ruchu. Wreszcie podszedł do Himmelfarba majster Ernie Theobalds.

- Co ci jest, Mick? - spytał.

- Nic - odparł Żyd. Podniósł rękę. - Drobiazg. Przejdzie. Ernie Theobalds obejrzał ranę - był przyzwoitym, a zarazem praktycznym człowiekiem - i trochę się zaniepokoił.

- Idź lepiej do domu, Mick - poradził. - To mi wygląda poważnie. Pokaż rękę lekarzowi w Sarsaparilli. Zobaczymy, co on powie. Oczywiście dostaniesz odszkodowanie.

- Nigdy nie wiadomo - powiedział później Ernie Theobalds pracodawcy - czy któryś z tych łobuzów nie zaskarży firmy do sądu.

Himmelfarb zabrał swoją fibrową walizeczkę i posłusznie wyszedł.

Zgłosił się do doktora Herborna, który go opatrzył jak należy i kazał mu wziąć zwolnienie z pracy.

Co dzień Himmelfarb chodził do ambulatorium na zastrzyk. Poza tym siedział w zielonej ciszy wierzb i już to było wielkim ukojeniem.

Z pulsującą bólem ręką, podniecony gorączką, zaczął znów wątpić, czy jest godny tych wszystkich łask, które na niego spadły, i w rozterce narzucał sobie cięższe próby pokory, pozornie błahe, nawet śmieszne, ale dla niego konieczne, bo nie chciał, żeby jego dusza przyjmowała bezwarunkowo wszystko, co narzucało słabsze ciało. Zabrał się więc na przykład do szorowania swego niemal pustego domu i uporał się z tą robotą, chociaż szła mu dość niezgrabnie. Z mniejszym powodzeniem usiłował wyprać swoją bieliznę, żeby nie dopuścić do gromadzenia się brudów. Kiedy ugniatał w wodzie bieliznę jedną ręką i końcami palców drugiej, torturowanej bólem, był niemal złamany swoim niedołęstwem, lecz jakoś dokończył prania i wyszedł rozwiesić bieliznę na sznurach.

Tak właśnie było tego dnia. Popołudnie rozszerzyło granice nieba. Chłód czy wiatr południowy trzepał go po twarzy mokrą płachtą koszuli; zimne bawełniane szmaty lgnęły mu

do ramion. Niespodziewanie przez trawę nadszedł ktoś i stanął za nim. Obejrzał się i zobaczył kobietę.

Nie zaraz przerwała ciszę, jakby z szacunku dla jej godności.

- Chętnie bym pana wyręczyła - powiedziała w końcu, gdy już nie mogła dłużej przewlekać dyskretnego milczenia.

- Przepiorę panu wszystko. Niech mi pan tylko pozwoli. Rumieniec rozlał się po jej całej twarzy, jakby gruba kremowa skóra była z bibuły.

- Och nie, dziękuję - odparł. - Już wszystko zrobiłem.

- Roześmiał się głupio. - To drobiazg. Zawsze piorę po trochu. Z dnia na dzień.

Wydawał się wąty, gdy tak stał na wietrznym stoku niby nędzne, rozwichrzone drzewo, niezdolne panować nad swymi gałęziami. Drżał. Obok niego tęga kobieta wyglądała jak niewzruszona skała pośród trawy. Wiatr jak gdyby przenikał ciało mężczyzny, lecz rozszczepiał się na postaci kobiecej.

Himmelfarb czuł się naprawdę upokorzony. Ruszył w stronę domu. Szedł niepewnym krokiem. Głowa chwiała mu się w ramionach.

- Nie rozumiem, dlaczego pani ofiarowuje tę przysługę właśnie mnie?

Czy nie ubiegał się o zbyt wielki przywilej? Ale nie mógł się go wyrzec.

- Przecież to zwykła rzecz - odpowiedziała, idąc za nim.

- Zrobiłabym to dla każdego.

- Ale ja jestem inny, jestem Żydem - odparł przez ramię.

- Ludzie tak mówią.

W ciszy, gdy tak szli jedno za drugim, Himmelfarb słyszał jej oddech.

Słyszał też szelest trawy, gdy kobieta mówiła:

- Nic nie wiem o Żydach prócz tego, co ludzie o nich opowiadają, no i z Biblii oczywiście. - Zadyszała się, bo

trudno jej było to wyrazić. - Ale znam ludzi i nie ma między nami innego podziału, tylko na dobrych i złych.

- A więc pani także ma wiarę?

- Co? - Niemal natychmiast poprawiła się i odpowiedziała szybko: - Och, tak, wierzę. Wierzę w Jezusa. Wychowałam się w religii anglikańskiej. W kraju. Wszyscy jesteśmy wierzący. - Ale dodała: - To znaczy, wszystkie dzieci wierzą.

Chwilami sytuacja była kłopotliwa, kiedy tak rozmawiali teraz już w pustym domu.

- A więc to jest dom Żyda! - Wyrwała się jej ta uwaga mimo woli.

Oczy jej błyszczały, jakby z podniecenia wielką przygodą. Rozglądała się dokoła wśród nielicznych sprzętów i zajrzała przez otwarte drzwi do pokoju, gdzie pod łóżkiem stała fibrowa walizeczka.

- Przepraszam - powiedziała - że tak wścibiam nos w pana osobiste sprawy. Niech mi pan wybaczy. Wstąpię znów przechodząc i wezmę, co tam pan będzie miał do wyprania.

Wyszła spieszenie, cicha, pochylając głowę, jakby drzwi były dla niej za niskie.

- Aha! - przypomniała sobie już na schodkach. - Nie przedstawiłam się panu. Nazywam się Godbold, mieszkam z mężem i dziećmi w tamtym baraku - oznajmiła, wskazując palcem swój dom.

- A ja jestem Himmelfarb - odparł Żyd z godnością, jakiej wymagał ten moment.

- Tak — szepnęła pani Godbold.

Nie chciała się zdradzić, że przestraszyło ją brzmienie nazwiska, i odeszła z uśmiechem.

W dwa dni później wróciła wczesnym rankiem, gdy Himmelfarb odmawiał modlitwy. Ze zdumieniem zobaczyła przez okno pasiasty szal, a na czole Żyda i na jego ręce,

sięgające aż po zabandażowaną dłoń filakterie. W pierwszej chwili osłupiała i nie ruszając się z miejsca, śledziła modlitwę na wargach Żyda. Przez okno i z tej odległości wydawało się, że widzi każde słowo wychodzące z jego ust. Gdy wreszcie zdobyła się na wysiłek, żeby odejść, nie przyszło jej na myśl, że mogłaby opuścić rozmodlonego inaczej niż ze spuszczoną głową.

Jemu natomiast nie przyszło na myśl, że mógłby przerwać modlitwę, stojąc tak w łagodnym świetle ranka. Chyba nigdy jeszcze nie sięgnął głębiej w łono swego Boga.

Gdy potem wychodził z domu, znalazł przed drzwiami bochenek świeżego chleba, ciepły i osypany mąką; pani Godbold zapewne sama go upiekła i zawinięty w płótno położyła na brzegu werandy.

Pani Godbold nie ośmieliła się przyjść tego dnia po raz drugi, lecz po południu zjawiono się sześć dziewczątek rozmaitego wzrostu; w ruchach większych z nich była już zapowiedź wdzięku, mniejsze brykały dziecinnie, a jedną starsza siostra niosła na ręku. Biegł z nimi także szczeniak w obroży przerobionej, jak się zdawało, z resztki starej upręży. Himmelfarb podejrzewał, że dzieci po drodze sprzeczały się i z czegoś śmiały, bo na twarzach młodszych dziewczynek dostrzegł zagadkowe wypieki, a najstarsza, która doszła do wieku, kiedy wstyd budzi się z byle powodu, miała minę zgorszona.

Ta, która mu podała wiązkę ziół, była chyba średnią z sióstr.

- Głupia dziewczyna! - syknęła najstarsza. Wszystkie umilkły w oczekiwaniu, ale gotowe lada chwila

wybuchnąć.

- To dla mnie? - spytał Żyd. - Jaki miły pomysł! A co to jest?

- Swierzbik - wyjaśniła ofiarodawczyni.

I wszystkie, z wyjątkiem najstarszej, która zaczerwieniła się i próbowała uciszyć siostry kuksańcami, zaczęły gadać na wyścigi. Niemowlę wtuliło twarz w ramię swej piastunki.

- To gryzie! To się nazywa także szewski ząb! - krzyknęła jedna.
- To może być wszystko, co kto zechce - wrzasnęła ofiarodawczyni. - Przestań, Elsie! Dlaczego się zawsze mnie właśnie czepiasz?
- Głupie zielsko!

Elsie chwilami prawie nienawidziła sióstr.

- Jestem zaszczycony i wzruszony waszym prezentem - powiedział szczerze Himmelfarb.
- Następnym razem przyniesiemy kwiaty! - zawołała malutka, trochę zasmarkana dziewczynka.
- Skąd je weźmiesz? - spytała inna.
- Ukradniemy zza czyjegoś płotu.
- Grace! - jęknęła zrozpaczona Elsie.
- Bo przy naszym domu nie ma ogródka - wyjaśniła któraś.
- Mama jest zanadto zapracowana.
- A tatuś pijany.
- I w ogóle rzadko bywa w domu.

Elsie już popłakiwała, mimo to szybko i stanowczo oświadczyła:

- Matka kazała spytać, czy pan nie ma czegoś do prania, a jeśli tak, to proszę nam dać, a matka jutro rano wszystko wypierze i po południu odniesie, chyba żeby deszcz padał, ale nie zanosi się na to.

Elsie była smukła i miała nieposłuszne włosy, które nie chciały leżeć tak gładko, jak je przed chwilą ułożyła.

Himmelfarb nie mógł odmówić, poszedł więc po swoją brudną bieliznę, a gdy się koło tego krzątał, dziewczynki tymczasem rozpoczęły jakiś niby rytualny taniec, snując się

korowodem wokół przegniłych słupów werandy, zmuszając się wzajemnie do coraz to nowych i niezwykłych póz, krzycząc i oczywiście wciąż zanosząc się od śmiechu. Tylko Elsie stała na uboczu, wyłuskując ziarenka ze strąków, przyglądając się liściom, wypatrując sekrety. Raz nawet podniosła głowę, wyciągając długą, smukłą szyję i spojrzała poprzez gąszcz zarośli w twarz, którą niemal naprawdę tam widziała. Wtedy jednak Maudie, ta sama, która ofiarowała Himmelfarb-owi bukiet, ocknęła się z gorączki zabawy i pokazała najstarszej siostrze język.

- Rozmarzone ciele! - krzyknęła.

Tęskni do chłopca, chłopca, chłopca! Kto to jest ta adumana owca!

- zaśpiewała Kate.

Zarzut niesprawiedliwy, bo niezgodny z prawdą. Elsie Godbold przygryzła wargi. Nie była jeszcze zakochana, chociaż bardzo pragnęła się zakochać.

Wreszcie Himmelfarb wręczył im zawiniątko z bielizną i goście odeszli, lecz długo jeszcze atmosfera pełna była zamętu. Każda forma materii, jeśli istnieje dostatecznie intensywnie, pozostawia na czas pewien swój ślad w miejscu, które opuściła. Dalej więc rozsnuwały się złote smugi, wirowały złote koła, opadał tajemniczy pył. Himmelfarb cieszył się nawet przywiedłym bukietem soczystych, żółtozielonych chwastów.

Zdawało się, że rozsiane zostało wokół brunatnego domku za pocztą ziarno dobroci i że może wszędzie, jeśli złe moce nie zdeptają go i nie zniszczą. Córki pani Godbold przychodziły po dwie, po trzy, całą gromadą, nigdy w pojedynkę; nie wiadomo, czy kierowały się instynktem, czy nakazami wychowania, czy może tak się między sobą umówiły. Matka

wszakże pozwalała sobie na samotne wizyty u sąsiada, może w przekonaniu, że nic groźnego nie spotka już kobiety, która tyle co ona przeżyła. A może szukała u niego opieki.

Tak właśnie odwiedziła Himmelfarba owego wieczora, gdy pani Flack i jej powiernica, pani Jolley, ferowały swoje wyroki zza krzaka jeżyn. Pani Godbold pomogła sąsiadowi opatrzeć gojącą się już rękę i zrobiła to bardzo umiejętnie, owijając dłoń chustką, którą wyprała tak sumiennie, że płótno aż zeszywniało z czystości. Pocieszyła też chorego rozmową na różne tematy, a między innymi na temat mydła.

- Podczas wojny - powiedziała marzycielskim trochę tonem, jakim się wspomina przeszłość - sama wyrabiałam mydło. W dużych blaszankach. A potem krajałam je na kawałki.

Himmelfarb ku własnemu zdziwieniu łatwo dał się przekonać o doniosłej roli i zaletach żółtego mydła.

- Widzi pani - zażartował nawet - my, Żydzi, nieufnie odnosimy się do takiego prymitywnego mydła, odkąd z nas wytapiano tłuszcz.

Ale pani Godbold albo nie dosłyszała tych słów, albo też aluzja w nich zawarta była zbyt odległa i nieprawdopodobna, żeby ją mogła zrozumieć. Możliwe też, że w jej pojęciu istniało jedynie to zło, którego brzemień sama dźwigała; tylko ona musiała się uginać i ugiwała się pod ciosem pięści, i przyjmowała go, jeśli inaczej być nie mogło, między oczy.

Himmelfarb wyczuwał to, lecz nie mógł jej mieć za złe tej naiwności. Zresztą podejrzewał, że jest to wada wszystkich chrześcijan.

Wyszli już na frontową werandę i nagle musieli stawić czoło atakowi zachodzącego słońca. Zapierając się niejako piętami w ziemi, żeby oprzeć się tej napaści, marszczyli czoła i śmiali się jednocześnie.

- Dziś wieczorem - powiedziała pani Godbold - mamy na kolację mostek barani. To ulubiona potrawa mojego męża. Mąż ma być dzisiaj w domu. Chrząknęła jakby usprawiedliwiając się z jakiegoś nieporządku w życiu.

- Nie mogę sobie wyobrazić pani męża - wyznał Himmelfarb. - Nigdy pani o nim nie wspominała.

- Och! - zaśmiała się po krótkiej chwili milczenia. - Tom jest brunetem. Kiedyś był bardzo przystojny. Majster do wszystkiego, jak to mówią. Kiedy go poznałam, rozwoził lód.

Dwoje ludzi na schodkach przed domem stało bezradnie w wieczornym świetle. Kobieta osiągnęła może ten stan, w którym obsesja całkowicie pochłania swoją ofiarę.

- Muszę panu powiedzieć, chociaż niechętnie - zaczęła, z trudem wydobywając słowa z gardła - bo to przecież tylko nasza sprawa, że Tom nigdy nie dostąpi zbawienia.

Żyd z dreszczem wspominał wszystkie linie graniczne, na których omal się nie zatrzymał.

- Oczywiście - ciągnęła dalej, zwilżając wargi, żeby wymówić najtrudniejsze prawdy - ja go nie opuszczę. Sama też jestem dopuszczona tylko z łaski. - I jakby dla własnej pociechy dodała: - Możliwe, że czasem otrzymujemy przebaczenie za coś, o czym sami zapomnieliśmy.

Ale oczyma duszy wciąż szukała nieuchwytniej igły zbawienia. Aż wreszcie Żyd, który własnej przyszłości także jeszcze nie widział jasno, ściągnął ją umyślnie z powrotem na ziemię.

- Bądź co bądź - powiedział - zbawiła pani dobrocią i staraniem moją lewą rękę.

Musiała się roześmiać. Oboje się śmiali; tak pełne było to chwilowe wyzwolenie, że jakaś cząstka prostej radości promieniowała z nich widomie, ęą^biłó' %tkowicie z tropu dwie panie podpatrujące ich zza iązaka jezyrir ,

L ' j

"& ' ^ 317

Zgodnie z zapowiedzią pani Jolley spotkała przyjaciółkę w niedzielę przed kościołem, lecz takie spotkania nie dają okazji do poufnych rozmów; bezpośrednio po nabożeństwie nie wydaje się możliwe ani pożądane obieranie aż do ostatniej i najbardziej interesującej łupiny tej podejrzanej cebuli, jaką jest prawda. Toteż przyjaciółki wołały przeczekać.

Dopiero w kilka dni później pani Jolley znalazła sposobność, by zajrzeć do pani Flack. „Zajrzeć” to wyrażenie kojarzące się z wizytą złożoną od niechcenia, pozornie niewłaściwe, skoro chodziło o tak delikatny zabieg, jak obskubanie prawdy, lecz trzeba pamiętać, że dystygowane panie żerują na sposób krabów, zachodząc bokiem. Dlatego to pani Jolley nie ubrała się w najlepszą swoją suknię. Rękawiczki niosła w ręku, nie wciągnęła ich na dłonie, ponieważ znalazła się przed domem pani Flack jak gdyby przypadkiem. Nie była też umalowana - nigdy zresztą nie malowała się tak, by nadać cerze gładkość lakieru - lecz przed wyjściem z domu oblizwała pomadkę do ust jak porcję lodów.

I oto była na miejscu.

Pani Flack okazała zdziwienie.

- Zajrzałam tylko na chwileczkę - tłumaczyła się pani Jolley, lecz z uśmiechem.

Pani Flack zamknęła drzwi od kuchni i stanęła pod nimi w głębi hallu.

Pani Jolley wyczuła, że przyjaciółka nie bez szczególnych powodów przybrała tę pozę.

- No i cóż? - oschle spytała pani Flack.

Pani Jolley uśmiechnęła się, częściowo z przyjaźni, ale bardziej z ciekawości, co dzieje się za kuchennymi drzwiami.

- Wypiła już pani herbatę? - spytała, żeby jakoś zacząć rozmowę.

- Pani przecież wie, że nigdy wieczorem nie jadam nic solidniejszego - odparła urażona pani Flack. - Żołądek nie

dałby mi spać spokojnie. Ale, owszem, wypiałam filiżankę lekkiej herbaty.

- Przepraszam, jeżeli przyszedłam nie w porę - rzekła z uśmiechem pani Jolley. - Pani ma gościa. Pewno ktoś z rodziny.

- Nic ważnego - zaprotestowała pani Flack, kierując przyjaciółkę do saloniku. - Jest młody człowiek, który mnie czasem odwiedza i dostaje coś na kolację. Młodzi nie umieją dbać o swoje odżywianie.

- Z pewnością zna go pani od dziecka - odpowiedziała pani Jolley.

- Tak, od dziecka - odparła pani Flack. - Właściwie to jest mój siostrzeniec.

Tymczasem były już w saloniku i zasiadły na fotelach „ptipła” pod oknem. Tym razem pani Jolley nie zwracała uwagi na gipsowe boginki, zwykle rzucające się w oczy i napawające właścicielkę wielką dumą.

- Ach! - westchnęła pani Jolley, jak gdyby wspinała się po schodach, i przebiegała zakamarki pamięci z takim pośpiechem, że nie mogła mówić bez zadyszki. - Siostrzeniec! Zdawało mi się, z tego, co pani opowiadała, że nie ma pani żadnych zobowiązań.

Pani Flack wyprostowała się i zwróciła ku niej żółtą twarz dość spokojną, lecz pauza trwała nieco przydługo.

- Wypadło mi widać z głowy - rzekła wreszcie niewzruszonym tonem. - Każdemu to się może przytrafić. Zresztą siostrzeńca, który przychodzi głównie ze względu na kotlety, trudno by nazwać zobowiązaniem.

Przynajmniej tak uważam.

Pani Jolley przytakiwała.

- Po prostu robię to czasem z dobroci serca - przypieczętowała sprawę pani Flack.

- Rzeczywiście, pani jest bardzo dobra - stwierdziła pani Jolley.

Po czym umilkły, rozglądając się po meblach i szukając w nich dalszego natchnienia. W końcu pani Jolley musiała pierwsza zapytać:

- Słyszała pani coś nowego o wiadomej osobie?

Pani Flack zamknęła oczy. Pani Jolley zadrżała z lęku, że złamała jakąś ważną regułę gry. Pani Flack zaczęła kołysać głową ruchem wahadłowym. Pani Jolley odetchnęła. W myślach przykucnęła przed trójnogiem wyroczni.

- Nic takiego, co by można uznać za coś - odparła pytia.

- Ale prawda zawsze na wierzch wyjdzie.

- Każdy musi płacić - zapiała pani Jolley.

Znała się na tych sprawach, chociaż niektóre osoby nie chciały jej tego przyznać.

- Każdy musi płacić - powtórzyła pani Flack. I strąciła ze stolika małą popielniczkę, prawdopodobnie nigdy nie używaną, ozdobioną widoczką zamku Windsor. Zamek Windsor pękł na dwoje. Pani Flack chętnie by zrzuciła winę na kogoś innego, ale nie mogła tego zrobić. Pani Jolley syknęła z ubolewaniem i pomogła zebrać skorupy.

- Zawsze to się dzieje tak niespodziewanie - powiedziała

- a jednak z góry człowiek wie, że musi się stać.

- To mi przypomina pewien sen - rzekła pani Flack.

- Miałam, proszę pani, sen i występował w nim pani mąż nieboszczyk.

Pani Jolley osłupiała i wbiła wzrok w róże na dywanie.

- Nadzwyczajne! - powiedziała. - Skąd się to pani wzięło? Jakim sposobem przyszło to pani na myśl?

- Nie w tym rzecz - odparła pani Flack. - Wynosili pani męża na noszach. Rozumie pani? A ja, wybaczy pani, ale w tym śnie byłam panią.

Pani Flack zaczerwieniła się, ale pani Jolley zbladła.

- Co pani powie! - zawołała. - Co to za bzdury śnią się ludziom!

- Powiedziała: „Do widzenia, panie Jolley” - ciągnęła pani Flack.
Pani Jolley zacisnęła usta.

- A on powiedział: „Pocałuj mnie, moja...” i nazwał mnie jakimś imieniem, którego nie pamiętam, chyba „Pchełka”. „Pocałuj mnie, zanim wyruszę w ostatnią podróż”. Ja - a właściwie pani - odpowiedziałam: „Chętnie cię pocałuję ten pierwszy i ostatni raz”. A on: „Kto to zabił pocałunkiem?”.

No i wtedy go wynieśli.

- Nie żył już, kiedy go układali na noszach! Umarł w fotelu! W chwili, kiedy mu podawałam filiżankę herbaty!

- We śnie inaczej. Rozumie pani?

- Co za bzdury! Zabić pocałunkiem!

Pani Flack tak się wydawała rozradowana, jakby patrząc z wysokiej góry napawała się rozległym widokiem.

- Któż może rozstrzygnąć, kto kogo zabił? Mężczyźni i kobiety nie odpowiadają właściwie za swoje uczynki. Miałyśmy przykład w zeszłym tygodniu na Montebello Avenue.

Pani Jolley była bardzo przejęta.

- I pocałowała go pani?

- Nie pamiętam - odparła pani Flack, przyglądając spódnicy.

Pani Jolley bułgotliwie pociągnęła nosem.

- Ale my tu rozmawiamy o takich rzeczach, a ten pani siostrzeniec siedzi tuż, w kuchni - zauważyła.

Był nawet bliżej. W tej samej bowiem chwili drzwi się uchylły, młodzieniec pojawił się w nich w całej swej okazałości. Pani Jolley miała wrażenie, że trykotowa koszulka i dżinsy nie kryją nic z jego wyjątkowo pięknych kształtów; najwidoczniej nie był przyzwyczajony do ubrań. Podobnie jak pani Jolley do posagów. Prychnęła i skierowała wzrok na inne przedmioty.

- Och! - wykrzyknęła pani Flack, odwracając głowę; umocniwszy swoją pozycję, odzyskała giętkość. - Jak ci smakował kotlet?

Młodzieniec otworzył usta. Gdyby miał zęby, zapewne cmoknąłby, wypychając ze szpar resztki mięsa. Zamiast tego wypluł spomiędzy dwóch pozostałych w dziąsłach kłów jedno tylko słowo:

- Twardy.

Trzeba przyznać, że głowa młodzieńca, mimo jego klasycznej budowy, rozczarowywała; skóra, sucha i krościata, a miejscami napięta zbyt mocno i błyszcząca, przypominała znaczki pocztowe; rzęsy jak gdyby opalone u korzeni, włosy zjeżone krótko, ale jaskraworude. Słowa wydobywały się z warg z trudem i zniekształcone.

- Na razie cześć! - oświadczył.

- Dokąd się spieszysz? — spytała pani Flack, która jak się okazało, rozumiała ten bełkot.

- Tk's przelece.

Ceglany dom pani Flack zadrżał w posadach, gdy go opuszczał siostrzeniec gospodyni. Pani Jolley była zadumana.

- To siostry syn czy brata? - zapytała.

Pani Flack, również zadumana, niechętnie oderwała się od swoich myśli.

- Och, siostry, siostry - szepnęła. Zdawkowym jednak tonem.

- Nie dosłyszałam, jak ma na imię.

- Mówi się na niego Blue.

Pani Jolley zrozumiała, że niczego więcej nie dowie się na razie, ale wkrótce została ściągnięta z odległości, na którą się z rezerwą wycofała.

- Powiem pani coś ciekawego - oświadczyła niespodzianie pani Flack.

Zbierając się w sobie, jakby cała zamieniona w ostrze igły. - Blue pracuje... a raczej ma nadzór w warsz

tacie wyrobów metalowych - dobrze tam zarabia - w fabryce pana Rosetree, w Barranugli.

- W fabryce pana Rosetree?

- Czy pani nie rozumie? Tam gdzie pracuje ten Żyd, z którym Godboldowa utrzymuje takie podejrzane stosunki.

- Co pani powie!

- No, właśnie. A przy tym - dodała pani Flack - Blue ma oczy otwarte i wypatrzy wszystko, czego zechcę się dowiedzieć. Nie twierdzę, że jest inteligentny. Nigdy nie zaliczał się do zdolnych chłopców, ale zawsze był uległy. Jeżeli mu podsunąć plan, wykona go dokładnie, rozumie pani, a to niczym nie grozi, byle oczywiście plan był dobry i kierowała nim właściwa osoba.

Pani Jolley odchyliła głowę i roześmiała się tak triumfalnie, że pani Flack zwątpiła, czy przyjaciółka zdaje sobie sprawę z wagi atutu, którym nad nią góruje partnerka.

- Ja pani nawzajem coś powiem - rzekła pani Jolley. - Moja pracodawczyni spotyka się z tym Żydem. Pod pewnym starym drzewem. W ogrodzie. No, co pani na to?

Drżała, ale nie ze strachu.

Pani Flack z zasady nie przyjmowała cudzych rewelacji bez zastrzeżeń.

Najpierw więc oblizała wargi, a potem powiedziała tylko tyle:

- Co też to ludziom do głowy strzela! - Głos brzmiał miękkością starego zamszu, lecz umysł już wypróbowywał stalowe ostrze. Pani Jolley oblała się fioletowym rumieńcem.

- Proszę pani! - wykrztusiła zdławionym głosem. - Niektóre osoby prowadzą się okropnie. - Co można zrobić?

- Co zrobić? - powtórzyła pani Flack. - Nie mnie należałoby pytać. Czy jestem policjantem? Czy jestem rządem albo radą naszego okręgu?

Powinno by się tym zajmować duchowieństwo, ale rzadko podejmuje jakieś kroki. A my, cóż, dwie starsze panie z poczuciem przyzwoitości!

Ani mi się śni

brudzić rąk tykając takich rzeczy. Zresztą, można by się sparzyć. Nie, proszę pani, jak się taka kasza warzy, na nic się nie zda chuchać w garnek. Niech się to pomalutku pichci, a my tylko od czasu do czasu troszkę zamieszamy, żeby wszystko szło jak należy. Dopiero jak się ugotuje do końca, z pewnością znajdzie się ktoś, kto chętnie wystąpi i zje kaszę. Pani Jolley jednak kipiała z niecierpliwości.

- Ale ona! Ona! Pod drzewem! Taka zezowata pokraka! I w dodatku wariatka!

Pani Flack musiała uszanować namiętne uczucia, z których zrodziła się nienawiść jej przyjaciółki.

- Od dawna bym stamtąd odeszła, gdyby nie to, że mogę być jej pomocna. Czy pani kiedykolwiek, leżąc w łóżku, nasłuchiwała, jak dom trzeszczy, czy pani drżała, że może się zwalić na pani głowę, i myślała, a niech tam, niech się wali?

- Mnie tam nikt nie przyłapie pod dachem w tak fatalnym stanie.

- A gdyby panią zmusiły okoliczności? - ostro spytała pani Jolley.

- Okoliczności nie są tak złe, jak sobie niektóre osoby wmawiają - odparła pani Flack. - Mogłaby pani żyć wygodnie jak u Pana Boga za piecem, spać pod niebieską kołdrą w moim gościnnym pokoju, gdyby pani nie była taka uparta.

Pani Jolley odczuła żądło. Twarz jej zwiotczała.

- Trochę się jeszcze waham - szepnęła przez rozluźnione zęby.

- Tej rudery nie trzeba nawet palcem trącić, Xanadu i tak się rozsypie.

Proch w proch się obróci, jak to mówią.

- Czy aby na pewno? Czy na pewno? Czy zostaną jeszcze porządne domy z cegieł, z kanalizacją, rynnami i telefonem? - Pani Jolley wpadła w trans.

- Czy zobaczę kres tego szaleństwa, tych ludzi gadających, jakby opowiadali sny? Obłąd powinien być policyjnie zabroniony i oczywiście nikt

by nie wariował w przyzwoitym ceglanym domu. A w takiej ogromnej starej ruderze myśli próżniaków błakają się wciąż po wszystkich kątach. Nigdy nie zapomnę tych obłądnych myśli i tych łupin od owoców. Tych ludzi, tam na górze, śniących w pościeli z irlandzkiego płótna.

326

CZĘŚĆ CZWARTA

ix

Pani Godbold lubiła przy prasowaniu śpiewać. Miała dźwięczny, chociaż trochę drżący mezzosopran, który jej córce Elsie, jak mówiła, przypominał roztopioną czekoladę. Rzeczywiście, słuchając śpiewu matki córki przybierały wyraz smutny i rozmarzony, robił na nich mniej więcej takie wrażenie jak ciepła, miękka czekolada. Pani Godbold prasowała długimi, melancholijnymi, parującymi pociągnięciami i śpiewała. Czasem żelazko stukało o deskę, podkreślając frazę, a potem sięgając w mniej dostępne zakątki koszuli sunęło łagodniej przy akompaniamencie tremolanda. Wargi starszych dziewcząt rozchyłały się w przeczuciu nieuchronnego dramatu, który im gotowała przyszłość, młodsze zaś zafascynowane przypatrywały się otwartym porom w kremowej skórze matki. Ona jednak śpiewała na nic nie zważając, porwana własnymi słowami.

Najchętniej śpiewała o śmierci, o sądzie i o przyszłym życiu. Ulubioną jej pieśnią była ta:

*Zbudziłem się, loch światłem gorzał,
Serce ju^ wolne, opadły kajdany,
Wstałem, wyszedłem, by odtąd iść %a Nim.*

Ale także lubiła inną:

*Patr[^], Zwycięzca tryumf święci, Uczcij go w królewskiej chwale. Wóz
ognisty ku niebiosom Po chmur toczy^sh powale.*

W takich chwilach wiara lub światło przekonywały wiele oczu. Bo w baraku Godboldów światło w niepojęty sposób zawsze wspierało słowa śpiewaczki. Potężne ogniste włócznie przeszywały zwałnione chmury, przenikały przez męt-nawe szyby, godziły w cel tak żywy i wrażliwy, że niejedno sumienie musiało zdrzeć. Kiedy indziej znów proroczy głos rozlegał się w mroźnej bieli zimowego popołudnia. Te momenty były chyba najcudowniejsze. Kobieta w fartuchu przeobrażała się w anioła z zastygłego światła. Im bardziej mroźne było powietrze, tym gęstszy wznosił się obłok pary, tym więcej litości tchnęło z wyroków anioła. Na dziedzińcu, lecz widoczny przez drzwi, które Godbold od początku osadził krzywo, stał ogromny kocioł, podparty przez dziewczynki skrzyżowanymi kołkami i zawsze jakby rozjarzony od na pół ukrytego żaru. Przebłyski ognia i lśnienie ziejącej, wielkiej miedzianej czary przejmowały grozą w świetle hymnów pani Godbold.

Jeden tylko człowiek zachowywał sceptycyzm, a mianowicie pan Godbold, jeśli przypadkiem był w domu; jeśli był poza domem, co mu się zdarzało najczęściej, nie myślał o tym w ogóle. Nie miał czasu na „te sprawy”. Sprawy, na które miał czas, dość łatwo wyliczyć: piwo, seks i konie - w tym właśnie porządku. W gruncie rzeczy nie lubił piwa, lecz musiał zalewać robaka. Kobiety także nie znaczyły dla niego więcej niż każda inna głupia gra, a ta na dobitkę pociągała za sobą ryzyko ojcostwa lub syfilisu, ale znajdował czasem

chwilę zapomnienia w brutalnym akcie płciowym. Konie również nie pociągały go same w sobie; po prostu jego byt materialny - rzecz bądź co bądź najważniejsza - zależał od wysiłku czterech końskich nóg.

Każdy, myśląc trzeźwo, musiał prędko dojść do wniosku, że tego osobnika należy omijać z dala; każdy z wyjątkiem ulicznej dziewczyny, za którą się właśnie włóczył i która jeszcze nie zaznała jego bezlitosnej pięści, i z wyjątkiem żony, bo żona lubiła wspominać przeszłość, swego męża takiego, jakim jej się wydawał, zanim odkryła prawdę; dla nich Tom Godbold zachował wciąż jeszcze jakąś zniszczoną urodę, jakiś gorzki wdzięk. Żrący kwas czasu wgrzył się w brąz, pogrubiał fakturę, zamazał rysy. Tom Godbold był teraz chudy i żylasty. Lecz jego oczy umiały zawsze zburzyć obronne mury logiki i przezorności, tak wymownie zdawały się prosić o pobłażliwość, a nawet niekiedy o miłość. Miał bardzo piękne, ciemne oczy. Te, które dawały mu się oszukać, nie chciały widzieć ostrzeżenia w zatrutych piwem i żółcią białkach. Poza tym miał zwyczaj dotykać jednym palcem lub co najwyżej dwoma nagiej skóry czyjegoś ramienia prawie z drzeniem albo też ścisnąć łokieć łagodnie, maskując rozkaz pieszczotą. Wówczas żona słabła i ulegała, a kobiety, które w pokoju nad knajpą odzierał z łupin wstydlivości, ostatnich osłon wyzbywały się same, zrzucając je zuchwałymi rękoma. Dopiero poniewczasie każda musiała ocknąć się w łóżku i zrozumieć, że oczy Toma Godbolda patrzyły we własną tylko głąb. Wtedy ta dopiero co pobita kochanka sięgała pospiesznie po ubranie, żeby się w nim schronić, i nigdy później nie mogła odżałować swego porywu. Ale żona z natury niezdolna była oczywiście do ucieczki. Ona musiała cierpieć. Trwała jak kamień, z tą jednak różnicą, że myśli przebijały się przez żyły drobnymi bolesnymi uderzeniami, a kobieta zadawała sobie pytanie,

czy znów w żądy poczęła nowe życie. Tak silna, była przecież załóżnie słaba. A może dobra. Leżała tak, dopóki narastające światło nie zdjęło z jej powiek ciężaru. Wtedy zwlekała się z łóżka i rozpałała ogień pod kotłem.

Wiara mimo wahań nie traci przekonującej siły. Staje się przez to czymś żywym jak dziecko poruszające się w łonie matki. Wiara pani Godbold poruszała się i rosła w szarej, galaretowatej mgle poranka, aż wreszcie wyzwalała się, rodziła na nowo wraz z blaskiem i pociechą ognia.

Tom Godbold najbardziej nienawidził właśnie tego biologicznego niemal charakteru żoninej wiary. Nie on też był jej ojcem. To bądź co bądź uczciwie mógł przyznać.

- Ależ, Tomie - mówiła swoim łagodnym, poważnym, jętrzącym go do furii głosem - odrodzić się czyż to nie piękne?

Odpowiadał przez zęby:

- Mnie tam na żadne odrodzenie nie nabierzesz. Co to, to nie.

Spoglądał na gromadę dziewcząt i zawsze wydawało mu się, że najmłodsza dopiero co wypadła z rogu obfitości. Wiecznie w domu pachniało ciepłymi pieluchami, nieomylnie rozpoznawalnym jak wyrzut sumienia zapachem nowo narodzonego, pomarszczonego ciała.

- O Jezu! Nie! Dość mam narodzin! - powtarzał Tom Godbold i albo wychodził, albo zagłębiał się w kronice sportowej.

Tego dnia, gdy dwie przyjaciółki podpatrzyły odwiedzinę pani Godbold u sąsiada, wieczorem doszło w rodzinie do wymiany słów i poglądów. Tom Godbold wrócił z pracy. Ostatnio prowadził ciężarówkę pewnego handlarza drewnem opałowym, ale zamierzał przerwucić się na transport kurzego nawozu. Ojciec czytał gazetę, matka prasowała. Dzieci kręciły się, to wchodząc, to wychodząc. Czasem podnosiły wzrok

na matkę, najczęściej jednak patrzyły na robocze buty ojca, które miały sztywne języki w kształcie kielni i tępe, brutalne nosy.

Pani Godbold starając się ściszyć do *mevgo voce* swój sopran, żeby gorzej nie rozdrażnić męża, zaczęła właśnie śpiewać ulubioną pieśń: *Zbudziłem się, loch cały światłem go-r%ał...*, gdy wbiegła mała Grace.

- Mamo! - krzyknęła. - Wiesz co? - I przytuliła twarz do boku matki, szukając znajomego zapachu grzanek i czystej bielizny.

- Jezus mnie zbawił! - krzyknęła Grace. Była jednak bardzo blada, jak gdyby chcąc sprawić przyjemność matce brała na siebie jakieś brzemie ponad siły. Nikt się naprawdę nie ucieszył.

- Kto cię zbawił? - spytał ojciec. Gazeta zaszeleściła w jego rękę.

Grace nie znajdowała słów. Z natury krzepka, starała się wyglądać jak najdelikatniej.

- Brednie! - rzekł ojciec. Chwycił gazetę. - Brednie, brednie, brednie! - wrzeszczał.

Zaczął bić żonę po głowie płachtą gazety, co mogło wydać się żartem, ale to nie był żart.

Pani Godbold schyliła głowę. Zatrzepotała rzęsami. Światło migало wokół niej w łopocie białych skrzydeł. Stała olśniona.

- Takie jest moje zdanie - ryczał mąż i ojciec - ale nikt w tym domu nie dba o to, co ja myślę!

Papier rozsypał się w strzępy i Godbold nagle zauważył, że nic nie zostało mu w rękach. Przyglądał im się chwilę, a potem rzekł:

- Tak myślę o wszystkich skomlących chrześcijanach. Płaską dłonią uderzył żonę w ucho; pokój zakołysał się i zadrżał w jej oczach razem z wszystkimi, którzy ją otaczali, nie wyłączając Toma Godbolda.

- A Jezus - ryczał jakby usiłując zagłuszyć własny ból - Jezus tkwi mi we flakach jak kamień! Jak kamień! O, tak!

I pchnął twardą pięścią brzuch żony, a kiedy czepiając się stołu, upadła na podłogę, dołożył parę kopniaków.

Po chwili głuchoj ciszy wybuchł krzyk, jakby ktoś wetknął kij w pełne piskląt gniazdo. Dzieci, szlochając, zbiły się w gromadkę. Cisnęły się do matki, wszystkie z wyjątkiem oczywiście niemowlęcia i najstarszej Elsie, która jeszcze nie wróciła do domu.

Ojciec już niemal tonął, ale zdołał przełknąć fale wstępu, triumfu i strachu, i rozpierającego poczucia władzy, które groziły mu zalewem.

- No i co? - wykrztusił. - No, co?

Nikt mu nie odpowiedział. Dzieci, chlipiąc, odsuwały się jak najdalej.

Wszystkie odwróciły się od niego, tylko żona nie zasłaniała oczu, gotowa przyjąć, cokolwiek się zdarzy. Taką już miała naturę, stwierdził to znowu ze zgrozą.

- Wynoszę się stąd! - oznajmił w końcu. - Wynoszę się do diabła!

Trzasnął drzwiami, ale gdy wspinał się ciężko na wzgórze, dogonił go głos żony; nie zatrzymał się, nie chciał słuchać, ze strachu, że kobieta nielojalnie wykorzysta swoją przewagę, żeby go zmiękczyć. Kiedyś na przykład zawołała za nim, pytając, co życzy sobie dostać na kolację, a wtedy Tom Godbold omal nie wyrzygał natychmiast całej przepelniającej go rozpacz.

Pani Godbold rzeczywiście tak była wolna od kaprysów i tak wierna, że nie wzdragała się przed żadnym sposobem; tym razem jednak zanadto na razie osłabła. Dzieci tamowały jej oddech, garnąc się i lgnąc do niej, usiłując wskrzesić coś, co było dla nich niewzruszone i pewne, lecz teraz ku ich przerażeniu wymykało się coraz dalej, coraz szybciej.

- Nic mi nie jest - powiedziała. - Dajcie mi tylko złapać dech. Odsuńcie się trochę, odsuńcie się wszystkie. O Boże! - krzyknęła dotykając swego boku.

Oczywiście, wszystko to zdarzało się już nie raz. Nic nie było nowe. Tylko dla dzieci. Toteż dzieci nie przestawały płakać. Trochę się uspokoiły, gdy matka wstała.

- Nie zapominajmy o mostku faszerowanym - powiedziała. - Do roboty, Kate. Dzisiaj twoja kolej.

Dopiero wtedy zrozumiały, że będą mogły znów podjąć wątek życia.

Matka odważyła się na chwilę usiąść, ale tylko na brzeżku krzesła.

Chętnie by pogawędziła z kimś o przeszłości, nawet

o tych zdarzeniach, które były najgorszą dla niej udręką, jak emigracja i poronienia, a tym bardziej o okresie zalotów; marzyła, żeby powaleśać się wśród wspomnień, które zdążyły już zastygnąć w posągi. Teraźniejszość bowiem i czas przyszły płyną, płyną nieustannie jak straszna muzyka, i nawet pani Godbold brakowało niekiedy odwagi, gdy wlokła się brzegiem jednej burzliwej rzeki ku jej ujściu do drugiej, a cel zawsze ginął we mgle. Oglądała się wtedy przez ramię za siebie na ogród posągów; z tej odległości był pociągający

l zdawało się, że aby nim wędrować, nie potrzeba wiary.

W płaskim kraju mokradeł, z którego pochodziła, przywykła do tego, co ludzie nieczuli na odcienie nazywają monotonią. Kraj był szary.

Wprawdzie czasem we wspomnieniu mignął jej kwiat ślazu na tle szarego muru albo róża pnąca się aż pod okap, albo rozłożysty wiąz, nieruchomy w letnim upale, najlepiej jednak pamiętała zimę i jej niezliczone odmiany szarości: stuk butów na szarej ulicy, szare lustra zamarzniętych wód; wrony wzbijające się z gałęzi wiązu pod szary marmur nieba; katedera - najbardziej, najwytrwalej szara wśród całej tej szarzyzny, wznosząca się ku chmurze, która czasem się rozpraszała, a czasem stapiała się z kamieniem.

Katedra była jednocześnie ważnym elementem krajobrazu i tajemnicą, której cześć obowiązani byli oddawać okoliczni ziemianie i której na swój apatyczny sposób dochowywali wierności, spełniając co niedziela przed obiadem jakieś przerażające obrzędy. Mała dziewczynka niewiele wiedziała, bo cała jej rodzina należała do kościoła anglikańskiego i stara babka nie przypominała sobie żadnego wyjątku od tej zasady. Oczywiście ojciec nic nie pamiętał w tej sprawie, nawet nigdy nie próbował sobie przypomnieć. To nie jest rzecz mężczyzn. Dziewczynka wkrótce odkryła, że kobietom przystoi pamiętać, mężczyznom zaś działać i po prostu być. Ojciec był szewcem; człowiekiem bardzo pobożnym, bo święcił sumiennie niedzielę, a poza tym brał udział w zebraniach wiernych i w miarę swych możliwości starał się czynić dobrze, ilekroć dobroczynność była konieczna. W podobny sposób dbał o swoje dzieci, zawsze dostatecznie, lecz nigdy nie zastanawiając się nad ich prawdziwymi potrzebami ani też nie wnikając w ich myśli. Po śmierci żony uznał widocznie, że nie ma po co wracać do mieszkania, i przesiadywał w warsztacie nad robotą do późna w noc. Córka przychodziła czasem aż pod próg, by zobaczyć plecy ojca i kark schylony w nagim świetle wiszącej lampy. Szewc miał twarde ręce pachnące woskiem. Może też był twardy, chociaż sprawiedliwy; w każdym razie nie umiał zapewne kochać, mimo że lubił córkę, ponieważ była jego córką, i wszystkie dzieci, ponieważ tak nakazywał Bóg.

Córka odziedziczyła po nim poczucie obowiązku, ale miała ponadto zdolność do uniesień, których ojciec nigdy nie zaznał. Grzmiące hymny porywały ją wysoko ponad dymiący naftowy piecyk; nie tylko zdrowie rozpiekało jej piersi, lecz także jakaś szczególna ekstaza. Nigdy się jednak nie zapamiętywała.

Nie spuszczała czujnych oczu ze swej gromadki, karciała każdy wybryk, znajdowała zawsze miejsce dla młodszych

sióstr i braci. Uważała to za swój obowiązek, była to sprawa zupełnie jasna. Jako najstarsza, stała się dla rodzeństwa prawdziwą matką. Kiedy najstarsza córka podrosła, mówiono trochę o tym, że mogłaby się kształcić i zostać nauczycielką, ale to nie miało sensu. Ilekroć o tym ktoś wspominał, spuszczała głowę zawstydzona, jakby z niej kpiono. Nie czuła się powołana do takich zaszczytów. Nie była też w gruncie rzeczy dość zdolna, sama chętnie to przyznawała i odetchnęła z ulgą, gdy zaniechano ambitnych planów. Potem mówiło się o oddaniu jej na służbę do starej lady Aveling. Projekt był dyskutowany podczas zabawy ogrodowej urządzonej na rzecz ofiar jakiegoś trzęsienia ziemi. Dziewczyna stała wpatrzona w skuwkę parasola, ojciec zaś odpowiadał na pytania dotyczące jej osoby. A tymczasem nieprawdopodobnie pewne siebie młode panny w koronkowych bluzkach strzelały z łuków do celów, rozstawionych dla ich zabawy przez ogrodników, albo też wołały coś do pięknych młodzieńców, których uprzejmość zalatywała zuchwalstwem. Strzały przeszywały zrozpaczoną, zdrętwiałą dziewczynę. Przerażała ją myśl, co stanie się z jej dziećmi, jeśli ona odejdzie do wielkopańskich włości lady Aveling. W końcu jednak i ten plan upadł tak samo jak pierwszy i najstarsza córka została w domu, pomagając w gospodarstwie, a właściwie podpierając rodzinne gniazdo wszystkimi siłami młodych ramion. Była co prawda babka, ale chorowita staruszka nie mogła już robić nic, chyba tylko łuskać groch, siedząc w trzciniowym fotelu pośrodku wyłożonej ceglami ścieżki między krzewami agrestu, gdy słońce przygrzewało. Najstarsza córka, od wczesnych lat ubrana w biały nakrochmalony fartuch, występowała jako pani domu. Na jej szerokiej twarzy malował się namysł, gdy zadawano jej pytania, zawsze jednak w końcu znajdowała odpowiedź.

Praca i obowiązki nie zgasiły w niej młodości. Ani trochę. Korzystała z wielu prostych rozrywek. Były więc wycieczki z rodzeństwem lub w szerszym gronie współparafian, w zimie ślizgawka i wyprawy na orzechy, w lecie sianokosy i długie popołudnia leniuchowania na łące lub nad wodą, na pół prześnione, na pół przeżyte.

Pewnego razu Rob - Rob zawsze był najśmielszy - zaproponował:
- A może byśmy weszli do katedry i rozejrzeli się, co tam jest w środku? Na dworze zimno, nic innego nie mamy do roboty.-Co? Jak myślisz, siostró?

Zazwyczaj wahała się przed decyzją, bo na niej przecież ciążyła odpowiedzialność, lecz tym razem ustąpiła. Nie dlatego, że dzieci poszturchiwały ją i prosiły, ale dlatego, że sama już płonęła z ciekawości. Dotychczas ledwie czasem rzucała okiem w otwarte drzwi katedry swego rodzinnego miasta, teraz te drzwi wchłonęły nagle całą gromadkę do wnętrza pachnącego rurami z gorącą wodą, w świat, który nabierając wyraźniejszych kształtów wprawdzie nie gromił dzieci za zuchwalstwo, lecz zrazu przyjął ich całkowitą obojętnością. Otoczył ich w krąg olbrzymi las, kamienne konary sklepiały się ponad ich głowami na firmamencie z błękitu i czerwieni, a spod niego spływało przesiane przyćmione światło czy te' muzyka. Z początku dzieci zachowywały się z szacunkiem. Własne ręce i nogi jakby przestały do nich należeć. Twarze przybrały bogobojny wyraz niby groteskowe maseczki. W przekonaniu, że tak właśnie trzeba, dzieci podziwiałały nieinteresujące przedmioty, na przykład tablice ku czci zmarłych, lecz wykrzyknęły ze szczerego zachwyty dopiero na widok charta u stóp spoczywającej na sarkofagu księżnej Wobec prawdziwości kamiennego wizerunku odzysk; zwykły humor. Nabrały zaufania. Zaczęły się śmiać i po klepywać z przesadną energią, a twarze ich nawet w pół

mroku katedry jaśniały rumieńcami i poczerwieniały jeszcze mocniej, gdy któreś puściło bąka, i to dość głośno. Rozpierzchły się, jakby je wiatr zmiótł, ale na różne ścieżki, tupiąc i parszkając śmiechem, mimo że opiekunka, najstarsza siostra, usiłowała je zatrzymać i uciszyć. Z tym samym skutkiem mogłaby starać się poskromić ręką i pogrózkami stado świeżo wylętych pstrągów jak tę gromadkę dzieci, które nareszcie znalazły się znów we własnym, radosnym żywiole. Po chwili straciła je z oczu. Ale wkrótce zobaczyła jedno z nich - chyba to był Rob? - wychylające się zza kamiennych gałęzi w górze, obok obleczonych w purpurę świętych.

Wyczerpana daremnym wysiłkiem, czuła się jednak szczęśliwa.

Przechadzając się, wchłaniała łagodną i uroczystą atmosferę. I wreszcie uspokojona siadła na wyplatanej krześle, gotowa słuchać kościelnej muzyki. Organy bowiem wciąż grały. Od początku zdawała sobie z tego sprawę, ale dopiero teraz wsłuchiwała się w ich głos. Tak potężnej, tak pełnej muzyki nie można by wydobyć z domowej fisharmonii.

Dziewczyna nic podobnego nie słyszała nigdy, toteż w pierwszej chwili przeraziło ją doznawane wrażenie. Organy łączyły akordy w jednolite, błyszczące rusztowanie dźwięków. Złociste drabiny wciąż rosły i rosły, jak gdyby miały osiągnąć okna płonącego domu. Nie było jednak pożaru, tylko błogi spokój wzbierający i wznoszący się falą coraz wyżej, a dziewczyna wspinała się po niebiańskim rusztowaniu i dodawała coraz to nowe drabiny, żeby dotrzeć dalej wzwyż. Zabrakło jej odwagi pod samym szczytem, gdy musiałaby następny krok zrobić w przestworza i albo runąć wraz z rozsypującymi się jak zapałki belkami dźwięków, albo też dać się porwać w zaświaty na zawsze. Przez mgnienie oka kołysała się w chmurze niepewności, podtrzymywana nieskończenie łagodnymi palcami.

Kiedy wreszcie organy umilkły, ocknęła się olśniona i zlana potem.

Wstydziała się swoich łez i tego, że znów była

niezgrabną, ciężką dziewczyną. Wstydziła się tym bardziej, że przyglądał jej się jakiś obcy pan.

- No, co? - roześmiał się ze szczerą satysfakcją i zainteresowaniem, chociaż głosem mocno zaflegmionym.

Dziewczyna poczerwieniała.

Nieznajomy wyglądał nieporządnie i zabawnie. Kurtkę miał zapiętą krzywo, ramiona oproszone sypiącym się z włosów łupieżem.

- Nie pytam, co pani o tym myśli - rzekł - bo to byłoby śmieszne pytanie. Poczerwieniała jeszcze bardziej. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

Czuła się zakłopotana.

- Nikt inny nigdy nie zdołał tak wyrazić muzyki - powiedział nieznajomy - w żadnej z tych nędznych kompozycji, które ludzie w daremnych usiłowaniach mnożą bez końca.

Dziewczyna chciała się wymknąć, ale nogi krzesła zgrzytnęły na płytach posadzki jak rysik na szkolnej tabliczce.

- To był wielki kompozytor - ciągnął obcy jegomość z najwyższym entuzjazmem i z niemałym wysiłkiem zaflegmionej krtani. Ale zlągodniał, wymawiając te słowa. - Jestem pewny, że pani zapamięta ten dzień - dodał - nawet gdy

0 wielu innych rzeczach pani zapomni. Może nigdy już nie znajdzie pani dalej, niż było pani dane zajść dzisiaj.

Odszedł, odgarniając coś w powietrzu obronnym gestem zasypanego łupieżem ramienia.

Dziewczyna była znów bliska płaczu, ale tym razem po prostu z upokorzenia. Z furią rzuciła się w pogoń za dziećmi

1 odetchnęła spokojniej dopiero wtedy, gdy wszystkie zebrała wokół siebie. Ruszyli do domu trochę ściszeni. Na obiad uraczyli się wędzonymi śledziami, a najstarsza siostra jadła jeszcze łapczywiej niż młodsze rodzeństwo. We wczesnej młodości nie umiała zatajać świetnego apetytu.

W później

szym wieku nauczyła się dziobać widelcem po talerzu dla pozorów, żeby jedzenia starczyło dla innych.

W młodości, w pełni sił, jadła zachłannie, a potem spała. Nawet po katastrofach pochłaniających ofiary padała na łóżko i zasypiała kamiennym snem. Trzeba przyznać, że była zdolna do niezwykłych fizycznych wysiłków. Na przykład podczas sianokosów pracowała bez wytchnienia i podawała na widłach siano nie gorzej niż mężczyźni. Pod koniec dnia, gdy kobiety i chłopcy ślaniali się wyczerpani, a dziewczyna dalej regularnym ruchem podawała siano na wóz, jej cera, zazwyczaj blada i bezbarwna, rumieniła się wreszcie niby zroszone, przezroczyste płatki polnej róży. Rob lubił odbierać naręcza siana, stojąc wysoko na załadowanym wozie. Zawsze wspinał się jak najwyżej, tam gdzie najtrudniej było się utrzymać, i tego dnia w Martensfield wlaźł na sam szczyt spłowiałego siana spiętrzonego na wozie Saltera. W pewnej chwili dziewczyna spojrzała w górę i po raz pierwszy w życiu, ta pętla zwykle luźna i niegroźna, zwinęło się w twardą pięść, wymierzoną bezpośrednio przeciw niej. Ugodziło ją prosto w serce. Rob osuwał się, jeszcze roześmiany, spadał z rozczapierzonymi, zeszywniałymi jak drewno rękami i nogami, na oczach wszystkich zebranych na łące, zapatrzonych jak w zwolnioną scenę filmu. Rob leżał na ziemi, powieki miał zupełnie białe. Usta nie dokończyły uśmiechu, tylko zęby zdążyły wyszczerzyć się w słabym proteście. Wyglądały jak ziarna niedojrzałej kukurydzy. Koło wozu toczyło się, przechylało gwałtownie. Dziewczyna, której mocne plecy zdolne były niegdyś dźwigać brzemień całego świata, walczyła z żelazem, z drewnem, z trawą. Objęła rękoma zmiażdżony owoc, który przed chwilą był głową jej brata. Na polu śmierci.

Ludzie nadbiegli, ofiarowując pomoc. Chcieli pomóc i później, gdy szła drogą. Ale musiała oczywiście sama nieść brata. Tłumaczyła trzęsącymi się wargami, że do domu

niedaleko. Z łąki na skraj miasta. Dziewczyna była silna, tylko bolesne myśli przytłaczały ją, gdy dźwigała martwe ciało chłopca. Kiedy matka umarła, było inaczej, umierała w łóżku, w nocy, otoczona przez krewnych. O dzieciach wtedy zapomniano. Najstarsza siostra niemal natychmiast roztoczyła nad nimi opiekę. Wyniańczyła brata, więc teraz tylko ona powinna go nieść. Gdy pod stopami uczuła pierwsze kamienie miejskiego bruku, stojące przed drzewami kobiety przyciskały dłonie do ust i uciekały do domów depcząc geranium i goździki, inne zaś wybiegały z domów żeby zobaczyć dziewczynę niosącą zabitego chłopca; słońce zachodziło nad szarymi ulicami, kąpiąc je na chwilę we krwi

Przyniosła trupa ojcu, który nie spojrział jej w oczy ani wówczas, ani też nigdy już później. Czasem patrzył na jej bućki, mocne bućki, które sam dla córki zrobił i które splamiła krew.

Dziewczyna poszła na górę i usnęła. Młodsze dzieci plakały nie po zmarłym bracie, lecz ze strachu, że nigdy nie uda im się zbudzić siostry z tego straszego snu.

Czas jednak prędko we wszystkim przywraca porządek.

Kobieta pamiętała, jak w swych dziewczęcych latach wcześniej wymyśliła sobie nowe uczesanie, schludne i gładkie, przewiązując włosy brązową aksamitką. Nie chciała obciąć włosów za przykładem swoich rówieśnic.

Czułaby się z tym głupio. A może po prostu nie umiała być elegancka.

Pamiętała pewien dzień, gdy chodziła po ogródku w brązowej aksamitce, w zapachu lewkonii. Był wieczór, woda n herbata gotowała się w kuchni.

Z domu wyszedł ojciec. Zbliżył się do córki i patrząc jak zwykle ponad jej ramieniem gdzieś w bok, lecz z uśmiechem, rzadkim u niego, powiedział:

- Chciałbym, żebyś wróciła do mieszkania i zapoznała się z panną Jessie Newsom.

Drgnęła, bo niespodziewanie dotknął jej ręki.

- Z kim? - spytała, chociaż wyraźnie przedtem usłyszała nazwisko.

Ojciec widocznie rozumiał zbędność tego pytania, bo mówił dalej to, co sobie przygotował.

- Jest nauczycielką. W Broughton.

Patrzała na wydatne jabłko Adama, które zawsze jak gdyby przeszkadzało ojcu mówić. Zerwała jakiś pączek. Miał we wnętrzu płatki blade, dziwnego zielonego koloru.

Wreszcie ojciec powiedział bardzo łagodnie rzecz okropną:

- Będzie waszą drugą matką.

Dziewczyna jednak postarała się, żeby panna Jessie Newsom przynajmniej dla niej nie stała się matką.

Panna Newsom była łagodną, opanowaną nauczycielką, ręce jej zdawały się być pewne. Owego pamiętnego wieczora miała broszkę z kameą, wpiętą w zakiet nieco uginający się pod ciężarem doniosłych decyzji, które nauczycielka zmuszona była powziąć. Wierząc, że wszelkie drogi otwarte są dla człowieka, byle nie żałował wysiłku, panna Newsom nauczyła się mówić poprawnie, lecz nie mogła zapomnieć

o swym pochodzeniu, jak o wstydlivej tajemnicy rodzinnej,

1 nieraz rumieniła się na myśl o niej.

- A więc to jest Ruth! - powiedziała. - Słyszałam, jaka wspaniała z ciebie dziewczyna. Mam nadzieję, że nie będziesz mnie uważała za intruza. Spodziewam się, że będziemy mogły... jakby to wyrazić?... podzielić między siebie obowiązki rodzinne.

Jessie Newsom była bardzo przezorna. W tym jednak momencie zawahała się, bo patrząc na czoło dziewczyny, która nic więcej ze swej twarzy przed nią nie odsłoniła, nie mogła wyczytać żadnej odpowiedzi.

Panna Newsom okazała się najlepszą żoną i macochą - jak donosili dziewczynie zarówno ludzie zgorszeni postępkiem

najstarszej córki Joynera, jak i młodszy jej bracia i siostry, coraz rzadziej pisujący do niej listy, bo odległość wreszcie rozluźniła rodzinne więzy. Wkrótce po zjawieniu się panny Newsom najstarsza córka oznajmiła ojcu:

- Postanowiłam iść do pracy.

- Jak chcesz, Ruth - odparł ojciec. - Znajdziemy ci coś w bliskim sąsiedztwie.

- Postanowiłam wyemigrować z kraju - powiedziała. - Chrissie Watkins, jak słyszałam od jej ciotki, dobrze sobie radzi w Sydney. Zebrałam informacje od pani Sinnett i chcę napisać w sprawie podróży, jeśli ojciec się zgodzi mi pomóc. Na początek prosiłabym też trochę pieniędzy.

Splączę oczywiście wszystko, bo to się przecież dzieciom należy.

Ojciec chrząkał i pomrukiwał. Nie wiedział, co dziewczynie powiedzieć na pociechę. Znalazł wreszcie słowa bardzo zaskakujące:

- Musisz nauczyć się przebaczać, Ruth. To właśnie nam przecież zawsze wpajano.

Nie odpowiedziała. Bała się, że w swym bólu mogłaby sięgnąć po kamień. Nie śmiała też dotknąć ojca, bo może by zapragnęła przytulić się do jego splekanych warg i natrafiła na ostre, białe, nieustępliwe zęby.

Wyjechała. Ojciec kupił jej blaszaną skrzynkę, do której zapakowała swoje rzeczy. Od braci i sióstr dostała atlasową liliową szaszetkę na chustki do nosa z wyhaftowaną w rogu sentencją: „Czysty nos to nie zbytek”. Na morzu chorowała okropnie czy może po prostu była bardzo nieszczęśliwa. Inne dziewczyny, które paliły papierosy, z zawodową wprawą zakładały nogę na nogę i umiały strzelać oczyma, nie szukały jej towarzystwa. Ruth nosiła za długie suknie, a rozmowy z nią nie mogły wzbogacić życiowego doświadczenia rówieśnic. Siedziała więc samotna i patrzyła na ocean, ogromny,

szklisty, do niczego, co oglądała dotychczas, niepodobny. Gdy statek minął Przylądek Dobrej Nadziei, pewien starszy pan, właściciel jakiejś firmy - chyba w Gosford? - oświadczył się jej, ale postąpiłaby głupio, nie tylko źle, gdyby się była zgodziła.

Wieczorem, kiedy inne młode kobiety igrały z pokusami na pokładzie trzeciej klasy, Ruth odmawiała pacierze i czerpała z nich tajemną osobistą pociechę. Wyzwolona wreszcie z ciężkiego ciała dusza mogła przyjąć swoją misję, ale Ruth wahała się, nie ufając własnym siłom. Błąkała się, błąkała w przestworzu, aż w końcu zrozumiała, że wszystkie fale stapiają się z sobą, a wszystkie gwiazdy są częstkami jednego światła. Wzdychała przez sen i uśmiechała się, uszczęśliwiona tym przeświadczeniem, toteż często współmieszkanki kabiny, rozczesując splątane i nasiąknięte solą włosy przed bezlitosnym, upstrzonym plamami lusterkiem, dziwiły się wyrazowi twarzy tej śpiącej dziewczyny.

W Sydney Ruth Joyner dowiedziała się, że jej przyjaciółka Chrissie Watkins wyszła za mąż i przeniosła się w inne strony. Nie miała więc tutaj nikogo. Pracę jednak znalazła dość łatwo, najpierw w pewnym bufecie, gdzie przez czas jakiś nosiła na tacy grube, białe filiżanki, ciastka owocowe i maderę. Starannie notowała zamówienia, po czym wracała do wielkich imbryków pachnących zawsze fusami.

Wszystko szło pozornie dobrze, klienci często uśmiechali się do niej, czasem nawet czytali jej urywki z listów od rodzin, a kiedyś pewien gość zasięgał nawet jej rady w sprawie żylaków, gdy niespodzianie kierowniczka wezwała Ruth i oznajmiła:

- Moje dziecko, muszę ci coś powiedzieć. Nigdy nie będziesz dobrą kelnerką. Jesteś za powolna. Rozumiesz chyba, mówię to z życzliwości.

Pani kierowniczką była doprawdy dobrą osobą. Tylko że za długo stała przy bufecie i para z imbryków przeżarła szwy jej czarnej jedwabnej sukni.

Ruth Joyner zdecydowała się iść na służbę. Zgodziła się jako pomocnica kucharki do domu byłego hodowcy owiec, który już wycofał się z tych interesów. Krajała w kostkę jarzyny. Albo stojąc przy zlewie, nad stosem naczyń do zmywania, śpiewała hymny, które zapamiętała z kraju. W końcu kucharka, która zamierzała sprowadzić z Cork własną siostrzenicę do pomocy, zaprotestowała, mówiąc, że przyzwyczajona jest współpracować jedynie z katoliczkami.

Ruth przeszła przez kilka bogatych domów, nim trafiła do pani Chalmers-Robinson, na swoją, jak się potem okazało, ostatnią posadę; zapamiętała ten dom, bo tutaj spędziła najważniejszy okres swego niezależnego życia. Dlaczego uważała ten okres za tak bardzo doniosły, trudno właściwie wyjaśnić. Oczywiście, wtedy poznała swego męża. Oczywiście, dom był duży, biały, solidny, a przy drzwiach rosło drzewo magnoliowe. Sama pani Chalmers-Robinson była najśłabszą z kobiet i nie obdarzyła służącej niczym, jeśli nie liczyć należnej pensji oraz kilku starych sukien, których Ruth nie ośmieliłaby się nigdy na siebie włożyć. Mimo to dom państwa Chalmers-Robinsonów - bo istniał również pan domu - pozostawił Ruth bardzo cenne wspomnienia.

W biurze pośrednictwa pracy radzono jej ubiegać się o funkcje „pokojówki”, jak je określano.

- Ale ja nigdy tego nie robiłam - tłumaczyła się dziewczyna.

- To nie ma znaczenia - powiedziała urzędniczka. Ruth już wiedziała, że wiele rzeczy nie ma znaczenia, ale przy każdym takim nowym odkryciu marszczyła brew i oczy jej nabierały strapionego wyrazu.

Nawet pani Chalmers-Robinson, która właśnie spieszyła się na proszony lunch i dopiero co znalazła zarzuconą gdzieś

piękną broszkę z szafirem - chociaż zdążyła już upomnieć się o odszkodowanie w towarzystwie, gdzie biżuteria jej była ubezpieczona - nawet pani Chalmers-Robinson uważała, że to nie ma wielkiego znaczenia.

- Weźmiemy cię na próbę - powiedziała. - Na imię masz Ruth, czy tak? Zabawne! Nigdy jeszcze nie miałam pokojówki Ruth. Myślę, że cię polubię. Nie mam wcale wielkich wymagań. W domu jest kucharka i moja osobista panna służąca. Z ogrodnikiem i szoferem nie będziesz miała do czynienia. Obaj zresztą mieszkają w mieście.

Ruth przyglądała się pani Chalmers-Robinson. Nie spotkała dotychczas istoty równie olśniewającej czy też równie rozkojarzonej.

- Aha, zapomniałam o mężu. Mąż mój jest zajęty interesami - tą wiadomością wytworna pani uznała za stosowne uzupełnić wtajemniczenie. - Rzadko bywa w domu.

Pani Chalmers-Robinson patrząc na Ruth stwierdziła, że dziewczyna ma twarz płaską jak marmurowa płyta nagrobka. Ale płyta czekająca na napis. (Postanowiła sobie zapamiętać to spostrzeżenie, żeby nim zabłysnąć w rozmowie przy lunchu). Bardzo jednak pragnęła znaleźć w tej służącej coś naprawdę godnego zaufania i solidnego. (Jeśli uważała Ruth Joyner dosłownie za „coś”, to właśnie dlatego, że tęskniła do marmuru, do jakiejś substancji, która by się ugięła pod ciężarem jej osoby i potrzeb jak elastyczne dusze ludzkich istot).

Wreszcie pani Chalmers-Robinson wstała z udanym pośpiechem i udając, że jest głodna, zawołała:

- No, ale teraz muszę pędzić na ten przeklęty lunch! I zraniła nową pokojówkę uśmiechem.

- Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze bawiła - powiedziała Ruth. W uszach pracodawczyni zabrzmiało to dziwacznie. Ale zarazem wzruszająco.

- Zobaczymy! - roześmiała się. - Z góry nigdy nic nie wiadomo.
W samochodzie pozwoliła sobie na chwilę smutku, lecz szybko wpadła
znow w miły nastrój.

Ruth wkrótce przywykła do życia w tym państwie
Chalmers-Robinsonów. Pani w rozmowie z mężem stwierdziła, że nowa
pokojówka okazała się perłą - jakkolwiek nawet perła miewa czasem
skazy. Ruth niewątpliwie jest powolna, oddycha za głośno, podając do
stołu, i woli nie słyszeć dzwonka telefonu. Niekiedy też, zwłaszcza
wieczorem, staje w drzwiach frontowych, jak gdyby wyglądała na
wiejską drogę. Pracodawczyni zamierzała jej zwrócić uwagę, nie zrobiła
jednak tego, może przez delikatność, a może z sympatii. Tak więc
przyciężka dziewczyna w dalszym ciągu wystawała na progu lub na
ganku pod drzewem magnolio-wym, a kiedy szczegóły jej postaci i stroju,
od skrzydeł wykrochmalonego czepeczka aż po czubki białych pantofli,
zacierają się w mroku, można by pomyśleć, że to jakaś odmiana ćmy czy
też opiekuńczy duch odpoczywa na magnolii i za chwilę uleci z wielkim
trzepotem skrzydeł.

Jak na dziewczynę tak pracowitą, poruszała się bardzo cicho i umiała
swoją obecnością zaludnić dom, który dotąd zdawał się zbyt pusty.
Gdyby inkrustowany stół, gdzie na tacę składano bilety wizytowe,
oprószyła mąka lgnąca zwykle do wielkich żółtych bochnów wiejskiego
chleba, wydałoby się to mniej nienaturalne, odkąd przybyła nowa
pokojówka.

Kiedyś wracając o zmierzchu z klubu, pan Chalmers-Robinson natknął
się na nią w drzwiach.

- Przepraszam pana - powiedziała. - Słuchałam świerszczy.

- Ha! - fuknął. - Czego słuchałaś? Świerszczy? Istna plaga, wrzeszcza, aż
w uszach świdruje.

O czym tu rozmawiać z pokojówką? - zastanawiał się w duchu.

- Cieszę się, że pan dzisiaj wrócił do domu. Mamy dobrą kolację, kotlety panierowane i budyń „dyplomatyczny”.

Zrozumiał, czując nagle swoją winę, że stał się gościem we własnym domu.

Pan Chalmers-Robinson wolał kluby, tam mógł przychodzić lub wychodzić, kiedy chciał, nie musiał krępować się żadnymi zażyłymi stosunkami i nie drażniła go niesolidność mebli. Wolał mężczyźni nie dla nich samych, lecz ze względu na ich osiągnięcia i działalność publiczną. Kobiety są zbyt skłonne do sprowadzania wszelkich zagadnień na poziom osobisty, a na tym gruncie jego przekonanie o własnym autorytecie było niewątpliwie chwiejne. Nie cierpiał i unikał takich sytuacji, i podejmował to ryzyko jedynie pod wpływem pociągu zmysłowego. W takich bowiem przypadkach osobiste zabarwienie potęgowało przyjemność, a rezygnując ze swej przewagi intelektualnej mógł się uważać za ofiarę kobiecej przewrotności. Podobał się kobietom w swych dobrze skrojonych angielskich ubraniach, pachnący brylantami i cygarami, i chętnie przyjmował łaski paru dam. Żona, gdy ją już kupił, prędko mu się sprzykrzyła, lecz nadal podziwiał zręczność, z jaką umiała ratować się w najgorszych nawet kłopotach, i może właśnie dlatego z nią się nie rozwiódł.

E.K. Chalmers-Robinson - „Bags” dla tych, którzy mienili się jego przyjaciółmi - sam był mistrzem w wymigiwaniu się z kłopotów, chociaż zdarzyło się raz i drugi, że omal nie skreślił karku. Jedną z takich pomniejszych katastrof wkrótce po przybyciu do domu Ruth Joyner pochłonęła jacht, obiecującego młodego konia wyścigowego, serwis z sewskiej porcelany oraz pannę służącą.

- Mój mąż jest geniuszem w interesach, ale nawet geniusze nie są nieomylni - wyjaśniła pani Chalmers-Robinson. ~ Zresztą, trzeba przyznać, że sewrska porcelana jest troszkę... no, troszkę niestosowna.

- Ja też tak myślę, proszę pani - powiedziała Ruth. Szczerze lubiła robić innym przyjemność, może dlatego przez całe życie była w przyjaźni z dziećmi.

- Mówiąc między nami - ciągnęła pracodawczyni - ta moja Washbourne była zawsze dość niezdolna. Z początku myślałam, że to tylko z powodu kamieni żółciowych, ale z czasem przekonałam się, że Washbourne jest po prostu starą egoistką. Chcę prosić cię, Ruth, żebyś przejęła część jej obowiązków. Na pewno będzie cię bawiło przygotowywanie moich sukien i podawanie mi różnych drobiazgów, gdy się ubieram.

- Na pewno, proszę pani - przytaknęła Ruth.

W ten sposób poznała tajemnice, których istnienia dotychczas nawet nie podejrzewała.

Pani Chalmers-Robinson osiągnęła w hierarchii towarzyskiej szczebel, na którym wszelkie występy publiczne przestają być same w sobie celem, zamieniając się w męczeństwo. Nie wolno jej było nigdy zaniedbać narzędzi tych dobrowolnych tortur. Wiecznie coś przymierzała, kładła, zdejmowała, przyklepywała, przyglądała, zacieśniała, rozluźniała, spoglądała w lustro z nadzieją i odwracała się od niego z niesmakiem. Chwilami gorzko nienawidziła samej siebie, często jednak w ostatnim momencie, gdy już prawie omdlewała ze zmęczenia, nagle wygrywała kampanię dzięki kilku śmiałym pociągnięciom i dobrze dobranemu brylantowi. Oddychała z ulgą i wołała:

- Prędko! Prędko! Prędko! Moje loki!

Ruth podawała pukielki włosów, które bogini przypinała pod hełmem, wybierając się na przejażdżkę samochodową lub na proszone śniadanie. Ale w pani Chalmers-Robinson tkwiło coś więcej, niżby można sądzić z pozorów. Niewątpliwie.

- Powiem ci coś w sekrecie - zwierzyła się kiedyś pokojówce - bo przynajmniej ty, Ruth, okazałaś mi wierność

i przywiązanie. Otóż myślę o przejściu na Wiedzę Chrześcijańską. Czuję, że to będzie dla mnie najlepsze.

- Jeśli komuś tego potrzeba... - z wahaniem odpowiedziała powolna służąca.

Pani posłała ją kiedyś z dziecinnym wiaderkiem nad zatokę po morską wodę dla swoich pereł, bo tego potrzeba perłom.

- Och, czego mi trzeba! - westchnęła pani Chalmers-Robinson. - Kiedyś poważnie zastanawiałam się, czyby nie przejść na katolicyzm.

Zauważyłaś chyba, że mam nienasycony głód piękna, wspaniałości. W końcu jednak zrezygnowałam. Szczerze mówiąc, nie śmiałabym spojrzeć w oczy przyjaciółkom.

- Ja wierzę... - zaczęła Ruth. Lecz pani Chalmers-Robinson już spieszyła na umówione spotkanie i nie dowiedziała się, w co wierzy jej pokojówka, a Ruth była z tego obrotu rzeczy rada, bo jej nieudolny język nie umiałby wysłować tak nieskończenie prostej prawdy.

Ruth często była w domu sama - bo kucharka zamykała się w zgryźliwym lenistwie, ogrodnik wiecznie miał z kimś na pieńku, a szofer, obwożąc panią po mieście, rzadko się pokazywał - i próbowała wtedy wyrazić swoją wiarę nie w słowach i nie w pozach przepisowej nabożności, ale w całkowitym poddaniu się biernej adoracji, pozwalając swemu ciężkiemu ciału rozwiewać się w czarowne powietrze i światło, w zapach magnolii i w psalmodie gołębi. Albo też przy robocie, czyszcząc srebra, szorując podłogi, cerując porzucone pończochy, zbierając jedwabiste suknie, które ześliznęły się z ramiączek, szukając na dywanach srebrnej rybki lub moli w futrach, ofiarowywała czynną, istotną część siebie w bezinteresownym hołdzie. I zawsze coś jeszcze zostawało jej do ofiarowania w następnym wyznaniu wiary, którego nikt od niej nie żądał. Ilekroć zadzwieczał dzwonek u drzwi, Ruth badawczo patrzyła w nieznajome

twarze, usiłując z nich wyczytać, czy nie będzie wezwana do złożenia świadectwa prawdzie. Zdawało się, że na zawsze zachowa część sił, które powinna oddać ludziom, bo chociaż gotowa była do wszelkich ofiar dla swojej pracodawczyni, pani Chalmers-Robinson nigdy nie zbudzi się z roztargnienia, aby przyjąć ten dar.

Dom zaludniał się dobrymi chęciami pokojówki. Leżały odtrącone na dywanach w pustych pokojach.

Oczywiście nie zawsze pustych. Odbywały się prośzone lunche i obiady, częściej jednak lunche, bo wtedy przychodziły żony bez mężów i myśli ich, uwolnione od ciężaru, nabierały zwinności: żony, które miały głupich mężów, mogły być inteligentne do woli, a głupie żony mogły ze swej głupoty korzystać w pełni i z jak najlepszym pożytkiem.

W tej właśnie epoce panie domów odkrywały francuską kuchnię i wprowadzały na swoje stoły *vol-au-vent*, sole *Veronique*, *beignets au jromage* oraz *tournedos Lu/u Wattier*, wypędzając tym sposobem mężów do klubów, hoteli czy bodaj bufetów dworcowych, zalatujących upragnioną pieczeńią wołową. Pani Chalmers-Robinson szczególnie zasłynęła z wytwornych śniadanków, na które zapraszała małżonki hodowców - tak niezawodne! - adwokatów, sędziów, bankierów, doktorów, oficerów marynarki - ale nigdy armii lądowej! - a nawet, z pewnymi zastrzeżeniami, żony kupców, bo niektóre z nich były już wtedy dość bogate i mogły być użyteczne, a więc dopuszczalne. Wielu spośród podejmowanych dam gospodyni prawie nie znała i te lubiła najbardziej. Starła się błyszczeć najświetniej właśnie dla tych, które jeszcze nie śmiały zwracać się do niej po imieniu.

Pani Chalmers-Robinson otrzymała na chrzcie imię Magdę, lecz w miarę rozwoju zdarzeń przerobiła je na Jinny. Osoby naprawdę wtajemniczone, te, które „po prostu uwielbiała” lub którym zwierzała pewne sekrety, mówiły o niej

„Jinny Chalmers”, inne natomiast, wobec których wołała utrzymać dystans, nazywały ją w myślach „tą starą Jinny Robinson”. Ale nie była to prawda. Oczywiście, nie zapierała się, że pozwala sobie na „kropelkę”, jeśli czuje się bardzo znużona, lecz wychylała ją duszkiem, bo nie cierpiała jej smaku; później, kiedy bardzo potrzebowała jakiegoś leku na rozstrojone nerwy, a Wiedza Chrześcijańska nie zawsze wystarczała, ukrywała zwykle kieliszek za wazonem.

Przed lunchem pani Chalmers-Robinson była niezmiennie promienna. Wchodziła do jadalni, żeby przesunąć trochę sztuce i postawić parę małych czarek z weneckiego szkła, napełnionych papierosami rozmaitych gatunków.

Jeśli nawet miała czasem ochotę zmarszczyć brew, powstrzymywała się od tego. Mówiła co najwyżej:

- Och, wolałabym spokojnie zjeść sama kawałek mięsa z rusztu, a ty, Ruth, podając do stołu, opowiedziałabyś mi coś ciekawego. Ale muszę ci powinszować, nakryłaś bardzo ładnie. Naprawdę jednak patrzyła tylko na własne odbicie i jeden jedyny raz - na więcej nie pozwoliłaby sobie - dotknęła swojej bezlitosnej skóry. Potem szybko oblizywała wargi, żeby błyszczały, i otwierała szeroko oczy, jak gdyby się budziła. Oczy jej pozostały śliczne, przerażające w tej twarzy. Wyglądały niby błękitny płomień. Takie oczy powinny cieszyć ludzi.

W tym momencie zaczął dzwonić dzwonek i Ruth biegła otwierać drzwi przybywającym paniom. Panie były okropnie zmęczone naradami różnych komitetów, w których zasiadały, dobroczynnymi balami, na których tańczyły, wyścigami, na których obnosiły swe najbardziej sensacyjne toalety. Wszystkie te czynności spełniały z tak wielkim nakładem pracy, że resztkami sił podnosiły kieliszek koktajlu.

W tym roku, gdy Ruth Joyner zaczęła pracować u państwa Chalmers-Robinsonów, damy nosiły futra z małp.

Pierwszy raz na widok tak pobudzającego do skojarzeń stroju dziewczynę przeszedł dreszcz. Co za pomysł! Małpy! Potem usłyszała, jak mówiono, że to bardzo zabawne, i może rzeczywiście było zabawne to żywe futro zabitych małp, spływające spod kapeluszy, wciskające się do rozmów i w końcu z konieczności wyrzucane. W salonie konwersacja obracała się wyłącznie wokół futer i ludzi. Panie siedziały, zaciągając się w rozmarzeniu papierosami, a smużki dymu niby małpie ręce poruszały się między nimi w powietrzu.

Kiedyś przed lunchem, który z pewnych powodów utkwiał dziewczynie w pamięci, jedna z pań powiedziała przyjaciółkom o jakimś wspólnym ich znajomym, że umiera na raka. Wyrwała się z tym nie w porę. Kilka dam cofnęło się w głąb swych smutnych futer, inne zaczęły supłać frędzelki. Jedna rozlała kieliszek koktajlu, dając przynajmniej najbliższej sąsiadce okazję do zakrzątnięcia się przy wycieraniu plamy. Aż wreszcie rozmowa mogła wrócić na zwykłe tory, a salon, w którym przed chwilą czuło się przykrą woń, woń chorych, zgnębionych małp, znowu zapachniał dymem i fiołkami.

Wszystkim poprawił się humor w jadalni, gdzie Ruth i May, starsza kobieta używana do pomocy w dni przyjęć, usługiwały, szeleszcząc nakrochmaloną bielą. Za plecami właściolek małpich futer.

Pani Chalmers-Robinson czujnym okiem obejmowała stół, udając, że jest zajęta jedzeniem. Umiała każde towarzystwo z sobą zestroić. Słyszała wszystko, zgrzyty także.

- Ruth, podaj jeszcze solę pani du Plessy - szeptała. — Proszę cię, Marion, to ci na pewno nie zaszkodzi.

Albo ledwie dosłyszalnie:

- May, chyba nie zapomniałaś, która ręka jest lewa? Wino rozweseliło wszystkie panie. I już znów kłębił się niebieskawy dym, pachnący, jakby ktoś rozpylił fiołkowe perfumy.

Pod koniec, gdy wniesiono wielkiego łąbedzia z cukrowej waty, upierścienione ręce klasnęły z zachwytu. Efekt był wspaniały. Ruth także cieszyła się tym arcydziełem kucharki. Nie mogła się powstrzymać od szepnięcia damie, za której krzesłem właśnie przechodziła:

- Żeby pani wiedziała, jak trudno było go zrobić! W środku jest bomba czekoladowa.

Damie ta uwaga wydała się zabawna, chociaż dowodziła niewyrobienia pokojówki. Dama miała suknię w kropki, nie przysłała w futrze, lecz była osobą ważną, mimo że nie szykowną. Jako córka angielskiego lorda budziła szacunek wśród elegantek, które lekcewałyby ją, gdyby nie imponowała im pochodzeniem. Obok niej siedziała żona adwokata. Na imię miała Magda. Magda uchodziła za dowcipną, choć niektóre bardziej wybredne panie uważały ją za osobę ordynarną. Gospodyni postąpiła ryzykownie, wyznaczając jej miejsce obok córki lorda, ale Jinny Chalmers zawsze słynęła z odwagi.

Po lunchu Magda zupełnie jawnie rozluźniła jakąś elastyczną część swej garderoby i zaczęła przygotowywać sobie cygaro. Kilka pań przyglądało się temu z dreszczem sensacji.

- Kilka razy o mało już przez te cygara nie doszło w moim małżeństwie do rozwodu - zwierzyła się Magda dostojnej sąsiadce. - Mam nadzieję, że pani, tak samo jak mój mąż, wytrzyma tę próbę.

Mówiła grubym głosem, który uszom kilku obecnych pań wydał się nie mniej gorszący niż cygaro.

Ale wysoko urodzona dama odrzuciła wstecz głowę i wybuchnęła śmiechem. Od wczesnej młodości postanowiła wobec braku innych wybitnych zalet wyróżniać się dobrotliwym usposobieniem.

Inne panie zerkały na jej cerę białą i niemal bezbronną, podczas gdy one uzbroiły twarze warstwami szminki

pomarańczowej, liliowej, nawet zielonej, nie tyle po to, żeby zrobić na przyjaciółkach wrażenie, ile dlatego, że same śmieiej mogły dzięki temu na siebie patrzeć.

Magda wypła duszkiem kieliszek wina aż do dna i oparłszy się łokciami o stół, powiedziała jak gdyby do stożka popiołu na końcu cygara:

- Kto głosuje za wykurzeniem królików z jamy?

I szybko zwracając się do znakomitej sąsiadki, obdarzając ją zaufaniem, którego tamta pokornie starała się być godna, Magda dodała:

- A może raczej małp?

Ściszyła głos tak, że reszta pań nie dosłyszała tego pytania.

- Czy pani kiedy widziała stado małp? - ciągnęła dalej mecenasowa, ale teraz posepnym tonem. - Stłoczone w klatce małpie tyłki?

I dokończyła zjadliwie:

- W futrzanych portkach?

Ta przemowa, niedosłyszalna dla nikogo prócz najdostojniejszej z obecnych dam, była impertynencją, tym bardziej wyzywającą, że córka lorda odrzuciła głowę swoim charakterystycznym obronnym gestem i wydała z gardła głos, który ją samą zaskoczył, bo przypomniał jej pewiem zimowy ranek z dzieciństwa, kiedy usłyszała śmiech leśniczego, wyszydzającego własny strzał do śmiesznie łatwej zwierzyny.

Na dźwięk tego brutalnego głosu niektóre panie spuściły oczy, a najuprzejmiejsze uznały za stosowne także zagul-gotać. Pokojówka podała wysoko urodzonej czekoladki, stwierdzając, że wreszcie i ten najważniejszy gość zaczyna się dobrze bawić wśród pań w małpich skórach. Wielka dama w kropki drżącą ręką wzięła czekoladkę, odrzuciwszy szeleszczący papierek wsunęła ją do ust i zaraz potem odrobina zdradzieckiego likieru wyciekła kącikiem warg, które córka lorda ośmieliła się namaścić białą pomadką.

Ruth Joyner zapamiętała ją, chociaż ta uczestniczka przyjęcia nie miała żadnego związku z tym, co potem się stało; grała w całym zdarzeniu taką rolę, jak płaczące się we śnie niedorzeczne, a mimo to wróżebne postacie - córka lorda rzeczywiście przyśniła się później Ruth, parę razy - niby kamienny posąg bez oblicza, bez imienia, na straży nie otwartych jeszcze drzwi.

Pani Chalmers-Robinson nie mogła być zbyt zadowolona z incydentu, który zdarzył się pod koniec udanego skądinąd małego lunchu. A może przeczuła następny, jeszcze mniej pożądaną epizod. Dość bowiem gwałtownie odepchnęła w ukos krzesło, a gardło jej jakby zeszywniało, kiedy zaproponowała:

- Przejdźmy do salonu. Myślę, że niektórzy z pań zechcą po kawie zagrać w brydża.

Wkrótce potem Magda przeprosiła panią domu, tak przynajmniej zrozumiała z brzmienia jej głosu pokojówka, lecz odnosząc ciężką srebrną tacę nie słuchała bardzo uważnie. Ale gdy po chwili złowiła znów strzęp rozmowy, okazało się, że chodziło o coś innego.

- Strasznie mi przykro, kochanie, nigdy bym o tym nie wspomniała w tej sytuacji. Akcje „Multiple Projects” z pewnością stoją fatalnie. A tu na domiar złego taka kłapa w „Interstate Incorporated”.

Pokojówka wykonywała swój służbowy balet z tacą, ustawicznie obracając się, niekiedy cofając. Wykrochmalony fartuszek już nie szeleścił, za to kryształki kawy dzwoniły rozsypując się na cyzelowanym srebrze, gdy panie nabierały je kopiastą łyżeczką.

Pani Chalmers-Robinson wyraźnie zbladła pod makijażem.

- Bags nic mi o tym wszystkim nie mówił - powiedziała. ~ Po prostu dlatego, że nie było go w domu.

Wyznanie to stanowiło wątpliwą obronę.

- A więc w dodatku jesteś opuszczona? Kochanie, wrócę tu z nocną koszulą. Nie mówiąc już o szczoteczce do zębów. Wybrnęłam z tylu podobnych sytuacji, że jestem prawie zawodowym prokurentem.

Magda zmrużyła oczy w przypływie szczerości, a może tylko alkohol obciążył jej powieki. Cerę miała zielonkawą jak ropucha.

- Nie rozstrzyga się spraw w ciągu jednej nocy - zaśmiała się gorzko pani Chalmers-Robinson.

- Owszem, niektóre można - mrugnęła Magda. Pokojówka snuła dalej swój taniec. Usiłując podsłuchać

rozmowę, pomyliła jedno, drugie „pas” i trąciła którąś z dam w otulone małpim futrem pośladki. Ale rzeczywiście słyszała teraz lepiej:

- Więc jesteśmy zrujnowani - ze śmiechem stwierdziła pani Chalmers-Robinson.

Można by myśleć, że podczas pikniku zauważyła nagle brak termosu.

Magda zaklinała się, że wylezie ze skóry, żeby pomóc.

- Najmilsza, ty wiesz, jak cię uwielbiam. Zastawię kabo-szony rubinowe, które mi dał Harry. Zresztą zawsze wyglądają na mnie jak czyraki.

- Pani pozwoli kawy? - spytała Ruth Joyner swą pracodawczynię.

Ale pani Chalmers-Robinson ledwie na nią zwróciła uwagę. Pierwszy raz w życiu pokojówka odczuła tę prawdę, którą dotychczas znała tylko z teorii: że człowiek może nienawidzić drugiego człowieka; a chociaż jej pani spojrzała na nią wcale jej nie widząc, jakby przez matową szybę, Ruth prawie załamała się pod tym wzrokiem.

- Nie, dziękuję - zdążyła odpowiedzieć bezdźwięczny głosem pani Chalmers-Robinson, a potem nagle zwiotczała zgięła się w pół i osunęła na swój własny pastelowy dywan

Powstało zrozumiałe zamieszanie i stłuczono jedną filiżaneczkę z cennej porcelany Wedgwood. W brzęku i zgrzycie biżuterii, w zamęcie współczucia i małych futer, zderzając się o siebie, cofając, schylając i podnosząc znowu, panie co wrażliwsze poczuły się również bliskie omdlenia i musiały sięgnąć po krzepiące napoje.

Liczne dobre rady, poparte mocnym trzepnięciem w twarz, ocuciły wreszcie panią Chalmers-Robinson. Uśmiechnęła się nawet, ale jakby z oddali, z dna morza. Usiadła, podtrzymując rękoma zburzoną fryzurę. Wciąż była uśmiechnięta - zdobyła się nawet na dołeczek w jednym policzku

- jak gdyby zapomniała, że czas radości dla niej się skończył. - Darujcie - mówiła. - Tak mi wstyd. - Urwała, uprzytamniając sobie istnienie głębinowego nurtu, który nie pozwalał jej wracać na powierzchnię. - Gdzie jest Ruth?

- zapytała. - Gdzie Ruth? - I rękoma obmacywała dywan, jakby w strachu, że jedyna deska ratunku odpływa od niej gdzieś w dal. - Muszę panie prosić, żeby mnie zostawiły samą. Co za historia! - śmiech załamywał się w chichot.

- Ruth! Gdzie jest Ruth?

Pokojówka z trudem przepchała się do swej pani i zaczęła ją dźwigać na nogi. Nie były to zabiegi eleganckie, w końcu jednak okazały się skuteczne. Pani domu, podtrzymywana ze wszystkich stron, wstała, a potem weszła na schody wsparta na służącej jak na białej kolumnie. Gdy znalazła się u szczytu schodów, miała ochotę pożegnać rozpierzchających się gości jakimś napoleońskim gestem, lecz nagle prawda pokonała ją i pani Chalmers-Robinson zgarbiona, broniąc się kaszlem i przyciśniętą do ust chusteczką, dała się niemal nieść wiernej pokojówce.

Ten okropny wieczór zapadł w pamięć Ruth. Nigdy przedtem nie widziała swojej pani zupełnie nagiej i teraz zobaczyła, jak szare było jej ciało. Człowiek mniej litościwy

wzdrygnąłby się ze wstępu na widok tego spowitego pofałdowanym workiem skóry chorego pajaka, który wypełził z fałd łudzających jedwabii. Ale Ruth gorliwie zbierała zrzucone łaszki i dopiero potem, gdy pani Chalmers-Robinson siedziała już oparta na poduszkach, w łóżku, spojrzała znów w jej twarz.

Pani Chalmers-Robinson odzyskała rumieńce pod wpływem kieliszka mocnego koniaku oraz współczucia, do którego rościła sobie prawo, choćby nawet płaciła za nie z własnej kieszeni. Ubrana była w kolor różowy. Bładoróżowy. Dekolt wzruszającej, klasycznej w linii nocnej koszuli sięgał tylko do granicy, za którą mogłaby objawić się nędza tego ciała. Pani Chalmers-Robinson nie zapomniała też nastrzępić kosmyków wymykających się spod przepaski naszytej metalowymi paciorkami.

- Cokolwiek się stanie - rzekła - a nie mogę ci powiedzieć, nie mogę nawet sama wiedzieć wszystkich szczegółów, nie chcę, nie zgodzę się wyrzec ciebie. Oczywiście, jeżeli ty zechcesz przy mnie wytrwać w mojej biedzie.

Dziewczyna bardzo niezgrabnie otwierała szafy, chowała w nich rzeczy.

- Och, proszę pani, nigdy nikogo nie opuściłam w nieszczęściu.

Wspomniała martwy ciężar swego brata.

Pani Chalmers-Robinson czuła przyjemne łaskotanie w gardle. Miała ogromną ochotę wsunąć do ust czekoladkę. W braku czekoladki patrzyła w otwartą szafę. W świetle, skąpo przesiewanym przez frędzle z koralików zdobiące abażur, puste suknie wyglądały tragicznie.

- Te wszystkie moje śliczne rzeczy! - zaszlochała. Ruth Joyner oddychała ciężko. Była jednak gotowa znieść gorsze jeszcze ciosy, jeśli to mogło się na coś przydać.

- Nalej mi wody do szklanki - prosiła pani. - I łyk koniaku. Co ty sobie o mnie pomyślisz? Ale nie, ja nie jestem

naprawdę taka próżna. Boli mnie tylko myśl o utracie osobistych miłych drobiazgów. Bo gdy dochodzi do kryzysu, mężczyźni są bezlitośni. Pierwszy raz w życiu Ruth poznawała smak bankructwa. Nie wiedziała, że pani Chalmers-Robinson zawsze będzie umiała znaleźć jakieś „śliczne rzeczy”, żeby się nimi ozdobić na występy w miejscach, gdzie pozwolą jej się jeszcze pokazywać. Zawsze są sposoby i kruczki, by wyminąć rzeczywistość, która przestała być rzeczywista. Jinny Chalmers była podobna do właścicielki psa, która dla swego ulubieńca składa suchary na czarną godzinę, chowając je pod naderwanym obiciem, w najdziwniejszych miejscach; z tą różnicą, że Jinny Chalmers grała jednocześnie rolę właścicielki i jej psa. Kiedyś, później, Ruth wymacała jakiś twardy przedmiot w różowym atlasowym nosku starego pantofelka. Sumiennie powiadomiła o tym panią.

- Ach, tak! - bardzo powoli, w zamyśleniu odparła pani Chalmers-Robinson. - To brylant. Nawet dość cenny. Wyjęła brylant i schowała go gdzie indziej, jakby chcąc zapomnieć o jego istnieniu.

Ale tego pierwszego wieczora Ruth Joyner jeszcze nie wiedziała, że tragedia może być wypchana trocinami.

- Na razie koniak panią pokrzepi - powiedziała - a za chwilę przyniosę gorącej herbaty.

Dodała też:

- Za każdą chmurą świeci słońce.

Taką już miała naturę, że umiałaby pokochać nawet starą, wypatroszoną kanapę.

Biegała po schodach to na dół, to na górę, przynosząc grzałki i rozmaite rzeczy.

Aż w pewnej chwili usłyszała zgrzyt klucza.

Pan Chalmers-Robinson wrócił koło dziesiątej wieczorem do domu.

- Pani bardzo się przejęła - powiedziała Ruth. Roześmiał się. Zauważyła przy tym siatkę drobnych żyłek na jego policzkach.

- Spodziewam się! - rzekł.

W ruchach jednak zdradzał zmęczenie. Mimo to ubranie miał świetnie odprasowane. Spinki u jego mankietów migotały w półmroku klatki schodowej.

- Coś mi zaszkodziło na żołądek - oznajmił. Zapominając, że mówi do pokojówki.

Pomyślała, że może jest trochę pijany. O czym by mogła z nim rozmawiać, spacerując po żwirowanych alejkach Ogrodu Botanicznego pod liśćmi bananowych palm?

Krząając się, robiąc, co do niej należało - między innymi pościeliła sobie łóżko w garderobie, licząc, że pan zechce może zostać na noc - mimo woli słyszała z podestu schodów fragment rozmowy. Prawdę mówiąc, trochę się o to starała. Nie żeby umyślnie podsłuchiwała. Głosy po prostu dochodziły do niej spoza nie dość dyskretnych drzwi.

Bags Chalmers zdawał żonie sprawę z biegu wypadków, o tyle przynajmniej, o ile chciał ją w ich tok wtajemniczyć. Ruth Joyner wyobrażała sobie, jak czoło jej pani spochmurniało pod haftowaną koralikami cielistą przepaską. Czy można się było temu dziwić?

- Stało się to po fuzji obu firm - mówił pan Chalmers. Pani przyjęła to z sarkastycznym zdziwieniem; zawsze dotychczas myślała, że po fuzji można odpocząć i odetchnąć z ulgą, ale cóż, ona nie jest geniuszem finansów.

Pan odpowiedział, że nie spotkał chyba w życiu równie antypatycznej osoby jak ona.

- Ale ta fuzja! - nalegała pani. - Nie odbiegajmy od przykrego tematu.

Jakże się śmiał pan Chalmers. Powiedział żonie, że jest najgorszą jędzą na świecie.

- Jako młoda dziewczyna byłam zawsze łagodna - odparła. - Po prostu popełniłam omyłkę, godząc się na małżeństwo.

- Wraz ze wszystkimi jego korzyściami - dopowiedział. Ruth słyszała, że nalewał sobie z butelki koniak do szklanki.

- Które to korzyści rozwiały się z dnia na dzień - rzekła pani. Materac jęknął pod nią, zapewne gwałtownym ruchem zmieniła w łóżku pozę. Pokojówka wiedziała, że pani w pewnej fazie dyskusji zwykle szarpie bez litości prześcieradła.

- Słuchaj, Jinny - powiedział Bags Chalmers - jeśli nie odmówisz mi pomocy, wygrzebiemy się z tego kłopotu tak samo jak z wielu poprzednich.

- Ja mam pomóc! - zaśmiała się pani. - Ależ to dla mnie niespodziewany zaszczyt, że jednak na coś mogę się przydać.

- Jesteś inteligentna.

Zanosila się urywaniem, spazmatycznym śmiechem.

- Jeśli nienawidzisz swego męża, to niewątpliwie musi on być głupcem, który na nic innego nie zasługuje.

Zaległa cisza i nie sposób było przewidzieć, kto zagra następną kartę. Pokojówka nie słyszała, kiedy pan Chalmers wyszedł, zaczęła ziewać, przeciągać się i w końcu musiała wycofać się cichcem. Przez sen usłyszała w pewnej chwili, że stuknęła klamka u drzwi wejściowych, a rano stwierdziła, że pana Chalmersa nie ma już w domu i że łóżko, które dla niego przygotowała, jest nietknięte.

Pani Chalmers-Robinson była w bardzo dziwnym nastroju, rozmarzona, gdy Ruth przyniosła jej poranną filiżankę herbaty.

Włosy miała też nastrzępione na nową modłę.

- Ty, Ruth - powiedziała - jesteś za dobra, żeby zrozumieć, że inni ludzie muszą czasem postępować sprzecznie z własną naturą.

- Nic o tym nie wiem - przyznała dziewczyna, ale nie była zupełnie tego pewna.

Nagle pani zaczęła głaskać jej dłoń, prawie niedostrzegalnie, prawie bezwiednie, jak się zdawało, aż w końcu Ruth cofnęła rękę. Obie przez chwilkę były zakłopotane, lecz wkrótce zapomniały o tym epizodzie.

Kiedys później pani Chalmers-Robinson powiedziała:

- Właściwie to najszcześniejsza czuję się w twoim towarzystwie, Ruth. Ale Ruth była pochłonięta jakąś robotą.

W parę dni potem zjawił się nowy roznosiciel lodu. Rankiem, splukanym przez wczesny deszcz, który jednak nie zmył odoru łąntany i śladów nocnych kocich odwiedzin, lodziarz zastukał butami na kuchennych schodkach. .

- Dzień dobry - powiedział. - Gdzie mam to zrzucić? Ethel, zawsze rano w złym humorze, a tym bardziej w dni, kiedy miała przygotować na śniadanie jakąś gorącą potrawę, nie patrząc na niego, mruknęła:

- Pokaż mu, Ruth.

- Dobrze - odparła Ruth. - Podręczna skrzynia stoi tutaj, w kredensie. A druga dalej, w korytarzu, obok spiżarni. Niech pan uważa, bo tam jest schodek.

Lodziarz przeszedł przez hall służbowy, gdzie Ethel piła herbatę, zaczytana w kronice towarzyskiej. Z jego rąk zwisały żelazne kleszcze, zaciskające po dwie bryły lodu. Wyglądały, jakby w nich zamarzył dzisiejszy deszcz.

Nagle jedna wielka bryła wymknęła mu się z rąk. Spadła na brązowe linoleum, a okruchy lodu rozprysnęły się na wszystkie strony. Ethel była wściekła, Ruth starała się ją uspokoić.

- Nic się nie stało, Ethel. Wezmę śmietniczkę i za chwilę nie będzie śladu. Mężczyzna już zbierał co grubsze odłamki. Ręce miał

chude i sine od ciągłego kontaktu z lodem. Ale nie zdawał się wcale speszony swoją niezręcznością.

- Całe szczęście, że nie trafiłem w nóżkę pani kucharki
- zażartował.

Ethel jednak nie była skłonna do żartów.

- Niech pan dużo nie gada i pospieszy się z tą robotą
- odparła, potrząsając gazetą i nie odrywając od niej wzroku. Ruth cieszyła się, że mogła zaprowadzić lodziarza do skrzyni w korytarzu.

Miał długą, smagłą, zbyt chudą twarz, która jej przypominała wytarty miedziak. Był dość wysoki, barczysty, oczy miał zapadnięte. U starej, zielonkawej roboczej kurtki jeden z guzików wisiał na ostatniej nitce i Ruth miała ochotę go przyszyć.

- W porządku - rzekła, spuszczając wieko skrzyni.
- W sobotę proszę przynieść podwójną porcję.
- Jeżeli zostanę do soboty przy tej robocie - powiedział.
- Przecież pan dopiero co się do niej zgodził, prawda?
- To nie powód, żebym jej nie miał zaraz rzucić - odparł.
- Ten lód!
- Och! Nie - powiedziała Ruth.

Przechodzili właśnie przez hall służbowy, gdzie na podłodze rozlewały się już wszędzie kałuże z topniejących okruchów lodu.

- Nie - powtórzyła. - Ale jeżeli to pan będzie roznosił lód, proszę pamiętać.

Miała ochotę chociaż raz jeszcze spojrzeć w jego twarz, mimo że była to jedna z tych twarzy, które ją onieśmiały. To, co z niej czytała, bardzo się różniło od tego, co sama o sobie wiedziała; różniło się tak jak masło od noża. Patrzyłaby dłużej na tę twarz, gdyby on z niej nie przemawiał. Oczyma wyobraźni widziała go bez kapelusza. Lubiała czarnowłosych mężczyzn.

- Będzie deszcz - powiedział.

- Tak wygląda - odparła. I spojrzała na niebo, jakby je teraz dopiero odkryła. No

cóż, wypadło okazać zainteresowanie.

- Tak - powiedział lodziarz. - Głupia pogoda. Przytaknęła.

- Nigdy nic nie wiadomo, prawda? - powiedziała. Kiwnął jej głową.

Omiał nie spadła ze schodków, tak się zapatrzyła w niego, kiedy odchodził w starej kurtce świecącej wytartymi szwami.

- Obiecywałaś zająć się tym bałaganem - z żalem w głosie odezwała się kucharka.

- Zaraz przyniosę śmietniczkę - powiedziała Ruth.

- Teraz będziesz potrzebowała już raczej ścierki i wiadra

- stwierdziła kucharka.

Wieczorem, czekając aż pani skończy pudrować twarz, Ruth Joyner oznajmiła lustru na toalecie:

- Dzisiaj z lodem przyszedł nowy człowiek.

- Ależ, Ruth! Spodziewałam się od ciebie czegoś pokrzepiającego na duchu! - zaprotestowała pani Chalmers-Robinson.

Czuła się bowiem zgnębiona jak jeszcze nigdy w życiu. Na domiar złego bolała ją głowa.

- Chciałabym, żebyś mi pomogła zapomnieć o samej sobie

- dodała, marszcząc brwi.

Chciałaby w tej chwili schodzić ze schodów w jakiejś efektownej sukni, na przykład z lamy, w obłoku strusich piór na nagich ramionach. Nogi wciąż jeszcze miała nadzwyczajne, za to ramiona przysparzały jej wiele troski.

- Mów mi o czymś pięknym. O czymś niezwykłym. Choćby tragicznym - westchnęła pani Chalmers-Robinson.

Nagle zaniepokoiła się, czy nie uraziła swojej tępej pokojówki; nie chciała jej urazić; jeśli była w ogóle zdolna do życzliwości, to żywiła ją właśnie dla tej dziewczyny.

Ruth postanowiła nic więcej nie mówić. Ale się uśmiechnęła. Przed oczyma miała jak żywy krzepki kark roznosiciela lodu, kawałek skóry widoczny nad kołnierzem zielonkawej kurtki. Starła się nie przywoływać tego obrazu, bo wychowanie wpoilo jej lęk, że może to być rzecz niedozwolona. Obraz jednak wciąż wracał.

Nazajutrz rano pani czuła się nie lepiej, więc pokojówkę wysłano do najbliższej apteki. Gdy wróciła i oddała pani przyniesioną paczuszkę, nie mogła się oprzeć pokusie i zajrzała do skrzyni w kredensie. Błyszczą w niej świeży lód, dostarczono już podwójną sobotnią porcję. Tak -więc Ruth była uwięziona w głuchych murach dwóch dni i gdyby nawet mogła krzyczeć, nikt by nie usłyszał jej głosu.

Raz w ciągu dnia zbliżyła się do kucharki i stanęła przy niej; Ethel, niezwykle od paru dni cicha, ucierała w misce jakąś tajemniczą substancję.

- Co to jest? - zapytała pokojówka, chociaż nie bardzo ją to interesowało.

- Po francusku nazywa się l i e z o n - odparła Ethel z oziębłą wyniosłością, najwyraźniej nie zamierzając udzielać bliższych wyjaśnień.

W niedzielę wieczorem Ruth poszła na nabożeństwo; było jej smutno, siąkała nosem, nie miała ochoty śpiewać, zgubiła rękawiczkę i wróciła do domu.

W poniedziałek w czystym fartuszkowi wcześniej zeszła do kuchni, bo wydało jej się, że słyszy kroki.

- Dzień dobry - powiedział roznosiciel lodu.

- Więc jednak znowu pan przyszedł.

- A bo co?

- Bo mówił pan, że już się panu sprzykrzyła ta robota. Lodziarz się roześmiał.

- Mnie się wszystko przykrzy.

- Żartuje pan? - spytała z niedowierzaniem.

Przyjrzała mu się i dodała:

- Wiedziałam, że ten guzik się urwie.

- Mała szkoda. Guzik.

- Byłabym go panu przyszyła. Zwalił lód do skrzyń i odszedł.

Odtąd prawie co dzień spotykała go, chociaż wcale o to nie zabiegała, zdawało się, że samo tak się wszystko układa. Pewnego dnia pokazał jej list od znajomka, który oganizował przedsiębiorstwo transportowe między miastem a pobliskimi osadami i proponował mu pracę u siebie.

Na kopercie przeczytała nazwisko: T. Godbold.

Kiedyś spytał:

- Ma pani wychodne w niedzielę? Może byśmy przejechali się promem?

Ruth miała na głowie nowy kapelusz, trochę podobny do wielkiej aksamitnej cebuli; była z niego dumna, ale bardzo prędko zorientowała się, że nie jest szykowny. Kupili kilka pomarańcz i wyssali je aż do suchej skórki, siedząc w słońcu na małym kamiennym przyładku ponad zieloną zatoką. W tej dzielnicy nie zbudowano jeszcze wielu domów i dziewczynie zdawało się, że nigdy dotąd nie oddaliła się tak bardzo od całego świata, żeby zbliżyć się do jednego jedyne go człowieka. Ale nie myślała, że to coś złego, tak było to naturalne. Przymknęła od blasku oczy i poddała się tej rozmarzającej obecności.

Gdy odrzucili skórki pomarańcz, których zapach czuła potem przez wiele dni, uderzyły ją w rozmowie te słowa:

- Nigdy nie miałem do czynienia z takimi dziewczynami jak ty. Nie jesteś w moim typie.

- A jaki jest twój typ? - spytała, zaglądając do wnętrza torebki, na której okuciu platerowanym z wierzchu już przeświecał mniej szlachetny metal.

- Weselszy - powiedział Tom Godbold.

- Może ja też się tego nauczę.

Wybuchnął śmiechem. Widok jego napiętej szyi sprawiał jej ból.

- Nigdy nie miałem takiej dziewczyny jak ty - mówił, wciąż się śmiejąc.

- Nie jestem twoją dziewczyną - sprostowała, patrząc sennie na wodę.

Tomowi wydało się, że odgadł jej grę.

- Z ciebie cicha woda, Ruth - powiedział. I rękę, którą już znała na pamięć, tylekroć jej się przyglądała, położył na jej udzie opiętym wełnianą spódnicą.

Ruth wyprostowała się gwałtownym gestem, oszołomiona świadomością, że trzeba utrzymać dystans między sobą a drugą istotą ludzką.

- Chyba nie jesteś pobożna? - spytał.

W tej chwili wolałaby już być naprawdę sama.

- Nie wiem, co nazywasz pobożnością - odparła. - Nie wiem, jacy są inni ludzie.

Milczał. Na szczęście. Nie zniosłaby uwag na temat najtajniejszej części swego serca.

Zaczął się bawić rzucaniem kamieni do morza, ale miała wrażenie, że z ukosa zerka na jej za gruby, szorstki wełniany kostium.

Zastanawiał się, co za lichy go skusiło, że przywłókł tutaj tę niezdarną dziewczynę. Nawet gdyby się nie opierała, zawsze to ryzyko, można sobie w jedno niedzielne popołudnie nawarzyć piwa, które potem długo trzeba będzie pić. W końcu więc z irytacją stwierdził:

- Spóźnimy się chyba na prom.

- Tak - przyznała mu rację.

Nie ruszył się jednak z miejsca. Siedział nachmurzony, objąwszy rękoma kolana, i kiwał się, nie zwracając wcale uwagi na dziewczynę. Czekala, już uspokojona.

Pod jej spojrzeniem on z kolei stał się ofiarą nieokreślonych grózb, które sekundy potrafią wyczarować z otchłani czasu. Chociaż mrużył oczy, jak gdyby w obawie, że kruchy blask słoneczny i roziskrzona woda jego też skruszy i spali, naprawdę bardziej lękał się rozpląnąć w ciemnościach własnej czaszki, zabłąkać niby zielony sygnał w bezpieczeństwa krainie wspomnień. Tak zmałał nagle, że dziewczyna odważyła się powiedzieć.

- Dziwny jesteś. Mówiłeś przecież, że się spóźnimy. - Nie mogła powstrzymać ręki, strzepnęła mu kurz z pleców. Był to jej najbardziej naturalny odruch. - Kurz, igły, fe! - mruknęła do siebie.

Otrząsnął się i odskoczył w bok, ale nie mógł zapomnieć tego dotknięcia. Zawsze wzdrygał się wobec najłagodniejszych gestów. Nie mógł ścierpieć nawet niektórych własnych myśli, a najokrutniej drażniły go najprostsze odruchy: dotknięcie blizny, strzepnięcie pyłu, wskazujący gest palca, na którym do artretycznych stawów przylgnęła odrobina ciasta wyrabianego na chleb.

Poweselał jednak, gdy szli ku przystani, a nawet raz i drugi ujął dziewczynę pod rękę, żeby jej pokazać coś, co go zaintrygowało, jacht, ptaka, wykręcone dziwacznie konary drzewa. Kilkakrotnie spojrzał w jej oczy, a może we własne spokojniejsze myśli.

Bądź co bądź twarz mu się wygładziła. Ruth uradowana wyznała:

- Wiesz, Tom, mogłabym z tobą znów kiedyś wyjść. Jeżeli mnie zaprosisz, no co, zaprosisz?

Przyparła go do muru. Była niemożliwa w swej prostocie.

Musiał odpowiedzieć: tak. Ale takim tonem, że nie mogła mieć wątpliwości, jak należy to rozumieć.

Dziwne, że mimo to nie była nieszczęśliwa. Uśmiechała się do słońca, które już teraz złagodniało i nie prażyło zanadto. Wciąż czuła zapach pomarańcz.

Dopiero bezlitosny łańcuch następujących po sobie poranków zabił nadzieję i wpędził dziewczynę w melancholię. A także łoskot zamykanego wieka skrzyni na lód. Czasem bowiem nie schodziła, żeby spotkać dostawcę lodu.

- Ten lodziarz to łajdak - stwierdziła kiedyś kucharka. Pokojówka nie odpowiedziała.

- Jakoś przybladłaś, Ruth - zauważyła pani. Leżała na kanapie czytając książkę, a pokojówka przyniosła jej jak zwykle kawę na srebrnej tacy.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego? Dziewczyna skrzywiła się lekko.

- Nic się nie zmieniło - powiedziała. Ale wyskoczył jej na brodzie paskudny pryszcz.

- Widzę, że powinna byś zaznajomić się z Wiedzą Chrześcijańską - rzekła pani. - Cudowna nauka, nie wyobrazasz sobie, ile daje pociechy.

Wszystkie te uwagi i entuzjastyczne porywy otaczających ją ludzi spływały po jej spuszczonej powiekach. A jednak Ruth lubiła osoby, które miały jakieś własne idee. Uśmiechała się łagodnie, jak gdyby chciała rozbudzić potrzeby ich skomplikowanych dusz.

- Brak mi wykształcenia - odpowiedziała tym razem swojej pani.

- Wystarczy rozumieć - odparła pani Chalmers-Robinson. - A to nie zawsze idzie w parze z wykształceniem. Nawet przeciwnie.

Ruth jednak słuchała obojętnie.

- Poczekaj, coś ci dam - powiedziała wreszcie pani. ~ Tylko nie obraż się, moja droga.

Zaprowadziła ją do łazienki i wręczyła małą buteleczkę wyjaśniając, że jest to dżin z kamforą, doskonały środek na pryszcz.

- Po prostu wetrzesz kropelkę w to miejsce. Dość mocno - pouczała. - Skutek niezawodny.

Brzydki pryszcz na brodzie pokojówki doprawdy bardzo panią Chalmers-Robinson denerwował.

- Oczywiście, wiem, co pomyślisz, przynajmniej w odniesieniu do moich spraw: „Wiedza powinna wystarczyć za lekarstwo”. - Pani westchnęła. - Ale gdy będziesz w moim wieku, odkryjesz, że różne rzeczy po trosze pomagają.

Ruth wzięła buteleczkę, ale nie miała nadziei, że lekarstwo jej pomoże. Pani jednak zapewniała, że skutek jest pewny.

Rzeczywiście, wkrótce po tej rozmowie pewnego ranka dziewczyna ukazała się nagle z twarzą znów czystą i ożywioną. Zaczęła śpiewać tym swoim nieco drżącym mezzosopranem, nad którym pani Chalmers-Robinson ubolewała. Śpiewała pieśń o odkupieniu.

- Czy śpiewając takie hymny czujesz się szczęśliwa? - musiała zapytać pani.

- Och, tak, jestem szczęśliwa! - odparła Ruth, ze szczególną ostrożnością manipulując przy piecyku.

Oznajmiła, że w najbliższą niedzielę wybiera się na plażę do Bondi w miłym towarzystwie.

Pani Chalmers-Robinson zabrzczała bransoletkami.

- Cieszę się, że masz towarzystwo - powiedziała. - Czy zaprzyjaźniłaś się z jakąś koleżanką, która także jest pomocnicą domową?

Pokojówka złożyła ściereczkę, którą właśnie czyściła kłamki.

- Nie. Zaprzyjaźniłam się ostatnio z człowiekiem, który nam tutaj przynosi lód.

- Oo! - zdziwiła się pani. I zacisnęła wargi.

W niedzielę, gdy pokojówka już była ubrana do wyjścia, natknęła się na swoją panią, rozgorączkowaną, z błyszczący

mi oczyma. Pani Chalmers-Robinson umalowała sobie usta. Wyglądały jak duży szkarłatny kwiat. Wąska sinawa obwódka utrzymywała je w należytych granicach.

- Baw się dobrze, Ruth! - zawołała pani wesoło. Po czym wróciła do studiów o Wiedzy Chrześcijańskiej.

„Bóg jest bezcielesny - czytała - boski, najdoskonalszy, nieskończony, jest Myślą, Duchem, Zasadą, Życiem, Prawdą, Miłością”.

Pani Chalmers-Robinson czytała, usiłowała nauczyć się, jak przeobrazić zimne, wyzute z miłości myśli, a siebie samą w „nową istotę”.

Ruth czekała na rogu w pobliżu parku. Czekala tak długo, że zaczynała już zastanawiać się, czy nie powinna stąd odejść. W niedzielę każdy z nielicznych przechodniów do kogoś należy. Spieszy na herbatę do domu, który jest podobny do własnego domu, albo też na plażę, gdzie wyciągną się do niego czyjeś ręce. Ilekroć ktoś ją mijał, dziewczyna patrzyła na zegarek, żeby dać do zrozumienia, że ona także komuś jest dzisiaj potrzebna.

Gdy w końcu zjawił się Tom - zatrzymali go spotkani przypadkowo koledzy - było już dość późno, ale Ruth ucieszyła się ogromnie; w jednej chwili twarz jej rozjaśniła się ze szczęścia.

Ach, nie, nie czekała wcale za długo.

Nim dotarli na plażę w Bondi, zaczął już zapadać zmierzch. Zjedli w restauracji kielbasę z frytkami. Tom był trochę podпиты, jak zauważyła.

- Mało brakowało, a wcale bym nie przyszedł - wyznał. - Zostałbym z kolegami i spiłbym się na dobre. Chłopcy chcieli mnie zatrzymać. Grogu mieli taki zapas, że można by pić przez miesiąc.

- Szkoda w takim razie, że mnie dzisiaj zaprosiłeś - powiedziała, ale spokojnie, bez urazy i bez nagany w głosie.

- Jakoś zdawało mi się, że koniecznie wypada.
- Jeśli tak, lepiej byłoby, żebyś wcale nie przyszedł.
- Ale kiedy miałem ochotę - powiedział. I po chwili powtórzył ciszej: - Miałem ochotę.
- Chciałabym, żebyś mi zawsze mówił prawdę. Zaczął dziobać widelcem obrus.
- Gadasz jak matka! - Wiercił dziury w obrusie, aż kelnerka zwróciła na nich czujny wzrok. - Twoja matka też taka była?
- Moja matka umarła, kiedy byłam jeszcze mała - odparła Ruth. -.Ale miałam ojca. Wychowywał nas surowo, trzeba przyznać. Kochałam go. Właśnie dlatego wyjechałam z kraju.
- Dlatego że go kochałaś?
- Nie wolno kogoś za bardzo kochać. To także może być grzech.
- Grzech!

Prysznął wzgardliwie przez nos, przez ten nos, który Ruth wydawał się tak piękny - zwłaszcza fascynowały ją nozdrza - że nie śmiała na niego patrzeć i mimo to wciąż patrzyła.

Pogarda zresztą szybko się wyładowała. Wiedział, że jej przedmiotem było właśnie to, co najsilniej go w tej dziewczynie pociągało: niezłomność; i jednocześnie kusiło go, żeby ją złamać.

Zapłacił rachunek i wyszli. Z początku szli plażą, omijając w mroku jakieś ciemniejące sylwetki, brnąc ciężko przez ogłupiający piach ku twardszej ścieżce nad samym morzem.

- Przemoczmy nogi - ostrzegła Ruth - jeżeli nie będziemy uważali.

Chociaż musujące morze coraz dalej zarzucało swe sieci, Ruth postanowiła, że nie da się zahipnotyzować jego urokiem. Widziała tylko nieostrożność tego spaceru. Przez chwilę wydawało jej się, że prowadzi innych, braci i siostry czy może własne nie urodzone jeszcze dzieci.

Tom już nie protestował, pozwolił jej nawet wziąć się pod rękę. Jakiś czas szli spokojnie, w powściągliwym przyjacielskim nastroju, przez niewidzialne piaski. W końcu zmęczeni zwolnili kroku. Nogi pod nimi uginały się jak rozdygotane druty. Była to słabość przyjemna, lecz jednocześnie niebezpieczna, więc gdy Tom zaproponował, żeby usiąść, Ruth wołała stać.

Nagle Tom padł na kolana. Objął ramionami jej uda. Po raz pierwszy do jej ciała przywarł ktoś tak rozpaczliwie, ktoś, kto poddał się prądowi. Gdyby Ruth sama nie chwiała się w ciemnościach, jego zwykle władczą głowa wydałaby się jej teraz lżejsza niż korek. W tej chwili jednak Ruth nie myślała o szukaniu ratunku u tego pływaka, którego mogła własnym ciężarem tylko pociągnąć na dno, i mimo pokusy nie śmiała dotknąć kędzierzawych włosów, bojąc się, że oplączą jej palce i przyspieszą jeszcze jej zgubę.

Zaprotestowała tylko cichym płaczem. Grymas wykrzywił jej pełne wargi. Dźwigała podwójny ciężar na swoich znów krzepkich nogach. Wołała nie zastanawiać się, na jak długo starczy jej sił.

- Nie, Tom, nie! - szepnęła; głos jej brzmiał tak, jak gdyby dochodził z wnętrza muszli.

Kiedy paszcza ciemności wessała ją w siebie, gdzieś dalej rozległ się czyjś głośny, zduszony, lubieżny śmiech. Ruth w głębi uszu słyszała szum fal to wzbierających, to rozplywających się w morzu.

Potem ziemia uderzyła ją w plecy. Ona też brała udział w tej grze, chociaż z obojętnością grubego piasku. Gdy dwoje ludzi mocowało się z sobą, piasek tylko przesuwiał swoją szorstką, zimną powierzchnię. Dziewczyna z całych sił odpychała głowę mężczyzny, którą pragnęła przytulić do piersi. W rozpacz krzyknęła, jakby sypnęła garścią miękkiego piasku.

- Będę twoją żoną! - wykrztusiła.

- A to dla mnie nowina - odburknął gniewnie. Ale wiedział, że to prawda, znał dobrze kobiety.

Bądź co bądź te słowa dały mu pretekst do zawieszenia walki, zwalniając od konieczności przyznania się do porażki.

- Sama nie wiesz, co bierzesz na siebie - powiedział, gdy ochłonął.

- Wszystko chętnie zniosę - odparła.

Znów zgnębiła go tą szczerością, która stanowiła jej najbardziej znamiennej cechę, szczerością, przed którą Tom tego dnia, tak samo jak w późniejszych latach, zawsze się bronił niby przed osobistym niebezpieczeństwem.

Wyciągnął rękę i bardzo łagodnie, wszelkimi sposobami zdradzieckiej strategii usiłował poprzez naskórek dosięgnąć głębi, której się lękał.

Wreszcie Ruth chwyciła jego dłoń i przycisnęła ją do swego rozpalonego policzka.

- Nie rozumiem... - powiedziała. - Bo przecież ja cię kocham, Tom.

Był już naprawdę zmęczony. Ciężko padł na nią, wtulił głowę w jej szyję. Zdawało się, że już nie ma sił na dłuższą walkę.

Dopiero wtedy przestała się bronić przed tą miłością, która w najlepszych swych chwilach była niepewna, a w najgorszych wstydliva w porównaniu z jej miłością, bardziej dojrzała. Pozwolił, żeby go przygarnęła do piersi. Dał się kołysać na czarnej fali, unosić w tym morzu, biedny człowiek ukojony przez tajemnicę, której nawet nie próbował rozwiązać.

Później, odgarniając mokre włosy z jej czoła, powiedział:

- Może wygrałaś, Ruth. Sam nie wiem.

Nie poruszyła się, gdy głaskał jej wilgotną skórę szorstką ręką.

- Nie myślałem się żenić, ale jeśli chcesz, możemy się pobrać - rzekł. - Ale będzie nam obojgu ciężko.

Całowała jego rękę, póki jej nie wyrwał.

- Muszę ci zwrócić honor - zaśmiał się - bo ty pewnie uważasz, że to był grzech, co?

- Zgrzeszyliśmy oboje - powiedziała z rozmarzeniem i czułością, które ją przejęły grozą.

Usiadła; perełki potu stoczyły się między koszulą a skórą, budząc sumienie.

Ruth wyprostowała się, oparta o ciemności jak o twardą deskę kościelnej ławki. Z pamięci wypłynęły surowe, potępiające słowa, głosy starych ludzi, pewnych własnego zbawienia.

- Oboje! Oboje! - powtórzyła drżącymi ustami. Tom jednak wcale się nie wzruszył.

- Ja nie! - odparł ze śmiechem.

Znów dotknął jej uda i teraz już Ruth nie broniła się przed nim; to było straszne i miłe zarazem. Złożyła głowę na jego ramieniu, a nawet łzy wydawały jej się tylko dopełnieniem rozkoszy.

- Jeśli będzie trzeba, wezmę na siebie twoje grzechy - powiedziała. - Udźwignę je, udźwignę jeszcze więcej.

Odsunął się nagle. Był prawie przerażony, że tak wiele dla niej znaczy.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się martwisz - powiedział z urazą. -

Przecież zgodziłem się na twój warunek.

Nie wiedział oczywiście, nigdy się nie dowiedział, jaką cenę zapłaciła.

- Dobrze - odparła. - Nie będę się martwiła. Ale teraz trzeba już stąd iść.

Podaj mi rękę.

Bardzo prędko zrozumiała, że jej miłość rozgrywa się na dwóch poziomach i że do tego drugiego Tom nigdy zapewne nie sięgnie.

Ruszyli z powrotem. Raz i drugi musiała zdławić w gardle jakiś wzbierający tam krzyk, raz i drugi ośmieliła się podnieść

wzrok, niemal przygotowana, że w gwiazdach zobaczy wypisany wyrok. Wkrótce potem pokojówka oznajmiła kucharce - nie mogła tego dłużej taić - że wychodzi za męża.

- Za lodziarza, za Toma Godbolda - musiała się przyznać.

- No, to się jeszcze okaże - powiedziała Ethel. Wbrew powątpiewaniom kucharki Tom Godbold często sam wspominał o danym słowie.

- A z czego będziecie żyli? Z tego, co mu płacą za noszenie lodu? - spytała Ethel, spodziewając się usłyszeć od dziewczyny odpowiedź potwierdzającą wizję nędzy, którą prorokowała młodej parze.

- Och, nie - odparła Ruth - Tom rzuca tę robotę. Zamieszkamy w Sarsaparilli, na przedmieściu. Tom dostaje posadę u swego kolegi, który ma przedsiębiorstwo przewozowe.

- Ci jego koledzy! - powiedziała Ethel.

Wszystko jednak było, jak się zdawało, już załatwione i Ruth musiała zawiadomić o swoich planach panią. Która oczywiście już o nich wiedziała.

Pani Chalmers-Robinson ostatnio korzystała z każdej okazji, żeby ćwiczyć intuicję, odgadując, co czeka jej przyjaciół. Odkąd pan Chalmers-Robinson popadł w kłopoty finansowe, większość znajomych posunęła delikatność wobec jego żony aż do zaniechania wszelkich z nią stosunków. Zachowywali się tak, jakby wszyscy po cichym porozumieniu ustalili, że stan jej zdrowia nie pozwala na przyjmowanie gości. Oczywiście, aby przetransponować lekką melodię wielkiej przyjaźni na tonację stosowną w krytycznych sytuacjach życiowych, trzeba mieć pewien talent, jeśli nie trochę szczerości po prostu; w braku tego talentu - czy też cnoty - znajome damy spoglądały pilnie w okna wystawowe albo

przechodziły na drugą stronę ulicy, gdy zbliżała się kłopotliwa obecnie przyjaciółka. Jinny Chalmers malowała usta bardziej jaskrawą szminką i studiowała Wiedzę Chrześcijańską. Parę razy widziano ją w drogich restauracjach na kolacji w towarzystwie małżonka, lecz doświadczone osoby wiedziały, co to znaczy. Państwo Chalmers-Robinsonowie naznaczali sobie spotkania w lokalach publicznych, gdzie czuli się do pewnego stopnia zabezpieczeni od wzajemnych oskarżeń, naradzając się, co robić dalej.

Najczęściej jednak pani Chalmers-Robinson przebywała samotnie w opustoszałym teraz domu, który udało się dzięki adwokackim sztuczkom ocalić. Była to bardzo skomplikowana i wyczerpująca machinacja. Teraz, gdy sprawa została jako tako załatwiona, pani Chalmers-Robinson odpoczywała niemal całymi dniami, leżąc na kanapie, i z czasem nauczyła się przenikać z oddali życie swoich przyjaciół. Odkryła, że wie o nich więcej, niż jej się zdawało. Gdyby była zdolna do miłości, współczucie zrównoważyłoby intuicyjne odkrycia, które w tych okolicznościach budziły w niej tylko niesmak lub niepokój.

Z jednym wyjątkiem. Na temat Ruth Joyner intuicja odsłoniła jej bowiem prawdy, które na panią Chalmers-Robinson działały oczyszczająco. W pewnej mierze cierpiała przez życzliwość dla pokojówki, a może też znajdowała ukojenie w zmysłowych przeżyciach, które za jej pośrednictwem poznawała.

Kiedy pokojówka zawiadomiła pracodawczynię o swym bliskim już zamążpójściu, pani powiedziała:

- Mam nadzieję, że będziesz szalenie szczęśliwa, Ruth.

Cóż innego mogła powiedzieć? Nawet jeśli słowa były martwe, miały nienaganny kształt i zabarwienie uczuciowe, jak hortensje, które w ostatniej fazie bardziej są pozorem kwiatu niż kwiatem, a które damy z kółka pani Chalmers

-Robinson lubiły szczególnie i najchętniej układały w wazonach.
- Tutaj byłam szczęśliwa - odpowiedziała Ruth. Mówiła prawdę.
- Cieszy mnie to - odparła pani. - W każdym razie tutaj nikt nie był dla ciebie niedobry.

Nie mogła jednak powstrzymać się od myśli, że nikt nie bywa niedobry dla cebuli, chyba że we właściwej porze musi ją obłupić ze skóry.

- Zastanawiam się, czy twój mąż nie będzie dla ciebie niedobry - pozwoliła sobie dodać. Kiedy wbijała ten sztylet, dosłownie czuła ciarki na skórze.

Ruth wahała się przez chwilę. Gdy wreszcie się odezwała, głos jej zabrzmiał trochę ochryple.

- Wiem, że będzie niedobry - powiedziała z wolna. - Nie spodziewam się łatwego życia.

Pani Chalmers-Robinson prawie poweselała. Wyznanie Ruth związało panią z tą dużą pokojówką o białej porowatej cerze, tak jak nic innego nie mogłoby ich spokrewnić. Potem jednak wróciło uczucie osamotnienia.

Nie mogła przecież utulić się na łonie osoby tak śmiesznej i pospolitej jak ta dziewczyna w wykrochmalonej sukni.

Zapragnęła się wykupić.

- Chcę ci dać jakiś prezent - oświadczyła. - Muszę coś obmyślić.

- Och, nie, nie trzeba, proszę pani - zaprotestowała Ruth, czerwieniąc się.

- Nie liczyłam na żadne podarki.

W jej doświadczeniu bowiem bieda nie była tylko teorią, lecz rzeczywistością.

Pani się uśmiechnęła. Na dobroć pokojówki odpowiadała wspaniałomyślnością.

- Zobaczmy! - rzekła, biorąc do ręki książkę, żeby zakończyć scenę, która ją wreszcie znudziła.

Zamykając drzwi, Ruth Joyner już zaczynała rozumieć, że mimo woli porusza najgorsze struny w sercach innych ludzi. Gdyby umiała w jakiś sposób wytłumaczyć, że uległa bezbronnej części swojej natury, może mniej by rozjątrzała bliźnich. Ale zdawała sobie sprawę, że wyjaśnienie przekracza jej siły.

Tak więc dom nadal skrzył się od sztyletów szukających celu.

- Muszę ci kiedyś opowiedzieć, Ruth, o człowieku, za którego omal nie wyszłam za mąż - rzekła kucharka.

A innym razem westchnęła:

- Za wszystko potem dzieci pokutują. Dzieci płacą.

- Moje dzieci będą śliczne! - zuchwale oświadczyła Ruth Joyner. - Moje dzieci nie będą się bały niczego w świecie. Już ja tego przypilnuję.

Zerknąwszy na dziewczynę, kucharka złękła się awantury.

W parę dni później wieczorem zadzwieczał dzwonek z sypialni pani Chalmers-Robinson. Pani właśnie poszła do łóżka, zadowolony się na kolację jajkiem w koszulce. Ruth pobiegła na górę do pani, od której, jak sobie uświadomiła, oddaliła się ostatnimi czasy.

- Ruth! - zaczęła pani Chalmers-Robinson. - Mówię ci szczerze! Jestem nieszczęśliwa. Coś... och, nie, to za mało! Wszystko ciąży mi na sercu.

Jak myślisz, dlaczego właśnie ja zostałam wybrana? Dlaczego właśnie mnie... Właśnie ja! Ostatnia chyba osoba, którą by należało zmuszać do dźwigania ciężarów!

Zrobiła gest, jakby chciała zdjąć brzemię ze swych włosów, lecz ręce jej napotkały jedynie przedziałek, który wymagał drobnej poprawki.

Niewątpliwie pani Chalmers-Robinson była po paru kieliszkach.

- Proszę cię, usiądź - zaproponowała machinalnie.

Ruth wolała stać. Nigdy nie stawiała czoła osobom z wyższych sfer inaczej niż wsparta na własnych nogach.

- Słuchaj, Ruth - ciągnęła pani - Wiedza Chrześcijańska... ale mówię ci to pod najsurowszym sekretem! Otóż Wiedza mnie trochę zawiodła. Nie przemawia do mnie, do mnie osobiście. Rozumiesz?

Palcami, na których lśniły zachowane jeszcze pierścionki, stuknęła we własną pierś. W tym blasku skóra jej wydała się szara, jakby posypana drobnutkim popiołem.

- Mnie potrzeba czegoś osobistego. Cóż mi z tej religii! Trzeba mi czegoś, czego mogłabym dotknąć. Ale czegoś takiego, żeby nikt mi tego nie mógł odebrać. Perły? Nie! Perły komornik zabiera przede wszystkim.

Mężczyźni? Nie. Mężczyźni, moja droga, nie lubią, żeby ich dotykać. Zastrzegają sobie prawo dla siebie. To zresztą nie jest sekret. Podaj mi rękę, Ruth.

- Lepiej pani pomoże aspiryna i mocna, gorąca kawa - doradziła niemal oschle pokojówka.

- Zemdliłoby mnie. Już i tak mam mdłości - odparła wzdrygając się pani Chalmers-Robinson.

Usta jej ściągnęły się, przywiedły i zblakły.

- W co ty wierzysz, Ruth? - spytała. Właściwie nie życzyła sobie tego usłyszeć, chciała tylko wiedzieć.

- Och, proszę pani! - krzyknęła dziewczyna. - Człowiek nie potrafi wyrazić, w co wierzy.

Z żalem musiała jednak wyrwać ręce z rąk pani.

Kobieta leżąca w łóżku gotowa była zapłacić każdą cenę, byle podpatrzeć chociaż przeblysł tajemnicy - oczy wytrzeszczała z ciekawości - lecz w tej chwili zrozumiała, że ta biała wieża także jest dla niej zamknięta.

Wyszczerzyła zęby i zapłakała.

Biała dziewczyna, chociaż mocno stopami wparta w dywan, zdawała się chwiać. Światło biło z jej lśniących mankietów. Ale już nie koło, już tylko kłuło i oślepiało.

- Gdybym nawet powiedziała - spróbowała wytłumaczyć - i tak by pani nie przejrzała. Każdy widzi inaczej. Człowiek sam musi widzieć! - krzyknęła bezradnie, usiłując wydrzeć z siebie prawdę.

- Powiedz mi, Ruth, powiedz! - błagała pani. Omdlewała z pragnienia, gotowa była torturować samą siebie za pośrednictwem drugiego człowieka.

- Powiedz! - powtarzała zaślinionymi ustami. Jedna pierś wysunęła się jej z dekoltu koszuli.

- Och, dręczymy się tylko obie! - zawołała dziewczyna.

- A to dobre! - krzyknęła pani w nagłej furii. - Cóż ty wiesz o męczarniach?

Ruth stłumiła zdumienie.

- Ależ to męka patrzeć, jak pani cierpi, i nie móc na to poradzić!

Dla niej było to oczywiste.

- O, Boże! A więc nawet święci nas zawodzą!

Zęby pani Chalmer-Robinson wyglądały niekiedy odrażająco.

- To prawda, ciemna ze mnie dziewczyna - przyznała pokojówka. - Jeśli nie mogę czegoś zrobić rękami, jestem bezradna. Ale tego, co pani powiedziała, wstyd mi słuchać. Wstydzę się za panią i za siebie.

Wstyd palił ją rzeczywiście i w jego równym płomieniu wymowa tej twarzy była jeszcze jaśniejsza.

Pani Chalmers-Robinson zrozumiała, że nie udało jej się ani wydrzeć sekretu, ani upokorzyć służącej, opadła więc na poduszki, bełkocąc niewyraźnie. Zaciskała powieki mocno, mocno, jak po zapuszczeniu kropel, a słowa wydobywały się z jej ust rozlazłe, zniekształcone grymasem wstrętu, który nie wiadomo do czego się odnosił, może do niej samej.

- Wyjdz stąd! - powiedziała. - Wyjdz! Źle się czuję. O Boże, mdleję!

Tłukła głową o rozgrzaną poduszkę. Nie udawało jej się jednak zemdleć. - Proszę, niech się pani uspokoi - rzekła Ruth Joyner, zabierając się do odejścia zgodnie z poleceniem. - Z pewnością zapomni pani prawie wszystko z tej rozmowy. A wtedy będziemy mogły dalej być w przyjaźni. Dobrze? - wykroch-malony fartuszek zachrząścił. - Będzie lepiej, jak się pani prześpi.

Z litości przed wyjściem z pokoju dotknęła ręki pani.

W krótkim okresie między tą sceną a ślubem Ruth Joyner rozmawiała z panią Chalmers-Robinson wiele razy, ale zawsze w tonie bardzo oficjalnym. Pracodawczyni ograniczała się najczęściej do rozkazywania, na przykład:

- Podaj mi szare rękawiczki, Ruth. Chyba nie zapomniałaś ich zreperować? Zastanawiam się czasem, o czym wy w ogóle myślicie przez cały boży dzień.

Albo:

- No, proszę, cała jestem na żółto! Wyglądam jak strach na wróble. Ale teraz jest już za późno. Sprowadź mi taksówkę.

W tym przypadku spieszyła się na zebranie nowej spółki, która powstała mniej więcej w tym czasie, gdy interesy jej męża zaczęły się chwiać, i w której pani Chalmers-Robinson była członkiem zarządu. Ruth oczywiście nic z tego nie rozumiała.

Tylko raz od dnia katastrofy Ruth spotkała męża swej pracodawczyni.

Stał na ulicy, jedząc fistaszki z papierowej torebki. Jego ubranie wyglądało mniej sztywnie niż przedtem, ale było starannie utrzymane.

Twarz drgała mu w dziwacznym tiku. Nie poznał służącej, chociaż podeszła tak blisko, że mógłby odczytać dla niego przygotowane słowa na jej ustach. Zachowywał się dość swobodnie. Wypluł coś z białej miazgi oblepiającej mu język, zapewne odrobinę

łupiny fistaszka. Patrzył gdzieś dalej, poprzez i poza obcych przechodniów. Dziewczyna poszła więc swoją drogą, ale z taką delikatnością współczucia i szacunku, jakby mijała śpiącego lub umarłego.

Wreszcie pewnego dnia Ruth w swoim brzydkim kapeluszu stanęła przed panią w salonie. Jej skrzynkę wyniesiono z domu już rano. Obrzęd ślubny miał się odbyć wczesnym popołudniem.

Było widoczne, że na pożegnanie Ruth pani Chalmers-Robinson postanowiła objawić się w pełni swego uroku i obdarzyć służącą jeśli nie hojnym czekiem, to przynajmniej czarującym wspomnieniem. Stanowczo odmówiła obecności na ślubie w ponurym kościółku. Śluby działały na nią przygnębiająco, nawet gdy panna młoda była w atłasach. Chciała jednak udzielić tej ociężałej oblubienicy sentymentalnego, a zarazem taktownego błogosławieństwa i ubrała się na tę uroczystość w skromną, lecz ładną toaletę. Postarała się, żeby Ruth zapamiętała ją w obłoku miłego zapachu perfum. Gdy przyjmowała pokojówkę, siedząc w stylowym fotelu, pewność siebie, a może obojętność wygładziły jej twarz. Nawet w pełnym świetle południowej godziny rozdziałek w jej włosach zdawał się nieposzlakowany, idealnie biały, prosty, zdecydowany. Co do oczu, to ludzie próbowali opisać ich blask i błękit w wiele lat później, gdy już zapomnieli o wszystkich wspaniałościach Jinny Chalmers, o jej bankructwie, rozwodzie i ostatniej chorobie.

- Myślę, że musisz być troszkę podniecona - rzekła z powiewnym gestem białej ręki.

Zaśmiała się melodyjnie, czego nauczyła się niegdyś od pewnej angielskiej aktorki występującej w Sydney.

Ruth też się roześmiała. Była wdzięczna za tyle względów, ale skrepowana nowym gorsetem, sztywnym i ciasnym.

- Chciałabym, żeby już było po wszystkim - wyznała szczerze.
- Och, nie spiesz się, nie spiesz! - błagalnym tonem powiedziała pani Chalmers-Robinson. - I tak wszystko aż za prędko się skończy. - Oblizła wargi, dodając: - Ileż to już dziewcząt wyszło z tego domu za męża! Jedna po drugiej! No cóż, to zapewne naturalny porządek rzeczy.

W pewnych kołach uwagi te uznano by za niezwykle zabawne.

Ruth ■ jednak nasuwały się same smutne wspomnienia. Przypomniała sobie, że gdy odchodziła, usiłując zataić rozżalenie, nadepnęła na rabatkę rezedy obrzeżającą przed ojcowskim domem ceglana ścieżkę, i że to samo uczucie żalu wezbrało potem łzami, jeszcze słodsze, jeszcze bardziej nieznośne, gdy ludzie na pożegnanie wyciągali chustki, by nimi powiewać i ocierać oczy.

- Och, proszę pani - słowa niezdarnie cisnęły się jej na usta - mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Mam nadzieję, że ta Violet zadba o wszystko.

- Ma astygmatyzm - złowieszczo oznajmiła pani Chalmers-Robinson.

- Mleko stoi na lodzie. A chleb jest w puszcze. Gdyby Ethel w porę nie wróciła. Gdyby pani chciała coś przegryźć.

Gdyby.

Wreszcie gwoździe zostały wbite. Ruth nagle spostrzegła, że przygryza kosmyk włosów. Włosy jej zawsze się rozsypywały, kiedy była bez czepeczka.

Pani Chalmers-Robinson ujęła dłoń opiętą sztywno w rękawiczkę w swoje miękkie, pieszczotliwe dłonie.

- Żegnaj, Ruth - powiedziała. - Nie przedłużajmy tych ostatnich chwil, to bywa śmieszne.

Dlatego, a także dlatego że wzruszenia zniekształcają

twarz, nie pocałowała odchodzącej pokojówki. Czuła jednak, że mogłaby to zrobić w innych nieco okolicznościach.

- Tak - rzekła Ruth. - Na mnie już tam czekają. Tak, trzeba iść.

Zdawała sobie sprawę, że jej uśmiech wygląda głupio, lecz bądź co bądź był lepszy niż nic. Zatrzymała go więc na ustach z pewnym wysiłkiem.

Idąc przez pokój słyszała, jak skrzypią jej buciki, to jeden, to drugi.

Posadzka niemal odzwierciedlała jej myśli, bo w przeddzień Ruth wyfroterowała pokoje do blasku. Fajerwerk światła, brokatu i kryształu rozprysnął się nad jej głową w ostatnim momencie, nim zamknęła drzwi, tak jak ją nauczono zamykać drzwi, kiedy wychodzi się z salonu.

W ten sposób Ruth odeszła i tego samego popołudnia odbył się jej ślub, a potem zamieszkała w Sarsaparilli, chwilowo w baraku, zaczęła rodzić dzieci i prać dla ludzi bieliznę. A robiąc to wielbiła Boga. Czyż bowiem nawet najprostszy uczynek nie był zrozumiały, niezmienny, a nawet chwalebny w blasku Boga?

Pani Godbold siedziała na brzeżku krzesła w tym samym baraku, który początkowo miał być tylko chwilowym, ale w końcu okazał się stałym mieszkaniem. Kilka córek nadal trzymało się blisko matki, bo jej fizyczna obecność dawała im poczucie bezpieczeństwa, a fale refleksyjnego umysłu mile kołysały. Tylko Kate krzątała się energicznie. Wypłukała czajniczek, ale liście herbaciane zachowała na różne gospodarskie użytki. Ze znajomością rzeczy klepnęła raz i drugi żelazną łyżką baraninę.

Wkrótce zapachy i westchnienia wzbily się znad pieca i z ust ludzkich, a świeże drewno trzaskało na kapryśnych węglach, budząc je na nowo.

Oczy nie umiały przemilczeć prawdy, że zapach gotowego już prawie jedzenia dostarcza upajających przeżyć.

Nawet pani Godbold, chociaż przed chwilą czuła się na zawsze już wrośnięta w skamieniały czas, zaczęła się poruszać, skrzypiec krzeselkiem, pokasływać, ale ostrożnie, żeby nie urazić żeber, na których głównie skrupił się gniew jej męża. Gotowa była wstać i podjąć najprościej w świecie wszystkie swoje obowiązki, bo nie ma po co się łudzić, od nich człowiek nigdy naprawdę nie może się wyzwolić. Wtedy właśnie weszła najstarsza córka, Elsie.

Elsie Godbold często teraz wracała do domu dość późno. Wybrano dla niej zawód sekretarki, nauczyła się więc wystukiwać na maszynie listy handlowe i pokonywała wszystkie rywalki szybkością, jeśli nie ortografią. W stenografii robiła pewne postępy, pisała nie bez odrobiny wzgardy pod dyktando, a czasem udawało się jej nawet odczytać to, co zanotowała. W charakterze pracownicy biurowej co dzień o ósmej piętnaście rano jechała autobusem do Barranugli w różowej lub niebieskiej sukience, zaopatrzona w różne plastikowe dodatki oraz w śniadanie. Elsie nauczyła się już malować usta, jak wszystkie młode dziewczęta w biurze. Zgrabnie poruszała się na wysokich obcasach i umiała nadać spódnicy oraz halkom rozkołysany rytm, który mógłby się wydać wyzywający, gdyby nie był tak bardzo poważny. Elsie mogła naprawdę zaimponować, ale tylko wtedy, gdy nie było przy niej młodszych sióstr.

Trzasnęła drzwiami, ponieważ inaczej nie dałoby się ich zamknąć, zrzuciła pantofle, bez których zawsze czuła się swobodniej, podeszła do matki i oznajmiła:

- Mamusiu, muszę ci coś powiedzieć: widziałam przed chwilą ojca.

Oddychała gorączkowo, niemal dramatycznie.

- Oo! - z wolna powiedziała matka, nie bardzo jeszcze zaalarmowana.

Nigdy bowiem nie mogła dość napatrzeć się swej najstarszej córce, a teraz gdy z warg Elsie znikła zlizana

szminka, gdy dziewczynka tchnęła ciepłem, a zarazem świeżością rosy, przed oczyma jej matki znów wyrastał zielony żywopłot, a w nim ukryte drobne kwiatki i kolorowe jagody pod spływającymi z góry ciężkimi od kwiecica lub owoców gałęziami.

- Tak. - Pani Godbold odchrząknęła, nim podjęła znowu:

- Tak, ojciec dopiero co stąd wyszedł.

- I już się zdążył spić jak bela - syknęła Elsie.

W tym domu wszyscy rozumieli, że byłoby głupotą owijać prawdę w bawełnę. Pani Godbold ściągnęła nozdrza w sobie tylko właściwy sposób.

- Widziałam, jak wychodził od Kombinatora Jensena

- nieubłaganie informowała córka.

- Może spieszył się na autobus - powiedziała pani Godbold. - Wiesz, ojciec był w nie najlepszym humorze. Pewnie pojechał do miasta. Ale przecież ma na sobie robocze ubranie!

- A jakże! - odparła Elsie i zawahała się, chociaż dobrze wiedziała, że nie wolno tracić czasu. Poczzerwieniła i schyliła się, jakby chcąc dotknąć matki. - A jakże! - powtórzyła.

- Tatuś poszedł do pani Khalil.

I nagle Elsie wybuchnęła płaczem. Szlochanie, tak zdawałoby się naturalne, zabrzmiało tym bardziej rozdzierająco, że to nie mała dziewczynka, lecz poważna sekretarka zachowała się tak dziecinnie.

Pani Godbold musiała wstać nie oszczędzając dłużej swoich żeber.

- Do pani Khalil! - powiedziała. - Od Jensena! Nawet najmłodsze córki zrozumiały, że ojciec z bardzo już

niskiego szczebla spadł chyba na samo dno przepaści. I ta Elsie zdyszana, rozszlochana, zgorączkowana i czerwona w swojej biurowej sukience!

Siostry uznały, że trzeba zapłakać z nią razem. Ale nie umiały podzielić jej wstydu.

- Zastanówmy się chwilę - powiedziała matka, oszołomiona w tym momencie, który wymagał od niej jasności myśli. - Ty, Kate, przypilnujesz baraniny. Nie zapomnij, że trzeba odgrzać kapustę. Elsie! Elsie! Nasz dom jest za mały, żeby sobie pozwalać tutaj na histerię. Grace, uważaj na dziecko. Popatrz, co mała wyprawia z tym wstrętnym gwoździem!

Dzień był ciepły, nawet parny, mimo to pani Godbold dla przyzwoitości włożyła palto, a dla dodania sobie otuchy czarny odświętny kapelusz.

Córkom te przygotowania wydały się złowieszcze.

- Wychodzę - oznajmiła pani Godbold - i może nie zaraz wrócę. Proszę was dziewczynki, bądźcie grzeczne, wiem, że potraficie. Elsie! Elsie!

Zajmiesz się wszystkim, prawda, jak trochę się uspokoisz?

Elsie roztrzęsionymi ustami wyszeptała jakąś odpowiedź. Matka wyszła. Szła pod górę ku drodze, ścieżką, którą cała rodzina Godboldów pomogła wydeptać. Z natury niezgrabna, była łatwym łupem dla kolczastych jeżyn, lecz wyrywała im się i brnęła dalej, musiała bowiem dojść do celu, choćby trzeba po drodze spychać w dół ciemności. Noc już zapadła. Raz pani Godbold pośliznęła się na krowim łajnie, jak ją pouczył mocny ziołowy zapach. Raz wdepnęła aż po kostkę wprost w jakąś zardzewiałą puszkę. Puste butelki dzwoniły, obijając się o siebie, a miękka i zarazem kłująca ciemność chłostała wciąż jej twarz nazwiskami Jensena i Mollie Khalil i pod tymi ciosami kolana ofiary drżały jak rozmigotane gwiazdy. Gdyby nie żyła tak na uboczu od świata, mniej pewnie czułaby się przerażona, lecz dla niej była to wyprawa na ciemną stronę księżycy.

Kombinator Jensen był postacią popularną nawet wśród tych obywateli, którzy zadufani w swojej cnocie pozwalali sobie czasem na babranie się

w błotku grzechu. „Idź do Kombinatora” - mówiono ze śmiechem w okolicy Sarsaparilli, gdy chodziło o szybkie zdobycie trunków na zaimprovizowaną libację, o towary chwilowo nieosiągalne na rynku, o konia, którego szanse objawiły się w ostatniej chwili przed wyścigiem. Kombinator wszystko umiał wykombinować, podłubawszy najpierw w nosie i zaklinając się, że nie ma żadnych możliwości. Któż by nie przebaczył pewnych nieprzyjemnych cech człowiekowi, który oddawał usługi społeczeństwu, utrzymywał ułomne dzieci i z zamiłowaniem hodował kanarki? Mimo wszystko paru wyzutych z poczucia humoru tetryków i świętoszków nie doceniało usłużnego i w gruncie rzeczy przyzwoitego szachraja. Ci nudziarze pytali, dlaczego przedstawiciele prawa patrzą przez palce na sprawki Jensena. Dawali dowód ignorancji i naiwności, powszechnie bowiem było wiadome, że co najmniej dwóch radnych miejskich korzysta z usług Kombinatora. Poza tym pani McFaggott, żona policjanta, zawsze mogła u Jensena liczyć na butelkę, a nieboraczka bez grogu nie przymykałaby oczu na bujne życie swego małżonka. Jasne więc było, że działalność Jensena jest zarazem pożyteczna i legalna i że będzie on nadal ratował sąsiadów w kłopotach. Widywano pod drzwiami Jensena nawet zakonnice z dziećmi z ochronki i małe dziewczynki pchające wózek z lalkami, a niemal co wieczór po pracy, zanim żony mogły upomnieć się o swoje prawa, zbierali się tu mężczyźni i zza gęstwy dzikiego wina podpierającego kawalerskie gospodarstwo rozbrzmiewały wesołe, głośnie śpiewy.

Pani Godbold wiele z tych spraw знаła ze słyszenia, jeśli nie z doświadczenia, toteż wyobraźnia ukazywała jej męża sponiewieranego, pijanego, rozśpiewanego, jednocześnie rozgoryconego i hojnie sypiącego pieniędzmi, gotowego utulić głowę na pierwszej nadarzącej się piersi albo też rozbić czaszkę na kamieniach. Pani Godbold zniosłaby i to,

i więcej jeszcze, byle przytrzymać go za poły, gdy zamroczony wytoczy się z domu Kombinatora Jensena, ale według relacji córki Tom poszedł szukać gdzie indziej i gorszego guza.

Pani Godbold niemal potknęła się o własne niespokojne myśli, skręcając w Alice Avenue, ale odzyskała równowagę i pospieszyła dalej, kręcąc na palcu obrączkę, żeby dodać sobie odwagi, wciąż bardzo chwiejnej.

Trochę nawet popłakiwała, czego nigdy by nie zrobiła w świetle dziennym i na oczach ludzkich. Nocą na ulicach Sarsaparilli nie była żoną i matką, lecz smutkiem w czarnym kapeluszu.

Tak doszła do domu Khalilów.

I wbrew spodziewaniu zastała tu spokój.

Wprawdzie gdy otwierała furtkę, kawałek drewna spadł na ziemię, ale to wszędzie może się zdarzyć, wprawdzie dom rozpływał się w ciemnościach, lecz okna świeciły żółtym blaskiem, niedostatecznie przysłonięte różnymi strzępami czerwonego pluszu, kraciastych derek, burych ścierek, a nawet, jeśli jej wzrok nie mylił, parą starych perkalowych majtek, które właścicielka rozwiesiła dla zapewnienia dyskrekcji. Dokoła i w domu panowała cisza. Gdy więc pani Godbold zapukała, drzwi zadudniły głośno pod kostkami jej palców, a kobieta skuliła się spłoszona.

Z drugiej strony do drzwi zbliżył się ktoś szurając pantoflami i wyraźnie niezadowolony.

- Czego tam? - spytał głos przez szparę.

- To ja, Godboldowa - odpowiedziała ciemność. - Przyszłam po męża. Na pewno jest tutaj.

- Och! - zdziwił się głos. Był to głos kobiety. - Pani Godbold!

Zapadła cisza i przez długą chwilę słyhać było tylko oddechy i brzęczenie komarów. Każda z kobiet czekała, żeby ta druga zrobiła jakiś krok.

- Pani Godbold! - powiedział wreszcie głos przez szparę. - Po co pani tu przyszła?

- Po męża - odparła stanowczo.

Było to przecież bardzo proste. Ale drzwi skrzypiały i piszczwały.

- Nikt nigdy tutaj nie przychodził jeszcze po męża - powiedziała kobieta zza drzwi.

Zdawało się, że jest zgnębiona tym złamaniem obowiązującej etykiety.

Nie wiedziała, co robić, więc drzwi trzeszczały, a pantofle szurały po podłodze.

- Czy to pani Khalil? - spytała pani Godbold.

- Tak - odpowiedziała po chwili tamta. Lepki zapach jaśminu wisiał w powietrzu, muskając twarze. Koty ocierały się pieszczotliwie o spódnice.

- Ooch! - protestowała pani Khalil. - I po co pani robi takie rzeczy?

Może to była niezła kobieta. Uchyliła drzwi, a jej koty zdawały się dobrze odżywione.

- Niech pani wejdzie, pani Godbold - powiedziała. - Nie mam pojęcia, co z panią zrobić. Ale niech pani wejdzie. Nie moja wina. Nikt mi nigdy nie urządził takiej historii.

Pani Godbold zakaszłała, nie wiedząc, co odpowiedzieć, i w ślad za człapiącymi pantoflami swej nowej znajomej poszła korytarzem ku złotemu światłu i gwarowi głosów.

- Proszę! - powiedziała pani Khalil i w uśmiechu pokazała złoty ząb.

Mollie Khalil wcale nie była z natury zła. Kogo winić za to, że się urodziła Irlandką? Zresztą już bardzo dawno temu. W Sarsaparilli pewne osoby nazywały ją kobietą rozwiązłych obyczajów i miały słuszość. Ale była przy tym uczciwa. Pracowała w swoim fachu jak w każdym innym. Żyła na wiarę z pewnym Syryjczykiem, póki łobuz jej nie rzucił, wtedy najprościej w świecie została kurwą, po cichutku,

w małym domku za strażnicą pożarną. Teraz już sama nie obsługiwała klientów, wolała spokój i szklankę dzinu. Zresztą córki, Lurleen i Janis, obie już podrosły, a w razie większego ruchu przyjeżdżała im na pomoc pewna kobieta z Auburn.

- Nie krępujmy się - powiedziała pani Khalil ze śmiechem - między nami kobietami! Niech pani zdejmie kapelusz, będzie wygodniej.

Ale pani Godbold została w kapeluszu.

Pani Khalil miała na sobie luźną fantazyjną suknię, w której kształty jej pływały swobodnie, gdy krzątała się po kuchni; bo to była najwidoczniej kuchnia.

- Moja najmłodsza, Janis, proszę pani - powiedziała i dotknęła kędzierzawych włosów dziewczynki jak przedmiotu niezależnego od osoby.

Janis była pogrążona w jakiejś grubej księdze. Nie oderwała od niej oczu, wysunęła tylko naprzód szczękę i zmarszczyła czoło. Siedziała w samej koszuli. Przebierała bosymi palcami u nóg jak dziecko.

- Proszę, niech pani siada - zwróciła się do gościa pani Khalil, zdejmując z krzesła jakąś część garderoby.

W kącie, w głębi kuchni, siedział mężczyzna, jeszcze nie przedstawiony.

- To pan Hoggett - wyjaśniła gospodyni. - Czekaj. Hoggett nie znalazł słów, ale jakiś pomruk dobył się spod trykotowej koszulki opinającej jego tors.

Pani Godbold siadła na krześle z twardym oparciem. Misja miłości nadal jej przyświecała, ale pani Godbold już rozumiała, że nie da się tego nikomu wytłumaczyć.

Janis z irytacją ślinała palce i wertowała księgę. Miała ciemną skórę, lecz nie tak czarną, by mogła nie znać własnej wartości.

- Akurat się sprzecaliśmy, kiedy pani zapukała - oznajmiła pani Khalil, w rozmarzeniu przyglądając się swej naj

młodszej córce. - Ja mówiłam, że śmierć to nic wielkiego. Nie ma się czym przejmować. Taki już los człowieka. Ale pan Hoggett i Janis byli innego zdania.

Pan Hoggett najwidoczniej nie miał ochoty zabierać głosu. Odwracał głowę. Drapał przez koszulę pępek.

- Panu Hoggettowi właśnie żona umarła - powiedziała pani Khalil z trochę rzewnym uśmiechem.

- Daj pani spokój! - wystąpił pan Hoggett w obronie własnych praw. - Nie po to przyszedłem do pani. Równie dobrze mogłem siedzieć w domu i słuchać radia.

Powiódł w koło wzrokiem pełnym urazy, wcale nie uzasadnionej, jeśli chodziło o panią Godbold.

Rajfurka zirytowała się nagle. Kilka zapalek złamało się w jej rękę.

- Raz już panu powiedziałam, prawda? Janis jest zamówiona. Czasem mężczyźni są niemożliwi.

W końcu zapaliła papierosa. Zaciągnęła się, zafalowała pod luźną suknią. Pan Hoggett, dość tęgi mężczyzna, siedział w trykotowej koszulce i milczał, ale brzuch jego wyrażał oburzenie. Może by się nadał jeszcze bardziej, gdyby kuchnia pani Khalil nie była tak ciasno zagracona talerzami, koszykami, stosami kobiecej bielizny, kotami i starym gazowym piecykiem, który miał szklane drzwiczki na zewnątrz i barani łój we wnętrzu.

- Daruje kochana pani, interes musi iść - przeprosiła panią Godbold gospodyni.

Pani Godbold uśmiechnęła się, bo myślała, że tak wypada. Ale uśmiech nie pasował do jej twarzy. Znalazł się tam jakby zabłąkany z cudzych spraw. Krzesło było tak sztywne, że ciało nie mogło się do niego przystosować. A w każdym razie kosztowało to sporo wysiłku.

Przy tym wielu rzeczy tutaj nie rozumiała. Dlatego miała dość smutny wyraz twarzy.

- Mogłabym poczekać na dworze - powiedziała. Intencje, od początku niejasno sformułowane, wreszcie skamieniały.

- Co to, to nie! - zaprotestowała pani Khalil - nocne powietrze nikomu nie idzie na zdrowie.

Posąg pani Godbold nie ruszył się więc z krzesła; zastanawiał się nad swoją dziwną sytuacją, lecz zamysły rzeźbiarza pozostały tajemnicą dla świadków.

W okropnym zaduchu kuchni wszystkie kształty zdawały się nabrzmiwać. Sam pan Hoggett wysapał z siebie chmurę wzburzenia. Gdy nagle roześmiał się szeroko, pokazując dziąsła, zabrzmiało to pojednawczo. Klepiąc się po grubym udzie i spoglądając na dziewczynę, spytał:

- Czytasz coś fajnego, mała?

- Nieee - odparła Janis. Na paznokciach, od dość dawna widać nie poprawianych,

łuszczył się lakier. Wodząc palcem wzdłuż wierszy, Janis najwidoczniej chłoneła jakąś ważną naukę.

- A nie mówiłam! - wykrzyknęła. - Mamo! Czwartek to zły dzień.

Jesteśmy pod wpływem Saturna. Rozumiesz? - Zamknęła księgę. - No tak!

Podeszła do okna, otworzyła je, wpuszczając blask księżyca i zapach jaśminów. Lepka, biała struga nocy wlała się do wnętrza, a jednocześnie wskoczył natrętny bury kot.

- Ojej, chciałabym, żeby się coś stało! - powiedziała Janis.

- Już ja tam wolę, żeby się nic nie działo - odparła matka. Wydmuchnęła przez nozdrza kłęb dymu.

W głębi domu głosy ścierały się jak we wnętrzu drewnianego pudła.

Czasem zgrzytały jak szklany papier, czasem przylegały do siebie niby zamszowe rękawiczki.

Pani Godbold wsłuchiwała się w upływające minuty. Brodę trzymała wysoko. Mimo brutalności elektrycznego

światła księżyc zabarwiał lekko pół jej twarzy od strony okna. Była to jednak ledwie widoczna blada plama.

Pani Godbold schyliła się, może po prostu chciała zająć się czymkolwiek; chwyciła burego kota. Przytuliła go do policzka i spytała:

- Czego ty chcesz, powiedz?

Bardzo cichutko. Ale gospodyni usłyszała. Wybuchnęła śmiechem.

- Jak to czego? Miłości! Jak każdy - odpowiedziała. Pani Godbold musiała przyznać jej słuszność. To właśnie było najgorsze. Teraz wreszcie rozumiała niemal wszystko i modliła się, żeby ta mądrość jej nie zatrąła.

Pod panem Hoggettem skrzypnęło krzesło. Był bardzo ciężki. I bujnie owłosiony.

- Chciałabym stąd wyjechać, podróżować koleją - powiedziała Janis, odwracając się nagle. - Mamo! Daj mi sukienkę. Prędko! Muszę wyjść. Byle gdzie, aby wyjść.

- Wiesz, jaka jest umowa - odparła matka. Dziewczyna zaczęła protestować, kręcić się nerwowo. Jej koszula okrywała bardzo ładne ciało.

Pogrążona w swoim śnie, z którego marmur nigdy nie powinien się budzić, pani Godbold czuła ściekające krople jaśminu. Zaczęła się bronić wspomnieniami własnego domu czy raczej baraku, białej powierzchni deski do prasowania, nie tylko uczciwszej, ale także czystszej niż księżycowa pościła. Przywoływała obraz dzbanka z wodą do skrapiania bielizny. Czepiała się myślą wszystkich gładkich powierzchni i bezpiecznych przedmiotów, byle nie myśleć o mężu; on był jej najsłabszą stroną.

Wbiła wzrok w podłogę kuchni pani Khalil, w biało-czarne linoleum zdeptane na pewno przez wiele stóp.

Promień księżycy dotknął jej, a pani Khalil, która właśnie na nią spojrzała, przez chwilę była szczerze zakochana w tej

silnej i niewinnej szyi, chociaż od dawna obrzydli jej ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ich fałszywe języki, ich ciała leniwe albo, co gorsza, natarczywe. Najbardziej lubiła wylegiwać się i czytać niedzielne gazety, z kotem za plecami grzejącym nerki.

Pani Godbold głaskała szare futro kota, prawie całkowicie uszczęśliwionego. Nie potępiała już bezwzględnie męża. Potępiała siebie za to, że rozumie. Może by stąd odeszła, gdyby miała władzę nad swymi nogami, ale księżyc rozlewał gęste kałuże; nawet tam, gdzie nie było ich widać, wokół pachniało jaśminem i zmęczonym ciałem ludzkim.

Nagle rozległ się łoskot, drewniany dom zadrżał w posadach.

- Tego brakowało! - krzyknęła pani Khalil. - Znowu lichy przyniosło przeklętego czarnucha.

- Mamo! - hamowała ją córka.

- Co to za czarnuch? - skwapliwie zapytał pan Hoggett. Jakby nie dość go tutaj jeszcze oszukano.

- Ten jedyny. Nasz pieszczołek - jęknęła pani Khalil. - Wyrzucisz go za drzwi, wraca przez okno, regularnie jak dzień wielkiego prania.

- Mamo, przestań!

Janis zwijała się jak w boleściach.

- To ten? - Pan Hoggett ociekał potem. Nikt jednak go teraz nie słuchał.

Drzwi wejściowe trzeszczały nieprzyjemnie. Deski gwałconego domu rozstępowały się z jękiem.

Wszedł człowiek. Na żółtym czole miał siną szramę, musiał upaść i rozbić się niedawno. Nie panował nad swoim ciałem, popychała je jakaś wyższa siła.

- Ty pijaku, brudasie! - wrzasnęła pani Khalil. - Czy ci nie powiedziałam, że nie przyjmujemy dziś więcej gości?

Stał jak wryty i nagle się uśmiechnął.

Rajfurkę korciło, żeby mu nawymyślać od czarnuchów, ale przypomniawszy sobie mętnie, że pewien czarnuch był jej mężem, chociaż bez aktu ślubu.

- Nie przyszedłem jako gość. Przyszedłem z misją.

To było tak niespodziewane, że pani Godbold podniosła wzrok.

Postanawiała sobie przedtem, że nie oderwie oczu od podłogi, by uniknąć widoku niegodziwości, której nie miała sił zapobiec.

- W misji? - krzyknęła pani Khalil. - A cóż to za misja, chciałabym wiedzieć?

- Misja miłości - odparł tubylec. I roześmiał się wesoło.

- Miłość! - oburzyła się pani Khalil. - Masz pomysły! Mówiłam ci już. To jest przyzwoity dom. Nie ma tutaj miłości dla czarnych.

Janis chichotała. Obgryzała czerwony lakier z paznokci i drapała się zawzięcie.

Tubylec śmiał się jeszcze przez chwilę, z rozpędu i dlatego że śmiech pomagał mu utrzymać równowagę wśród rozchwianych dokoła sprzętów. Wreszcie spoważniał.

- No, dobrze, proszę pani. Niczego nie żądam, tylko zaśpiewam i zatańczę

- powiedział. - Jeśli państwo pozwolą

- dodał bardzo rozsądnie. - A nawet jeśli nie chcecie. Bo muszę.

Wiele słów było zapożyczonych, ale te zdawały się najmniej ważne. Jego własny ton był poważny, kulturalny i naturalnie brzmiały w jego ustach inteligentne wyrażenia. Chociaż się chwiał, chociaż obrzmiały język potykał się od czasu do czasu na słowach, chociaż gorączkowy oddech palił niebezpiecznie, chociaż czarnuch szukał oparcia, chwytając się mebli, wzrok jego pozostał uporczywie utkwiony w jakiś odległy sztandar uczciwości i dokładności. Nigdy tego sztandaru nie tracił z oczu

- dawał to jasno do zrozumienia

- i tym najbardziej rozjątrzał niektórych ludzi. Pan Hoggett

na przykład, udając wielki wstręt zarówno do sytuacji obrażającej moralność, jak do niewątpliwie obrzyganych spodni tubylca, najbardziej oburzał się tonem jego głosu i słowami, których sam nie śmiałyby użyć.

- Gdzie on się tego wyuczył? - spytał. - Nie do wiary. Takie komedie! Tubylec, który już przybierał pozę i skupiał myśl przed występem, przerwał te skrupulatne przygotowania na moment, żeby powiedzieć głosem donośnym, pewnym, najzupełniej trzeźwym:

- Wszystko zawdzięczam wielbnemu pastorowi Timo-thy'emu Calderonowi i jego siostrze, pani Pask.

- A to dopiero! - wykrzyknęła pani Khalil.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu, mimo że nie chciała za nic okazać rozbawienia. Czarnuch tymczasem zdołał schwycić równowagę i upozowany zaczął śpiewać.

*Hej, Australczyk, hej, Murzyn, mój wujek jest duży, mocniejszyⁿ R^{tata} >
lecz największą moc ma piątkowa noc! Bo w piątek wypłata, mają chłopcy
grosz, a mat unia niebogata.*

*Hej, Australczyk, hej, Murzyn, księżyc ma spust duży, strzela draniom w
łby, czy chcą umrzeć, czy jeszcze spro-łon-go-wać...¹*

Przełożyła Zofia Kierszys.

- Dość tego! - przerwała mu pani Khalil. - Nie wolno w moim domu używać nieprzyzwoitych słów. W każdym razie nie gościom. Bo mnie jeżeli się jakieś słówko wypśnie, no to trudno, gdzie mam się wygadać, jak nie we własnym domu.

- Dlaczego takiego łobuza nie zamkną - oburzał się pan Hoggett.

- Dlaczego? - zapytała pani Khalil i odpowiedziała bez namysłu: - Bo policjant jest jak zwykle na górze, w pokoju od frontu, z moją Lurleen. Tubylcowi, który zaczął od ruchów sennych, czułych, kołysząc się tylko i kiwając, gestykulując łagodnie, jakby siał ziarno, lub chwytając się za serce i ofiarowując je kolejno wszystkim obecnym, teraz krew już uderzała do głowy. Twarz mu pociemniała, niemal zsiniała. Płócienne pantofle wybijały przyspieszony rytm. Krótkie, urywane gesty kierował nie ku publiczności, lecz ku sobie, godząc we własną pierś. Przytupując, śpiewał w szybszym tempie:

Hej, Australczyk, hej, Murzyn,

przybij, przybij ją!

Przybij tę równicę, by broczyła krwią.

Ona, ta równica,

krwawi się, żj ha!

Czerwony jest mak i pnąca ró-ża,

ale najczyrwieńsi są

ludnie, kiedy broczą krwią.

Więc niech broczą, niech...

krwiaaaaa..}

Śpiewał, dreptał, potracając to kota, który miauknął przeraźliwie, to koszyk, z którego wysypały się niby wędzone

Przełożyła Zofia Kierszys.

ryby sztuki bielizny stwardniałe na słońcu. Miotał się wśród piekielnego zgiełku, a wraz z nim zaczęła także miotać się Mollie Khalil czy przynajmniej jej biust kipiący pod kwiecistą suknią.

- Trzymajcie go! Niechże go kto uspokoi! Panie Hoggett, bądź pan mężczyzną!

Pokrzepiła się kropelką, żeby sprostać sytuacji, i teraz podniosła ręce do głowy, tak że szerokie rękawy osunęły się, ukazując pod pachami wgłębienia wilgotne, bardzo białe wokół czarnej kępy włosów.

- To już nie moja rzecz! - odparł klient. - Ja nie po to przyszedłem tutaj. Nie na bójkę.

- Ale co powie policjant? - przekonywała. - Policjant usłyszy i gotów się zdenerwować.

Dawać tu Daisy...

- śpiewał tubylec.

Tupał wściekle. Rąbał drwa, łamał gałęzie.

Dawać panią Mc Whirter...

- śpiewał tupiąc.

... i policjanta O'Fickle, i fabrykę latarek, Żeby mieć światło też, światło, światło też...¹

Weszła Lurleen. Przez krótką chwilę, kiedy ściana zgiełku runęła, odsłaniając przepaść ciszy, pustkę wypełnił szelest

¹ Przełożyła Zofia Kierszys.

bosych stóp dziewczyny drepcącej po linoleum. Lurleen była znacznie dojrzalsza od siostry. Przypominała już trochę czerniejące banany. Wyglądała dość niechlujnie z pod-siniałymi oczyma, w koszuli, którą brudnawa, różowa, naderwana wstążeczka ledwie przytrzymywała na pulchnym ramieniu.

- Ależ dzionek! - powiedziała. - Temu chłopu tylko jedno w głowie.

- A cóżeś ty chciała? Żeby mówił po łacinie?

- No nie, ale mógłby porozmawiać. Niektórzy lubią opowiadać o swoich żonach. Ci są najlepsi. Łatwo z nich wycisnąć forszę.

- Zapłacił? - spytała mama. - A jakże! Na pewno kazał zapisać na rachunek.

- Jeść mi się chce. Masz tam coś w lodówce, mamó? - spytała Lurleen, ale nie czekała na odpowiedź.

Podeszła do lodówki, wyciągnęła kawałek kiełbasy niebieskawej od zmarzniętego tłuszczu, i zaczęła jeść.

- Muszę złapać Mantovaniego - powiedziała, kręcąc gałkami radioodbiornika.

- Oj nie, lepiej coś innego! - prosiła Janis. Potrzebne jej było wyładowanie energii w gwałtownych ruchach, a zamiast tego częstowano ją tym lepkiem plastrem.

Lurleen kręciła gałkami. Z wyjątkiem kilku sińców była naprawdę złotawa jak miód.

Wszedł nowy gość.

- Kogo widzę, Kombinator! - zaśmiał się pan Hoggett. Nareszcie bawił się dobrze. Mała Janis ostatecznie zdecydowała się przyłgnąć do jego żeber. Brzuch pana Hoggetta pod trykotową koszulką zareagował na to drgawkami.

Nad składem wełny węższjo słońce, strzyżenie owiec zaciąć trzeba.

*Matka \ krowami ju^ na łące patrzy, kto idznie - to^ to pleban...!*¹

- zadeklamował tubylec. Stracił chęć do śpiewu, uciekł gdzieś daleko z tej kuchni.

- W samą porę, panie Jensen! - zawołała rajfurka, która po nowym łyku pokrzepiających kropli wyciągnęła się na obdrapanej kanapie. - Ozłocę pana, jeśli pan zrobi porządek z tym czarnym łobuzem.

Ale Kombinator Jensen, wysoki, chudy, z cerą szarą jak kit i usianą w bruzdach zmarszczek drobniutkimi czarnymi punktami, dłużył w nosie swoim zwyczajem. Czekał oczywiście na natchnienie.

Przyglądał się pani Godbold. Nie znał jej. Nie spodziewał się jednak, że w tej kuchni zostanie posąg.

A posąg trwał bez ruchu.

- Co się tu dzieje? - spytał Kombinator. - Bał? - Parsknął śmiechem. - Tylko jeszcze policjanta brakuje do kompletu.

Lurleen wyduła wargi.

- Policjant poszedł do domu - oznajmiła, krygując się w takt muzyki i tańcząc w swej różowej szmatce.

- Jest ruch w interesie, co? - spytał Kombinator.

- Gdzie tam, odkąd ta włoska krowa robi konkurencję, interesy leżą - warknęła pani Khalil.

Nagle tubylec przewrócił się. Padł na czarno-białe linoleum. Leżał cicho, strużka ciemnoczerwonej krwi ciekła mu z ust.

- Ależ ten człowiek jest chory! - stwierdziła pani Khalil nie z zapadniętej kanapy, lecz z jakiegoś dużo większego dystansu.

- Nic dziwnego! - zaśmiał się Kombinator Jensen.

- W takim lokalu!

Przełożyła Zofia Kierszys.

- Panie Jensen, jak można! - zaprotestowała ze śmiechem gospodyni. - On jest naprawdę chory - dodała, poważniejąc, bo przecież jej także mogło się to zdarzyć, naczytała się dość o różnych przypadkach; zacisnęła ręce na piersiach.

Tubylec leżał na czarno-białym linoleum.

Pani Godbold, która od paru godzin, długich jak lata, patrzyła w ten właśnie punkt podłogi, wyciągnęła zza wycięcia sukni chusteczkę i schyliwszy się, otarła krew z jego warg.

- Powinien pan iść do domu - powiedziała zmieniając głos, chociaż od dawna go nie używała. - Gdzie pan mieszka?

- Nad rzeką u pastora - odparł, ale zaraz przytomniejąc spytał: - Pani chce wiedzieć, gdzie obecnie mieszkam, czy tak?

- Oczywiście - potwierdziła, wciąż łagodnie ocierając mu usta i mówiąc cicho, tak że nikt prócz nich dwojga tej rozmowy nie słyszał.

- W Barranugli. Wynajmuję pokój u pani Noonan, na końcu Smith Street.

- Dobrze tam panu? W tym pokoju? - spytała. Jak gdyby był człowiekiem. Z trudem przesunął głowę po linoleum. Nie mógł odpowiedzieć.

Muzyka lepkimi pasemkami sklejała wszystkie inne twarze, jak gdyby bez tego mogły lada chwila popękać. Niektóre były senne. Niektóre ułagodne. Ale młotek mógłby rozbić każdą z nich.

- Jak się pan nazywa? - spytała pani Godbold.

Chyba nie usłyszał pytania. Nie sposób było poznać, czy patrzy na tę kobietę w czarnym kapeluszu, czy gdzieś poza nią. Ramieniem osłaniał pół twarzy, nie dla ochrony, lecz żeby lepiej widzieć.

- Tak jest, jak chciałem. Twarze na pół odwrócone, ale można zgadnąć, jak wygląda niewidoczna ich część. Teraz widzę. Z czasem wszystko zobaczę.

W jego głosie brzmiało tyle zapamiętania i przekonania, że Ruth Joyner znów znalazła się na krzeselku w katedrze rodzinnego miasta, znów patrzyła, jak powstaje rusztowanie muzyki, i brała osobiście udział w skomplikowanej pracy nad tą budową. Od dnia gdy nieznajomy człowiek mówił jej tam

0 muzyce, nie słyszała w niczym głosie tonu takiej pewności

1 autorytetu. Dopiero tego wieczoru, z ust tubylca leżącego na podłodze w kuchni pani Khalil.

Zacząła go znów słuchać. Mówił:

- Kiedy kończyły się mrozy, pastor Calderon zwykle zawoził nas nad rzekę, a pani Pask brała z sobą kosz pełen prowiantów. Jedliśmy obiad na trawie. Ale prędko zaczęli żałować, że się wybrali na tę wycieczkę. Poznawałem to po ich minach. Pani Pask wspominała narcyzy. W te przed-wiosenne dni każdą rzecz widziałem na wskroś. Kiedy mi się przykrzyło siedzieć z białymi, włożyłem się na własną rękę. Zaglądałem do każdej jamy w ziemi. Dotykałem znów prawdziwych liści. Raz trafiłem na gniazdo czerwonych szerszeni. Brr! - zaśmiał się głośno. - Zmykałem, jakbym także miał skrzydła. Siedem parzących żadeł wbiły we mnie!

Gdy przestał się śmiać, dodał:

- Zabawne, że właśnie to tak dobrze zapamiętałem.

- Może dlatego, że wtedy pan był szczęśliwy - powiedziała.

- Najlepiej pamięta się nie najszcześniejsze dni - zaprzeczył gwałtownie - ale te inne.

- Może i racja.

Przyznała mu słuszność, bo chciała go natchnąć spokojem, ale wiedziała, że jest to, przynajmniej dla niej, tylko pół prawdy.

- Co do mnie, to najlepiej pamiętam z rodzinnych stron zimę - zwierzyła się trochę nieśmiało. - Bo wtedy my, dzieci, byliśmy najszcześniejsi.

Bardziej od siebie wzajemnie zależni.

405

W innych porach roku rozbiegaliśmy się we wszystkie strony. Oglądaliśmy świat, odkrywaliśmy różne rzeczy, każde na własną rękę. Zimą trzymaliśmy się za ręce, chodziliśmy razem po zmarzniętych ścieżkach. Po dziś dzień słyszę, jak dudnią pod nogami. - Oczy jej zabłyśły. - Albo tuliliśmy się w gromadce przy ogniu i jedliśmy kasztany, opowiadaliśmy sobie różne bajki. W zimie kochaliśmy się najmocniej. Nic nas nie dzieliło.

W pokoju pełnym ludzi i muzyki wybuchło zamieszanie. Powodem awantury była, zdaje się, mała Janis, której pan Hoggett tak bardzo pragnął. Widać w końcu uwierzył, że jedynym lekarstwem na wszystkie choroby jest młode ciało. Ale pani Khalil była przeciwnego zdania.

- Po moim trupie! - wrzeszczała. I trzęsa groźnie obfitymi kształtami.

- Nie pani interes! - krzyczał pan Hoggett.

- A czyj, chciałabym wiedzieć!

Kombinator Jensen, w szarym jak kit kapeluszu ze spuszczonej rondem, zanosił się od śmiechu. Mógł sobie na to pozwolić, nikt nigdy nie słyszał, żeby Kombinator miał kiedykolwiek podwyższoną temperaturę. Ale małą Janis opętała namiętność znacznie subtelniej szego gatunku. Nagłym kocim susem dziewczyna dopadła pana Hoggetta i wbiła koniuszek języka w jego ucho. W miłosnych sprawach była z niej istna diablica. Skacząc, zataczając się, dzika jak kot, padła w pewnej chwili na fotel, który załamał się pod nią. Wtedy rozwrzeszczała się histerycznie.

Wszyscy zanadto byli tym zajęci, żeby przeszkodzić tubylcowi i praczce, odosobnionym na swojej wyspie i tak pochłoniętym myślami, że prawie nie widzieli, co się obok nich dzieje.

- Czy pan jest chrześcijaninem? - spytała pani Godbold z pośpiechem, żeby mieć to już poza sobą. I mimo to była zmartwiona, że słowa tak źle wyrażają jej intencję.

- Nie - odparł. - Byłem na chrześcijanina wychowany. Ale odrzuciłem to. Nawet bardzo wcześnie. Kiedy odkryłem, że jest coś lepszego. Chcę powiedzieć - zająknął się - że człowiek powinien używać tego, co posiada. Po co wzuwać buty na drogę do miasta, jeśli można prędzej dojść boso.

Pani Godbold uśmiechnęła się na to. Mówił prawdę i wypowiedział ją jej własnym językiem, niezgrabnym w przeciwieństwie do rąk, które tak sprawnie manewrowały żelazkiem po długich pasach świeżych, parujących, lśniących prześcieradeł.

- Tak - uśmiechnęła się znów bardzo pięknie; jej skóra przypominała skórkę na świeżo zapieczonym budyniu.

Ale tubylec zakaszłał.

Otarła więc znowu kąciki jego warg. To było jej dzieło sztuki, jej akt pobożności.

Mimo wszystko zgiełk życia wciąż docierał do ich uszu, głosy kobiet broniących swej godności i głosy mężczyzn upominających się o swoje prawa. A także skrzyp otwieranych drzwi. Pani Godbold spojrzała na zwiniętą w kłębek chusteczkę. Zrozumiała, że wkrótce sama będzie krwawić.

Do pokoju weszła, a raczej wmaszerowała kobieta. Skóra jej wydawała się bardziej jeszcze szara przez kontrast z cielis-toróźową koronką, spod której zwisały żylaste ramiona; na rękę miała tombakową bransoletkę z zegarkiem.

- Nie mam ani chwili czasu - oznajmiła. - Muszę złapać autobus.

Teraz już nie wyróżniała się niczym. Jak gdyby była tylko drzazgą, ostrą drzazgą.

- Jest jeszcze pan Hoggett - z rozpaczą przypomniała rajfurka - czeka od dawna.

Ale tamta chrząkała energicznie.

- Powiedzcie mu, że jestem przeziębiona. Powiedzcie mu, żeby się wypchał - odparła.

To była tak zwana pani Johnno, dojeżdżająca z Auburn. Pani Khalilomal nie wpadła w szal. Los prześladował ją, utrudniając służbę dla dobra ludzkości.

- Niektóre kobiety są takie podłe - jęknęła - że nie można się dziwić mężczyznom.

Spojrzała na panią Godbold, szukając u niej poparcia. Ale pani Godbold nie mogła już go udzielić. Wyprostowała się i tylko uśmiechem przeprosiła, że odmawia pomocy. Musiała skupić wszystkie siły. Pokój zmałał. Był w nim teraz Tom.

Tom Godbold wszedł tuż za panią Johnno i wręczył gospodyni banknot. Jego żona chętnie zapłaciłaby więcej, zdarłaby z sukni swoją ładną broszeczkę na dodatek, gdyby tym mogła go odkupić.

Wzięłyby go za rękę i pobiegłyby razem na wzgórze, przez zarośla, po łamliwych gałęziach. Ku światłu.

Tymczasem pani Khalil rozprostowała i wsunęła do kieszeni banknot, a Tom podszedł do żony.

- Zawsze robiłaś co mogłaś, żeby mnie poniżyć, Ruth, ale tym razem przebrałaś miarę - powiedział.

Stała przed nim na zdrętwiałych nogach, w brzydkim kapeluszu, w długim, wysłużonym palcie. Tylko cienka błona broniła jej uczuć od oczu świata. Gdyby ją skopał tak jak po południu, zrobiłby jej łaskę.

- Chodź! - rzekł. - Ja dostałem, czego chciałem. To ty przegrałaś.

Gdy wychodzili, dom pani Khalil zamykał się już dla klienteli. Mała Janis zniknęła. W oknie ciemność szerniała, a plama jaśminów obejmujących czule framugę zbieiała jeszcze bardziej. Pozostanie na razie nie rozstrzygnięte, czy pan Hoggett dał się ułagodzić. W każdym razie przyjął poczęstunek z butelki, która pierwotnie zawierała jakiś inny napój. Od trunku zaczął sapać szybciej i głośniejsze. Pani Khalil nadal

lamentowała nad przeciwnościami życia, a pani Johnno, zagłębiając stopę w tunel pończochy, zaczepiła nitkę paznokciem wielkiego palca.

Godboldowie wyszli. Żona za mężem, jak zawsze. Gąszcz krzewów pachniał liśćmi, które deptali po drodze. Siąpił deszcz. Było chłodno.

Kiedy przystanęli pod latarnią pośród nie zabudowanej jeszcze nowej ulicy na skraju Sarsaparilli, zauważyła, jak pomarszczona jest skóra na czaszce Toma.

- Źle zrobiłam - powiedziała. - Wiem, że nie miałam racji. Słuchaj, Tom!

- Wyciągnęła rękę, po raz ostatni próbując go przekonać. - Pójdę za tobą choćby do piekła, jeśli będzie trzeba.

Tom Godbold wołał nie sprawdzać, czy mu wystarczy sił, żeby znieść cały ciężar jej miłości.

- Nie będziesz musiała iść za mną nigdzie już dalej - rzekł, ruszając przed siebie i starannie wymijając stosy żelastwa.

W tym umyślnym skupieniu wydawał się jeszcze mniej panem własnych ruchów. Bardziej bezlitosny od alkoholu wiek zaciążył mu na karku, ścisnął w krzyżach. Patrząc za nim, żona zrozumiała, że nic już dla niego nie może więcej zrobić i że musi zgodzić się na utratę połowy siebie.

Kilka lat później, wezwana do spełnienia obowiązku jako przedstawicielka rodziny, odzyskała prawo do szczątków swojej straconej połowy. Wówczas pozwolono jej usiąść przy łóżku i pod cienkim prześcieradłem, splamionym uryną i ropą innych konających, zobaczyć ciało, które rzekomo należało do Toma Godbolda. Z Toma takiego, jakiego znała, nim go wyniszczyła choroba i pijaństwo, nie zostało nic prócz obrazu w jej pamięci.

- Ledwie pół godziny temu - powiedziała zacna siostra. - Zjadł jeszcze dzisiaj jajko na miękko. Do końca miał apetyt. Wspominał o pani.

Żona zmarłego nie śmiała wypytywać szczegółowo o jego ostatnie słowa. Zresztą siostra była zajęta. Zza wyplatanych parawanów zerkała na młode pielęgniarki, które chichocząc marudziły zbyt długo przy myciu żywych ciał. Siostra zmarszczyła brew, zastanawiając się, jak by tu się delikatnie pozbyć osieroconej żony z sali. Wreszcie zrobiła to bez ceremonii. Nie mogła ścierpieć uchybień w obowiązkach służbowych.

Wdowa, która chwilkę jeszcze została w małej celi między białymi parawanami, była bardzo opanowana. A może nie kochała swego męża. W każdym razie gdy młoda praktykant-ka zajrzała tam wreszcie, kobieta już zniknęła. Jednakże na dole w kancelarii załatwiła wszelkie formalności.

Pani Godbold zostawiła Toma w murach wielkiego sześciennego budynku, który błyszczał świeżym tynkiem jak bryła lodu. Kawalek drogi szła piechotą. Jadowite światło zalało o zmroku miasto, wgrzyzając się w twarze licznych przechodniów. A jednak pani Godbold żyła, szła, ubrana tak, jak od wczesnych lat ludzie przywykli ją widywać, w rzeczy, które nie zwracały niczyjej uwagi, chyba że śmieszyły lub budziły pogardę, i które zmieniły się tylko o tyle, że w końcu doskonale do niej pasowały. Pani Godbold szła w zielonkawym świetle wczesnego zmroku. Jedyne tramwaj sypnął fioletowymi skrami w tunel z brunatnej flaneli. Ledwie trzymając się na zakręcie szyn, metalowe koła zgrzytnęły jak anachronizm. Dopiero gdy czekała na przejście przez jezdnię, patrząc na płynący potok samochodów, ogarnęła ją rozpacz i zaczęła płakać. Zdawało się, że garstkę osób skupionych na brzegu lekceważy nie ruch kołowy, lecz potężna, niewstrzymana fala czasu. Nikłe widmowe postacie czekały, próbując niekiedy zanurzyć nieśmiało stopę w nurcie, lecz cofały się natychmaist, w głębi serc pocieszone, że mają towarzyszy w swej niedoli, a nawet

w gorszej od nich sytuacji, bo oto była wśród nich istota, która nie umiała już ukryć bólu.

Tęga kobieta stała i najzwyczajniej w świecie płakała, łzy płynęły z jej oczu na twarz mlecznobiałą jak budyń. Widok, z początku fascynujący, w końcu zaniepokoił inne pokutujące dusze. Rzadko korzystały z przywileju oglądania takiej manifestacji uczuć. Ten płacz nie był jednak wcale spazmatyczny. Łagodnie i wytrwale łzy lały się z głębi oczu bezimiennej kobiety. Można by je określić jako czystą abstrakcję cichego smutku.

Naprawdę bowiem „ja” pani Godbold dawno już umarło, nie mogła więc opłakiwać tej części własnej istoty, którą zostawiła na zawsze mężowi, pożegnanemu przed chwilą. Opłakiwała raczej dolę człowieczą, dolę tych wszystkich, których kochała płomienną miłością lub też powściągliwie i z daleka, zaczynając od ojca schylonego na szewskim stołku w więzieniu ciała, gromadki rodzonych dzieci, tych małych dziwiących się życiu dziewczynek, swojej dawnej pracodawczyni, która wciąż chciwie sięgała po rąbek prawdy i zawsze zostawała tylko ze strzępkim oberwanym w rękę, wreszcie współwtajemniczonych - obłąkanej kobiety i Żyda z Sarsapa-rilli - a nawet ciemnoskórego tubylca, którego poznała u pani Khalil i nigdy już potem nie spotkała, chyba że za obopólną zgodą w myślach i snach. Płakała wreszcie nad ludźmi, którzy ją otaczali tu, na ulicy, nie umiejąc wyrazić w słowach ich zwątpień, ale znając je pewnie z własnego doświadczenia.

W pewnej chwili ludzie czekający na skraju chodnika nagle rzucili się wszyscy razem naprzód, porywając za sobą panią Godbold. Jakże się spieszyli, żeby podjąć na nowo wątki natrętnego zawsze życia! Ale kobieta w czarnym kapeluszu dawała się unosić fali, jeśli nie była popychana. Po raz pierwszy i tylko na krótko zatrzymała się ponad nurtem

czasu i uwolniła od jego władzy. Dotarłszy na drugą stronę, przez chwilę płynęła brzegiem. Łzy już się wyczerpały, lecz oczy wciąż jeszcze lśniły w głębi orbit. Zielone i szkarłatne palce neonów obmacywały łapczywie jej zazwyczaj bezbarwną twarz, jakby dla nich była cennym łupem, i chwilami z tego starcia światła i ciemności rozbłyskiwała królewska purpura, spowijając ciężką postać w czerni.

412

CZEŚĆ PIĄTA

x

Tego lata dom w Xanadu, który już wszedł w spisek z przyrodą, szerzej otworzył jej dostęp do swego wnętrza. Pojawiły się w nim stworzenia nigdy przedtem w tych ścianach nie widywane, a to, co dotychczas zdawało się zasłoną luźno utkaną ze światła i z liści, okazało się w rzeczywistości murem. Kurtyna, zawieszona, żeby dom lepiej odosobnić, może w końcu być trwalsza niż kamienie i wapno, które miała ukrywać.

Pewnego czwartkowego popołudnia, gdy pani Jolley udała się do miasta w interesach mocno podejrzanym, a panna Hare samotnie błądziła po ogromnych pokojach bez określonego celu, jedynie po to, żeby przebywać wśród sprzętów i obrazów, które wypełniały zarówno ten dom, jak jej pamięć, nagle złowiła uchem jakiś dziwny szmer. Z miejsca, w którym się znajdowała, zdawał się nikły, lecz jednoznaczny, chociaż nie mogła w żaden sposób poznać, skąd dochodzi, czy z wielkiej głębi, czy z oddali. Zewsząd dochodził i otaczał ją „szary głos”, jaki dobywa się z tunelów albo z pyska słonia, jaki wydają we śnie, przewracając się z boku na bok, ludzie albo ziemia sypiąca się gęsto z dużej wysokości. Domyślając się, co to znaczy, panna Hare zatkała palcami uszy. Jakby przez to mogła wstrzymać katastrofę. Wiedziała

jednak, że nic nie pomoże. Sama bowiem również kołysała się i drżała. Od dawna wyobrażała sobie, że gdy to kiedyś nastąpi, przyjdzie z rykiem trąb czy też z dźwiękiem brązowego gongu, ona zaś będzie sercem wibrującego metalu. Tymczasem zaczęło się od cichego westchnienia pyłu, a skończyło się suchym trzaskiem kości, olbrzymiej, lecz na pewno właśnie kości, która pękła pod naporem. Czekał na ostateczne chrupnięcie kości, panna Hare zawsze płakała i protestowała, gdy mężczyźni skręcali kark królikom.

Było po wszystkim. Ona została przy życiu. Może więc jednak Xanadu nie runęło jeszcze.

Nagle puściła się pędem przez cały dom, żeby stwierdzić rozmiary szkód. Biegła jak szalona. W pokojach okna były przesłonięte żaluzjami i panował na ogół mrok, ale tu i ówdzie przez szklane drzwi zniecała wciskało się żółte, lepkie światło, a wtedy twarz jej drgała konwulsyjnie. Była bardziej niż zwykle upstrzona brunatnymi i czerwonymi cętkami, a wśród nich jaśniały białe plamy jak na twarzy kłowna, gdy tak pędziła na ratunek dumnemu duchowi, który spadł, ale - jak się łądziła - może jeszcze nie dosięgnął ziemi, spadając z wysokiego trapezu. Biegła w panice i wyciągała przed siebie tępe, trochę brudne palce, jak gęstą ochronną siatkę. Za małą jednak.

Pierwsze poważne ślady katastrofy znalazła w salonie, w tym salonie, gdzie niegdyś panie w ażurowych sukniach piły herbatę w filiżankach z angielskiej porcelany i opowiadały o zagranicznych podróżach, gdzie tancerze odpoczywali w przerwach między jednym a drugim walcem na wydeptanych schodach, gdzie jej rodzice na próżno usiłowali ukryć się wzajemnie przed sobą za cennymi przedmiotami. Właśnie od strony salonu fundamenty domu zapadły się tego dnia, zdecydowanie i jawnie. Gdzie przedtem rozwierała się szczelina, przez którą zaledwie jedna gałąź zdołała wtargnąć do

wnętrza, teraz ściana światła zastąpiła triumfalnie solidny mur z kamienia i tynku. Liście trzepotały, wahały się, to wysuwały naprzód, to cofały, wśród szeptów albo wybuchów zieleni. Na ścianach wystąpiły chorobliwe zielonkawe piętna. Łupież mchu opadł z dębowego konara na strzępy włoskiego adamaszku. Wszędzie pył. Nowa odmiana pyłu w swojskim kolorze biszkoptów, ale cuchnącego starością i stęchlizną. Pokrywał wszystko świeżą warstwą. Leżał na posadzce razem ze zwykłym, szarym domowym kurzem, tworząc skąpą ściółkę pod kamienie, które miał zwalić następny wstrząs.

Panna Hare długo patrzyła tylko. Wreszcie podniosła ułamek swojego domu, mały jak pięść, i cisnęła nim w malachitową wazę, chlubę jej rodziców. Lecz gdy bryłka gruzu uderzyła w wazę, panna Hare doznała rozczarowania. Rozległ się głuchy stuk, jakby kamień trafił na sztuczną masę albo na drewno. A przecież waza była ze szlachetnego minerału, zimnego, twardego i nieczulego; wiele razy panna Hare przekonała się o tym na własnej skórze w dzieciństwie i w późniejszych latach samotności. Nagle jej wargi, zacięte w skupieniu, rozchyliły się, odsłaniając zęby. Wszystkie problemy zawsze schodziły w cień, kiedy zjawiały się ptaki, a teraz właśnie cała ich chmara wpadła do pokoju niemal prosto na pannę Hare. Wyzwolone z gobelinu liści i światła wirowały, kołowały po rozprutym salonie. Panna Hare nie umiała ich nazwać, nazwy nigdy jej nie interesowały. Ale puszyste, lśniące, nakrapiane ptaki, ani szare, ani czarne, pospolitego ptasiego koloru, poznawała instynktem, który ją samą ciągnął zawsze do przestrzeni powietrznych i między gałęzie. Wzruszył ją szczególnie jeden ptak, niezgrabnie tulący się pod gzymsem. W tym chaosie stracił wrodzony wdzięk, zamienił się w szorstką kulkę zjeżonych piórek. Z daleka, z dołu, kobieta rozkazywała

spłoszonej istocie wracać do własnego żywiołu, gdzie już inne zgromadzone ptaki tworzyły właściwy szyk, co panna Hare pochwaliła, kiwając głową. Obserwowała, jak na moment zawahały się w ucieczce, może wyczuwając niewidzialne sidła, które zastawiła, żeby je zatrzymać w muzeum swojej pamięci. Oczywiście, w końcu odleciały. Panna Hare została w migotliwym, przesianym świetle, płynącym przez rozdarty mur. Wreszcie odeszła także, kołysząc swoją tekturową głową. Stawała się najbardziej bezwstydnie niezdarna, gdy traciła władzę nad ruchami, jak teraz, idąc przez walący się dom, który był jej własnością i jej przeznaczeniem. Straszyla swoim widokiem na schodach i w niezliczonych korytarzach. Dusila się, bo w jej szyję wpijały się zapobiegliwe agrafki, którymi z trudem utrzymywała w jakiejś formie pofałdowaną skórę. Słaniała się na grubych jak u słonia nogach. Dźwigała pęcherz pełen najcięższego, najzimniejszego piasku.

Pani Jolley zastała po powrocie swoją pracodawczynię w łazience na podłodze, zajęta łamigłówką z kafelków.

- A więc tutaj pani siedzi! - wykrzyknęła gospodyni, jakby rzecz nie była oczywista.

Mimo wzburzenia postanowiła zachować zimną krew i stanowczość.

Panna Hare także liczyła na to, że zamaskuje pozorami swój rzeczywisty stan rozpacz i strachu. Siedząc na podłodze w obronnym słomkowym kapeluszu miała bądź co bądź łatwiejsze zadanie.

- A dlaczego nie miałabym tutaj siedzieć? - spytała spokojnie. - Tu czy tam, czy gdziekolwiek?

- Nigdy nie widziałam jeszcze tego pokoju - zauważyła z pretensją w głosie pani Jolley, rozglądając się w koło.

Panna Hare pokazała czarny, ozdobny kluczyk.

- Nie było powodu, żeby go pani odwiedzała, to łazienka moich rodziców. Sama o niej prawie zapomniałam. Uchodzi-

ła za bardzo piękną. Budowali ją sprowadzeni specjalnie włoscy rzemieślnicy.

- Bzdury! - prychnęła pani Jołley. - Wolałabym nowoczesne wygody.

- Och, nowoczesne wygody! - powiedziała panna Hare.

- To zupełnie inna sprawa. - Ogarnęło ją teraz zmęczenie.

- Wkrótce wszyscy będą mieli nowoczesne wygody. Woda ich na nic spłucze.

- A co to? - spytała pani Jołley, wskazując czubkiem pantofla tę część posadzki, którą była zajęta pracodawczyni.

- Wolałabym nie odpowiadać - rzekła panna Hare. Panna Jołley wybuchnęła śmiechem. Zrozumiała.

- To koza! - powiedziała, zniekształcając lekko to słowo w ustach. - Co za pomysł, żeby w ten sposób zdobić łazienkę! Czarna koza! Podgląda ludzi!

- Oczywiście - stwierdziła panna Hare stanowczym tonem. - Pani to się nie może podobać. Kozy chyba najwyraźniej ze wszystkich zwierząt widzą prawdę.

Pani Jołley nie panowała już nad irytacją. Gdy trąciła pantoflem mozaikę, obluzowane kamyki przesunęły się na nierównej powierzchni podłogi.

- Och, wiem! - krzyknęła. - Napadła pani na mnie z powodu tej swojej kozy! Tej, która kiedyś się spaliła. Pani mi opowiadała o niej. Spaliła się i nie wiadomo, jak do tego doszło.

Panna Hare piegowatą ręką gładziła rozsypane części mozaiki.

- Czy widziała pani kiedy armadilla? - spytała.

- Nie - odparła bardzo zagniewana pani Jołley.

- Może pani widziała, ale nie wiedziała, co to jest! - roześmiała się panna Hare.

- A co to jest ten a r m a r d y l? - spytała pani Jołley.

- Zwierzę, którego, o ile mi wiadomo, nie można żadnym sposobem zranić. Oczywiście, z a-ki ć je można. Widziałam nawet raz armadilla przerobionego na koszyk.

Podniosła na gospodynię wzrok. Tak wymownie, że pani Jolley próbowała potem opisać to w rozmowie z panią Flack.

- Nie znam się na takich rzeczach - powiedziała dość oschle gospodyni. - I nie lubię arogancji, zwłaszcza u osób, które mi wiele zawdzięczają.

Panna Hare upychała do kieszeni fragmenty mozaiki.

- Czy już pani zamówiła silnego chłopaka, żeby wyniósł pani walizkę? - spytała.

- Skoro już pani o tym wie, nie potrzebuję pani zawiadamiać - odparła pani Jolley.

Ale zmieszana się i jako kobieta z zasadami uznała za niezbędne usprawiedliwić się mimo wszystko.

- Tak - rzekła. - Postanowiłam wymówić służbę. Trudno ode mnie wymagać, żebym narażała życie w domu, który się wali.

- A więc pani już widziała? W salonie?

- Pewnie, że widziałam!

- Może pani to nawet przewidziała, jeśli tak w samą porę zaczęła pani przygotowania do wyprowadzki, właśnie dzisiaj!

Panna Hare śmiała się. W tej chwili odzyskała równowagę. Kostki mozaiki wesoło zagrzechotały, gdy uderzyła dłonią po kieszeni. Nigdy nie przepadała za cukierkami, ale chętnie ssała gładkie kamyczki.

- Nie chcę wdawać się w dyskusję - oznajmiła pani Jolley. - Wymawiam pracę. To wszystko. Co prawda, nigdy jeszcze nie robiłam tego w łazience... Chciałam powiedzieć... - zająknęła się - chciałam powiedzieć, że nigdy nie dyskutowałam o poważnych sprawach w wygodce czy w podobnych miejscach.

Panna Hare gramoliła się już z podłogi.

- Pewnie zamieszka pani u pani Flack? Pani Jolley poczerwieniała.

- Chwilowo - przyznała.
- Do końca życia, jak mi się zdaje — szepnęła panna Hare. Pani Jolley przez chwilę się wahała.
- To bardzo komfortowy dom - rzekła wreszcie, ale głos jej trochę zadrżał. - Dlaczego pani tak mówi, jak gdybym...
- podniosła głos - jak gdybym nie mogła robić, co zechcę? Panna Hare doprowadzała do porządku wygniecioną spódnicę i nie patrzyła na gospodynię.
- Dochodzimy do pewnego punktu - odparła - z którego już dalej się nie posuwamy, nie możemy się posunąć. Jest taki punkt, który już nie jest punktem wyjścia. Kto wie, może pani właśnie ten punkt osiągnęła. A ta pani przyjaciółka jest bardzo uprzejma. I ma, jak od pani słyszałam, bładoniebieską puchową kołdrę.
- Może jednak będę chciała od niej się wyprowadzić
- obstawała przy swoim pani Jolley wyprężając szyję.
- Gdzie indziej też pani nic więcej nie zobaczy... Wiem, bo w dzieciństwie zawieźli mnie kiedyś... Nie zobaczy pani nic więcej niż u pani Flack. I oczyma pani Flack. Będziecie we dwie siedziały w jej saloniku, obserwując, co my robimy. A nawet kierując nami.
- Czy pani się z nią zapoznała?
- Nie, ale ją znam.
- Może spotkała ją pani na poczcie?
- O ile mi wiadomo, nie - odparła panna Hare. - Widziałam ją w podszyciu leśnym. Pani tam oczywiście nie bywa. Wśród darni, w rozmiękłych, gnijących liściach. A także na gruzach szopy, w której spłonęła moja biedna koza. I w oczach mojego ojca. Wszystko, co złe, ma pewne rodzinne podobieństwo, proszę pani, i nie jest trudne do rozpoznania. Zawsze poznam panią Flack, choćby ustawicznie zmieniała kapelusze. Wyczuwam ją węchem, nawet gdy pani nie wymienia nazwiska.

Pani Jolley wycofała się już z łazienki. Wprawdzie zarządziła wszystko w sprawie transportu swych bagaży, ale musiała tu wytrzymać jeszcze przez jeden dzień. Gdyby przynajmniej udało jej się wypełnić ten czas jakimś dorywczym, zwyczajnym i mechanicznym zajęciem. W rozterce powtarzała:

- Wariatka! Wariatka!

Broniła w ten sposób równowagi własnego umysłu.

- Smutne i złe słowo - westchnęła panna Hare. Szły teraz korytarzem jedna za drugą, gęsiego. - Nie dopowiada połowy prawdy - dodała.

Szły wciąż jeszcze, pani Jolley pierwsza, niby swobodnie, lecz ostrożnie, obawiając się, że chodnik wyślizgnie się nagle spod jej stóp.

- Niech i tak będzie - krzyknęła pani Jolley. - Jednakże proszę mnie zostawić w spokoju. Mogłybyśmy się bawić słowami do Sądu Ostatecznego i nic by z tego nie wynikło. Tymczasem żegnam, idę do mojego pokoju.

Ale panna Hare nie mogła się od niej oderwać. Nie była tak dobra, żeby nie czuć fascynacji zła. Gdyby na parapecie okna zobaczyła nagle martwe niemowlę, nie zastanawiałaby się, dlaczego musiało umrzeć, dopóki by nie obejrzała drobnych zmarszczonych paluszków i bezwładnego siniego ciała. Może nawet dotknęłaby go, żeby się przekonać, czy jest miękkie jak guma. Dopiero potem uświadomiłaby sobie, że sama też cudem tylko uniknęła uduszenia.

Tymczasem szły wciąż korytarzami Xanadu, a pośladki pani Jolley wyraźnie dygotały. Gorset już nie mógł ich pohamować.

- A bywają czasem takie miękkie - głośno pomyślała panna Hare. I dalej myślała już po cichu.

- Co bywa miękkie? - syknęła pani Jolley. Nie chciała za nic się obejrzeć.

- Piernaty! - zaskrzeczała panna Hare. - Złe, złe piernaty!

Za zakrętem pani Jolley zorientowała się, że w roztargnieniu ominęła schody prowadzące na wyższe piętro do jej pokoju. Miała przed sobą nie kończące się korytarze Xanadu.

Niemal w tej samej sekundzie uderzył ją prosto w usta liść trawy argentyńskiej stojącej na konsoli, obok której przechodziły. Pani Jolley skamieniała.

Skamieniała, lecz biegła dalej. Zimne kamienne nogi musiały ją nieść niezmordowanie naprzód.

- Jeśli pani koniecznie chce dyskutować o tym, co złe - krzyknęła za siebie, a w głosie jej dźwięczała bezczelność czy może śmiech - to pozwolę sobie przypomnieć pani o różnych rzeczach, które dzieją się w mieście, nie mówiąc już o tym domu. Albo o tym s a d z i e .

Prawda piszczała, a spódnica wtórowała jej furkotem. Panna Hare natomiast poruszała się jak w wacie. A może głużył jej kroki kurz, którym zawsze nabite były chodniki.

- Wcale się nie dziwię - wysapała wreszcie - że pani to wykryła. Mogłam się tego spodziewać.

- W dodatku z brudnym Żydem!

Panna Hare cała spłonęła gniewem. Oślepla z oburzenia wobec tej niesprawiedliwości, gniew trysnął z niej, wzbił się ognistym słupem i rozkwitł snopem iskier niby ohydny fajerwerk wyzwolony z ciemni pamięci.

- Mój Żyd jest... Jak pani powiedziała? - słowa dławili ją w gardle. -

Brudny? Czym jest w takim razie prawda? Mój zacny! Mój najlepszy! Ja przy nim jestem ścierwem! Zielonymi gnijącymi patrochami wybebeszonymi z zagłodzonej owcy! Czymś gorszym jeszcze! Ale nie tak wstrętnym jak niektóre osoby. Ścierwo jest czystsze od podłych kobiet. Co jest ze wszystkiego w świecie najplugawsze? Pani mogłaby to wiedzieć! Niektóre kobiety. A co bardziej jeszcze plugawe? Gówno tych pań!

Pamięć jej bluznęła tym brudnym słowem na plecy oskarżonej. Pani Jolley nie znalazła oczywiście innej rady jak zatkać sobie uszy woskiem niedowierzania. Kiedy je znów otworzyła, wypluła spomiędzy pobladłych warg pytanie.

- Kogo Żydzi ukrzyżowali?

- Także Żyda! - krzyknęła panna Hare. - Wiem. Peg nieraz mi opowiadała. To było straszne. Krew płynęła z jego dłoni i ze zranionego boku. Nigdy nie pozwalałam sobie o tym myśleć!

W braku czegoś, co mogłaby pocałować, wcisnęła pięść w usta. Gdyby wszystkie okna domu rozsypały się, godząc w nią okruchami szkła, zniosłaby to w tej chwili bez słowa.

Ale w tym momencie pani Jolley upadła. Stało się to na paru schodkach prowadzących na niższy poziom. Pręt przytrzymujący chodnik był oderwany. Pani Jolley upadła.

Rrrum!

Panna Hare zatrzymała się na brzegu pierwszego schodka. Przyglądała się z góry kłębowi granatowego sukna rzuconemu na chodnik. Zadarta spódnica odkryła kolana, pulchne i białe, śmieszne w swej nagości, bo pani Jolley, jak się okazało, nosiła pończochy starannie opuszczone do pół masztu.

Panna Hare nie mogła się dość nacieszyć widokiem pulchnych kolan, lecz siłą woli oderwała od nich wzrok, żeby przyjrzeć się także twarzy.

Pierwsza okropna atramentowa siność zaczęła już na niej z wolna blednąć. Pozostała pusta, choć drżąca i blada.

Pani Jolley głośno chwytała oddech. Łzy płynęły z jej oczu, chociaż nie płakała.

- O Boże! - wykrztusiła. - Mogłam sobie coś złamać. I może naprawdę złamałam.

- Nie - odparła panna Hare. - Jest pani za grubo ubrana. I przewróciła się pani od razu jak długa.

423

Pani Jolley ochłoneła i znów zalała ją fala nienawiści.

- Zapłaci pani drogo, jeżeli coś mi się stało! - oświadczyła z nadzieją w głosie, o tyle, o ile była zdolna do nadziei.

Panna Hare dotknęła jej końcem bucika.

- Nie. Nic się nie złamało - rzekła. Ale trochę się przestraszyła.

Pani Jolley poruszyła się, najpierw ostrożnie, potem śmieiej zaczęła się podnosić. Narzekała wymownie, lecz z umiarem.

- Oto, co spotyka matkę rodziny, kiedy okoliczności ją zmuszają do życia z dala od swoich. Och!

Chociaż upadła gwałtownie, wstała niemal równie szybko. Dźwignęły ją kolana, niebieskobiałe, mlecze kolana. Stanąwszy na nogach, ogarnęła je ciasniej spódnica, jakby broniąc się od przeciągu. Kiedy podniosła twarz, miała już delikatne rumieńce, które nie mogły jednak zachwycić panny Hare.

Stały naprzeciw siebie i nie dzieliło ich nic prócz wygasłej pasji, nie osłaniało ich nic prócz głośnych oddechów. Nie mogły tego znieść długo, rozeszły się w dwa przeciwne kierunki, dotykając po drodze to jakiejś zasłony, to trawy argentyńskiej czy liścia przyniesionego z wiatrem. Starły się zamanifestować, że nic się właściwie nie stało, przynajmniej na razie.

Ale panna Hare w tym wypadku nie umiała wytrwać w złudzeniu. Nagłe obezwładniające fale krwi uderzały jej do głowy, przypominając prawdę. Usłyszane słowa kamienowały jej pamięć.

Nie zobaczyła już więcej swojej gospodyni, chyba z daleka. Należną pensję zostawiła na brzegu kuchennego stołu pod dwułutowym odważnikiem i widocznie suma była wystarczająca, bo nikt nie wnosił nigdy pretensji.

Nazajutrz po południu przyszedł chłopak po rzeczy pani Jolley.

Gospodyni głośnie dawała wyraz uldze, gdy

zaaferowana i ważna krzątała się, zamykała walizy, wykrzykiwała rozkazy. Chłopak miał kościste przeguby rąk i nabrzmiące żyły na muskularnych ramionach. Chwilkę zatrzymał się w hallu, żeby odsapnąć i ochłonąć z zakłopotania. Pani Jolley raz jeszcze pobiegła na piętro, po parasolkę, jak mówiła. Chłopak nigdy dotąd nie widział marmuru gdzie indziej niż w bankach albo na starych umywalniach. Nigdy też zapewne wiele nie marzył, skoro rozglądając się tutaj w koło nie zrozumiał, że mogą istnieć obrazy i zdarzenia w zwykłym życiu nieprawdopodobne. Drżał trochę pod kroplistym potem, zwłaszcza gdy kawałek atlasu, którego dotknął, rozsypał mu się w rękę.

Wrażenie zaparło mu dech w mocno sklepionej piersi. Tym bardziej że z innej strony ukazała się znienacka wariatka z Xanadu i poprosiła, żeby oddał jej przysługę, ściśle poufną, przekazując pewną wiadomość, bardzo pilną, komuś z jej przyjaciół.

Panna Hare, żeby podkreślić tajność misji, wspinała się na czubki palców. Dławiła się niemal z pośpiechu. Wargi jej wydmuchiwały słowa w powietrze.

Chłopak zrozumiał, że ma niezwłocznie, jak najprędzej, odszukać Żyda mieszkającego przy Montebello Avenue. Nie wolno pod żadnym pozorem pisać słowa nikomu innemu. Na razie zresztą zanadto był wystraszony, żeby o tym mówić z kimkolwiek.

Panna Hare wręczyła wysłannikowi szylinga, bo pamiętała, że tak robili jej rodzice. Po czym zniknęła. Głos bowiem pani Jolley dźwięcznie i jasno zwiastował z daleka powrót swej właścicielki.

Od dawna panna Hare nie biegła tak szybko. Spieszyła po schodach na górę, rozciągając nogi w kolanach, omal ich nie łamiąc, podpierając się rękoma, gdy stopą nie trafiła na stopień, pędząc bez tchu, żeby zdążyć i znaleźć się w porę pod szklaną kopułą, niegdyś służącą jej ojcu za podniebne

schronienie. Stąd, ryzykownie wychylając się przez kamienną balustradę, spojrzała w dół.

Była tu wzniesiona ponad udrękę i trwogę ostatnich dni. A tam w dole pani Jolley, zniekształcona przez odległość i kąt widzenia, wyglądała jak mała, przysadzista granatowa figurka. Woalka powiewała wesoło nad jej oczyma zwróconymi ku chłopcu, który garbił się pod brzemieniem kufra i torby przewieszanej przez ramię. Liliowy welon trzepotał w oddali niby język pani Jolley wykładający moralność macierzyństwa.

Panna Hare usta miała otwarte, szyję rozdętą. Splunęła i roześmiała się, patrząc, jak plwocina spada daleko, znoszona wiatrem z prostego toru, i błyszczą w słońcu. Pannie Hare chciało się śpiewać, tak upajała ją przestrzeń i przejrzystość światła. Wszystko to do niej należało.

Ale w chwilę później odegnane na krótko strachy wróciły tłumnie, mieniając się tęczowymi kolorami plwociny. Groziły jakieś straszne niebezpieczeństwa, które Żyd, tak doświadczony, może umiałby zażegnać. Ona sama, niczego prawie nieświadoma, mogłaby wziąć na siebie tylko cierpienie, choćby za nich oboje, gdyby było trzeba. Radość przeobraziła się w złe przeczucie. Kamienny dom kołysał się tak jak i drzewa zasłaniające ceglane domy Sarsaparilli. Oparta o balustradę pociła się, usiłując odtworzyć ze wszystkimi szczegółami obraz miłości i dobroci, przypomnieć sobie nawet to, co było w nim głęboko ukryte. Tylko miłość mogła go wybawić, jeśli spisek zła nie zgładzi jej przedtem. Panna Hare czekała.

Czy spędziła resztę popołudnia krążąc po domu czy po ogrodzie? Na butach i piegowatych rękach miała ślady ziemi, a na spódnicy obrąbek z przylepionych kul ostu, ale nie pamiętała dokładnie dróg, które przemierzyła w ciągu tych godzin.

Żyd przyszedł.

Pod wieczór nagle zobaczyła go idącego na jej spotkanie z gąszczu dziczalego ogrodu przez wysoką splątaną trawę. Gdy wspinał się na zbocze, nie widziała jego twarzy, tylko głowę i kosmyki niesfornych włosów, posiwiałych, lecz wciąż bujnych. Ktoś mógłby określić te włosy jako zmierzwione, i miałby rację. Żyd widocznie ruszył do Xanadu natychmiast po powrocie do domu. Miał na sobie rodzaj kombinezonu, pochodzący chyba z demobilizacyjnych składów wojskowych i zapewne używany przy pracy w fabryce. Ubranie było za-duże, a bury materiał za szorstki. Panna Hare zauważyła, że kołnierz ociera Żydowi skórę na wychudłej, pomarszczonej szyi. Ale pamiętała, że ten stary człowiek wiele wycierpiał i że nagromadzona wiedza przytłacza go bardziej niż te przeżycia. Tym uspokajała się panna Hare, nie bez drżenia kładąc na szali jego kruchą starość, by zrównoważyć wszystko, co wiedziała o męskiej brutalności.

Żyd się zbliżał. Raz i drugi potknął się, bo trawa zdradzieckimi pętlami opasywała mu nogi w kostkach, a gdy się wówczas szamotał, co w tych okolicznościach było nieuchronne, wielka głowa chwiała się i podskakiwała na ramionach zwyczajnym, ludzkim ruchem.

Dziedziczka Xanadu zwilżyła wargi językiem. Sama była tak krucha, że wątpliwe, czy ktoś inny w świecie mógł jej w tym dorównać. Może właśnie ta świadomość dodawała jej odwagi, potrzebnej, żeby przyjąć gościa na schodach domu, tak jak zrobiłaby to jej matka. Ale matkę podtrzymywała nienaruszona społeczna i ekonomiczna wiara, na której buduje się kamienne pałace, podczas gdy córka w swych najstraszniejszych snach już przeżyła zawalenie się tych fundamentów, pozostała jej tylko wiara w światło i liście jako podpory całego gmachu. Czy Żyd uzna ten dom za rzeczywistość, czy też za mit, zależało w dużym stopniu od proroczej intuicji, którą spodziewała się, chciała w nim znaleźć, którą

na pewno miał - wiedziała to - a która uzupełnia niedostatki czysto ludzkiego widzenia.

W tej właśnie chwili Żyd podniósł głowę. Patrzył na nią.

Wtedy zobaczyła jego twarz, nie ogoloną; oczywiście wielu mężczyzn lubi się golić dopiero wieczorem. Zarośnięty, wyglądał staro i mizernie.

Był stary, bladość jego miała zielonkawy, siny odcień mydła. Był szkaradny i stary. Twarz panny Hare, ułożona starannie w wyraz oczekiwania, skurczyła się i zwiędła. Podmuch wiatru mógłby ją zmieść jak szeleszczący liść z tarasu. Ale wiatr oszczędził ją bezlitośnie.

Nagle zrozumiała, że oczy Żyda czegoś od niej oczekują. Ocknęła się natychmiast. Zbiegła ze schodów, zbyt prędko jak na osobę dopiero co wskrzeszoną tak gwałtownie - łatwo mogła upaść - lecz nie dość prędko jak na istotę spieszącą na spotkanie miłości i dobroci, zdolnej wybawić nie tylko tych, w których jej światło płonęło, ale również innych, zagrożonych ciemnością.

Co najdziwniejsze, Żyd jak gdyby odkrył na nowo coś, co już kiedyś znał i szanował. Wyraz jego twarzy tchnął taką ufnością, że panna Hare miała ochotę obejrzeć się w poszukiwaniu jakiejś bardziej namacalnej przyczyny.

Jeśli tego nie zrobiła, to chyba dlatego, że już tymczasem znalazła się w ogrodzie. Stała przed swoim gościem na równym z nim poziomie i sytuacja domagała się wymiany banałów, raczej biszkoptów niż tlenu, który jest głównym pokarmem człowieka.

- Och! - wykrzyknęła i zaczęła sypać okruchy słów.

- Tak mi przykro. Trudziłam pana. To znaczy, ściągając pana tutaj. W ten sposób.

- Cóż znowu, to niewielka fatyga - odparł, ulegając nastrojowi skrępowania, który między nimi zapanował.

- Szczęściem Bob Tanner przyłapał mnie dość wcześnie, ledwie wysiadłem z autobusu.

- Bob Tanner?

- Ten chłopak, który przyniósł mi pani wezwanie.

- Och, nie słyszałam nigdy jego nazwiska - odpowiedziała w zamyśleniu. Ściągnęła brodę ku szyi. Gdyby był wieczór - i gdyby miała wachlarz - mogłaby się bawić wachlarzem. Ale miała tylko ten okropny stary grat z piór flaminga, wachlarz matki, znieawidzony, odkąd pani Jolley go dotknęła, wywołując pamiętną scenę.

Żyd patrzył na nią. Czekał.

Panna Hare jednak pamiętała, czego ją uczono, że tylko osoby ordynarne i głupie przystępują bez wstępów do rzeczy. Toteż powiedziała przymilnie.

- Widzę, że zmęczyła pana droga. Bardzo proszę wejść do domu. Musi pan chwilkę odpocząć. Może zechce mi pan opowiedzieć o swojej pracy.

- Nic się w niej nie zmieniło - odparł.

- Och, nie wierzę - powiedziała po krótkim namyśle. - Nie ma takiej rzeczy, która by się wcale nie zmieniała.

- Widocznie nigdy pani nie wierciła otworów w arkuszach blachy.

- Dlaczego pan właśnie tym się zajmuje?

Wypadało już chyba wprowadzić gościa do domu. Żwir zachrząścił pod ich obcasami, gdy weszli na dawną aleję wjazdową. Panna Hare czuła się w swej roli łaskawa i dorosła.

- Bez takiej dyscypliny umysł mój mógłby powziąć zbyt niezachwiane przekonanie o swoim autorytecie - wyjaśnił Żyd. - Tak się niegdyś już stało w epoce, gdy popuszczałem mu wodze. Nabrał wówczas arogancji. I zaślepiiony arogancją, zgrzeszył zaniedbaniem obowiązków.

Panna Hare zadrżała, jakby te słowa cofnęły ją do lat dzieciństwa.

- Nigdy nie znosiłam dyscypliny. Guwernantek! - wyjaśniła. - Na szczęście nie mam tego, co pan nazywa umysłem.
- Ma pani instynkt. Uśmiechnęła się. Z dumą.
- Czy to instynkt? - zastanawiała się. - Wiem dużo. O niektórych rzeczach. - Wchodzili po schodach. - Na przykład o tym świetle. O tych dwóch liściach błyszczących na wspólnej gałęzi. Tego rodzaju rzeczy zawsze rozumiałam. Ale czy to się komu przyda? I czy się komuś przyda, że pan w fabryce wierci te nudne dziury w blasze?
- Owszem - odparł. — Możliwe, że tak. Stali obok siebie na tarasie.
- Nie jest to jeszcze wyraźnie widoczne - powiedział Żyd - ale z czasem się okaże, jak powinniśmy spożytkować naszą wiedzę, jakie ogniwo stanowimy w łańcuchu zdarzeń.

We wnętrzu domu zegar wybił godzinę. Nakręcenie tego zegara było ostatnią próbą podjętą przez panią Jolley, by utrzymać w Xanadu ciągłość czasu tak, jak ona ją rozumiała. Dźwięk ten przypomniał panie Hare, w jakim celu wezwwała Żyda, zaczęła więc nerwowo zacierać ręce.

- Teraz jestem tutaj sama - powiedziała. - Dzięki temu swobodniej mogę przyjmować gości i rozmawiać. Widzi pan, moja dotychczasowa gospodyni opuściła mnie dziś po południu. Przedtem nigdy nie wiedziałam, w jakim momencie nagle wejdzie się w moje myśli. Nie szanowała sekretu innych dusz. Stale otwierała jakieś drzwi albo podglądała zza firanek. Co zresztą nie znaczy, że widziała. Nie sądzę, żeby pani Jolley widziała cokolwiek poza cegłami i plastikiem.

Mówiąc, prowadziła dalej swego gościa i przekroczywszy próg, znaleźli się już oboje we wnętrzu domu. Kątem oka panna Hare zerknęła na wygięte w łuk schody, na szczątki ptasich gniazd, a patetyczne piękno hallu przypomniało jej, że próba objawienia prawdy drugiemu człowiekowi nawet

temu Żydowi, wymaga wielkiej uwagi, zwłaszcza po przykrym poprzednim doświadczeniu.

Żyd oczywiście rozglądał się w koło, był przecież człowiekiem. Jego głowa obracała się na wychudzonej szyi. Panna Hare zauważyła, że mimo wielkich rozmiarów nosa gość jej ma bardzo delikatne nozdrza.

- Nadzwyczajne! - rzekł. Tyle tylko usłyszała, lecz wolała nie interpretować uśmiechu, towarzyszącego tej uwadze.

- Och, dom jest ogromny - powiedziała. - W swoim czasie pokażę panu wszystko.

- Ale czy pani ten wielki dom nie przygnębia? - spytał.

- Mieszkam w nim od urodzenia. Cóż miałoby mnie tutaj przygnębiać? Zafascynowany scenerią, pozwolił wymknąć się odpowiedzi z ostrożnych zwykle warg:

- Spustoszenie.

Ciężkie słowo rozbrzmiało echem wśród marmurów.

- Pan także! - krzyknęła. - Czy pan także widzi tylko to, co ma przed oczyma?

Odchylił wstecz głowę ruchem, który mógł być obronny. Śmiech zadźwięczał metalicznie.

- Broń Boże. Umarłbym, gdyby tak było.

Potem przyjrzał się z bliska twarzy panny Hare, jak gdyby w jej zmarszczkach odczytywał dalszy ciąg swoich wywodów.

- Po prostu przywykłem mieszkać w małym drewnianym domu, proszę pani. Wybrałem taki dom świadomie. Kruchy i nietrwały. Widzi pani, jestem Żydem.

Panna Hare nie pojmowała, dlaczego taki stan, na czymkolwiek by polegał, nie mógł być udziałem innych ludzi. Ukłuła ją zazdrość.

Prychnęła i zaczęła w irytacji ssać swoje gorące, miękkie, grube wargi.

- Jest to prawie szalas - ciągnął dalej gość. - Wiatr może go zdmuchnąć, gdy mieszkaniiec zamknie drzwi po raz ostatni, żeby się przenieść na inną część pustyni.

Nie chciała zastanawiać się nad tą ewentualnością.

- Po co takie ponure myśli? - zaprotestowała. Przyglądał jej się uważnie i zdawał się bardzo ubawiony.

- Realizm każe akceptować dowody historii. Nie umieramy zresztą od tego. Chociaż od czasu do czasu odrąbują mu ręce i nogi, Żyd nie może umrzeć.

Wpatrywał się w nią tak uparcie, jakby postanowił odkryć jakiś sekret pod maską jej twarzy.

Czyżby litował się nad nią? Teraz, gdy tamci przeciw niemu ostrzyli noże? Kiedy to on sam zasługiwał na litość? Co prawda, niektórzy ludzie, zwłaszcza wybitnie inteligentni, olśnieni tym darem nabywają złudnego poczucia bezpieczeństwa. Co nie zdarza się na przykład zwierzętom.

Panna Hare wiedziała, że zwierzęta nigdy nie przestają czujnie wypatrywać czekających je zasadzek. Toteż na nowo ogarnęło ją wzburzenie.

- Muszę panu coś powiedzieć! - krzyknęła niemal. Bardzo podniecona wprowadziła gościa do saloniku, gdzie

wraz z matką schroniła się w pamiętny wieczór chybionego samobójstwa ojca. Tym razem tak się spieszyła, że trzasnęłyby drzwiami, gdyby te drzwi od wielu lat nie odmawiały już posłuszeństwa. Zesztywniały i nie dawały się zamknąć. Podobnie zbuntowała się twarda kanapka, na której panna Hare usiadła obok Himmelfarba, a która nawet w epoce świetności była jedynie teoretycznie gościnnie. Mniejsza z tym jednak.

Panna Hare obejrzała się, a potem wyjąkała z trudem:

- Boję się o pana.

I nagle zrobiła coś bardzo dziwnego: ujęła dłoń Żyda we własne drżące, piegowate ręce. Żadne z nich jasno nie

rozumiało, co chciała w ten sposób wyrazić, byli bowiem obezwładnieni pozą. Panna Hare trzymała rękę swego gościa jak cenny przedmiot znaleziony w buszu, gładki kamyk z osobliwymi żyłkami, czubatą dziką orchideę lub sękatą gałąź, którą starość, burze i choroby związały, sądząc z jej kształtu, z jakąś ludzką klęską. Tylko że tym razem uczucie subtelnej przyjemności górowało nad obiektywnym zainteresowaniem, z jakim panna Hare zwykle odnosiła się do tego rodzaju rzadkich okazów.

- Życie każdego człowieka zdane jest w pewnym stopniu na przypadek - odparł poważnie Żyd, gdy opanował z odrobiną wysiłku zdziwienie i chęć do śmiechu i gdy odepchnął myśl tak bezwstydną, że upokorzony zdumiał się nikczemno-ścią własnego odruchu.

Z gardła panny Hare dobywały się dźwięki przypominające skrzek żaby lub chrzęst skóry.

- Ludzie inteligentni wpadają w pułapki słów - powiedziała.

Co do niej, chętnie by zatonała w cudownym milczeniu; własne ciało wymykało jej się czy może wydłużało się w takie kształty miłości i muzyki, jakie zauważyła niegdyś tylko w tancerzach kołyszących się, zapatrzonych, rządzonych już nie zasadami rozsądku, lecz jakąś inną mądrością, która może się nagle zbudzić w ciele pod muśnięciem pawiego piórka.

Panna Hare zerknęła na swego gościa, chcąc przekonać się, czy zauważył, jak wypiękniała i wysmukłała, jak ciepłe są białe stożki jej piersi, chociaż uczono ją, że nie wolno się wzruszać, chyba że pod pretekstem muzyki.

Ale Żyd pochłonięty był dziwną sytuacją własnej unieruchomionej ręki.

Obserwując ją mówił:

- Słusznie, intelekt bywa poważną przeszkodą. Chwilami lubię się łudzić, że już ją przewyciężyłem. - W kącikach ust zbiegła się siatka zmarszczek, gdy dodawał: - Bardzo dla

mnie zdrowo, że pani oraz wiertło, przy którym spędzam czas pracy, od czasu do czasu przywołujecie mnie do rzeczywistości.

Zrobił tę wymówkę łagodnie, nawet ze słodyczą, tak że panna Hareomal nie odtrąciła jego ręki. Jej chwilowa piękność roziskrzyła się maleńkimi lusterkami gniewu, zanim zgasła.

Oczywiście bowiem zgasła. Prawdziwa powierzchowność panny Hare była równie widoczna, jak łachmany starych pajęczyn zwisające smętnie z gzymsu.

- Och! - krzyknęła z ustami pełnymi łez i kamyków. - Mnie nie pan sam interesuje. Nie to, czym pan jest, co pan myśli i czuje. Chodzi mi tylko o pana bezpieczeństwo. Jestem za pana odpowiedzialna!

W swym wzburzeniu szorstką skórą dłoni drapała jego rękę. Jeśli nawet przed chwilą, może po raz pierwszy i ostatni w życiu, przeczuwała, co to znaczy być kobietą, pasja jej była głębsza, bardziej wzruszająca i natarczywa teraz, gdy biedaczka stała się znów tylko zrozpaczonym ludzkim stworzeniem. Pozornie siedzieli z dala od siebie na niewygodnym, sztywnym meblu, lecz to ostatnie przeobrażenie zbliżyło ich do siebie.

Himmelfarb drgnął pod powłoką napastliwego i nie dopasowanego kombinezonu. Odchrząknawszy spytał:

- Czy są jakieś konkretne zapowiedzi niebezpieczeństwa? Myślał, że jeśli zagra na zwłokę i pohamuje ostatni odruch wstrętu, który mu radził cofnąć rękę, może skłoni pannę Hare do ujawnienia najtajniejszych kryjówek.

- Konkretnie? Powinien pan wiedzieć, że prawdziwe niebezpieczeństwo nigdy z początku nie jest konkretne.

To była prawda. Nie mógł zaprzeczyć. Gdy ochłonęła z napadu gniewu, w którym szarpnęła, niemal wykręciła jego niewiarygodnie bierną rękę, zaczęła

swoją długą, oschłą, lecz doniosłą, bo niewątpliwie przygotowaną recytację:

- Zamierzałam panu coś zaproponować. Nie. Co ja mówię. Przedstawić pewną propozycję. Przychodziło mi to już nieraz do głowy, ale za dużo było zawsze przeszkód. Nawet dziś zabrzmiałoby to może głupio. To znaczy, wyda się może nietaktem. Ale Peg - nasza stara służąca - nazwałaby to praktycznym rozwiązaniem. (Gdyby Peg żyła, byłoby nam wszystkim łatwiej). Mówiąc krótko - bo musimy się spieszyć wobec tego, co się zdarzyło - proponuję, żeby pan tutaj zamieszkał.

Umyślnie odwróciła wzrok, bo nie chciała zobaczyć jego zdumienia.

- Ukryję pana - mówiła dalej płaczącym się językiem.

- Jest tutaj tyle pokoi, że w żadnym z nich nie musiałby pan przebywać długo. A to zwiększyłoby szansę ratunku.

Milczał i wyczuwała, że akceptuje jej motywy, lecz nadal nie godzi się na jej plan.

- Niesłusznie chce pani mnie ukrywać - odparł łagodnie.

- Doprawdy nie mam nic do ukrywania.

- Oni nie będą się nad tym zastanawiali - powiedziała.

- Ludzie zwykle decydują się na zabójstwo dla bardzo błahych powodów.

Och, wiem z doświadczenia! Wystarczy przykra pogoda, nuda po obiedzie. Gotowi zadrzeć niemal na śmierć kogoś, kto ich przejrzał.

Choćby własnego psa.

- Kiedy wybije dla mnie godzina śmierci - odparł spokojnie i chłodno - nie ludzie o tym rozstrzygną.

- Dlatego właśnie to jest takie straszne! - krzyknęła. I nagle wybuchnęła płaczem.

Była brzydsza niż kiedykolwiek, rozczochrana i rozmazana, ale cały wstręt, który Himmelfarb mógł odczuwać, rozwiął się w przeświadczeniu, że mimo różnic geograficznych i rasowych oboje są, byli zawsze powiernikami tej samej

misji. Z dwóch końców świata ta sama ciemność, to samo trzęsawisko groziły im spętaniem ruchów, lecz choćby te ruchy były mozolne i chwiejne, każde z nich musi swoją cenną cząstkę tajemnic donieść do końca i oddać w jedne określone ręce.

Żyd błąkał się poprzez wiele granic we mgle doświadczeń, lecz wychynał z niej w pewnym punkcie i znalazł się na twardej kanapie w saloniku Xanadu. Ocknął się, dotknął ręki towarzyszki podróży i rzekł:

- Muszę już iść. Chciałbym panią przekonać, że proste czynności, które nauczyliśmy się wykonywać codziennie, są najpewniejszą obroną przed złem.

Tak, są wielką pociechą - przyznała. Ale z westchnieniem.

Śliczne, przyćmione światło wieczoru leżało na posadzce. Światło to podkreślało nieskazitelność wszystkich przedmiotów w ostatnich chwilach dnia i Himmelfarb zapomniał, że bywał w życiu zmuszony do przerywania tych prostych, powszednich czynności, które teraz zalecał jako tarczę obronną.

Panna Hare szła za nim przez hall.

- Muszę pana przynajmniej ostrzec - powiedziała - skoro pan stąd odchodzi, że moja eks-gospodyni, pani Jolley, cierpi na pewne urojenia.

Nie sądzę, żeby ona była sprężyną spisku. Ale jest pod wpływem niejkiej pani Flack, której osobiście nie znam, którą jednak podejrzewam. Możliwe, że ona też jest niewinna. Tylko że najzłośliwsze diabelskie pomysły lęgną się w głowach niektórych kobiet, kiedy siedzą razem w domu o zmroku i wsłuchują się w burczenie własnych brzuchów. Otóż pani Jolley przeprowadziła się teraz do pani Flack.

- A gdzie te panie mieszkają?

- Ach, przy jakiejś tam ulicy. Nieważne. Wspomniał pan, zdaje się, panie... (przestała już się wstydzić, że nie potrafi wymówić jego nazwiska) ... że stanowimy ogniwa jednego

łańcucha. Co do mnie, jestem pewna, że istnieją dwa łańcuchy. Napięte w walce z sobą. Gdyby pani Jolley i pani Flack były jedynymi ogniwami w swoim, to oczywiście nie mielibyśmy powodu do obaw. Gdyby.

Prowadziła go z wolna przez dom, ustrojony purpurą i złotem wieczoru z renesansową wspaniałością. Marmur jakiegoś popiersia i kryształowy świecznik migotały w blasku własnego piękna.

- Czy idziemy w dobrym kierunku? - spytał Himmelfarb.

- Prowadzę pana do kuchennego wyjścia. Krótszą drogą

- odparła. W kuchni na stole leżał nóż, jeszcze jedna drzazga światła.

- Wie pan, dla pana mogłabym zabić - powiedziała niespodziewanie panna Hare - gdyby w ten sposób można było zapewnić sprawiedliwość.

- Przestałaby wtedy być sprawiedliwością. Himmelfarb z uśmiechem wziął do ręki nóż, który panna

Hare chwyciła ze stołu, i rzucił go z powrotem w kałużę światła.

- Przeznaczony jest do krajania chleba - powiedział.

- Przeznaczenie mało dramatyczne, chociaż szlachetne. Poskromiona, przeżuwała milczenie, idąc za nim ku

drzwiom kuchennym. Na schodkach dawała mu ostatnie wskazówki.

Twarz Żyda, martwa i szara, gdy wspinał się ku niej na wzgórze, teraz ożyła w ostatnich promieniach słońca czy może za sprawą tajemnic ludzkiego porozumienia.

- Opuszcza mnie pan zawsze o tej samej mniej więcej godzinie - powiedziała zamyślona, spoglądając ku niemu z wysokości schodków. -

Jakieś tajemnicze sprawy ciągną pana do domu - dodała z żalem w głosie.

- Ale nie jestem zazdrosna.

- Nie ma żadnej tajemnicy - odparł. - O tej porze co wieczór odmawiam modlitwy.

- Och, modlitwy - mruknęła. - Ja nigdy się nie modłę. Odkąd jestem niezależna. Od wczesnej młodości.

- Wyraża pani to samo w inny sposób.

Odrzuciła to przypuszczenie z pewną irytacją i zdawało się, że zareplikuje szorstko, lecz nagle jakaś inna myśl wypłynęła z głębi mącąc powierzchnię.

- Och, nie wiem, co nas wybawi - szepnęła. Nim zdążył odpowiedzieć, krzyknęła: - Niech pan patrzy!

I osłoniła oczy od blasku złota.

- O tej porze nieraz już to się zdarzało - wyjąkała, z trudem formułując słowa - i zawsze bałam się, co z tego wyniknie. Dostawałam ataku i padałam, kiedy koła się zbliżały. Jestem za słaba, żeby to znieść. Leżałam nieprzytomna parę godzin. Myślę, że nie przeżyłabym, gdybym na ten blask spojrzała.

- Może pani teraz spojrzeć śmiało - Himmelfarb zdobył się na spokój. - Wyjątkowo piękny zachód słońca.

- Tak - szepnęła. Roześmiała się jakby do siebie. - Szare bruzdy, w które zapadają się koła. Małe, miękkie pióra kół.

Himmelfarb pożegnał dziedziczkę Xanadu. Nie mógł jej uważać za wariatkę jak inni ludzie, ponieważ sam był w mocy tego samego obłądu. W tej chwili, gdy czuby drzew zapłonęły ogniem, znów słyszał syreny sanitarek, szczęk wozów strażackich i drżał, uświadamiając sobie, że nigdy nie skończy się wysiłek ratowania ludzi z gruzów ich własnych idei. Zawsze trzeba będzie wynosić nakryte płachtą trupy, a ci, którzy mają się za żywych, wracać będą na ruiny w poszukiwaniu złotych zębów, zegarków i innych powszechnie cenionych rzeczy. Najbardziej jednak zawiedzione były dusze, które skarżyły się szarymi głosami, że kazano im wcielić się w postaci roślin, kamieni, zwierząt, a w pewnych przypadkach w ciała ludzkie. Dusze płakały, czesząc osmalone włosy. Już je zmęczyły dzwony, modlitwy, rozkazy

i przekleństwa wielu pożarów, których świadkami były na swoje nieszczęście w ciągu pełnych udreki istnień.

Tylko Wóz toczył się prosto i cicho, zarówno w tej chwili, jak w chmurach wspomnień.

Himmelfarb włókł się drogą prowadzącą z Xanadu do Sarsaparilli, ukojony fizycznym znużeniem i współczuciem przyjaciółki. Ziewnął raz i drugi. Białe twarze majaczących niewyraźnie kwiatów drżały i błyszczały pod dotknięciem ciemności. Kamienie milczały posepnie. Może jemu, najbardziej upartej z dusz, przypadnie w następnej kolei zamieszkać w kamieniu? Kiedy wspinał się na pagórek, buty jego krzeszały z bruku drogi iskry tak dalekie, że nawet w imię całej miłości i dobroci świata nie zdołałby zgiąć grzbietu, by je pozbierać, tak nieuchwytnie, że nawet Ezechiel, Dawid i Akiba nie mogli uratować zbłąkanych okrucich ognia. Żyd szedł potykając się o kamienie, aż wreszcie dotarł do swego mizernego domu i wchodząc, dotknął na odrzwiach szema.

XI

W dni robocze co rano Himmelfarb jechał autobusem do Barranugli, siadał przy swoim wiertle w fabryce pana Rose-tree i przyczyniał się do produkcji latarek rowerowych. Pod oknami płynęła spokojna, zielona rzeka, lecz okna umieszczono tak wysoko, że nie było jej widać, i w pewne dni Żyd, którego początkowo wzruszała ta zielona woda, prawie jej nie dostrzegał, wychodząc po pracy z fabryki. Gdy szedł jej brzegiem do przystanku autobusowego, przeobrażała się w zielony zakręt albo w symbol rzeki.

Kiedyś majster Ernie Theobalds, wprawiony w dobry humor pokażną premią, odezwał się do Żyda.

- Jak wam idzie, Mick?

- Dobrze - odparł Żyd stylem, którego przywykł tutaj używać.

Majster, trochę już żałując, że się wdał w rozmowę, ciągnął mimo to dalej. Lubił być uprzejmy.

- Nie znaleźliście sobie żadnego kumpla? - spytał. Żyd się roześmiał.

- Wszyscy są moimi kumplami - powiedział.

Miał dziwne, miłe uczucie swobody, jakby to, co powiedział, mogło być prawdą. Ale w majstrze jego odpowiedź obudziła nieufność i urazę.

- No, to w porządku - wysapał i wypocił z siebie. - Nie przeczę, mamy tutaj bardzo przyzwoity zespół. Ale człowiek ma większą szansę, że go inni potraktują uczciwie, jeżeli stoi przy nim jakiś kumpel. O to mi chodzi. Rozumiecie?

Himmelfarb roześmiał się znowu — ten ranek usposobił go lekkomyślnie

- i odparł:

- Wezmę sobie Opatrzność za kumpla.

Ernie Theobalds był zgorszony. Nienawidził inteligenckiego gadania.

Krople potu błyszczały na kępach włosów pod jego pachami.

- No dobra - rzekł. - Dość na dziś.

Oddalił się, jakby stapał po rozżarzonych węglach.

Himmelfarb miał ochotę pobiec za majstrem, przynajmniej dotknąć jego ramienia, spojrzeć mu w twarz, bo nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego uległ napadowi niemądrej wesołości. Ale imponująca postać, zginając zarówno kolana, jak łokcie, za daleko już odeszła.

Była to prawda, którą uświadomił sobie Ernie Theobalds, że Żyd nie znalazł przyjaciela w żadnym mężczyźnie, chociaż po przyjeździe do tego kraju z wielu ludźmi próbował się zaprzyjaźnić i w tym celu podróżował koleją lub przemierzał wieczorami ulice miasta. Niektórzy prosili go o rady lub

O pieniądze, on zaś w miarę swoich środków rozdawał jedno i drugie. Niektórzy przyjmowali to z prostotą jako rzecz należną, inni traktowali go jako wysłannika niebios, tak że musiał się wycofywać, aby im oszczędzić złudzeń, a sobie wstydu. Jeszcze inni podejrzewali w nim narkomana lub zboczeńca i przeklinali go, kiedy ich dźwigał z błota. Raz i drugi w szabas przed synagogą próbował zagadnąć swoich współplemieńców. Ci byli najbardziej podejrzliwi. Odpowiadali z przesadną grzecznością. Zagarniali żony, stojące obok i w oczekiwaniu głaszczące swoje nurkowe futra, wsiadali do samochodów i odjeżdżali do swych ceglanych nor, żeby się w nich bezpiecznie zagrzebać. Himmelfarb pozostał więc bez przyjaciela. Czyli bez kumpla - poprawił się przezornie. I w tej chwili przypomniał mu się tubylec, z którym jeszcze nie nawiązał rozmowy.

Tubylec bowiem trzymał się nadal w fabryce pana Rose-tree. Leniwy drań - jak twierdzili wszyscy. Nie wiadomo czemu zależało mu jednak, żeby tu wytrwać. Czasem po pijatyce wracał z oczyma przekrwionymi albo podbitymi zielonkawożółtym sińcem. Bydlak, którego uczciwy człowiek brzydziłby się tknąć, chyba końcem kija od miotły.

Mimo wszystko z tym właśnie ludzkim wrakiem, jak sobie teraz uświadomił, Himmelfarb nawiązał jakąś przedziwną nie-znajomość. Jeśli można w braku lepszego określenia nazwać to porozumieniem, było ono bardzo pewne, chociaż nie potwierdzone słowem, milczące, a przecież wymowne. Żyd wyczuwał bliskość tubylca. Czekał na jego milczenie. Ilekroć mijali się, balsam kojący maścił ich rany.

Było to śmieszne. Obaj się czuli zawstydzeni. Odwrócili się od siebie plecami. I znowu czekali. Czasem tubylec pogwizdywał drwiąco jakąś popularną melodię zasłyszaną w radiu. Wydymał wargi potęgując jej ordynarność, i bez tego dostatecznie jaskrawą. Miało to niby wyrażać

nisz
441

czycielskie zamiary. Ale tubylec wiedział, że jego przyjaciel, stary Nochal, nie da się zwieść.

Mogliby na tym poprzestać. Bądź co bądź obaj w swoim czasie poznali ostrze sztyletu.

Pewnego dnia w czasie przerwy Himmelfarb poszedł do umywalni; przyzwyczał się do jej zabazgranych desek, mokrego betonu i wyplamionej porcelany. Tam usiadł. Tam skłonił głowę. Introspekcyjny akompaniament bulgocącego cicho zbiornika i kapiących z kranu kropeł koił pulsujące boleśnie skronie.

Często spędzał przerwy w umywalni, zwykle pustej, dopóki nie podjęto znów pracy. Siedział najczęściej bez ruchu, ale tym razem ręka jego trafiła na książkę, którą ktoś zostawił otwartą na ławce. Himmelfarb odruchowo zawsze czytał każdą zadrukowaną kartkę, jaka mu się nawinęła przed oczy. Teraz więc także zaczął czytać i ogarnęło go zdumienie.

I widziałem, a oto wiatr gwałtowny nadciągnął od północy i obłok wielki, i ogień skłębiony, a jasność wokół niego, a spośród niego wygląd jakby mosiądzu, to jest spośród ognia. A w środku niego podobieństwo czterech zwierząt, a ta postać ich: podobieństwo człowieka w nich. Cztery oblicza u każdego i cztery skrzydła u każdego.

Ponad miękkim pluskiem zbiornika i twardszym kropeł kapiących z kranu słyszał teraz Żyd nie własny głos, lecz głos głosów, stłumiony, chrapliwy, rozpaczliwy przez swoje poczucie ciągłości. Mógłby to być głos kantora Katzmanna. Lecz nie próbował już stroić zwierząt z proroczej wizji w alegoryczne bogacwo babilońskiego złota. Odziane były w ciało ludzkie: ulepione na kształt ludzkich maszkar, okryte zmydloną skórą, o porach rozszerzonych przez pot, usta pobladłe od cierpień i błędów, martwe włosy żywych ludzi rozwiane podmuchem zdarzeń.

Żyd czytał lub może słyszał: - ... dwa skrzydła każdego łączyły się, a dwa zakrywały ciała ich.

Mimo to wiedział, jak wyglądają, z obserwacji. Na pamięć znał każdą żyłę ukrytych ciał.

Teraz słowa szybciej nieco dobywały się z warg przeszłości, jak gdyby przystosowujących się do wzmożonego rytmu czasu. Czas dobiegał końca. Kręgi się zacieśniały. Z dołu, z hali fabrycznej dochodził chrzęst skóry i szczęk natłuszczonego smarami metalu.

Ale Żyd nie mógł się oderwać od książki.

... A gdy chodziły zwierzęta, chodziły również i koła obok nich, a gdy się podnosiły zwierzęta, podnosiły się też i koła...

Kiedy w hali ruszyły maszyny, wszystko w umywalni gwałtownie zadrzało, po chwili jednak osiadło na miejscu i zapanował niemal spokój. Zgiełk fabryczny zagłuszył kapanie kropel i plusk zbiornika.

Lecz głos Żyda czytał dalej, teraz już jego własny głos, donośny ponad hałasem wypoczętych maszyn.

... A podobieństwo sklepienia było nad głowami zwierząt jak wygląd kryształu straszego i rozciągniętego nad głowami ich w górze.

W tym momencie do umywalni wszedł tubylec. Szukał czegoś, co tu zostawił. Gdy zrozumiał, że jego sekret się wydał, stanął w miejscu, kołyszając się jak na kulach na swoich zwykle płaskich i rozklapanych stopach. Nie wiedział, co zrobić.

Żyd promieniał.

- To Ezechiel - rzekł, zapominając o niemej umowie, na mocy której obaj unikali dotychczas wymiany słów. - Ktoś tutaj czytał Ezechiela.

Znalazłem na ławce otwartą książkę.

W radosnym uniesieniu bryzgał z ust śliną. Tubylec stał, przerzucając z ręki do ręki kulkę waty. Spochmurniał jednak.

- To pańska książka? - spytał Żyd.

Wtedy tubylec zrobił coś niezwykłego. Przemówił.

- Tak - potwierdził. - Moja.

- A więc czytuje pan Biblię? Czy także innych proroków? Daniela, Ezdrasza, Ozeasa? - pytał Żyd wciąż z tym samym niepohamowanym entuzjazmem.

Ale widać było, że tubylec po raz drugi nie da się wciągnąć w pułapkę. Wargi miał bardzo grube i prostackie.

- Lepiej teraz zejdzmy na dół - powiedział, gestem głowy wskazując w stronę hali fabrycznej.

- Racja - przyznał Żyd.

Tubylec szybko chwycił książkę i schował ją do tobołka, który najwidoczniej zawierał jego osobisty dobytek.

Himmelfarb nie mógł otrząsnąć się z wrażenia. Miał na ustach senny, zamyślony uśmiech, irytujący dla ludzi wykluczonych z udziału w jego sekrecie.

- Interesujące - musiał stwierdzić - ale nie będę stawiał dalszych pytań, bo widzę, że pan sobie tego nie życzy.

- Do czego by to doprowadziło? - wzruszył ramionami tubylec. -

Wychował mnie pewien pastor. To wszystko. Czytywałem Biblię, ale czego innego w niej szukałem niż mój opiekun. Czytałem Biblię, bo człowiek widzi wszystko, co tam jest opisane. No i pomaga to zabijać czas.

Tubylec mówił to zaskakująco dziwnym głosem, wyczarowanym jakby z wielkiej głębi.

Potem obaj wrócili do swojej roboty, bo maszyny drwiły z nich, wstrząsając z piekielną siłą fabryczną szopą.

Żyd przy swojej wiertarce świdrował dziury w blasze. Świdrował dziury w blasze i zastanawiał się, czy to zdarzenie zmieni w jakiś sposób ich wzajemne stosunki. Z pozoru nie zanosilo się na to. Znajomość zbyt długo zastygła w formie, którą od początku przybrała. Odrobina trwałego ciepła, wytworzonego w pierwszej chwili, może się jeszcze nieco spotęgowała. Żyd uświadamiał to sobie, ilekroć tubylec przechodził w pobliżu. Jakaś więź niemal namacalna usnula się między nimi, lecz nie próbowali ponownej wymiany słów. Czasem młodszy prawie że coś mruknął, czasem starszy prawie że skinął w odpowiedzi głową. Albo szukali się wzrokiem i niekiedy jeden drugiego na tym przyłapywał. Raz czarny człowiek uśmiechnął się, jednakże nie do swego osobliwego znajomka, lecz do każdego, kto by chciał ten uśmiech przyjąć. Jeśli przyjął go Żyd, stało się to przypadkowo. Zrozumiał, że miała to być demonstracja całkowitej obojętności.

Mimo to Himmelfarb czuł się pokrzepiony tym studiowaniem innej ludzkiej istoty, z którą łączyło go dziwnym sposobem milczenie, a może także ofiara. Innym razem spotkali się w bramie fabryki i nie było rady, musieli wyjść razem, więc Żyd nie oparł się pokusie rozmowy.

- Wtedy, gdy rozmawialiśmy w umywalni - powiedział - nie przyszło mi do głowy czy może nie zdążyłem spytać pana o nazwisko.

Tubylec, jak się zdawało, gotów był zmarszczyć czoło. W ostatniej chwili rozmyślił się nagle, wyczuwając pewnie, że nie ma w tym pytaniu pułapki.

- Dubbo - odparł żywo. - Alf Dubbo.

I szybko odszedł. Był tego dnia wesół. Podniósł kamyk i puścił kaczkę na gładkiej powierzchni zielonej rzeki. Chwilę stał, mrużąc oczy od słońca, którego promienie rozszczepiały się na jego szerokich zębach. Wyglądało to na uśmiech, ale

może było tylko grą światła, skupionego na płaszczyznach wspaniałych zębów.

Alf Dubbo wychował się w małym mieście nad rzeką, która nigdy całkowicie nie wysychała i w sezonie deszczowym przelewała się przez wysokie brzegi, zatapiając domy w niżej położonej dzielnicy. Rzeka grała ważną rolę w dzieciństwie Alfa, a nawet później, gdy opuścił rodzinne strony, często wracał myślą na ciemne brzegi brunatnej wody, zacienione zasłoną lśniących liści, usłane ogładzonymi kamykami, które lubił zbierać, wyszukując najładniej ukształtowane. Małego chłopca rzeka fascynowała szczególnie w porze zmierzchu i wtedy zwykle włóczył się opodal pętli rzecznej, gdzie urządzono park miejski. O zmroku pomarańczowe zgrubienia na wielkich bambusach odcinały się jaskrawiej, a błyszczące liście australijskich drzew zdawały się ociekać głębszą zielenią. Jego rodzinna ciemna rzeka przecinała wieczór lśniącym ostrzem. Czarne dziewczyny schodziły na wybrzeże, jedne w strojach wyrzuconych przez białe kobiety, inne w jaskrawych sukniach ze sklepów, a kwietne desenie rozsypywały się po ciemnej ziemi, kiedy kładły się i wśród tłumionych śmiechów oczekiwały, kto je zaczepi. Zwykle robili to młodszy, podpici mężczyźni, a wszyscy mieli w kieszeni trochę pieniędzy i butelczynę albo nawet dwie. Kiedyś Alf widział, jak dziewczyna, zostawiwszy suknię pod opieką kochanka, zbiegła pędem w dół ku rzece, aż jej czarna sylwetka zginęła połknięta przez gęstniejące ciemności. To było jednak zdarzenie wyjątkowe. Zarazem bardzo podniecające. Mimo to Alf odszedł.

Pani Pask stała w drzwiach kuchennych.

- Gdzie byłeś, Alfie? - spytała. A spod szala papuga zawtórowała: -
Dziebyłeś? Dziebyłeś?

Jeszcze nie spała.

- Nad rzeką - odparł chłopiec.

- To nie jest miejsce odpowiednie, żeby się włóczyć o tej porze - powiedziała pani Pask. - Pan Calderon szukał ciebie, chce z tobą przerobić koniugację łacińskich czasowników. Ale najpierw jest kilka drobiazgów do załatwienia. Pamiętaj, że w życiu jest miejsce przede wszystkim dla chłopców użytecznych.

Alf zajął się więc nakrywaniem do herbaty. Pani Pask krzątała się i gadała, a chłopiec sennie plątał się koło niej marząc, że łacińska gramatyka go ominie.

Alf Dubbo nie urodził się w samym mieście. Przyszedł na świat parę mil dalej, nad następną pętlą krętej rzeki, w rezerwacie, jako syn starej Australijki Maggie i białego, ale matka sama nie wiedziała, który z białych mężczyzn był jego ojcem. Pozostałby pewnie w rezerwacie, póki nie wybawiłaby go stamtąd praca lub przemyślność. Zdarzyło się to jednak wcześniej, gdy był jeszcze długonogim, nieśmiałym dzieckiem, a stało się za sprawą wielebnego Timothy'ego Calderona, który pełnił wówczas obowiązki anglikańskiego pastora w Numburra.

Timothy Calderon i jego owdowiała siostra, pani Pask, wzięli chłopca do swego domu, by zapoczątkować w ten sposób Wielki Eksperyment - jak nazywali to przedsięwzięcie. Timothy Calderon wyznawał bowiem wzniosłe ideały, jakkolwiek - wedle obserwacji bardziej spostrzegawczych parafian - w praktyce nigdy nie zdołał wznieść się na ich wyżyny. Zauważały to jedynie bardziej spostrzegawcze osoby, ponieważ dotychczas uchybienia ideałom były przeważnie mało szkodliwej natury. W ogóle Timothy był człowiekiem nieszkodliwym, co skończyło się tym, że przeniesiono go z większego miasta Dumbullen do Numburra. Pastor z powodu spostrzegawczości biskupa wylał wiele gorzkich

łez, lecz wiedziała o nich tylko jego siostra i wraz z nim modliła się, aby starczyło mu sił do znoszenia w pokorze męczeństwa.

Było tym bardziej przykre, że Timothy Calderon należał do ludzi kulturalnych, a nawet dobrze urodzonych, i z pobudek ideowych wkrótce po uzyskaniu godności pastora wyemigrował do tego kraju. Prócz czasowników łacińskich znał grekę na tyle, żeby w tym języku czytać Biblię. Pamiętał daty bitew oraz nazwy roślin i odziedziczył wraz z sygnetem pełne wydanie *Encyclopaediae Britannicae*. Jeśli trzódka z Num-burra nie doceniała ani szlacheckiej krwi, ani wykształcenia, musiał i ten krzyż udźwignąć. Pomagała mu w tym żarliwa modlitwa, a także doczesne przedsięwzięcie zwane Wielkim Eksperymentem. Pastor postanowił bowiem obdarzyć małego Alfa Dubbo wszystkim, czym rozporządzał, a więc miłością ojcowską i duchowym przewodnictwem, nie mówiąc już o łacińskich czasownikach i datach bitew.

Alf Dubbo od początku okazał się wyjątkowo inteligentnym chłopcem. Interesujące się nim osoby prędko doszły do przekonania, że zdolny jest nauczyć się wszystkiego, byleby zechciał. Ale co go pociągało? W tym tkwiła trudność. Był pojętny, lecz leniwy, co sceptyczni parafianie pastora stwierdzali nie bez pewnej tygrysiej satysfakcji. Któż poza pastorem mógł się łudzić, że bękart czarnej kobiety z rezerwatu nie będzie skończonym leniem? Krytykom nie powstało oczywiście w głowie, że chłopak mógł odziedziczyć tę wadę po jakimś irlandzkim przodku. Sama przyzwoitość wymagała odsuwania irlandzkich protoplastów Alfa w mgłę mitu Wielkiego Węża.

Pastor wszakże również zaczął podejrzewać wychowanka o lenistwo, gdy chłopiec kiedyś zapytał:

- Panie pastorze, na co mi te łacińskie czasowniki?

- Po pierwsze - rzekł pastor - to jest dyscyplina. Pomaga w kształtowaniu charakteru.

- Ale co mi z tego przyjdzie? - zalił się chłopiec swoim grzecznym tonem, przejętym od otoczenia. - Ja chyba nigdy nie będę miał takiego charakteru.

I zasepił się w sposób godny ubolewania. Zasepiony gryzmolił, a nauczyciel musiał przyznać, że w takich momentach nie bardzo mógł sobie z nim poradzić.

- Czasem zadaję sobie pytanie, czy nie postąpiliśmy zbyt nierozważnie - zwierzył się kiedyś siostrze.

- Och, w pewnych kierunkach zrobił bardzo duże postępy. Na przykład w rysunku - stwierdziła nieco chełpliwie pani Pask. - Chciwie słucha moich wskazówek. Jest wrażliwy na kolor. Alf ma zmysł artystyczny.

- Artystyczny, owszem. Ale nie w sprawach życiowych. I pastor wzdychał żałośnie na myśl o łacińskich czasownikach. Alf Dubbo przepadał za rysowaniem i bazgrał po ścianach obórki, dojąc rogatą krowę pastora.

- Co ty tam robisz, Alfie? - wołali z daleka.

- Zapisuję, ile tygodni mija, odkąd ją zaprowadzili do byka - odparł chłopiec.

Przestali się dopytywać. Alf od dawna spostrzegł, że pani Pask wołała odwracać oczy od spraw przyrody. W ten sposób zapewnił sobie swobodę bazgrania na ścianie obory i kreślił na niej wątle jak pajęczyny zarisy świata, którego istnienie przeczuwał, choć jeszcze nie umiał tego udowodnić.

Był więc w głębi serca uszczęśliwiony, ilekroć pani Pask mówiła:

- Och, głowa mi pęka. Nie trzeba jednak zaniedbywać twego wykształcenia, prawda, Alfie? Przynieś skrzynkę z akwarelami, dokończymy to, co zaczęliśmy na poprzedniej lekcji. Mam wrażenie, że już zaczynasz rozumieć zasady rysunku i może nawet masz ukryty talent. Sama pani Pask jako młoda panienka musiała wybierać między wielu różnymi talentami, z których żaden, rozumie

się, nie był ukryty; przeciwnie, wszystkie rzucały się w oczy. Rysowała, grała na fortepianie, śpiewała sopranem, pędziła życie wśród rozrywek, póki Opatrzność nie objawiła jej, że ma wyrzec się wszelkich osobistych ambicji i poświęcić się wyłącznie chwale Chrystusa oraz pastora Arthura Paska. Zachowała jednak pewne zainteresowanie dla rysunku i akwareli, a przy sprzyjającej pogodzie rozstawiała sztalugi na dworze i malowała. To jej hobby - bo mimo technicznej sprawności nie pozwalała sobie traktować malarstwa inaczej - okazało się źródłem wielkiej pociechy, gdy nadeszły godziny ciężkich prób. Owdowiała bowiem dość młodo.

- Nie zapominaj, Alfie, że sztuka jest przede wszystkim i nade wszystko źródłem sił moralnych - rzekła kiedyś do ucznia, pokazując mu, jakie możliwości ożywiania monotonnych powierzchni daje biały kolor. - Prawda - dodała - jest taka piękna.

Alfa fascynował w każdym razie jej pędzel.

- Spójrz - mówiła muskając pędzlem płótno. - Jedna maleńka plamka sprawia, że wiśnie nabierają życia. Trzeba przyznać, że w twórczej pracy jest coś z cudu.

Jeszcze tego nie doświadczył, ale był przekonany, że taka możliwość istnieje.

- A teraz ja, teraz niech pani mnie pozwoli - poprosił. Pracował szybko. Zdążył namalować misę pełną wiśni

- włącznie z ożywczymi plamkami światła - albo gipsową rękę, którą pani Pask przechowywała w szufladzie, zanim jego mistrzyni podjęła wątek zamierzonej w szerszych ramach opowieści. Z początku gniewało ją to i upokarzało.

- Mam nadzieję, że nie jesteś próżny - mówiła. Nie sposób odpowiadać na tak głupią uwagę.

Kiedyś postawiła przed nim wazon z kwiatami, które nazwała pnącą karmazynową różą, ale które były tylko cieniem tego, czym być powinny.

Alf widział ich prawdziwą substancję. Kazał im trzymać się sztywno i mocno. Każdą szkarłatną różyczkę obwiodł niebieską linią, aby stanowiła formę raz na zawsze w sobie zamkniętą.

Pani Pask ze śmiechem powiedziała:

- Nie możesz się oprzeć pokusie koloru. Nigdy nie istniało na świecie nic tak intensywnie czerwonego. Z czasem nauczysz się jednak, że najważniejszą rzeczą jest subtelność.

Pani Pask szczególnie lubiła mówić, gdy uczeń jej pracował. Leżąc w fotelu, opierała stopy o haftowany podnózek. Wiele lat później Dubbo trafił w bibliotecę publiczną na reprodukcję, która nasunęła mu myśl, że pani Pask, mimo wszystkich swoich cnót, była w głębi serca jedną z tych ustrojonych w turbany dam z dawnej bardziej pobłażliwej epoki, wspierających się - w jej przypadku jedynie metaforycznie - na ramieniu służącego Murzynka.

Na osłoniętej werandzie salonu w Numburra pod splekanym blaszanym dachem głos pani Pask łączył się z bzykaniem much w nieprzerwaną antyfonę.

- Muszę ci powiedzieć, Alfie, że dla mego męża wyrzekłam się wszystkiego, nawet pudru; co prawda miałam cerę delikatną, karnację jasną i świeżą, więc nie było to wielkie umartwienie. Któż zresztą nie zrobiłby tego dla Arthura! Był uroczym człowiekiem. Najmilszego usposobienia. A jaki smukły. I mimo to - odchrząknęła - wysportowany. Widzę go, jak skacze przez siatkę na placu tenisowym. Nigdy nie trudził się obchodzeniem siatki w koło.

Uczeń pracował. Czasem jednak podnosił na nią wzrok - przez grzeczność. Pani Pask, niegdyś obdarzona piękną karnacją, teraz była sina. Zawiniło tu wysokie ciśnienie oraz klimat.

Niekiedy chłopiec siedział cichutko przed rozpiętym na pulpicie obrazkiem. Nauczycielka strofowała go wówczas:

- Niemożliwe, żebyś już skończył, Alfie, przecież dopiero co ustawiłam ci model.

- Nie, jeszcze nie skończyłem - odpowiadał. Dla świętego spokoju. Siedział dalej. Czekał.

Potem mieszał inaczej farby i zabierał się znów do malowania. Czasem panią Pask niepokoiło jego zbyt nieruchome spojrzenie. Za wąska klatka piersiowa. Coś chorobliwego w jego wyglądzie.

- Trzeba by poszukać dla ciebie jakiegoś towarzystwa - mówiła wtedy. - Każdemu chłopakowi potrzebne są od czasu do czasu jakieś ruchowe gry. Nie znaczy to, żebym była zwolenniczką brutalnej siły. Chodzi mi tylko o chrześcijański hart.

Mruczał coś, żeby ją uspokoić. Nie mógł zdobyć się na słowa, póki trwało tamto inne napięcie. Przez cały bowiem czas nadal malował.

Raz przy tej okazji blaszane pudło z farbami pani Pask spadło ze szczękiem.

- Och! - krzyknęła. - Jeśli porcelanowe miseczki stłukły się, będę zrozpaczona. Dostałam to pudełko - chyba wspominałam ci już o tym, Alfie? - w prezencie od męża.

Na szczęście nic się nie stłukło.

- Ale co to jest, Alfie? - spytała, wciąż jeszcze trochę zdyszana. - Co to ma znaczyć?

Wpatrywała się w jego dzieło.

Można by pomyśleć, że przyłapała go na jakimś hańbiącym uczynku. Alf siedział ze skulonymi kolanami. Spreżony wewnątrz.

- Drzewo - odparł, gdy wreszcie mógł mówić.

- Drzewo bardzo nienaturalne - stwierdziła z łagodnym uśmiechem.

Dodał odrobinę cynobru i drzewo spłynęło świeżą krwią.

- A te dziwne przedmioty - czy może owoce? - wiszące na tym drzewie? Co to jest?

Nie odpowiedział. Blaszyany dach trzeszczał.

- Coś przecież muszą znaczyć - nalegała pani Pask.

- To - powiedział wreszcie - to są sny. Jednakże był zawstydzony.

- Sny. Ależ nic na to nie wskazuje. Po prostu plamy. Mnie to wygląda na zdeformowane nerki.

Zawstydziła go tymi słowami jeszcze bardziej.

- Bo to są sny, które jeszcze się nie wyśniły - wyjąkał z trudem.

Wszystkie nie urodzone płody drżały na porowatym papierze.

- Obawiam się, że jest w tym coś chorobliwego - wyznała bratu pani Pask.

- Inaczej nie mogłyby się wylegać w niewykształconym umyśle takie dziwactwa.

- Chłopiec nie jest całkiem niewykształcony. Przecież ty go uczysz - odparł pastor.

Piekła go uraza z powodu wzgardzonych łacińskich czasowników i niewątpliwego wpływu, jaki siostra wywierała na Alfa za pośrednictwem malarstwa.

- Muszę się przyznać, że jestem trochę przerażona. Nie wiem, czy powinnam uczyć go dalej - zastanawiała się pani Pask.

- Odkryłaś w nim wyobraźnię. Tylko tyle - westchnął pastor.

Wyobraźnia, odrobina wyobraźni była jego nieszczęściem, nie miał jej bowiem dość, by mogła wywołać ferment twórczy, ale za dużo, by znieść bez bólu jej niedostatek. Był kłajstrowaty, szary jak chleb. Mniej łagodny, bardziej zawzięty, spotkałby się może z podziwem. Miał przede wszystkim piękny nos, zdolny zranić przeciwnika do żywego. Ale pastorowi Calderonowi nigdy nie przyszło do głowy użyć którejkolwiek cechy cielesnej jako oręża, toteż nie budził w nikim strachu ani szacunku, nawet w rodzonej siostrze,

która kochała go po prostu dlatego, że byłoby gorszące nie kochać brata, i dlatego że nie miała prócz niego nikogo bliskiego na świecie.

Gdy pełnił swe obowiązki parafialne, odprawiając nabożeństwa bez żaru, lecz zawsze godnie, odwiedzając tych parafian, którzy byli tak bierni, że go nie onieśmielali, urządzając doroczną zabawę na cel dobroczynny, podczas której zawsze te same panie odgadywały wagę inaczej zabarwionego tortu - podtrzymywały go dwa sekrety. Tylko dwa, bo na więcej nie stać było jego temperamentu. Z tych dwóch sekretów jeden był dość skandaliczny, lecz drugiego nigdy by nie zgodził się tak określić, ponieważ rozpaczliwie szukał w nim jedyne pokrzepienie.

W swej północnej diecezji dzwonów i koronek pastor Calderon celebrował obrzędy, jak przystało człowiekowi urodzonemu i wykształconemu w anglikańskiej religii. W miarę jak zagrzewała się atmosfera, bił w górę dym kadzideł, nigdy jednak nie tak silny, żeby razić powonienie. Wierni z zadowoleniem musieli przyznać, że w stylu i formach nie zachowały się żadne ślady rzymskich błędów, zasługujących na wytepienie w imię ewangelicznej gorliwości. Panowała pierwotna czystość rytuału. Nawet wtedy, gdy - mimo pilnych starań pani Pask - podarły się koronki. Nawet wtedy, gdy Eucharystia drzemała w lecie, a najlepsze intencje ulatywały poza granice skupienia. Regularny jak niedziela pastor Calderon krzątał się przy ołtarzu. Nieskazitelną ręką wznosił opłatek, przeciętnym głosem intonował hymny, nie naruszając tradycji ani spokoju umysłów zebranych pań. Niebieskie muchy akompaniowały mu zza witraża świętego Jerzego, ofiarowanego przez Wytwórnę Masła.

Pod tym właśnie wizerunkiem ulubionego patrona męskiego, odzianego we flanele, atletycznego Jerzego, pastor najchętniej pozwalał sobie na tajemne wewnętrzne wzloty,

pozornie zajęty przepisowymi pobożnymi praktykami, o których tak często zapominali chłopcy. Może rozwiane poły sutanny, szaty niedoskonale ascetyczne, budziły w milczącym mężczyźnie tęsknotę do swobodniejszej choreografii dla duszy. W każdym razie składając korporał, odstawiając ampułkę lub wyciągając zniszczony psalterz spod pulpitu klęcz-nika, pastor przyłapywał się na marzeniach o bardziej męskiej formie wyznania wiary, na którą nigdy nie pozwoliły mu potulna natura oraz opinia rodziny. Innymi słowy, Timothy Calderon tajemnie łaknął płomiennej manifestacji swoich bogobojnych uczuć. Ale czy umiałby je objawić? W wyobraźni przynajmniej silne głosy chłopców o jasnej cerze, ubranych w najprostsze płócienne komeżki, wzbijały się hymnem pochwalnym, unosząc jego nieśmiałą duszę ku zbawieniu. Byłby zbawiony nie przez uczynki, zbyt fatygujące w gorącym klimacie, nie przez słowa, niewątpliwie zbyt banalne, lecz przez młodość i przez potęgę młodych silnych płuc.

Wszystko, czym nie był nigdy i czego sam nie przeżył, pociągało z nieodpartą siłą biednego pastora. Pod witrażem przedstawiającym jasnowłosego świętego, który włócznią przeszywał smoka, ukazywał się pastorowi Calderonowi zmarły szwagier, Arthur Pask, i przeskoczywszy siatkę tenisową, otaczał ramieniem słabszego przyjaciela. A Arthurowi w jego krótkim życiu dane było wszystko: przejmująca i pełna przejęcia wiara, nagrody i cierpienia misjonarskiego powołania, małżeństwo z ładną dziewczyną - nikt, kto widział wtedy Emilię, nie mógł podejrzewać, że odsunęła się od świata z niezupełnie ewangelicznych pobudek - i wreszcie męczeństwo, w pewnym sensie, skoro mimo kwitnącego zdrowia umarł młodo, mając lat dwadzieścia sześć, skoszony przez febrę na Birdsville Track. Wśród tych, którzy oplakiwali jego śmierć, kto wie, może nie wdowa była najgłębiej

zraniona. Wdowa czerpie pociechę w dramatyczności swego losu, kobieta umie znaleźć słodycz w najbardziej gorzkich wspomnieniach. Najokrutniej cierpiał szwagier. Nikt jednak o tym nie wiedział.

Wkrótce po przybyciu na plebanię Alfa Dubbo pastor powiedział:

- Zauważyłem, że nie przyjmowałaś dzisiaj komunii, Emilio.

- Nie - potwierdziła.

Brnęli w kurzu na niedługiej ścieżce z kościoła do domu.

- Przypomniałam sobie - wyjaśniła - że dzisiaj jest rocznica śmierci Arthura.

- Przypomniałaś sobie! - zaśmiał się pastor. Brzmiało to dziwacznie, Emilia Pask należała jednak do

osób, które nie tylko umieją zapominać, lecz także nie domyślają się subtelności cudzych uczuć. Gdyby była mniej tępa, zrozumiałaby, że brat chłoczce swoje smutki, aby nie dać im zasnąć.

Pod powierzchnią ich współżycia przepływały głębinowe nurty, grożąc niekiedy wciągnięciem na dno. Dlatego obecność tubylczego chłopca z początku przyniosła ulgę, a nawet obiecywała ratunek. Siostra jedynie częściowo, ale brat w pełni zdawał sobie sprawę, że wiąże swoje nadzieje z Al-fem i że za jego pośrednictwem spodziewa się osiągnąć jeśli nie osobiste zbawienie, to przynajmniej spokój intelektu. Łudził się, póki nie odkrył, że dodał nowy cień do tych, które go przedtem dręczyły.

Pastor bowiem nigdy nie zdołał nawiązać z nikim porozumienia za pośrednictwem słów. Chłopiec także, jak się zdawało, nie próbował się wypowiedzieć inaczej niż w tych śmiesznych malowidłach, które tak martwiły jego nauczycielkę.

Wkrótce po pamiętnym ranku, gdy pani Pask po raz pierwszy spotkała się z demonem swego ucznia, Timothy

Calderon zastał Alfa nad książką; chłopiec przeglądał ją z taką miną, jakby nie był pewien, czy dobrze robi, ulegając swej przemożnej chęci.

- No, jak tam, Alfie - zagadnął go łagodnie poczciwy opiekun. - Znalazłeś coś pouczającego? Czy tylko coś, co ci przypadło do gustu?

Nie chciał tak stawiać sprawy, lecz zorientował się poniewczasie.

Chłopak wertował dalej książkę z gorączkowym zainteresowaniem.

- To książka - odpowiedział Alf, potwierdzając oczywisty fakt. - Ciekawa książka - dodał.

Mówił tonem beznamietnym, chociaż był podniecony.

- Hm - mruknął pastor. - Zdaje się, że moja siostra dostała ją w prezencie od szkolnej koleżanki, która znała jej zamiłowania artystyczne.

Dorosły mężczyzna i mały chłopiec razem patrzyli w książkę.

Świat rozsypywał się tu w małe cząsteczki światła. Ciała kąpiących się pozostałyby kamienne, gdyby światło nie mówiło obserwatorowi, że jest to prawdziwe żywe ciało; nawet woda przeobraziła się w wizję pierwotnej nagości. Tancerki zdawały się na chwilę zatrzymane w zawrotnym ruchu i w obłoku tiulu. Praczkі prasowały skośnie przecięty świat puszystych motyli. Solidne latarnie wibrowały gęstym, radosnym wybuchem blasku.

- Francuzi mają odmienną koncepcję rzeczywistości - stwierdził Timothy Calderon, nawiązując do tytułu książki.

Chłopak był rozgorączkowany swoim odkryciem.

- Należą do innej rasy - orzekł pastor z pobłażliwym uśmiechem.

Alf zatrzymał się na obrazie, który miał odtąd na zawsze już zapamiętać, stale krytykując go i usiłując namalować lepiej, po swojemu. Było to dzieło francuskiego malarza,

który na zawsze miał dla niego pozostać tylko nazwiskiem. Na obrazie wznosił się w górę po smudze słońca wóz ciągnięty przez sztywne konie. Ramię boga - podpis bowiem mówił o bogu - oświetlało twarze czterech postaci przedziwnie sztywnych, ściśniętych we wnętrzu małego wozu. Za pochodnią, dość nieefektywną, ciągnęły się smugi namacalnego światła.

- Apollo - wyjaśnił pastor.

Nie był przygotowany do bardziej wyczerpującego wykładu lub komentarza. Ale chłopiec powiedział:

- Ramię jest źle namalowane. Umiałbym lepiej. Konie też. Moim koniom płomień tryskałby z ogonów - oznajmił. - I sypałyby się iskry. Albo gwiazdy. W ruchu. Wszystko na moim obrazie byłoby w ruchu. Bo tak być powinno.

- Ależ z ciebie prawdziwy mały artysta! - tonem oskarżenia powiedział pastor, śmiejąc się przez cierpiące boleśnie zęby.

- Ogień i światło to ruch - upierał się chłopiec. Dorosły mężczyzna nie mógł dłużej znieść własnej klęski.

Dotknął głowy Alfa, zaraz zresztą cofnął rękę.

- A teraz, Alfie - rzekł - zamknij tę książkę. Chcę ci dać inny temat do rozmyślań.

Przyniósł Biblię i zaczął czytać Ewangelię Świętego Jana.

- Jan był ukochanym uczniem - poinformował chłopca. Mówił o duchowej miłości i o duchowym pięknie, o tym, że każde najdrobniejsze wydarzenie w życiu Chrystusa było tymi wartościami opromienione. Chłopiec oczywiście wszystko to słyszał już dawniej, lecz na nowo zdziwił się, że w dalszym ciągu nie potrafi tych piękności ocenić. Jak gdyby zdolny był pojąć tylko to, co widział. A Chrystusa nie widział wciąż jeszcze w tej serii zamazanych kolorowych obrazków mimo wytrwałych usiłowań opiekuna. Zaczął sobie przypominać pewną noc w rezerwacie; przyszedł Joe Mullens, który

miał ćwierć krwi australijskiej i bardzo był w matce zakochany. Przyniósł jej wtedy na dowód swych uczuć butelkę spirytusu metylowego. W pamięci chłopca rozbłysły sine ogniki pijanej miłości i ożył taniec tych dwojga ciał rozedrganych na skrzypiącym łóżku. Potem matka klęła i lamentowała nad jednym więcej miłosnym zawodem. Ale dla chłopca, który był świadkiem tej nocy, matczyzna porażka zburzyła ściany domu. Czuł dotknięcie kosmatej nocy i zapach liści, gdy śledził dogasające płomyki namiętności.

- Ziemską miłość nie jest nawet słabym odblaskiem boskiego miłosierdzia - tłumaczył pastor. - Ale ty mnie wcale nie słuchasz, Alfie. Chłopiec spuścił oczy i zobaczył, że kolana opiekuna w przetartych i trochę wymiętych spodniach dotykają jego kolan. Rozumiał, że zgodnie z nauką pastora powinien by w sobie wzbudzić miłosierdzie dla tego pełnego skrupułów człowieka, ale nie czuł nic prócz nacisku jego kolan. Fascynowała go sieć drobnych fałdek na podniszczonym materiale i zapach - jak się później przekonał - zapach bielizny rozgrzanej, gdy ludzie spieszą się i walczą o utrzymanie swego miejsca w ciżbie.

- Sądzę, że dosyć będzie na dziś - postanowił opiekun. Ale nie mógł się zdobyć na zmianę pozycji.

Pierwszy odsunął się chłopiec z westchnieniem czy może z pomrukiem, gdy spojrział w pełne blasku okno i zobaczył panią Pask wracającą z dobroczynnych wizyt z pustą formą po budyniu w rękę.

Pastor więc niewiele czerpał pociechy ze swoich prób szczepienia wiary w duszy tubylczego chłopca, za to jego siostra była wciąż zaniepokojona postęпами ucznia, które chętnie przypisywała własnym talentom pedagogicznym. Pani Pask niewątpliwie zawsze lubiła łatwe efekty i niewątpliwie Alf już wiedział, jak się jej przypodobać. Wykończył

cały stos obrazków przedstawiających rozmaite przedmioty, a wszystkie delikatnie wycieniowane, doskonale ujęte w perspektywie. Zdawało się, że kilku wdzięcznymi pociągnięciami chłopak mógłby odtworzyć cały świat, jaki znała nauczycielka.

Byłby to doprawdy ideał, gdyby nie to, że od czasu do czasu w ręce pani Pask wpadały inne płody talentu jej ucznia. I te inne ją przerażały. Kiedyś chłopiec wyciągnął z jakiegoś kąta stare, obdrapane pudło, które pani Pask schowała tak troskliwie, że wreszcie o nim zapomniała.

- Tu są także farby - powiedział Alf.

- Och tak. Stare farby, których dawno przestałam używać - zaczęła tłumaczyć, na pół lekko, na pół wstydliwie. - Nie nadawały się do stylu malarstwa, które mnie pociąga.

Alf ścisnął tubkę i spod zakrzepłej ze starości wierzchniej warstwy trysnął błękit tak lśniący, tak intensywny, że musiał zmrużyć oczy. Nie znalazł innych słów, jęknął tylko:

- O rany!

A nawet i ten krótki okrzyk z trudem wydostał się z roztrzęsionych warg. Pani Pask zmarszczyła brwi.

- Wiele razy usiłowałam ci wytłumaczyć, że nie wolno pod żadnym pozorem wyrażać się tak ordynarnie. Mógłbyś wreszcie to zapamiętać.

- Dobrze, proszę pani - odparł. - Ale będę mógł używać tych farb?

Po chwili namysłu powiedziała:

- Myślę, że nie jest wskazane, żebyś malował olejnymi farbami.

- Ojej!

Alf właśnie już z drugiej tuby wycisnął różowy język. I umazał się żółtą farbą, która wypłynęła z trzeciej tuby.

- Farby olejne sprzyjają w malarstwie zmysłowości, niepożądanym w sztuce kierunkom - powiedziała z pewnym wysiłkiem. - Oczywiście, nie możesz tego rozumieć, musisz zaufać tym, którzy wiedzą coś więcej. Alf wiedział tylko tyle, że bardzo chce wyładować skurcz, który czuje w żołądku, i przyspieszone tętno krwi w żyłach, wyciskając kropla po kropli te gęste, narastające wciąż pod palcami kolory.

- Mógłbym dobrze malować tymi farbami - powtarzał uparcie.

Pani Pask przybrała zagadkowo smutną minę. Wtedy Alf Dubbo zagrał niespodziewaną kartę. Nie wyrzucił sobie nic, bo tę kartę włożyła mu niejako do ręki pobożność.

- Mógłbym tymi farbami malować obrazy - zaczął - do których przedtem nie wiedziałem nawet, jak się zabrać.

Dotknął tuby z niebieskim błękitem.

- Namalowałbym Chrystusa - ośmielił się powiedzieć tonem, który, jak już wypróbował, opiekunka tolerowała.

- Ooo?

Pani Pask wybuchnęła świszczącym chichotem. Chłopak był śmieszny.

- Tylko olejnymi farbami chciałbym malować Pana Jezusa - wyznał.

Pani Pask odwróciła swoją postarzałą i trochę drżącą twarz. W oczach jej stanął młody mąż, jego silna, piękna obnażona szyja.

- Zobacz pani - rzekł Alf.

- Zobaczymy - odparła pani Pask. - Odłóż te farby. Odłóż je zaraz. Proszę.

- Pani nie rozumie! - podniósł głos zuchwale.

- Ależ owszem, rozumiem.

Słowa zabrzmiały tak blado, że miała ochotę je powtórzyć.

- No więc jak będzie?

461

- Jakież ty bywasz irytujący! - oburzyła się. - Nie powiedziałam przecież, że nie dostaniesz tych farb nigdy. Może na trzynaste urodziny. Ale teraz proszę cię stanowczo, żebyś je odłożył.

Uśluchał. Gotów był czekać. Nawet dłużej jeszcze, gdyby było trzeba. Nikt inny nie umiałby czekać tak cierpliwie jak on.

Tymczasem chodził trop w trop za kobietą, która miała w ręku jego los, ona zaś często wykorzystywała swoją przewagę. Mówiła na przykład:

- Jeżeli zapominasz wydoić biedną Possum, kiedy pada deszcz, jak możesz spodziewać się, że ja nie zapomnę o mojej obietnicy i naprawdę dam ci do użytku te farby?

Pastor chwilami nienawidził siostry. Oczywiście bowiem opowiedziała mu o tym epizodzie, przedstawiając go jako zdarzenie jednocześnie wzruszające i śmieszne. Najstraszniejsze dla pastora Calderona było to, że często dostrzegał pewne rzeczy, na które nie mógł nic poradzić. Na przykład okrucieństwo. Był szczególnie wrażliwy na jego małostkową, niedramatyczną odmianę.

- Ale pozwolisz mi w końcu? - spytał z nadzieją. Pani Pask wydeła wargi.

- Będę się modliła o radę - odparła.

Pastor Calderon także modlił się o radę, lecz nie zawsze był wysłuchany.

Kiedyś w ciemnym hallu, w zapachu statych książek i wczorajszej baraniny pastor niemal zniecka natknął się na Alfa. Wyglądało na to, że chłopiec nic nie robi, lecz przybiera ważną minę, a Timothy Calderon, jak zawsze w takich momentach, czuł się całkowicie obezwładniony swoją bezradnością i brakiem wdzięku.

Tym razem jednak niespodzianka spotkania czy może przyptyw rozrzewnienia nad samym sobą skłonił go do nawiązania rozmowy.

- Pewno z upragnieniem czekasz na urodziny, Alfie? Chłopiec uśmiechem skwitował zbędne i trochę niemądre pytanie. Ale pastor brnął dalej:

- Kto wie, może otrzymałeś dar talentu do malarstwa, żebyś mógł wyrazić swoje najgłębsze przekonania.

Nagle obaj uwikłani w tę kłopotliwą sytuację partnerzy zaczęli się pocić.

- Żebyś i ty, mimo wszystko, coś w życiu miał - jęknął pastor i pokonując wzruszenie powtórzył: - Mimo wszystko, coś...

W tym momencie chłopiec spostrzegł, że dzieje się coś niepokojącego, chociaż nie całkiem nieprzewidzianego. Timothy Calderon zmacał ręką głowę Alfa i przycisnął ją do swego brzucha. Stali niezręcznie przytuleni w półmroku i w znajomych domowych zapachach.

Alf, z początku nie wiedząc, jak się zachować, prędko zdecydował się na uległość. Guziki i dewizka od zegarka wpijały się chciwie w jego policzki i usłyszał w głębi pastorskiego brzucha dość żałosne burczenie.

Pomruk brzmiał starczo i zdawał się za coś przeproszać. Chłopiec widział w wyobraźni starą, wiotką, białą glistę, która z wolna podnosiła głowę, chwiała się, kołysała, aż w końcu opadła. Był tak zafascynowany tą wizją, że zaczął nawet liczyć pierścienie, z których składało się ciało robaka.

Ale Timothy Calderon nagle jakby doszedł do wniosku, że w tym incydencie nie ma nic smutnego. Drgawki dziwnej wesołości, która ogarnęła jego brzuch, omal nie odepchnęły Alfa.

- Byłoby źle, gdybyśmy ulegając rozczuleniu pozwolili sobie wmówić, że jesteśmy postaciami tragicznymi - oznajmił pastor jakimś obcym głosem.

A ponieważ chłopiec nie ruszał się z miejsca, odsunął go energicznie.

Potem Timothy Calderon odszedł do swego gabinetu, gdzie czekał na uporządkowanie stosu notatek przygotowa

nych do następnego kazania, i wbrew zwykłej oszczędności, mimo wczesnej pory zapalił światło elektryczne, które odarło go z wszelkich osłon. Bezlitośnie. Chłopiec wymknął się, lecz obraz opiekuna długo potem go prześladował. Wprawdzie orli nos był jak zawsze imponujący, od nasady aż po lśniące od potu otwarte na nozdrzach pory, lecz reszta twarzy, biała i zapadnięta, przypominała starą bułkę. Może pastor po prostu wyjął sztuczną szczękę.

Obraz mignął w wyobraźni chłopca i zgasł, bo cokolwiek jeszcze czekało Alfa po drodze, to w każdym razie zbliżał się już do dnia trzynastych urodzin.

Kiedy wreszcie do niego doznał, spytał rozwijając paczki z prezentami:
- A farby, proszę pani? Czy będę mógł malować tymi olejnymi farbami, które mi pani obiecała?

Chwilę trwała okrutna pauza. Potem pani Pask oświadczyła:

- Za wiele wagi przywiązujesz, Alfie, do błahych spraw. Ale skoro obiecałam...

Zdawało się, że tego ranka miała w sobie więcej życia niż kiedykolwiek. Podmuch rozwiewał miękkie włoski na jej górnej wardze i słychać było niemal cichutkie „fiu”.

Tak więc Alf dostał swoje farby. Wyszukał wśród gratów starą skrzynkę po herbacie, rozbił ją młotkiem, wyciągnął gwoździe, odstawił boczne deseczki do szopy. Grube deski pokrywy były nieskazitelnie gładkie. Zaniósł je na tylną werandę. Nauczycielka podzieliła się z nim technicznymi wiadomościami na tyle, na ile je pamiętała, po czym odeszła. Nie chciała patrzeć. Bo teraz wszystko mogło się zdarzyć. Alf Dubbo zabrał się do wyciskania farb. Dotrzymując jakiegoś ślubu, uświęcił pierwszą deskę warstwą równo rozprowadzonej bieli. W rozmarzeniu zaczął chlapać błękitem. Z lśniących bryłek kształtował dowolne formy i niemal

natychmiast burzył je z rozkosznym poczuciem władzy. Mieszał błękit z bielą, dopóki nie zbladł zupełnie. Wtedy zapragnął kłaść ten kolor na deskę długimi, gładkimi smugami, które, jak się spodziewał, wyrażą jego dość jeszcze mgliste intencje. Czasem używał przygotowanych pędzli, częściej trzęsących się palców. Nie umiał jednak malować, rzeczywiście nie umiał. Biała mgła wypełzała wciąż zewsząd i przyćmiewała to, co miało być wizją błękitu. Chwycił więc pędzel i cieńszym końcem zakreślił niezdarne O. Z tego symbolu farba ściekała stalaktytami niebieskawej bieli. Wycisnął krwawą czerwień, rozcieńczył ją, chlapanął kilka kropel. Spłynęła żałośnie w dół. Uznając w końcu swoją klęskę, odstawił deskę malowidłem do ściany.

Powracał jednak wciąż do gęstej mazi olejnych farb. Był nimi oblepiony. Rozmyślał o swej porażce, zastanawiał się, jak przeniknąć przez grubą białą mgłę zalegającą w mózgu, wyskrobał własną twarz w dolnym narożniku deski. Wkłęśły kształt, przypominający trochę skórkę banana, zdawał się czekać na wypełnienie. Ale chłopiec czuł, że nigdy nie udoskonali pomysłu, który urodził się z obłudy.

Czas jakiś snuł się markotnie, aż w końcu zaświtała mu myśl, że bądź co bądź dotrzymał przyrzeczenia. W pewnym stopniu zasłużył na wolność. Odzyskał humor, obiecując sobie, że w następny obraz włoży wszystko, co dotychczas poznał w życiu. Brunatny pył. Piersi matki, czarne, szorstkie, obwisłe. Postać kwarterona Joego Mullensa, który napierał na matkę wciąż na nowo, jakby chciał ją zabić. A także przestrzeń, która niekiedy jak niebieski drut zaciska się na twoim gardle, a niekiedy rozplywa w straszliwą obojętność. Będą oczywiście w obrazie biali, wiecznie nadzy pod swymi eleganckimi ubraniami. Kielich z winem wzniesiony w rękach wielebnego Tima. To coś bardzo ważnego. Nawet przez cyzelowane ścianki kielicha widziało się drżącą w nim

krewni. Będzie też biała glista budząca się i omdlewająca w spodniach pastora. Będzie miłość, bardzo smutna. Postanowił namalować miłość w postaci szkieletu, szkieletu starego jaszczura, który ludzie odarli z ciała, tak że nic już na nim znaleźć nie mogą, chociaż bardzo pragną i szukają gorliwie. On tak samo jak inni. On także chciałby odkryć, czy miłość istnieje i jaki ma smak.

Alf Dubbo malował swój obraz przez cały ranek. Coś z tego mogliby zrozumieć nawet pani Pask i jej brat, ale reszta była tajemnicą tak kruchą, że Alf nie zniósłby, gdyby jej dotknęli niezdarnymi palcami. Niektóre postacie obrazu chodziły na czterech nogach, lecz inne wyfruwały mu z ręki we śnie, który tylko on sam lub ktoś, kogo Alf wyobrazić sobie nie umiał, mógłby odgadnąć i wytłumaczyć.

Mając chwilkę wolną przed postawieniem na stole marynaty z cebuli, pani Pask wyszła na werandę i stanęła za plecami chłopca.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła. - Bardzo dziwny obraz. A przecież tłumaczyłam ci! Jaki jest tytuł tego malowidła?

- Moje życie - odparł Alf.

- A tamto? - spytała, wskazując czubkiem pantofla.

- To... - zaczął i zdawało się, że dalszy ciąg nie przejdzie mu przez gardło.

- To jest Pan Jezus. Ale nie udał mi się, proszę pani. Lepiej niech pani go nie ogląda. Ja sam jeszcze tego nie rozumiem.

Pani Pask także nie wiedziała, co powiedzieć. Oblała się fioletowym rumieńcem. Przygryzała wargi.

- Oto skutki mojej nierozwagi - powiedziała wreszcie. - Przecież nic w świecie tak nie wygląda. To po prostu obłęd. Nie powinieneś mieć takich myśli. Mój brat musi z tobą porozmawiać. Och, co za brudy. A tyle jest rzeczy pięknych i świętych.

Odeszła, bliska płaczu. Alf wołał za nią:

- Proszę pani! To właśnie jest piękne! To jest prawdziwie piękne. To tylko ja... Uczę się dopiero, jak to wszystko przedstawić. Takie, jakie jest. We mnie. Pokażę pani coś, czego pani jeszcze nie widziała. Zobacz pani. Będzie pani miała niespodziankę.

Ale pani Pask zniknęła w kuchni.

Na wargach chłopca, rozedrganych w udęce, perliła się ślina.

Tego wieczora przy kolacji, w której Alf nie brał udziału, między pastorem a jego siostrą wybuchła ostra sprzeczka.

- Tyś tego nie widział - powtarzała pani Pask, bębniąc palcami po obrusie.

- I wcale nie chcę oglądać - odpowiadał uparcie. - Ufam temu chłopcu. On się w ten sposób wypowiada.

- Słaby jesteś, Tim. Gdyby nie to, wziąłbyś sprawę w swoje ręce. Ale jesteś słaby.

Nie mogą na to odpowiedzieć wprost, rzekł:

- Pan nasz znał słabość wszystkich istot ludzkich. I cóż im zalecił?

Miłość. O tym zapominasz, Emilio. A może nie chcesz pamiętać?

Szyby drżały w oknach.

- Och, miłość! - powiedziała bardzo głośno.

I zaczęła płakać. Okna przez chwilę grzechotały, lecz wkrótce ucichły i znów stały się tylko gładkim szkłem.

Alf Dubbo oddalił się; po tym, co podsłuchał, zebrało mu się na mdłości.

Swoje malowidła zaniósł do szopy i postawił za skrzynką na otręby, którą właśnie opróżniono i która zwykle w takich razach czas jakiś zostawała pusta.

W następnych tygodniach nie malował i nie rysował. Pani Pask

oświadczyła, że Alf powinien nauczyć się cerowania i przyszywania guzików, co mogło mu się przydać, gdy pójdzie do wojska. Zatrudniała go do różnych drobnych

robót, każąc pleć, biegać na posyłki, adresować koperty z gazetką parafialną - wyrabiał sobie dzięki temu pismo - a sama tymczasem siedziała w fotelu, pozwalając odpocząć zmęczonym nogom. Nie przeżywała już na głos swojej przeszłości. Robiła to jednak w myślach. Albo przypominana sobie chorych, których należało odwiedzić. Więcej niż dotychczas wychodziła, jak gdyby bała się, że przebywając w domu i po prostu otwierając drzwi któregoś pokoju, odkryje coś, o czym wołała nie wiedzieć.

Pani Pask chodziła więc swoimi drogami, a Timothy Calderon i Alf Dubbo swoimi, każdy z osobna. Właściwie zawsze tak było, ale teraz jak gdyby otworzono im na to oczy. Pastor i jego siostra mieli bądź co bądź jakieś swoje sprawy. Lecz Alf czuł się okropnie, błędząc wśród mebli, potłuczonych doniczek i krowich placków. Kiedyś chłopiec wpakował dłoń w świeże łajno starej Possy i gdy swojski zapach uderzył mu w nozdrza, oczy wypełniły się łzami, bo to krowie łajno wydawało się substancją martwą w porównaniu z farbami olejnymi.

Tylko dwa razy zajrzał do malowideł ukrytych w szopie. Za pierwszym razem nie mógł znieść ich widoku. Za drugim pewnie byłoby tak samo, gdyby nagle nie zjawił się pastor, który tu czegoś szukał.

- Mnie jednemu - rzekł - nie pokazałeś jeszcze swoich dzieł, Alfie.

Alf Dubbo pokazał mu obrazy. Timothy Calderon stał, trzymając w każdej ręce jedną deskę i wodził wzrokiem po obu. Poruszał wargami.

Nagle Alf zorientował się, że pastor nie patrzy na jego malowidła, lecz jak gdyby w głąb własnych myśli, w obrazy, które tam żyją. Ale nie miał mu tego za złe, ponieważ wszyscy ludzie właściwie zachowują się w ten sposób.

- A więc to tak - powiedział pastor; na grzbietach jego rąk żyły wyglądały starczo. - No, no. - Patrzył to na jeden,

to na drugi obraz, nie patrząc na nie wcale. - Pamiętam, kiedy byłem chłopcem, zanim sobie uświadomiłem powołanie, zamierzałem zostać aktorem. Uczyłem się ról - Szekspira, rozumiesz? - po prostu dla zabawy, i nawet stwarzałem postacie, niezwykle osobowości wylęgłe z mojej dość bujnej wyobraźni. Mówiono mi, że mam piękny deklamatorski głos, i była to, zdaje się, prawda. Wybrałem sobie rolę Wenecjanina z *Kupca*, jeśli mnie pamięć nie zawodzi. A kiedyś - zachichotał - grałem rolę kobiecą! Miałem na nogach różowe pończochy. Jedwabne. A na piersi przypiętą kameę, którą pożyczyła mi znajoma moich ciotek.

Pastor Timothy Calderon wpadł w dobry humor. Odstawił zamalowane deski, opierając je o pustą skrzynię, i wyszedł przed szopę.

- Musisz mi kiedyś wytłumaczyć te swoje obrazy, Alfie - powiedział. - Bo choćby artysta, czy w ogóle człowiek, starał się najjaśniej przekazać swoje intencje, zawsze połowa zostaje zagadką wymagającą wyjaśnienia. A wyjaśnienie jest chyba niemożliwe bez wzajemnego zaufania. Bez jakiejś więzi między artystą i odbiorcą.

Ranek był pogodny, dym bił prosto w niebo, toteż pani Pask znalazła sobie pretekst do jakiejś wizyty. Idąc za pastorem wśród grządek zwiniętej w główki sałaty, Alf Dubbo miał dziwne wrażenie, że to on prowadzi, tak rozlazły i uległy zdawał się Timothy Calderon. Chłopiec szedł pewnym krokiem. Trzymał się prosto. Wyrósł ostatnio. Stał się nagle młodym mężczyzną, zadane jego ciału rany zdążyły się zabiżnić. Nozdrza już węszyły przygodę.

Na zakręcie ścieżki pastor odwrócił się, jakby szczególnie spragniony uwagi i zrozumienia.

- Pewnego lata, zanim przyjechaliśmy do tego kraju - powiedział - odbyłem pielgrzymkę do Stratford-on-Avon - rodzinnego miasta poety - razem z moim szwagrem, Arthurem

Paskiem. Było cudownie. Obaj już postanowiliśmy zostać duszpasterzami, chociaż Arthur jeszcze wtedy nie wybrał swojej późniejszej ścieżki. Spaliśmy w szopie w ogrodzie przy kawiarni. Po przedstawieniach wracaliśmy - mówił - i przegadywaliśmy pół nocy. Pamiętam, że przez ten tydzień wszystkie noce były księżycowe. Biedny Arthur. On był jak bóg. To znaczy, nie tylko wyjątkowo świątobliwy, ale także niezwykle przystojny.

Przez cały czas tej opowieści młody tubylec szedł dalej; ostrożnie stawiając kroki, wyprostowany sztywno, odtrącając stopą na bok zwiedłe główki wyrwanej kapusty. Nie tyle słuchał, ile widział, ale nie dość jasno widział postać drugiego pastora, którego księżycowe światło wybielało. Przypomniawszy sobie drewnianą sylwetkę boga na wozie z francuskiego obrazu. Nie było w niej życia. Albo to on czegoś nie zrozumiał, albo też bogowie w ludzkiej wyobraźni wyglądali jak kukły.

Alf Dubbo był trochę zaskoczony, gdy pastor wziął go za rękę, jakby po to, żeby go pewniej prowadzić ścieżkami, które obaj już znali, pod sznurami do suszenia bielizny uginającymi się od ciężaru mokrych płacht, i dalej obok niesforne go gąszczu pachnącego cytryną geranium. Złączeni uściskiem rąk, jednocześnie weszli w drzwi ocierając się o futryny w tym niedogodnym szyku i jakby usiłując rozszerzyć wejście, a mimo to każdy z nich miał wrażenie, że jego towarzysz wkracza w inny, osobny tunel.

Timothy Calderon był sinoblady i pragnął wyglądać żałośnie, żeby usprawiedliwić, że daje się chłopcu prowadzić.

- Opieram się na tobie - powiedział - a przecież to ty bardziej potrzebujesz pomocy i przewodnika. Choćby ze względu na wiek. - Westchnął głośno i dodał: - Czasem zadaję sobie pytanie, co ze mną będzie dalej.

- Czy panu słabo? - spytał chłopiec tonem brutalnej obojętności.

Musiał słowa wyrzucać z ust jak kamienie, bo prawie dzwonił zębami.
- Nie - odparł pastor i dodał: - W każdym razie są osoby, którym nie chciałbym się do tego przyznać. Zanadto przykro byłoby patrzeć, jak wysilają się na współczucie.

Zdawał się jednak chory, czy może tylko stary, i chłopiec musiał prowadzić go przez korytarz. Sprawiało mu to już teraz pewną przyjemność.

Ale chłopiec także poruszał się jak automat. Prowadząc, ale właściwie prowadzony, nie był już wtajemniczonym młodym mężczyzną. Pod jego skórą kryły się jeszcze fałdy szczenięcego tłuszczu, a umysł wzdragał się przed zasłoną, która go odgradzała od życia. Zazwyczaj przynosząc list albo wyczyszczone buty nie zatrzymywał się w sypialni opiekuna; jej osobisty charakter budził w nim respekt. Tym razem, gdy dotarli do celu, ruchy jego były w przykry sposób świadome.

Stojąc na dywanie, z którego zniknął deseń, pastor powiedział uroczyście, nieswoim głosem:

- Dziękuję ci, młody przyjacielu, że byłeś podporą mego kalectwa.

Żaden z nich w to nie wierzył. Ale Timothy Calderon był zadowolony ze swojej improwizacji.

Nagle, znów zaskakując chłopca, rozchylił jego koszulę i wsunął za nią rękę.

- Człowiek jest spragniony ciepła - wyjaśnił, starszy teraz i jeszcze bardziej drżący niż przedtem.

Alf zląkł się, że ta zimna ręka wyłuska mu z piersi serce, trzepoczące się jak ryba w rzece. Nie stawiał jednak fizycznego oporu. Nigdy, przez całe swoje życie, Alf Dubbo nie umiał opierać się temu, co musiało się stać.

Pozwalał w każdym razie, żeby się to zaczęło, bo hipnotyzowały go tajemnice, które wyczuwał instynktownie.

Timothy Calderon ocierał pot z czoła.

- Czy jesteś miłosierny? - spytał. - Czy też taki sam jak większość ludzi? Alf nie wiedział, więc tylko chrząknął.

Ponieważ opiekun, jak się zdawało, tego żądał, obaj zaczęli pospiesznie zdzierać z siebie wszystko, co mogłoby służyć za schronienie ich ciałom. Pastor robił to w zawrotnym tempie, a chłopiec starał się za nim nadążyć, bo wydawało mu się, że jeszcze gorzej byłoby pozostać w tyle. Miotali się w trochę obdrapanym pokoju, a poły koszul trzepotały jak groteskowe skrzydła. Buty z łoskotem spadły na podłogę. Pastor uderzył wielkim palcem o mosiężne kółko w nogach łóżka, lecz moment nie był sposobny, żeby skarżyć się na ból. Czas naglił. Przeszłość, przyszłość, pozory, wiara, nawet pożądanie - wszystko mogło mu się lada chwila wymknąć. Niewątpliwie po gorączce przygotowań został sam ze swoją nagością, zawsze trochę śmieszna, na uginających się kolanach. Zdecydował się jednak urzeczywistnić swe zamiary do końca.

Jesienny poranek był zarazem ciepły i rześki. Taki poranek stworzony jest raczej do żalu niż do spełnienia pragnień. Leżeli razem na siatkowej kapie. Doznali rozkoszy krótkotrwałej, przerażającej, niechętnie rozpoznanej. Wkrótce zalał chłopca potok słów, którymi jego kochanek wyrażał rozpacz nad własnym upadkiem.

Ale mówiąc, dotykiem wprawiał się na nowo w trans.

- Jakby ciemny metal - powiedział i chętnie by sobie przypomniał jakiś stosowny wiersz lub nawet ułożył go sam, żeby wypisać go palcem na skórze chłopca - Ale metal nic nie czuje. - Wracali więc wciąż do punktu wyjścia. - Dlatego właśnie budzi pożądanie.

Metal jednak tajał. Leżeli na łóżku zasłanym strzępami słów. Spomiędzy rzęs chłopiec patrzył zafascynowany na wypukłość szarego brzucha.

Timothy Calderon podjął historię swego życia, ale chłopiec już spał. Zbudziło go kichnięcie; jego opiekun dostał kataru, a może przeziębził się na dobre.

- Powinniśmy się już ubrać - powiedział zirytowany i dodał: - Co sobie teraz będziesz o mnie myślał, Alfie?

Chłopiec, który się smacznie przespał, zdawał się w gruncie rzeczy zadowolony. Ale starszy mężczyzna był zbyt przejęty, żeby to spostrzec. Gdy z łóżka po omacku sięgnął po spodnie i chustkę do nosa, sypnęły się złowieszczą kaskadą klucze i pieniądze.

- Jak w twoich oczach wyglądam? - nalegał. Chłopak zaśmiał się, szczerząc szerokie zęby.

- No, słucham - rzekł pastor. Podejrzliwie.

- Jak pan wygląda?

Chłopak pękał ze śmiechu. Z wyrazem twarzy dość potulnym, który jednak mógłby stać się złośliwy, gdyby Alf miał do czynienia z równym sobie partnerem, wyciągnął rękę, chwycił w garść fałdę szarego brzucha i mocno uszczypnął, skręcając ciało jak szmatę.

- Uaaa!

Timothy Calderon podrygiwał konwulsyjnie. Taki obrót sprawy wcale mu się nie podobał. Zmusił się mimo to do uśmiechu.

- Jak pan wygląda? - zaśmiał się chłopiec. - Jakby pan był ulepiony ze starych robaków.

I na poparcie swego twierdzenia jeszcze mocniej ścisnął w garści szare ciało.

Pastor może nie znalazłby właściwego wyjścia z tej sytuacji, gdyby w tym momencie nie otwarły się drzwi naciśnięte przez jego siostrę.

Emily Pask stała w progu. Obiema nogami. Takie to zrobiło na obecnych wrażenie. W fioletowym kapeluszu.

Wszyscy patrzyli na siebie wzajem. Nikt znikąd nie otrzymał pomocy. Dosłownie osłupieli.

W końcu krtań pani Pask zaczęła tajać. Krew znów ruszyła w obieg i zabarwiła jej policzki kolorem dobranym do kapelusza. Oczy, gdyby nie były tak dobrze przyszyte do twarzy, wypadłyby chyba z orbit, mimo solidnych ściegów niewiele do tego brakowało.

- Ten chłopak! - krzyknęła, wypróbowując sprawność języka. - Ty! Ty diable! Coś ty zrobił mojemu bratu?

Słaniając się, szukała krzesła. Padła na nie bez litości.

- Nigdy nie dopuszczałam do siebie podejrzeń - wykrztusiła. - Ale wiedziałam. Coś przeczuwałam. Ty diable. Wcześniej czy później...

Tamci dwaj przykuci do łóżka leżeli na siatkowej kapie, która odciskała deseń na ich pośladkach.

Mimo że wstrząśnięty, Alf Dubbo szybko zrozumiał, że należy się ubrać. Trwało to dość długo, w końcu jednak zostało dokonane.

Wielebny Timothy Calderon uciekł się do łez i wzywania siostrzanego imienia.

Z plamami bieli i fioletu przed oczyma Alf Dubbo opuścił pokój.

„AlfdzieesteśAlf” - krzyknęła za nim papuga pani Pask. Chłopcu starczyło przytomności umysłu, żeby związać sznurowadła i przerzucić buciki przez ramię. Praktyczny zabieg umożliwił mu swobodniejszy krok w ucieczce z miasta Numburra, którego nie miał już ujrzeć nigdy więcej w życiu.

Wędrując polami i drogami zbieg nie zastanawiał się nad niesprawiedliwością oskarżeń pani Pask, czując podobnie jak ona, że to, co się stało, musiało się wcześniej czy później stać. Był zadowolony, że ma to już za sobą i że zdołał zapamiętać parę lekkich spazmów rozkoszy pośród pustyni słów i oszołomienia. Doznał przyjemności

zmysłowej niewątpliwie, ponieważ miał ramiona silne i skórę gładką, a wezwanie przyszło w samą porę. Wspominał jednak również wiele innych, niewinnych poczynań swego opiekuna i zwalniając kroku, kopał kamyki lub skubał liście, oceniając rozmiary i charakter poniesionej straty. Owiał go chłód. Nieobecność opiekuna odczuwał tak, jakby mu zmienacka w mroźny poranek skradziono z grzbietu jakąś starą, nie docenianą dotychczas wełnianą koszulę. Mniej materialna, odczuwana w sposób bardziej subtelny, ponieważ sam przed sobą nie chciał się przyznać do żalu, była strata ciepłych, miękkich wyobrażeń Boga w obłokach i Boga w człowieku, które pastor starał się wpoić umysłowi, stawiającemu opór, bo pojęcia te zdawały się dziwaczne, przytłaczające, niepotrzebne. W głębi serca przyjął jednak parę z nich, na pociechę, i nocą gdzieś nad wodą przywykł bronić się od strachu, otulając się nimi myśli.

Alf Dubbo często zadawał sobie pytanie, co stało się z pastorem, lecz nigdy się tego nie dowiedział. Timothy'ego Calderona mógł czekać los okropny. Świadomość tego, co oboje wiedzieli, przykuwała go do siostry w piekielnej torturze i mogliby tak ciągnąć żywot, wzajemnie dręcząc się ujawnionym sekretem i niedostatkami wiary pastora. W rzeczywistości stało się inaczej.

Jakiś czas Timothy Calderon łkał, leżąc na łóżku, bo gdyby nawet się przyodział, nic nie mogłoby okryć jego nagości, a pani Pask rozpaczała, zastanawiała się, uspokajała, aż w końcu pastor, trzeba mu to przyznać, oświadczył:

- Na swój sposób jestem chrześcijaninem, bo mam nadzieję, Emily, że nie odmawiasz miana chrześcijanina różnym ludzkim wykolejeńcom, i czuję się w obowiązku stwierdzić, że Alf Dubbo nie ponosi w tej sprawie winy. Coś jęknęło, może pani Pask, a może sprężyny zbyt gwałtownie naciśniętego fotela.

- Winy? - spytała w zamyśleniu.

- Za to, co się stało - odparł jej brat. - Powinnaś zrozumieć, jak tego wymaga sprawiedliwość, że winny jestem ja. - Znow zaczął chlipać. - I będę pokutował wiecznie.

- Winy? - tonem głębszej jeszcze zadumy powtórzyła pani Pask. - Za to, co się stało?

Timothy Calderon otworzył usta. Ale pani Pask wstała.

- Nie wiem, mój drogi, o czym mówisz - powiedziała.

I spojrzała mu prosto w twarz, jak gdyby był odziany w jedno ze swoich dwóch flanelowych ubrań o metalicznym odcieniu rewolweru albo w granatowy garnitur uszyty w Anglii.

- Odgrzeję pasztet w cieście - oznajmiła. - Wybacz, że kolację dam dzisiaj skromną. Czuję się zmęczona. Oczywiście, jeśli ktoś będzie miał apetyt, są poza tym śliwki z konserw.

Gdyby siostra nie była tak cnotliwą osobą, zważyłby o jej moralności. W tych okolicznościach musiał pogodzić się z sytuacją i przeliczyć rozsypane na podłodze pieniądze.

Nadal mieszkali razem. Timothy Calderon z większą jeszcze niż przedtem pokorą zapalał świece, czytał święte teksty, podnosił kielich na wysokość swoich oczu. Gdyby ktokolwiek to dostrzegł, wydałby mu się zapewne żałosny widok tego płomyka wiary, pełzającego na złożach popiołu i rozdmuchiwanego z trudem na nowo. Trzeba było w tak krótkim czasie tak wiele dokonać. Gdy pastor brał w palce opłatek, osłaniał kielich i wycierał brzeg lnianą serwetką, tak pięknie wypraną przez panią Pask, oczy jego zdradzały tajemne, wewnętrzne cierpienie. Pani Pask żyła w pozornym spokoju. Raz tylko nad pikantną przypieczoną grzanką przy herbacie powiedziała:

- Często myślę, co właściwie ten chłopak chciał wyrazić w tych ohydnych sprośnościach, które namalował w dzień swoich urodzin olejnymi farbami biednego Arthura.

Zaraz jednak zmieniła temat, a brat jej, nic nie mówiąc, usypał na obrusie kopczyk z ziarenek soli.'

Pani Pask już teraz nie wynosiła swoich sztalug, żeby malować z natury zachód słońca lub drzewo gumowe. Oddała się działalności dobroczynnej i pozyskała szacunek niemal powszechny w Lidze Matek i Stowarzyszeniu Pań.

Po kilku tygodniach wędrowni Alf Dubbo dotarł do miasta Mungindribble. Żyjąc byle czym i w ciągłym strachu przed pościgiem, schudł bardzo. Stopniowo jednak nabierał pewności siebie. Czas i wspomnienia ostatniej sceny w domu pastora przekonały go, że Timothy Calderon i pani Pask będą woleli go nie szukać. Mimo to unikał miast i liczył raczej na sentymentalne żony farmerów, które dawały mu resztki ze swoich stołów. Wierny tej strategii okrążył Mungindribble. Gdyby był wszedł do tego miasta, przeżyłby wstrząs, myśląc, że trafił z powrotem do Numburra. Z tą różnicą, że tu zobaczyłby dwa dodatkowe banki. W Mungindribble było więcej pieniędzy.

Ulice też były bardziej rozprażone i zakurzone, a w rzece mniej wody. Idąc brzegiem rzeki, która na peryferiach większości miast jest arterią życia wszelakich wyrzutków, kóz i tubylców, Alf nie mógł oprzeć się wzruszeniu na myśl o obfitych wodach Numburry i kępach pomarańczowych bambusów, w których o zmierzchu czekały czarne dziewczyny. Ale w Mungindribble doszedł w końcu do zsypana odpadków pełnego przedmiotów użytecznych i zdumiewających, jak na przykład werk starego zegara, który Alf zapragnął sobie przywłaszczyć. Jakiś czas grzebał wśród tych

śmieci. Aż w końcu spostrzegł na skraju zarośli chatę skleconą z blachy, kory, worków i wszystkiego, co się pod rękę nawinęło, a w jej drzwiach kobietę podtrzymującą brzeg zasłony sporządzonej fantazyjnie z workowego płótna.

Wydało mu się, że kobieta na niego kiwa. Podchodząc bliżej, zawołał:

- Czego pani chce?

- Ciebie - odpowiedziała. - Kobieta może sobie gardło zedrzyć, zanim się dowoła jakiegoś głupawego faceta. Chodź no tutaj, pogadamy.

Usłuchał, mimo że instynkt go ostrzegał.

- Chodzi mi tylko o kompanię - powiedziała, gdy podszedł, wciąż pełen wątpliwości. - Nudno samej w chałupie. Handluję butelkami - wyjaśniła. - Prawie co dzień objeżdżam miasto dwukółką, zbieram butelki i inne takie rzeczy, pogaduję z ludźmi, ale teraz konik mi okulał, nie wiem, jak długo będę jeszcze musiała tkwić tutaj na tym śmietniku.

Kobieta musiała być niegdyś biała, ale słońce i życie tak jej wygarbowało skórę, że teraz miała kolor i fakturę wędzonego boczku. Była dość szczupła, ale gdyby nie brak zębów, twarz miałaby okrągłą. Pod perkalową suknią piersi przypominały małe, ale ruchliwe zwierzątka. Gotowe skoczyć na ciebie - jak się niekiedy zdawało. Miała oczy w tym odcieniu niebieskim, który nasuwa myśl o zimnych, wietrznych dniach, gdy nawet wrony nie widać na niebie. Co zresztą nie znaczy, żeby źle widziała; poznawała z daleka, co się kryje pod siedzeniem cudzej bryczki, chociaż przedmiot jej obserwacji był owinięty w kilka worków.

- Skąd jesteś? - spytała Alfa.

Wymienił miasto z odległego zakątka stanu, nazwę znaną mu tylko ze słyszenia.

- Masz ćwierć krwi czarnej?

- Nie. Połowę, zdaje się.

- Możesz mieć kłopoty - przestrzegła niemal z satysfakcją w głosie. Spytała jeszcze o wiek i o naukę. Przybrała wyraz twarzy, jaki niektóre kobiety miewają zawsze, gdy wspominają o czyjejs matce. Pokazała w uśmiechu zaślinione dziąsła.

- Duży jesteś jak na swój wiek - stwierdziła. Przedstawiła mu się jako pani Spice, ale pozwoliła mówić sobie po imieniu, a na imię miała Hazel.

Nie skorzystał z pozwolenia. Przez cały czas tej krótkotrwałej spólki jakaś wybredność smaku powstrzymywała go od wymawiania jej imienia, mimo że zgodził się na wiele innych rzeczy.

Z pewną zgrozą uświadomił sobie, że między nim a panią Spice nawiązuje się tutaj, na skraju usypiska śmieci, swego rodzaju spółka. Oczywiście mógł zawsze uciec, lecz dopiero po uwolnieniu przez jakiś mechanizm, który najpierw okoliczności musiały uruchomić. Niepewne perspektywy budziły w nim niepokój, który za pośrednictwem jego palców udzielił się staremu zegarkowi, toteż rozległo się wkrótce brzęczenie i szcęk potrząsanych metalowych części.

- Co ty tam masz? - spytała pani Spice, po prostu dla podtrzymania rozmowy, bo wiedziała dobrze, co Alf ma w ręku.

- Zegar, a właściwie kawałki zegara.

- A to heca! - roześmiała się. - Nie będzie z tego pożytku. Nie najesz się flakami ze starego zegara.

Znów Alf zrozumiał, że jest w ręku losu. Zablokowany mechanizm jego woli zgodził się, by pani Spice wprowadziła go przez dziurę w ścianie do ciemnego wnętrza rudery, w której mieszkała. Szczękanie zegarka dodawało chłopcu trochę otuchy.

- Chłopiec, który tak jak ty rośnie, potrzebuje przede wszystkim jeść - powiedziała pani Spice.

Rozwinęła coś z papieru. To coś było zimne, tłuste i zjełczałe. Ale zjadł to z kawałkiem rojącego się od mrówek chleba, ponieważ był głodny, a także dlatego, że jedząc, unikał innych rzeczy, a zwłaszcza rozmowy. Pani Spice, jak się wkrótce zorientował, należała do osób, które się obywają bez jedzenia. Skręciła sobie papierosa, nalała do kubka trunku, a gdy go łyknęła, wciągnęła najpierw wargi, a potem je wydeła energicznie. Trunek musiał być mocny, bo omal nie wessał pani Spice do kubka. Alf Dubbo często potem zastanawiał się, jak długo kwaterował u pani Spice. Żywiła go wedle własnej oceny jego potrzeb. Chłopak pomagał jej poić konia i sortować butelki. Ale nie towarzyszył jej w objazdach miasta. Najlepiej czuł się w chwilach swobody, kiedy mógł krzątać się na usypisku, na które, jak mu się zdawało, mieszkańcy Mungindribble wyrzucali najprawdziwsze części własnych osobowości; Alf dokonywał mnóstwa odkryć, potwierdzających podejrzenia, jakie żywił w stosunku do ludzi. Czasem wylegiwał się na starych materacach, o ile pozwalały na to wyłazące z nich sprężyny i wypatroszone włosie, i marzył o obrazach, których chwilowo nie mógł malować. Bo nie przestał malować. Tylko że bez farb, oczywiście. Na nowych obrazach lęgających się w jego wyobraźni ludzie mieli ciała ze starych sprężyn i z gumy, sterczące kępkami włosy, czasem zardzewiały potrząsk na króliki zamiast szczęk. Malował dusze zamieszkujące w ciałach, ponieważ Timothy Calderon opowiedział mu o duszach. Często malował je w postaci nie otwartych puszek - z koncentratem zupy, ze szparagami lub czymś podobnym - mocno pogiętych, ze sfermentowaną zawartością, gotową wytrysnąć po wbiciu w blachę jednego gwoźdźca. Chłopiec drzemał i komponował. Stary połamany zegar, w którym dzwoniły i brzęczały światła ołtarza, nasuwał portret straconego opiekuna. Ale ruchu wciąż jeszcze

malarz nie mógł uchwycić i przedstawić. Przecież dusze, stanowiące najważniejszą obsesyjnie powtarzającą się część jego obrazów, powinny by niekiedy wzbijać się nad ciałami jak opar z nad spirytusu metylowego, pulsować jak gorączkowe tętno, tryskać jak rosa miłości.

Wkrótce bowiem po przybyciu Alfa do chaty gospodyni wprowadziła lokatora w inne jego obowiązki.

Pewnego wieczora odkorkowując butelkę powiedziała:

- Zapas mi się kończy - był to zwykły stan rzeczy - ale dam ci kropelkę na wzmocnienie i na dowód, że ze mnie dobry kompan. Z ciebie już teraz duży chłopak. Chudy co prawda. Ale nie szkodzi.

Nie wiedział, czy ma ochotę napić się, lecz przyjął zaproszenie w nadziei, że dokona nowych odkryć. Rozśmieszył panią Spice. Sam także się śmiał. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś pani Pask dotknęła nieostrożnie kontaktu. Jak gdyby łyknął wstrząs elektryczny, dosłownie rzuciło nim o ścianę.

Chwilę stał, chwiejąc się na nogach. Czuł, jak skóra na nim sinieje. Ale pani Spice nie spostrzegła nic niezwykłego. Na pewno powiedziałaaby coś, gdyby rzeczywiście zsiniał, bo nie szczędziła nigdy osobistych uwag.

- Dobre na porost włosów - stwierdziła tylko, trzęsąc się ze śmiechu, tak że piersi jej podrygiwały i latarnia w ręku także.

Potem spoważniała, nalała mu drugą porcję alkoholu, wyciągając żylastą, ale jeszcze gładką i niebrzydka rękę, i zmieniła temat rozmowy.

- Czasem się zastanawiam, o czym ty myślisz - powiedziała. - Co w tobie siedzi? Bo w każdym człowieku coś chyba siedzi.

Zerknęła na niego, dumna, że prowadzi rozmowę, jakby się naczytała książek.

Alf nie umiał jej odpowiedzieć. Mógł co prawda oświadczyć: „Wszystko we mnie tkwi i czeka, żebym to zrozumiał”.

Ale pani Spice nie pojęłaby tego. On także tego nie pojmował, miał tylko przebłycki zrozumienia. Wychylił więc znowu kubek. Kiedyś w przyszłości namaluje Piec Ognisty z poruszającymi się w jego wnętrzu postaciami. Widział je teraz zupełnie wyraźnie.

Pani Spice przez cały czas starała się mu zaimponować. Dostrzegł to z początku niejasno, potem stwierdził z okrutną przenikliwością.

Zapożyczała słowa i gesty od innej kobiety, która już istniała w jej wyobraźni i która w końcu miała się naprawdę urodzić z pomocą słuchacza tej komedii oraz z pomocą butelki.

- Trzeba ci wiedzieć, że nie zawsze byłam taka jak teraz - mówiła, zgarbiając oburącz na karku proste i rozpuszczone włosy.

Rzecz zdumiewająca, osiągnęła swój cel: stała przed nim młoda kobieta w czystej perkalowej sukni, łagodniejsza, tchnąca z zagłębienia pach wonią świeżo wypranej bielizny; chłopiec jednak wiedział, że to jest nieuczciwa gra. Czyż sam kiedyś nie przyrzekł pani Pask namalować Jezusa, tylko dlatego że straszliwie pożądał farb? A przecież wiedział, że nie będzie umiał tego zrobić.

Pani Spice przynajmniej umiała spełnić przyrzeczenie.

- Nigdy nikomu nie żałowałam - powiedziała. - Jaka jestem, taka jestem, ale na pewno siebie nie skąpię. Nie bój się - dodała, czołgając się w jego stronę chaty.

Nie bał się, zdumiewała go tylko siła, jaką został obdarzony.

- Pamiętaj - krzyknęła pani Spice. - Nie jestem byle czarną dziwką. Nie jestem...

Umilkła, bo ten sam demon porwał ich oboje.

W ciągu tej nocy była na przemian to bezwolna, to kłótniwa, aż wreszcie Alf skulił się z powrotem w ciele chudego i ponurego chłopca.

- Dosyć! - zawołał w końcu. - Idź do diabła.

Miał ochotę zwinąć się w obronny kłębek, ale był przekonany, że kobieta potrafiłaby go z niego wyłuskać. Zaczął więc grzmocić ten stary worek.

- Wezwę rano policję! - krzyczała. - Powiem, żeś zgwałcił białą kobietę.

Usnęła. Alf słyszał świszczący oddech dobywający się z otwartych ust.

O świcie Alf Dubbo wypełznął z chaty. Nie wynosił nic prócz własnej skóry, bo tyle tylko zostawiła mu pani Spice, ale czuł się w tej skórze doskonale. Była pora perłowego światła. Wilgotne płachty mgły opadały na jego nagie barki. Przeszedł kawałek drogi brzegiem wyschłej niemal rzeki. Gdyby nie obecność omglonych drzew, czułby się wyłącznym posiadaczem ciszy, którą tylko czasem mąciła spadająca gałązka lub kropla i szelest suchych liści pod jego twardymi stopami. Bezkształtność krajobrazu stapiała się z bezcelowością jego ruchów w jakąś odmianę negatywnej doskonałości.

Ale nie mógł na tym poprzestać. Gwoździem, który zabrał z obozowiska na śmietniku, zaczął skrobać gładką korę jednego drzewa, potem drugiego. Nikłe linie tęsknoty snuły się z jego palców, znacząc białą korę. Niekiedy rysował delikatnie, niekiedy zadawał prawie rany. Przechodził do następnego pnia, żeby wyrazić nowy jakiś pomysł. Nigdy nie kończył, nigdy nie mógł dokończyć, tak beznadziejne i trwałe były okoliczności, które go ustawicznie więziły.

Wreszcie zawrócił w stronę chaty pani Spice. Nie mógł na razie nic innego zrobić. Niebo odzyskiwało kolor. W oddali światło ostrzyło swoje klingi o blaszane dachy.

Pani Spice ukazała się roześmiana i skora do kłótni; wstała późno jak wielka dama.

- Nieźle umiesz kobietę obkoczyć - powtarzała chichocząc. - Ale nie myśl, że będziesz kogutem w tym kurniku

- dodawała co prędzej - dlatego że raz byłam dla ciebie dobra. Dobre serce też ma swoje granice.

Zadarła dumnie głowę.

Ale niedługo wytrwała w tej pozie.

Pozyskała liczną klientelę dzięki swoim handlowym wędrówkom, a także dzięki pantoflowej poczcie. Specjaliści od strzyżenia owiec bawiąc w mieście chętnie zaglądali do Hazel, przejeżdżający drogą handlarze często zatrzymywali swoje dwukółki pod drzewem przed jej chatą.

Panowie przyjeżdżali z miasta albo nawet przychodzili nocą, szczękając butelkami i śmiejąc się hałaśliwie. Trzeba przyznać, że Hazel rzadko sprawiała im zawód. A jeśli to się zdarzało, to tylko bojaźliwym nieborakom, którzy się rozmyślali w ostatniej chwili. Dla nich zresztą pozostawała zawsze inna zabawa, rozmowa i śpiewy. Pani Spice była muzykalna i odpowiednio zachęcona pisała wysokim sopranem, naśladując orientálną kobzę. Nieraz nocą odgłosy wesołości wzbijały się znad usypiska odpadków aż pod księżyc.

Alf Dubbo wolał trzymać się z dala od towarzystwa, przewidując, jakby go potraktowano - jak idiotę i czarnucha

- czasem jednak nie mógł uniknąć spotkań, zaskoczony

świecie przez gości w niewinnym śnie w budzie pani Spice. Kiedyś w takich okolicznościach pewien postrzygacz

owiec z Cowra, wyjątkowo szczwany, podchmielony i dumny z łatwego podboju, zauważył coś w kącie chaty i powiedział:

- A to co, Hazel? Fundujesz sobie na boczku czarnucha? Ale pani Spice, zaczepiona, umiała dowieść, że wytwor-
ność zawsze weźmie górę nad chamstwem.

- Niech pan przyjmie do wiadomości, panie Er - powiedziała - że tego chłopca wzięłam na praktykę w branży butelkowej.

Czasem jednak w przerwach między wizytami klientów

z zwykłymi zajęciami handlowymi pani Spice zapominała, że

ostrzegła czarnego chłopca, aby sobie niczego więcej po jej dobroci nie obiecywał, i umizgiwała się do niego gorączkowo. Czasem śmiał jej się w nos, czasem wymigiwał się byle czym, czasem jednak tygrys ponosił oboje, aż wreszcie okrutna i dzika bestia zamieniała się w pustą skórę. W końcu ogarnęła Alfa Dubbo apatia i jakiś lęk. Przyglądał się sobie ze zdumieniem i strachem. Czuł się odcięty od świata, przestrzeń widoczna przez drzwi migotała blachą i pustką.

- Czego ci brakuje? - spytała pani Spice.

- Chory jestem — odpowiedział i odwrócił się od niej. Pani Spice klęła i potrząsała workami, które służyły jej za posłanie. Była coraz bardziej kłótniwa.

- Nie jesteś wart chleba, który zjadasz - powiedziała kiedyś. - Tylko byś się wylegiwał.

I splunęła.

W parę dni potem stanęła przed nim, gdy leżał w słońcu. Od razu zrozumiał, że pani Spice kipi złością.

- Powiedziałeś prawdę. Jesteś chory. Aleś mnie urządził. Nie ma co. Pięknie mi się odwdzięczyłeś.

Uświadomił sobie, jak bardzo się wzajem nienawidzą.

- Ty stara kupo śmieci! - krzyknął. - Nigdy się nawet nie dowiesz, kto cię tak urządził. Mało to było handlarzy, owczarzy i innych gości?

Pani Spice klęła i trzęsła się cała.

- Ostatni raz gębę otwierasz w moim domu! - krzyknęła.

- Na pewno - odparł. - Na pewno, pani Spice.

Wziął swoje buty i ruszył w drogę, chociaż była już czwarta po południu. Przespał tę pierwszą noc pod drzewem, zbudził się wcześniej i przede wszystkim raz jeszcze obejrzał na swym ciele piętno choroby. Siedział pod drzewem przez ten krótki czas, gdy słońce łądzi złotem. Został jeszcze długo

potem, kiedy świat już ukazał się w swoich zwykłych szarobrunatnych barwach.

Alf Dubbo zaszył się w buszu, przynajmniej w przenośni, w tym sensie, że zerwał z ludźmi. Nigdy się zanadto nie udzielał, ale teraz wycofał się w gąszcz półmyśli, pomiędzy okrutne skały obsesji. Później polubił wielkie miasta, dżungle najbardziej niedostępne i dzikie, bo tam najłatwiej było zmylić ślady, gdyby ktoś próbował go wytropić w głębi jego osobistego terytorium. Na razie jednak kręcił się po małych miasteczkach i dworcach, najmuąc się do pracy za pieniądze lub za wyżywienie, czasem korzystając przez tydzień lub dwa z miłosierdzia jakiejś litościwej osoby. Nigdy nie zatrzymywał się dłużej w jednym miejscu. Zawsze obawiał się, że aresztują go za jakąś zbrodnię - bo już sam teraz nie wiedział, czy nie popełnił jakiegoś przestępstwa - albo że odeślą go do rezerwatu, albo zabiorą do misji, żeby uspokoić sumienie społeczne czy też zapewnić zbawienie duszom prowadzących dobroczynną placówkę osób.

Unikał swych współplemieńców, mniej lub bardziej czarnoskórych, bo odgradzała go od nich umiejętność manewrowania nożem i widelcem, nabyta od siostry pastora, a także ogólna ogląda czy może pruderia, której pozbywał się śmiało, jeśli musiał, jak na przykład pod berłem pani Spice, lecz której brak nękał go w jakiś nieuchwytny sposób.

Miał oczywiście nadal swój ukryty talent. Z niego, podobnie jak z choroby, za nic nie zwierzyłyby się nikomu, ani białemu, ani czarnemu. To były jakby dwa bieguny jego istoty: dodatni i ujemny, utajona niszczycielska choroba i niemal tak samo utajona, lecz odradzająca siła twórcza.

Gdy zdołał uciuć parę funtów, natychmiast zaczął kupować farby, kierując się katalogiem domu handlowego. Były

to prymitywne surowe farby, przeznaczone do dziecinnej zabawy. W Alfie budziły jednak dreszcz wzruszenia. Szybko je zużywał. Potem w składach dworcowych wymyszkował puszki z farbą i ochlapywał nią mury w bezludnych zakątkach aż do nasycenia swej żądy. Niedziele spędzał w cieniu żelaznego zbiornika na wodę, rysując i drąc szkice, rysując znowu, dopóki nie spiętrzyły się przed nim stosy hieroglifów, których sens chyba tylko on sam rozumiał. Nie przychodziła mu zresztą do głowy myśl o przekazywaniu tego sensu innym ludziom. Ale formy krystalizowały się stopniowo. Podczas gdy organizm ulegał logice choroby, spotęgowana śmiałość intelektu popychała chłopca krótszymi drogami do rozwiązania pewnych problemów. Inne pozostały nie rozwiązane, lecz wnikając coraz głębiej w siebie i obserwując niezwykle zachowanie ludzi dostrzeganych na peryferiach własnego życia, Alf Dubbo nabrał nadziei, że kiedyś zrozumie resztę zagadek.

Wszystko, co narysował lub namalował, każdy owoc swego głębokiego związku z życiem, przechowywał w blaszanym kufierku, który, pogięty i obdrapany, towarzyszył mu w wędrówkach z miejsca na miejsce lub też leżał, czarny i ukryty pod łóżkiem, gdy Alf Dubbo pracował w fabryce czy też na dworcu.

Nikt nie próbował otwierać kufierka. Ludzie przeważnie szanowali samotnicze usposobienie jego właściciela, a niektórzy wręcz bali się Alfa. Dorósł, był wysoki, chudy, kościsty. Musiał dojrzeć, żeby się zdobyć na odwagę i gnany ciekawością wyruszyć do Sydney. Po przybyciu do tego miasta zostawił kuferek w przechowalni na dworcu; z początku nocował w parkach, potem znalazł dom tak zniszczony oraz gospodynię tak biedną, ufną i chciwą, że przyjęła tubylca na lokatora. Osiedlił się wreszcie, mimo że współmieszkanki, prostytutki,

wymownie przeciwko temu protestowały. Ale tylko w pierwszych dniach. Wkrótce czarnuch zjednął sobie otoczenie przyzwoitością, małomównością, niemal nieobecnością. Gospodyni, od roku porzucona przez kochanka, przestała pukać do drzwi Alfa Dubbo i człapała po wysłanej linoleum pustyni, pielęgnując swe żale oraz dolegliwości wieku przejściowego.

W tamtych latach nietrudno było o stałą pracę. Mimo obrzydzenia Alf zdołał przystosować się do monotonnych czynności i spełniał je przez dłuższe okresy, szczelnie pieczętując swój umysł i traktując te martwe godziny jak ugór pożyteczny dla późniejszych plonów sztuki. Ale tęsknił do chwili, gdy będzie mógł zamknąć się w pokoju, utrzymanym tak czysto, że nawet siostra pastora byłaby z niego zadowolona, i spod klucza wydobyć olejne farby, w lepszym już gatunku, na które teraz wystarczyło mu pieniędzy.

Zdarzały się też szare dni, dżdżyste, jakby lakierem powleczone wieczory, gdy jego skóra nabierała podejrzanie żółtej barwy, a nadzieje rozsypywały się w proch wśród roztrząsań sumienia i daremnych pragnień. Często chronił się w bibliotece publicznej i przeglądał książki. Czytać było mu trudno, abstrakcyjne pojęcia wyrażały mniej niż abstrakcyjne formy i synteza kolorów. Oczywiście były też wydawnictwa poświęcone malarstwu. Wertował je z niedowierzaniem i zarazem z krytycyzmem. W gruncie rzeczy nie pragnął się uczyć na osiągnięciach innych artystów, podobnie jak nie miał ochoty wykorzystywać ani też dzielić doświadczeń innych ludzi. Jak gdyby liczył, że jego własna, niepełna jeszcze wizja, gdy przyjdzie na to czas, zostanie dopełniona przez objawienie. Raz jednak natknął się znów na reprodukcję obrazu francuskiego malarza przedstawiającą apolloński rydwan pędzący po niebie. Pochylił się nad książką, rozpiął brązowy, nieprzemakalny płaszcz, zacisnął śniade palce na

śliskiej kartce. Uświadomił sobie, że widzi ten obraz inaczej niż wtedy, gdy go po raz pierwszy zobaczył; teraz widział go tak, jakby przetłumaczył ograniczoną kompozycję Francuza na własny język ruchu i form, częściowo transcendentalny, częściowo ukształtowany przez codzienne mozolne dojrzewanie i przez bolesne przeżycia.

W wielkiej sali grzejniki sączyły krzepiącą zupę ciepła. Czarny człowiek z zazdrością zauważył, że wszyscy czytelnicy znaleźli coś, czego szukali. Ale nie bardzo go to dziwiło; słowa zawsze były przyrodzoną bronią białych. Tylko on był bezbronny. Tylko on rozglądał się wkoło. Czytał, ziewał, przeskakiwał kartki, przesuwał wielkim palcem po ich brzegu, żeby usłyszeć szelest jakby wzbijającego się stada ptaków, ustawiał tomy w nazbyt imponujący stos i patrzył przed siebie. W dni, gdy władał sobą, poczucie cudu wynagradzało mu wszystko. Ale w zimowym świetle, nie pokrzepiony swoją tajemnicą, nie zaspokojony fizyczną rozkoszą malowania, miał ochotę położyć się i umrzeć tutaj, wśród polityry i kartek, zamiast opierać policzek o stół i usypiać na poduszce z własnych rąk. Pot lśnił na jego wystającej kości policzkowej i w krótkich, zarastających kark włosach.

Kiedyś w takich okolicznościach wyprostował się nagle, ziewnął, raz i drugi ostrożnie przełknął ślinę, wypróbując bolące gardło, i sięgnął po książkę pozostawioną przez kogoś innego na stole. Czytał znów znaną, smutną historię Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Wiele zdarzeń z niej pamiętał i pamiętał też, jak bardzo starał się pokochać i uczcić związane z nią osoby, przynajmniej na tyle, żeby zadowolić opiekunów. Czytał, lecz wyraz oczu jeszcze mu się wymykał. Wszystko było blade, skąpiane w miłości i w litości, ale blade. Otworzył Ewangelię Ukochanego Ucznia. Poczł okrutny ból w krtani. Gardło go paliło. Dławił się śliną.

Wstał i wyszedł; źle dopasowany nieprzemakalny płaszcz, brzydkiego, kłócającego się z jego cerą brązowego koloru, zwisał i włókł się po ziemi. Alf Dubbo przeszedł tego wieczora długim posuwistym krokiem spory kawał drogi, a potem leżał pod piaskowcową ścianą w wilgotnych zaroślach lantany z kobietą, która opowiadała mu, jak ją wykiwano na loterii, chociaż miała szczęśliwą ćwiartkę.

Objęli się miłosnym uściskiem, a raczej mściwie pastwili się nad sobą wzajem za wszystkie nieszczęścia i tłumione gniewy. Kobieta miała w worku ślimaki i cuchnęła ich odorem, a także innym zapachem, lepkiem i słodkawym, prawdopodobnie dżinem. Parę razy próbowała przyssać się do niego pożądliwymi ustami jak gębą ukwiału, ale Alf równie uparcie nie dawał się pochłonać. W odwet omal nie zabił biednej, pijanej kurwy. Chwilami nawet ona była tym zaskoczona. Cisnął jej biodra z furją, jakby pchał taczki w ciemność nocy. Mimo wszystko doznała na razie pociechy w swojej nędzy, później dopiero miała odkryć, że napytała sobie nowej biedy. Kiedy kochanek, nieostygły z furii, opuścił ją, wołała za nim, poprawiając suknie i szukając worka ze ślimakami.

Alf Dubbo ześlizgnął się po zboczach w kocim smrodzie, jaki wydają zmoczone deszczem krzaki lantany. Opiekunowie nauczyli go wsłuchiwać się w głos sumienia, toteż często jakaś część jego istoty cierpiała w poczuciu winy, zwłaszcza gdy chore ciało zatriumfowało nad skrupułami pastorskiego ducha. Cierpiałby mniej, gdyby mógł zwinąć swoją odzież w kłębek i porzucić pod krzakiem. Ale teraz już nie wolno mu było tak lekko tracić dobytku. Musiał więc iść, udręczony przez nieznośne ubranie i przez natrętne wspomnienie ufnych bioder ulicznej kobiety.

Dniało, gdy dowlókł się do domu i drżący po omacku trafił do pokoju, który był jedynym jego bezpiecznym

schronieniem. Zapalił światło i zobaczył zaczęty na cienkiej deseczce obraz, a prawdziwość naszkicowanych form spotęgowała w nim jeszcze uczucie ulgi, że wrócił wreszcie, chociaż odstępstwo wydało mu się tym bardziej okropne. Popatrzył w lustro na swoje rozchwiane i zamazane odbicie, położył się w końcu na łóżku i tak jak inny człowiek modliłby się w podobnej chwili o łaskę, on wpatrywał się w jedyny dostępny mu dowód Absolutu, który był jednocześnie w swoich wzlotach i komentarzach czerni jego aktem wiary.

Powołanie krzepiło go na duchu i ciele, tak że najczęściej umiał się obywać bez tego wszystkiego, co ludzie nazywają życiem, czasem tylko to niemal całkowite odcięcie od innych ludzkich istot odzywało się tak piekącym bólem, że uciekał z miejsca pracy - pracował wówczas na przedmieściu Sydney w wytwórni tekturowych pudełek i opakowań z woskowanego papieru - i biegł, biegł bez celu, po prostu, żeby włączyć się po ulicach, niekiedy przysiadając na twardych ławkach w którymś parku.

Pozwalał sobie wówczas na tak zwane zabijanie czasu, które w rzeczywistości było ni mniej, ni więcej tylko nadzieją.

Pewnego wieczora, gdy siedział na takiej właśnie ławce w takim właśnie parku, a wielkie palmy figowe rzucały najbardziej intensywne cienie na białą trawę, nadeszła kobieta i usiadła obok Alfa. Bez szczególnych zamiarów zresztą. Rzeczowo poszukała w torebce papierosa. Zapaliła. Własną zapalką. Potem wydmuchując spirale dymu patrzyła na wodę spokojnej malej zatoczki.

Nie zaczęliby pewnie rozmawiać, gdyby przypadkiem oboje jednocześnie nie założyli nogi na nogę. To zmusiło kobietę do uśmiechu. - Myślałby kto, żeśmy się umówili, co? - powiedziała. 490

Nie znalazł odpowiedzi i odwrócił wzrok. Ale ramiona jego wydawały się otwarte.

- Jak panu się tutaj podoba? - spytała kobieta. Znów się zmieszał, lecz tym razem odpowiedział.

- Nieźle jest.

I obronnym gestem splótł ręce.

- Ja przyjechałam z prowincji - ciągnęła kobieta i wymieniła nazwę miasta na północo-zachodzie. - Dużo was tu jest w mieście? - spytała.

Była życzliwa i grzeczna, ale już trochę znudzona. Skrzywiła się, bo poczuła w ustach smak zabłąkanej okruszyny tytoniu.

- Nie - odparł. I dodał: - Właściwie nie wiem.

To pytanie sprawiło mu przykrość. Kobieta od niechcienia przyglądała się kolorowi jego rąk.

- Co pan tam ma?

- Gdzie?

- Ma pan wrzód - powiedziała. - Na grzbiecie ręki.

- Nic wielkiego.

Wrzodziańka pojawiła się przed paru tygodniami i Alf starał się ją ukrywać przed wzrokiem ludzkim, licząc, że kiedyś wreszcie zniknie.

- Pan jest chory?

Nie odpowiedział i przygotowywał się do odejścia z tej ławki, z tego parku, od tej zakurzonej trawy i skrawka stojącej wody.

- Mnie może pan się przyznać - nalegała kobieta. - Powinnaś wiedzieć.

Było to bardzo dziwne. Alf teraz dopiero przyjrzał się nieznajomej, jej dość pełnej, trochę cukierkowej twarzy, wargom błyszczącym od szminki. Pachniała pudrem, którym białe kobiety posypują ciało, żeby złagodzić wrażenie swej obecności.

Nieznajoma westchnęła i zaczęła opowiadać historię swego życia. Alf słuchał jak czytanej na głos książki.

- Pan jest chory - westchnęła. - Wiem. Sama to przeszłam. Złapał pan syfa. Kiedy byłam młoda i głupia, pewien przystojny żołnierz, rozrzewniwszy mnie żalami nad swoim pechem, zostawił mi ten prezent na pamiątkę. Jakbym go widziała. W czapce, zapięty pod szyję. Czuję zapach munduru, bo mundury wtedy pachniały po swojemu. Krótka była przygoda, ale skutki trwały długo.

Stopniowo z tej opowieści wyłaniała się prawda, że kobieta była prostytutką, której się powiodło i która dość lubiła swój zawód.

Powiedziała Alfowi swoje imię: Hannah.

- Oczywiście - mówiła - poza tym miałam szczęście. Mam własny dom. Stary dziad, który do mnie regularnie przychodził, zostawił mi dwa domki, bliźniaki. Jeden wynajmuję, w drugim mieszkam. Och, nie brakuje mi niczego

- pochwaliła się agresywnym tonem. - Ale się uśmialiśmy, kiedy adwokat zawiadomił mnie o testamencie Charlie'ego. Kawał, ale jak się okazało, dobry kawał. Nikt nie podejrzewał, że Charlie uciułał coś niecoś.

Handlował starzyzną.

Alfowi podobała się ta opowieść. Lubił słuchać historii, w których akcja zamykała się ostatecznie. Miały smutny, nikły, ładniutki, lecz nieprzekonujący koloryt świętych obrazków pani Pask.

- Oczywiście - ciągnęła Hannah - chociaż nie jestem biedna, nie przelewa mi się. Toteż nie wycofałam się z interesów. Nigdy przecież nie można niczego przewidzieć.

Odrzuciła papierosa i zmarszczyła brwi tak, że Alf spostrzegł smugi białego pudru w fałdach skóry na czole.

- Wielu młodych chłopców już na mnie nie zwraca uwagi

- powiedziała. - Zdaję sobie sprawę. - Nagle skrzywiła boleśnie usta. - Ty byś mnie też nie zauważył! - wypaliła.

Spuścił oczy, bo nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Wiedział tylko, że nie zauważyłby jej rzeczywiście.

- Nie wstydź się - roześmiała się Hannah. - Nie chciałam cię wystawiać na próbę. A raczej tak, chciałam cię wypróbować. Bo mam pewną propozycję dla ciebie. Nie myśl, że ci ofiarowuję posadę mojego opiekuna. Nie, nie brak mi chłopców. Mam zresztą przyjaciela. Nie o to chodzi. - Przycisnęła brodę do szyi. Czasem interesują mnie inni ludzie. A ty jesteś pod wozem. Rozumiesz? Mam od podwórka pokoik. Stoi pusty. Mógłbyś tam zamieszkać. Co ty na to? He? Oczywiście nie mówię, że za darmo, coś mi będziesz płacił.

Alf milczał, zastanawiając się, czy to nie jest pułapka.

- Wspominam o tym tak sobie - powiedziała, śledząc wzrokiem przechodniów. - Nigdy nikogo do niczego nie namawiam, nawet kota. Najzabawniejsze, że miałam być nauczycielką. Czy możesz mnie sobie wyobrazić z czeredą dzieciaków w szkolnej budzie przy drodze? Trzeba ci wiedzieć - zwróciła się twarzą do niego - że się po prostu zlekłam nauczycielskiego zawodu, wołałam mieć do czynienia z mężczyznami. Mężczyźni są głupsi.

Czarnuch roześmiał się.

- Ja też jestem mężczyzną - powiedział.

- Ale prócz tego czymś więcej. - Rozważała w myślach jakiś jeszcze nie rozwiązany problem i dopiero po chwili dodała: - Przy tym mogłabym ci pomóc. - Wskazała jego rękę. - Znam pewnego lekarza. - Wymieniła jeden ze szpitali w mieście. - Chyba się nie boisz, co?

Wtedy dopiero uświadomił sobie, że się boi i że ta upudrowana kobieta w sukni z ażurowych koronek prowadzi go wyraźnie ku sali jadalnej, z której nie uleciała jeszcze atmosfera dobroci.

- W każdym razie, jeżeli się zdecydujesz, wynajmę ci pokoik za dziesięć szylingów. - Nagle zaczęła wymawiać

każde słowo dobitnie, jak robią niektórzy ludzie zwracając się do czarnych, ale ściszyła trochę głos, podając mu swój adres.

Tymczasem ściemniło się już. Osoby prowadzące uregulowane życie nakrywały do stołu lub opierały nagie ramiona o parapety okien.

Rozbłyły światła.

- Ano, trzeba iść - powiedziała Hannah, wstając i poprawiając suknię. - Trzeba pilnować interesów. Najdziwniejsze, że nigdy ani troszeczkę mnie do mężczyzn nie ciągnęło. Ale musiałam jakoś zarabiać, a podobno nadaję się do tego fachu.

Twardą ręką przyczesła włosy.

- Nie mówię, że nie lubię pogadać z tym czy owym, na przykład w tramwaju, o jego sprawach i tak dalej. Owszem, to lubię. Biedacy. Nie są wcale ciekawi.

Wrzuciła grzebyk do torebki, zatrzaskała ją, strzepnęła łupież z sukni i była gotowa wyjść na ulicę.

- Może się więc zobaczymy - powiedziała.

Ale zrozumiał, że nie wiadomo dlaczego już się przestała nim interesować. Teraz za to on był zainteresowany. Skręcił się tak, że zaboląły go kości ocierające się o twardą ławkę.

- Abercrombie Crescent - wymówił adres bezbarwnym, głupawo brzmiącym głosem i powtórzył wskazówki, których mu przedtem Hannah udzieliła.

- Tak, tak - zawołała oddalając się, rzucając słowa przez ramię. - Ale to jest zwykła uliczka. Nie wiadomo dlaczego nazwano ją półksiężycem i co z tym wspólnego miał Abercrombie. - W miarę jak odchodziła, głos jej przycichł. - Nie przychodź przed dwunastą. Rano gotowa jestem każdego zamordować. Nie nadaję się wtedy do niczego.

Trochę pochylona szła w stronę ulicy. Zmrok, który gęstniał i siniał nad ogrodem, wkrótce wchłonął jej sylwetkę.

Alf Dubbo zamieszkał przy Abercrombie Crescent pod numerem dwudziestym siódmym, w pokoiku, który mu Hannah zaofiarowała. Nie namyślał się długo, z ulgą przyjął tę propozycję. Zamknął kuferek na klucz, związał sznurkiem parę obrazów, nad którymi pracował, i był gotów.

Czuł się szczęśliwy w pokoiku od podwórka, zagraconym różnymi sprzętami wątpliwej użyteczności, jak zapasowy materac pełen zbitej w grudzy bawełny, zardzewiały piecyk naftowy bez palnika, manekin krawiecki, pudła z pierzem i garść rozsypanych trutek na szczury. Za oknem druty anten zwisały luźno nad łupkowym dachem. Druty zafascynowały Alfa, toteż od pierwszego dnia zaczął je malować, gdy drżały od szelestu skrzydeł i jego własnych nieśmiałych dziękczyniń. Ale drzwi zamykał na klucz.

Pewnego dnia o zmroku Hannah zaszczękała klamką.

- Przyszedł mój przyjaciel - oznajmiła. - Chciałabym was zapoznać.

Alf wyszedł na korytarz. Hannah była podenerwowana, lecz niewątpliwie dumna.

- Przedstawiam ci Alfa Dubbo - powiedziała. - A to jest Norman Fussell. Naśladowała przy tym gesty podpatrzone u innych pań domu.

Norman Fussell przyglądał przed lustrem kędzierzawe włosy.

- Norman jest pielęgniarzem - wyjaśniła Hannah. - Ma wolną chwilę, więc przyszedł do mnie.

- Miło mi pana poznać - rzekł Norman Fussell.

Jak na człowieka tak krągłego i miękkiego miał bardzo żywe ruchy.

Wziął się do przyrządzania kolacji złożonej z groszku na grzankach, bo takie potrawy lubił, a jedząc przechylał głowę nieco na bok, częściowo przez dystynkcję, a częściowo z powodu braków w uzębieniu.

Hannah otaczała go troskliwością.

- Jak się czuje siostra? - spytała z niepokojem.

- Fatalnie - odparł Norman Fussell ustami pełnymi groszku. Najadłszy się poinformował ją:

- Siostrze lepiej.

Uśmiechnął się, przyglądając żółte loki i paląc papierosa, którego wyjął z eleganckiej papierošnicy. Hannah wzięła Alfa na stronę.

- Ktoś ci może powie, że Norman jest pedałem. Nie mam już siły sprzeczać się o to, kto kim jest. Zbrzydli mi mężczyźni, którzy udają, że nigdy nimi nie byli. Norman, choćby chciał, nie może na kobiecie zrobić wrażenia. Dlatego przy nim odpoczywam.

Hannah starała się, żeby jej zawodowe sprawy nie kolidowały z wolnymi dniami Normana; jeśli mimo to tak się zdarzyło, przyjaciel spał pod kocem na kanapce. Ale czasem wybierał się na poszukiwanie klienteli.

Niedziele były skrupulatnie jemu poświęcone, jeśli nie miał w ten dzień dyżuru. Niedziele te spędzano w granicach możliwości jak

najroz-koszniej. Hannah i Norman wylegiwali się przytuleni w łóżku,

czytając o zbrodniach i rozwodach, zagłębiając się w horoskopy

astrologów. Od czasu do czasu mknęli do kuchni, żeby się napić mocnej

herbaty i najeść ulubionych smakołyków: chleba grubo smarowanego

skondensowanym mlekiem, pastą pomidorową lub bananową. Albo

drzemali i tonęli wzajemnie w swoich objęciach. Alf Dubbo namalował

ich później, tak jak ich widział przez uchylone drzwi. Wpisał ich w

ogromne, mięsiste jajo, czoło przy czole, kolana przy kolanach,

wtłoczonych we wspólny sen. Nie był to najambitniejszy z jego

obrazów. Ale jajo ma swój szczególny sens; nawet jeśli jest jałowe,

stanowi formę skończoną.

Zamieszkawszy przy Abercrombie Crescent Dubbo rozpoczął kurację w przychodni pobliskiego szpitala Świętego

Pawła, lecząc się u doktora, którego znała Hannah, lub u jego kolegów. Przez dłuższy czas nie umiał odróżnić jednego lekarza od drugiego. Białe fartuchy i aseptyczne umysłowości tak ich wszystkich do siebie upodabniały, jak ustawione rzędem białe naczynia na urynę. Alf zgodnie ze swymi przewidywaniami bał się dotknięcia ich rąk, lecz wkrótce zrozumiał, że dla nich jest tylko przypadkiem chorobowym. Z czasem zaczęły go nawet nudzić i gniewać te zabiegi. Robotę przy tekturowych pudłach musiał znosić cierpliwie, ale czekając potem w szpitalu, widział, jak blednie światło dnia. Chciał je powstrzymać wysiłkiem woli. Były dni, kiedy nie miał pędzla w ręku.

Wreszcie powiedziano mu, że jest z choroby wenerycznej wyleczony. Zdążył niemal zapomnieć, na co właściwie go leczą; o wiele ważniejsze było znalezienie wyjścia z innych trudności. Z chorobą, tak samo jak z własnym ciałem, oswoił się w końcu. Trudniejsza sprawa z duszą, bo sam nigdy nie umiał przewidzieć, jak się zachowa i kim się stanie, jeśli zdobędzie wolność. Na razie rzucała się i szamotała jak ryba w kałuży - a raczej jak dwie ryby, bo jego biali opiekunowie dorzucili drugą.

Wytrwale malując i próbując się nauczyć sztuki myślenia, Alf Dubbo dowiedział się, że wybuchła wojna. Tak mu ludzie mówili i z wolna przyjął to do wiadomości. Wojny nie wprowadzają większej zmiany w życie człowieka, który zawsze toczył wojnę, toteż i ta niewiele by znaczyła dla Alfa, gdyby nie zmieniło się zachowanie otaczających go osób. Kiedy komisja lekarska zbadała go i orzekła, że nie nadaje się do wojska, z kłecenia tekturowych pudełek przerzucił się na lakierowanie samolotów rewolwerem natryskowym, lecz to należało do nieprzekonującego, zawsze dla niego niewiarygodnego współżycia z zewnętrznym światem. Natomiast ludzie mieszkający pod tym samym co

on dachem i przechodnie na ulicy zaczęli go teraz głębiej obchodzić. Jego pędzel drżał od zgrzytów ich emocji, roz-przęgały się formy z takim wysiłkiem, trudem i szczerością wypracowane.

Przywykł teraz włóczyć się nocą po ulicach, mniej ludnych niż kiedykolwiek, badając stan rzeczy. Gdy wielu mężczyzn poszło w świat, żeby zabijać, wielu z tych, którzy pozostali, wdało się w bardziej jeszcze morderczą wojnę z utajoną w każdym z nich istotą. Bezbronne rozdwojone dusze zwróciły uwagę na ciemnoskórego tubylca, który już nie był tak bardzo od nich różny, ale wciąż jeszcze na tyle różny, żeby się nie liczyć. Błyszczące od szminki usta otwierały się nocą jak samobójcze rany. To oczywiście znał już od dawna i mógł przyjąć jak inne rzeczy, które w jego pojęciu należały do obyczajów plemiennych. Teraz najbardziej niepokoiły go oczy białych, w których dawniej znajdował na wszystko odpowiedź, ostatnio zaś przekonał się, że odpowiedzi te były błędne. Ludzie wybuchali śmiechem albo nucili jakieś śpiewki. Niektórzy tańczyli z otwartymi ramionami albo czepiając się obcych partnerów. Inni padali jak kłoda byle gdzie. Jeszcze inni kładli się parami na stratowanej trawie w miłosnych pozach. Prędzej lub później próbowali wszystkiego, ale doznawali zawodu stwierdzając, że nie zdołali zabić nieprzyjaciela w sobie i że może nie starczy im czasu, żeby tego dokonać.

Koledzy Alfa z pracy używali mu niekiedy łyku alkoholu, bo po pijanemu bywał bardzo zabawny. Od czasu do czasu ktoś uczynny godził się na jego prośbę kupić mu wbrew przepisom butelkę trunku. Wtedy Alf Dubbo znów odkrywał gorączkowe fajerwerki i piekło tępej dezintegracji, po raz pierwszy zaznane w chacie pani Spice. Z tą różnicą, że teraz po mdłościach często pojawiała się tęcza zadowolenia; w dymiącej kałuży wyrzyganych obrzydliwości krył się na

dnie skarb. Można by pomyśleć, że jemu udało się to, o co daremnie starali się przechodnie z ulic wojennego okresu.

Kiedyś po pijaństwie zwałił się z nóg i został na linoleum pod frontowymi drzwiami domu przy Abercrombie Crescent. Hannah, wracając późno z nieudanej wyprawy, omal nie skręciła karku. Zapaliła światło, ocuciła trupa kopniakiem i dała upust złości:

- Można się było spodziewać. Pijanica, czarny kundel, do niczego lepszego niezdatny!

Alf jednak nie słyszał tych słów. Kiedy nazajutrz wieczorem przyszedł do domu, Hannah zawołała go do siebie.

- Słuchaj no, kochanku, pierwszy lepszy władzuchna nadęty ważniactwem, jeśli zobaczy kolorowego chłopaka, co się zatacza albo i leży na ulicy, zaprowadzi cię do pudła i będziesz miał grube nieprzyjemności.

Hannah nie uszmkowana była zimna, blada i poważna. Dała mu do zrozumienia, że ma ważniejsze sprawy na głowie i nie myśli kłopotać się losami sublokatora. Jej nie polakierowane paznokcie drgały na małych szczypczykach, którymi wyskubywała brwi.

- Oczywiście - mówiła wyrywając włosy - nic mi do tego. Niech każdy pilnuje własnych interesów. Rozumiesz?

Nie przerywała swego zajęcia. Zezując ku lustru wyrywała włoski i wyrzucała je za okno niedbałym gestem.

Alf Dubbo słuchał, ale przede wszystkim zafascynowany był tym, na co patrzył. W nie zasłanym jeszcze łóżku pościel miała ten sam odcień co skóra kobiety, szarawa, przynajmniej w tym oświetleniu. Ciało Hannah miało kolor ostrzygi z wyjątkiem zagłębienia między wżgórkami piersi, brązowej jak stara wanna albo kuchenny zlew w miejscu, gdzie stale kapie woda.

- Przy okazji chciałam ci powiedzieć, że podnoszę komorne za twój pokój do dwunastu szylingów. Trudno, jest wojna.

500

Ale on patrzył wciąż zafascynowany na jej rękę, która drżała manewrując szczypczykami.

- Dobrze - skinął głową i uśmiechnął się do swoich myśli.

- Nie myśl, że chcę się ciebie pozbyć - tłumaczyła się Hannah. -

Naprawdę potrzebuję tych dwóch szylingów.

Przyglądała się pilnie swoim brwiom, gładziła je, usiłując nadać im jak najpiękniejszy połysk.

- W naszym fachu - powiedziała - nawet w najwyższej kategorii kobieta byłaby głupia, gdyby się nie starała zabezpieczyć na przyszłość.

Pośliniła palec i dalej gładziła brew.

A więc Hannah także bała się przyszłości, a najbardziej tego, co powiedzą kiedyś lustra.

Pewnego dnia, muskając miotełką z piór najbardziej rzucające się w oczy powierzchwnie saloniku, otworzyła przed Alfem jedną szufladkę swoich myśli. Przerywając w połowie odkurzenie *Świąteł przystani*, powiedziała czy raczej wyrecytowała:

- Stare kobiety, Alfie, kobiety z prostymi, szarymi, tłustymi kosmykami włosów rozpuszczonych na ramiona jak u młodych dziewcząt. Stare dziewczęta. Z paroma żółtymi zębami sterczącymi ze zwiotczałych dziąseł. Widuje się je, prowadzą na smyczy starego psa albo niosą jakieś paczuszki. Brzuchy mają wypięte. Rany, jak ja się tego boję. Żyłaki oplątują im łydy niby węże.

Alf nie mógł jej pomóc, chociaż widział, że czekała na jakąś tanią pociechę.

Siedział w najprzytulniejszym kącie saloniku, łokciami wparty w zakłesłe rzepki kolan, lekko rozsuniętymi palcami obejmując kości policzkowe.

Gdyby nie kanapka pod nim, wyglądałby w tej pozie jak skulony przy ognisku.

Ogień oczywiście broni. Nocą nie wolno po pustkowiu wędrować bez ognia. Alf Dubbo miał szczęście, że nosił

w sobie własny ogień, i gdy zamykał oczy, widział grę płomieni, ich nieziemskie kolory, które tak lubił odtwarzać farbami. Ale te wizje nie zadowalały go jeszcze. Czegoś im wciąż brakowało. Oczy mu się iskrzyły rozpaczą. Nie mógł pochwycić najskrytszego, płomiennego rdzenia w piórach płomieni.

A że tak siedział na kanapce rozmarzony, bez słowa, w chwili gdy w swej naiwności próbowała u niego szukać rady, Hannah nie mogła się powstrzymać i krzyknęła:

- Diabła warci jesteście wszyscy! Jeden w drugiego. Norm, wiadomo, pomyłony. Zresztą lubię go takiego, jaki jest. Ile to kobiet nie ma przyjaciela, choćby do ogrzania łóżka. Ale w tobie, Alf, coś przecież jest, a nie chcesz, draniu, nawet spojrzeć na drugiego człowieka!

I w złości zaczęła tak wywijać miotełką, że zdarła grzbiet z książki i nawet się na nią nie obejrzała, chociaż była to jedyna jej książka; stary, czarny, zakurzony tom wetknięty między ozdobne bibeloty, którymi klienci obdarzali panią domu w momencie euforii wywołanej alkoholem lub niespodziewanym zarobkiem. Alf schylił się i podniósł kruchy pasek skóry, który zwinął się w jego palcach, równie niepotrzebny jak skrawek zdartej z pnia kory. Można było jednak odczytać jeszcze tytuł złożony dość dużymi złotymi literami.

Nagle ożywiony, Alf odezwał się poprawnym akcentem, którego niegdyś go nauczono i którego od czasu do czasu używał.

- Czy mogłabyś mi pożyczyć tę książkę? Skąd ją masz?

- Co? Och, to książka Charlie'ego. Tego szmaciarza, o którym ci kiedyś mówiłam. To był wygrany los w moim życiu. Dobrze, weź ją sobie. Lubie poczytać coś ciekawego. Ale nie takie historie.

W domu, wtłoczonym między dwa inne, było już ciemno. Alf wziął książkę i poszedł zaraz do swojego pokoju, gdzie

światło zredukowane do swej istoty, zielono-białe i zdumiewające, sączyło się nieco dłużej znad łupkowych dachów i z szarego jak łupek nieba, którego przedłużeniem były dachy.

Otworzył książkę, stojąc przy oknie. O tej porze nawet te mętne szyby zdawały się przezrocyste jak kryształ. Póki więc starczało mu światła, czytał z tak rozpaczliwym pośpiechem, że tu i ówdzie wprowadzał własne słowa, zdania, całe obrazy. Utajony w nim człowiek nareszcie rozśpiewał się wielkim głosem:

Chwalcie Go, słońce i księżycu, chwalcie Go, wszystkie gwiazdy i światło.

Chwalcie Go, niebiosami nad niebiosami, i wody, które są pod niebiosami...

I druty anten, i szare śliskie dachówki, chwalcie, chwalcie Pana.

Góry i wszystkie pagórki, drzewa owocowe i wszystkie cedry... i szare cienie innych drzew, i podeszwy stóp na wilgotnych liściach... suche rzeki, chwalcie Imię Pańskie. Bambusy pomarańczowe, chwalcie Go swoim szelestem.

Zwierzęta i bydła, robaki, które pełzają, i ptaki, które latają, chwalcie Go, chwalcie.

Ręce, chwalcie Boga...

Ręce trzęsły mu się, bo światło prawie zupełnie zgasło i wzrok zawodził. Rzucił się twarzą naprzód na łóżko. Sterczące pięty zdrętwiały i zmartwiały, lecz w najtajniejszej głębi duszy ręce Alfa chwaliły wciąż Pana kolorami, które umiały tworzyć. Jak zaczarowane węże z czubków jego palców spływały: czerwień, jasne żółcie, gryzące zielenie, dręczące fiolety, którymi kiedyś może ośmielił się przyoblec bezkształtny kształt Boga.

Drżał przejęty zuchwalstwem swoich ambicji. Wreszcie ciało zmusiło go, żeby wstał z łóżka. Zapalił elektryczne

światło i wtedy spostrzegł małą, brudną pieczęć, którą jego usta odcisnęły na poduszce. Była brzydka, więc odwrócił poduszkę, żeby nie widzieć plamy.

Następne noce Alf Dubbo spędzał czytając godzinami Biblię szmaciarza. Nigdy jeszcze nie był tak pijany jak teraz, kiedy go upajał głos proroków, a dostojna wspaniałość ich słów grała kolorami w jego wyobraźni. W tym okresie zbudował rusztowania kilku obrazów, do których wymalowania brakowało mu siły czy może wiedzy. Między tymi obrazami był *Woł ognisty*. Alf jeszcze sobie nie przyswoił w pełni wizji Ezechiela, skojarzonej z obrazem francuskiego malarza, który znał z reprodukcji w książce. Wszystkie szczegóły były już zgromadzone na papierowym niebie, lecz światło jeszcze ich nie objęło. Alf nagle zwinął karton i schował. Zapomniał o nim, a przynajmniej zapomniała czuwająca na jawie część jego umysłu.

Namalował inny obraz: *Piec ognisty*. Namalował go niemal w ciągu jednego dnia, w pewien piątek - zwolnił się z pracy udając chorego - a sobotę przesiedział w udreće przed obrazem, raz i drugi dotykając pędzlem powierzchni, lecz nie umiał - albo może nie śmiał jeszcze rozwiązać ostatniego problemu. Oblewał się potem. Uda miał lepkie, jakby wypłynęło z niego nasienie.

Oczyścił pędzle bardzo starannie i uroczyście. Był szczęśliwy.

Wyszedł przez kuchnię. Norm się zjawił i we dwoje z Hannah przygotowywali wytworne kanapki, smarując je *anchois* lub pastą z daktyli. Uśmiechnęli się do Alfa, trochę zmieszani, że w ten sposób wydał się ich sekret: zaprosili na ten wieczór gości.

- Sie masz, Alf - mruknął Norm.

Nie rozmawiali więcej.

Alf Dubbo doszedł aż do Oxford Street, tam bowiem miał w barze znajomą kelnerkę, której przyjaźni nie ograniczały

żadne zasady. Gdy dawał jej z ulicy przez szklane drzwi znak, Beat czasem raczyła go spostrzec.

Tego dnia Beat nie zawiodła, więc z butelką zszedł niżej, w zaułek, gdzie lubił czasem się schronić i gdzie wieczorami nikt nie zaglądał, chyba po to, żeby zaparkować samochód albo przydusić pod murem uliczną dziewczynę. Alf przysiadł na krawężniku. Zabrał się do picia grogu. Z początku przystępował do tego jak do roboty, której trzeba się nauczyć, bardzo sumiennie, oszczędzając technicznych chwytów w przewidywaniu późniejszych trudności. Potem łykał spazmatycznie. Przypiął się do butelki, bulgotał. Czknął raz i drugi, jakby ogień wypełnił mu przełyk i żołądek.

Zaśpiewał parę wierszy piosenki, którą sam ułożył kiedyś w podobnych okolicznościach.

Hej, Australczyk, hej, Murzyn,

mój tata jest duży,

tylko w mowie chwyt.

Mój wujek to brat

mojej matki jest.

Lecę zy % niego drań,

nie wie o tym świat,

ani matka też¹.

Księżyc trafił już teraz nawet w te ciasne uliczki i płukał je z brudu, więc czarny człowiek wstał i ostrożnie ruszył brzegiem suchego strumienia.

Lubił prostokątne oczy domów, chociaż były ślepe na jego obecność.

Życzliwie odnosił się do nieobliczalnych oczu samochodów. Czasem ocierał się o błotnik, raz nawet musnęła go w pędzie maska wozu. Na

Przełożyła Zofia Kierszys.

szerokich ulicach wszystkie przyćmione wystawy sklepów z owocami były koloru bananów. Otwarte pudełko daktyli przypomniało mu, że do domu pewnie zleciały się już muchy.

Skreślił więc w stronę Abercrombie Crescent.

W późniejszych wojennych latach Hannah często miała w domu gości; ulice były tak pełne, że tłum musiał przelewać się w każde otwarte drzwi. Była przecież armia lądowa, była marynarka, byli lepsi jeszcze od marynarzy jankesi i były lepsze od jankesów dolarowe banknoty i nylony. Hannah jeszcze się tak nie zestarzała, by nie mogła czasem natrafić na żyłę złota ukrytą głęboko w sercu chłopaka z Idaho lub Teksasu; zdarzało się, że któryś palacz z amerykańskiego okrętu gotów był słono zapłacić za okazję do zwierzeń

o swojej mamusi. Hannah słuchała, kołysząc alkohol w szklance i wpatrując się w jej dno, ale budziła się z zadumy, gdy przychodziła pora na zapłatę.

Bywały też inne wieczory, gdy dom gościł przyjaciół Norma. Hannah, jeśli była w dobrym humorze, nie miała nic przeciw temu towarzystwu, a nawet je zachęcała do popisów i okazywała inteligentne zainteresowanie dla spraw osobistych każdego z tych zboczeńców. Kulała się ze śmiechu, gdy któryś z tych gości mizdrzył się przebrany w jej suknię. Może znudzona monotonią i ranami ciała bawiła się, gdy zapadając w poduszki kanapy patrzyła na podrygi marionetek, sprytnych, pomysłowych, złośliwych, podobnych do żywych ludzi, ale niewątpliwie ulepionych z papierowej masy.

Wlokąc się przez ulice z powrotem do domu, Alf Dubbo przewidywał, że tej nocy będzie tam się bawiła kompania Norma, łatwo było to zgadnąć choćby po szczególnych

1 tajemniczych minach Hannah i jej przyjaciela, zaskoczonych w kuchni przy smarowaniu kanapek *anchois* i daktylową pastą. Perspektywa ta ani grzała, ani ziębiła Alfa. Nie dziwił

go ten aspekt życia, ponieważ bardzo wcześnie odkrył, że ludzkie obyczaje są niemal zawsze zdumiewające; niepokoić należy się raczej wyjątkami od tej reguły. Szedł więc do domu krokiem na tyle pewnym, na ile pozwalał na to jego stan, i był przygotowany na wszystko.

W domu przy Abercrombie Crescent wszystkie wewnętrzne drzwi stały otworem z wyjątkiem drzwi do jednego pokoju wychodzącego na podwórko. Hall brzęczał od zagadkowych szeptów. Ktoś w obłokach pudru upiększał się przed toaletą pani domu, ktoś inny wciągał pończochy. W ubikacji bezustannie szumiała woda.

Hannah królowała w samym sercu zgromadzenia, siedząc na kanapie obok swej przyjaciółki i koleżanki Reen, która miała włosy tak gładko przyczesane, że byłyby chyba zupełnie niewidoczne, gdyby nie ich blask. Reen należała do złotych blondynek, ale była chuda. Prócz dwóch prostytutek towarzystwo składało się z dość licznej grupy pederastów, którzy znali kolorowego sublokatora domu, ale go ignorowali. Był jeszcze ktoś, kogo Alf w swym zaćmieniu na razie nie widział, lecz wyczuwał.

Hannah, siląc się bez powodzenia na salonowy szept, krzyknęła do niego, że przyszedł w samą porę na występ Norma. Rzeczywiście, w tej chwili właśnie pojawił się w saloniku Norman Fussell. Miał pęk piór na głowie, drugi na tyłku i coś w rodzaju diamentowej murzyńskiej przepaski gdzie indziej. Poza tym był nagi, ale uszminkowany i upudrowany, gdzie należy, i ozdobiony parą namalowanych regularnie kobiecych piersi. Ptak zaczął wykonywać na tkanym w brązowe róże dywanie jakiś niby rytualny taniec. Natchniony przez dzień i przez duszę autentycznej rewii girlsy, która najwidoczniej w nim mieszkała, gestykulował rękami, puszył wspaniałe pióra, sztywnymi stopami grzebał w wymyślonej ziemi. Ptak wprawdzie rzeźił trochę, ale

podobny głos wydają kury, gdy się je latem goni po podwórku. Jak dusza rewiowej girlsy wcieliła się od urodzenia w Norma, tak teraz dusza jej starszej w zawodzie siostry wstąpiła w tego różowego ptaka, który stał się przekonująco prawdziwy na mocy konwencji uznanej przez widzów. Jeśli bowiem mogło się kiedykolwiek zdarzyć połączenie rajskiego ptaka z indyczką, Normanowi udało się je doskonale uosobić.

Jego kompani piszczeli z zachwytu, a może z pogardy. Alf śmiał się najgłośniej i najszczerzej. Siedział w kucki na dywanie. Gdyby starczyło miejsca, on też wykonałby jakieś figury tańca zapamiętane z dawnych czasów. W braku miejsca klaskał przynajmniej. Z przyjemnością patrzył, jak Norm puszy się, trzepocze skrzydłami ramion w takt muzyki w zaduchu stłoczonych ciał, który zacieśniał jeszcze bardziej mury małego saloniku wokół postaci pierwotnego ptaka.

- Ależ z ciebie dobra opiekunka pedałów, Hannah - wyrwała się Reen, jak zawsze złośliwa. - Tylko dla ciebie zgodziłam się przyjść, inaczej nie chciałabym, nawet żeby mi kto złote góry obiecywał. Gęsia skórka mnie obłazi od takich rzeczy.

Hannah, pochłonięta rozgrywającym się w tańcu Norma misterium, niechętnie ocknęła się z nabożnego skupienia, ale odpowiedziała z konwencjonalnym uśmiechem:

- A cóż to nadzwyczajnego? Kapłon to bądź co bądź. także kogut. W tej samej chwili uświadamając sobie bliską obecność gościa, którego Norm przyprowadził, obdarzyła go pełnym szacunku spojrzeniem. Alf zauważył więc teraz także pana w porządnym ciemnym ubraniu, zajmującego w kącie najlepszy w tym domu fotel. Dość młody mężczyzna nie spuszczał wzroku z tubylca, ale

nie robił tego arogancko, bo dyskretnie osłaniał pół twarzy dłonią. Zachował tę pozę, dobrowolnie usuwając się w cień. Niezwykle długa ręka, podtrzymująca i zasłaniająca pociągłą białą twarz, jak gdyby oddzielała ją od korpusu i od solidnej elegancji ciemnej marynarki. Norman otrzymał należne oklaski, inni goście trunki, i zabawa toczyła się dalej. Alf Dubbo wlał w siebie jeden i drugi kieliszek i czuł się świetnie, jak naelektryzowany. Wkrótce będzie gotów odśpiewać swoją piosenkę i odtańczyć swój taniec. Stał kołysząc się w upojeniu alkoholem i oczekiwaniem.

Nagle Reen zawołała:

- A cóż ty potrafisz, Alf? Ściągnąć portki i pokazać tyłek jak każdy? Walila piętami o dywan i ryczała ze śmiechu. Była już oczywiście pijana i złośliwa jak zawsze.

Ale Hannah trąciła przyjaciółkę łokciem i z niepokojem zerknęła na młodego pana, którego przyprowadził Norm.

Alfa ogarnął zniechęca wielki smutek.

Jeden z chłopców, Włoch przewiskiem Smyczek Paganiniego, kończył właśnie swój numer, piosenkę; miał na głowie perukę blond, a na nogach czarne ażurowe pończochy, które specjalnie przyniósł na ten występ.

Hannah odezwała się donośnym głosem:

- Alf umie coś więcej niż śpiewać i tańczyć. Możecie mi wierzyć. Prawda, Alf?

Nie patrzyła wprost na niego i wypychała językiem policzek, trochę denerwując się, jak wypadnie propozycja, którą zamierzała zrobić.

Zwróciła się do siedzącego w kącie gościa:

- Ani pan zgadnie, co my tu mamy! - Mówiła do obcego pana jeszcze głośniejszym tonem, którego Alf jeszcze nigdy z jej ust nie słyszał: - Alf maluje olejno. Prawda, Alf? Może byś pokazał swoje obrazy? Zrobiłbyś

nam prawdziwą przyjemność, nikt by jej lepiej nie ocenił niż pan Mortimer.

Alf Dubbo, rażony piorunem, osłupiał pośrodku brązowego saloniku. Wszyscy na niego patrzyli. Ten i ów z kon-panów Norma mruczał i ziewał.

- No, dalejże, Alf - zachęcał Norman Fussell.

Wrócił ubrany przyzwoicie i spróbował przysiąść na kolanach przyjaciela, ale ten zrzucił go niemal natychmiast. Norm był za ciężki. Epizod bez znaczenia, zmusił jednak Humph-reya Mortimera do odstąpienia twarzy. Alf Dubbo nareszcie ją mógł zobaczyć.

Młody pan wychylił się z fotela.

- Rzeczywiście, Alfie, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż obejrzenie twoich obrazów - powiedział. - Gdybyś zechciał mi je pokazać.

Uprzejmy, gładki ton wykluczał arogancję, entuzjazm, ironię, jakąkolwiek określoną emocję. Może nauczono go tego tonu. Nauczono go pozyskiwać zaufanie, lecz bez budzenia przedwczesnych nadziei.

Dubbo nie ruszał się z miejsca. Zwykle umiał wyczuć zasadzkę.

Ale może tego wieczora mógł pozwolić sobie na zaniechanie ostrożności? Obudziła się w nim próżność, łechcąc go najbardziej zdradliwym piórkiem. Wszystko, co był zdolny wyrazić, zaczęło rozpierać jego pierś, burzyć się w jego brzuchu, świerzbic w czubkach palców. Spoglądał z góry niemal sardonicznie w bladawe, obojętne rysy Humphreya Mortimera, który najwidoczniej nie zdawał sobie wcale sprawy, że zapalił lont grożący wybuchem.

Wreszcie, niezdolny dłużej ścierpieć tej sytuacji, Alf zdecydował się położyć jej kres.

- Dobra - wybełkotał.

Ruszył niemal biegiem przez ciemny korytarz w stronę swego pokoju z rękoma niepewnie wyciągniętymi przed siebie jakby dla obrony. Z gorączkowym pośpiechem wybierał obrazy, to odrzucał któryś, to znów po niego sięgał. Pędem odbył drogę powrotną. W pewnej chwili uderzył prawym ramieniem o ścianę, zatoczył się pod drugą. Ale w końcu dotarł chwiejnym krokiem do saloniku i przed honorowym gościem ustawił na podłodze oparte o krzesło dwa obrazy.

Większość świadków tej sceny gorszyła się jej niestosownością. A także dziwacznością obrazów. Ten i ów nawet jawnie dał do zrozumienia, że nie chce dłużej uczestniczyć w tym nieprzyzwoitym spektaklu.

Ale Humphrey Mortimer pochylał się z zainteresowaniem i oczy jego zdradzały to, czego nie pozwalał wyrazić ustom; nie chciał się angażować. Jeden tylko Alf Dubbo wyczuł, że ta niedokarmiona dusza syci się tak, jakby nigdy jeszcze nic równie pożywnego nie znalazła. Czarny człowiek wyprostował się dumnie.

- No tak - powiedział znawca, ponieważ uznał, że czas już na jakiś sąd, byle niejednoznaczny.

Alf Dubbo czubkiem buta dotknął narożnika deski.

- Nie - zaprotestował. - To nie jest jeszcze dobrze namalowane. To tylko próby. Połowa jeszcze pusta. Widzi pan, jaki martwy jest ten kąt? Nie wiedziałem, czym go wypełnić. Namaluję tę część później.

Brakowało mu tchu. Ale czując swoją przewagę, mógł sobie pozwolić na skromność czy może raczej na ucziwość.

- Mimo to... - szepnął Humphrey Mortimer.

Te obrazy, lepsze czy gorsze, opętały go, poddał się zupełnie biernie wrażeniu.

Żadna siła nie mogła teraz okiełznać pasji Alfa. Znów wybiegł na korytarz. Drobiazgi, które miał w kieszeniach,

objały mu ciało. Znosił obrazy jeden po drugim. Banalny pokój zapalił się od nich ogniem, ściany rozstępowały się przed blaskiem kolorów. Muzyka lejąca się wytrwale z gramofonu nie zdołała ugasić nawet najdalszych rozpełzających się płomieni tego pożaru.

Niektórzy goście Norma żegnali gospodarzy. Inni drzemali po kątach.

- Co też można zrobić z odrobiną farb - powiedziała Hannah, ziewając.

Ale w pokoju pełnym śpiących lub pomrukujących osób sprawa rozgrywała się tylko między malarzem a jego jedynym odbiorcą. Ci dwaj się rozumieli.

Alf Dubbo właśnie przyniósł nowe dwa obrazy. Trzeźwiał już i coś mu szeptało, że powinien się wycofać. Mimo to pieczołowicie ustawił swoje dzieła.

Humphrey Mortimer wychylił się znów z fotela. Już przyswoił sobie język malarza i wchłaniał coraz głębiej jego dzieła. Ale z przyzwyczajenia czy też przez taktykę nadal tylko leniwym uśmiechem wyrażał przyjemność i uznanie.

- Oo - powiedział cicho, zwracając się wyłącznie do Alfa. - Sydrach, Misach i Abdenego?

- Tak - zaśmiał się radośnie czarny człowiek. Ta rozmowa brzmiała jak zaloty.

- I Anioł Pański - dodał Alf Dubbo wciąż tym samym pieszczotliwym tonem.

Przykucnął i niemal dotknął palcem sztywnej, lecz lśniącej postaci.

Wyłoniła się ona całkowicie z alkoholycznego chaosu, z którego wzięła kiedyś początek.

Obraz był świeży, farba na nim nie zdążyła jeszcze obeschnąć, twórca nie mógł więc zobaczyć swego dzieła takim, jakie powinno być i jakim miało pozostać. Mógł jednak podziwiać puszystą fakturę anielskich skrzydeł jako osiągnięcie, przewyciężenie problemu, zapominając, że

w dzieciństwie pewnego upalnego ranka trzymał w rękach żywą papugę kakadu i rozgarniał jej pióra, żeby zobaczyć ich korzenie, i że wtedy przeniknął tajemnicę puchu. Może kiedyś zasypiając lub budząc się przypomniał sobie, jak zdobył sposób odtworzenia istoty boskości. Gdyby mógł je widzieć, przekonałby się, że dzieło już samo sobie wystarczało. Postacie w piecu ognistym były sztywne, lecz prawdziwe. Ogień osiągnął doskonałość. Ani czas, ani namysł nie mogłyby już odmienić kształtu bodaj jednego języka płomieni.

Na dwóch żywych mężczyzn, wpatrzonych w postacie zamknięte w piecu ognistym, padła rosa z niebios i broniła ich przez chwilę od innych głosów i śmiertelnych niebezpieczeństw. Zdawało się, że uczciwość musi zwyciężyć.

Milczenie przerwał gość. Wzdrygnął się gwałtownie i otrząsnął z siebie urok. Oczy jego miały taki wyraz, jakby żałowały chwili słabości.

- To coś warte, Alfie - powiedział sennie, nawet cynicznie. Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie zdradził swoich myśli, toteż zdenerwowała go własna niepowściągliwość.

Alf, także nerwowo, jeśli nie z gniewem, zabierał obraz, który stał się zbyt jaskrawym wyznaniem.

- A to co? - spytał Humphrey Mortimer. - Ten duży rysunek, który przyniosłeś na ostatku razem z *Piecem ognistym*, ale którego nie pokazałeś?

- To nic - odparł malarz. - Szkic, który kiedyś może dokończę. A może nie.

Teraz, gdy ochłonął, gorzko żałował, że wyciągnął z kąta szkic *Wotęu*. Jakby nie wystarczało, że ujawnił swój *Piec ognisty*. Wszystkie jego tajemnice były obnażone i bezbronne.

- To mi się szczególnie podoba - rzekł pan Mortimer. - Ten wielki szkic. Bardziej jeszcze od innych interesujący. Pozwól, że się przyjrzę.

- Nie - odparł Alf. - Nie chcę. Już późno. Może kiedy indziej.

Pospiesznie zbierał swoje obrazy.

- A więc obiecujesz? - nalegał tamten.

- Tak, tak.

Ale rozedrgane nozdrza przeczyły słowom.

Gdy pożar rozpalony w saloniku zgasł, goście Norma zaczęli się rozchodzić. Całowano się i ściskano. Pederasći roztoczyli znów swoją zwykłą dwuznaczną atmosferę. Alf Dubbo tymczasem wynosił resztki żaru szczerej pasji.

Nareszcie chciał zamknąć drzwi swego pokoju i powierzyć się ciszy.

Ale czyjeś kroki ścigały go przez korytarz, na pół niepewne, na pół ufne.

- Słuchaj, Alfie - odezwał się Humphrey Mortimer. Bo to był oczywiście on. - Chciałbym ci coś zaproponować.

Poszedł za czarnym aż pod jego drzwi.

W korytarzu było gorąco, mimo to drżeli obaj. Pan Mortimer, którego sylwetka zwykle była tak doskonale poprawna, stał z pięściami zaciśniętymi w kieszeniach, z brzuchem wypiętym między rozchylonymi połami marynarki. Wyglądał śmiesznie.

- Chciałbym od ciebie kupić co najmniej trzy twoje prace - rzekł. - Bardzo mi na tym zależy.

Chodziło mu o *Piec ognisty* i dwa inne obrazy.

- A prócz tego szkic tego *Wo%u*, kiedy już nie będzie ci potrzebny. To znaczy, kiedy skończysz obraz, do którego to szkicowałeś.

Wymienił sumę, najwyższą, jaką kiedykolwiek ofiarowano w tym domu płatnej miłości.

- Nie, nie. Przepraszam, nie - odparł Alf. Wzburzony, nie mógł z siebie wydrzeć żadnych innych słów.

514

- Obiecay przynajmniej, że jeszcze zastanowisz się nad tym. Dla twego własnego dobra. - Humphrey Mortimer sięgnął po najbardziej przekonujący argument. Uśmiechnął się, bo życie nauczyło go, że za pieniądze można bez trudu kupić wszystko, czego się pragnie.

Alf jednak, który tego wieczora miał chwile bezbronności, teraz był już dobrze uzbrojony. Odkąd zbudziło się w nim podejrzenie, że zastawiano na niego pułapkę, zamknął się w sobie i żadna siła już nie zdołałaby go z tej kryjówki wyciągnąć.

- Obrazy, których nikt nie ogląda, tak jakby nie istniały - stwierdził mecenas.

- Ja będę je oglądał - odparł malarz. - Dobranoc panu. I zamknął drzwi. Przez tydzień czy dwa nie chciało mu się malować, nie miał nawet ochoty patrzeć na skończone już obrazy, wystarczała mu świadomość, że są w pobliżu. Nie wiadomo czemu był spłoszony. Jak gdyby w momencie gadatliwej próżności zdradził jakąś tajemnicę, którą dopiero niedawno i w pokorze zdołał osiąść. Czuł się też chory. Odwrócił obrazy do ściany, w niedzielę i wieczorem w dni powszednie wylegiwał się godzinami na łóżku, podkuliwszy nogi i osłaniając ramionami głowę. Dłonie miewał teraz lepkie.

W świecie zewnętrznym, w życiu, które płynęło równoległe z jego życiem, lecz nigdy nie wydawało mu się naprawdę realne, wojna dobiegała końca. Robota przy lakierowaniu samolotów także się skończyła, chociaż formalnie Alf Dubbo był przy tym jeszcze zatrudniony. Jedna z olbrzymich skrzyń przemieniła się w prosperującą jaskinię gry w orła i reszkę; hangary pękały od towarów, które każdy, kto miał ochotę, mógł rozdrapywać. Znalazło się sporo amatorów. We wsze

lakie ścierwo robactwo wżerało się teraz bardziej jeszcze żarłocznie, przeczuwając rychły koniec uczyty. W paru przypadkach poruszyły się sumienia, ludzki wyraz wrócił na tępe gęby czerwion, uświadomiono sobie, że mimo różnych metamorfoz prawdziwe „ja” nadal jest straszliwie obecne i domaga się rehabilitacji.

Hannah jak dawniej budziła się koło południa, skubała brwi, malowała paznokcie, olbrzymim puszkiem z desperacją omiatała ciemne zagłębienia pach. Ale wyglądała naprawdę rozlazłe. Oczywiście, we wnętrzu gąbczastego ciała pozostała wciąż sprężystą śniadą dziewczyną, ale o tym tylko ona sama wiedziała. A niekiedy nawet ona wątpiła. Przychodziło jej na myśl, czyby się dla przełamania pecha nie sprzedać za torebkę anyżowych karmelków jakiemuś jurnemu chłopakowi pod pieprzowym drzewem.

Od pudru dostawał? kaszlu. Cierpiała widać na alergię, jak się to teraz nazywa. Była cała gąbczasta. Pory miała wilgotne, otwarte. Czowała się chora. Garściami łykała aspirynę. Aspiryna zakwaszała jej żołądek. Paliała zgagą. Czasem jednak wywoływała przyjemne poty, westchnienie ulgi. Lecz w końcu Hannah znów popadała w coś, czego nie sposób było nazwać ściśle chorobą. Tak jakby tkwiła w niej chora myśl. Sumienie tykało niby ordynarny budzik. Gdyby nagle zabrzączał dzwonek, Hannah krzyknęłaby w głos.

Tubylec przechodził korytarzem. Cichutko. Był zwykle cichy, chyba że się upił i zwałił na podłogę; niektóre kelnerki w barach nie miały za grosz rozsądku. Poza tym nikt nie mógł Alfowi niczego zarzucić. Malowanie wypełniało mu świat. To właśnie kobiecie nie mieściło się w głowie: że ktoś zamknięty w grobowej ciszy pokoju od podwórka smaruje na starej desce jakieś nedorzeczne obrazy, a pewne osoby, wykształcone w dodatku, rzekomo je rozumieją.

Kiedyś zjawił się w głębi korytarza, jak zwykle bezszelestnie, lecz przyspieszonym krokiem. Hannah zlekła się, gdy niespodzianie usłyszała go tuż za swoimi plecami. Złamała paznokiec na supełku sznurka, bo właśnie rozpakowywała przyniesioną z miasta paczkę. Już to samo wystarczyło, żeby dostać gęziej skórki. Ale sublokator po prostu przeszedł tylko. Mignął w żółtym świetle sączącym się pod storą, którą Hannah zajęta swoją paczką podniosła, żeby lepiej widzieć.

- Co, do diabła, trenujesz przed włamaniem do banku? - zapytała. - Skradasz się w tych cichostępach.

- W tenisówkach najwygodniej się chodzi - odparł.

- Dlaczego nie poszedłeś do roboty? Chyba jej nie rzuciłeś, co?

- Nie. Czuję się chory. Zostałem w domu. Już drugi dzień.

- Co ci jest?

- Nie wiem, chyba nic wielkiego.

- Mam nadzieję - westchnęła, lecz bez przejęcia. - Wszyscy chorują. Przez tę wojnę pewnie.

Znow zaczęła majstrować koło pakunku, który jednak jakby przestał ją interesować. Wargi jej zwiotczały bardziej jeszcze niż zwykle.

Błyszcząły, ponieważ musiała je oblizać, gdy zaschły w momencie przestrawu.

Alfowi przemknęła przez głowę myśl, że mógłby wykorzystać czy przynajmniej zachować w pamięci grę żółtego światła przecinającego sylwetkę kobiety na tle żółtego drzewa i luster.

Hannah zauważyła tylko, że Alf przygląda jej się zbyt uporczywie.

Wychodząc powiedział, że chce odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

Wątpliwe co prawda, czy to mogło mu się udać. Zamiast powietrza, które by przenikało do płuc, wisiało nad

ziemią coś, co zatykało drogi oddechowe jak wilgotna bibuła. Gęste cytrynowe światło zalewało ceglane ulice i oblepiało korzenie przystrzyżonych platanów. Gdzieś w oddali rozpalala się łuna pożaru. Wszystkie przerażające zdarzenia i groźby ostatnich paru dni wezbrały nagle w ustach Alfa i rzygnął brunatną plwociną, tak że jakaś stara kobiecina cofnęła się z progu w głąb własnej nędzy, byle dalej od tego chudego czarnucha, który szedł niedbałym krokiem, z rękoma w kieszeniach, i pluł krwią. Wcale tego nie zauważył. Poczł tylko ogromną ulgę. Teraz już mógłby wykorzystać impast tej pełni lata, nabrzmiewające żółtym światłem popołudnia. Mógłby się w nim wytarzać. Mógłby swoją własną kaligrafią wypisać legendę szarej, spękanej cegły. A na jej tle wydłużyłby jeszcze bardziej te długie twarze, wyłobiliłby jeszcze głębiej te zakłęś-łe skronie, obdarzyłby wzrokiem nieprzejrzyste powieki. To było popołudnie Humphreya Mortimera. Każda fala powietrza niosła zapach gnijących owoców, eteru, który nie znieczula, niezdrowego potu. Czarny człowiek znów musiał splunąć i teraz plwocina miała jaskrawszy kolor. Tym razem musiał ją zauważyć. Szkarłatna plama przykuła go do miejsca, stał, wpatrując się w szary chodnik i przypomniał sobie, że nie dochował powierzonej tajemnicy. Nieubłagana czerwień potępiła jego bład. Splunął raz jeszcze i stwierdził, że kolor, jak wszystkie tego rodzaju myśli, listościwie blednie, chociaż pierwotna przyczyna i słabość oczywiście w nim pozostały. Czyż bowiem nie zdradził Humphreyowi Mortimerowi sekretu, którego był powiernikiem?

Usiadł na ławce, nie w parku, lecz na ulicy, na pierwszej ławce, która znalazła się^{sTJTJjj}Wiżu. Od czasu do czasu spluwał i obserwował k^{fbr}plwo^w, aż wreszcie doszedł do wniosku, że krwotik- ustal. » |1

Jakiś mężczyzna przysiadł się do niego i powiedział, że wojna już wkrótce się skończy, ponieważ - jak się wyraził - tak jest napisane w Piśmie Świętym.

Alf Dubbo nie odpowiedział, przekonany, że nieznajomy ma rację. - Żli ludzie - ciągnął prorok - zdeptani będą pod stopami, a podobny los spotka także mniej przewrotnych, którzy zdradzili Boga przez głupotę i próżność, gdy nawięła się okazja. Do nich należą też cudzołożnice, sodomici, spekulanci z czarnego rynku i nieostrożni kierowcy taksówek - wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób zdradzili prawdę. Zmierzch rozszczeniał się na drobne cząstki. Nie zostało nic, prawie nic, prócz tego procesu rozkładu.

Alf poczuł ból w piersiach. W tej chwili, gdy wszystkie wartości miały się zawalić. Wszystkie solidne formy, za które mógł ręczyć. Wszystkie jasne kolory przenikające pole widzenia.

- Zobaczycie - mówił nieznajomy proroczym tonem.

- Cena jajek spadnie. A także cena sardynek.

Alf Dubbo wstał i odszedł. Nie mógł pohamować tęsknoty do widoku tych paru swoich obrazów, w których wyraziła się jego niewinność jeszcze nieskalana, w których Bóg pozwolił mu wypowiedzieć niewzruszoność form, ciągłość życia, a nawet błędy.

Brnął przez ciemności, myśli zgrzytały w jego głowie, oddech zgrzytał w klatce żeber, a ulice rozstępowały się przed nim.

W domu przy Abercrombie Crescent zastał Normana Fussella. Norm przymierzał białe futro przed lustrem swej przyjaciółki. Prawdziwa jego istota wzięła w nim górę, zboczenie mizdrzył się i krygował, podziwiając swe odbicie ze wszystkich stron.

- Hej, Alf! - zawołał. - Czy możesz się oprzeć urokom tego polarnego lisa?

Ale Hannah zamknęła mu usta, gdy otworzyły się drzwi wejściowe.

- Dość tego, głupi błaznie. Nie miała ochoty na cyrk.

Norm był chyba trochę podпиты. Chcąc dalej błaznować, nie pozwalał swej partnerce wycofać się ze sceny, jakby wołała. Oboje byli w odpowiednich kostiumach, bo mieli zwyczaj w domu rozbierać się do połowy, dopuszczając ciało do udziału w groteskowej komedii. Tu i ówdzie wzdęci, gdzie indziej zakłęśnięci, zdawali się bardziej jeszcze miękcy i nadzy w zestawieniu z białym futrem, o które się teraz spierali. Norm był weselszy, uszczęśliwiony dotknięciem futra. Policzki ociekały mu radością. Twarz kobiety, sucha i dziwnie płaska, stanowiła kontrast z jego twarzą. Można by ją sportretować w wapiennej bieli. Norm wygłupiał się nadal. Niewątpliwie był mocno pijany. Kołysał się i czepiał lisiego ogona, podczas gdy Hannah chwyciła lisi łeb.

- Czy mam ci powiedzieć, Alf, jak między nami panienkami doszliśmy do forsy? - zawołał, szarpiąc lisa.

- Dostaniesz w zęby - wrzasnęła Hannah - zanim roze-drzesz to przekłete futro!

Alf Dubbo roześmiał się, lecz tylko przez grzeczność. Nie miał w tej chwili czasu do stracenia.

- Co bredzisz o forsie?! - krzyknęła Hannah. Opowiedziała mu, jak zdobyła futro w drodze wymiany od pewnego Żyda, który chciał się odwdzińczyć za przysługi, wyświadczone przez nią w pierwszych dniach jego uchodź-czej biedy. Mówiła głośno i dobitnie, jakby podejrzewała, że ktoś mógłby jej nie uwierzyć.

Alf jednak już odszedł. Norm zrezygnował z futra i omal się nie posiusiał ze śmiechu. Zachłystywał się chichotem. Trzęsły nim drgawki. Meble podskakiwały i brzęczały okuciami.

Alf wreszcie znalazł się w swoim pokoju, gdzie stały odwrócone do ścian obrazy, zielonkawoczarny manekin krawiecki i wszystkie inne bezsensowne przedmioty, którym żyjąc wśród nich nadał sens. Zdawało się, że pokój trzeszczy rozpierany potrzebą zrzucenia swej surowej, zamkniętej formy. Manekin chylił się do przodu na spróchniałej drewnianej nodze. Druty elektryczne furkotały. Alf odwracał obrazy. Jeden po drugim. Jeden po drugim.

Drobnym dreszczem, gwałtowną falą wracało w niego życie. Ręce już nie były kośćmi obleczonymi suchą jak papier skórą, gdy dotykały obrazów i opierały je pieczołowicie o łóżko, o zardzewiały piecyk naftowy, o róg izby. Obrazy znów sławiły i potwierdzały prawdę z mocą, do której wargi nigdy by nie były zdolne.

Powróciwszy na łono swej wiary, nie oparłby się chyba impulsowi, by natychmiast wydobyć farby i wyrazić te pogłębiające się żółte tony, których się napatrzył wieczorem na ulicach, gdyby nagle ta żółć nie podpłynęła mu do gardła. Gdyby nie odkrył, co się stało.

Zęby wyszczerzyły się straszliwie w jego twarzy. Alf rzucił się na swój dobytek i na rupiecie, które Hannah zostawiła w pokoju sublokatora, przewracając, szukając gorączkowo. Potrącił manekin, który zwałił się w obłoku sypiącego się z kadłuba kurzu. Może przeoczył po prostu to, czego szukał? Często w chwilach uniesień i zapamiętania nie widział rzeczy, które miał przed oczyma. Tym razem jednak z poszukiwań wyłoniła się tylko gorzka rzeczywistość: *Piec ognisty* zniknął razem z dużym szkicem *Wo%u*. Alf nawet nie sprawdzał, co więcej zginęło. Nikt nie liczy dalszych ciosów, gdy wie, że pierwszy będzie morderczy w skutkach.

- Hannah!

Nigdy jeszcze taki krzyk nie rozległ się w tym korytarzu. Alf biegł cicho, jakby na podbitych gąbką stopach. Dyszał głośno.

Chociaż dopadł jej pokoju niemal błyskawicznie, Hannah już zdążyła wyjść na jego spotkanie na próg. Widocznie doszła do wniosku, że nic nie wskóra gadaniem. Suchość i bladość, które od niedawna pojawiły się na jej twarzy, odbijały wyraźnie od wywalczonego futra. Rozpostarła lisa sztywno i skromnie na swoich nagich ramionach. Już się nim nie chełpiła. Łańcuszek, zakończony jakby żółędziami, przytrzymał futro nad brudna-woźółtym zagłębieniem między piersiami.

- Hannah! - zawołał bez tchu. - Tyś to zrobiła?! Słowa więzły mu w krtani.

- Zaraz ci wytłumaczę - odpowiedziała, nie próbując już wykrętów, skoro doszło do tej sceny. - Ale mógłbyś się nie pieklić, nie masz o co, dopóki się wszystkiego nie dowiesz.

Norm wyglądał zza jej ramienia. Był bardzo ciekawy, wobec tego, co już wiedział, jak się też dalej sprawa potoczy.

Alf Dubbo sprężył się cały. Dyszał i szczyrzył zęby. Jego zębra, gdyby je ktoś mógł widzieć, napięły się przerażająco.

Ale Hannah była miękka jak łój. Z ukrytym w środku nerwem.

„Wytłumaczę, wytłumaczę” - zdawała się mówić.

Nie bardzo ją obchodziło, czy teraz będzie musiała umrzeć. Właściwie już wyczerpała całe swoje życie. Tylko myśl o niemożliwym do wyobrażenia akcie umierania wprawiała w dygot jej chory nerw.

Alf Dubbo zacisnął ręce na jej gardle. Osunęła się bez oporu, zanadto czuła się winna, żeby próbować obrony. Gotowa była cierpieć, skoro to było nieuniknione. Prawie pożądliwie czekała, żeby jego palce wpiły się w mięką omdlałość, w którą zamieniło się teraz jej ciało.

Tak więc powalił ją w progu jej pokoju. Łańcuszek przytrzymujący lisa pękł, Hannah leżała skulona w różowej koszuli. Szarpnęła się nagle.

Policzkiem szorowała o wyłysiały dywan albo grzęzła w zapachu nowego futra.

Czarny człowiek cisnął ją wściekle, pobladły pod ciemną skórą. Nienawiść, rozpacz wobec odartej z nadziei przyszłości rzeziła w jego oddechu, napinała mięśnie jego ramion.

Nagle Hannah oswobodziła gardło od jego uchwytu. Może już dość odpokutowała.

- Aaaa! Norm! Na litość boską - jęknęła. Norm Fussell z trudem pohamował cichy chichot. Sytuacja nie była jednak zabawna. Dla Norma także

stawała się nieznośna, bo oficjalnie uchodząc za mężczyznę, wezwany został do dokonania cudu. Dotychczas podskakiwał wokół tych dwojga, nagi, wyzbywszy się razem z ubraniem wszelkich obowiązków, lecz teraz, usiłując poskromić Alfa, spróbował jednym ramieniem chwytu, którego nauczył go kiedyś pewien marynarz, ale który zwykle mu się nie udawał.

Bądź co bądź walczyli teraz wszyscy troje. Oddechy ich splotły się w powrozy równie twarde jak napięte ramiona. W pewnej chwili Hannah znów zaczęła bełkotać:

- Wytlumaczę ci, Alf, wytłumaczę.

Język miała spuchnięty. Wywalony z ust jak z papuziego dzioba. Między usprawiedliwienia wtykała płaczliwe skargi nad własnym nieszczęściem.

- Wytłumaczę - zdołała jakoś wykrztusić. - To ten wszarz Mort... o Jezu... Alf, przysięgam... wzięłam tylko parę szylingów za pośrednictwo... z twoich pieniędzy, Alf.

To go jeszcze bardziej rozwścieczyło. Zło, które powinien zabić, wymykało mu się chytrze.

Bo wszyscy troje zrozumieli wreszcie, że naprawdę przeznaczona im jest śmierć, prędzej czy później, może nawet w tej chwili.

Na widok krwi rozmazanej po ramionach i po koszuli - czyjaż to mogła być krew, jeśli nie jej własna? - Hannah zaczęła na nowo opłakiwać swoje męki, wszystko, co w życiu

przecierpiała, powolne tortury, chociaż z książek historycznych wiadomo, że dawniej po prostu i prędko ścinano ludziom głowy. W tym jednak momencie Norm Fussell wysiłkiem, własnym ciężarem czy może chytrą sztuką nabytą od marynarza, zdołał oderwać Alfa od swej przyjaciółki.

Hannah wstała. Rozczulenie nad własną krzywdą nie powstrzymało jej od natychmiastowego działania. Ciało na niej zwiotczało i obwisło. Ale to nic dziwnego, schudła ostatnio. Jak najspieszniej wyciągnęła szufladę swojej toalety. Zanurzyła dłonie w stos chusteczek. Wydobyła kopertę, roztrzęsioną bardziej jeszcze niż jej ręce. I gdy Alf zbliżył się znów do niej, mogła się od niego odgradzić tą kopertą.

- Przysięgam! - krzyknęła, dygocząc ze strachu. - Nigdy bym ci nie zrobiła świństwa! Widzisz, Alf? Widzisz?!

Alf niezdolny był widzieć nic, ale fizyczna słabość ostudziła w nim gniew.

- Widzisz, Alf? Tu jest twoje nazwisko. Wypisane moją ręką. Wzięłam tylko swój procent. Kupiłam lisa. Nie miałam złych zamiarów. To ten dureń Mortimer nie dawał mi spokoju. Patrz, Alf, tu jest cała reszta. Miałam ci ją oddać, niech skonam, jeśli kłamię, tylko czekałam, żebyś się uspokoił.

Alf Dubbo na razie był zupełnie bezsilny.

Widząc krew na swoich ramionach, koszulę zmienioną w krwawy bandaż, Hannah rozplakała się znów nad męczeństwem, którego ledwie uniknęła, nad wszystkim, do czego ją zmusiło życie. Norman Fussell zauważył, że z włosami zbitymi w kępki jego przyjaciółka wygląda jak karykatura sławnego kłowna.

Ktoś zapukał do drzwi: to sąsiad, Włoch, chciał się dowiedzieć, czy nie trzeba wezwać policji.

- Nie - uspokoił go Norman Fussell - po prostu zdarzyła się mała różnica zdań, już załatwiona po przyjacielsku.

Ale Hannah płakała.

- Tyle pieniędzy - chlipała. - I za co? Za jakieś tam malowidła. Zrobiliśmy to przecież dla twego dobra.

Ten argument wiele osób uważa za nieodparty.

- Wiem, Hannah - zgodził się Alf. - Ty jesteś uczciwa.

O tyle, o ile ludzie mogą być uczciwi. Na więcej słów nie starczyło mu tchu.

Hannah z ulgą stwierdziła, że krew, która ją tak przeraziła, nie wypłynęła z jej ciała, bo teraz ciekła z ust czarnucha.

- Wybiłeś sobie ząb czy co?

- Tak - wyjąkał.

Teraz Hannah zaczęła się nad nim litować, bo serce miała miękkie, a krew jest smutna jak szpitalne, deszczowe noce, stare, brudne, bezkształtne kobiety, spłaszczone, piekące stopy i twarze ludzi przechodzących pod zielonym neonem.

- Och, biedaku! - krzyknęła, lecz w porę opanowała się

I zawołała za nim: - Nie zapomnij wziąć swoich pieniędzy, Alf. To twoje pieniądze. Co prawda możesz je bezpiecznie u mnie zostawić. Wiesz chyba, że ja nikomu nie zrobię świństwa.

Alf Dubbo już bowiem odszedł korytarzem do pokoju, którego tekturowe ściany nie zdołały obronić jego tajemnicy. Może w gruncie rzeczy tylko czaszka jest bezpieczną skrytką na sekrety.

Ale czaszka, jak już wiedział, jak przypomniał sobie z rozpaczą, także nie dochowa na wieki tajemnicy; musi pęknąć, gdy się w niej za wiele nagromadzi. Wszystko wylewa się wtedy, kijanki i niezdarne jaszczury, ale także łuna błyskawic i słupy ognia. Nie da się zamknąć myśli, chyba że namówisz kogoś - tylko przyjaciel może się na to zgodzić - żeby wziął siekiere i rozbił nieszczęsną skrytkę raz na zawsze. Ale jakżeby to było straszne, gdyby wyszedłszy spośród rumowisk musiał spotkać twarzą w twarz ludzi, którzy by się

zbiegli i stanęli wkoło, między meblami, czekając. Wtedy nawet wielbny Jezus Calderon na próżno podnosiłby swoją białą dłoń i próbował władzy swoich smutnych oczu; nie zbawiłby duszy czarnego od dotknięcia piór i skrzydeł, nie przeważyłby zimnych szal wagi.

Wreszcie noc ciężko opadła na dom przy Abercrombie Crescent. Norm Fussell, nerwowiec, poszedł się przejść trochę. Hannah zrezygnowała na tę noc z zawodowych interesów, była kompletnie wyczerpana, zażyła aspirynę czy raczej trzy aspiryny, wiedząc, że i tak nie zaśnie. A jednak musiała się w końcu zdrzemnąć trochę.

Obudziła się o piątej nad ranem. Nie przywykła oglądać szarego brzasku ścielącego się na pustym łóżku; zdjął ją strach. Zatęskniła do pogawędki, zapragnęła znów życie osłodzić ślazowym cukierkiem konwencjonalnych uczuć. Nic tak nie pociesza jak wytarte frazesy. W braku tej pociechy, obmacując swoje siniaki, spojrzała w głąb korytarza.

Drzwi do pokoju Alfa były otwarte.

- Alf - zawołała raz i drugi, ale cicho.

Potem opierając rękę o ścianę, zapuściła się w korytarz.

Pokój zdawał się pusty. Hannah musiała wreszcie zapalić światło, żeby to stwierdzić na pewno, chociaż blask elektryczności raził okrutnie jej oczy. Alf Dubbo zniknął. Zabrał swój blaszany kuferek i ulotnił się z nim razem.

Wszędzie dokoła wśród rupieci, które miała zwyczaj upychać do tego pokoju, rozrzucone były kawałki drewna. Alf najwidoczniej przyniósł z podwórka siekiere - stała jeszcze pod ścianą - i porąbał wszystkie swoje obrazy. Prócz nich nie tknął niczego. Tylko te przeklęte zamalowane deski. Szczątki poniewierały się na podłodze.

Z nagiej żarówki cienką strugą lało się jaskrawe światło.

No cóż, Hannah doszła do wniosku, że można tymczasem zostawić drewno na miejscu. A w swoim czasie przyda się na

rozpałkę. Odetchnęła z ulgą. Słyszała nieraz o innych wariatach, którzy rąbali wszystko, co wpadło im pod rękę, całe kosztowne umeblowanie domu.

Wolno wróciła korytarzem, gdzie światło już zaczynało drżeć, stopniowo i naturalnie przechodząc z szarości w biel; dopiero teraz Hannah przypomniawszy sobie, że czarnuch nie zgłosił się po swoje pieniądze. Leżą w szufladzie pod chusteczkami. Oczywiście, Alf przyjdzie po nie, a Hannah odda mu kopertę, jest uczciwą kobietą. Ale bywa, że właściciel się nie zgłasza. Bywa, że umrze. Bywa, że umrze w nim jakaś ważna władza, wola czy coś podobnego, i że już mu na niczym nie zależy. Przypomniawszy sobie, jak wyglądał czarnuch, gdy spadł na niego cios, jak stał wparty patykami nóg w dywan pośrodku pokoju, skóra i kości, bez tchu w piersiach. Gdyby ktoś w tym momencie stuknął w niego palcem, odpowiedziałby pewnie głuchy dźwięk, jak z pustej skorupy kraba. Nie pamiętała jednak, czy widziała wówczas jego oczy, a bardzo chciała sobie przypomnieć, usiłując odtworzyć całą scenę.

Mimo wszystko zbudziła się w niej nadzieja. W chłodzie poranka ogarnęła ją gorączka. Już była teraz w swoim pokoju. Postanowiła kopertę z pieniędzmi schować gdzie indziej. Skoro dotychczasowa kryjówka była wiadoma. Oczywiście nie chodziło jej o Norma. Norm jest tak jak i ona uczciwy.

Alf Dubbo nie wrócił do domu przy Abercrombie Crescent. Dom ten skojarzył się w jego umyśle z jakimś bagnem, które zapamiętał, chociaż go nigdy nie widział, z bagnem, z którego biała magia miłości i miłosierdzia nie zdołała wypędzić upiorów. Oczywiście, nie spodziewał się niczego dobrego, lecz za każdym razem na nowo dławiał go wstręt,

527

ilekroć potwierdzały się jego przewidywania. Aniołowie są zamaskowanymi szatanami. Nawet pani Pask zrzuciła błękitną szatę, wyrosły jej miedziane piersi i drapieżny dziób. Jeśli miał jeszcze jakąś wiarę, to wierzył swoim ręką. One mogły odkupić to, co pastor Calderon nazwałby duszą, a co w wyobraźni Alfa było czymś pośrednim między materialnym kształtem a bezgranicznym pragnieniem. Tak więc w aktach uwielbienia, którymi były jego obrazy, usiłował wyrazić i wyzwolić swego ducha.

Jeżeli chodzi o materialną stronę bytu, pracę znajdował bez trudu, toteż przez pewien czas po ucieczce z domu przy Abercrombie Crescent zmieniał często posady. Wynajął pokój na peryferiach Barranugli, u pani Noonan, która nie zadawała mu żadnych pytań; nagie ściany i tapczan nakryty kapą w spłowiałe róże stanowiły spokojne tło do jego rozmyślań. Czytał dużo, skłaniała go do tego fizyczna słabość wywołana przez chorobę, a także namiętą chęć zrozumienia. Najczęściej sięgał po Biblię i po kilka książek o sztuce, które sobie kupił, ale nade wszystko pociągały go księgi proroków, ostatnio zaś także Ewangelia. Ale tę część Pisma czytał z nieufnością i zdumieniem. I tak samo jak dawniej, nie mógł pogodzić tych prawd z własnymi doświadczeniami. Boga przyjmował, czuł przecież w sobie niekiedy pracę jakiegoś ducha, ale za wiele widział obłudy białych ludzi, żeby mógł uznać w Chrystusie coś innego niż ambitną abstrakcję lub też, realistycznie, człowieka.

Kiedy skończyła się wojna białych ludzi, niejeden z nich chętnie kupował Alfowi alkohol dla uczczenia pokoju i razem rzygali do rynsztoka z przepełnionych żołądków, które w tych okolicznościach nie różniły się kolorem. W fabryce pana Rosetree jednak, gdzie zaczął wkrótce po wojnie pracować, Alf Dubbo był zawsze tylko tubylcem. Nie pragnął zresztą niczego więcej, bo ten stan rzeczy pozwalał mu

szybciej i głębiej zapuszczać się w łowieckie tereny wyobraźni. Biali ludzie pod pretekstem pokoju stali się bardziej niż kiedykolwiek nadęci, owłosieni, gładcy i zadufani we własną niezaprzeczoną wyższość. Kiedy siedzieli na swoich ławkach w fabryce albo chodzili między maszynami, zdawało się, że lada chwila któryś pięknie, rozsadzi trykotową koszulkę, rzuci się napastliwie na zbyt bierną przyszłość. Albo na podejrzanych wysłańców innego świata.

Przy jednej z wiertarek w odległym końcu sali siedział, jak powiadano, jakiś przekłety cudzoziemiec. Tubylec obserwował go z zainteresowaniem. Ale tamten rzadko podnosił wzrok. Tubylec zresztą niczego się nie spodziewał.

Potem jednak porozumieli się za pomocą pewnych znaków, bez gestów i bezpośrednich spojrzeń.

Jak się to zaczęło, czarny człowiek nie umiałby wytłumaczyć.

Subtelniejsze od wszelkich ludzkich środków porozumienia nici związały ich wzajemną ufnością, toteż Alf zrazu czuł się urażony, gdyż Żyd w końcu w umywalni zagadnął go wręcz, jak gdyby naruszając milczącą umowę. Potem jednak uświadomił sobie, jak bardzo pokrzepiło go stwierdzenie, że Wóz istniał poza wizją proroka i jego własną wyobraźnią.

CZĘŚC SZÓSTA

XII

Pascha i Wielkanoc miały przypaść wcześniej tego roku. Ciężkie dni zwały się wciąż jeszcze ciężko jeden na drugi i nic nie zapowiadało ulgi dla przytłoczonych ich brzemieniem ludzi. Nic więc dziwnego, że dusze nie kwapiły się z przygotowaniem czy to na doroczne wyzwolenie z niewoli egipskiej, czy to na odkupienie krwią Zbawiciela, skoro ciała zamurowane były w piramidzie dni. Panna Hare zapuszczała się głęboko, lecz daremnie, w tunele otwierające się promieniście z Xanadu i rozgarniała zielony gąszcz, dygocąc w niecierpliwym oczekiwaniu na chwilę, która nie nadchodziła, nigdy nie miała nadejść. Pani Godbold, stojąc w obłokach pary bijącej znad balii, czekała na świeży wielkanocny wiatr, który nawet po latach wciąż jeszcze w jej pamięci dmuchał od moczarów i grzechotał białymi gałęziami wiśni, tak że wiersze hymnu drżały za wstrząsanymi w futrynach szybami. Ale tego roku wiatr nie wiał. Pani Flack i pani Jolley, krzątającym się wśród dalii przy willi „Karma”, łatwiej było myśleć o Wielkanocy jako osobom regularnie przyjmującym komunię i członkiniom Stowarzyszenia Pań. Natomiast Harry'emu Rosetree, pocącemu się w dyktowej przegródce kantoru fabrycznego, ta pora roku zawsze przynosiła wiele rozterki. Starał się ją pokonać klnąc i obciążając nogawki.

Spodnie zawsze marszczyły się i uwierały go boleśnie w pachwinach, gdy w firmie gorączkowo wykonywano zamówienia, a powietrze nasycone było wilgocią.

- Chryste Panie - jęczał Harry Rosetree, waląc pięściami, wierząc się i kręcąc w obrotowym, chwiejnym, lśniącym od niklu fotelu, usiłując pozbyć się przykrego ucisku w kroczu. - Dlaczego ta Wielkanoc taka wczesna w tym roku? Nie sposób zdążyć z wykonaniem zamówień. Panna Whibley w sekretariacie, pulchniejsza z dwóch urzędniczek bębniących w zawrotnym tempie za maszynach, z niesmakiem klasnęła językiem o zęby. Chudsza, panna Mudge, zachichotała, jakby chodziło o dowcip, i to bądź co bądź dowcip szefa.

- Może mi pani to wytłumaczy, panno Whibley?

Pan Rosetree nalegał. Bywał nieznośny, ale płacił przecież za to.

- Ponieważ jest to święto ruchome - odpowiedziała panna Whibley. Miała nadzieję, że w odpowiedzi dała wyraz swej wyższości, ale nie zanadto szorstko. Była zwolenniczką umiarkowania w zuchwalstwie.

- No to niech się rusza, niech się rusza, niech pani przypilnuje, żeby się ruszyło na przyszły rok trochę dalej naprzód - ciągnął pan Rosetree, wertując stosy papierów.

Panna Mudge parsknęła śmiechem i wytarła ramiona prywatnym ręcznikiem. Można było przewidzieć, że szef, raz wpadłszy w ten nastrój, będzie dowcipkował przez całe popołudnie. Panna Mudge, mimo odrobiny wyrzutów sumienia, lubiła jowialnych mężczyzn. Mieszkała z owdowiałą siostrą i nadmiar nieszczęść tej chorowitej emerytki znudził już obie kobiety.

- Nie mam ochoty wypruwać sobie flaków dla żadnej Wielkanocy, ruchomej czy stałej.

Pan Rosetree postanowi! widać zaimponować komuś dzisiaj swoim dowcipem.

Panna Whibley tym razem głośniej klasnęła językiem.

- Całe szczęście, że żadna z nas nie jest religijna, panie dyrektorze. Panna Mudge jeszcze mniej niż ja.

Panna Mudge zaczerwieniła się i wybąkała, że lubi ładne hymny, pod warunkiem, żeby sama nie musiała ich śpiewać.

- Ja jestem religijny - rzekł pan Rosetree i przybił dłonią papiery. - Jestem religijny, jestem religijny - podśpiewywał.

Rzeczywiście chodził w niedzielę i ważniejsze święta do kościoła Świętego Alojzego w Paradise East i wtykał zakonnicom w rękę banknoty tak niedyskretnie, że spuszczały oczy, jakby zmuszano je do uczestnictwa w jakiejś nieprzyzwoitej scenie.

- Powinna pani być religijna - zaśmiał się pan Rosetree.

- Inaczej pójdzie pani do piekła, a wtedy źle będzie z panią. Z kolei zaczerwieniła się panna Whibley. Fałdy jej podbródka nabrały ciemnosinego odcienia; sięgnęła po puder-niczkę i z dokładnością myjącej się kotki zaczęła pudrować się od czoła aż po wycięcie sukni.

- Nie, wcale nie jestem religijna - oświadczyła, lekko oblizując wargi. - Zapewne wpłynął na mnie przyjaciel, materialista dialektyk.

Pan Rosetree śmiał się coraz serdeczniej. Nie mógł się oprzeć ciekawości i spytał:

- A co to takiego?

Pan Rosetree był tego dnia bardzo wesół bez specjalnej przyczyny.

- Trudno, żebym panu wszystko tłumaczyła od początku

- oburzyła się panna Whibley.

- Ach, ci intelektualiści - westchnął pan Rosetree. Panna Mudge odkaszlnęła i przesunęła w ustach pastylkę.

Lubiła słuchać, jak inni ludzie rozmawiają, lubiła obserwować.

W ten sposób, chociaż nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby coś wnieść w życie, miała wrażenie, że bierze w nim udział. Zauważyła, że koleżankę rozdrażniła ta wymiana zdań. Współczucie piekącą zgagą podpłynęło do jej na ogół dość oschłej krtani.

- Mój przyjaciel jest urzędnikiem - mówiła panna Whibley. - W biurze podatkowym. Uchodzi za rzeczoznawcę w dziedzinie podatków nadzwyczajnych.

I trochę bez związku dodała coś, co od dawna zamierzała przy okazji wtrącić dla eksperymentu:

- Mój przyjaciel także jest ćwierć-Żydem.

Pan Rosetree segregował pliki papierów, które w tej temperaturze trzeba było przemocą odklejać jedno od drugich. Panna Whibley nie patrzyła na niego, ale wyczuła, że drgnął.

- Ćwierć-Żydem. No, proszę. A ja jestem ćwierćfetyszystą na punkcie bucików, jeśli chce pani wiedzieć. I w pięciu ósmym maniakem depresyjnym. Zostaje reszta, którą warto by wyjaśnić. Na razie więc nie da się ściśle określić, czym jestem.

Panna Whibley pchnęła wałek maszyny do samego końca. Panna Mudge nic nie rozumiała, lecz jej koleżanka uznała, że wypada się obrazić. Toteż obraziła się z zawodową sprawnością.

- Ćwierć-Żydem! - wykrzyknął pan Rosetree.

Panna Whibley wolała nie słyszeć. Schyliła głowę nad stenografowanymi notatkami, a jednocześnie w duchu dalej pielęgnowała swoją urazę.

Panie już kończyły pracę i wyszły tego popołudnia manifestacyjnie. Z hali fabrycznej robotnicy także już wychodzili. Niektórzy kierowali się do przystanku autobusowego, inni na placyk zatłoczony odrapanymi samochodami. Czy mieli w ręku schludne teczki, czy też przewieszane przez ramię na

sznurku worki po cukrze, żaden gest w ciągu dnia nie był tak jawną manifestacją niezależności jak ten gremialny wymarsz. Jak gdyby prócz pracodawcy nikt nie dostrzegał niewątpliwego związku między opuszczeniem fabryki a stawieniem się rano do roboty.

Pracodawca powinien by także opuścić fabrykę, gdy ściany wreszcie przestały dygotać i cisza wróciła do baraku, który był niezaprzeczoną jego własnością, lecz Harry Rosetree siedział nadal przy biurku.

Postanowił dłużej popracować. Nie pracował jednak. Cisza była tak namacalna, że nabrał przekonania, iż ona również jest jego dziełem, tak samo jak latarki do rowerów, komplety przyrządów do nauki geometrii, spinki do włosów i spinacze. Oczywiście złudzenie to nie trwałoby długo, gdyby irracjonalna radość nie ogarnęła Harry'ego Rosetree już wcześniej, zanim jego pracownicy zaczęli wychodzić; gdyby nie to, prawdopodobnie zaskoczyłaby go ta sama cisza, która teraz spotęgowała w nim poczucie władzy i wolności. Lecz radość, która tego popołudnia skłoniła go do niesmacznych żartów w rozmowie z urzędniczkami, była wścibska i agresywna, toteż nie dawała się odsunąć na bok. Harry Rosetree nie mógł jej powstrzymać, tak samo jak nie mógł powstrzymać czasu, gdy odliczał minuty tykające niezmordowanie w ciągu tego ostatniego tygodnia przed Wielkanocą w straszliwej ciszy, takiej, w której dusza się odradza.

Co prawda państwo Rosetree niezbyt gorliwie praktykowali. Ale Harry Rosetree był uczciwym człowiekiem. Skoro ktoś podpisał umowę, powinien dotrzymać jej we wszystkich punktach. Religia to interes jak każdy inny. Państwo Rosetree są teraz chrześcijanami i zrobią, co do nich należy. Shirl narzekała, jak to kobieta. Od dziecka uczono ją - mówiła - że ma siedzieć w domu, faszerować ryby, zagniatać kluski, a nie chodzić na modlitwy razem z mężczyznami. Nieczęsto

bywała na rannej mszy, ale od czasu do czasu Harry przekupywał ją flakonikiem perfum lub parą pończoch. Wtedy stroiła się w złote bransoletki, które stranowiły taką wygodną lokatę, i czerpała wiele zadowolenia z przyciszonej nabożnej atmosfery - moment podniesienia był uroczy - i ze spotkań z żonami wysokich urzędników, ubranymi w kosztowne suknie.

Na Wielkanoc jednak państwo Resetree zamówili pokoje w „Górskim Zakątku”. Bardzo pięknie, są chrześcijanami - mówiła Shirl - ale także Australijczykami. Będą więc po herbacie śpiewać *Brązowy kufelek*, *Matylda tańczy walca* i *Pakuj kłopoty*. Razem z całą bandą uchodźców z Europy replikował Harry. Zwykle najmniej ufał temu, co najlepiej znał. Ten zapach, który owiał jego duszę, gdy Harry Rosetree w miedzianym blasku późnego popołudnia pracował, a raczej siedział w swoim biurze, nie był w gruncie rzeczy słodką wonią Wielkanocy. Obudził go z rozmyślań zapach niezwykły, oszałamiający. Nic innego, tylko cynamon. Oczywiście, pastylki panny Mudge: „Moje płuca, panie dyrektorze, muszą bardzo uważać podczas deszczowej pogody, mam nadzieję, że nie przeszkadza panu ten natrętny zapach”. Pachniało rzeczywiście. Nawet po wyjściu panny Mudge zapach wciskał się w tunelu pamięci, trafiał do najgłębiej ukrytego zakątka.

Znów rodzina zasiadła w długim, ale wąskim, mrocznym pokoju, podnosząc do ust brunatną jabłeczną marmoladę. Matka utkała fotel mnóstwem poduszek, na których ojciec opierał się, a raczej kołysał. Ten nadmiar krwistoczerwonego pluszu, trochę już przecierającego się na oparciu pod głową, nie mógł służyć wygodzie. Chodziło o uroczystość, ojciec przywiązywał wielką wagę do uroczystych okazji. Niezależnie od stanu interesów, od humoru gojów, ojciec niezmiernie

nie wygłasza! to samo kazanie: wszystko, co nam zostało, Chaimie, to nasza historia, nasze spokojne radości szabasu i świąt, woń cynamonu i zapach korzeni, mądrość Tory i nauki Talmudu.

Niegdyś żywe w ustach ojca, słowa te szeleściły w pamięci jak suchy pergamin, ilekroć Chaim ben Jakub pozwalał sobie na wspomnienia. Co gorsza, niekiedy ukazywały mu się wypisane w kolumnach na zwojach ludzkiej skóry.

W tej chwili nad wszystkim górował zapach słów. Przy uroczystych okazjach - a było ich wiele - ojciec miał głowę nakrytą jarmulką. Z brodawki w kącie prawego nozdrza sterczały cztery czarne włoski. W święto Paschy ojciec tłumaczył: „To jabłko, Chaimie, ma nam przypominać brunatny muł Egiptu, musisz więc je zjeść, cynamon jest smaczny”. Mały chłopiec, Chaim Rosenbaum, nigdy nie przepadał za tą potrawą, lecz gdy dorósł, po wielu latach, chociaż oficjalnie i w oczach ludzi odarł Arkę z paschalnych ozdób, a swoją nadzieję ustroił w białe szaty wielkanocne, zapach cynamonu zawsze kojarzył mu się z głęboką radością Paschy.

Roztopione światło zalewało pokój, w którym siedział Harry Rosetree, i każde z dwojga oczu, które mu się przyglądały, zdawało się ustawione pod innym kątem, a to w połączeniu z nachyleniem płaszczyzn twarzy wywoływało złudzenie, że jest tych twarzy co najmniej dwie, a może trzy lub więcej. Przyjrząwszy się jednak uważniej, stwierdził, że wszystkie wersje, wszystkie linie spojrzeń dające się wyprowadzić z tych niezgodnych ze sobą oczu, skupiają się ostatecznie w jednym ognisku. Wszystkie rysy, pozornie jakby celowo zniekształcone i skłócone, składają się w sposób zupełnie naturalny na jedną, dużą, arcytypową twarz. Było to niepokojące; zabawne, ale także przerażające.

W końcu pan Rosetree zrozumiał, że to stary Żyd, od pewnego czasu u niego zatrudniony, ów Himmelfarb; ów

Mordechaj podszedł niepostrzeżenie korytarzem i zagląda przez okienko w drzwiach dyrektorskiego biura. Przechodził tędy i zawahał się widocznie. Świadczył o tym wyraz twarzy zatrzymanej na chwilę w okienku. Była to jedna z tych chwil, gdy wola rwie się łatwiej niż bawełniana przędza.

Pan Rosetree drżał, ale sam nie umiałby powiedzieć, czy z gniewu - nigdy nie mógł znieść twarzy tego starego, zanadto pokornego Żyda - czy z radości, że znajome, swojskie rysy, wywołane z pamięci, zmaterializowały się w biurowym okienku.

Z zaschniętego gardła mimo woli wyrwał mu się drżący wciąż jeszcze głos. Mimo woli, w rozterce między radością i spokojem, strachem i gniewem, szepnął:

- Szalom! Szalom, Mordechaj.

Twarz Żyda Himmelfarba rozpromieniła się w mgnieniu oka. Oczywiście padło na nią światło z przeciwległego okna, blask o tej porze olśniewający.

- Szalom, *Herr Rosenbaum* - odpowiedział.

Ale pan Rosetree chrząknął i już wykrztusił z siebie wszystko, co mogłoby narazić na szwank jego pozycję.

- Dlaczego, u diabła, nie wyszedł pan razem z innymi?

- spytał.

Wstał. Zaczął się przechadzać i kołysać na piętach drobnych stóp, elastycznych i gniewnych.

- Chce pan mieć przykrości w związku zawodowym?

- spytał pan Rosetree.

- Zapóźniłem się - tłumaczył Himmelfarb - bo nie mogłem znaleźć walizeczki.

Pokazał małą fibrową walizkę, mniej więcej taką, jakie noszą dzieci szkolne, a czasem robotnicy; położył ją na dowód swoich słów we framudze okienka.

Pan Rosetree był wściekły, lecz jednocześnie zahipnotyzowany przez ten nędzny przedmiot, który już zaczynał nabierać jakiejś potwornej wagi.

- Dlaczego nie mógł pan jej znaleźć?! - krzyknął. Może by nawet uderzył pięścią, gdyby nienawiść nie wzbraniała mu dotknięcia tego przedmiotu.

- Gdzieś się zawieruszyła - spokojnie wyjaśnił stary Żyd. - Może nawet ktoś ją schował. Dla żartu oczywiście.

- Ale kto tutaj takie podłe żarty wymyśla?

- No, młody chłopak - odparł Himmelfarb.

- Który?

Cały pokój drżał.

- Och, nazwiska nie znam. Wołają na niego Blue. Incydent oczywiście dziecinny, ale pan Rosetree nie mógł się od niego oderwać.

- Na miłość boską - rzekł - po co pan przynosi z sobą do fabryki tę cholerną walizkę?

Wstrętnei wydawali mu się wszyscy ci żydowscy nędzarze z Europy. A wstrętniejszy jeszcze od innych ten właściciel tandetnej, pogiętej walizeczki.

Stary Żyd spuścił oczy. Wyjął z wewnętrznej kieszeni kluczyk. Walizka otwarła się szeroko, niemal rozpustnie.

- Nie lubię tego zostawiać w pustym domu - wyjaśnił Himmelfarb.

Harry Rosetree wstrzymał oddech. Nie mógł już tego uniknąć, musiał spojrzeć do wnętrza walizki. Spojrzał. Tylko rzucił okiem. Sprawdziły się jego obawy. Zobaczył frędzle tałesu, czarne rzemyki filakterii, oplecione wokół Imienia.

- Niech pan to stąd zabierze, ale już! - krzyknął rozdygotany. - Ten cały kram. Czy wy, Żydzi, nigdy nie nauczycie się niczego, czy nie rozumiecie, że następnym razem znowu będziecie musieli za to cierpieć?

- Jeśli tak musi być - powiedział Himmelfarb, manipulując przy zamkach walizki.

- Ten cały kram! - powtórzył pan Rosetree.

Upalne, przesycone wilgocią powietrze działało na niego jak najgorzej. Widać to było na jego twarzy. Żydowski nędzarz już odchodził.

- Himmelfarb! - zawołał pan Rosetree klejącymi się, niemal sparaliżowanymi wargami. - Weźmie pan dwa dni urlopu - rozkazał. - Na seder. Ale proszę nikomu nie mówić, dlaczego się pan zwalnia. Bo gdyby się ktoś dowiedział... - Harry Rosetree dławił się nienawiścią. - Niech ludzie myślą, że... - Znów flegma czy może słowa uwięzły mu w gardle. Nawet żyły protestowały, nie mówiąc już o zsiniałej skórze - ...że pan zachorował - wykrztusił w końcu.

Robotnik skłonił głowę tak dyskretnie, jakby ta łaska należała mu się z prawa. Co do pracodawcy, to może odczuł tę nową zniewagę, lecz był człowiekiem otyłym, cierpiał z powodu zbyt wysokiego ciśnienia i doznane poprzednio emocje doszczętnie go wyczerpały.

- Kto wie, jakie formy przybiera choroba? - westchnął. Bardzo jednak cicho. I nie przyniosło mu to ulgi.

- *Herr Himmelfarb!* - ryknął, bo podwładny zbierał się po raz wtóry do odejścia.

Panu Rosetree starczyło sił, żeby sobie o czymś przypomnieć, mimo że była to myśl kłopotliwa. Grzebał w wewnętrznych kieszeniach marynarki. Wyciągnął portfel.

- *Für Fessach* - mruknął.

Stary Żyd był zaskoczony. Pracodawca podsuwał mu pod nos pięciofuntowy banknot.

- *Nehmen Sie. Nehmen Sie* - powtarzał groźnym tonem. - *Himmelfarb. Für Fessach.*

Harry Rosetree nie był na tyle naiwny, by wierzyć, że człowiek pieniędzmi może okupić swoje grzechy. Lecz jakaś okropna naiwność obmyła do czysta z twarzy Himmelfarba wszelki cień przypuszczeń tego rodzaju.

Żyd zawrócił. Powiedział:

- Bardzo pana proszę, niech pan to da raczej komuś, kto naprawdę potrzebuje.

Powiedział to ze słodyczą, która ma gorzki smak dla tego, kto nią został obdarzony.

Pan Rosetree wpadł teraz w wielki gniew. Przeklinał wszystkich głupich Żydów. Przeklinał własną głupotę. Ośmielił się przekląć lędźwie własnego ojca.

- Patrz, co zrobię z tymi głupimi pieniędzmi - wrzeszczał, mnać banknot. Rozszarpał go. Nie przedał po prostu, bo w furii nie mógł się zdobyć na gest tak precyzyjny. - O, tak!

Ochrypł z mściwej pasji.

Himmelfarb, gdyby mógł, chętnie by w jakiś sposób zadośćuczynił za niszczycielski wybuch, który spowodował, lecz na razie było to niemożliwe. Gesty, do których zachęcało okienko, paraliżowała ściana. Himmelfarb nie mógł nawet pozbierać strzępków papieru, które widział poniewierające się wokół stóp pracodawcy.

- Przykro mi, że narobiłem panu tyle zmartwienia - powiedział tylko. I rozumiejąc, że pokora bywa czasem bardziej obelżywa od zuchwalstwa, spróbował złagodzić cios, dodając: - Szalom, *Herr Rosenbaum*.

Z tym odszedł.

Bierny, lecz zachłanny skwar poprzedził porę Wolności. Lato przytłaczało do ziemi głowy traw. Wiotkie korony wierzb, szerniały w spojeniach, pożółkłe w zwisających pękach liści, stanowiły teraz bardzo słabą osłonę. Wprawdzie po południu przed wieczerzą paschalną rozścielono kobierce, lecz tkanina ich była szorstka, brudna, żółta, bo na lepszą nie zdobyło się słońce u schyłku lata. Właściwie chodniki, nie dywany. Mimo wszystko ciężkie, miękkie światło wyścieślało

drózkę - a przynajmniej tak się mogło wydawać o tej godzinie - przez zwiędłe trawy i kępy skudłonego zielska do brunatnego domu, który Żyd obrał sobie w Sarsaparilli za siedzibę.

Sąsiedzi oczywiście nie wiedzieli, że w tym brzydkim, niemal walącym się domu odbyć się mają niezwykle obrzędy. Żyd od lat nie korzystał z okazji tych dni, czując, że samotny dźwięk trąby zabrzmiałby słabo i nędznie w chwili, której powaga wymaga grzmiącej fanfary całej orkiestry. Dopiero teraz wezbrane w sercu siły żądały potwierdzenia tożsamości duszy i wbrew wszelkim przeszkodom nakazywały mu przyczynić się choćby odosobnioną nutą do chwały dnia.

Dlatego to po południu Himmelfarb zajął się przygotowaniem stołu do wieczerzy paschalnej. Rozpostarł obrus, który pani Godbold nakrochmalila sztywno, wyprasowała gładko, doprowadziła do nieskazitelnej czystości. Z automatyczną sprawnością, ze skupieniem Himmelfarb umieścił na stole bób i jajko. Położył płaską macę, miskę z gorzkimi ziołami oraz postawił kieliszek na wino. Ale te magiczne gesty, które wykonywał, zgnębiły go wreszcie. Samo wspomnienie bardziej olśniewających cudów mogło go od tych obrzędów powstrzymać. Albo też brak świadków. Albo obecność upiorów, tłumów kuzynek, ciotek, kantora Katzmanna, pani z Czerniowiec, obrzydliwego farbiarza z dni pierwszej młodości - wszystkich z wyjątkiem jednej twarzy, której wolał nie wskrzeszać w pamięci, a która patrzyłaby z uwagą, czy niczego nie zaniedbał.

Nagle przypomniał sobie o jednym jeszcze zwyczaju: zawsze zostawiano drzwi otwarte, żeby obcy podróżny mógł wejść, jeśli zechce. Himmelfarb otworzył więc drzwi swego domu i zaklinował je kamieniem. Wątpił jednak, czy starczyłoby mu odwagi, żeby podnieść kieliszek i przepić do

nieznajomego gościa, bo z pewnością ręka by mu zadrżała i rozlałby wino. Nie mógł dłużej patrzeć na te rekwizyty, na sztywne fałdy obrusa, na tekturowe symbole Paschy. Nie wydałoby się nielogiczne, gdyby podczas tej farsy, którą zainscenizował, wyrósł nagle spod podłogi błazeński *Hanswurst* i zmiotł cały ten stół jednym ciosem pęcherza. Tymczasem tylko ptak jakiś rozkrzyczał się w buszu. Himmelfarb spojrzął przez otwarte drzwi: człowiek miał do wyboru albo zatonać w oceanie trawy, albo wydać się bezbronne na łup olbrzymiej soczewce nieba. I wtedy Żyd, który w swoim czasie próbował dociekać, co jest ponad ziemią i co jest w jej głębi, zląkł się przyszłości, którą może dla niego los zgotował. Drobnym, krótkim, spieszonym krokiem zaczął przemierzać swój dom. Czuł się zupełnie odgradzony od świata. Wszędzie wokoło, za gałęziami drzew, w innych pudłach zamknęły się inne życia, lecz osnute własnym ezoterycznym rytuałem lub połączone mistycznym związkiem z powszedniością. Himmelfarb nigdy by się nie ośmielił komuś narzucać, lecz potrzebował, koniecznie potrzebował jakiejś więzi z innymi ludźmi. Ostatecznie przekonał go argument otwartych drzwi własnego domu: to on sam jest obcym podróżnym, na którego gdzieś czekają otwarte gościnnie drzwi. Wejdzie przez nie prosto w atmosferę pytań, cynamonu i pilśni. Siądzie do stołu nie czekając na zaproszenie, ponieważ jest oczekiwany.

W mgnieniu oka włożył kapelusz. Gdy ochłonał z pierwszego pośpiechu i po potknięciu na pierwszym schodku ruszył w drogę dość pewnym krokiem, nie niepokoiła go myśl, że nie zamknął drzwi swego domu.

W Sarsaparilli wsiadł do autobusu. Ufał autobusom. Pociągi natomiast budziły w nim jeszcze niekiedy lęk, ponieważ obcy pasażerowie zastąpili ludzi, z którymi rozpoczął podróż. Lecz pociąg, który czekał na niego w Barranugli, nie

zdołał go przygnębić. Podejmując niesłychaną decyzję tej podróży, Żyd odzyskał słodką ufność. Uśmiechał się do twarzy oglądanych po raz pierwszy w życiu. Jeśli wszystko pójdzie gładko obliczał - zdąży na kidusz. Pociąg ruszył.

Była najłagodniejsza wieczorna pora, światło zasypywało podłogi puchem mleczków. W wagonie przeważały kobiety. Rozmawiały o pieczeniu ciasta, o chorobach, o krewnych albo gadały, byle gadać, ugniatały w ustach słowa jak chleb życzliwości lub słodkie ciągutki. Lśniły różowawe plastikowe dziaśła. Ściśnięte elastycznymi pasami pośladki zakrywały przetarte obicia na siedzeniach wagonu, a woń świeżych kwiatów tłumiła zapach gnijących owoców.

Żyd Himmelfarb uśmiechał się do wszystkich, nawet do twarzy, w których go coś raziło. W tej podróży znajdował wyzwolenie, rzadko osiąganę w tym stopniu w modlitwie. Podróże zawierają obietnice: uczono go tego, wiedział to, chociaż nigdy nie odważył się temu zaufać. Jeszcze nie śmiał myśleć o spełnieniu się obietnicy. Myślał tylko o adresie, który wymienił ktoś podczas przerwy obiadowej w fabryce; piękny dom obiecany w Paradise East, przy Persimmon Street. Tej obietnicy czepiał się Himmelfarb. Pielęgnował ją przez cały czas jazdy niewątpliwie świątecznym pociągiem.

Na przedmieściu wilgotność i konformizm wypełniały atmosferę w dziewięćdziesięciu trzech mniej więcej procentach. Wokół domów kwitły dalie. Któż by mógł osądzić, czyje były najokazalsze? Któż by odgadł, kto kim tutaj jest? Na pewno nie plastikowe panie, licznie ukazujące się w ogródkach i przed domami w oczekiwaniu na mężów, dla których przygotowały już kotlety, rozmawiające przez płot z sąsiadkami albo drzemiące nad ilustrowanym czasopiśmie, w którym szukały odpowiedzi na swe wątpliwości.

Himmelfarb w tym śnie mówił sobie, że wielu odpowiedzi sam potrafiłby udzielić.

Siedząca obok niego pani, która w przededniu Wielkanocy wpięła w butonierkę życziwość błyszczącą w emaliowanym monogramie, opowiedziała Himmelfarbowi, że jako dziecko zakopywała pod drzewem hortensji igły gramofonowe, ale teraz już się takich igieł nie używa.

- A ja, chociaż wychowałam się w rodzinie kongregacjonalistów - oznajmiła - teraz chodzę do kościoła baptystów, żeby zrobić przyjemność zięciowi. Pan może także jest baptystą?

- Nie, jestem Żydem - odparł Himmelfarb.

- Ooo? - zdziwiła się pani.

Nie dosłyszała, ale w każdym razie odpowiedź zabrzmiała jakoś dziwnie. Trochę lękliwie skuliła się w swojej skórze.

Wszystkie obecne panie ucichły, na chwilę wstrzymując oddech. Ślina błyszczała na plastikowych zębach. A potem znów podniósł się gwar rozmów.

Pociąg wjechał w tunel pod miastem; kilka pań, między innymi sąsiadka Himmelfarba, wysiadło. Wagon lżejszy wyłonił się znów na powierzchnię, unosząc tych, których wiara popychała w dalszą drogę. Gdy mieli się przepawić przez wodę, Żyd wychylił się ze swej ławki. Niebo otwierało się czyste, spięte łukiem mostu, i bez trudu prześliznęli się nad migocącą taflą. Jak niegdyś, znów tego dnia rozstało się przed nimi morze.

Toteż Żyd składał w duchu dziękczynienie, gdy pociąg wspinał się na drugi brzeg wśród uświęconego krajobrazu, gdzie domy obiecane skupiały się pośród rozlanego światła wieczoru i gąszczu sięgających tu z buszu zarośli.

Gdy Himmelfarb wreszcie wysiadł z pociągu, przywitały go róże i doprowadziły aż do celu. Gdyby był ślepy, trafiłby trzymając się sznurów róż. Ponieważ widział, różane światło

przesiane przez siatkę liści upajało go słodkim trunkiem. Aż wreszcie Żyd, zaczerwieniony, zachwiał się na nogach w tej drodze powrotnej do rodzinnego domu. Osłabł. W furtce musiał się chwycić słupa i nawet przygniótł lekko skrzynkę na listy, która miała kształt gołębnika, choć nie mieszkały w niej gołębie.

Pierwsza zobaczyła go Shirl Rosetree, wyglądając przez okno z łososioworóżowego ceglanego domu. Krzyknęła:

- Harry. Coś podobnego. Ten stary Żyd. O tej porze. Niech to diabli. To nie do zniesienia. Zróbże coś. Prędszej!

- Stary Żyd? Kto taki? - spytał Harry Rosetree. Zrobiło mu się zimno. Nie służyły mu gwałtowne wzruszenia.

- Ten z twojej fabryki, któż by inny.

- Przecież go nigdy nie widziałas - zaprotestował mąż.

- Jestem pewna. Wiem. To musi być on.

Mógł wyglądać różnie, ale to nie zmieniało faktu, że istniał tylko jeden stary Żyd. Był jej ojcem, jej babką w peruce, jej kuzynem, kuzynem kuzynów. Był płodem, który poroniła przed laty trzęsąc się w ciemnościach w bagażniku samochodu, kiedy uciekała z polskiego miasteczka.

Szulamit Rosenbaum uderzyła się płaską dłonią tuż nad piersiami. Za mocno. Coś w niej jęknęło, zakaszłało.

- Rozchoruję się, jeżeli natychmiast nie odprawisz tego człowieka, Harry.

- Nauczyła się cierpieć na rozmaite kobiece dolegliwości, więc dodała: -

Nie chcę słyszeć żydowskich dysput. Robi mi się od nich słabo. Mam jeszcze dokończyć pakowania. Nie chcę być wciąż prześladowana.

Najpierw przez gojów, a teraz przez Żyda. Niczego nie chcę prócz spokoju i wygodnego domu.

Starła się wyglądać na wątłą kobietę, lecz w rozdrażnieniu zawsze jakby puchła.

- No, dobrze, już dobrze - powiedział Harry Rosetree.
 - Nie ma powodu, żebyś wpadała w histerię, Shirl.
Sam także się trząsał, bo Żyd Mordechaj już szedł alejką przez ogród.
Chwiał się na nogach, lecz głowę trzymał prosto; biła od niego jakaś siła.
 - Nie ma powodu? - ironicznie powtórzyła pani Rosetree.
 - Powód jest ten, że znam mojego męża.
 - Na litość boską - zaśmiał się czy może jęknął Harry.
 - Mój mąż ma miękkie serce! - krzyknęła Shirl. - Pozwoli się zanudzać każdemu Żydowi, bo dzisiaj jest seder. Kto wyrzuci tego starego Żyda?
 - Dobrze już, dobrze, Shirl - odparł mąż, starając się zbagatelizować sprawę. - Powiemy mu, że pakujemy się przed wyjazdem.
 - Powiemy, powiemy - parsknęła śmiechem Shirl. - Czy jesteśmy żydami, czy chrześcijanami, zawsze wszystko ja muszę mówić, jak przyjdzie co do czego. Bo mój Chaim tego nie lubi. Łatwiej karmić każdego przybłądę rosołem z kury, moim rosołem, dać mu moją *gefüllter Fisch*, moje *Latkes*, wszystko. Bo ty jesteś ważna figura, wspaniałomyślny wielki człowiek. Dobrze, ja powiem temu dziadowi, że dzisiaj nie ma tu nic do roboty. Nie rozumiem nawet, co mu do głowy strzeliło, że przyszedł. Mamy zamówione pokoje w hotelu „Górski Zakątek” na święta Wielkanocy, wyjeżdżamy w Wielki Piątek naszym wozem po odprawieniu Drogi Krzyżowej.
- Umilkła tylko dlatego, że bała się doprowadzić do jakiegoś ataku. Stali naprzeciw siebie, patrzyli sobie w twarze, tak pochłonięci głębinowym nurtem tej sytuacji, że nie zauważyli potu, który lał się z otwartych porów ich skóry. Oboje zżółkli.
- Siostry na pensji uczą nas, że w żadnych okolicznościach nie wolno się unosić - powiedziała Rosie Rosetree,

która właśnie weszła do hallu. Była wyrosniętą, chudą dziewczynką.

- Lepiej by cię nauczyły, żebyś się nie odzywała zuchwale do rodziców - powiedziała matka. - Nikt się tutaj nie uniósł.

- Przyszedł jeden pan - wyjaśnił ojciec.

- Jaki pan? - zdziwiła się Rosie, zezując przez pastelowo-niebieskie żaluzje. Ludzie na ogół jej nie interesowali.

- Spytaj się ojca - krzyknęła Shirl.

Ale zaraz wybuchnęła śmiechem, wprowadzając nastrój wesołej, zimnej złośliwości. Ojciec mruknął coś, co niczego nie wyjaśniło. Twarz dziecka znalazła się tuż nad twarzą nieznanego, oddzielona tylko żaluzją. Rosie zerknęła przez szparę między deseczkami, przyglądając się gościowi.

- Ubranie ma okropne - oznajmiła. I wyszła, straciwszy resztki zainteresowania. Miłość była abstrakcyjnym pojęciem, w najlepszym wypadku cnotą, ale nie widziała powodu, żeby tę cnotę praktykować.

Miłość była czymś uroczym, ale niepotrzebnym, o czym mówiły zakonnice.

Jednakże ojciec Rosie był dobrym człowiekiem. Otworzył drzwi. Mówił bardzo głośno, jowialnie, lecz niewyraźnie.

- Niespodziewana wizyta, panie Himmelfarb - powiedział.

Machina towarzyskich zwyczajów już się toczyła gładko na kółkach.

Himmelfarb przyszedł w przekonaniu, że nie będzie trzeba niczego wyjaśniać, teraz jednak zrozumiał, że musi usprawiedliwić swoje zachowanie. Ale nie w tej chwili jeszcze. Był po prostu zanadto zmęczony. Miał nadzieję, że wspólny sekret połączy ich mimo wszystko w radości.

- Jeżeli pan pozwoli, usiądę - rzekł nieoczekiwany gość. I usiadł pospiesznie na niskim taborecie z różanego drzewa, którego pani Rosetree nie przeznaczała wcale do tego

celu. Właścicielka taboretu zrobiła krok w jego stronę. Ale mąż ją uprzedził.

- Niech pan chwilkę odpocznie. Musi pan być porządnie zmachany - rzekł, używając wyrażenia, którym nigdy, o ile sobie przypominał, nie posługiwał się dotychczas.

Ale pani Rosetree zabrała głos. Miała na sobie szlafrok w kolorze, który uwielbiała; ten strój maskował jej obfite kształty. Wcześniej tego popołudnia pani Rosetree polakierowała paznokcie. Teraz, przypominając sobie o tym, znów sztywno rozcapierzyła palce.

Wyglądało to tak, jakby czubki palców ociekały krwią.

- Szkoda, że mój mąż od razu nie wyjaśnił sytuacji, panie Himmelfarb. Nikomu nie przeszkadzało, że nie zostali sobie formalnie przedstawieni, bo wszyscy już teraz rozumieli, jaka rola każdemu z nich przypadnie w tej scenie.

- Szkoda, że mąż nie wyjaśnił - powtórzyła pani Rosetree - bo my właśnie wyjeżdżamy na święta wielkanocne. Pojutrze jest już Wielki Piątek, jak zapewne panu wiadomo.

Pani Rosetree uśmiechnęła się na poparcie tych słów i świeża szminka, którą były powleczone jej suche wargi, błysnęła jak na alarm.

- Nie chciałabym się okazać niegościnna - rzekła - wobec pana czy wobec kogokolwiek. Ale rozumie pan, panie Himmelfarb, ile to zamieszania, kiedy się zamyka dom na kilka dni. Tyle drobiazgów. W dodatku dzieci. Po prostu nie starczy czasu, żeby otworzyć chociaż puszkę z fasolą. Nie chcę zostawiać w domu świeżych prowiantów, żeby je szczury zżarły i jeszcze przyniosły jakąś zarazę, na przykład żółtaczkę.

Głowa pani Rosetree była naszpikowana małymi szpileczkami, wetkniętymi w bezlitośnie regularnych odstępach, żeby utrzymać w porządku fale wyrzeźbione z jej włosów.

Harry Rosetree musiał podziwiać w swej żonie niezawodny i nieulekły materializm, jaki on umiał praktykować jedynie w interesach. Ale dla Shirl oczywiście interesem było życie.

Patrząc z góry na głowę starego Żyda, Harry powiedział:

- Moglibyśmy naprędce urządzić mały piknik z panem Himmelfarbem, skoro taka się trafia okazja.

Gardło pani Rosetree zabalgotało na znak rozterki czy może sprzeciwu.

- Nie widzę żadnej specjalnej okazji. Niech on lepiej posiedzi spokojnie. W tym wieku bardzo niezdrowo pić alkohol po zmęczeniu. Rodzonemu ojcu nie dałabym ani kropli ze strachu, że mu zaszkodzi.

Po czym z taką miną, jakby złożyła ofiarę na ołtarzu, pani Rosetree odeszła, nie interesując się dalszym rozwojem wypadków.

Chaim ben Jakub został sam na sam z obcym podróżnym Mordechajem w wieczór sederowy.

W braku radości niczego nie mógł gościowi ofiarować z dostatku swego domu. A może nawet dom ten już do niego nie należał, może Żyd niczego nie posiada prócz własnej skóry i paru odziedziczonych praw.

Gość nie próbował przeczyć. Siedział ze spuszczoną głową w stanie widocznego wyczerpania czy rezygnacji. Był zbyt bierny, żeby coś sugerować, a jednak jego widok narzucał pewne myśli.

Harry Rosetree, który bądź co bądź był Żydem, zaczął się niecierpliwić, jeśli nie wręcz irytować. Buty gościa zdawały się wyzywająco pokorne i zakurzone na tle wypolerowanych mebli.

W pewnej chwili Himmelfarb podniósł wzrok, jakby uświadamiając sobie, że z jego winy pan domu znalazł się w kłopotliwej sytuacji.

- Nic nie szkodzi - powiedział z uśmiechem. - Zaraz pójde.
- Widzi pan, panie Himmelfarb, zrobił pan nam, wyrażając się łagodnie, niespodziankę. - Harry Rosetree wybrał najłatwiejszą odpowiedź. - Życie nie stoi w miejscu. Wybacz pan, że go na chwilę opuszczę. Muszę podlać krzewy przed zapadnięciem zmroku.

Pan Rosetree przyswoił już sobie zwyczaje podmiejskiego osiedla, w którym aktualnie mieszkał.

- Ale proszę bardzo, niech pan odpoczywa, jak długo się panu spodoba - dodał. - Człowiek w tym wieku nie powinien lekceważyć zdrowia.

Himmelfarb siedział nadal w hallu, który nie był jednym z pokojów, lecz raczej środkiem obrony gospodarzy przed niepożądanym elementem; nikt nie mógł wątpić o ich sile, póki pozostawali w ukryciu. O tej porze światło dnia gasło. Wiele szklistych płaszczyzn już zmatowiało. Ale blask dostatku wraz z mechanicznymi odgłosami sukcesu wciąż jeszcze promieniował w głębi domu.

Wreszcie zjawił się w hallu chłopiec. Był wysoki, lecz szczupły. W tym oświetleniu twarz jego lśniła żółtawo jak wosk. W ręku trzymał coś kształtem przypominającego świecę, zapewne zwój papieru. Nie spodziewał się zastać gościa, zobaczywszy go, zmarszczył brwi. Himmelfarb z wdzięcznością przyjąłby każdą ludzką obecność.

- Bar miewa - wyrwały mu się z ust słowa.

- Hę?! - krzyknął chłopiec i spochmurniał jeszcze bardziej.

Nie rozumiał, wyczuwał jednak, że jest w tym wszystkim coś, co powinno w nim budzić niechęć.

- Masz trzynaście lat - stwierdził gość pewnym tonem. Chłopiec potwierdził mruknięciem, ale wzbierała w nim nienawiść.

- Jak masz na imię?

- Steve - odparł chłopiec. Miał nadzieję, że będzie mógł zaraz się stąd wyrwać.

- To chyba nie wszystko - nalegał gość. - Czy nie masz innego, prawdziwego imienia?

Chłopcu drgnęła krtąń.

- Naszego imienia? - dopytywał się gość z uporem. Steve spojrział na niego ze wstrętem, może nawet ze zgrozą, jak na wariata. Nienawidził go.

Wyszedł bez słowa na cichych, gumowych podszewkach.

Znowu więc obcy gość w niczym i w nikim nie mógł odnaleźć własnej tożsamości. Opuściłby ten dom, gdyby nogi nie odmawiały mu posłuszeństwa.

Wbiegła dziewczynka. Zdawała się podniecona. Chuda. Włosy miała skręcone w drobne, drgające loczki.

- Dobry wieczór - rzekł Himmelfarb. - Zapewne córeczka państwa Rosetree?

- Tak - potwierdziła, ale bez przejęcia. - Czytałam żywot Małego Kwiatka - oznajmiła, ponieważ chętnie mówiła o sobie. - Śliczna książka. Moja ulubiona. Zresztą wszyscy święci są bardzo interesujący.

Podeszła bliżej, żeby się zwierzyć.

Wie pan, ja będę miała powołanie. Modłę się o to, a jeżeli ktoś modli się bardzo gorąco, to otrzymuje powołanie. Modłę się, żeby na rękach otwały mi się rany.

W półświetle zacierała wąskie dłonie i wyciągała je do Himmelfarba.

Nagle zadzwonił telefon. Weszła matka. Córka prędko cofnęła ręce.

Pani Rosetree, wciąż w szlafroku, którego kolor w wyobraźni starego Żyda kojarzył się z całą nużącą, długą podróżą, starannie rozplątała sznur telefonu i przeniosła aparat na korytarz, kryjąc się za drzwiami hallu. Dla zapewnienia sobie

dyskrecji. Ale zza drzwi widać było jaskrawy lazur opięty na jej biodrach.

- Hallo? - mówiła pani Rosetree. - Tu JM3... Marge! To ty! -

wykrzyknęła. - Nie mam pojęcia, co się dzieje z tym telefonem. Mów prosto do tubki, proszę cię.

Córka skrzywiła usteczka.

- To mamy przyjaciółka - wyjaśniła. - Okropna osoba.

- Och, Marge, byłabym na pewno do ciebie zatelefonowała - zapewniała pani Rosetree - tylko że zasiedziałam się u fryzjera... Taak, taak... U tego samego. Ale przestanę do niego chodzić. Ma jakieś kłopoty z żoną... Po staremu... Za każdym razem...

Dziewczynka przybliżyła się w zmroku do gościa. Musiała teraz szeptać.

- Zna pan historię małej świętej Tereski i jej róż? Mnie się raz także wydało, że widzę różę. Białą różę.

- O, nie, nie, Marge. Na pewno bym do ciebie zadzwoniła

- szczebiotała pani Rosetree. - Ale poszłam do kina. Taak, taak...

Romans... Tak... Średni, ale te miłosne historie poprawiają człowiekowi nastrój.

W zmierzchu papierowe róże szeleściły wokół Himmelfar-ba. Głosy miłości pachniały syntetycznym heliotropem.

- Pewnie, Marge - śmiała się pani Rosetree. - Mam swoją porcję miłości, pewnie, że mam.

- Dlaczego opowiadasz mi o tym? O różach i ranach?

- szeptem spytał dziewczynkę Himmelfarb.

- Tak, w Wielki Piątek... Po odprawieniu Drogi Krzyżowej... Tak - cierpliwie tłumaczyła pani Rosetree. - No cóż, moja kochana, mamy obowiązki wobec Kościoła. Trudno, ty, Marge, nigdy tych spraw nie zrozumiesz, bo nie masz naszej wiary.

Dziewczynka ssała własne wargi w zamyśleniu.

- Lubię o tym opowiadać - odparła. - Od czasu do czasu. Zwłaszcza ludziom, których już więcej nie zobaczę w życiu.

Już odtrąciła swego współnika. Ale na chwilę znów go przywołała w porywie swej szczególnej hysterii.

- A poza tym - zachichotała - pan jest trochę jak duch.

- Nie, Marge - zapewniała przyjaciółkę pani Rosetree - Nie ma nikogo... Doprawdy... A raczej był ktoś, ale już wychodzi... Ach, nikt... Mówię ci, kochanie, że właśnie wychodzi...

Wobec czego nie pozostało gościowi nic innego, jak wstać i wyjść.

Drzwi, odkąd przez nie wszedł, stały otworem.

Gdy pani Rosetree skończyła telefoniczną rozmowę, wróciła z korytarza niosąc aparat.

- Coś podobnego? - zdziwiła się. - Ten człowiek sobie poszedł. Coście mu zrobili?

Córka, która dawno już zrezygnowała z prób odpowiadania rodzicom, tarła dłonie o szybę zamkniętego okna.

- Ci starzy Żydzi - wyjaśniła pani Rosetree - nachodzą dom jakby nigdy nic, nieproszeni.

- To był Żyd? - spytała dziewczynka.

- Pytanie! - roześmiała się pani Rosetree tak łagodnie, jakby mówiła nie o obcym natręciu, lecz o części własnego ciała, której nie znał nikt prócz niej samej i lekarza, na przykład o wnętrzu swego łona.

- Tak samo jak Pan Jezus! - krzyknęła dziewczynka. I rozpłakała się histerycznie. Że nigdy nie zobaczy cudu. Choćby całe życie czekała, nie dotknie rękoma cudu.

- Zlituj się, Rosie - perswadowała matka. - Zaraz ci przyniosę mleko magnezjowe. Znowu płaczesz. Bez powodu. Chyba to taki wiek, czy co - westchnęła.

Tkliwa, cicha, pobiegła do kuchni, żeby zagrzać trochę rosółu z kury i sprawdzić, czy posługaczka posiekała wątróbki drobiu tak starannie, jak jej to surowo nakazała.

Mąż się nie zjawił - chociaż zwykle zwabiał go zapach jedzenia - ponieważ siedział jeszcze w altanie. Z tego samego

powodu nie rozmawiał już z Mordechajem przed jego odejściem. Altana i działka terenu pod ewentualną rozbudowę, nabyte, żeby zaspokoić gorące życzenia żony, fascynowały pana Rosetree od początku, a zarazem stanowiły w razie potrzeby jego kryjówkę, bardziej niż kiedykolwiek potrzebną tego wieczora, gdy znajome gwiazdy pokazały się między gałęziami, a żwir na ścieżce zachrząścił pod stopami oddalającego się gościa.

Na skraju balkonu wychodzącego na wąską uliczkę, przy której mieszkali, zbijali kilka patyków, budując coś w rodzaju najprostszego baldachimu. W dni powszednie suszono w tym kącie balkonu ścierki, toteż nawet podczas Sukotu wisiał w powietrzu gęsty zapach pomyj. Przynosili materace i spali tutaj. Całą rodziną. Prawie że mieszała się ich krew. W święto Sukot nie opuszczali tego swojego namiotu, chyba gdy deszcz lał, co było bardzo przykre, bo musieli się rozpraszać, a starzy poklepywali się wzajem po ubraniach, zastanawiając się, czy nie przemokły niebezpiecznie. Zazwyczaj jednak spali tu wszyscy razem w noce Sukkot w woni pomyj, dziadek stękał albo chrapał, czasem puszczał wiatry, a mały Chaim ben Jakub patrzył na te same co dzisiaj gwiazdy. Ale pani Rosetree wołała:

- Harry! Rosół stygnie. Nie bój się, on już poszedł. Ajaj, Harry, to niezdrowo po nocy siedzieć na dworze.

Kiedy Himmelfarb wracał przez ulice Paradise East, szpalery róż już się rozpręgły. Domy też się rozplynęły, tylko okna przemienione w prostokąty światła dowodziły, że coś z nich pozostało. Wypełnione tą pewnością lub zjedzoną na kolację pieczenią brzuchy maklerów giełdowych pęczniały na kształt gazomierzy. Z węzami gumowymi w rękę, naciskając palcami dyszę wylotową, żeby strumień wody tryskał lepiej,

dyskutowali, porównując zalety *Thuya orientalis* i *Tetinospera pisifera plumosa*. Wszystkie ogrody w Paradise East założone były z myślą o potomności. Wszystkie domy zbudowano według projektów sporządzonych przez architektów. Z któregoś okna dobiegał krzyk, zduszony, jak się zdawało, girlandą róż, a tak niespodziewany, jakby go wiatr przyniósł z innego, bardziej krzykliwego przedmieścia. Himmelfarb dotarł do stacji i wszedł do wagonika kolejki. Pociąg znów czekał na niego, jak gdyby zamówiony, żeby zawieźć go z powrotem do kraju, z którego dla zakładnika nie ma ucieczki.

Znosił to biernie, bez skargi. Czynny był tylko pociąg. Wagon kołysał się i jęczał, i udzielał jego biernemu jeszcze ciału coś z rozpaczy tej nocy. Plastikowe panie były oczywiście zbyt pastelowe, żeby przetrwać, rozwiały się wraz z popołudniem. Późnym wieczorem w pociągu przeważali i gadali mężczyźni. Fakty, o których mówili, mogłyby się wydać brutalne, gdyby nie były już zużyte przez chudych ludzi o cerze barwy miedzi i przez innych rozmówców, sinawych i nalanych, z kępkami włosów sterczących tu i ówdzie jak / podartego obicia wagonu. Kołysali się w zapachu fistaszków, wilgotnych papierowych torebek, piwa i tunelów.

Od czasu do czasu pociąg w pędzie naruszał tajemnice prywatnego życia. W kuchniach wielu domów mężczyźni w trykotowych koszulkach dopiero teraz pochłaniali kiełbasę, kobiety niemrawo zgarniały makaron z grzanek, na których go przedtem pracowicie ułożyły, córki, bardziej eleganckie od swoich matek, spieszyły się, żeby prędzej skończyć dłużącą się im kolację. Nad wszystkimi unosił się leszcze w niebieskich szatach duch wołowiny z sosem. Ale brakowało uroku. W ciasnych pokoikach, z uczuciem czczo-ści, odrywając się od lepkiej kontemplacji starych kolorowych fotografii jakiejś ładnej modelki, chłopcy wybierali się na odkrywcze wyprawy nocne.

Pociąg przecinał ciemności, zawieszony cudownie nad wodą. Nikt w przedziale nie zauważył, jak się zdawało, że Żyd wraca do stanu poddaństwa, z którego w gruncie rzeczy nigdy się nie wyzwolił. Ale Żyd teraz już wiedział, że nie powinien się być niczego innego spodziewać. Pociąg zwolnił jadąc przez śródmieście, rozkrojone jak owoc nożami świateł i tryskające sokiem - czerwonym, zielonym lub fioletowym. Syrop wszystkich lodów z kremem osładzał ulice. Neonowy syrop zabarwiał kałuże rzygowin i moczu marynarzy. W tym świetle oczy młodszych mężczyzn w gabardynowych ubraniach były olśniewające, ślepo błękitne, jeśli nie wypalone doszczętnie. Babcie o niebieskawych głowach zsiniały od korzeni włosów aż po obrębek spodni, nie ze wstydu, lecz od blasku neonów, a piersi ich wyrwały się z zamszowych kurtek z powrotem ku młodości lub rysowały się krągło na kształt betonowych nocników. Co do młodych kobiet, to były potrzebne. Idąc, przystając na rogu lub wieszając się u czyjegoś ramienia, ucieleśniały czyjeś myśli i marzenia. Jak gdyby myśli mężczyzn wskrzeszone z popiołów na dnie rozbłyskujących oczu objawiły się wreszcie widomie w fiolecie, czerwieni i drgającej zieleni. Były też dzieci. Dzieci ssąły batony neonu, jeśli nie umiały jeszcze odczytywać godziny na zegarze i nie znały innych przysmaków.

Pociąg zataczał się w smugach magnezji. Noc bowiem upiła się, a wszystkie ofiary, które zdawała się zapraszać, musiały iść za jej przykładem. Himmelfarb także był pijany, lecz nie osiągnął stanu otepienia. Wyzwolony z fioletowych objęć, chwiał się niekiedy. Niekiedy obijał o coś. I patrzył.

Noc pluła skrami, w jej asfaltowych żyłach płynął słony pot, zamroczone wagony wdrażały się w gęste powietrze, sunąc w zapachu miażdżonych monet, i nie omieszkały od czasu do czasu wyrwać ramienia ze skrzypiącej nasady.

Wreszcie jednak docierały pod czerwone jaśminy, gdzie bryza wsysała powietrze gąbkami ust. Sodoma nie mogła być nocą bardziej miękka, bardziej jedwabista niż nadmorskie ogrody w Sydney. Ulice Niniwy nie dzwoniły tak metalicznie. Wody Babilonu nie szumiały smutniej niż ocean dogorywający na zatłoczonej plaży w pianie francuskich napisów. W pewnej chwili pociąg, w którym skulony Himmelfarb odbywał powrotną podróż, beknął na cały głos i stanął.

Opasły mężczyzna siedzący naprzeciw Żyda przestał wpychać zimne frytki do ust.

- Sie masz, Matyldo! - ryknął.

Bełkotał ustami pełnymi zimnej kartoflanej miazgi.

Ale tępy cudzoziemiec nie zrozumiał dowcipu.

Albo może zasłuchał się w głos radia, które zaczęło śpiewać w znieruchomiałych ciemnościach. Pożeracz kartofli nie próbował nawet rozpoznać pieśni.

O miasto elastycznych pocałunków i spłoszonych marzeń

- śpiewał psalmista. - O rzeki wymiotów, o pagórki chciwości, o niezmierzone niziny samozadowolenia!

O wielkie leniwe ciało, jak okupisz swoje grzechy, gdy dusza twa jest miękkim orzechem ziemnym, w którym załęgły się robaki?

O miasto...

Pociąg, ruszając, zagłuszył śpiew. Pędził dalej. Dalej. Po długiej podróży w końcu Żyd znalazł się na dróżce - czy alei

- prowadzącej w dół, ku jego domowi. Trząśł się i parę razy omal nie upadł wśród gąszczu trawy paspalum, która usiłowała wciąż podcinać mu nogi. Prawie płakał nad tym, co widział i co przeżył tego wieczora, nie dlatego że wszystko to istniało, lecz że dopuścił, by ożyło w głębi jego własnego serca.

Dowlókł się do drzwi swego domu i zmacał mezuzę na odrzwiach, żeby dotknąć, koniecznie dotknąć szema, nawet nie w nadziei, że to go ocali, lecz żeby wyzbyć się nienawiści.

Cud spełnił się rzeczywiście i niemal w okamgnieniu, bo Himmelfarb zobaczył światło zbliżające się, rozkołysane w podskokach, jakby ktoś, kto je niósł, szedł po wybojach. Wreszcie odległość, cienie, samo światło nawet zniknęło, a Himmelfarb poznał sylwetkę pani Godbold, która przyświecała sobie latarnią, jak zwykle gdy wędrowała po nocy.

- Czekałam na pana i usłyszałam, że pan wraca - powiedziała. -
Przepraszam, że pana niepokoję. Ale miałam specjalny powód.
Mimo to była zmieszana.

Himmelfarb mógłby czuć się bardziej szczęśliwy. Miłość, którą powinien obdarzać wszelkie żywe stworzenie, była jeszcze uboga, obdarta.

Nagle zauważył, że sąsiadka trzyma w ręku talerz, a na nim leży coś niewielkiego, czarnego.

Pani Godbold spuściła oczy. W skąym świetle wydawała się ogromna i bardzo tęga. Mimo to jej zwykle nieprzejrzysta skóra bielą jak gdyby prześwietlona od wnętrza.

- Przyniosłam baranka - wyjaśniła z uśmiechem zażenowania. - Jedna pani zawsze na Wielkanoc daje nam baranka.

- Baranka? - powtórzył Himmelfarb żałośnie; mdłości podeszły mu do gardła, wywołane nie tylko aktualnym przypadkiem, lecz jakimś odległym wspomnieniem, którego nie mógł na razie zidentyfikować.

- Tak - powiedziała pani Godbold. - Wielkanocny baranek. Czy pan zapomniał? Pojutrze... właściwie już jutro jest Wielki Piątek. Fabryka będzie zamknięta. Trzeba pomyśleć o zapasach, żeby miał pan co jeść przez kilka dni.

- Ach, tak. Wielkanoc.

Pani Godbold znów się zmieszała. Spuściła oczy na talerz i na leżące na nim mięso, którego znaczenie wyjaśniła jak dotąd tylko częściowo.

- Ta pani daje nam zwykle cały udziec - rzekła, czerwieniąc się w blasku latarni. - Ale w tym roku dorwał się do niego piesek. Nie było zresztą dużo. Drugi koniec oczyściliśmy i zostawili dla siebie. A ten koniec, od szynki, był nietknięty. Przyniosłam panu, bo myślałam, że może zechce pan jakoś uczcić święta.

- Wielkanoc.

Głos go zawodził i nie mógł uniknąć powtarzania tych samych wciąż słów.

- Nie o to chodzi - powiedziała pani Godbold, znowu się czerwieniąc. - Każdy przecież musi jeść. O każdej porze roku.

Wziął z jej rąk talerz. Wydłużone, drgające cienie rzucane przez rozkołysaną latarnię sprawiły, że oboje wyglądali bardzo niezgrabnie. Zaczął mówić szybkimi, nerwowymi, urywanymi zdaniami, z wysiłkiem uruchamiając język.

- Będzie pani wesoło. Rozumiem, to nie będą dla pani...

- urwał dobierając słów - w pełni wakacje. Tak mi się zdaje. Ale z powodu znaczenia tych dni.

- Och, zawsze mi jest wesoło w okresie wielkanocnym

- odparła. - Bo wtedy ustaje cierpienie. Tak nas uczono. Ustaje na krótki czas.

Nie chciała, żeby wziął to za jej własną wersję wiary, więc z pewnym pośpiechem dodała:

- Oczywiście, w kraju Wielkanoc była piękniejsza. Były kwiaty. Zapach kwiatów. Narcyzy. Białe zawilce, które zrywaliśmy chodząc po lesie.

Och, i tarnina - przypomniała sobie radośnie, jakby odnajdując coś cennego. - Tarninę chyba lubiłam najbardziej. Najbielsze kwiatki na czarnych

gałązkach. My, dzieci, znosiliśmy kwiaty do ubrania ołtarza. Tak ślicznie wyglądały przy zapalonych świecach. Samo życie. Zdawało się, że cały świat odrodził się na nowo. Bukiety tarniny kwitły jak drzewa na ołtarzu w naszym kościele. Nie był on okazały, jeśli porównać go z wielkimi kościołami. Ale w niedzielę wielkanocną czuliśmy, że Chrystus zmartwychwstał.

Trąbka pani Godbold, chociaż samotna, dźwięczała czystą muzyką.

- Oczywiście, wiedzielibyśmy i bez tego - dodała skwapliwie. -

Wszystkie kwiaty ziemi mogą zwiędnąć, a będziemy i tak wiedzieli.

Żyd zwiesił głowę. Pani Godbold od razu to spostrzegła i głos jej zabrzmiał łagodnie, gdy powiedziała:

- Proszę mi wybaczyć. Nie powinnam zabierać panu tak dużo czasu. Musi pan przecież wstać wcześniej do pracy. Ten kawałek mięsa niewiele wart, ale będziemy się cieszyli, jeśli panu pójdzie na zdrowie, niech pan go przyjmie.

Odeszła, a Himmelfarb wszedł do domu, zapalił światło, i gdy zalało ono pusty niemal pokój, uświadomił sobie, że będzie musiał znieść widok swego daremnie na wieczerzę paschalną przygotowanego stołu.

Nietknięty stół nabrał w ciągu tych kilku godzin wyglądu pomnika, nie radości jednak, lecz żałoby. Wydał mu się grobem tych wszystkich, którzy nie przeżyli powrotnej wędrówki, a on sam poczuł się wskrzeszonym z martwych strażnikiem grobowca. Rozumiał to. Dotknął mułu Egiptu, który z czasem zabarwił się brunatnym odcieniem. Zioła nie były nigdy tak gorzkie jak rzeczywistość. Wiedział to z całą pewnością. Potem Żyd spostrzegł, że wciąż trzyma w ręku dar pani Godbold i że ten ochłap baraniej szynki jest niemal bliźniaczo podobny do symbolu, którym sam tego popołudnia ozdobił swój stół na wieczór sederu.

XIII

Ponieważ telefon jest najbardziej tajemniczą i grobową ze wszystkich wyroczni, pani Flack dość długo krążyła wokół aparatu, nim wreszcie zdecydowała się zgłosić na wezwanie. Mimo że sama była wytrawną pytią, czuła zapewne potrzebę wypowiedzenia skutecznych zaklęć przed zetknięciem się z wyższymi siłami. A może po prostu bała się usłyszeć wyrok losu dla niej osobiście przeznaczony? W każdym razie odezwała się w końcu.

- O? A? Tak. Nie. Nie. Tak. Może. Kto wie? Muszę się namyślić, odpowiem później. No cóż. Kto wie, nie potrzebuje pytać.

Oślaniała się tarczą drewnianych słów i można by pomyśleć, że zgubiła swój niezwyciężony miecz i że zbroja nieufności, którą się tak przezornie broniła, okazała się tekturową namiastką.

Pani Jolley, która miała ten dar, że zawsze wszystko słyszała, pozornie wcale nie słuchając, podchwyciła nawet kiedyś taką odpowiedź przyjaciółki:

- Nie możesz ode mnie wymagać, żebym była wszechwiedząca. Prawda? Zaintrygowało to panią Jolley, nie przerwała jednak zmywania talerzy, co należało do jej obowiązków, pełnionych w zamian za przyjaźń oraz bardzo skromne wynagrodzenie.

Pani Jolley wkrótce stwierdziła, że tylko na jeden z wielu głosów telefonu pani Flack naprawdę odpowiada. Gdy ten głos ją wzywał, istny syrop prorocत्व lał się w tubkę telefonu w odpowiedzi na niedosłyszalne pytania. Pani Jolley miała wtedy wrażenie, że kościste i upstrzone plamami ręce jej przyjaciółki modelują rozgrzany bakelit w nowy zupełnie kształt.

Słyszała na przykład:

- Jeżeli byłeś tak lekkomyślny, że zdjąłeś nawet trykotową koszulkę, czyż mogło się to skończyć inaczej? Ajajaj. Koniecznie przed położeniem się do łóżka natrzyj piersi, a potem okryj się dobrze pod szyję, zażyj aspirynę i wypoć się porządnie. Powinieneś sam dbać o swoje zdrowie, nikt tego za ciebie nie może zrobić, choćby chciał.

Kiedy indziej pani Flack mówiła:

- Nie spodziewałam się znaleźć uczucia tam, gdzie go nie ma, ale wymagam, żeby je uszanowano tam, gdzie jest. Co? Nie rozumiesz? Nie rozumiesz oczywiście. Nikt z was nie rozumie, chyba że się do was mówi po amerykańsku.

Gdy przyjaciółka wróciła do kuchni, pani Jolley nie mogła powstrzymać westchnienia:

- Ach, ci młodzi są teraz okropni.

Ale pani Flack jakby wcale nie dosłyszała tych słów.

- Niektórzy młodzi - zaryzykowała znów pani Jolley - myślą dziś tylko o sobie.

Pani Flack wypłynęła na powierzchnię, ciągnąc za sobą smugę zadumy.

- Ma pani z tym siostrzeńcem niemało kłopotów - powiedziała pani Jolley, wyszczerbiając talerz o kran nad zlewem.

- Nie ma kłopotów, kto jest niezależny - oświadczyła pani Flack.

- Pewnie, pewnie - przytaknęła z westchnieniem pani Jolley.

Ale miała pewne wątpliwości.

Było to rankiem w Wielki Czwartek, jak zapamiętała pani Jolley. Telefon zadzwonił tak przenikliwie, że stłukła małą maselniczkę malowaną w żółędzie i schowała ją za kredens, żeby dyskretnie wyrzucić w bardziej sprzyjającej chwili.

Pani Flack przyjęła telefon jak zwykle dopiero po parokrotnym dzwonku, nieznośnym dla delikatnych nerwów.

Pani Jolley usłyszała:

- Nie może być! Nigdy bym się nie spodziewała. Cieszę się, szalenie, Blue. Ale bądź ostrożny, bardzo cię proszę. Wierz mi, ludzie zaraz inaczej zaczną cię traktować. Ludzie zaraz się zmieniają, jak wywęszą, że się do kogoś szczęście uśmiechnęło. Tak, tak, nawet najlepsi sprawiają niespodzianki, jeśli im zajrzeć pod koszulę... Co? Jak możesz, Blue, ja przecież mówię w przenośni. Nigdy ani w myślach, ani w słowach nie kalam się nieprzyzwoitością. Dość jest na świecie brudów. Ale skoro się zgadało, czy wiesz, Blue, że wiadoma osoba, wiesz kto, wczoraj wieczorem, jak mi mówiono, odwiedziła, przyświecając sobie latarką, wiesz kogo. Tak, kochanie. Zapominając o świętości tych dni. Przecież to oni ukrzyżowali Pana Jezusa. Jutro właśnie jest Wielki Piątek. Pomyśl o tym. Jutro. A ta osoba widocznie utrzymuje z nim, no, mówiąc bez ogródek, po prostu stosunek. Co? Blue! Zabraniam ci. Nie pamiętasz chyba, z kim rozmawiasz. Wypraszam sobie. Mogę z tego wnioskować tylko, że wypiliśmy za dużo... Jesteś w barze naprzeciwko fabryki? No, dzisiaj na pewno nie chce ci się pracować, nawet trudno się dziwić. Śmiech pani Flack zabrzmiał jak warkot motocykla.

- Nie mam ci tego za złe, nie. Młodzi ludzie w pełni sił muszą się czasem zabawić. Ale jeśli przy tym napytają sobie biedy, skrupia się na rodzicach. To oni pokutują za grzechy dzieci. Och, nie. Wprost przeciwnie. Nie myśl, że zgorzkniałam, jak twierdzą niektórzy, nie. Po prostu myślę realnie, patrzę trzeźwo na życie i z tego, co widzę, wyciągam wnioski. A w okresie wielkanocnym cierpię zawsze bardzo, bo rozpamiętuję, jak to Żydzi ukrzyżowali Pana Jezusa. I wciąż na nowo go krzyżują. Blue? Młodzi takich rzeczy nie mogą zrozumieć. Dopóki mają siły, zdrowie i urodę. Co? Dobrze, Blue, baw się, baw. Wskocz nawet ze skóry, jeśli masz ochotę. To świetna zabawa przelewać krew, kiedy jej

563

w żyłach pełno. I czerwonej, jak należy. Nic się nie wydaje okrutne, jeśli ktoś nie umie okrucieństwa dostrzec. Zresztą razem z krwią wypłynie zgnilizna, a kto jak kto, ale ja nie zaprzeczę, że każdy ma w sobie dość zadatków, które tylko czekają, żeby się w ropę zamienić... Co? Blue! - wołała pani Flack, nie wiadomo, z radością czy z rozpaczą.

Kiedy weszła do kuchni, oczy jej błyszczały groźnie.

Pani Jolley, podniecona, zaintrygowana, wystraszona tym wszystkim, co podслуchała, wołała nie odwracać wzroku od zlewu.

- Blue i sześciu jego kolegów z fabryki - oznajmiła bez tchu pani Flack - wygrali na loterii. - Opadła na twarde krzesło. - Zakupili wspólnie los jako „Szczęśliwa Siódemka”.

Pani Jolley wpatrywała się w zlew, gdzie szara woda nagle zatrzymała się, kryjąc pod płaską, nieruchomą powierzchnią mnóstwo różnorodnych przedmiotów.

- Wcale się pani nie ucieszyła - pani Flack powiedziała to do przyjaciółki z przyganą, ale tonem rozmarzonym.

Była w transie. Widziała nie patrząc. Pani Jolley nie promieniowała radością. Wydawała się szara jak pomyje i jak mgliste poranki.

Przywykła teraz zostawiać sztuczne zęby na całe dni w szklaneczce na stoliku przy łóżku, przykryte chusteczką od nosa.

- Niektóre osoby - powiedziała pani Flack - nie lubią dobrych nowin.

Pani Jolley pogłaskała dłonią wodę w zlewie.

- Zamyśliłam się... - rzekła, wcale już nie szara. - Pomyślałam o jego biednej matce.

W jej głosie nie brzmiała uraza, lecz litość.

- Jak jej było na imię? - spytała. - Jak było na imię tej pani siostrze, która umarła?

Pani Flack coraz głębiej pogrążała się w zadumie.

- Co? Mojej siostrze? - powiedziała. - Ach, Daisy. Miała na imię Daisy.
- Myślałam, że ona by się ucieszyła, gdyby wiedziała, że jej chłopakowi
trafiło się takie szczęście - rzekła pani Jolley.

Pani Flack, zaskoczona, szukała gorączkowo sposobu, żeby co prędzej
wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. Ale teraz musiała czekać.

W najpromienniejszy ze wszystkich poranków pani Jolley dotknęła
najciemniejszych stron życia swojej przyjaciółki. Pani Flack
podejrzewała, że może nawet knuje skrycie jakieś dalekosiężne plany
włamania się do sejfu, kradzieży starych listów i dokumentów.

Wyglądając swe nieskazitelne czoło, pani Flack czekała.

- Pani mąż na pewno także lubił tego dzielnego chłopca. Skoro pani jest
jego ciotką, on był bądź co bądź wujem.

- Will? - pani Flack odpowiedziała z bardzo daleka.

- Will umarł, kiedy Blue był małym dzieckiem. Pani Jolley cmoknęła.

- Nie chciałam, broń Boże, budzić smutnych wspomnień

- powiedziała. - Zwłaszcza że miał taką okropną śmierć. Ale pani Flack
nie zgadzała się z poglądem przyjaciółki;

śmierć należy do porządku rzeczy.

- Nie przeczę - odparła. - Sposób był nieoczekiwany, tym bardziej że
Willa tak ceniono jako fachowca, płacono mu najwyższe stawki, uważano
go za pierwszorzędnego dekarza. Ale sposób, w jaki człowiek umiera, nie
jest ważny, wszystko jedno, czy ktoś spadnie z dachu, czy też wyzionie
ducha w fotelu we własnym domu. Ostatecznie na jedno wychodzi.

Pani Jolley zrozumiała, że z klatki tej kuchni może nie znaleźć już
wyjścia.

- Ależ kraczemy jak dwie wrony! - wykrzyknęła.

- Nie ja zaczęłam te ponure rozważania - odparła pani Flack nieco
wyniośle.

Pani Jolley plasnęła dłonią o wodę.

- I to dzisiaj, w taki dzionek - zawołała, patrząc na zegar. - Założę się, że do południa pani siostrzeniec będzie już miał dobrze w czubie.

- Blue to dobry chłopak - zaprotestowała pani Flack.

- Trudno o lepszego - przyznała pani Jolley.

- Nigdy się nie wdaje w awantury. A w każdym razie w poważniejsze.

- Czy to ja nie wiem? - zaśmiała się pani Jolley.

- Nigdy muchy nie zabił - stwierdziła pani Flack.

- A któż mówi o zabijaniu? - spytała pani Jolley, skrecając szyję jak na stalowej sprężynie.

- Co dzień o tym się słyszy. Wystarczy przeczytać gazetę.

- W gazetach niekoniecznie piszą prawdę.

- Prawdę tylko sam człowiek o sobie wie, a i to nie zawsze.

Potem domowe obowiązki pochłoneły obie kobiety; cokolwiek jednak pani Flack i pani Jolley robiły, uczynki ich nie należały do nich, oddzielone od ciał myślami i światłem dziennym.

Himmelfarb, który położył się spać późno, wstał nazajutrz wcześniej.

Cokolwiek ten dzień miał mu przynieść, nie pozwalał sobie, jak zwykle, zastanawiać się nad tym, dopóki nie włożył filakterii. Dopiero uzbrojony Słowem i z ramionami okrytymi tałesem, wyzbywszy się z serca i oczu wszelkiej ziemskiej pożądliwości, zaczynał swój dzień, a raczej stwarzał go, uświęcał i chwalił. Gdy tak stał, recytując szema i błogosławieństwa, zza jego zamkniętych powiek, z najtajniejszych głębi jego istoty wyłaniała się i ukazywała w zamglonym lusterku twarz ukształtowana na podobieństwo Boże, domagając się uznania, którego może nigdy nie miała pozyskać.

Żyd modlił się:

Błogosławiony bądź, Panie i Boże nasz, królu świata, który dales kogutowi rozum, iż odróżnia dzień od nocy...

Światło nappełniło cztery kąty pokoju, lecz w Sarsaparilli odbyło się to w ciszy, ponieważ człowiek, lepiej niż Bóg i Lewita wiedząc, czego światu potrzeba, odebrał głos kogutom, becz najczystszy liść dotknął powiek Żyda i wyrzeźbił je w złocie. Żyły zdawały się lazulitowe w morzu złota, a rzemyki filakterii zamieniły się w onyks, słowa zaś padały z ust niby żywe kryształy, a każdy z nich odbijał w nieskończoność słowa zawarte w ich wnętrzu.

Żyd modlił się, a posąg strącony z cokołu czasu i postawiony na krawędzi poranka stał się człowiekiem. Spękane wargi kształtowały słowa z własnego ciała.

Użycz nam dzisiaj i na każdy dzień łaski, dobrodziejstw i miłosierdzia oczu Twoich i oczu wszystkich, którzy na nas patrzą, i zlej na nas pełną miłości dobroć Twoją. Błogosławiony bądź, Panie... Światło, które dotychczas było mineralnej natury, utworzone ze skruszonego złota z domieszką zimnych blaszek nieuchwytnego szpatu polnego, wyrastające z warstw porfiru i agatu, zalegającego twardego firmament, teraz wreszcie roz-tajało w morzu ruchomego szkarłatu. Szkarłatne morze obryzgiwało skórę człowieka, gdy stał zamodlony, a płatki uszu i zakłębienia skroni nabrały przejrzystości, policzki zaczerwieniły się od blasku zorzy albo może od napięcia błagalnej modlitwy.

Żyd wyznawał:

567

Wierzę niezłomnie w przyjście Mesjasza, a chociaż się opóźnia, czekać będę co dzień na Jego przyjście. Nadzieję mam w zbawieniu Twoim, o Panie, nadzieję mam, Panie, na zbawienie swoje. O Panie, mam nadzieję na zbawienie swoje.

Tęś osunął się z jego ramion w momencie pełnego zespolenia, powiew od okna poruszał rąbkiem starej szaty odsłaniając nagość człowieka, podległego cierpieniu i zniewagom. Włosy w skąpych siwych kosmykach porastały zapadłą pierś, sznurki żył opasywały chude łydki od kostek po kolana despotycznymi, jeśli nie okrutnymi pętami.

Skończywszy modlitwę, Himmelfarb wyjrzał przez okno swego kruchego domu. Ponieważ nie spał tej nocy, każdy dostrzeżony ruch wydawał mu się najbardziej niewinny, każda linia najczystsza, każdy kształt najprostsz. Na skarpie ponad drugą stroną ulicy białe kury już grzebały między czarnymi pniami akacji. Idąc ulicą jakiś stary mężczyzna rozpostarł gazetę, przygotowując się beztrosko do wyczytania najgorszych bodaj nowin. Struga mleka przelewała się z kwarty mleczarza do blaszanych baniek. Żyd pocierał zarośnięte policzki. Wszystko zdawało się niezbitie logiczne, musiał być na wszystko gotowy.

Zaczął się więc krzątać. Nie mógł chwilami opanować niezręczności i drżenia rąk, nie tylko dlatego że wzruszała go czystość przedmiotów, których musiał dotykać, lecz dlatego że więzy pamięci łączyły je przeżyтыми zdarzeniami. Spróbował mimo wszystko jeść. Wypił trochę kawy, która tego ranka miała szczególnie gorzki smak w jego ustach. Ze szczątków sederowego stołu skosztował odrobinę gorzkiej pietruszki. Z obu udek jagnięcych oderwał po drzazdze. Dopiero przeżute, zwilżone śliną w pokorze i pragnieniu nabrały smaku mięsa. Musiał przełknąć je wielkimi, gorącymi, głośnymi łykami.

O zwykłej porze zapakował tańce i filakterie do małej fibrowej walizki. Wprawdzie *Herr* Rosenbaum oficjalnie zwolnił go od pracy w dni Paschy, lecz Himmelfarb wiedział oczywiście, że spodziewano się jego przyjścia. Spodziewali się go inni ludzie. Może zresztą Rosenbaumowie także. Himmelfarb nie pozwalał sobie wspominać wyrazu lęku w oczach pracodawcy, gdy wspinał się na wzgórza w cieniu płotów z szarych desek, spiesząc na przystanek autobusu.

Ranek zszarzał i stwardniał, ruchy stały się elastyczne, niemiękkie i niechętne, lecz także nie napięte ani rozpaczliwe. W fabryce już uruchomiono maszyny. Obracały się, ssąc powietrze i dysząc, ale opornie. Kobiety nad swoimi stołami wyrzekały i wycierały pot. Jedna pokazywała sińce, ślady ostatniej nocy. Wszystko było jak co dzień. Ale każdy wiedział, że ten ranek będzie inny.

Po pierwsze była to wilia Wielkiego Piątku, a kto miałby ochotę pracować, skoro święta wielkanocne właściwie już się zaczęły? Wedle powszechnej opinii należałoby zamknąć fabrykę, puścić ludzi do domów, żeby mogli przygotować zapasy mięsa i trunków na kilka świątecznych dni. Skoro jednak nie postąpiono z nimi sprawiedliwie i rozsądnie, siedzieli i czekali, co dalej będzie. Albo majstrowali po trosze koło metalowych części, które nawykli już odruchowo ze sobą łączyć. Dzisiaj zawiasy zgrzytały, gwoździe usiłowały przebijać ciało. Wilgoć plamiła smugami błyszczące niklem powierzchnie.

Zauważono, że Blue nie stawił się w warsztacie, brakowało także kilku innych chłopców, niektórzy pokazywali się i znikali, wsuwali w drzwi roześmiane gęby i umykali, żeby za chwilę zajrzeć znowu. Oczywiście przyczyną była „Szczęśliwa Siódemka”. Paru mniej szczęśliwych od początku o wszystkim wiedziało. Pan Theobalds śmiał się, skubiąc włosy pod pachami i czekając na dalszy rozwój zdarzeń.

Wyglądał na człowieka, którego doświadczenie nauczyło pobłażliwości. Wkrótce szeregi starych kobiet i chmurnych dziewcząt obiegnęła wieść, że kilku młodzików wygrało wielki los na loterii. Daj im Boże. Ale niejednej zbierało się na płacz. Któraś z kobiet wyciągnęła z kieszeni gwizdek, taki jakiego używają listonosze; znalazła go rano na stoliku przy łóżku i teraz dmuchnęła weń, aż żyły nabrzmiały jej brzydko na skroniach, a wargi pobladły i porysowały się zmarszczkami mimo grubej warstwy czerwonej szminki.

Mokre podłogi lśniły. Komu by się chciało pracować? Chyba frajerom. Wkrótce będzie można zdzierać z ramion całe płyty wilgoci albo długie rękawice lepkiej skóry.

Tylko Żyd pozostał suchy, nie wzruszony nastrojem otoczenia. Ręce mu drżały, lecz siedząc przy swojej wiertarce przygotował się do roboty i zaczął wiercić otwory, wytrwale, jeden po drugim, tak jak mu nakazano, póki nie usłyszy wezwania. W tych okolicznościach jego spokój był wstrętny, odrażający dla wielu ludzi, którzy nie mogli powstrzymać się od zerkania ustawicznie na tego przybłędę, zwłaszcza gdy wstał i dreptał wokół wiertarki, żeby rozruszać zdrętwiałe nogi, pozbyć się z nich kołących igieł i szpilek. Kiedy rozcierał ręce, szeleściły sucho jak szklany papier, zupełnie inaczej niż miękkie, wilgotne ręce innych ludzi.

Niektórzy ludzie nie mogą znieść widoku istot stanowiących ich antytezę. Żyd wrócił na swój stołek i starał się jak najmniej drażnić otoczenie. Raz tylko skinął głową tubylcowi, wbrew milczącej umowie, że nie będą się wzajem poznawali.

Tubylec nie odpowiedział na ten znak.

Był najwyraźniej chory, stracił ostatnio tak dużo na wadze, że zdawał się wyniszczony, lecz nadal chodził nagi do pasa ze względu na dokuczliwy parny upał. Jeśli nikt nie robił uwag o jego wyglądzie, nawet ci, którzy najbardziej brzydzili się

obecnością choroby lub czarnych - najskrajniejszych postaci antytezy - to dlatego że Alf Dubbo stał się już teraz abstrakcją człowieka. Oczy rozmawiających zatrzymały się w roztargnieniu na strukturze jego żeber. Nie miała ona żadnego związku z życiem w ceglanych domach wyposażonych w elektryczne pralki, z życiem prawdziwych ludzi. Niekiedy wszakże tubylec drżał. Zwłaszcza gdy Żyd patrzył na niego ze zrozumieniem. Alf Dubbo nie chciał tego. Nie chciał być wplątany w sytuację, której nie miałby może siły znieść. Ale będzie musiał ostatecznie nauczyć się, jak ją wyrazić.

Dlatego drżał, a w pewnej chwili zdawało się, że sterczące żebra, mimo że szczepione z sobą pod jego skórą, skręcają się konwulsyjnie i rozdzielają.

Około dziesiątej pan Rosetree we własnej osobie wyszedł ze swego gabinetu, ponieważ rzuciwszy okiem przez okienko w drzwiach na halę warsztatową doszedł do wniosku, że taka wizytacja jest przynajmniej teoretycznie wskazana. Nikt jednak się tym nie przejął. Pan Rosetree bardziej niż zwykle uroczyście kołysał się na piłeczkach swoich małych stóp. Zagadnął też jedną i drugą zamyśloną kobietę.

Harry Rosetree był bardzo wesół tego dnia, chociaż pot ściekał po jego delikatnej skórze i starannie ostrzyżonym karku. Pot ściekał za kołnierzyk. Ale pan Rosetree śmiał się radośnie, mówiąc, że to prawdziwe święto w fabryce, skoro siedmiu pracowników wygrało na loterii. I to właśnie przed samymi świętami Wielkanocy. Potem spojrzął na zegar. Znowu się roześmiał tak szeroko, że pokazał złoty ząb w głębi jamy ustnej. Głośnik krztusił się nieustannie muzyką; zdawało się, że któregoś dnia, a może już dzisiaj, oderwie się od ściany, unikając w ostatnim momencie śmierci przez uduszenie.

Nagle jeden ze „Szczęśliwej Siódemki” zajrzał do hali, przelotnie zresztą, bo spieszył się z powrotem na drugą

stronę ulicy do knajpy. „Chłopcy oblewają wygraną”

- oznajmił, a na jego uśmiechniętej twarzy pojawiły się dołeczki, zwykle towarzyszące jedynie wspomnieniom o piwie, starej Irlandii albo o matce. Takiej Wielkanocy jak ta nigdy jeszcze nie było. Chłopcy upili się zdrowo.

Pan Rosetree wybuchnął śmiechem, aż maszyny drgnęły. Ale zmarszczył brwi patrząc na Żyda Himmelfarba.

Ludzkiemu mechanizmowi pracodawcy niebezpiecznie zagrażały wypadki rozgrywające się w jego własnym zakładzie i musiał odpowiedzialność za nie na kogoś zrzucić. Siedmiu szczęściarzy nie wchodziło oczywiście w grę, ci byli nietykalni. Pozostawał sam Harry Rosetree albo jego sumienie - Chaim ben Jakub - albo cierń w jego ciele - Himmelfarb. Wysokie ciśnienie, upał, hałas, wszystko potęgowało w nim zgryzotę i zaćmiewało jasność myśli poszukującej przyczyny zła.

- Dlaczego pan przyszedł, zwolniłem pana na okres Paschy - wyjąkał.

- Nigdy nie uciekałem przed konsekwencjami, próbując się od nich uchylić - odparł Himmelfarb.

- Co?! - wrzasnął Harry Rosetree.

Ale wzmagający się zgiełk wszystko zagłuszał.

Poza i ponad ustawicznym stukiem wiertarki Himmelfarba oraz burzliwą orkiestrą maszyn dobiegł z ulicy jakiś inny hałas. Dźwięczały w nim głosy bębnow, trąbek i jednej, jak się zdawało, piszczałki. Ostry zwierzęcy smród dołączył się do łagodniejszej woni smarów.

Panna Whibley, która od rana pudrowała się niestrudzenie, przerwała to zajęcie, żeby krzyknąć:

- Cyrk jedzie!

Panna Mudge przytaknęła koleżance i obie rzuciły się do okna, jak gdyby usiłując rozszerzyć je i w ten sposób wziąć głębszy udział w tym, co miały nadzieję zobaczyć.

Jednocześnie w halach fabrycznych rozległ się zgrzyt ciągniętych krzeseł i stołów, łoskot sprzętów, z których budowano estrady, żeby z ich wzniesienia oglądać widowisko przez umieszczone dość wysoko okna. Ten i ów z mężczyzn korzystał z zamieszania, by przycisnąć którąś z młodszych kobiet. Wszyscy byli tak stłoczeni, a letnie bluzki zdawały się obojętne jak budyń na wszelkie dotknięcia. Tylko właścicielka gwizdka nie przestawała gwizdać.

Kiedy cyrk wrócił na placyk porośnięty zeschniętą trawą, na którym zauważono poprzedniego wieczora rozbite obozowisko, nie rozpoznane i nie nazwane nigdy gorączki opanowały spotniałe ręce i twarze ulicznych widzów; podniecały ich bielejące pod atlasowymi frędzlami brzuchy cyrkówek i bijący w nozdrza odór menażerii. Jeździec dosiadający jabłkowi tego konia ucieleśniał dla wielu niemal już przygasłe marzenia, gdy zapalał zapałkę, pocierając ją o napięte pod nogawką spodni udo; zdawało się nawet, że spojrzął ku oknom przekrwionymi oczyma.

Najzabawniejszy był kłown, który odgrywał komedię publicznej egzekucji na otwartej platformie ciężarówki. Jedynie wstrząsy samochodu i jego własna zręczność udaremniały próby wsunięcia szyi w pętlę szubienicy. Błazen potykał się i padał w ostatniej chwili z dala od stryczka. Ale udawał, że dusi się i nie może złapać tchu. Wywalał z ust język i w końcu zlizywał nim niewidzialne substancje przywracające życie.

- Gotowi zabić durnia! - wrzasnęła któraś ze starych bab zatrudnionych w firmie pana Rosetree. - Patrzcie! Nie mówiłam? Zepsują biedakowi święta!

Zdawało się, że kłown wreszcie zakończył swój występ, nadciągnęła bowiem druga procesja, dłuższa, składniejsza, mniej bezkształtna, i połączyła się nieopatrnie z pierwszą. Wśród podrygów i krzyków sypały się kwiaty, a widzowie

zrozumieli, że druga procesja jest prawdziwym pogrzebem; orszak był liczny, czarny, ludzie dostatnio ubrani, a twarze różnorodnego typu, domyślano się więc, że żałobnicy odprowadzają na wieczny spoczynek jakiegoś notabla miejskiego, spiesząc się z tą ceremonią wobec bliskości świąt.

Klown dyndał na końcu powroza, a mała należąca do rekwizytów trumna chwiała się na krawędzi platformy; zmieszany gwar głosów, zgrzyt hamulców, pryhanie koni biło z tłumu ku górze. Nagle z pierwszego w kondukcje pogrzebowym samochodzie wychyliła się, a raczej uwięzła w otwartym oknie tęga biała kobieta - zapewne wdowa - i wyciągnęła rękę, wskazując klowna, jakby w tym wizerunku wreszcie rozpoznała głębię, trwałość i prawdę żałoby, której nie umiała odczuć, patrząc na swego niegdyś bardzo wymagającego, a dziś martwego męża. Krzyczała ochryple. Można by pomyśleć, że ogromny marmurowy posąg wypluwa kurz z gardła i nauczywszy się tej sztuki nigdy już nie umilknie.

Nie zostało stwierdzone, czy klown naprawdę umarł, czy też raz jeszcze odegrał komedię śmierci, gdy szczepione z sobą dwie procesje powlokły jedna drugą za skręt ulicy i w końcu zniknęły z pola widzenia. Ludzie, przedtem tak żądni spektaklu, nie byli pewni, czy się nim nasycili, bo klown z pewnością był przecież tylko kukłą, oni zaś spodziewali się zobaczyć człowieka. Niektórym jednak widzom, tym bardziej myślącym, oczy zapadły w głąb czaszek, jak gdyby ręka zagadkowego klowna szarpnięciem zerwała kurtynę w ich wyobraźni.

Tym nielicznym wydało się, że ich pracodawca został sam na sam z Żydem w odległym kącie sali i że postawa tych dwóch ludzi, których głosów nie słyszano, nie ma nic i jednocześnie ma bardzo wiele wspólnego z rozgrywającymi się zdarzeniami.

Harry Rosetree rękami rozgarniał powietrze, usiłując dotrzeć bliżej jądra sprawy. Przed chwilą powiedział:

- Muszę pana prosić, muszę panu nakazać, żeby pan opuścił fabrykę. Oczywiście wibracje maszyn wystarczyły, żeby słowa wyrywały się z ust gwałtownie.

- Dla pańskiego dobra - tonem pogroźki dodał pan Rosetree.

Ale Żyd uśmiechał się smutno. Nie był tego pewien.

- Natychmiast. Póki czas. - Pracodawca pieniał się i pocił. Ukształtowane, lecz bezgłośnie słowa wypadały mu z warg

niby puste skorupki od jajek. Żyd odpowiedział ze zwykłą swoją smutną ironią.

- Wina nie spadnie na pana.

Czasem aksamitne pasy napędowe rzeczywiście łagodziły zgrzyty mechanizmu.

„Na nikogo, tylko na mnie - zdawał się mówić Himmelfarb - spadnie odpowiedzialność za wszystko, co może się zdarzyć. Pan jest podwójnie ubezpieczony”.

Sytuacja była niezwykła: pracodawca usiłował z powietrza wydrzeć coś, co chciał ofiarować jako tajne zlecenie jednemu z najmniej wykwalifikowanych swoich robotników; mogło to każdego zaciekawić, a nawet zaniepokoić. Ci, którzy zauważyli tę scenę, odwrócili od niej wzrok.

Szczęściem działały się jednocześnie inne rzeczy. Wybiła właśnie godzina przerwy południowej. Zatrzymywano maszyny. Robotnicy zeskakiwali z estrad stołów, z których dotychczas podziwiali przemarsz dwóch orszaków. Przyszła pora odpoczynku.

„Szczęśliwa Siódemka” wróciła z szynku po zabawie i po widowisku wieszanego kłowna. Wreszcie zjawił się także Blue, którego wielu kolegów od rana nie widziało i któremu nie wszyscy zdążyli już powinszować wygranej. Towarzysze pracy, a zwłaszcza przedstawicielki płci pięknej cisnęły się do chłopca, żeby go dotknąć, pocałować, przyłączyć się do jego

triumfu; bardziej nieśmiali czekali, żeby zwycięzca sam się jakoś objawił, chociaż już i tak popisał się dostatecznie. Blue był rzeczywiście pijany. Otoczyli go współnicy sukcesu. Wszyscy byli ubrani jak zwykle w spodnie i trykotowe koszulki, tylko przywódca miał na nogach długie gumowe buty, w których zazwyczaj brodził przez kałuże kwasów rozlane w platerowni, i stare szorty upstrzone plamami i zeszywniałe tak, że wyglądały jak naturalna łuska okrywająca uda. W tym chłopcu zawsze rzucał się przede wszystkim w oczy tors Antinousa z przedmieścia, piersi mocno zarysowane w nieczułym marmurze czy w rzymskim piaskowcu. Głowę ktoś rozbił albo też rzeźbiarz przedwcześnie odrzucił dłuto, wzdragając się nadać precyzyjną formę wizji, której się wstydził. Czy uszkodzona, czy też nie wykończona, głowa ta w każdym razie robiła nieodparte wrażenie. Z nieprzezroczystych oczu, które mogłyby w najlepszym wypadku wyrażać tylko ograniczone piękno kamienia, sączyły się spojrzenia bezgranicznie plugawe: pomyje szynków, rozmiękłe niedopałki papierosów, szarzyzna nudy, zielonkawa zgnilizna rozpusty. Usta były narządem do pochłaniania. Jeśli otwierały się, żeby przepuścić słowa - czasem nie sposób obejść się bez porozumienia z zewnętrznym światem - razem ze słowami spomiędzy spróchniałych pieńków bluzgały opary piwa.

W tej chwili Blue krzyknął do tłumu wielbicieli, nie zdradzając zresztą zainteresowania:

- Sie macie!

Nie zrażone niczym kobiety garnęły się do niego czule jak ta, z którą łączyły go najbliższe więzy krwi. Wkrótce jego grube wargi wysmarowane były czerwoną szminką.

- Byczy z ciebie gość! - krzyknęła najbardziej odważna z dziewcząt, może spodziewając się, że trywialny język wruszy wreszcie obojętnego na kobiece wdzięki chłopaka.

Roześmiał się tylko, szczerząc czarne pieńki, i odepchnął kobiety, nie zważając, że tratuja się wzajemnie w ścisku.

Niewątpliwie królowała teraz w fabrycznej hali „Szczęśliwa Siódemka”. Alkohol wyolbrzymiał ich, a przynajmniej tak się zdawało Chaimowi Rosenbaumowi, bo w jego przeszłości gesty i twarze tłumu często przybierały groźne rozmiary. Przypomniawszy sobie o jakimś obiecanym kilka tygodni temu i zaniedbanym telefonie, postanowił wrócić do swego gabinetu.

- Nie daj się, Blue! - zawołał w przelocie pan Rosetree.

Wszyscy zapomnieli o obecności pracodawcy, toteż teraz kilku ludzi obejrzało się ze zdziwieniem, nie bardzo rozumiejąc sens rzuconej przez niego uwagi.

Pan Rosetree wchodził po schodach niedostatecznie pocieszony świadomością, że zrobił, co mógł. Jeśli ktoś swoim zachowaniem znieważał zdrowy rozsądek, to tylko ten przekłety Żyd Himmelfarb, który będzie musiał ponieść konsekwencje własnej nieostrożności.

Himmelfarb właśnie chwycił swoją walizeczkę i ruszył przez dziedziniec ku umywalni, która dawniej stanowiła dla jego ducha bezpieczne sanktuarium.

Chaim ben Jakub obejrzał się za siebie. Cz-y jakimś cudem awansował z aktora na widza? Nowy zryw paniki pchnął go naprzód i przeskakując ostatnie stopnie schodów pan Rosetree wpadł do swego gabinetu.

Himmelfarb szedł powoli. Chociaż przeżycia czy może wahania klimatu dodały mu lat, on także urósł jakby na miarę postaci, do których z wolna, z wolna się przybliżał. W każdym razie tak tę sytuację widział Alf Dubbo, bo nieomylny instynkt ostrzegwał go bolesnym skurczem żołądka.

Stojąc na płaskiej podłodze Alf Dubbo znajdował się jak gdyby na wzgórzu, obserwując to, co tylko on dzięki darowi

czy przekleństwu losu zdolny był dostrzec. Ani aktor, ani widz, lecz najnieszczęśliwsza z istot ludzkich: artysta. Wszystkie aspekty, wszystkie możliwości już się w nim przełamywały i kształtowały. Zapadnięty brzuch buntował się gwałtownie.

Himmelfarb dotknąłby stojącego najbliżej przedstawiciela „Szczęśliwej Siódemki”, gdyby trochę podniósł łokieć. Przeszedł jednak. Zaczął przecinać w poprzek dziedziniec. Jak dotąd nikt prócz tubylca nie przypisywał znaczenia Żydowi o rozchwianej głowie.

Nagle Blue, który stał z głową zwieszoną, poczuł się samotny, zaczął go ogarniać smutek. Zaprzagnął złożyć głowę na znajomej płaskiej piersi, z której trysnęłyby cienkimi strużkami witalności. Usiłował przypomnieć sobie pewne słowa, a pamięć słabo mu służyła, gdy chodziło o problemy moralne. W końcu wyłowił urywki zdań: „Cierpię zawsze w okresie wielkanocnym rozpamiętując, jak Żydzi ukrzyżowali Pana Jezusa...”. Cały smutek skupił się, naciskając na jeden nerw. „To Żydzi zrobili, Blue...”. Wszystkie krzywdy, jakich kiedykolwiek w życiu doznał, nabrzmiały goryczą. Ale wszystkie krzywdy, które sam w życiu wyrządził, zmalowały, bo ktoś inny popełnił gorszy grzech. A nawet najgorszy, tak go przecież uczono, najgorszy ze wszystkich. Nie wolno, żeby mu to uszło bezkarnie.

- Hej, Mick! - krzyknął Blue.

Dopiero w tej chwili kilku chłopców z „Siódemki” spostrzegło, jaki nędzny, śmieszny, godny pogardy jest ten żydowski przybłęda. Jeden w przewidywaniu dobrej zabawy parsknął cienkim śmiechem, drugi, wzdęty od piwa, beknął z nienawiścią.

Żyd odwrócił głowę.

- Przepraszam, czy pan do mnie mówił? - spytał.

Bez potrzeby zresztą. Widać było wyraźnie, że doskonale rozumie, o co chodzi.

Blue, który zawsze długo musiał ryc w swojej mózgowicy, zanim odszukał jakiś argument, teraz nie miał czasu, żeby go znaleźć. A jednak wiedział, czego chce. Argumenty, zrodzone z krwi, w brzuchu, w lędźwiach, domagały się wyładowania. Blue patrząc na Żyda przeżywał autentyczny spazm.

- Musimy z tobą pogadać - rzekł - o czymś, co się kiedyś stało.

Dotknął guzika u koszuli Żyda, lekko, niemal żartobliwie.

Blue był nie tylko mścicielem, ale także wesołym kolegą. Mógł dopuścić się każdego okrucieństwa, lecz pod warunkiem, żeby większość świadków pękała ze śmiechu jak z dobrego kawału. A nie ma prawie tragedii, której nie można by przypisać błazeńskiego nosa. Blue może to wyczuwał, kiedy lekko dotykał guzika u koszuli, a może przypominał sobie jakiegoś surowego pastora, który nie umiał zachować powagi, karcąc chłopców za psie figle.

- Mamy z sobą stare porachunki - rzeki Blue.

Paru sojuszników już podkurczyło łokcie, przybierając postawę gotowości, żeby poprzeć każdą inicjatywę przywódcy.

- Tak mi przynajmniej powiedział mój pastor - ciągnął dalej Blue. - A może ktoś inny. - Zmarszczył brwi i zająknął się. - A może ciotunia - zakończył weselej.

Ostatnie słówko rozdmuchało ogień, który inaczej zgasłby pewnie. Teraz buchnął z nową siłą, zielonawym i jadowitym płomieniem. Blue zaczął się śmiać, obnażając puste dziąsła, z napiętymi na szyi mięśniami.

- Łotry parszywe - śmiał się Blue. - Dranie. Śmiesznie łatwo, bez oporu koszula Żyda ustąpiła, oddając napastnikowi długi biały strzep.

Alf Dubbo spojrział na swoje ręce. Były nie uzbrojone, a bez broni Alf bał się walki. Miał ochotę zapłakać nad

wszystkimi swoimi porażkami, nad tą jednak bardziej niż nad innymi.

Blue nie wiedział jeszcze, co zrobić ze strzępem koszuli w ręku.

Wtedy ruszyła z miejsca „Siódemka”. Wszyscy jednocześnie zapragnęli wziąć udział w akcji przeciw bezczelnemu Żydowi, mimo to z początku mogło się wydawać, że jeden drugiego wypycha naprzód. Jak zbite stado słoni obijali się i ocierali o siebie. Nie żartowali jednak. Ten czy ów wprawdzie parsknął śmiechem, lecz tylko po to, żeby się pozbyć flegmy z ust czy może ze zdenerwowania. Traktowali sprawę poważnie.

- Chryste! - ten czyjś okrzyk rozstrzygnął wszelkie wątpliwości.

Alf odczuł go jak cios. Głosy nabrzmiałe strachem i zgrozą, zarazem osobistą i bezgraniczną, wzbily się znad dziedzińca, na którego krańcu toczyła się bójka. Jeśli można to nazwać bójką. Żyd bowiem nie stawiał oporu. Tylko jedna strona - zastęp sprawiedliwych - kłębiła się i szamotała, nie unikając nawet sińców lub zadrapań. Strona druga - Żyd - nie drgnęła, chyba że pchnięta przemocą. Twarz Himmelfarba zachowała wyraz spokoju, niemal zadowolenia.

Alf Dubbo, trzcina myśląca, szarpana i wyrywana, patrzył, jak fala motłochu przewala się przez dziedziniec nad kałużami ścieków z platerowni. Niektórzy ryczeli ze śmiechu lub śpiewali. Spośród tych, którzy ociągali się czy nawet protestowali, żaden nie zdecydował się jeszcze wyrzec haniebnego widowiska, co najwyżej ten i ów cichaczem lamentował nad swoim brakiem stanowczości.

- Wracaj, skąd przyszedłeś! - krzyczały śpiewnie wśród chichotów dziewczęta.

- Wracaj do Niemiec! - zawyły starsze kobiety.

580

Klaskano i przytupywano, a chór męski podjął zawołanie:

- Wracaj, skąd przyszedłeś! Idź stąd, choćby do diabła!

Głosy dźwięczały radośnie i spżozowo, bo nareszcie kukłę zastąpił człowiek z krwi i kości.

Na dziedzińcu, jak przypomniał sobie Alf, rosła stara żakaranda, której przycięto gałęzie, zanim nadszedł jej okres niebieski, może właśnie po to, by do niego nie dopuścić. Cudowne drzewo było więc zniekształcone i kanciaste, lecz malarz umiał je sobie wyobrazić w całym bogactwie błękitu, spowite nim jak welonem, brodzące w błękitnych kałużach.

Tłum, jakby za zgodnym podszeptem instynktu, popychał ofiarę ku tej parodii drzewa; okaleczone gałęzie pokryte były plamami porostów martwego, kamiennego koloru, z pnia sterczały gdzieniegdzie gwoździe i kawałki zardzewiałej już blachy, które ktoś przybił tam nie wiadomo w jakim celu. Popychano Żyda coraz brutalniej. Wreszcie upadł. Długą chwilę tratowali go. Paru skusiło się spróbować jędrności tego grzyba, który pragnęli zerwać, ryzykując, że go zniszczą; jeden mężczyzna, śmielszy od innych, nagle uświadomił sobie przeraźliwą kruchość ludzkiego ciała, kiedy kopnął leżącego w żebra.

Potem Blue schylił się i dźwignął Żyda na nogi. Znad lewego oka ofiary ciekła krew, a widok ten wydał się tłumowi widzów jednocześnie wstrętny i pożądany.

Blue, bardziej niż kiedykolwiek posągowy, błyszczał od potu. Wiele kobiet, zarówno dziewcząt jak i mężatek, dobrowolnie wydało swoje dusze na zatracenie, poddając się czarowi tej urody. Mężczyźni chętnie rąbnęliby młotkiem lub ciachnęli nożem, gdyby mieli któreś z tych narzędzi pod ręką. Oczywiście Żyda.

A Żyd wcale by nie zaprotestował.

To właśnie najgorzej rozjątrzało gniew tłumu. Żyd nawet nie zacisnął ust, lecz rozchyłał je lekko, jakby gotów przyjąć następną kroplę gorzycy.

Przyparli go do drzewa. Pięściami. Kopniakami. Słysząc było, jak głowa stuknęła o pień.

- Ej tam, uważajcie! - krzyknął Blue. Nie żeby miał coś przeciwko temu, lecz nie zapomniał o konwencji, która wymaga, aby okrucieństwo, przynajmniej wśród kolegów, nie traciło nigdy pozorów żartu.

Może to mając na uwadze, wyrwał się na chwilę z tłumu i skoczył do warsztatu. Wróci z liną czy też ze zwojem śliskiego sznura.

Ludzie nie byli zrazu pewni, czy warto przyjąć ten nowy pomysł.

Niektórzy już wyczuli, że można by sięgnąć szczytu tragedii i wytoczyć krew bardziej czerwoną, obfitszym niż kiedykolwiek strumieniem.

Większość jednak dała się uśmierzyć nadzieją odegrania jakiejś roli w nowym epizodzie, który głębiej ich jeszcze poniży; nie dla nich były szczyty.

Blue krzątał się żwawo. Przybijał. Wiazał. Wykrzykiwał rozkazy.

Alf zobaczył, że oprawcy podciągają Żyda wyżej. Przywiązali go do drzewa. Już górował nad tłumem, a widocznie drasnął go gwóźdź albo ostry brzeg blachy, bo krew teraz płynęła obficie. W każdym razie jedną rękę miał przebitą. Rozdarta koszula odsłaniała rany na odrażających żebrach.

Motłoch wył i cisnął się ku niemu.

Jedną z kobiet, której zebrało się na mdłości, uratowało przypomnienie:

- To te obce przybłędy pozajmowały nasze domy. To Żydzi. Dzielny z ciebie chłopak, Blue. Dobrześ go urządził. Postawię ci kufelek po robocie.

Niebieskawe loczki trzęsły się na jej starczej głowie.

Alf Dubbo zrozumiał, że nigdy, nigdy nie zdobędzie się na czyn, że będzie marzył i cierpiał, i wypowiadał część cierpienia w obrazach, ale w gruncie rzeczy jest bezsilny. Był naiwny, więc zwał winę na kolor swojej skóry.

Zegary wybiły godzinę.

O tej godzinie panna Hare przystanąła na schodach tarasu, bo zobaczyła, jak marmur drgnął i szczelina rozwarła się szerzej. Czekwała, pewna, że cały dom teraz runie. Ale nic się nie stało. Kiedy zeszła do stóp schodów, wyczuła jakieś nieszczęście wśród drzew. Skóra jej знаła mowę powietrza. Panna Hare, idąc, dotykała pni, udręczona wlokła się od drzewa do drzewa, przez mękę tego nieszczęsnego poranka, którego była cierpiącą częścią. Szła przez ogród, brodząc w liściach, naprawdę jednak zwiężająca się spirala złych przeczuć prowadziła ją niemal do samego jądra strachu.

O tej godzinie pani Godbold zdjęła ze sznurów prześcieradła, które wcześniej wyprała, a które zdążyły już wyschnąć i pachniały świeżością. Zabrała się do prasowania i wkrótce spiętrzył się stos gotowej bielizny. Pani Godbold pracowała szybko i zręcznie, nawet gdy myślała przy tym o smutnych rzeczach; nawet gdy wspominała; na przykład, jak niewiasty spowijały prześcieradłem zdjęte z krzyża ciało Chrystusa. W tym okresie roku pani Godbold przeżywała smak wszystkiego, co się niegdyś stało, zarówno najbardziej gorzkich mętów, jak czystej radości świadectwa. W tej chwili przeszywał ją ból głębszy niż kiedykolwiek. Przyjmowała go jak zawsze z poddaniem.

Gotowa złożyć ciało umęczonego na najbielszych prześcieradłach z miłością, do której nikt nie był tak zdolny jak ona.

Pani Flack właśnie naląła herbatę do filiżanek i przyjrzała się powierzchni płynu.

583

- Prawda zawsze wypłynie - stwierdziła.
- To zależy - ośmieliła się powiedzieć pani Jolley.
- Od czego? - spytała pani Flack głośno, wciągając dech.
- Od tego, co kto za prawdę uważa. Pani Flack była nieubłagana.
- Przyzwoitej osobie instynkt mówi, co jest prawdą - rzekła. - Chyba się pani z tym zgodzi?
- Owszem - musiała przytaknąć pani Jolley.

Pani Jolley ostatnio często się bała, najczęściej przerażały ją liście *Monstera deliciosa*, ciemne i pełne dziur. Dreszcz ją przeszywał, ilekroć nagle spostrzegła te liście majaczące nad parapetem okna, ale gdyby przycięła gałązki, pani Flack poczułaby się dotknięta.

Żyda wyciągnięto, jak się dało najwyżej, na okaleczone drzewo. Linę zablokowano węzłem, a jeden ze współników Blue niezdarnymi rękoma zdołał w końcu umocować spętane w kostkach nogi ofiary. Nikt nie mógłby twierdzić, że Żyda ukrzyżowano, ponieważ od początku był to tylko żart, a krew wprawdzie się połała, lecz zaschła bardzo szybko. Świadczyły o tym ręce, skronie i bok ciemnymi strupami i plamami, zbyt nędznymi, żeby przynęcić muchy. Jeśli ktoś z widzów cierpiał, patrząc na nie zasklepione rany, to zapewne jedynie z powodu chorobliwego stanu sumienia, czekającego od dzieciństwa na sposobność, żeby się objawić. Ci nieliczni widzieli krople krwi drżące i żywe. Marzyli, by ukradkiem zanurzyć w nich chustkę.

Inni chichotali ubawieni błazenadą, lecz odwracali twarze, usiłując ukryć śmiech, podejrzewając, że jest w nim może trochę bluźnierstwa.

Blue śmiał się i łykał nadmiar śliny. Stał, patrząc w górę z zadartą głową, z szyją rozdętą nad konwulsyjnie teraz drgającym torsem: posąg zdeformowany.

Wołał z głębokości:

- Dobrze ci tam w górze, co?! Masz dosyć, he? Można zdechnąć, temu draniowi podoba się ta zabawa!

Żyd rzeczywiście wyglądał jak gdyby uniesiony daleko od tłumy, podczas gdy sam arcykat zdawał się błagać o wyzwolenie od tortur, które zawsze cierpiał i które, jak pamiętał, w pewnych okolicznościach łagodniały. Tak więc marmur zniekształcał się w konwulsjach i zmieniał niby wosk u stóp drzewa.

Żyd wisiał. Gdyby nie był tak godny pogardy, budziłby może litość.

Podciągnięty wysoko, całym ciałem ciążył na przegubach rąk, tak że powrozy omal ich nie przecięły. Napięte ramiona z trudem utrzymywały niełatwą łączność między niebem a ziemią. Przez łachman koszuli świeciła przezroczysta skóra naciągnięta na żebrach. Głowa chwiała się silniej niż zwykle. Świadkowie, którzy nie stracili zmysłu rzeczywistości i nie zapomnieli tradycji, mogliby pomyśleć, że już umarł. Lecz oczy zdawały się śledzić jakąś wizję, nie stężałe jeszcze w śmierci. Skupione w kontemplacji wargi poruszały się, kształtując bezgłośnie słowo wymawiane w duchu.

Alf Dubbo widział najwięcej, ponieważ był w tłumie równie samotny jak ukrzyżowany Żyd. Wszystko, co kiedykolwiek wycierpiał, wszystko, czego nie zdołał zrozumieć, teraz wypłynęło na powierzchnię świadomości. Instynkt i nauki białych ludzi już się w nim nie kłóciły z sobą. Zimne żyły Chrystusa, o którym mówiono mu w dzieciństwie, wypełniły się kolorem, gwoździe wreszcie wpiły się naprawdę w ciało, tak jak opowiadała historia. Alf we własne żółtawe dłonie przejął z rąk pastora Calderona kielich i zapragnął ofiarować go celebransowi, którego rozpoznał w tłumie. Zrozumiał sens krwi, która czasem była sygnałem choroby i brunatną plamą na jego własnej poduszce, a czasem stawała się jasnym

szkarłatem odkupienia. Był olśniony. Brakowało mu tchu. Osłabł fizycznie od tego objawienia, że wiedza nigdy nie będzie zdolna przeciąć sznurów przykuwających Zbawiciela do drzewa. Że nawet tego się od niej nie żąda. Nie trzeba. Zaczął rozumieć także zgodę na mękę. Teraz nareszcie będzie umiał to wyrazić w płaszczu z purpury, na niebieskim drzewie, w zielonych wargach odosobnionego, kontemplacyjnego cierpienia.

Alf patrzył i zaniepokoiły go różnorodne postacie miłości. Stał mu przed oczyma stary pastor, który w chłopięcym ciele na łóżku szukał utraconego obrazu młodości; pani Spice wirująca w niestrudzonym tańcu na stosie worków, zapadająca coraz głębiej w zgniliznę; prostytutka Hannah spleciona w uścisku ze swoim białym kastratem, Normanem Fussel-lem, we wnętrzu jałowego, lecz nie pozbawionego doskonałości mięsistego jaja. Wiele bezimiennych twarzy ofiarowanych bez nadziei i bez oporu. A także najbardziej kojące z miłosnych przeżyć: mleczne, nieskażone światło poranka, obmywające jego nagie ramiona. I farby mieniające się kolorami, wyciskane na gładką deskę, kładzione czasem powłoką cienką jak mgła, a czasem rzeźbione palcami niby kamienne bastiony. Może ta forma jego osobistego udziału w miłości najtrudniejsza była do wytłumaczenia, chociaż najpojemniejsza i najlepiej dająca się pojąć.

Żyd poruszył się na brzydkim kikucie drzewa, do którego był przywiązany. Tłum parł naprzód, żeby lepiej widzieć i słyszeć, objijając się po drodze o mieszańca jak o kołek; Alf dla nikogo z nich nie istniał. Żyd podniósł głowę. Spojrzał spod ciężkich, znieawidzonych powiek. Himmelfarb od początku wiedział, że ma w sobie siłę, lecz modlił się o jakiś znak. Wśród przekleństw, kopniaków, śmiechu, szarpany, obolały, udreńczony, nie

przestał oczekiwać. Teraz wreszcie spodziewał się spełnienia modlitwy. Dlatego podniósł głowę. Uświadomił sobie ciszę i jasność czystej wody, w której odzwierciedlał się Bóg.

Ludzie patrzyli na przywiązanego do drzewa człowieka. Wydawało im się nienaturalne, że nie próbował powiedzieć, co myśli, a może nawet czuli się tym rozczarowani. Napięcie było straszliwe. Gdyby wiedzieli, jak to zrobić, gotowi byli zlizać z jego warg milczenie jako namiastkę słów.

Nagle młoda dziewczyna o wąskich ustach i gładkich włosach poderwała się naprzód, rozpychając stojących w pierwszych rzędach widzów, którzy zagradzali jej drogę. Musiała się przedostać. Histeria dodawała jej sił. Czerwona nitka warg zaciskała się mocno, wiążąc zamkniętego w dziewczynie demona, który za żadną cenę nie chciał ustąpić. Kiedy dotarła pod samo drzewo, cisnęła z rozmachem pomarańczę, którą w tym celu przyniosła, ale rzut był po dziewczęzińsku niezdarny i zamiast w usta Żyda trafił w zapadłą pierś, aż jęknęła.

Przez tłum przebiegł śmiech czy może westchnienie.

Potem wystąpił młody chłopak, jeden z „Siódemki”, Rowley Britt, który pamiętał, jak jego matka umierała na raka w kiszkiach. Chłopak nabrał w usta wody i usiłował teraz plunąć nią w usta przeklętego ukrzyżowanego Żyda. Spudłował jednak. Woda ściekła Żydowi po brodzie. Rowley Britt płakał u stóp drzewa, chwiejąc się na nogach. Był bardzo pijany.

Wielu widzów, przypominając sobie, że są szanowanymi obywatelami i że mają dzieci w szkołach, zaczynało się już odwracać od tego spektaklu. Kto wie jednak, jaki byłby dalszy ciąg i koniec widowiska, gdyby władze nie położyły mu kresu.

Biura fabryczne tak były położone, że trzy zamknięte w nich osoby doskonale wszystko widziały czy to przez oszklone okno, czy przez drzwi prowadzące do hali warsz

tatu, chociaż więc zdecydowanie starały się o niczym nie wiedzieć, zostały w roli bądź pozytywnej, bądź negatywnej wciągnięte w rozgrywającą się haniebną scenę.

Pan Rosetree zamierzał z pewnym klientem przeprowadzić rozmowę telefoniczną o zamówieniu na komplety przyrządów do nauki geometrii, o którym nagle sobie przypomniał. Siedział, pocąc się, kurcząc i rozprężając na przemian jak gumowa gruszka pod naciśnięciem, a panna Whibley tymczasem manewrowała przy tablicy centralki.

- Na miłość boską - krzyczał pan Rosetree - jak długo będę czekał na połączenie z tym facetem!

- Cholera! - wybuchnęła panna Whibley. - Przełącznik nawalił.

Zupełnie nieoczekiwanie. Panna Whibley na ogół nie używała brzydkich słów.

- Przełącznik, przełącznik - usiłowała się usprawiedliwić. Ale głos jej kleił się w ustach jak nugat.

W tym momencie panna Mudge, która zaryzykowała spojrzenie przez okienko, krzyknęła za głośno:

- Och, patrzcie! Ten stary Himmelson. Czuję, że stanie się coś okropnego. Pan Rosetree i panna Whibley zawsze uważali, że panna Mudge, chociaż zacna dusza, wymaga trzymania w ryzach. Chwila jednak nie była stosowna do wymiany poglądów między szefem a sekretarką.

- Przełącznik! Przełącznik! - powtarzała panna Whibley, popierając słowa gestami.

Rzeczywiście mechanizm zawodził. Pan Rosetree pęczniał z irytacji

- Oni zrobią coś złego panu Himmelsonowi! - jęknęła panna Mudge, przylepiając twarz do szyby.

Była tak bezbarwna, że każda uwaga z jej ust brzmiała nieznośnie.

- Ciagną go. Na drzewo. Na tę zakarandę. Och, nie! Co oni... Proszę pana, oni krzyżują tego Himmelsona!

Po raz pierwszy chyba nóż przeszył pannę Mudge i okrucieństwo tego bólu przeraziło ją. Wszystko, czym się dotychczas przejmowała - chorowita siostra, kłopoty z emeryturą, przeciekający dach - znikło jakby odcięte od niej, stała pod oknem bez tchu, drżąc na całym ciele.

Pan Rosetree nie ruszył się z fotela. Panna Whibley porzuciła tablicę rozdzielczą.

- Nie chcę patrzeć - zaczęła. - Nikt mnie nie może zmusić. - Wyjęła puderniczkę, żeby się upudrować, bo czuła, że twarz jej zalewa nieunikniony szkarłatny rumieniec. - Nikt... - powiedziała - ... patrzeć...

Po świętach, panie Rosetree, poproszę o niezwłoczne zwolnienie z posady.

Pan Rosetree nie spojrzał, lecz widział. Nie trzeba mu było opowiadać o czynach, jakich dopuszczali się ludzie; poznał je wszystkie, nim wreszcie wyrobił sobie ochronną skorupę.

- Plują na niego wodą - wykrztusiła panna Mudge. Gdyby powiedziała: „uryną” - wrażenie nie byłoby gorsze.

- Och, biedak! Taki dobry człowiek! - lamentowała. Pan Rosetree nie zorientował się, jak panna Mudge ocenia

dobroć starego Żyda. Ale zrozumiał, że mimo wszystko musi spojrzeć.

Panna Mudge trzęsła się, przerażona odkryciem, którego właśnie dokonała: że sama, chociaż niewinna, może być odpowiedzialna za drugiego człowieka, nawet za wszystkich ludzi. Ta odpowiedzialność miażdżyła ją. Nie zranione dotychczas ciało, białe i skłonne do gęsiej skórki, naznaczone śladami po szczepieniu ospy, nie wiedziało, jak sobie poradzić z nowym ciężarem.

Pan Rosetree na palcach zbliżył się do drzwi. Patrzał długo.

- Nie chcę patrzeć - oznajmiła panna Whibley, nieprzezornie rozdmuchując puder na lusterku.

- Panie dyrektorze, niech pan coś zrobi! - wołała panna Mudge z odległości trzech kroków, które ją dzieliły od pracodawcy. - Oni go zabijają! Niechże pan coś zrobi!

Ale pan Rosetree patrzył wciąż. Zdawało się, że za chwilę runie na podłogę.

- Zabijają go. Podobno to Żyd!

Pan Rosetree omal nie wybuchnął śmiechem. Zamiast tego ryknął:

- Chryste Panie! Theobalds! Ernie! Rusz się! Po co jesteś w fabryce, jeśli nie po to, żeby pilnować porządku! Masz natychmiast przywrócić porządek na całym terenie fabrycznym!

Ernie Theobalds, nie najgorszy człowiek, a już na pewno jak najlepszy kompan, opuścił punkt obserwacyjny, z którego śledził przebieg wypadków, obmacując własne sadło przez trykotową koszulkę.

- W porządku, Harry! - zawołał. - Nie denerwuj się! Nie ma powodu.

Wyszczrzył zdrowe zęby w uśmiechu trochę niedbałym, ale nie aroganckim. Ruszył na dziedziniec i kopniakiem w tyłki stojących z brzegu chłopaków otworzył sobie drogę. Inni widzowie zaczęli się oglądać, tłum rozstał się przed majstrem, oczy błysnęły nadzieją, że zwierzchnik przejmie odpowiedzialność.

- Co się tu wyprawia? - spytał Ernie Theobalds jowialnie. Jak gdyby nie widział. Jak gdyby wszyscy tego dobrze nie wiedzieli.

Nikt nie wiedział.

Theobalds stanął pod drzewem, przed sponiewieranym człowiekiem.

Zaczął swobodnymi gestami rozluźniać jeden supeł po drugim, ściągając liny; paru chłopców z „Siódemki”, którzy odzyskali już własne twarze, przyszło mu z pomocą. Perce Thompson w nadmiarze gorliwości otworzył scyzoryk

i przeciął linę, wskutek czego wisielec osunął się zbyt gwałtownie i byłby się zwałił jak tłumok kości, szmat i milczenia, gdyby go Theobalds w ostatniej chwili nie chwycił w ramiona.

- Trzymajcie się - polecił głupawo i poczciwie, podtrzymując Żyda ramieniem, grubym, lecz miękkim, porośniętym rudawym meszkiem i obsypanym piegami.

Tak więc Himmelfarb został przedwcześnie wskrzeszony z martwych dzięki dobroci i rozsądkowi ludzi, którzy ani na chwilę nie przestali być jego kolegami. O tym nie wolno mu było wątpić ani też marzyć o innym zakończeniu, które nigdy nie było mu przeznaczone.

- Grunt się nie przejmować! - stwierdził ze śmiechem majster.

Himmelfarb starał się zmusić także do śmiechu, ale w piersiach mu rzeziło, a co gorsza, żebra bolały mocno. Zdołał jednak powiedzieć:

- Dziękuję, panie Theobalds.

- Jednego nie możesz zapamiętać, Mick - odparł majster - a mianowicie, że jestem nie żaden pan Theobalds, tylko Ernie dla wszystkich kolegów. Dla ciebie także. Ludzie są równi. Dawno już Australijczycy to odkryli. Może powiesz, że za dużo o tym gadamy, ale nie można się dziwić, że jesteśmy dumni z własnego, że tak powiem, wynalazku. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze - poradził Żydowi Ernie Theobalds, kładąc płaską dłoń na jego karku.

- Zapamiętam - rzekł Himmelfarb kiwając głową.

Ale czuł się niepewnie na poziomie rzeczywistości, której go przywrócono.

Maszyny, wyładowawszy urazy, które były powodem zgrzytów i drgawek, toczyły się teraz gładko, jakby świeżo naoliwione. Sztance wytłaczały już nie blachę, lecz filc.

- Pamiętaj - ciągnął Ernie Theobalds - że mamy poczucie humoru i że jeśli chłopaki zanadto czasem brykają, to tylko

dlatego, że ich humor rozpieszcza. Nie mogą się oprzeć okazji do kawału. Nawet kiedy się ożłopia piwa, poczucie humoru w nich nie śpi. Musi wyładować się w żartach. Rozumiesz? Nie trzeba się obrażać o żarty. Tak mówił majster; a wszyscy mu wierzyli. Blue wprawdzie wycofał się do warsztatu i ukrył swoją nieudaną głowę w dłoniach; nie tylko dlatego, że czuł się bardzo chory. To piwo było winne. Piwo. Piwo. Stop niebieskich i czerwonych iskier. Krew, której nigdy, jak sięgał spragnioną pamięcią, i dzisiaj także nie dotknął wargami. Ale która się w nim burzyła. W rozterce między pragnieniem a wstrętem, nie mówiąc już o męce czkawki, Blue schował się w kąt i rzygnął.

Ernie Theobalds po zakończeniu dobrotliwej i rozsądnej przemowy uścisnął łokieć człowieka, do którego ją wygłosił.

- Teraz idź do domu - powiedział. - Wyjaśnię szefowi, że zrobiło ci się słabo.

Himmelfarb przyznał, że nie za dobrze się czuje. Ale każde włókienko w jego pulsującym ciele wyrażało wdzięczność za rozwiązanie sytuacji, w której go tak po prostu i naturalnie postawiono. Odzyskał też swoją własność.

Alf Dubbo przyniósł mu bowiem taśm i filakterie, które podczas wesołej zabawy wypadły z fibrowej walizeczki i które podeptano. W ścisku zgnieciono jedno skórzane pudełeczko, a na strzępkach taśmy zostały ślady krwi.

Tubylec wręczył to wszystko Himmelfarbowi. Żyd nie odezwał się jednak ani słowem. Odtąd już zawsze miał milczeć. To wszystko, co nosił w sobie i o czym wiedział, nie mogło przejść przez usta.

- No, w porządku! - zawołał majster, przekrzykując hałas maszyn. - Masz tu wszystkie swoje klamoty.

Ale zmarszczył brwi i wołał nie dotykać tych rzeczy. Dopiero gdy podejrzane rekwizyty znalazły się bezpiecznie

w walizce, Ernie Theobalds zamknął ocalały zameczek, bo Żyd, jak się zdawało, nie mógł sobie z tym poradzić. Maszyny pracowały.

Alf Dubbo chętnie by coś zrobił, lecz nikt mu nie powiedział, co zrobić należy.

Widział, jak Żyd odchodzi, miękkim krokiem, chwiejnie, niepewnie jak pusta skorupka jajka niesiona z nurtem wody.

Tubylec miał ochotę pobiec za nim i powiedzieć mu, co widział i co zrozumiał. Ale nie umiał tego wyrazić. Dopiero potem jego palce przekażą to w obrazie. Usta nigdy nie będą do tego zdolne.

Himmelfarb cichutko opuścił fabrykę, w której nie dano mu odkupić grzechów świata.

Nikt na niego nie patrzył, lecz wszyscy widzieli.

XIV

Gdy pani Flack wróciła do warzywnego ogródka, jej przyjaciółka pani Jolley patrzyła w łunę pożaru. Była to godzina zieleni, gdy jadowite światło, wydestylowane przez lato z liści, przeżera miedziany półmisek wieczoru. Pani Jolley, splótłszy ręce pod fartuchem, wyglądała jak brzemiona. Ale na pani Flack brzemiona innych osób nigdy nie robiły wrażenia.

- Lubię ogień - stwierdziła pani Jolley; miała twarz dziewczęcą, bo niezwykle światło splukało z niej szlam zmarszczek. - Oczywiście dobry ogień - wyjaśniła. - To nie znaczy, żebym nie współczuła tym, którzy od ognia cierpią. Współczuję. Ale lubię ogień.

- Jeśli ktoś go potrzebuje, ogień może być dobroczynny - odrzekła pani Flack.

- He? - spytała pani Jolley.

Pani Flack nie odpowiedziała, a pani Jolley nie nalegała, bo wystarczył jej widok ognia, a zresztą wiedziała, że odpowiedzi nie uleczyłyby jej z uporczywego niepokoju, który był jej jedyną naprawdę chroniczną chorobą.

Zielonkawe światło wieczoru uformowało chłodną misę, w której pomarańczowy sok kipiał niekiedy i rozkwitał bukietem jasnych iskier. Ogień był niedaleko, lecz dość daleko od tych, którym by się mógł przydać.

- Niektórym osobom przydałoby się poznać przedsmak tego, co je czeka - szepnęła pani Flack, może nawet nie do przyjaciółki. - Ale tych i tak by się pewnie ogień nie imał - wypowiedziawszy te słowa obejrzała się za siebie. - Ogień nie ima się tych, którzy są z niego urodzeni - powiedziała. Pani Jolley chętnie by zstąpiła z proroczych wyżyn, lecz nie śmiała, więc nadal wpatrywała się w płomienie. W tak głębokiej zadumie, że wreszcie głowa jej zaczęła się kołysać. Pani Flack zauważyła to. Często miała ochotę szturchnąć przyjaciółkę, ryzykując nawet uszkodzenie mechanizmu.

Pani Jolley w swej niewinności ośmieliła się w końcu wyznać:

- Nie wiem, co bym dała, żeby się dowiedzieć, czyj dom się pali.

Pani Flack odchrząknęła.

- Czyż pani tego nie powiedziałam? - rzekła dziwnie bezbarwnym głosem. - Powiedziałam, stale mówię.

Pani Jolley milczała.

Pani Flack nabrała tchu w płuca, żeby tym energiczniej wyrzucić z siebie odpowiedź:

- Jego dom. Tego człowieka. Tego, jak mówią, Żyda z Montebello Avenue.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła pani Jolley, lekko i dziewczęco; ścisnęła róg fartuszka między wielkim i wskazującym palcem, mały zaś wyginała z dystynkcją.

- Niewątpliwie chodziło mu o premię ubezpieczeniową - zachichotała. Prawie że tańczyła w miejscu, mnąc rąbek fartuszka jak mała dziewczynka.

- Nie sądzę - powiedziała pani Flack. - A nawet wiem, że ubezpieczenie tu nie wchodziło wcale w grę.

Rozejrzała się w koło; ciemności już gęstniały pod kilku przyszyżonymi krzewami.

- To, co teraz pani powiem - zastrzegła - ma pozostać ściśle między nami.

- Oczywiście! - zawołała pani Jolley.

Pani Flack zerwała z krzaka liść splamiony ptasim łajnem.

- Zrobiła to gromadka młodych chłopców, ponieważ wiadoma osoba obrażała poczucie ich przyzwoitości. Tak mi w każdym razie mówiono.

Chłopcy poszli tam. Chcieli tylko udzielić przestrogi, jak twierdzą.

Wrzucali kulki zmiętego i namoczonego w czymś papieru do domu Żyda, żeby go trochę nastraszyć. A potem już nie mogli opanować sytuacji.

Dom z suchych desek...

Pani Flack cmoknęła z ubolewaniem, żeby zadośćuczynić konwenansom.

W gasnącym świetle dnia pani Jolley jaśniała odblaskiem pożaru.

- Okropne - powiedziała.

- Rzeczywiście okropne - przytaknęła pani Flack - ale nie do nas należy rozstrzygnięcie, kto za to będzie się w ogniu smażył.

Pani Jolley trochę się zdziwiła, że jej przyjaciółka nie czuje się tym razem powołana do rozstrzygania.

Panna Hare dostrzegła z Xanadu łunę pożaru. Ogień był zbyt triumfalny, by mógł ująć uwagi, wystrzelał płomieniami na kształt trąb ponad drzewa egzotyczne tracące na zimę liście i ponad skromniejsze drzewa miejscowe. Koloryt ogni

stego światła przypominał krzepką, wesołą wiejską piękność, był jednak mniej swojski, chociaż ogień jest czymś znanym każdemu zwierzęciu, które wypatruje, nasłuchuje, węszy z ukrycia w buszu; ogień jest ostatnim ostrzeżeniem. Panna Hare, tak blisko związana zarówno z ziemią jak z powietrzem, wrażliwa na każde drgnięcie liścia, wyczuła oczywiście ogień, zanim go zobaczyła, tak samo jak przebywając w głębi swego wielkiego domu wyczuwała mgłę wspinającą się w górę z dna wąwozów - wyczuwała ją w zgięciach własnych kolan - i tak samo jak zwykle wyczuwała bliskość obcego człowieka; alarmowały ją częściowo żywioty, a częściowo nagła utrata pewności siebie.

Tego wieczora wyczuła ogień. Szperała w szufladzie szukając jakiegoś drobiazgu, w mroku domu grzebiąc wśród starych listów, kłębków żółtego sznurka, pogiętych gwoździ i pestek dyni, i nagle podniosła głowę. Z początku bardzo wolno ruszyła przez pokoje i korytarze, stopniowo jednak, w miarę jak wzrastał zamęt w jej głowie, nabierała rozpędu, jak gdyby z resztek i łachmanów zasłon szedł ku niej powiew nienawiści i strachu, zmuszając do przyspieszenia kroku. Wkrótce więc musiała puścić się biegiem, a gdy wypadła na taras, przeczucie ognia smagało już igielkami jej skórę, a meszek na dolnej szczęce zjeżył się, jakby przygotowany na spalenie.

W dali nad zwykłym obrazem drzew miedziana groza łopotąła i drgała, potwierdzając najgorsze przewidywania. Mimo odległości dym zapierał oddech.

Panna Hare zaczęła jęczeć z cicha. Miotąca się to w tę, to w inną stronę. Powietrze wibrowało od jej rozterki.

A tymczasem ogień, wciąż wgryzając się w pustkę wieczoru, wzywał pannę Hare, żeby wyrzekła się całkowitego zespolenia z tym miejscem albo też zapomniała, iż duch jej może być powołany do uczestnictwa w jakimś bolesnym, ostatnim obrzędzie.

Nagle pod jej stopą zachrzęściła jakaś kostka. Panna Hare poznała, że to udowa kość królika. Leżąc na tarasie wśród zielska i żwiru nabrała bieli, która przywoływała wspomnienia przeszłości, tak jak pomarańczowy blask ognia narzucał palące poczucie terażniejszości. Spragniona w swej rozterce jakiegoś znaku, panna Hare stopą trąciła kość. A nawet podniosła ten ostry, biały szczątek zwierzęcia.

Bo oczywiście przypomniała sobie natychmiast wszystko: pozę, w jakiej stał, chwilę, gdy wprowadziła go do wnętrza domu i gdy ujęła jego ręce, jakby to był jakiś osobliwy znaleziony przedmiot, kość albo liść, których kształtu i historii chciała się nauczyć.

Teraz już wiedziała na pewno, że chodziło o Żyda, że to dla niego rozpalono ten ogień. I w jednej chwili powietrze rozedrgało się grozą dawnych i terażniejszych niebezpieczeństw. Wystraszone nieobliczalnością ognia ptaki umilkły. Było zupełnie cicho, tylko samotny dzwon kościelny zaczął zwoływać wiernych do gotyckiego lasu modlitwy.

Panna Hare nie traciła czasu - kapelusz nosiła stale, nie potrzebowała więc teraz kłaść go na głowę - i ruszyła najprostszą z wielu ścieżek wydeptanych przez nią i przez zwierzęta w wysokiej trawie. Zawsze wiedziała, którądy najłatwiej przecisnąć się lub przeczołgać. Otaczało ją własne jej królestwo, przychylnie jej zamiarom. Jeśli kolce kłuły jej skórę, to jedynie potwierdzały życie. Liście, które chłostałyby każdego obcego natręta, ją tylko muskały pieśczołą. Woda w strumyku koila nogi.

Struktura jej świata rozszerzyłaby się w oddechu płynącym z nieważnej, przypadkowej klatki żeber, gdyby strach nie zaciskał jej boleśnie. Wobec tego, co się działo, duch, zraniony i pełen zwątpienia, powrócił do niemego, potykającego się, zwierzęcego ciała.

W pewnym momencie stopa panny Hare trafiła na wygrzebaną przez królika jamę i kobieta upadła na ziemię.

Przeraził ją brak tchu i mgła przed oczami. Ale słabość minęła szybko. Panna Hare biegła dalej. Jęcząc. Nie nad aktualnym położeniem, lecz dlatego, że usiłowała przypomnieć sobie imię starej służącej, której siła teraz byłaby jej potrzebna. Meg? Peg? Ach, tak, Peg. Peg przez swoje druciane okulary jasno widziała prawdę. Chociaż, jak przypuszczała panna Hare, prawda przybiera rozmaite kształty. Albo nawet bywa bezkształtna; o tym panna Hare sama się przekonała, obserwując wiatr, deszcz, opadanie liścia, wir obłoków na białym niebie. Prawda starej Peg była doskonałym posągami. Panna Hare marzyła, żeby dotknąć spódnicy starej służącej, jak to robiła w dzieciństwie, szukając w niej pociechy. Marzyła, żeby dotknąć ręki Żyda i ukryć ją na swoich zwiędłych piersiach razem z wszystkimi obrazami, które przechować mogła jedynie miłość, tak jak niezapomniana Peg przechowywała śliwki w słojach. Panna Hare znów potknęła się i omal nie upadła na myśl, że sama nic nie wie o metodach miłości i że jej własne doświadczenie nauczyło ją, iż jedynym trwałym, a może też jedynym pożądanym stanem jest rozkład. Zawsze czy też niemal zawsze prawda w końcu jest ciszą i światłem. Szła dalej, kuszyła, przyspieszała kroku, ilekroć pozwalała na to wolna od przeszkód droga, oblizując swoje roztrzęsione wargi raczej z nawyku niż w nadziei, że przywróci im normalny wygląd, brnąc niecierpliwie przez ogromne przestrzenie swego królestwa, dzielące ją od ognia. Kiedy wreszcie wychynęła z gąszczu zarośli, zobaczyła płomień dość śmiało wzbijające się nad Montebello Avenue. Wiedziała, że pali się brunatny dom, w którym mieszkał przyjaciel i który znała z widzenia, chociaż nigdy nie przestąpiła jego progów. Teraz musiała je przestąpić. To wydawało się jasne. Żeby czcić i kochać tym bardziej, uwierzyła, że jej przyjaciel

posiadł dobroć tak czystą, iż stał się bezbronny wobec niszczącej postaci zła. Jak gdyby widziała martwą twarz spoczywającą na wezglowiu ognia, zwróconą biernie ku baldachimowi złotych stalaktytów.

Gromadka ludzi zebrała się, żeby popatrzeć na pożar lub ciągnąć gumowe węże, które były bezużyteczne wobec braku kranu z wodą. Mówili między sobą, że wóz strażacki musiał się chyba zepsuć albo też strażacy rozjechali się na święta. Jednakże ten i ów oglądał się przez ramię na drogę, nie przestając obserwować ciekawie postępów ognia.

- Ależ w tym domu jest człowiek! - krzyknęła panna Hare. Nikt co do tego nie miał pewności, ale niejedni bardzo by chciał wiedzieć, czy to prawda.

Tylko panna Hare znalazła się wśród nich jak gorejący krzak miłości. Szła ku płonącemu domowi z wyciągniętymi rękoma, żeby w nie chwycić groźne pająki ognia. Nigdy nie bała się owadów, ognia zaś bała się tylko przelotnie, bo ostatecznie żywioł musi jakoś pogodzić się z innymi żywiołami.

Świadkowie tej sceny ujrzeli nieludzkie zachowanie się istoty, którą dotychczas uważali za ludzką.

- Panno Hare! - krzyczeli. - Czy pani oszalała?

Jak gdyby mieli ją kiedykolwiek za osobę zdrową na umyśle. Poraził ich widok jej brzydoty i groza, gdy kobieta w dużym słomkowym kapeluszu weszła do wnętrza palącego się domu.

Drewniana budowla przeobraziła się już teraz w małą świątynię ognia z dionizyjskim uroczym fryzem wykwitającym ponad szczytem. Wszystkie złote kolumny tańczyły. Ale panna Hare, zaprzątnięta tragedią ukrytą we wnętrzu, nie widziała nic poza nią.

Ogień w pewnym momencie rzucił się na nią, żeby ją odepchnąć, lecz natychmiast wrócił, żeby ją wchłonąć. Wciąż

gał ją, słaniającą się, do środka. Męka byłaby bardziej okrutna, gdyby sama panna Hare nie płonęła również. Roztopiony żar namiętności opływał strumieniem jej policzki i wyciągnięte ręce, a łyzy tryskające z oczu parzyły ogień.

Stała przez chwilę długą jak wieczność. Ktoś, kto miał jej szczególne dary, powinien był doznać objawienia, i rzeczywiście, jedna bardziej niż inne logiczna zasłona ognia prawie że się rozstąpiła przed jej oczyma. Panna Hare niemal widziała przez zupełnie teraz przezroczyście powieki. Iskry zatrzymały się w powietrzu. Prawie że zobaczyła ciało Żyda, dość wątłego starca, a może nawet płomiennego proroka, jego żebra płonące tak samo jak belki domu. Z jękiem stwierdziła, że nie może do niego dojść, chociaż tego pragnęła. Jeszcze nie. Mimo wszystko kulila się z przerażenia. Zagrożone spalaniem ramiona wrywały się ze stawów. Oślepiające, huczące, miotające się płomienie kasały bezbronny kadłub. Ocaliło ją to, że nagle wróciła do swojego zwierzęcego ciała. Zawsze przerażał ją swąd przypalonego futra lub pierza.

Nikt ze świadków nie miał już nigdy zapomnieć widoku panny Hare wybiegającej z ognistego domu. Szczerniała, szkaradna. Słomkowy kapelusz sypał skrami jak kolisty fajerwerk, języki płomieni wzbijały się znad rękawów zakietu, gorejące ostrogi świeciły u pięt odzianych w grube pończochy. Najstraszniejsze były otwarte szeroko usta, z których, jak zgadywali gapie, mogły lada chwila bluznąć nie wrzaski trwogi, lecz rozkazy i oskarżenia. Biegła naprzód, a ludzie rozstąpili się przed nią. Po chwili jednak paru mężczyzn, obdarzonych większym niż inni poczuciem odpowiedzialności, opanowało odruch i skoczyło ku niej, by tego anioła mściciela obezwładnić, spowijając we własne grube płaszcze. Aż w końcu przynajmniej materialny ogień został w pannie Hare ugaszony.

Przez cały czas potworna prawda walczyła w niej, by wybuchnąć, aż w końcu panna Hare dała wyraz swoim uczuciom, krzycząc:

- Zabiliście go!

- Kogo? - spytali.

- Nie ma powodu przypuszczać, że ktoś jest w domu

- mówili.

I chłostali ją teraz już nie tylko płaszczami, lecz także niechęcią i spokojem sumień.

Panna Hare krzyczała i szlochała. Nienawidziła swych wybawców.

- Spaliliście mojego najdroższego przyjaciela! - bełkotała.

- Zawiadomię policję!

Broniła się przed dobroczynnymi ciosami płaszczów.

- Jeśli będzie trzeba, wniosę sprawę do sądu! Dostanę na to pieniądze.

Tak czy inaczej! Od kuzyna z Jersey.

W tej chwili właśnie dwie panie, które w przyzwoitych, lecz nie odświętnych kapeluszach wybrały się na to widowisko, stanęły na skraju pogorzeliska. Zorientowały się w sytuacji prędko, lecz za późno, niestety, żeby wybrać stosowniej-szy moment.

Panna Hare spostrzegła je i podbiegła do nich.

- To wy! - krzyknęła. - Jędze! Więcej nie mogła nic wykrztusić.

Pani Jolley cofnęła się o kilka kroków i zdołałaby może umknąć, gdyby nie była przykuta do swej dobrodziejki. Pani Flack stała, palcem od nogi wskazując oskarżycielkę. Chudsza, bardziej niż dawniej żółta, zachowała jednak dość dużo wiary w swoją utajoną władzę.

- W pani własnym interesie - powiedziała - radzę, niech pani nie powtarza tych słów. Oskarżenia często są wyznaniem winy.

W tłumie rozległ się pomruk uznania. Ale panna Hare, 600

może dlatego że bezsilna, odważyła się wypuścić z łuku jedną jeszcze strzałę.

- Jędze! - powtórzyła, celując na oślepi, cała w bąblach i ranach oparzelizny.

Potem zaczęła się oddalać, wlokąc za sobą smugi dymu i oczywiście płacząc rozdzierająco.

Policjant McFaggott dłużej niż inni świadkowie pamiętał ten wieczór oraz zjawę, która stanęła w drzwiach posterunku.

- Nie kiwnął pan palcem, żeby obronić mego przyjaciela od prześladowań i podpalenia! - krzyknęła. - Himmelfarb! - wykrztusiła wreszcie to nazwisko. - Himmelfarb zginął w ogniu.

McFaggott, przystojny mężczyzna z pięknym uzębieniem, silnymi nogami i błyszczącymi białkami oczu, był nieco zbyt rozmamłany o tej doniosłej godzinie. Przerażony, sięgnął ręką do poświęcanego medalika, który nosił na kosmatej piersi i który nieraz go ratował w wielu najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach.

- Pociągnę pana do odpowiedzialności! - krzyczała szalona istota.

- Spokojnie, spokojnie, moja pani! - zawołał policjant wysokim, aksamitnym tenorem, podbijającym serca. - Słyszała pani o czymś, co się nazywa zniesławienie?

- A słyszał pan o czymś, co się nazywa prawda? - odparła panna Hare. - Prawda istnieje, dopóki się nie dostanie w usta prawników. Bo wtedy rozdzwaja się jak widły.

McFaggott miał szczęście, że tego wieczora z powodu kłótni z żoną nie poszedł o zwykłej porze na dyżur do pani Khalil. Dzięki wybuchowi swej małżonki mógł nie tylko przeprowadzić dochodzenie na miejscu katastrofy, lecz także stawić czoło prasie. Był zmęczony, ale uprzejmy. A nawet dotknął zwariowanej istoty stojącej przed nim,

dotknął jej ramienia z łagodną, chociaż męską stanowczością, która wywoływała pod bluzkami normalnych kobiet miły dreszczyk.

- Wszystko zależy od przeznaczenia, proszę pani - rzekł. Spodziewając się wkrótce awansu, nie mógł sobie pozwolić na nieostrożność i określić innym mianem sprężyny wypadków.

- Przeznaczenie, jak to mówią, chciało, że maszyna strażakom nawaliła i dlatego nie przyjechali...'tam do diabła! Jada.

Rzeczywiście wóz strażacki ze szczękiem i piskiem opon skręcał na bruk w Montebello Avenue.

- Nie przyjechali w porę, żeby nie dopuścić do zniszczenia domu żydowskiego dżentelmena.

Panna Hare uwikłała się w zamęcie własnych uczuć i w potoku słów McFaggotta.

- Przeznaczenie także sprawiło, że dżentelmen został wyniesiony ze swego domu, zanim wybuchł pożar.

- Wyniesiony? - jęknęła panna Hare.

Policjant zbierał plony swej władzy i mądrości. Śmiał się, czy też może pokazywał swe piękne zęby - własne, jak powszechnie było wiadomo.

- Tak mi mówiono - rzekł. - Zabrała go pani Godbold z pomocą Boba Tannera, chłopca, który chodzi z jej najstarszą córką.

- Gdzie zatem jest pan Himmelfarb? - spytała panna Hare.

- W prowizorycznym mieszkaniu pani Godbold - wyjaśnił policjant.

- Och. Tak, powinnam się tego domyślić - odetchnęła panna Hare. - Pani Godbold nigdy by nie dopuściła do nieszczęścia, przynajmniej do takiego nieszczęścia, któremu można zapobiec.

Policjant znów musiał się roześmiać.

- No cóż, pani Godbold jest tylko kobietą - powiedział. Chętnie marszczył twarz w uśmiechu, bo wiedział, jak jędrnie

wygląda wtedy jego skóra w kącikach oczu. W tej chwili zaśmiewał się po prostu. - Kiedyś poprosimy, żeby nam pani powiedziała, co sądzi o mężczyznach - rzekł ze swoim najbardziej uwodzicielskim śmiechem. Ale telefon znów zadzwonił, wzywając go do jakiegoś odległego miejsca. - Och, mężczyźni! - powiedziała panna Hare. - Nic o nich nie wiem. - Zająknęła się i wybełkotała: - O mężczyznach nie wiem. Kogut jest po to, żeby deptał kury.

Gdy wyszła z posterunku, iskry już były tylko gwiazdami. Wilgotna, czarna noc lgnęła do jej napiętej skóry. Panna Hare nie mogła już biec, kuszyła się i wlokła się naprzód, usiłując wymijać zapamiętane przeszkody na drodze. Szkielec domu Żyda syczał pod strumieniami wody, ale panna Hare przestała się już interesować jego losami. Gdy dotarła przed barak Godboldów, zapomniała zapukać, od razu weszła do wnętrza, jak gdyby pewna, że tam na nią czekają. Rzeczywiście czekali.

- Nareszcie - powiedziała pani Godbold.

Stała w głębi swego jedyne go pokoju uśmiechnięta masywna postać rozkołysana w lśniącej otoczce światła. Dzieci otaczały ją ze wszystkich stron, patrząc z zaciekawieniem albo też z niezmaconym spokojem. Panna Hare nie próbowała dostrzec niczego więcej. Nie tracąc ani chwili, ostatkiem sił zrobiła jeszcze parę kroków. Ale instynkty z całym zasobami własnej energii czekały tylko na tę chwilę, by padłszy na klęczki przytuliła poranioną twarz do bawełnianej kołdry w nogach ogromnego żelaznego łóżka.

Himmelfarb wrócił do domu około południa. Do tej pory fizyczne cierpienia spotęgowały się bardzo, nie tyle z powodu sińców, zadraśnień i paru pękniętych zapewne podczas

zajść na fabrycznym dziedzińcu żeber, ile na skutek głębszego, obezwładniającego bólu, nad którym myśl jego zatrzymywała się i trzepotała niby natrętne niebieskie światełka acetylenowego płomyka. W tych okolicznościach pustka i cisza drewnianego domu stanowiły najlepszą pociechę. Rzeźbione w orzechowym drzewie powierzchnie mogłyby go tylko przygnębić, a dotknięcie pluszu doprowadziłyby go do rozpacz, nawet gdyby wysilały się na najczulszą troskliwość. Lepiej mu było leżeć na wąskim łóżku wśród nagich ścian. Twarz jego wydawała się powściągliwie wymodelowana w martwym, lecz sugestywnie żółtym wosku, z którego pomiędzy jednym a drugim skurczem wychylał się, by rozmawiać ze stęsknioną zjawą ojca, mającą w acetylenowej mgiełce. Przez całe złudne człowiecze życie rozłączeni, teraz jak gdyby się spotkali w momencie porażki.

Mordechaj nie umiał obliczyć, jak długo leżał sam na sam z miłością swego ojca i dręczony jego wspomnieniem, ale gdy otworzył oczy, wszystko dookoła wyglądało tak samo jak przedtem i z ulgą rozróżnił zewnętrzny kształt jedynego krzesła w odległym kącie pokoju, a w pobliżu łóżka znajomą rysę na ścianie.

Jednocześnie uświadomił sobie, że nie jest sam. Ktoś dotykał jego czoła i przegubów rąk. Obecność jakiejś niezachwianej siły ogarnęła jego przelotnie zabłąkaną w myślach istotę. Poznał sąsiadkę, panią Godbold. - Nie chciałabym zakłócać panu spokoju - powiedziała tonem zarazem praktycznym i roztargnionym - ale zastanawiam się, co będzie dla pana najlepsze.

W tej niepewności nie zwracała się właściwie do niego, stała przy łóżku, lecz odwracała twarz, całą uwagę skupiając na jakiejś odległej i jeszcze nie sprecyzowanej myśli. Wyglądała jak posąg ustawiony na skraju rozległej otwartej

przestrzeni, może jeziora, może równiny; Himmelfarb nie usiłował tego rozstrzygnąć, wiedział tylko, że jest to obszar ogromny, bo świadczył o tym wyraz jej twarzy i swobodny przepływ fal popołudniowego światła.

- Tak - zdecydowała się w końcu, nie bez odrobiny wahania w głosie. - Zabiorę pana do siebie, jeśli pan nie ma nic przeciw temu, mieszkam blisko, a w ten sposób będę mogła lepiej pana pielęgnować.

Patrząc na ciężki węzeł włosów upięty nad jej masywnym, lecz proporcjonalnym karkiem, Żyd nie protestował.

- Teraz pójdę - oznajmiła spokojnie, wciąż jak gdyby mówiąc do trzeciej osoby w pokoju. - Pójdę, ale zaraz wrócę i przyprowadzę kogoś do pomocy.

Himmelfarb nie odpowiedział, czekał na zapowiedziany powrót pani Godbold i na wszystko, co jeszcze miał przed sobą.

Teraz rozumiał, jak słuszne i nieuniknione było to, co Reha w prostocie swej dawno pojęła, co próbowała mu przekazać nie tyle słowami, którymi nie umiała władać, ile mocą własnego przeświadczenia. Wydawało mu się, że tajemnicę porażki mogą przeniknąć jedynie istoty obdarzone najwyższą prostotą ducha, inni zaś ludzie osiągają to dopiero w ostatniej godzinie przed zrzuceniem powłoki ciała, z której już wyrosli. Był wreszcie dostatecznie słaby, żeby podjąć trud wymagający najpotężniejszych sił.

Tymczasem przygotowując się czy też wyzbywając reszty drobnych sprzeciwów, zgodził się bez zastrzeżeń, żeby odtąd Reha zastąpiła mu usta i ręce. Rzadko zaznali tak zupełnego zespolenia dusz jak w ciągu tego popołudnia, gdy nadleciał wiatr znad morza i wydrażył muszlę domu, tak że ściany stały się jeszcze cieńsze. Wierzby gorączkowo siekły gałęziami, a pęd powietrza uniósłby pewnie Himmelfarba, gdyby nie trzymały go spazmy bólu ściskające jego pierś i gdyby tyczki

od fasoli nie przecinały bezbarwnego ogromu przestrzeni regularnymi rzędami.

W pewnej chwili znów czyjaś ręka dotknęła jego ramienia i Himmelfarb otworzył oczy, by przekonać się, że pani Godbold wróciła.

Schylona nad nim kobieta wyprostowała się natychmiast, jakby w odruchu skromności.

- Przyszliśmy, proszę pana, tak jak obiecałam - rzekła. - Elsie pan zna, a to jest Bob Tanner, przyjaciel.

Elsie poczerwieniała i rozejrzała się po kątach, nie z ciekawości, ale z lęku, żeby jej nie zmuszono do patrzenia. Rumieniła się bardzo ładnie, jakby kolor polnej róży przebijał przez mleczną biel policzków. Bob Tanner, w którym Himmelfarb poznał chłopca przysłanego kiedyś z wezwaniem do Xanadu, zdawał się złożony wyłącznie z wielkich butów i mięśni. Onieśmiał go stuk własnych kroków na gołej podłodze, a nawet szmer własnego oddechu.

- Przeniesiemy pana na noszach - wyjaśniła pani Godbold. Nosze były sklecone z dwóch młodych drzewek i z kilku worków; we troje zaczęli niezręcznie przenosić na nie chorego. Bob Tanner, który bez trudu udźwignąłby te worki nawet pełne sieczki, zrobiłby to doskonale sam, lecz kobiety nie chciały wyrzec się swego udziału.

Pani Godbold przygryzała usta aż do krwi. Elsie miała ochotę krzyknąć z zachwytu nad niezgrabną siłą swego ukochanego.

- Głuptasie. Niezguło - szeptała, szturchając go łokciem między żebra. Krytykowała Boba Tannera bez litości. Przysuwała się do niego jak najbliżej. Uwielbiała żyły występujące na jego krzepkich, ale niezręcznych ramionach.

Nieśli Himmelfarba na noszach ze wzgórza w dół, do baraku Godboldów. Głowa mu się chwiała. Wierzby szumia

ły, trawa szeleściła. Po drodze ostrza zeschniętych traw kłuły jego napiętki, lecz bez złości. Wędrowka zdawała się choremu długa, lecz uświęcała ją miłość i uczestnictwo najbliższych. Tak przebył całą pustynię. Gdy otworzył oczy, najgorsze miał już daleko za sobą. Błękitna aureola zapowiadała już Niebo po prawej stronie widnokregu. Nosze trzęsły, szarpały. Bez końca. Ale plecy młodego mężczyzny, który trzymał drążki od strony nóg chorego, były filarem mocnego ciała, kobieta zaś, schylona nad jego głową, podtrzymywała go nie tyle siłą ramion, ile promieniującym ciepłem ducha.

- Niech pan będzie spokojny, już niedaleko - pocieszała dzielnie.

Czasem potykała się, lecz nie upadła.

Ciężar, który powierzono jej do dźwigania, wprawiał ją w uniesienie.

Duma rozpięła jej bujne piersi pod spraną perkalową suknią, gdy zatrzymali się w końcu w progach jej domu.

Dwie małe, przejęte dziewczynki, które Himmelfarb zawsze dotychczas kojarzył ze szturchańcami i śpiewem, pościeliły zgodnie z matczynym rozkazem łóżko i stały przy nim. Ich umazane zielenią traw ramiona lśniły złociście na tle białej pościeli. Złoto światła i zieleń wina splątały się z sobą w oknie tworząc zasłonę, której odbicie, migotliwe i bezcielesne, okrywało ścianę przed wielkim łóżkiem. Ktoś rozbierał go już, łagodnie i sprawnie. Po czym mógłby całkowicie oddać się rozkoszy nieświadomości wśród łaskoczących, nagranych w słońcu prześcieradeł, gdyby śruba bólu dała mu chociaż chwilę wytchnienia.

W pewnym momencie, niemal zmiażdżony bólem, otworzył zamknięte oczy, a wtedy kilka spośród otaczających go osób cofnęło się; dwie młodsze córki pani Godbold, które ośmieliły się zajrzeć w głębie nie na miarę dzieci stworzone, wybuchnęły płaczem.

Matka uciszyła je i odpędziła od łóżka. Potem zwróciła się do chorego:
- Poślę którąś z dziewczynek po doktora Herborna. Ale twarz chorego
wyrażała taki sprzeciw, że pani Godbold postanowiła ustąpić,
przynajmniej na razie.

Znanymi sobie sposobami nagrzała cegłę i wsunęła ją pod kołdrę w
nogach pacjenta. Himmelfarb uśmiechnął się do niej. Potem, gdy jego
wargi, zaschłe i popękane od męki, poruszyły się, wyrażając jakąś
nieodgadnioną prośbę, przyniosła rzadki rosół ugotowany na kościach
baranich i spróbowała go namówić na parę łyków. Ale widząc wyraz
odrazy na jego twarzy, zaniechała natychmiast tych prób i zawstydzila się
ubóstwem poczęstunku, ubóstwem swego domu, niegodnego nawet
mniej szanownych gości.

Himmelfarb zapewne wyczuł to, bo otworzył oczy i powiedział
nieoczekiwanie:

- Dziękuję, jest mi dobrze.

Wtedy panią Godbold ogarnęła litość, jaką w niej budziło każde
cierpienie. Przeszyło ją ostrze współczucia, tak że musiała prędko
odstawić filiżankę, która dzwoniła o spodeczek w jej trzęsącej się ręce.
W ciągu popołudnia Himmelfarb drzemał trochę. Wchłonęła go biel.
Przyjęty został jak rzadko. Oczywiście, przy wielu innych okazjach mógł
w przeszłości zaznać już czegoś podobnego: pagórki Syjonu,
rozpościerające swe brunatne wezgłowia, prawie że otwarły się przed
nim; cisza jego ostatniego, najpokorniejszego domu, często podsuwała
drabinę do ucieczki; kiedy oślepy klęczał na kamieniach w obozie
Friedensdorf, ogień obiecywał niechybne wyzwolenie. Ale zawsze pętla
zobowiązań zmuszała go do dalszej wędrówki. Nawet teraz czuł, jak
zaciska się na jego żebrach, chociaż maska ofiarnego kozła i włosiennica
osunęły się z niego, gdy zawisł na drzewie. Znowu był Kadmonem

i z Drzewa Światłości zstąpił po Oblubienicę. Drżąca, w bieli, podawała mu kielich w splekanych rękach i zbliżała się, żeby z nim razem stanąć pod baldachimem. Tak spotkali się w zapachu rytualnych aksamitów. To właśnie - tłumaczyły kuzynki i ciotki - jest nareszcie Szechina, którą nosiłeś przez wszystkie te lata pod lewą piersią. A gdy ją powitał, schyliła się i ucałowała ranę na jego dłoni. Stali się naprawdę jedną duszą w dwóch ciałach. Nie stłukli pucharu, jak oczekiwali po nich goście weselni, lecz pili z niego dalej.

Potem Elsie Godbold poprawiła mu poduszki. Improwizowała drobne usługi, żeby ukryć brak doświadczenia. A chory wdzięczny był za kroplę balsamu, za ledwie wyczuwalną rosę, która muskała rozjątrzoną powierzchnię bólu.

Ale Elsie szybko cofnęła się przed cierpieniem, przeczuwając, że kiedyś sama także będzie musiała przez nie przejść. Blaszana łupina obejmująca ich swymi ścianami zaczęła ją przytłaczać, wydawała się wręcz groźna. Elsie pragnęła wysliznąć się stąd na ścieżkę, pozwolić, żeby księżycowa poświata spłynęła po jej szyi i ramionach, odwzajemnić dotknięcie promieni, zespolić się z nimi całkowicie, by nie można było oddzielić jej zamierzeń od zamierzeń księżycy.

Bob Tanner, który przedtem wyszedł, wrócił teraz z wiadomością, że w domu Żyda wybuchł pożar, a narastająca pomarańczowa łuna potwierdziła jego słowa; Elsie zrozumiała, że z jej ukochanym stało się coś, co go na zawsze naznaczy. Zobaczyła, że w tym ciężkim chłopaku uczciwość, którą w nim kochała i wyśmiewała od pierwszej chwili, krzepnie w ostateczny kształt, którego już nikt, nawet ona, nie zdoła naruszyć. Bob Tanner natomiast zrozumiał, że litość szpeci jego dziewczynę i że Elsie jeszcze się nieraz zmieni w jego oczach. Oboje dławili się nowymi odkryciami. Ale radowali się, że mimo wszystko każde z nich rozpoznaje

w drugim ukochaną istotę, i nie wątpili ani na chwilę, że zawsze będą się rozpoznawać pod każdą maską.

Wreszcie Elsie Godbold otrząsnęła się z nazbyt już dręczących myśli.

Schylona nad chorym, szepnęła:

- Niech pan powie, czego pan sobie życzy, co mogłabym przynieść, co zrobić.

Szept brzmiał niemal jak pogróżka, bo Elsie z goryczą uświadamiała sobie, że jest za młoda.

- Może przynieść zimnej wody - proponowała zrozpaczona - i obmyć panu twarz?

Ale Himmelfarb nie miał żadnych życzeń.

Jeśli nie drzemał, jeśli nie wymykał się z więzienia ciała na wolność nieograniczonego czasu i nieograniczonej przestrzeni, zachowywał wyraz spokoju i uwagi, jak gdyby spod ochronnej zbroi bólu wyglądał na świat przez otwarty w przyłbicy wizjer. Raz i drugi spojrział w stronę okna, na trochę niezwykle pomarańczowy blask, by śledzić jakieś rozgrywające się w oddali zdarzenie, które już go jednak nie dotyczyło. Tak samo spod powiek spojrział na pannę Hare, gdy się zjawiała. Nie był jej obecnością zdziwiony. I niewiele ważyła głowa wiernej przyjaciółki na jego zdrętwiałych stopach.

Gdy panna Hare weszła, zlekły się jej nawet starsze dzieci, od niepamiętnych czasów oswojone z obłąkaną dziedziczką Xanadu, wypatrującą z okien lub błakającą się wśród gęstwiny buszu; wiedziały, gdzie zawsze można ją znaleźć, jak sowy na niektórych drzewach albo starego psa w jego stałej siedzibie, w szopie lub w kominie. Przyjazne, znajome stworzenie, teraz szlochając i jęcząc, kryło głowę w nogach matczynego łóżka. Bił od niej swąd spalenizny, ale pożar był najmniejszym z powodów jej rozpacz.

Matka oczywiście umiała w tej sytuacji, tak jak w każdej innej, zachować się właściwie. Wysuwając się na spotkanie panny Hare, powiedziała:

611

- Cieszę się, że pani przyszła. Spodziewałam się tego. Są pewne usługi, których nikt prócz pani nie mógłby nam oddać.

I dotknęła poparzonego ramienia.

Panna Hare zrazu nic nie odpowiedziała, ale mógł to być język, którym porozumiewała się z jakąś drugą obecną w izbie duszą.

Chory nie potwierdził jednak żadnym znakiem, że rozumie; leżał z zamkniętymi oczyma;

- Może pani zdejmie żakiet? - spytała pani Godbold. Panna Hare nadal jęczała, nie z bólu, jak się zdawało, lecz

dlatego że znów zdołała zamknąć krąg swojego szczęścia. Z pewnością jednak cierpiała, bo te spośród dzieci, które przysunęły się najbliżej, widziały, że rudy puszek osmalony był na policzkach aż do korzeni, a skóra błyszcząca po ogniowej chłości.

Wyglądała okropnie ! ;cz wszyscy tutaj traktowali ją z szacunkiem.

Chociaż wielki słomkowy kapelusz przekrzywił się na bakier, a jego łozinowe szprychy szerniały zwęglone, nawet pani Godbold nie ośmieliła się zaproponować, żeby panna Hare zdjęła go z głowy. Nikt nie widział nigdy panny Hare bez kapelusza prócz pani Godbold, która przed laty pielęgnowała kiedyś właścicielkę Xanadu w ciężkiej chorobie. Nikt też nie próbował zgadywać, co się kryło pod tym kapeluszem.

Po chwili panna Hare wyprostowała się na tyle, na ile pozwalała na to jej przysadzista figura.

- Nogi, nogi ma zimne - stwierdziła. Wsunęła bowiem rękę pod kołdrę. - Takie zimne, takie strasznie zimne.

Powolne słowa nadażały za ruchem palców i zakończyły się dreszczem.

- Tak. - Pani Godbold nie mogła zaprzeczyć. - Ale pani je rozgrzeje.

612

Wszyscy spostrzegli, że panna Hare od razu się rozpogodziła. Zbierała znów siły ducha. Stopniowo chyliła się coraz niżej, aż oparła twarz na stopach Himmelfarb, odciskając ich obrazy na swych policzkach. Chory w tym momencie oddychał cicho, ale tak, jak gdyby powietrze było za rzadkie dla jego płuc.

- Grace pobiegnie po doktora Herborna - postanowiła w końcu pani Godbold.

Himmelfarb otworzył oczy.

- Nie, nie - powiedział. - Dziękuję. Na razie nie miałbym siły, żeby znieść jakiegokolwiek badanie.

Uśmiechnął się z ledwie uchwytnym cieniem ironii, przebacząc kobiecie, która mogła wystąpić z tak niepotrzebnym pomysłem. Nigdy w życiu nie pozwolił sobie na uczucie pełniejszego zadowolenia niż w tej godzinie. Dzieci i krzesła rozmawiały z nim poufale. Dzięki fakturze ich skóry, język zwierząt przestał być dla niego tajemnicą, co zresztą zawsze przepowiadał Baal Szem.

Oddychając lżej, podjął na nowo swoją wędrówkę.

Panna Hare popadła w zachwyty. Zwierzęce ciało stało się najmniej ważną częścią jej istoty, gdy niewypowiedziane myśli nabrały pełnej rzeczywistości.

Noc gęstniała, a potem bladła, zamierający pożar ubarwił ją ostatnią kroplą purpury w obramowaniu pnącego się na oknie wina.

Maudie Godbold miała w pewnej chwili wrażenie, że widzi w oknie jakąś twarz, ale o tej porze wszyscy czuwający przy chorym byli już senni, a niektórzy nawet spali.

Po wyjściu z fabryki w przeddzień świąt, na które wszyscy czekali z upragnieniem, Alf Dubbo wrócił prosto do domu na peryferiach Barranugli, gdzie wynajmował pokój. W in

nych latach wstępował po drodze do sklepów, żeby zaopatrzyć się w jedzenie na święta, ale tego dnia z powodu ostatnich zdarzeń miękkie tenisówki niosły go spiesznie do domu. Zdarzyło się coś niesłychanie ważnego, starał się jednak o tym nie myśleć. Najpierw umył ręce. Przysiadł na brzegu łóżka. Zjadł kromkę chleba z zimną kielbasą, która miała smak trocin. Wypłuł ją. Natychmiast jednak podniósł ją z podłogi. To, co zrobił, sprzeciwiało się wpojonym naukom. Siedział jeszcze czas jakiś beczynnie. O zmierzchu znów umył ręce. Było to dla niego ważne. Miał nawyk czystości, chociaż może wszczepiony tylko przez wychowawców. Siedząc w zmroku, pomyślał, że chętnie by obejrzał swoje ostatnie obrazy, odwrócone do ściany. Ale wiedział, że wydałyby mu się dalekie, zapadnięte w głąb ram. Pokój niknący w ciemności opuszczał go, nie pozostawiając żadnej nadziei. Cienie o tej porze trzepotały się jak widmowe nietoperze. Alf przypomniał sobie, jak matka powiedziała mu kiedyś, że duch dziadka jest jego opiekunem, na którym zawsze może polegać; podejrzewał jednak, że na jednym z wielu etapów ucieczki rozstał się z tym swoim obrońcą. W każdym razie od dość dawna czuł się już zupełnie samotny.

Zaczął dygotać. Drewniane ramy tapczana trzeszczały pod nim. Oczywiście był chory. Wyczerpany - jakby to określiła pani Pask, która dałaby mu jakieś lekarstwo na wzmocnienie. Chwycił go kaszel i męczył długo, z taką siłą, że wiązania rozchwianej izby protestowały głośnym skrzypieniem. Raz jeszcze Alf umył ręce, niemal słysząc za swymi plecami oddech pani Pask, zadowolonej z wychowanka.

Potem rozplakał się, stojąc oparty o umywalnię, szlochał i krztusił się nad miską pełną wody. Zdarzało mu się, że krwotok nie ustawał długimi godzinami.

Krew ciekła na jego ręce, spływała po kościach palców. Znów odezwał się ból w boku.

Na klęczkach, w udęce, Alf Dubbo wspomniął swój obraz Jezusa. Ugiął się pod brzemieniem swojej winy. Zaciskał palce, które nie umiały rozplątać sznurów przywiązujących ciało do drzewa.

Nie dał świadectwa prawdzie. A przecież nie brakowało mu miłości. Tryskała z niego jak krew, jak obrazy. Z czasem, gdy nabierze sił, żeby podołać takiemu przedsięwzięciu, za pomocą błękitu tchnie w drzewo życie. Nikt nie zna tajemnicy błękitu, którego on użyje; kto nie przyglądał się własnej krwi lśniącej i zasychającej z wolna na słońcu, nie wyobraża sobie, że rany mogą się skrzyć jak drogie kamienie.

Alf wstał. Zaczął działać celowo. Musiał przede wszystkim rozproszyć ciemności. Zapalił światło i dzięki temu przynajmniej odzyskał swój pokój, schludny, kwadratowy, drewniany pokój. Włożył czystą trykotową koszulkę i najlepsze spodnie, przyglądzi! kędzierzawe włosy i wyszedł na ulicę, jak zawsze obuty w tenisówki.

W parnych niebieskawych ciemnościach wsiadł do autobusu jadącego do Sarsaparilli. Nikomu innemu nie chciało się podróżować o tej godzinie, w pustym wozie Alf musiał czepiać się więc poręczy i czuł się jak chrząszcz w potrząsanej blaszanej puszcze. Wszyscy już świętowali. Po drodze widział wszędzie kobiety i dziewczyny wchodzące do ceglanych kościołów na wielkotygodniowe nabożeństwa. Ludzie o twarzach koloru piasku zgodzili się na morderstwo, lecz uważali, że nie zaszkodzi oczyścić się publicznie z winy. Ubrali się na rozprawę odświętnie, w nieskazitelne jasne kolory, w kapelusze i tak dalej. Wiele kobiet miało na sobie sztuczną biżuterię.

Alf Dubbo znał te dzielnice na pamięć z widzenia i z marzeń. Rysował domy Sarsaparilli, rojące się we wnętrzu od grzybów. Rysował mężczyzn, o grubych, opiętych sukniem udach, wśród nich było wielu urzędników rządowych. Rysował dwie soczyste córki pani Khalil z ustami jak pęknięty

owoc granatu, z zębami jak białe gorzkie migdały. A że džentelmeni w sukiennych ubraniach wciąż łakomie sięgali po jasny miąższ owocu, wszystko kończyło się rozczarowaniem i zawałem serca. Tak Alf Dubbo widział to i tak rysował.

Nieraz w swoich wędrówkach po Sarsaparilli malarz zagłębiał się we własną naturę, której ludzie nie zdołali skazać, i tam gdzie kończyły się domy, odzyskiwał swoje myśli, ożywające jak pustkowie w ciszy. Ale podporządkowane ciszy. Cisza bowiem jest najważniejsza. Potem wracał do domu i rysował arabeski myślących liści. Narysował też rudą jak lis kobietę wychylającą się z buszu, wężącą zmianę wiatru.

Bardzo pragnął narysować dotknięcie powietrza. Kiedyś też próbował, niestety daremnie, narysować skórę ciszy przybitą do drzewa.

Gdy przypomniał sobie prawdziwy cel nocnej podróży do Sarsaparilli, ręce mu zwilgotniały na chromowanych poręczach pustego autobusu. Pozornie trzymał się ich tylko dla zachowania równowagi. Wóz ział pustką, z jej głębi nadszedł wreszcie konduktor i odchrząknawszy, raczył nawiązać rozmowę z czarnym pasażerem. Nienaturalnie podniesionym głosem oznajmił mu, że w Sarsaparilli wybuchł pożar, spalił się dom jakiegoś Żyda.

- Tak? - powiedział Alf. Z uśmiechem. - Tak - powtórzył niemal gorliwie.

- Słyszał pan już o tym? - spytał konduktor. - Może pan go zna? Podobno pracuje w fabryce pana Rosetree.

- Nie - rzekł Alf. - Nie. Nie znam go. Nic nie wiem. Ponieważ ku swemu przerażeniu zrozumiał, że w jego naturze leży zdrada. Dlatego się uśmiechał.

- Cholera z tymi cudzoziemcami - powiedział konduktor. - Wszędzie ich teraz pełno.

Alf uśmiechał się, ale klatka żeber miażdżyła mu serce.

- Co się stało z tym Żydem? - spytał. Głos zabrzmiał dyszkantem.

- Bo ja wiem - odparł konduktor. Ziewnął. - Nie słyszałem.

Był zmęczony, zaczął kluczem dłubać w uchu.

Alf Dubbo uśmiechem zegnał swą miłość i wiarę. Gdy był dzieckiem, powiedziano mu, że w jego naturze leży zdrada, a w następnych latach ludzie nieraz mu tego dowiedli. Zdradził nawet swój tajemny dar, ale tylko jeden jedyny raz, i tę winę, jak przeczuwał niemal z całkowitą pewnością, będzie mógł naprawić. Dając świadectwo swej wierze w człowieka ukrzyżowanego i w zmartwychwstałego Boga.

Kiedy autobus dojechał do Sarsaparilli, Alf wysiadł na przystanku narożnym w pobliżu poczty i ze wzgórza zszedł ku miejscu, gdzie, jak wiedział, mieszkał Żyd. Teraz czerniał tylko szkielet domu. Małe niebieskawe paciorki ognia toczyły się po szczątkach i spadały z nich na ziemię. Pogieęte płachty blachy zarzyły się już tylko nikle i syczały. Ale skry były jeszcze piękne, gdy sypały się, wykrzesane tym czy innym sposobem.

Kilka kobiet stało wokół, jakby czekając, że z popiołów wybuchnie coś, co obudzi ich przygasającą ciekawość, a paru ochotników oglądało kawałek zwiotczałego gumowego węża. Do nich zwrócił się tubylec.

- Gdzie... - zaczął jeszcze z daleka.

Wszyscy obejrżeli się i wpatrzyli w niego. Głos, którym przemówił dziwny tubylec, krążył z powiewem wiatru nad pogorzeliiskiem.

Strażacy byli zanadto zmęczeni, żeby się czymś zainteresować, ale ich płaskie twarze przybrały wyraz oczekiwania...

- Gdzie... - powtórzył czarny człowiek. - Czy ktoś mógłby mi powiedzieć...

Pytanie urwało się, nie dokończone. Alf bowiem zakaszał i zachwiał się na tym miejscu, na którym może sędzone mu było paść. Odszedł, a gdy przedarł się przez krzaki jeżyn, zobaczył niespodzianie tuż przed sobą barak.

Okno było oświetlone. Alf znalazł oparcie. Chwycił się rękoma parapetu. Spojrzał do wnętrza i stwierdził, że to jest mieszkanie pani Godbold, którą spotkał kiedyś u pani Khalil i która schyliła się nad nim, by otrzeć mu krew z ust, czego nigdy jeszcze nikt inny nie zrobił. A ponieważ dała wówczas dowody swej miłości, nie zdziwił się, że to ona właśnie pielęgnuje teraz Żyda. Żyd leżał w blasku jej lampy, pośród gromady dzieci śpiących albo też sennych, lecz jeszcze trzymających się na nogach i śledzących wydarzenia zupełnie dla nich nowe. Ruda jak lis kobieta z Xanadu położyła się na stopach Żyda, grzejąc je sposobami, które dyktował jej instynkt.

Alf Dubbo patrzył i widział narzucający się boleśnie obraz, z każdą chwilą wzbogacany w nowe szczegóły, swój obraz, który spodziewał się zawsze zobaczyć, przekonany, że kiedyś musi mu się wreszcie ukazać. Żyd poskarżył się, może na ciężar kołdry, a kobieta zaczęła ją poprawiać. Silna biała kobieta przytuliła go do swych piersi, młoda dziewczyna, jaśniejąca subtelnymi zielonkawymi tonami, schyliła się nad łóżkiem, tak że włosy jej musnęły policzek Żyda, a młody chłopiec z grzbietem napiętym od wysiłku podniósł ciało chorego niemal bez pomocy kobiet i ułożył je wyżej na spiętrzonych poduszkach.

Był to właściwie błahy epizod, lecz świadek dostrzegł w nim najwznioślejszy akt miłości.

W wyobraźni już malował chwalebny błękitem drzewo, z którego kobiety i młodzieńcy zdejmowali ukrzyżowanego. Kwiaty osypując go z gąsienicami plamami ciemniejszego błękitu usłały ziemię. Niebieskie refleksy ożywiały biel cery

starszej kobiety i dziewczyny. Z niewysłowioną miłością opuszczali ciało swego Pana, pierwsza Maria czekała na nie, rozpościerając najbielsze płótno, druga Maria, która mianowała się strażniczką jego stóp, całowała kości sterczące pod zimną, żółtą skórą.

Alf, uczestnicząc w tej scenie zza okna, myślał, że nie przeżyje tego zdjęcia z krzyża, które w końcu ujrzał oczyma duszy. Stał obłany potem i poczuł, że zbliża się nowy atak kaszlu. Oddalił się więc tak samo cicho, jak przyszedł. Gdyby został dłużej, spostrzeżono by jego obecność, a nie umiałby wytłumaczyć swojej wizji ani wyrazić tajemnej miłości.

Gdy go kobiety ułożyły, głowa znieruchomiała dziwnie na poduszkach. Pani Godbold wygładziła prześcieradło pod brodą i dotknęła jej czubkami palców. Nie wyczuła życia, ale pamiętając martwe ciało swego brata, które kiedyś niosła, i oczy niemowląt, które nieraz zamykała, wiedziała, że w tym ciele życie jeszcze trwa.

Nic w tej chwili nie mogło zawrócić Mordechaja, syna Moszego, z drogi, którą zamierzał przebyć aż do końca, aż do źródła zwięzającego się, lecz wciąż jeszcze żywego strumienia. Nie zważał na liczne ręce sięgające do czapki na jego głowie, zaplątane w fałdach jego białej szaty, żeby go odciągnąć od ścieżki, przebłagać. Szedł wytrwale, a skrawki próśb obijały się z brzękiem o jego twarz i topniały w zetknięciu ze skórą. Czas naglił i nie pozwalał mu się zatrzymywać, żeby zbierać strzępki, porozumiewać się z otoczeniem, chociaż spodziewano się po nim, że będzie wszystko rozumiał.

I naprawdę teraz rozumiał.

Znał wszystkie możliwe przemiany i połączenia. Podczas gdy w Bienenstadt jego młoda i giętka dusza musiała walczyć

o wyzwolenie, okaleczony i zeszlę twór, jakim się teraz stała, wyzwalał się bez większego wysiłku. Gdyby dotknął czyjegokolwiek języka, także własnego, każdy by przemówił.

Purpurowa struga - bo zapadł już wieczór - wiła się wśród kamienistych wzgórz, a tysiące istot podchodziło do niego prosząc, żeby im wyjawiał nieodległą przeszłość, z której mogłyby odgadnąć przyszłość, bo wiele z nich przygotowywało się do powrotu na świat. Co zaś najdziwniejsze, on naprawdę znał przeszłość i przyszłość. Czytał je ze ścian skalnych jak z księgi. Wystarczało, żeby rozdarł liść, aby utożsamił się z duszą rośliny. A więc tysiące czekały na niego po obu brzegach nie kończącej się rzeki. Były tam twarze Żydów i twarze gojów, nie miało to znaczenia; można było przemieniać jedne w drugie jednym dotknięciem, przesunięciem migawki. Ale człowiek, który przedtem cierpliwie wiercił otwory w blasze, teraz nie zatrzymywał się na wezwanie dusz mimo całej miłości; mimo najlepszej woli. Jego własna dusza niosła go naprzód. Musiał przebrnąć przez górę ciemności.

W udreće i pośpiechu Himmelfarb poruszył pod kołdrą stopami; było to ledwie uchwytnie drgnięcie kości, lecz panna Hare wyczuła je policzkiem. Przez chwilę pani Godbold bała się, że biedna starowina dostanie ataku, bo całe jej ciało skrećiło się konwulsyjnie, a szerniały kapelusze kiwnęły się gwałtownie. Ale panna Hare tylko głębiej zapadła w stan, którego dyskretna przyjaciółka nie śmiała jej zakłócać. Odwróciła się więc i zajęła czymś innym, zdążyła jednak dostrzec na poparzonych wargach panny Hare uśmiech łagodnego szczęścia.

Panna Hare bowiem osiągnęła bardziej niż kiedykolwiek doskonałe zespolenie. Narzuciła teraz ducha swej miłości najmniejszej materii, jaką zdołała odnaleźć w pamięci, a jaką są zgubione ptasie pióra, kępki futra wyrwane w porze

zalotów i puszyste, brunatne pastorały paproci. Najbardziej poufne zespolenie kryła pod warstwami ciszy, jakiej się nauczyła, czekając na bliski już świt albo przykładając ucho do kamieni, albo chodząc po grubej ściółce zbutwiałych liści. Tak tuliła i pieściła niebiańskiego ducha, który w nią wstąpił po prostu i bezboleśnie, potwierdzając słowa Peg, że jest to osiągalne. Wszystkie tańczące demony uciekły, mieniając się pawimi piórami, dzwoniąc kapryśnie małymi lusterkami wprawionymi w suknie opięte na chytrych udach. Kamienie Xanadu mogły się rozsypać, panna Hare dotknęłaby wówczas ich miękkiego pyłu. Gotowa była sama zamienić się w pył, którego ducha nareszcie zdołała zrozumieć.

Twarz Himmelfarb zapadła bardzo głęboko w poduszkę, jak się wydało czuwającej pilnie Elsie Godbold. Leżał wyprężony, straszliwie sztywny. A jednak cieplejszy niż przedtem. W tym bowiem momencie obejrzał się na ostatni blask ziemskiego ognia. Ogień wzbił się ze szczelin bezbarwnej już ziemi, nie po to, by zniszczyć, lecz by oświetlić odchodzącego ducha. Małe pierścionki radosnych płomieni owijały mu nogi w kostkach.

Zauważył, że minął dwie palmy daktylowe w pióropuszech dymu. W tym świetle nawet najbardziej żalosalne lub potworne zdarzenia, jakie znał rozum ludzki, zdawały się usprawiedliwione, gdy już skamieniałe w posągi skupiły się na równinie, którą Himmelfarb opuszczał.

Odwrócił się więc i szedł dalej, poprawiając fałdy białej szaty, którą, jak teraz spostrzegł, był okryty. Chociaż pamiętał, że ją zostawił przed wielu laty w domu przy ulicy Holzgraben, w Holunderthal...

Nagle panna Hare wydała z siebie krzyk ogromny, który w blaszanym baraku rozległ się jak głos ostatniej ziemskiej męki, i zaczęła płaskimi dłońmi bić kołdrę.

- Himmelfarb! - krzyczała - Himmelfarb! - Dławiła się tym nazwiskiem. - Himmelfarb umarł. Oo! Ooooo!

Krzyk ucichł, ale panna Hare bełkotała nadal i rękoma błędziła po kołdrze, jakby miała nadzieję, że coś jeszcze zostało tam do znalezienia.

Dzieci zbudziły się, ale zabrakło im odwagi, żeby zapłakać.

Pani Godbold zbliżyła się do łóżka, dotknęła, posłuchała, a że potwierdziły się jej przeczucia, uznała za właściwe oznajmić:

- Nie będzie już cierpieć dłużej, biedaczysko. Powinniśmy być wdzięczne, że odszedł bądź co bądź tak spokojnie.

W tej chwili budzik, przy którym dzieci pewnie w ciągu dnia majstrowały, odezwał się wcześniej niż zwykle radosnym blaszanym terkotem, zdolnym wyrwać każdego z najgłębszego snu, a pani Godbold zwróciła się w stronę półki, gdzie stał zegarek.

Odczytała godzinę i powiedziała:

- Pan Himmelfarb także umarł w piątek.

Mimo że wymówiła te słowa z wielką powagą, znaczenie w nich zawarte nie dotarło do nikogo z obecnych. Pani Godbold zresztą nie pragnęła dzielić się z nikim swoim niezmiernie cennym przeświadczeniem.

We dwie z najstarszą córką zakrzętały się około prostych obowiązków, które trzeba spełnić przy umarłym człowieku, a Maudie wzięła sztywne trzewiki, żeby powędrować przez wzgórza po doktora Herborna, przedtem odtraconego.

Było bardzo cicho i chłodno jak na tę porę roku. Lilie poświaty ociekały zimną, perlistą rosą. Krzaki jeżyn błyszcząły. O tej godzinie, przed pierwszym pianiem kogutów, jeśli te ptaki istniały jeszcze w Sarsaparilli, nic się nie poruszało prócz rosy i światła księżycy, a w ciszy słychać było tylko, jak koza gubi bobki.

O tej godzinie panna Hare wyszła z baraku Godboldów, nie mając już po co dłużej tam przebywać. Była świadkiem

do końca, nie czekała tylko na podpis lekarza. W kruchym białym świetle sama też zdawała się krucha, jak zawsze rozchwiana, lecz już nie podtrzymywana jak dawniej przez liczne konieczności kierujące życiem zwierzęcia i człowieka. Mogłaby wyciągnąć wniosek, że już spełniła wszystkie swoje zadania, gdyby nie to, że nie ufała rozumowi. To instynkt raczej podszeptował jej, że została rozproszona, by dzięki temu wejść teraz w ostateczną ekstazę. Szła wytrwale wśród ustępujących jej z drogi cierni i gałęzi. Brnęła przez miękkie, opalizujące resztki ciemności. Nigdy naprawdę nie dochodząc nigdzie, ale niczego innego nie mogła się spodziewać, skoro wszystko teraz przenikała sobą, zapachy, dźwięki, zimną rosę, niebieski odblask białego światła na skałach. Prawie że utożsamiała się z tym wszystkim.

Tak panna Hare wlokła się wśród nocy. Nie obrała narzucającego się kierunku, ponieważ nareszcie kierunek wybrał ją.

XV

Państwo Rosetree nie wyjechali na święta. Harry Rosetree oświadczył, że nie zniósłby teraz wyjazdu.

- Ależ pokoje zamówione - protestowała wielokrotnie żona. - Stracimy zadatek - przypominała. - Wiesz, jacy są ci Węgrzy.

Harry Rosetree odpowiadał, że czuje się chory. Mniejsza

o zadatek, nie może teraz nigdzie jechać. Poszedł do salonu

i zapuścił żaluzje.

- Jesteś chory?! - krzyknęła pani Rosetree, tracąc cierpliwość. - Jesteś neurastenik! To ja się w końcu rozchoruję żyjąc z neurastenikiem.

Wkrótce potem zaczęła płakać. Przez parę dni nie ubierała się, lecz chodziła po domu w lazurowym szlafroku, tym

623

samym, który miała na sobie w dzień wieczornej wizyty Żyda. Ale teraz szlafrok mniej na niej błyszczał i szwy puściły pod pachami.

Harry Rosetree, także nie ubrany, siedział w piżamie włożonej na bieliznę i palił papierosy. Albo też trzymał ręce oparte na udach. Był zmęczony, bardzo zmęczony, miał wszystkiego dość. Wolałby być brukwią.

Pani Rosetree niekiedy przysiadła obok niego.

- Neurastenik - powtarzała, a była to w jej ustach najsurowsza nagana, jeśli nie liczyć pytania: „Czego innego można się spodziewać od Żydów?”.

Wyglądała chyłkiem przez szpary w żaluzjach. Oglądana pod pewnym kątem Shirl Rosetree jeszcze trochę zachowała poloru, ale z innej strony widać było, że nagle wyrzeczenie się przez męża udziału w życiu zmiażdżyło i pozbawiło blasku jej trwałą ondulację i upodobiło ją do kalekiego ptaka, a w oczach Chaima ben Jakuba do jej własnej babki, czarnej starej kobiety, której niewinną i jedyną radością było witanie oblubienicy z pucharem i świecą w ręku. W tym pokoju w osiedlu Paradise East, tak zwykle przyzwoitym ze swymi perłowymi atlasami, różanym drzewem i siatkowymi firankami, Harry Rosetree zasłaniał oczy, by nie widzieć zwodniczej gry światła i trzepotu wielkiego skrzeczącego ptaka.

Chwilami cierpiał tak intensywnie, że jego żona, która ani na chwilę nie przestała dreptać w kółko, obmacywać sobie boków, sprawdzać czystości oddechu, przesuwać mebli albo też płakać z tysiąca powodów, przysiadła, kładła głowę na stoliku z różanego drewna - przyciskając do blatu zgniecioną połowę uczesania - i przez szpary między palcami obserwowała męża, pogardzanego, ale jeszcze wciąż potrzebnego. Oczywiście, Szulamit w świetle swego rozumu i w półmroku salonu nie mogła dostrzec, co dręczy Chaima, chociaż jej

własna wzbierająca w żyłach krew podszeptowała jej prawdę. Ale ona nie chciała tej prawdy przyjąć. Zrywała się i wracała pod okno zasłonięte żaluzją.

Panią Rosetree nurtował niepokój, czy jej dom przy Persimmon Street nie zdradza na zewnątrz nienormalności tego, co się dzieje w jego wnętrzu. Nie trzeba chyba zapewniać, że niepokoiła się niepotrzebnie. W Paradise East nie uznawano niczego prócz rzeczy normalnych, toteż nikt tutaj nie uwierzyłby w tragedię, występki i karę, chyba że anioł zstąpiłby z nieba i rozciął mieczem na dwoje domy, chyba że bomba rozwaliby te mrowiska, gwałcąc stylowe komplety mebli. Na razie w oczach postronnych obserwatorów rzeczywistość zdawała się równie prosta jak ceglane mury. Poranek włócił się wolno. Steve Rosetree niecierpliwił się, spacerując wśród sztamowych róż i różnobarwnych *pittosporum* jak w inne dni świąteczne, a Rosie znów - czy znów? - szła na mszę, ściskając w ręku książeczkę, z której jak zwykle wypadało mnóstwo zakładek, a zasuszone róże roniły papierowe płatki łask.

Rosie Rosetree chodziła na wszystkie msze, nie nużyło to duszyczki chwiejącej się na rozkosznej krawędzi świętości. Nawet powrót do domu, gdzie ją czekało tyle zbędnych pytań, nie mógł rozproszyć błógiego nastroju Wielkanocy.

- Czy ksiądz Pelletier dziwił się, że nie przyszliśmy? - spytała pani Rosetree.

- Zapytał, czy mamusia nie chora.

- A co mu odpowiedziałas?

- Że tatuś przechodzi kryzys nerwowy - odparła Rosie.

Po czym wycofała się w tę dziedzinę swoich wewnętrznych spraw, do której, jak niedawno odkryła, rodzice nie mieli dostępu.

Pani Rosetree była dość praktyczna, żeby tolerować w swoich dzieciach pewną oziębłość, za której wyhodowa

nie, można by rzec, drogo zapłaciła. Ale musiała w jakiś sposób wyładować urazy. Wróciła więc do pustego zazwyczaj saloniku, w którym mąż jej spodziewał się znaleźć schronienie. Oparła łokcie na stoliku z różanego drewna i w pozie tej wypięła pośladki. Była jednocześnie konwencjonalna i dramatyczna w swych lazurowych atłasach. Stanowczym tonem zażądała:

- Musisz mi wreszcie, Harry, powiedzieć, jeśli nie chcesz, żebym oszalała, czy coś się stało temu staremu Żydowi?

Harry Rosetree odpędzał kłęby dymu sprzed oczu, chociaż nikt w pokoju nie palił. Jego żona uświadomiła sobie nagle nie bez zgrozy, że chyba zawsze nienawidziła tych drobnych, pulchnych mężowskich rąk.

- No? - nalegała, a stół zadrżał pod jej łokciami.

- Zostaw mnie samego, Shirl - odpowiedział mąż. Wtedy się przestraszyła. Wszystko, co kiedyś przeżyła

w ciemnościach i wśród zawodzenia, wezbrało znów w jej trzewiach.

Wyszła przed dom, zaczęła się przechadzać tam i sam w swym szlafroku obok przygotowanego na piknik ogniska, deptając głuchą, obcą ziemię ochrzczonej od nazwiska Torrensa, i jęcząc tak głośno, że dzieciom, którym wszczepiła poczucie nietykalności, ten jęk wydał się ogłuszający i okropny.

Tak rodzina Rosetree spędziła Wielkanoc, podczas gdy dla innych, mniej wzburzonych rodzin, Chrystus został zdjęty z krzyża, złożony w grobie i zmartwychwstał, w przepisany porządku, chociaż w rozmaitych nastrojach. Przed kościołami ludzie uśmiechali się, zadowoleni, że już po wszystkim; spełnili obowiązek i mogli bez przeszkód iść dalej swoją drogą.

Ale Harry Rosetree cały ten czas przesiedział w milczeniu.

W środę pani Rosetree, która znów zaczęła ubierać się normalnie, weszła i powiedziała nie za swobodnie i nie za głośno:

- Pan Theobalds przy telefonie.

Harry musiał przyjąć telefon, nie miał wyboru.

Żona jednak nie zdołała wiele zrozumieć, bo całą rozmowę prowadził pan Theobalds, a Harry, jeśli w ogóle odpowiadał, to tylko półsłówkami.

Potem Harry zatelefonował do pana Schildkrauta. Miało się zebrać dziesięciu mężczyzn - minjan - aby odprawić modły za Mordechaja Himmelfarba.

Shirl Rosetree bała się z tego cieszyć, a jednak ucieszyła się. Przetrwiała niebezpieczeństwa cielesne, lecz czuła, że nie zniosłaby pytań ducha.

Czasem myślała, że najszcześniejsza jest wśród swoich mebli. Chwyła więc irchową ściereczkę i zaczęła polerować drewno różane i jesionowe, aż doprowadziła je do najczystszej zwierciadlanej blasku. W końcu dostała czkawki.

Harry Rosetree ogolił się i wyszedł, nie mówiąc żonie, dokąd idzie, chociaż Shirl i tak wszystko wiedziała. Przez zamknięte okno hallu patrzyła, jak wsiadał do samochodu. Spostrzegła, że mąż ma ruchy niepewne; kilka razy zapalił i zgasił tylne światła wozu, jak gdyby już była noc. Potem ostrym szarpnięciem poderwał samochód naprzód. Jechał w stronę Sarsaparilli główną szosą, wzdłuż której światła ranka, spiskując z luksusowymi domami w stylu Tudorów, spowijało je celofanem i w ten sposób podnosiło ich wartość na giełdzie. Wkrótce jednak Harry Rosetree skręcił na boczne szosy, które stopniowo prowadziły go przez szczątki wiejskiego krajobrazu - obok szarych stodół, zagród z kolczastego drutu i monotonicznych brzydkich wzgórz - niepociągającego dla oczu. Sielskie scenerie denerwowały go, z wyjątkiem prześwieconego słońcem lasu, bo ten przypominał mu - czy może łudził przypomnieniem - lasy, po których niegdyś chodził, zbierając poziomki u stóp starego klasztornej muru. Jednoznaczne formy czy to

w topografii, czy w ludziach, przynębiały tego małego, miękkiego człowieka, który bał się cierpienia. Toteż unikał kobiet o wyciętym ostro profilu i atletycznych mężczyzn. Lubił *Gänsebraten* i *Torte*. Usta miał mocno czerwone, pełne, dolną wargę wyraźnie pośrodku rozdzieloną. Ale wszystkie soki wysychały w nim, gdy musiał spojrzeć prosto w oczy rzeczywistości, tak jak się to stało w ostatnich dniach. Był przerażony. Harry Rosetree jechał dalej - długi lśniący szybami wóz był aż zanadto uległy - jechał spełnić obowiązek, którego podjął się nie tyle pod przymusem, ile z sentymentu, jak starał się uwierzyć. Jadąc swoim fantastycznym samochodem Chaim ben Jakub wymknął się z rygorów rozsądku, a może nawet z całej imponującej struktury teraźniejszości, zbudowanej ze stali i plastiku, by wrócić w najciemniejsze zakamarki wspomnień. Ojciec, który nigdy nie był bardzo od niego daleko, zjawił się natychmiast w jarmulce, z trochę skudlonymi pejsami. Wziął chłopca za rękę i we dwóch stanęli przed Arką, którą szames odsłonił uprzejmie, żeby mogli przeczytać napis na opasce. „Widzisz, Chaimie - tłumaczył ojciec - twoja własna opaska okrywa zwój. Czytaj - nalegał - po to przecież płaciłem za twoją naukę, żebyś znał nasze pismo. Czytaj, chcę cię posłuchać”. Chłopiec odczytał więc z trwogą w sercu: „Przykazanie Pańskie jest jasne”. Potem dozorca ściągnął sznur i mała zasłona odgrodziła ich znowu od cudów i grozy, które przeplatały się z sobą. „Ależ ty drżysz, Chaimie”. Znowu był przy nim ojciec, ale teraz stali przed ustępem, w charakterystycznym odorze drewna przesiąkniętego moczem. „Nie trzeba się bać” - próbował go przekonać ojciec i nawet uścisnął go za łokieć; stali nadal na podwórku, białka oczu ojca lśniły zielonkawo w ostatnim, bladym świetle dnia, przeciekającym pomiędzy stłoczonymi domami. „Dopuszczę cię do sekretu - zdecydował się nagle ojciec - żebyś nabrał

odwagi, chociaż to jeszcze przedwcześnie, nie zrozumiesz wiele z tego, co nam obiecano. Właśnie dzisiaj rozmawiałem - zwierzał się ojciec - z rabonim, dyskutowaliśmy o tym, którego oczekujemy. - Białka oczu błysnęły groźnie, mocz cuchnął wyraźniej niż przedtem. - Ten, który w naszych czasach musi przyjść, jesteście przekonani, że przyjdzie, aby nas poprowadzić i ocalić. Nie był nim, jak się zdaje, ani Dawid, ani Ezechiel, a już na pewno nie Sabbataj Cwi, ale o nim oczywiście nie słyszałeś. Uważaj, Chaimie, bo to, co mówię, ciebie dotyczy. Znajdziesz się wśród pierwszych, którzy przyjmą Zbawiciela. Modliłem się o to, długo się modliłem i wiem. Wiem, że to ty. TY. Przeczytałem to wypisane na najbliższym skrawku nieba". W tej chwili ktoś ze sklepu zawołał ojca w jakimś pilnym interesie. Wkrótce potem rozległ się szczeł żelastwa, a wstrząśnięty chłopiec został sam, w rozterce między największym cudem i najstraszniejszą grozą.

Teraz Harry Rosetree, którego szybki samochód dowiózł już na peryferie Sarsaparilli, uświadomił sobie, że język jego przywarł do podniebienia, gardło zaschło, jakby przełknął garść prochu, a paznokcie skruszały i pękają. Na poczcie poinformowano go, że niejaka pani Godbold mieszka w pobliżu. W baraku. Za gęstwiną jeżyn. Harry Rosetree wysiadł z wozu i ruszył piechotą, potykając się na wyboistym terenie, niepewnie stawiając nogi obolałe w pachwinach.

Na ganku przytykającym do baraku kobieta, w której Harry Rosetree domyślił się pani Godbold, schylona poprawiała ogień pod kotłem; gdy się wyprostowała, na bladej twarzy miała czerwone rumieńce. Przez chwilę cieszył się nadzieją, że ta prosta kobieta nie zrozumie go, ponieważ wielu tutejszych ludzi nie rozumiało jego wyszukanego języka. Wówczas mógłby ją przeprosić i odejść. Ale nie uniknął dalszego ciągu zdarzeń. Kobieta zwróciła się twarzą do

niego, stojąc jednak wciąż z dala, z potarganymi włosami i mokrymi ramionami, bo najwidoczniej dopiero co odeszła od balii.

- Nazywam się Rosetree - przedstawił się gość, ale wbrew swemu zwyczajowi nie dodał: „Właściciel wytwórni latarek rowerowych w Barranugli”.

- Ach, tak - odpowiedziała pani Godbold głosem czystym i lekkim, nie pasującym do jej ciężkiej postaci, głosem, który prawdopodobnie nigdy nie zdradzał sekretów, a na pewno o nic nie pytał.

- Mam przedsiębiorstwo tam - wyjąkał pan Rosetree, wskazując gestem jakieś nieokreślone miejsce w oddali. - Przyjechałem w związku z pewnym przykrym wypadkiem, któremu uległ osobnik zatrudniony w mojej fabryce.

Pani Godbold przewracała bieliznę. W niebieskiej wodzie w cynowych kotłach popychała ciężkie, wilgotne kłęby szmat. Raz i drugi zanurzyła ramiona, a gdy je wyciągnęła z wody, opadły z nich płaty mydlin. Była tak zajęta swoją pracą, że pan Rosetree zwątpił, czy słyszy jego słowa.

- Ten osobnik umarł - dodał, niemal bez nadziei.

Ale pani Godbold zdecydowała się w końcu przyjść mu z pomocą.

- W Wielki Piątek - powiedziała. - O świcie. Pan Himmelfarb.

Była to prawda tak ostateczna, że nie widziała powodu, żeby spojrzeć na swego gościa. Harry Rosetree musiał więc, mimo niechęci, zadać następne pytanie:

- Przepraszam, a gdzie jest ciało pana Himmelfarba? Nic nigdy nie wydało mu się tak brutalne jak powierzchnia tych cynowych kotłów.

- A raczej - poprawił się - chciałbym wiedzieć, któremu przedsiębiorstwu zlecono pogrzeb. Bo pewna grupa przyjaciół pragnie się tym zająć.

Pani Godbold obserwowała wiązkę światła, w której objawiały się rzeczy w innych okolicznościach niewidzialne.

- Ależ pan Himmelfarb został już pochowany - rzekła wreszcie. - Po chrześcijańsku.

Pan Rosetree otworzył usta, rozpaczliwie usiłując nad nimi zapanować, by przemówiły.

- Himmelfarb był Żydem - powiedział.

Gardło pani Godbold pod grubą porowatą skórą zacisnął skurcz. Natrętny gość dygotał cały. Zauważył, że na ramionach kobiety także wystąpiła brzydka gęsia skórka.

- To wszystko jedno - powiedziała pani Godbold, a gdy odchrząknęła i głos jej odzyskał czyste brzmienie, ciągnęła dalej, jakby wyrażając od dawna przemyślane prawdy: - Ludzie przed swoim narodzeniem są wszyscy tacy sami. Rodzą się wszyscy jednakowi, chyba pan przyzna. Dopiero potem, gdy każdy włoży płaszcz, który każą mu przywdziać, zaczynają się między sobą różnić. Niektórzy oczywiście źle się czują w swoim płaszczu. Myślą, że można go zmienić. Ale pod każdym płaszczem zostają tacy sami, zostają sobą. Dopiero pod koniec, gdy już wszystko jest im odjęte, okazuje się, że niczego nie było im potrzeba. Biedne dusze, wreszcie spokojne, znowu nagie, jak na początku. Tak ja to, proszę pana, rozumiem. Może pan po namyśle przypomni sobie, że tak właśnie Chrystus kazał nam patrzeć na te sprawy.

Pan Rosetree był zbity z tropu.

- Ale Himmelfarb był Żydem - powtórzył, jakby coś go do tego zmuszało.

Pani Godbold dotknęła brzegu cynowego kotła.

- Żydem był także Jezus, nasz Zbawiciel, którego również w piątek złożono do grobu.

Pan Rosetree nie mógł już skojarzyć faktów, którymi pragnął się podzielić. Z ust jego bryzgała ślina, gdy usiłował mówić:

- Schildkraut czeka. I prócz niego dziewięciu mężczyzn. Gdy zbierze się minjan, odprawią przepisane modlitwy.

- Nie przypuszczałam, że pan Himmelfarb ma bliższych przyjaciół. Za wiele miał życzliwości dla wszystkich ludzi

- pomyślała głośno pani Godbold. Potem dodała kilka zupełnie jednoznacznych słów: - Niech im pan powie, że pochowaliśmy go rankiem, przy pięknej pogodzie. Wczoraj o wczesnej godzinie, gdy pan Pargeter - nasz pastor - i przedsiębiorca pogrzebowy mieli czas wolny. Oczywiście, mogłabym wszystko zrobić sama i zajęłam się różnymi szczegółami, o których zawodowy przedsiębiorca pogrzebowy nie myśli. Ale oficjalnie pan Himmelfarb został pochowany przez firmę „Thomas i Thomas” przy ulicy Boundary w Barranugli.

Gość patrzył na podłogę, ale wyczuwał, że panią Godbold ogarnęło natchnienie.

- Poszłam na cmentarz - to niedaleko stąd - i wzięłam z sobą starsze córki. Tam na niego czekałyśmy. Było tak jasno. Tak cicho. Słysząc było, jak sroki skrzeczą dokoła. Króliki nie śmiały się poruszyć. Po nocy gruba rosa leżała jeszcze na trawie i krzakach. Nikt by nie mógł płakać na takim spokojnym pogrzebie i w taki ranek jak wczorajszy; stałyśmy czas jakiś, a potem przyjemnie było wracać, bo słońce grzało nam plecy.

I tak raz jeszcze pogrzebali Himmelfarba. Pani Godbold przewróciła bieliznę moknącą w niebieskiej wodzie.

- Można by powiedzieć, że został nie dostrzeżony

- ośmieliła się stwierdzić - ale kilkoro nas będzie go pamiętać i kochać.

Gość zbierał się do odejścia. Czuł się tutaj zbyt cichy. A tymczasem strumień słów coraz cieplejszy, coraz mocniejszy, coraz bardziej kojący płynął z ust pani Godbold. Chaim ben Jakub żałował tylko, że niektóre rany nie dadzą się zamknąć.

- Och! - wykrzyknęła nagle. Życie było zbyt natrętne.
- Zapomniałam! - powiedziała, biegnąc do baraku tak energicznie, że ściany zdrząły. - Chleb mam w piecu!
Otworzyła piec i ukazały się bochenki. Skórka już się na nich wyłocila. Bił od nich zapach.
- Pozwoli pan, żebym przedziutko zaparzyła dla pana herbatę? - spytała. - Wypije pan filiżankę, zagryzie pan chlebem. Jest dżem z pigwy - zachęcała.
- Nie, dziękuję - odparł pan Rosetree. - Mam interesy. Inne sprawy. Wróciła przed próg i stanęła niemal za blisko gościa; czuł dręczący zapach chleba.
- Nie obraził się pan, broń Boże? - spytała. - Że tak postąpiłam. Że pochowałam pana Himmelfarb w poświęconej ziemi?
- O cóż ja miałbym się gniewać? - zaprotestował Rosetree, sztywniejac. - To Schildkraut. Ja nie jestem Żydem.
- Nie - powiedziała pani Godbold.
Wyczuwając jej litość, uciekł co prędzej, potykając się na wybojach. Pomimo to dogonił go jej głos:
- Doktor Herbolom napisał w świadectwie zgonu, że pan Himmelfarb umarł na serce!
Harry Rosetree jechał do domu tak gładko, że nikt by się nie domyślił prawdy. Błyszczał nikiel. Snuła się mgiełka różowej farby. Harry Rosetree włączył odruchowo radio i samochód sunął w strumieniu muzyki i w szumie wiatru. Tylko we wnętrzu wozu, miękko wyścielonym, jasnopiaskowym, dla człowieka siedzącego przy kierownicy muzyka rozbijała się na szeleszczące kawałki folii, na szklane drzazgi, na brzydkie, podarte arkusze cynowej blachy.

Jechał szybko, żeby prędzej być u celu, i osiągnął go, chociaż celem był tylko jego własny dom.

- Wyglądasz, jakbyś przeżył katastrofę czy coś w tym rodzaju - powiedziała Shirl. - Zaraz ci dam porządną porcję whisky i kilka pastylek aspiryny. Chociaż wiem, że nie powinnam się wtrącać.

Chciała przyjrzeć mu się z bliska, lecz Harry szybko przebiegł przez pokój. Skomlił jakoś dziwacznie. Usiadł na brzeжку wyściełanego fotela, jęcząc czy może czekając, z szarą twarzą.

- Słuchaj, Harry, czy ty mnie chcesz nastraszyć? - spytała Shirl, która szła za nim przez cały dom.

Kiedy się rozplakał, była zbyt wstrząśnięta, żeby mówić dalej. Pani Rosetree w głębi serca tęskniła do silnych, jasnowłosych mężczyzn w trykotowych koszulkach opinających atletyczne torsy. Nie do tego mazgaja, którego kochała na mocy umowy, a nawet - mogłaby przysiąc - z wrodzonej skłonności.

Harry chlipał i tarł kolana.

- Wszyscy są tacy sami! - mówił, jeśli Shirl dobrze dosłyszała.

Patrzyła na niego oszołomiona.

- Wszyscy są tacy sami! - powtarzał. Wreszcie się rozgniewała.

- Wszyscy są tacy sami? Tacy sami?! - krzyknęła. - Ja jestem ta sama co zawsze! - Pięciami waliła w poduszki. - Ale mam tego dość! Nareszcie dość! Zatelefonuję do Marge Pendlebury i pójdę z nią na jakiś ciekawy film. Żeby zapomnieć. Och! - zawołała. - Mam poczucie obowiązku. O tym nie zapomnę.

Harry Rosetree siedział na za mocno wypchanym szarym fotelu, dopóki żona nie wyszła z domu. Shirl raz zajrzała do

pokoju, ale oboje byli zbyt nadzy jeszcze, żeby z sobą rozmawiać. Kiedy Shirl odjechała, Harry poszedł do łazienki, gdzie przedtem żona pudrowała się i płukała usta. Na lustrze osiadła para i Harry zaczął na niej palcem rysować wielkie litery:

MORD...

Ale zaraz je starł.

Ale znów się rozplakał.

Potem ucichł.

Nagle wyszczerzył do lustra zęby i zobaczył swoje oczy aż do ostatniej żyłki w przekrwionych białkach.

Pani Rosetree wróciła do domu z mnóstwem paczuszek, których sznurki wpijały się przez rękawiczki w jej pulchne palce. Pelerynę z lisów wlokła za sobą, jakby ją wyczerpała nedorzecznosc ostatnich przeżyć.

- Haloo! Hej! - zawołała.

Okrzyk był przeznaczony dla pułkownika Livermore, który odpowiedział grzecznie podobnym zawołaniem. Jego żona odwracała oczy od ogródka państwa Rosetree, lecz pułkownik, człowiek łagodny i sprawiedliwy, od początku ofiarował sadzonki wierzby i nauczył sąsiadów mnóstwa łacińskich nazw.

- Wróciła pani do domu - stwierdził pułkownik z charakterystyczną dokładnością.

Ale pani Rosetree rzadko zważała na słowa wymawiane przez sąsiada. Rozkoszowała się posiadaniem przez niego, jakkolwiek nieco bezbarwnymi dystynkcjami, które wciąż jeszcze opromieniały wysuszoną sylwetkę pułkownika.

Stojąc po swojej stronie nad grządką fotinii powiedziała ze szczególną tkliwością;

- Zawsze mi się te kwiaty wydają takie śliczne.

635

Chociaż nie w głowie jej były tego dnia głupie kwiaty.

- Nazywają się *oxalis* - wyjaśnił pułkownik. I szarmancko zerwał dla niej kwiatek.

Ale pani Rosetree nic nie mogło tego dnia ucieszyć.

- Jestem zupełnie wypompowana - oznajmiła. Nauczyła się tego wyrażenia od pułkownika. - Przyznam się panu, że zaraz położę się na trochę, żeby odpocząć, zanim dzieci przyjdą, bo mi nogi odpadają.

O tej porze wszystko w ogrodzie, w którym Shirl nigdy nie czuła się naprawdę swojsko, rozpływało się w zmierzchu, cegły domu kruszały i miękły. Wnętrze stawiało opór, lecz tylko dlatego, że pani Rosetree instynktownie utrzymywała w sztywnym napięciu pokoje, przynajmniej najważniejszą ich część, czyli pierwotną kojącą formę; mogłaby bez końca wędrować o zmroku przez tę własną odmianę zagraconych, wyścielonych miętko namiotów, dotykając, ilekroć dusza jej łaknęła pokrzepienia, materialnych zdobyczy, którymi wypełniła zbyt heroiczny pierwowzór.

Wlokła się teraz przez pokoje. Marszcząc brwi na myśl o mężu. Nie zawiadomi go o swym powrocie. Poczekaj, aż on wyjdzie z ciemności, żeby jej poszukać, żeby ją pocałować w dołek na policzku albo w kark pod włosami.

Nie mogła się rozchmurzyć. Znów ściągnęła brwi, tym razem na myśl o Marge, która uparcie patrzyła nie na nią, ale gdzieś w bok. Jakby umyślnie. Przez cały nudny seans.

Tak nachmurzona pani Rosetree doszła do łazienki. Nigdy nie była siebie pewna, nie ufała nawet własnemu oddechowi, toteż ustawicznie płukała usta.

Łazienka była oczywiście jaśniejsza niż pokoje z powodu luster i przezroczystych pastelowych plastików. Ale także bardziej krucha. I ciasna. Przy zamkniętych oknach człowiek mógł się tutaj udusić.

Nagle pani Rosetree dosłownie poczuła pętlę zaciskającą się na jej gardle. Krzyk rodził się w niej gdzieś bardzo głęboko, w samym źródle oddechu, rozsadzał jej piersi.

- Aaach! - krzyknęła.

I stłumiła resztę krzyku. Żeby wydobyć słowa, gdy tylko zdoła je odnaleźć w pamięci. Na razie jęczała z cicha:

- Ojojjoj!

Nad zapomnianą tkliwością. Ale wstyd ją przytłaczał. Walił się na nią całym ciężarem.

- *Du! Du!* - krzyczała wśród wyłożonych kafelkami ścian. - *Du verwies ter Mam ser!*¹

Biegła z powrotem przez pokoje, objając się o dobrze znane meble. Zwłaszcza jedno, najbardziej brutalne krzesło, uderzyło ją boleśnie w dół brzucha. Kopniakiem uwolniła się od miękkiego, pętającego jej nogi cienia czy może od peleryny z lisów.

Wypadła do ogrodu, pełnego zasadzek, zawsze znienawidzonego, jak teraz sobie uświadomiła, bo gałęzie szarpały ją za włosy, pajęczyny omotywały czoło, gdzieś z oddali poprzez gęste drzewa goniły ją głosy gojów śmiejących się nie wiedzieć z czego.

- *Hilfe! Hilfe! Hören Sie?! -* błagała histerycznie, zatrzymując się przed żywopłotem fotinii. - *Mein verrückter Mann hat sich...*¹

Chuda twarz pułkownika Livermore zdradzała zgorszenie wobec tego braku zimnej krwi. Pani Rosetree otrzeźwiała tak samo nagle, jak przedtem straciła rozum.

- Panie pułkowniku - powiedziała. - Jestem w okropnej rozpacz. Niech mi pan daruje. Mój mąż... Proszę, niech mi pan pomoże, niech pan ze mną tam pójdzie. Mój mąż się powiesił. W łazience. Na sznurze od szlafroka. Ty, ty! ... Ty zgniłku (niem.).

Na pomoc! Na pomoc! Czy pan słyszy? Mój zwariowany mąż się... (niem.).

- Tam do licha! - krzyknął pułkownik i zaczął się przedzierać przez fotinie. - W łazience!

Przez głowę pani Rosetree przemknęła myśl, że może to jest niedopuszczalny nietakt.

- Mąż był nerwowy, proszę pana. Chory. Ojoj! Nikt tu nie zawinił. Nikogo nie można oskarżać, jeżeli jest chory umysłowo. Co? Chyba tylko starego Żyda, który przyszedł w wieczór sederu. Szulamit wspomniała go. Ale ciemności obudziły ją, chłoszcząc po twarzy pękiem mokrych liści.

- *Nein!* - jęknęła z głębi piersi i dalej protestowała z głębokości, do których pułkownik nigdy nie sięgnął i których istnienia nawet nie podejrzewał. - Jest potęga zła, o której nam mówiono w dzieciństwie, och, dawno, dawno temu, ale zapomnieliśmy o niej, prowadząc nowoczesne życie, dopóki nam się nie przypomniała.

Pułkownik Livermore z ulgą pomyślał, że jego żona na szczęście wybrała się w odwiedziny do krewnych mieszkających w Vacluse i dzięki temu uniknęła tych wstrętnych przeżyć. On, który nie znosił niczyjego dotknięcia, czuł, jak pierścionki rozhisteryzowanej Żydówki wpijają się w suchą skórę jego dłoni. Szedł za nią, obojętny jak drzazga wbijana przemocą w wonne ciało ciemności.

Noc roiła się od owadów i dziwacznych myśli. Drewniana dusza Livermore'a skłonna była wytrwać do końca w biernym poddaniu, gdyby ceglane stopnie schodów, zgrzytnąwszy pod nogami pułkownika, nie zbudziły go z odrętwienia. Kobieta także odzyskała nagle rozsądek.

Obojgu teraz głowy zaciążyły tak, że idąc po schodach zderzali się ramionami i łokciami, omal nie przewracając się wzajemnie.

- Przepraszam pana - zaśmiała się pani Rosetree, ale kaszlem zdusiła zaraz śmiech.

Odmłodzona przez jakąś nie rozpoznaną siłę, czuła natrętną potrzebę ładu.

- Wobec nagłej śmierci w rodzinie wyłania się tyle praktycznych, drobnych konieczności - wyjaśniła. - Muszę zatelefonować do pana Theobaldsa. Niech natychmiast przyjdzie. To niezbędne. Życiowe. Mam dwoje dzieci. Muszę wiedzieć, jaka jest moja sytuacja.

Drobne konieczności piętrzyły się, a krew pulsowała w czubkach palców, lecz w końcu nie było powodu zwlekać dłużej i musieli wejść do domu człowieka, który się powiesił.

XVI

Leżąc nie widział w oknie nic prócz nieba i był z tego zadowolony.

Wokół ram nagie ściany, niegdyś białe, a dotychczas znośne, mimo że upstrzone przez muchy, nie kłóciły się z abstrakcją uwiecznioną za pełnymi skaz szybami. Zależnie od oświetlenia przybywało szczegółów: drobne, bezbarwne bąbelki pojawiały się gromadnie, znacząc łańcuchem kraterów krajobraz dotychczas jednolitego błękitu, który w dodatku wzdykał się różowawymi pagórkami i żłobił liliowymi kotlinami.

Czasem Alf musiał uzupełniać widok, nie wykończony jak należy przez autora. Jabłko Adama poruszało się z bezwiedną arogancją, kiedy obejmując wzrokiem kompozycję Alf dodawał z pamięci płaskie bryły czerwonej ziemi lub nikłą smugę jasnozielonych jak sałata liści należących do obrazu wybrzeża w Numburra. Tak Alf Dubbo spędzał całe dnie i czułby się szczęśliwy, gdyby nie bezwład fizyczny i gdyby nie świadomość, że będzie jeszcze musiał dopełnić obowiązku. Wówczas pastwił się nad kołdrą. Kołdra - własność pani Noonan - zmieniała się w szarpie we wszystkich miejscach, których dosięgły jego palce.

Alf Dubbo nie wrócił po świętach Wielkanocy do fabryki pana Rosetree. Gdyby nie inne tragiczne wydarzenia, może ktoś przyszedłby po niego, lecz w tych okolicznościach zostawiono go jego losowi i zapomniano o nim. Odpowiadało to życzeniom Alfa. Często dawniej porzucał pracę zarobkową, żeby malować. Ludzie z fabryki zrywaliby boki ze śmiechu, gdyby znali przyczynę. W każdym razie śmialiby się przez chwilę. Bo potem, odplunawszy flegmę, wróciliby oczywiście do swoich spraw i dalej kręciliby się w kołowrocie mechanicznej roboty. Ale tajemnica ściśle przestrzegana broniła go od śmieszności. Teraz zaś bardziej niż kiedykolwiek nawet ściany ciszy wydawały się podejrzane.

Leżał w łóżku zaledwie drugi dzień - przygotowując się do pracy, jak sobie tłumaczył, żeby uniknąć rozmyślenia

o swojej słabości - gdy ktoś zapukał. Alf zwałókł się z łóżka

i niechętnie uchylił drzwi.

Była to pani Noonan, właścicielka domu. Nigdy przedtem nie nachodziła lokatora. Uśmiechnął się do niej krzywo.

- Och! - powiedziała z uśmiechem; była rudawa i nieśmiała. - Przyszło mi do głowy, czy pan czasem nie chory. Bo mam właśnie gorącą herbatę - wyjaśniła. - Gdyby pan chciał, przyniosę, nie tak dawno zaparzona.

Łuski powiek drgały na jej oczach jak u żółtej kwoki.

- Nie - odparł brutalnie.

- No, skoro tak... - powiedziała pani Noonan, mrugając i uśmiechając się ciągle.

Kiedy wchłonęły ją ciemności hallu, Alf wybiegł na podest schodów i przechyliwszy się przez poręcz, zawołał:

- Rzuciłem robotę w fabryce. Mam teraz inne zajęcie. Na kilka dni.

Proszę mnie nie niepokoić.

- Aha! - dobiegł z dołu jej głos. - Pilna robota.

Po głosie poznawał, że wargi pani Noonan wciąż drgają w uśmiechu.

- Dziękuję! - zawołał dość twardo, jakby sobie dopiero teraz przypomniał, że wypada podziękować.

Ale gospodyni już, zdaje się, odeszła. Strapiony tym przypuszczeniem, Alf Dubbo chwilę stał samotnie u szczytu schodów, a potem wrócił do swego pokoju. Przysiadł na tapczanie. Nie zaraz położył się. Teraz i przez kilka następnych dni widział wciąż w wyobraźni uśmiezek pani Noonan. Rankiem piątego dnia ogarnęła go tak głęboka melancholia, kiszki tak skręcały się z głodu, sytuacja zdawała się tak niepewna, że Alf wstał wreszcie i wyszedł na ulicę. W mleczarni u Sycylijczyka wypił kwaterkę mleka, kupił dwa funty pomidorów i kawałek boczku. Łagodne, prawie jesienne światło uprościło architekturę Barranugli tak bardzo, że nie można było nie dostrzec jej celowości. Twarze ludzi na ulicach zdawały się wszystkimi porami na coś oczekiwać.

Alf Dubbo zobaczył to i zrozumiał, że nie może dłużej zwlekać. Gdy wracał w stronę domu pani Noonan, duch jego wyprzedzał ciało, a tymczasem zimna dłoń z wolna przesuwiała się po wyźłobieniach poręczy, która znaczyła etapy wspinaczki schodami w górę.

Kiedy wszedł, pusty pokój pełen był intensywnie żółtego światła. Brunatny platan rosnący na dziedzińcu strząsał plamy zieleni z płaskich bukietów liści. Szyba w szoferce ciężarówki lśniła blaskiem. Tyle pomocy doznawanej zewsząd ukoilo oczy Alfa. Zaczął się przygotowywać ze zwykłą swoją drobiazgowością. Oczyszczył i tak już czyste pędzle. Nadgryzł pomidora i złoty sok pociekł mu aż na brodę. Zjadł kilka plasterków boczku, żując je w zębach, które zachował zdrowe i mocne, a skórki połknął.

Potem dopiero przyniósł pierwsze z dwóch płócien, kupionych przezornie już przed paru miesiącami. Czysta powierzchnia płótna, bardziej onieśmielająca niż dykta lub płyta masoni-tu, których zazwyczaj używał, już go teraz nie przerażała.

Bez pośpiechu przygotował powierzchnię, z przyjemnością wdychając zapach szelaku, którym namaszczał bezbarwną pustkę, zastanawiając się nad proporcjami obrazu, który zamierzał namalować. Proporcje te ukazały mu się nagle tak przekonujące, tak niewzruszenie trafne, jakby istniały już od wielu lat w jego umyśle. Pod płytką warstwą wątpliwości, a także w ostatnich dniach fizycznego roztargnienia, struktura została ustalona. Teraz palce jego były, mocne jak stal i zdumiewające. Ale zdumiewające nie dla niego, oczywiście. Jego już nic nie dziwiło. Wiedział. Od początku wiedział.

Alf Dubbo nie liczył, ile dni przepracował. Sam akt twórczy niweczył sztuczny podział wytworzony przez czas i przyzwyczajenie. Wiry emocji czyhały, żeby go wciągnąć w kipiele błękitu i czerwieni poprzez długi lej najbardziej jadowitej zieleni, lecz Alf Dubbo uparcie trzymał się struktury swego obrazu i dzięki temu obronił się od katastrofy. Kiedy wychynął zza barykad płaszczyzn i zza kurtyny faktury, odważył się dotknąć ran martwego Chrystusa z miłością, jakiej nigdy nie śmiał wyrazić w życiu, wtedy zaś krew bluznęła z jego własnych ust, a rany na płótnie nabrały blasku i zadrgały jego własnym, żywym przeświadczeniem.

Potem odpoczywał czas jakiś. Mógłby się dać ponieść każdej z wielu fal znużenia. Ale klujące powieki odmawiały mu takiego błogiego spoczynku.

Pod wieczór wstał, zanurzył twarz w miednicy, a potem otrząsnął wodę z oczu i znów wewnętrzny przymus kazał mu wrócić do pracy, żeby wyrazić miłość, której był świadkiem i która, jak zawsze w głębi duszy wiedział, na pewno istnieje. Dotknął policzka pierwszej Marii tak, jak ona dotknęła zwiniętą chusteczką jego ust, ocierając z nich krew, gdy leżał owego wieczora na linoleum w kuchni pani Khalil. Jej ramiona, które zdawały się mocne jak kamień i miały

nieodłączną lekką chropowatość kamienia, pokryte były zielonymi znakami posiniaczonego ciała. Malując zaciskał nozdrza, by nie czuć zapachu mleka, który go łagodnie upajał, bo z piersi wiekuistej kobiety tryskało mleko, płynące z nie wysychającego nigdy źródła. Gdyby znał obfitość, może by ją umiał pogodzić z miłosierdziem. Ale brzydził się bogactwa ciała, więc zaczął je poskramiać. Skrobał farbę, żeby ją zubożyć. Usiłował przypomnieć sobie przetarte szwy płaszcza, obrąbek spódnicy, kurz na grubych pantoflach, dokładny kształt grubego wałka ciała nad paskiem, kiedy wychyliła się z krzesła, ocierając jego wargi. Może udało mu się osiągnąć jakiś cel, bo uśmiechnął się do wizji Matki Chrystusowej, czekającej, by okryć białym prześcieradłem martwego syna; ale zaraz potem odszedł w głąb pokoju i zatrzymał się tam blady, oblany potem. Zląkł się, że nie zdoła dłużej pracować.

Od czasu do czasu ogarniał go ten strach. Wychodził na miasto. Kupował jedzenie, niekiedy jadł, stojąc na rogu ulicy i rozdzierając kadłub kurczaka, nabytego w sklepie z delikatesami i pozbawionego smaku, albo w roztargnieniu łykając drobne różowawe ziarenka prażonej kukurydzy. Mężczyźni i kobiety mijali go, pchając taczki własnego ciężkiego żywota. Niemal zawsze opuszczał swój pokój, kiedy gasło światło dnia. Nocą ulice wzorowego miasta pustoszały, występki kryły się w murach, zostawała tylko pustka i migotanie neonów. Idąc na miękkich podszwach pod zamkniętą w neonowych rurach ektoplazmą samotny tubylec wyglądał tak, jakby uciekał z miejsca zbrodni, której gorączka tliła się jeszcze w jego oczach i odbijała blaskiem w szybach wystaw. Ta gorączka gnała go naprzód i mijał trybunały światła, gdzie sędziowie mieli za chwilę zasiąść na rozjarzonych ławach, i ciemne piwnice, w których plastikowe paprocie wędły na szarych marmurowych płytach. Aż dotarł do

ciemności zewnętrznych, ostatnich paręset kroków idąc po żużlu, który był może osadem wszystkich nocnych myśli dręczących wiecznie ludzkie umysły.

Po takiej nocy i po spóźnionym świcie zabrał się do wizerunku drugiej kobiety, której szkielet kulił się, a raczej tulił pod drzewem. Przedtem spróbowałby może wcielić ludzką rozpacz w ręce przygotowujące się do podtrzymania stóp Zbawiciela. Odkąd jednak otarł się o płaszcz ciemności, w mózgu jego rozbłysły drobne świetliste skry. Zaczął malować obłąkaną kobietę z Xanadu, nie taką, jaką zobaczył pod zasłoną liści przy drodze, lecz taką, jaką poznał w krótkim momencie porozumienia, gdy przeniknął tę dziwną duszę nagle i subtelnie jak światło. Namalował jej ręce na podobieństwo wygiętych, kosmatych lasek paproci. Namalował drugą Marię zwiniętą niby prążkowany opos w przezroczystej macicznej błonie z sennej wizji albo może w środku spirali ledwie wyczuwalnego wiatru. Gdy pracował, pamięć odtwarzała w jego wyobraźni ufne pozy wielu nieświadomych zwierząt u wodopoju albo drapiących czy też gryzących własną sierść, tarzających się w trawie i grzejących w słońcu. Ale dziwny trochę uśmiech na wargach rudej niby lis kobiety malował wspominając pewien kwiat, który kiedyś nagle, nieoczekiwanie rozkwitł na jego oczach. Ta własna wersja Drugiej Służebnicy Pańskiej pochlebiała jego próżności. Chociaż ryzykował, że ją zepsuje, poprawiał bez końca, szczelniej zamykając nastroszoną istotę w niemal zanadto doskonałym kształcie, w uwidocznionym wirze wiatru. Przykra dla oka, mimo zwierzęcej substancji promieniała światłem instynktu. W przezroczystym wnętrzu kokonu uwitym z wirującego, zapłodnionego powietrza.

Alf Dubbo uzupełnił obraz mnóstwem szczegółów zarówno dla własnej przyjemności jak dla zaspokojenia wymagań kompozycji. Namalował kwiaty, wojowniczy ich

zastęp, dzidy i szable, a także inne odmiany, łagodniejsze, kojące i miłe w dotknięciu dla rozpalonej skóry. Namalował dzieci Godboldów, tak jak je widział: jedne stały, zdrętwiałe ze zgrozy, przerażone koszmarem, wobec którego znalazły się na jawie, inne leżały skulone, śniąc o innym świecie. Namalował też robotników uzbrojonych w swoje prawa i zwątpienia wśród pomarańcz. Namalował stratowany na ziemi błękit żakarandy, a także błękit przeświecający spomiędzy jej gałęzi i na gałęziach parę ptaków - cichy komentarz zdarzenia.

Chrystusem był oczywiście sponiewierany Żyd z Sarsapa-rilli, robotnik z fabryki pana Rosetree. Ten Chrystus doświadczył innych wcieleń, a także chorób ciała i ducha, którym są podlegli ludzie. Jeśli Alf Dubbo namalował Chrystusa o skórze ciemniejszej, niż pozwala konwencja, zrobił to dlatego, że nie mógł oprzeć się wewnętrznemu przymusowi. Wiele rzeczy w obrazie pominął, lecz ich brak miał swoją wymowę. Można by powiedzieć, że świadek wpisał hieroglify własnego strachu w płaską, niemal nikłą postać z eliptycznymi ustami i rozszczepioną płócienną twarzą Żyda-Chrystusa.

Malarz miał wrażenie, że nigdy nie dokona ostatniego pociągnięcia, lecz w pewnej chwili odrzucił pędzel w kąt pokoju. Zawlókł się do łóżka i wsunął pod kołdrę w ubraniu. Leżał tak przywalony ciężką płytą snów i wychylał się spod niej jedynie na krótkie spacerunki brzegiem rzeki w towarzystwie pastora Calderona. Ale odsuwał się od niego, bo Timothy Calderon bełkotał coś o węgorzach i o grzechach zbyt śliskich, żeby można je było pochwycić. W końcu więc porozumiewali się tylko z daleka gestem ramion. Oddzieleni jak gdyby ogromną przezroczystą bezgrzesznością poranka dawali sobie znaki machając rękami. Wesołe papugi fruwały wkoło, ale rozbawionymi dziobami nie umiały wymówić

„Dziesteś-Alf", więc wdzierały się do wnętrza jego piersi i trzepocząc się w klatce żeber dziobały wnętrzności.

Obudził się na pół przestraszony, na pół rozśmieszony. Była noc, nie czuł pod sobą trawy, tylko łóżko, w które wciskał się całym ciałem, usiłując dla większego bezpieczeństwa poszerzyć zagłębienie. Nie mógł jednak ułożyć się wygodnie i dygotał konwulsyjnie, stwierdzając z lękiem, że właściwie wcale się nie zmienił od lat chłopięcych. Tylko jego wizje rozrosły się i przewyciężył pewne techniczne trudności związane z ich utrwalaniem.

Po namalowaniu *Zdjęcia % krtg*a Alf Dubbo czuł się wypruty z sił. Miał wrażenie, że w jego żyłach zamiast krwi płynie woda, lecz krwotok, który go wówczas nawiedził, przypominał mu prawdę. Alf nie miał apetytu, zmuszał się jednak do jedzenia, ponieważ chciał być gotowy na powrót natchnienia. Tymczasem leżał i ssał kostki palców. Albo przyciskał łokcie do żeber. Był bardzo osłabiony, resztki sił budziły się w nim tylko wtedy, gdy jakieś połączenie światła i kolorów w oknie, w nieustannie zmiennej, lecz nieskończonej abstrakcji nieba, podniecało jego wyobraźnię.

Wreszcie pewnego żółtego poranka w początkach lata, gdy czarne kreski między deskami podłogi zdawały się na niego wskazywać, a szyby nie mogły chwilowo pomieścić blasku, Alf Dubbo zaczął żałować dużego szkicu, który mu skradziono w mieszkaniu przy Abercrombie Crescent. Był już teraz fizycznie niezdolny do nienawiści, umiał za to zastanawiać się nad sprawami, których dotychczas nie dotykał myślą. Tak więc rozpamiętywał na przykład twarz Hum-phreya Mortimera z takim samym zainteresowaniem, z jakim obserwowałby żerujące czerwie albo poleć świeżej słoniny. Wszystko w gruncie rzeczy stało się źródłem podziwu, a może nawet miłości. Najbardziej cudowny był głos Żyda,

doskonalszy jeszcze przy akompaniamencie szumu wody w zbiorniku i szelestu kapiących z kranu kropeł:

I widziałem, a oto wiatr gwałtowny nadciągnął od północy i obłok wielki, i ogień skłębiony, a jasność wokoło niego, a spośród niego wygląd jakby mosiądzu, to jest spośród ognia...

Czarny człowiek przewracał się na łóżku, gryząc kostki dłoni. Okno go oślepiało wizją Czterech Istot Żyjących, ukształtowanych na podobieństwo człowieka.

Tak samo jak słyszał głos Żyda, widział swój szkic Ognistego Wozu. Mógłby go odtworzyć w każdym szczególe, cal po calu, nigdy bowiem nie zapominał miejsc, w których był chociaż raz. Problem polegał wyłącznie na braku sił fizycznych. Wątpił, czy zdoła jeszcze malować. Przez całą noc nękały go skrzydła czterech postaci. Pióra muskały jego powieki. Mógł ich dosięgnąć ręką i dotknąć, by poznać fakturę. Ale zbudził się przerażony ze snu, w którym zobaczył siebie samego w skórze trupa. Zwisiała, lekko zapadnięta nad jego łóżkiem, można by pomyśleć, że dla ochrony, gdyby nie zimny pot spływający z niej kropliście.

Leżał bezsennie przez cały czas przedświt. Potem, gdy wzeszło słońce, wstał i podszedł do okna; odrobina rozżarzonego na nowo ognia rozplynęła się po jego martwiejących żyłach. Palce odzyskały władzę i Alf zaczął na szybie kreślić linie, nie tamtego utraconego szkicu, lecz wizji, która mu się teraz ukazała.

Okolo siódmej zrobił sobie herbatę. Zjadł kromkę czerstwego chleba z jęczmiejącym już masłem. Ale to śniadanie pokrzepiło go. Czuł się kruchy, lecz rześki. Natychmiast zaczął wskrzeszać koncepcję Wozu. Rysunek, zbyt pospiesznie może naszkicowany, bez trudu, niemal z dokładnością odbitki przekazał z pamięci na papier. Miał go już przed

oczyma. Wiedział, że teraz, wbrew wszelkim przeszkodom, namaluje obraz Wozu tak, jak od początku zamierzał.

Przez dwa następne dni jego gesty władały ciałem, chociaż duch czuwał niejako, unosząc się nad nim, surowy, drapieżny, gotów odmówić współpracy w razie odstępstwa od prawdy. Znow więc stworzony został firmament. Najpierw fundamenty z mocnego, bardzo głębokiego błękitu, a na nich gmach ze złota. Droga przebiegała skośnie, okrutnie stroma, niedostępna, chyba że dla koni o najpewniejszych nogach. Jabłkowite siwki przypominały miejscowe dzikie konie, kudłate, trochę zbyt prostackie; można by je określić przymiotnikiem: przyziemne, gdyby grzywy i ogony nie rozwiewały się nieprawdopodobnie, gdyby kłębom chmur rozstępującym się przed nimi nie groziło lada chwila zaczepienie o skały niebiańskiego złota.

Obraz miał osobliwą właściwość. Oglądany pod pewnym kątem ukazywał odwrócenie stosunku między nieruchomością a ruchem, jak gdyby brzegi rzeki płynęły wzdłuż zatrzymanej taśmy wody. Efekt ten podobał się malarzowi, który go osiągnął w mniejszym lub większym stopniu przypadkowo, dzięki odkryciu dokonanemu przed laty, gdy leżał w rynsztoku. Uwydatnił więc złudzenie, które było jednocześnie prawdą i którego mniej śmiały człowiek może się pozbyć, po prostu zmieniając pozę.

Pogoda sprzyjała malarzowi. Dni upływały w ustalonej, żółtej ciszy. Trzeszczący głos świerszczy nie był hałasem, lecz grubą, jednolitą, żółtą kurtyną, rozpiętą dla ochrony jego wyczulonych zmysłów. Wszystkie inne głosy jak gdyby zbiły się w kulę pośrodku miasta, gdy Alf Dubbo w swym pokoju przenosił błyszczącą w jego wyobraźni wizję na płótno albo, pokonany zmęczeniem, siadał na brzegu skrzypiącego krzesła, wychylony naprzód, żeby nie stracić nic z tego, co działo się w stworzonym przez niego świecie.

Jeśli w czymś dopuścił się pewnego oszustwa, to w obrazie samego Wozu. Podobnie jak nie śmiał całkowicie jasno wyobrazić ciała Chrystusa, formę Wozu zatarł wstydliwie. Lecz właśnie ten niepewny kształt dodał mu blasku i Wóz zdawał się błyskawicą przesywającą niebo lub może duszę widza. Portrety Czterech Istot Żyjących przedstawiały oczywiście inny problem. Przed ich odtworzeniem malarz się nie wzdragał. Wziął się do pracy pilnie, rzeźbiąc ich wizerunki w grubej farbie. Jedna postać zdawała się wykuta z marmuru, masywna, biała, nietykalna. Druga była uwita z drutu z gwiazdą we wnętrzu klatki, w kolczastej koronie. Wiatr jeżył szorstką, rudą sierść trzeciej, spłaszczając świński ryj, lecz oczy były ludzkie i odzwierciedlały wszystko, co się działo dokoła. Czwarta była spleciona z krwawiących gałęzi pokrytych plamami liści, a głowę jej zastępowała skłębiona tęcza. Cztery Istoty siedziały w Wozie zwrócone twarzami ku sobie wzajem, a dusze opromieniały ich ciała różnobarwnym światłem. Dłonie, które Alf namalował otwarte, już się pozbyły cierpień, lecz jeszcze nie otrzymały szczęśliwości. Tak Cztery Istoty mknęły w Wozie po stromej drodze ku lewemu górnemu kątowni obrazu. A w dolnym prawym rogu malarz podpisał się czystymi czerwonymi literami, tak jak go nauczyła pani Pask:

A. Dubbo

I pociągnął pod podpisem kreskę. Gdy skończył, był znowu wieczór. Światło zatapiało pokój i oślepiłoby Alfa, gdyby przetrwała w nim wola widzenia. Sztywno usiadł na łóżku. Ostry ból wypełniał odcieniem szkarłatu ograniczoną przestrzeń pokoju i przelał się przez jej brzegi. Obryzgał mu ręce krwią. Alf musiał zauważyć, że ma ręce wyzłocone własnym złotem.

649

Pani Noonan czuła się obca w domu, który był przedtem i w gruncie rzeczy na zawsze pozostał domem jej teściowej, toteż chodziła po nim na palcach w swoim lichym kapeluszu, trzymała się jak najbliżej ścian, drżąc przed krytycznym spojrzeniem, i stale się uśmiechała. Nie miała przyjaciół, tylko znajomych; pewnego ekspedytora i jego żonę, których rzadko ośmielała się niepokoić wizytami. W samotności wypijała niezliczone filiżanki herbaty. Kochała swoje kury. Przywiązywała wagę do obecności sublokatora, przyzwoitego człowieka, którego nie widywała.

Wreszcie pewnego dnia, wycierając kurze z boazerii na podeście schodów, poczuła dziwny i zagadkowy zapach ciągnący spod drzwi pokoju, który wynajmowała sublokatorowi. Zapach był tak szczególny czy może wręcz wstrętny, że zdecydowała się zawołać:

- Proszę pana!

I zapukała w drzwi raz, potem drugi. W końcu nawet szarpnęła klamkę, chociaż nieśmiało, bo nie mogła wynajętego pokoju uważać za część domu teściowej czy też własnego.

- Proszę pana! Proszę pana! - Kołatała, uśmiechała się, wyteżęła słuch. - Czy tam coś się stało? To ja, pani Noonan. To ja, pani Noonan - powtarzała, ale coraz ciszej.

Chciała może w ten sposób dodać sobie otuchy, ale nie przekonana dźwiękiem własnego nazwiska, odeszła w rozterce, nie mogąc rozstrzygnąć, czy ośmieli się zwrócić do znajomych o radę, czy nie. Ostatecznie włożyła lepszy kapelusz i pantofle, wyszła z domu i o parę bloków dalej zadzwoniła do drzwi, na których spostrzegła tabliczkę lekarza.

Młody doktor, zajęty właśnie lekturą kryminalnej powieści i drapaniem się w pachwinie, przerwał niechętnie te zajęcia, lecz ucieszył się, że sąsiadka prosi go o poradę, bo już miał kłopoty z przekroczonym kredytem u rzeźnika.

- Jaki zapach? - spytał.

Pani Noonan zatrzepotała powiekami.

- Nie wiem - powiedziała z uśmiechem. - Dziwny. Odetchnęła z ulgą, gdy lekarz wziął swoją walizeczkę,

i czuła się ważną osobą, gdy kroczyła niezupełnie u jego boku, lecz dość blisko, by zaznaczyć, że jest z nim chwilowo związana jakąś wspólną sprawą. Było jeszcze gorąco i z trudem brnęli przez ulicę w ciężkim, żółtym blasku słonecznym, który pomógł Alfowi w malowaniu obrazu.

- Czy zdradzał przygnębienie? - spytał lekarz.

- O nie! - odparła. - Nic takiego nie było po nim widać. Ale był bardzo cichy. Zawsze był cichy.

- Chory?

- Czy ja wiem - zawahała się pani Noonan. A po chwili namysłu wybuchnęła ze zdumieniem: - Tak. Był chory. Ten czarny człowiek musiał być na pewno chory. Może to właśnie to. Może umarł.

Własny głos opuścił ją i pozostawił straszliwie samotną pośrodku ulicy, bo lekarz był istotą wyższą, nie zwykłym człowiekiem. Szli dalej, a pani Noonan starała się myśleć o swoich kurach, skoro czarny lokator wyniósł się z tego świata.

Kiedy znaleźli się pod drzwiami pokoju, lekarz poprosił o klucz, ale gospodyni nie miała drugiego klucza, a doktor nie proponował już innych sposobów, po prostu pchnął mocno cienkie drzwi i wyważył je z zawiasów.

Weszli z rozpędu, dość szybko, lecz trupi smród odepchnął ich natychmiast.

Doktor burknął coś pod nosem i otworzył okno.

- Jak dawno widziała go pani po raz ostatni?

- Ze trzy dni temu - odpowiedziała spoza przytkniętej do nosa chusteczki i uśmiechnęła się jak zawsze.

Alf Dubbo leżał na łóżku. Skulony, lecz w pozie naturalnej, trochę jak zwierzę albo ptak, który zrozumiał konieczność

ność śmierci. Na poduszce jednak i na rękach było dużo krwi, już teraz zakrzepłej, więc wyglądało to tak, jakby Alf leżał pośrodku kałuży ze sztucznej masy, tylko naśladowującej krew.

Lekarz, pokonując wstręt, obejrzał ciało.

- Czy nie żyje? - pytała pani Noonan. - Co, panie doktorze? Nie żyje? - I sama sobie odpowiedziała: - Nie żyje.

- Prawdopodobnie krwotok gruźliczy z płuc - szepnął lekarz.

Odetchnął głośno, dając w ten sposób wyraz dezaprobacie.

- Oo! - powiedziała pani Noonan. Nagle spostrzegła obrazy i osłupiała.

- Co pan na to, panie doktorze? - spytała i roześmiała się albo może zakrztusiła pod przyciśniętą do ust chusteczką.

Doktor zerknął przez ramię, lecz zmarszczył brwi tylko odruchowo. Nie zamierzał z pewnością przyglądać się malowidłom.

Gdy skończył swe czynności, udzielił niezbędnych wskazówek tej niegodnej uwagi osobie, jaką była gospodyni, i trzasnął drzwiami, opuszczając dom. Pani Noonan zaczęła się zbierać do wyjścia, żeby wezwać na pomoc znajomych, ekspedytora i jego małżonkę. Ale przedtem raz jeszcze spojrzała na martwe ciało i dom bardziej niż kiedykolwiek stał jej się obcy.

Zwłoki Alfa pochowano szybko i bez kłopotu. Zostawił dostateczną sumę pieniędzy - znaleziono ją w puszcze po mleku skondensowanym - żeby pokryć koszty pogrzebu i zapłacić należność gospodyni, toteż nikt nie mógł mieć do niego pretensji. Gorzej było z duchem Alfa: olejne obrazy stały się dla pani Noonan źródłem kłopotów. W końcu uczynny ekspedytor doradził wystawić je na licytację i za opłatą przewiózł płótna, gdzie należało; na sali licytacyjnej ktoś je nabył za kilka szylingów, a wśród publiczności

wzbudziły wesołość. Pani Noonan odetchnęła, lecz niekiedy myślała o nich, ciekawa ich dalszych losów.

Nie mogli jej poinformować w tej sprawie nawet zarządzający salą licytacyjną, bo wkrótce potem księgi ich spaliły się podczas pożaru. W każdym razie obrazy zniknęły, a jeśli ich nie zniszczono, gdy przestały bawić nabywcę, znajdują się po dziś dzień w niewiadomym miejscu.

XVII

Zaczęto burzyć Xanadu. Robotnicy przystąpili do rozbiórki i dom robił wrażenie, jakby niemal całe jego tajemne życie wystawiono na pokaz. Równocześnie wyglądało to jak scena przygotowana do widowiska kary boskiej; ale że drzwi w rozdartych ścianach pokojów pozostały zamknięte, aktorzy nie mogli się zjawić. Oczywiście, można by to wytłumaczyć tym, że kara już była w pełni wymierzona, przedstawienie skończone, a na scenie już tylko szeleściły strzępy tapet i wróble gnieździły się pod gzymsem. Mimo to zaciekawieni ludzie przychodzili z Sarsaparilli, żeby popatrzeć; zbierali odwagę, spodziewając się lada chwila usłyszeć krzyk tragedii, przechadzali się, szukając w trawie drobnych pamiątek, jakiegoś paciorka z nefrytu, klamerki z koralu czy też spłowiałej i żółkłej starej fotografii.

Nic więcej znaleźć nie mogli, ponieważ meble wywieziono natychmiast, gdy zapadła decyzja rozbiórki domu i parcelacji terenu. Kierowali sprawą adwokaci. Zjawił się na miejscu młody mężczyzna w czarnym ubraniu w towarzystwie drugiego, starszego i mniej wytwornego. Oni to sporządzili inwentarz i byli obecni, kiedy zajechały wozy meblowe; mieli nad wszystkim nadzór w imieniu dziedzica i krewnego poprzedniej właścicielki, pana Clegha z wyspy Jersey, ze

Zjednoczonego Królestwa. Całą sprawę załatwiono listownie, bo szczęśliwy spadkobierca ze względu na podeszły wiek nie mógł podjąć tak dalekiej podróży - którą zresztą raz już w swym życiu odbył - a majątek interesował go teraz jedynie teoretycznie. Tak więc wywieziono w końcu z Xanadu malachitowe wazy, podobnie jak kulawe meble z cedrowego drewna oraz inkrustowany stół z poodrywającymi mosiężnymi okuciami. Niektórzy mieszkańcy Sarsaparilli, powołując się na miarodajne informacje, twierdzili, że te rzeczy sprzedano za drogie pieniądze, inni natomiast mieli pewne wiadomości, że wszystko razem nic nie było warte.

Najdziwniejszy wydawał się fakt, że stara właścicielka nie omieszkała zasięgnąć porady prawników. Okazało się, że wkrótce po zgonie swej matki wezwała doradców i sporządziła testament, w którym pod wpływem jakiegoś przeblysku wspomnień zapisała Xanadu swojemu kuzynowi Eustachemu. Nawet osoby z natury niezdolne do zrozumienia pobudek rządzących bliźnimi nie mogły tego zapisu uznać za zwykły zwrot majątku rodzinie, bo bliższymi krewnymi panny Hare byli liczni żyjący Urquhart-Smithowie.

Wyglądało na to, że Mary Hare świadomie dokonała wyboru. Kobieta, która czaiła się wśród zarośli, często umykała sprzed oczu obcych ludzi, a stając w oknie zasłaniała pół twarzy łachmanem firanki; która błędziła bez celu po korytarzach i pokojach swego wspaniałego domu w Xanadu; która była co najwyżej zwierzęciem, co najmniej liściem; kobieta ta zawsze dokonywała wyboru - jak teraz dopiero zrozumieli ludzie - i po raz ostatni zrobiła to, gdy nocą po pożarze domu Żyda postanowiła odejść z Sarsaparilli, gdzie już jej odtąd nikt nigdy nie zobaczył.

Było trochę alarmu i krzyku, na łamach gazet publikowano różne przypuszczenia, usiłowano rozpoznać Marię Hare w dwóch topielicach, z których jedną wyłowiono z rzeki

w Nowej Południowej Walii, a drugą z morza na wybrzeżu Queensland. Oba ciała były zniekształcone nie do rozpoznania. Na mocy jednak zawilego niejasnego dowodu uznano, że panna Hare wpadła w zimne wody południowej rzeki i została przez pstrągi przeobrażona w bezimienny szczątek ludzki. Tak więc brzmiało oficjalne orzeczenie. Ale pewne osoby wiedziały, że to nie była Maria Hare. Wiedziała pani Godbold. Wiedziało kilka jej córek. Wprawdzie nigdy na ten temat nie dyskutowały, lecz wiedziały, że panna Hare jest gdzieś bliżej, że nigdy by tych okolic nie opuściła; nawet jeśli odeszło stąd jej biedne, kalekie, podległe rozkładowi ciało, duch na dłużej nie rozstał się z tym miejscem. Córki pani Godbold odgarniały włosy sprzed oczu, mrużyły powieki w słońcu i milkły, ilekroć w ich obecności sąsiedzi z Sarsaparilli poruszali w rozmowie sprawę panny Hare.

Coś z tajemnicy przetrwało, chociaż dom w Xanadu stał się podobny do przełamane go plastra, z którego miód tajemnicy wyciekał szybko. Ludzie nasłuchiwali z daleka następnego łoskotu walących się murów albo podchodzili bliżej, by popatrzeć na wymyślny miedziany piec do grzania wody w łazience, ale stojąc niżej nie mogli zobaczyć włoskiej mozaikowej posadzki, z której czas i ręce pani Jolley usunęły medalion przedstawiający czarną kozę.

Niekiedy zamiast aktorów na jednym z wielu planów pustej sceny zjawiali się robotnicy i grali swoje role na tle zblakłych kolorów dekoracji ku uciesze nielicznej, lecz wdzięcznej publiczności. Widzowie brali bezpośredni udział w sztuce, ponieważ wszyscy robotnicy rekrutowali się spośród miejscowych ludzi i nieraz między widownią a sceną wymieniano nie tylko słowa, lecz także uczucia. Wskutek tego akt profanacji stawał się bardziej brutalny i osobisty w niszczyielskim nastroju powszedniości.

Tak właśnie pewnego dnia kilka pań z Sarsaparilli, gromadka dzieci i paru nie ogolonych emerytów pękało ze

śmiechu, gdy młody chłopak - dowcipniś znany w swojej paczce - stojąc na podeście schodów i trzymając szczyłek starego wachlarza, który mu się nawinął pod rękę, zaimprovizował w sennym blasku, przesianym przez liście i padającym na brunatne zakurzone tapety, dziwny taniec ku czci domu i jego dziejów. Skąd młody robotnik zaczerpnął pomysł, żeby za pomocą wyskubanego wachlarza wyczarować wizję wielkich strzelistych sklepień - nikt nie rozumiał, a sam artysta nie zdawał sobie sprawy, że mimo grymasów, jakie stroił, i mimo całej łobuzerskiej bezczelności gestów, odtworzył grzechoczący taniec śmierci. Młody człowiek tańczył. Widzowie w ruchach jego smukłych ud wyczuwali bezwstyd życia triumfującego na gruzach martwego domu. Niewinny poranek nie zaćmił się nad tą zelżywą pantomimą. Ludzie wrzeszczeli, lecz z zachwytu. Dopiero na zakończenie wystrzępiony wachlarz rozsypał się nagle w rękę tancerza, kłębki piór frunęły niby szaroróżowe pasma dymu, a chłopak znieruchomiał patrząc na kilka szylkretowych patyków, które zostały mu w garści.

Zawstydził się i natychmiast zszedł ze sceny, zamykając starannie za sobą drzwi. Widzowie rozeszli się zmieszani.

Xanadu wprawdzie nie runęło nagle, lecz ciągle rozsypywało się po trosze. Wiezorami po odejściu robotników, kiedy po długich godzinach złotego blasku nadciągał zimny szafirowy mrok, zjawiały się inne postacie. Zakochani przychodzili parami, które unikały się wzajemnie, bez trudu zresztą, bo starczyło ciszy dla wszystkich, a trawy, splatając się łukiem nad leżącymi, tworzyły dla nich świat zamknięty i tak odległy, jak Peru lub Chiny.

Elsie Godbold przechadzała się tutaj za swoim chłopcem Bobem Tannerem. Tych dwoje, którzy poznali życie, marszczyło brwi natykając się na dowody ignorancji, omijało przeszkody w dość wyboistym terenie i kroczyło uroczyście.

Splatali z sobą małe palce, kołysali ramionami, lecz spacerowali poważnie i snuli plany na przyszłość. Jak gdyby mieli nad nią władzę. Kiedyś Elsie schyliła się i podniosła strzęp papieru, jakby kartkę ze starej książki, lecz ręczne pismo świadczyło o delikatności ręki i wykształceniu autorki; młodzi zadali sobie trud odczytania przynajmniej urywków, siedząc pod krzakiem bzu.

20 lipiec... upał dokuczliwy, gdy wyjeżdżaliśmy z Florencji do Fiesole, do willi signory Grand, znajomej Lucy Urquhart--Smith. Mam nadzieję, że tam Życie będzie %onośniejs%e> chociaż signora G. uprzedziła nas, że nader kosztowne. Oplukałam twarz i włożyłam rezedową jedwabną suknię. Czuję się dużo lepiej.

Norbert niestrudzony. Włochy są jego duchową ojczyzną. Parę wieczorów temu z^{ac} K[^] P^{sa}ć długi poemat na temat Fra Angelico. Wątpię, czy stan zdrowia pozwoli mu doprowadzić zamiar do całkowicie zadowolającego końca. Oliwa przyprawia biedaka o stałą niestrawność. Teraz, gdy mieszkamy w osobnej willi, postaram się Znaleźć jakąś rozsądną kobietę, która będzie umiała smażyć baranie kotlety dla niego. Córeczka jest nieszczęśliwa. To zagadka dla mnie, ta mala. Mówi, że chciałaby być patykiem! Czgsto rozmyślam, jak M. przystosuje się do życia. Jest taka nieładna! Nie chce też nauczyć się sztuki rozmowy. Jej wypowiedzi zamykają partnerom usta. Nie da się zaprzeczyć, że uwagi, które wypowiada M., zawierają zwykle prawdę. Obawiam się jednak, że świat nie lubi prawdy przynajmniej w tak dosadnej formie. Człowiek, który duszkiem wypija czystą whisky, szybko staje się nietowarzyski. Jak nam wiadomo z osobistego doświadczenia.

21 lipiec. Norbert uparł się wrócić na jeden dzień do Florencji. Zwiedziliśmy San Marco, Santa Maria del Carmina, Santa Maria
657

Novella, Santo Spirito itd., itd. Zmęczenie okropne. Dolegliwości wątroby.

26 lipiec. Nie pisałam od czwartku. Zbyt zgnębiona. W czwartek wieczorem Norbert przebrał miarkę. Groził, że przetnie s^ob?e Żyły- Ostatecznie tego nie zrobił, ponieważ jak twierdzi, ucieszyłby w ten sposób Urauhart-Smithów.

jakby tego nie było dość, wczoraj wieczorem biedna M. miała coś w rodzaju ataku epileptycznego. Przeszedł szybko, ale był okropny. Potem wstała i oznajmiła, że nigdy przedtem nie z^{as}%/a równie daleko i że odkryła miłość pod korzeniami drzew i roślin, nie mówiąc już o włosach, były nie ludzkich.

Szalenie przygnębiające. Muszę Z^{asianon},ić, jak okazać jej serdeczność, do której z pewnością jestem zdolna. Postanawiam specjalnie się o to modlić.

Ach, gdyby można było odgadnąć przyszłość! Czas z^a pewne rozwiązuje problemy, które z bliska wydają się zbyt z^{aa}J iklane. Zawsze marzyłam, żeby na starość z^{na}^e Z^c pociechę w córce, być pielęgnowana jej chłodnymi, pięknymi rękami. O pociesze z^m(t^a nawet nie marzę, -asami dochodzę do wniosku, że tylko pogoda koi. Ale gdzie? Bo nie we Florencji...

- Coś podobnego! - zdumiała się Elsie Godbold.

Ale Bob Tanner zerwał źdźbło trawy i wsuwał je w jej ucho.

- Ojej, Bob! - krzyknęła Elsie.

Śmiała się, trochę jednak niezadowolona, że przerwał jej rozważanie spraw wznioślejszych.

Wtedy wtulił prawie twarz w zagłębienie jej szyi, tak że dzieliła ich tylko cieniutka warstwa palącego powietrza. Wokół nich chłód spłynął aż do korzeni bżowego krzewu, które go odepchnęły. W trawiastym gnieździe było ciepło.

Elsie zbierało się na płacz. Zmiała w rękę pozótkłą kartkę.

Bob chwycił płatek jej ucha między zęby i nie mogąc wstrzymać oddechu, sapał jej prosto w ucho.

- Och, Bob! - protestowała. - Czy nie słuchałeś tego, co czytałam?

- Tych starych historii?

- Wiesz, nie wiem co bym dała, żeby wiedzieć, jaka nas czeka przyszłość.

- Mogę ci powiedzieć - rzekł Bob. Ale nie powiedział nic.

W mroku zacierała się cielesność jego twarzy i Elsie poczuła się jeszcze bliżej swego chłopca, skoro nic ich nie dzieliło. Tulili się do siebie. Usta połączyły się, stopiły w jedno.

Wreszcie Elsie zabrakło tchu.

- Boję się, Bob.

- Czego?

- Sama nie wiem - powiedziała Elsie, bo nie chciała wyzywać ciemności.

Sowy przelatowały z łopotem przez pokoje Xanadu. Gdzieś trzasnęła złamana gałąź.

- Dawniej myślałam, że można sobie ułożyć przyszłość tak jak się chce - powiedziała Elsie.

Bob Tanner stanowczo wolał nie myśleć o przyszłości, gdy terażniejszość była tak namacalna, więc wybuchnął niecierpliwie.

- Co mnie obchodzi przyszłość? Wiem o niej dość. Czy widzisz mnie, Elsie? Spójrz na mnie. No, Elsie?

Spojrzała.

- Widzisz, tak jest dobrze - szepnął Bob. - Co? Tak jest dobrze.

Terażniejszość przyjęła ich otwartymi ramionami. Kiedy kołysali się razem pod krzewem bzu, wydawało się nieprawdopodobne, żeby cokolwiek mogło się oprzeć mocnemu przeświadczeniu Boba Tannera.

659

- Zobaczysz! Będę się tobą opiekował! Ja ci zapewnię przyszłość.

- Och, Bob, Bob - płakała Elsie.

Jakby nie wiedziała od dawna, że w tym jest całe bezpieczeństwo i że dobroć, jak trawa, zawsze wraca.

Pewnego ranka pani Jolley włożyła kapelusz i wybrała się do Xanadu, żeby zobaczyć znów to miejsce. Jednakże bez przyjaciółki, która cierpiała na kamienie żółciowe i na żylaki, nie mówiąc już o sercu. Dla pani Flack był to za daleki spacer. Więc pani Jolley wymknęła się po cichu i sama omal nie dostała palpacji, tak się spieszyła do celu, żeby sprawdzić, do jakiego stopnia jej urazy wygasły.

Dom był już wtedy do parteru rozebrany, a ziemia wokół zdeptana jak klepisko; część budulca wywieziono i została po nim pustynia przysypana jasnożółtym pyłem. W miejscach amputowanych sterczały jeszcze drgające żyły i arterie. Wśród potłuczonych dachówek leżały kawałki rur, a w zaroślach, w które nigdy przedtem się nie zapuszczała, nie znosząc dzikiej przyrody, pani Jolley potknęła się o stary, podarty parasol. Aż się wzdrygnęła, bo w pierwszej chwili miała wrażenie, że to człowiek.

Zamierzała przechadzać się swobodnie z miną właścicielki, ale ostatecznie uciekała chyłkiem, jakby się bojąc przywalenia kamieniami, a ponieważ głowa jej, jak często ostatnimi czasy, trochę się trzęsła - co nie uszło uwagi przyjaciółki - widok rozmazywał się przed jej oczyma.

Wszystko powinno być jasne, lecz przedmioty majaczyły niewyraźnie, a z mgły myśli wypływały na powierzchnię rozczarowania. Pani Jolley podrapała sobie łydkę o sterczący szczyłek balkonu i chlipała, wspominając wszystkie ciosy, jakich doznała w różnych okresach życia.

Okazało się, że zburzenie Xanadu nie uśmierzyło uraz i poczucia krzywdy, jedynie zmieniło nieco ich postać. Pani Jolley zdawało się, że przed nią, wciąż niedoścignione, idą trzy jej córki ubrane we wzdymające się nylony; próżno starała się zmniejszyć dystans, który ją od nich dzielił. Bezmyślne dzieci strzelały z proc, chłostały ścieżkę sznurami skakanek, nie zwracając uwagi na babcię. A poza tym najtwardszy sęk, trzech zięciów, którzy nie cenili sobie związków rodzinnych z panią Jolley, lecz między sobą dyskutowali o daliach, płacach i prawodawstwie australijskim. Czy w tych okolicznościach mogła sobie pozwolić na wzgardzenie przyjaciółką, o której przyjaźni już powątpiewała? Pani Jolley omal nie upadła, potknąwszy się o zardzewiałą rurę od pieca, z której wzbijała się chmura sadzy, jakby na złość. Przyjaciółka! Nie do wiary, a jednak prawda: zza zakrętu ścieżki, gdzie zwalono posąg Diany z obtłuczoną w napięstku ręką, ukazała się pani Flack we własnej osobie.

- Och! - krzyknęła pani Jolley. I chwyciła się za lewy bok.

- Ha! - krzyknęła pani Flack. A może po prostu miała czkawkę.

- To pani?

- To ja.

Obie były jednakowo czerwone.

- Nie śmiałam pani proponować spaceru - rzekła pani Jolley - ze względu na stan zdrowia.

- Słusznie, moja droga, ale pogoda jest taka piękna, że chciałam sama sobie sprawić niespodziankę. No i zaszłam aż tutaj! - odparła pani Flack.

Powoli, lecz niezwłocznie ruszyły razem do jakiegoś celu, którego nie umiałyby jednak zapewne określić. Pani Flack ujęła panią Jolley pod rękę. Pani Jolley nie cofnęła ramienia. Tak szły, aż zaszły, jak stwierdziła pani Jolley, do domu przy

Mildred Street, i mogłoby się zdawać, że wcale go nie opuściły przed paru godzinami; zanim wieko się znów zamknęło na ceglanym pudle, więźniarka zdążyła zadać sobie pytanie, jaki właściwie zamiar przyświecał tej porannej wizycie pani Flack wśród ruin Xanadu.

Dwie kobiety nadal żyły pod wspólnym dachem; nocą, pod puchową kołdrą, każda z nich z daleka nasłuchiwała, jak druga chrząka, próbując gdzieś z głębi gardła wykrztusić flegmę, której tam wcale nie było.

Zdarzały się dni, gdy pani Jolley miała wyraźną przewagę. Zdarzały się zwłaszcza wieczory, gdy przeglądała gazety i podniecały ją wiadomości o śmierciach, burzach i wszelkich dopustach boskich.

Pewnego wieczora pani Jolley potrząsnęła gazetą i powiedziała ze śmiechem;

- Młodzi to istne diabły.

Odzyskała dołeczki w mlecznobiałych policzkach.

- Skąd pani to przyszło na myśl? - spytała pani Flack ochryłym nagle głosem. Oczy jej biegały z przedmiotu na przedmiot, jakby lękając się jakiegoś spotkania.

- Tak sobie pomyślałam - westchnęła pani Jolley. Gazeta w jej ręku szeleściła jak arkusz cieniutkiej metalowej blachy.

- Pomyślałam, że każdy z nich gotów człowieka zamordować dla kilku pensów.

- Zawsze muszą być ci, których mordują, i ci, którzy mordują, niezależnie od wieku - odparła pani Flack. Wielu osobom pan Flack imponowała. Ale pani Jolley śmiała się i wzdychała.

- Ten pani siostrzeniec - podjęła po taktownej pauzie - ten Blue to dziwny chłopiec, że nigdy nie zajrzy, nawet się nie zapyta o ciocię, która była dla niego taka dobra. Zawsze kupowała mu najlepsze befsztyki.

- Blue?! - wykrzyknęła pani Flack i urwała nagle. Przyjaciółkę coś gryzło, pani Jolley wiedziała to dobrze.

Z doświadczenia mogłaby niemal rozpoznać raka.

Nagle pani Flack zaczęła mówić tonem zdawkowej pogawędki.

- Blue wyjechał. Nie ma go tutaj. Podróżuje po innych stanach.

Jako przedstawiciel firmy? - spytała pani Jolley.

- Nie - odparła pani Flack. - To znaczy, nie, nie reprezentuje jakiejś jednej firmy.

- Aha - pani Jolley westchnęła, ale ze śmiechem. - Chodzi, że tak powiem, własnymi drogami.

Pani Flack nie spróbowała ostrza swego noża tylko dlatego, że na chwilę wypadł jej z ręki.

Czasami rano pani Jolley śpiewała. Jej prawie dziewczęcy głos odbijał się od lśniących talerzy i opadał drobnymi perlistymi kroplami.

A pewnego ranka przyszedł gość. Pani Jolley strzepnęła wodę ze swych rąk. W policzkach jej zjawiły się dołki.

Pani Flack poszła do banku - wyjaśniła. - Może coś jej powtórzyć? Jestem jej przyjaciółką.

Dżentelmen był dość tęgi, ale pani Jolley lubiła dużych, silnych mężczyzn.

Gość zastanawiał się, czy powierzyć jej swoją sprawę. W końcu wyjawiał cel wizyty.

- Nazywam się Theobalds - rzekł. - Pracuję w fabryce, gdzie przedtem pracował także Blue.

Pani Jolley była coraz bardziej zachwycona. Wyraz jej twarzy niedwuznacznie zapewniał pana Theobaldsa o gotowości do wszelkich usług.

- Jestem tam majstrem - wyjaśnił pan Theobalds. - Zawsze przyjaźniłem się z tym chłopcem. Rozumie pani? Dostałem od niego kilka słów, zawiadamia, że wszystko w po

rządu. Ma pracę w jednej firmie w Queensland. Przysłał też fotkę. Utył. Wygrzewa się na słońcu, więc dojrzewa jak banan.

- Ach! - wykrzyknęła pani Jolley tak szczerze uradowana, że gość musiał spojrzeć prosto w oczy tej zacnej kobiecie.

- Jego ciocia ucieszy się szalenie.

Pan Theobalds prychnął śmiechem. Zabrzmiało to trochę zbyt poufale.

Tędy mężczyźni, zwłaszcza nałani, często nie panują nad swoim ciałem i nad śmiechem.

- Cioci na pewno to już ani nie grzeje, ani nie ziębi

- powiedział. - Ciocia już się w grobie nie przewróci.

- Jak to? - zdziwiła się pani Jolley. - Ciocia w grobie?

- Jego ciotka Daise umarła dawno, już nawet nie pamiętam na jaką chorobę.

Pan Theobalds mógł sobie pozwolić na jowialność, skoro mówił o śmierci sprzed wielu lat, i to o śmierci osoby, która nic go nie obchodziła.

- Ależ to była jego biedna matka! - powiedziała pani Jolley z przekonaniem.

- Matką jest ta tutaj - odparł pan Theobalds, mrużąc oczy i patrząc przez rzęsy jak przez brązowe frędzle.

Pani Jolley osłupiała.

- Chyba cały świat o tym wie - rzekł pan Theobalds - że Ada Flack jest jego matką. Pani może tylko zapomniała.

- Więc to ona jest jego matką! - powtórzyła pani Jolley. Nigdy niczego nie przebaczała.

- Proszę pana, nie jestem roztargniona - zaprotestowała żywo. - Nie mogłam zapomnieć o tym, o czym nigdy nikt mi nie powiedział. Nigdy.

Dziękuję panu za cenną informację.

Pan Theobalds nie zastanawiał się, co swoimi informacjami rozpętał.

Zresztą skutki nie na nim miały się skrupić. Pani Jolley nie oparła się pokusie i zapytała:

- A ojciec?

- Oficjalnie nic nie wiadomo. Są tylko domysły. Pani Jolley sapała głośno.

- Jedno pewne - dodał pan Theobalds - że nie Will Flack.

- Który spadł z dachu.

Pani Jolley posuwała się krok w krok śladem miękkich pantofli ku złowieszczej dachówce. Jej pobladła twarz miała niebieskawy odcień wapna.

Pan Theobalds znowu się roześmiał.

- Will wcale nie spadł.

- Skoczył?

Nie odrazu odpowiedział.

- Ktoś go popchnął? - prawie zaskrzeczała pani Jolley. Pan Theobalds aż się wzdrygnął.

- Nie mógłbym na to przysiąc w sądzie - rzekł. - Nikt go nie popchnął.

Przynajmniej nie dosłownie rękoma. Will Flack był trochę fujara, ale porządny człowiek. Nie umiał się pogodzić z paskudną sytuacją. Tak ja to sobie tłumaczę.

- To tak, jakby własnymi rękoma pchnęła męża z dachu na ziemię. Na to wychodzi.

- Ja tego nie powiedziałem - zastrzegł się pan Theobalds. Oklapł trochę, a przy swoim wzroście wydawał się jeszcze bardziej oklapnięty.

Pani Jolley nagle zauważyła, że trzyma gościa wciąż w progu.

- Może pan wejdzie, może by pan chciał wypić filiżankę herbaty? - zaproponowała.

Gość nie chciał wejść. Nawalił mu karburator w samochodzie.

Prawdopodobnie będzie musiał go wymontować.

Pani Jolley przypomniała sobie, że ma słabość do tęgich mężczyzn, nawet jeśli są trochę nalani.

- Och, wy, technicy - powiedziała. - Ja tam wcale nie znam się na maszynach.

665

Mimo to przyglądała się nadal, jak pan Theobalds majstruje przy samochodzie. Aż nagle silnik zawarczał normalnie i gość odjechał.

- Cieszę się, że pani siostrzeniec jest zdrow i dobrze mu się powodzi - powtarzała wciąż pani Jolley przyjaciółce.

- I że nareszcie odezwał się, choćby do pana Theobaldsa, który zresztą wydał mi się bardzo sympatyczny.

Nigdy jeszcze wargi pani Flack nie były równie blade.

- Och, Ernie Theobalds! - powiedziała. - On z każdym od razu jest za pan brat.

Gdyby nie chorowała stale, mogłaby się wytłumaczyć złym samopoczuciem, ale w tych okolicznościach musiała szukać innej wymówki. Toteż uporczywie rozczesywała zwinięte na skroniach loczki dziwnie martwego kasztanowego koloru. W gruncie rzeczy pani Jolley wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że pani Flack nosi perukę.

- Niektórym mężczyznom nie można zanadto ufać

- stwierdziła pani Flack. I otarła pot lśniący stalowo na jej żółtym czole.

- Mnie tego nie trzeba mówić - ze śmiechem odparła pani Jolley. - Zresztą niektóre kobiety wcale nie są pod tym względem lepsze.

Pani Flack zdawała się cierpiąca.

- Przepraszam - powiedziała. - To te śledzie musiały mi zaszkodzić. Nie mogę przyjść do siebie, odkąd otworzyłyśmy tę puszkę. Nie powinnam była nawet tknąć śledzia w pomidorowym sosie.

- Racja, droga pani - przyznała pani Jolley. - Z taką nadkwasotą to zakrawa na żądanie cudów od Pana Boga.

Nikt nie mógłby pani Jolley zarzucić braku troskliwości o przyjaciółkę.

Podawała jej filiżankę mocnej herbaty. Zmieniała wodę w wazonach, bo pani Flack tego dnia o tym zapomniała. Gdy pani Jolley wylewała mętną i podejrzenie

cuchnąca wodę, pani Flack krążyła po swoim ceglanym domu, przyglądała się jego ozdobom, żeby uciec od niedopuszczalnych myśli. Sama wyglądała jak zasuszone kwiaty, niezupełnie jeszcze martwe, lekko szeleszczące.

Zimowe wieczory były najprzytulniejsze w domu przy Mildred Street, nawet gdy deszcz zacinał w szyby. Dwie panie w ciepłych szlafrokach popijały parującą herbatę. Pani Jolley trzymała filiżankę tak, jakby się bała uronić bodaj kropelkę; byłoby zbrodnią nie okazać szacunku napojowi tak dobremu, tak kojącemu. Ale pani Flack podnosiła filiżankę, jak gdyby podpierała nią słup powietrza.

Pewnego wieczora pani Jolley odstawiła filiżankę i poprawiając jedwabną frędzlę u szlafroka spojrzała na przyjaciółkę, by w zamyśleniu powiedzieć:

- Ciekawam, jak spędza wieczory pan Theobalds. Taki stuprocentowy mężczyzna.

Pani Flack oblizwała wargi, mimo że były wilgotne od herbaty.

- Nie poświęcałabym na pani miejscu ani jednej myśli Erniemu Theobaldsowi - powiedziała. - Nie myślałabym o nim. - Patrzyła nie na przyjaciółkę, lecz przez nią na ścianę. - Nie.

Wydawała się okropnie żółta, a na jej szyi widać było bijące tętno.

- Dobrze, dobrze! - odparła pani Jolley. - Ja przecież tak sobie tylko mówię.

Uśmiechała się tak słodko. Oczy miała takie niebieskie. Cerę tak macierzyńską.

- Nie wierzyłabym też plotkom, które rozgłasza Ernie Theobalds - wykrztusiła pani Flack.

Pani Jolley musiała chyba błyskawicznie coś w myślach rozważyć, bo oczy jej rozbiegały się nagle. Potem wychyliła się z fotela, otulona w miękki niebieski szlafrok.

- Ale ja mu wierzę, ponieważ jestem matką - powiedziała. Stała się rzecz bardzo dziwna: język pani Flack wysunął

się spomiędzy warg, lekko podwinięty na końcu ku górze. Filiżanka wypadła jej z rąk. Z piersi dobył się jakiś niezwykły głos.

Pani Jolley zerwała się i trzepnęła przyjaciółkę po przegubach rąk.

- No - powiedziała. - No. Nie ma się czym przejmować. Ja przecież wszystko rozumiem. Niech pani spojrzy - dodała schylając się. -

Filiżanka. Wcale się nie stłukła. Ależ ma pani szczęście!

Ale pani Flack patrzyła poprzez ścianę gdzieś bardzo daleko.

- Czasami tak coś człowieka napadnie - rzekła. - Nie jest się odpowiedzialnym za wszystko, co się dzieje.

A potem, zapewne ze względu na panią Jolley, poprawiła się z wolna:

- A przynajmniej nie każdy jest odpowiedzialny i nie za wszystko.

Pani Jolley nie lubiła zastępować sumienia, lecz skoro jej tę rolę narzucono, starała się z niej wywiązać jak najlepiej. Leżąc pod bładoniebieską puchową kołdrą słyszała, jak biedna grzeszna dusza, jej przyjaciółka, wstaje w nocy kilkakrotnie, jak gdyby pęcherz także jej nie dopisywał, chociaż sama pani Flack na ten swój organ jakoś nigdy się nie uskarżała.

Bądź co bądź zgubiona kobieta błąkała się po swoim mieszkaniu, dotykając sprzętów, włączając za sobą beżowy szlafrok. Albowiem pani Flack ostatnio była cała beżowego koloru. Co najgorsze, wędrując tak w ciemnościach wiedziała, że jej sumienie spoczywa pod bładoniebieską puchową kołdrą i czeka, żeby stoczyć walkę z jej myślami. Zdana na samą siebie pani Flack może by znalazła pociechę rozpamiętując czasem przyjemności grzechu, bo skrucha nie zawsze

bywa całkiem jałowa, nawet w duszy bardzo już zasuszonego grzesznika. Bo pani Flack wiedła. Piersi jej przestałyby w ogóle istnieć, gdyby nie zawarły porozumienia ze stanikiem. Ale noc unicestwiała ten spisek. Sztylet czasu wwiercał się znów w ciało i można by pomyśleć, że wszelkie dawne wzruszenia, dawne niepokoje i rozkoszne udręki pełni były tylko złudzeniem.

- Na pani miejscu - powiedziała kiedyś pani Jolley przy śniadaniu - poprosiłabym aptekarza o jakieś nieszkodliwe proszki.

- Nie będę się narkotyzowała - odparła pani Flack. - Nie przekona mnie pani, że to jest dozwolone. Nie. To sprzeczne z etyką.

- Och, nie zamierzam pani namawiać. Chodziło mi o pani dobro - powiedziała pani Jolley. - Nie mogę znieść widoku cierpień bliźniego. Odwróciła wzrok. A raczej śledziła grzankę swojej ofiary zamiast jej twarzy.

- Czasem zastanawiam się, czy jestem dla pani dobrą towarzyszką - szepnęła w zadumie. Nie patrzyła na przyjaciółkę, ale ją obserwowała.

- Dobrą? - pani Flack drgnęła, sucha jak grzanka.

- Zastanawiam się, czy nasze charaktery nie są, że tak powiem, niedobre - wyjaśniła pani Jolley. - Gdybym była tego pewna, odeszłabym stąd. Nigdy o tym nie myślałam, nawet gdy droga pani bywała dla mnie trochę przykra, ale teraz zdecydowałabym się, gdybym miała przekonanie, że tak będzie dla pani lepiej.

Pani Jolley nie podnosiła wzroku. Nasłuchiwała, czy milczenie nie drży od bolesnego protestu.

Pani Flack poruszyła się, nogi krzesła podskoczyły na linoleum; pod pantoflem zgrzytnął jakiś okruch. Przez chwilę pani Jolley podejrzewała, że przyjaciółka ożywa na nowo.

- Nieraz zadawałam sobie pytanie - rzekła pani Flack
- dlaczego pani nie myśli o wyjeździe stąd. Skoro ma pani porządny dom, podnajęty znajomym za nominalny czynsz. I trzy córki, takie przywiązane do matki. I wnuczęta. Tyle dobrych rzeczy. Tyle poświęcenia dla mnie biednej.

Teraz już pani Jolley nie podejrzewała, lecz wiedziała, że pani Flack wymyka się z jej rąk, że jest silniejsza od swego losu.

Pani Jolley wobec tego wytarła nos.

- Nie chodzi o te dobre rzeczy. Ważne są wspomnienia
- powiedziała.

Przypomniała sobie starą piosenkę pod tym tytułem i oczy jej napełniły się łzami.

Pani Flack odkroiła skórkę z grzanki i strzepnęła okruchy z palców.

- Oczywiście, gdyby pani wyjechała, cierpiałabym - wyznała.

Pani Jolley spuściła głowę na znak wdzięczności lub może satysfakcji.

Mimo wszystko było możliwe, że omyliła się w swych podejrzeniach.

- Cierpiałabym niepokojąc się, jak pani tam sobie radzi

- ciągnęła pani Flack - w tym ładnym domu, wśród rodziny, wśród wspomnień o mężu, który tak nagle umarł.

Teraz pani Jolley płakała naprawdę.

Przypomnienie o katarskiej muzyce życia dodało jej gorliwości.

Nieraz zrywała się przed świtem, by szorować spizarnię. Pisała listy i darła je. Chodziła tam i z powrotem na pocztę. Albo do apteki.

- Gdyby ktoś mi powiedział, że pani na dobre odeszła, uwierzyłabym - powiedziała pani Flack.

- To ta pogoda - rzekła pani Jolley. - Rozstraja nerwy.

- A może złe wiadomości. Nic tak nie denerwuje jak listy

- zauważyła pani Flack.

Pani Jolley nie odpowiedziała, a pani Flack obserwowała miękki biały puszek poruszający się leciutko na policzku przyjaciółki, może ze wzruszenia, a może od przeciągu. Dwie kobiety śledziły się wzajem z odrazą, ale nie mogły powstrzymać się od tej przyjemności.

Pewnego dnia, gdy pani Jolley udała się do apteki, pani Flack weszła do pokoju przyjaciółki - ale oczywiście ten pokój, jak wszystkie inne, należał do pani Flack - i zaczęła wykonywać takie ruchy, jakby tonęła, nie tracąc jednak nadziei na ocalenie. Ręce jej pracowały gorączkowo, ale szczęściem znalazły pod saszetką z chusteczkami, wyhaftowaną przez którąś wnuczkę, list, może właśnie ten ważny list.

Sukces ją upoił. Trzymała arkusz papieru bliżej twarzy, niż wymagał jej wzrok. Pochłaniała chciwie każde słowo:

Kochana Mamo (czytała, a raczej zachłystywała ^{s^}P^{an} Flack).

Dostałam list Mamy w ^{%e}K^{b^m} tygodniu. Pewnie się Mama dziwi, że nie odpisałam z^{ara}K[>] ^{a^e} chciałam się dobrze namyślić — Dot i Film a także. Po^{%a} tym trzeba było powiedzieć Fredowi, jak Mama chyba rozumie, sprawa rów-nieżego bezpośrednio dotyczy. Fred jest obok mnie, w pokoju, gdy to piszę; słucha lekkiej muzyki.

A więc, kochana Mamo, szcze^{er}Z^e mówiąc nikomu z^{nas} Twój pomysł nie wydał się dobry. Wiadomo, jak sobie ludzie nerwy szarpią, gdy jedno drugiemu po piętach depta w ciasnocie. FLlma zwłaszcza ^{n^e} ma w domu miejsca na zbyciu, Dot i Arch stale splacają raty z^a coś, a nawet za kilka rzeczy naraz, czasem myślę, że sami już nie wiedzą, ^{^e}> kiedy, komu się od nich należy. Taka jest sytuacja u moich sióstr.

Co do Freda, to oświadczył, że ^{n^e}ZS^{0^}s[€]^m Ż^{a(^}en projekt, który by z^{mu} sił go do żyda pod jednym dachem Z Mamą. Nie chce, i sprawa skończona, Mama wie, jaki*

Fred jest uparty. Rozumiem, że to brzmi bezlitośnie. Przyznaję, a nawet wiem, że to jest z naszą K?j strony bezlitosne. Przyznaję i pamiętam, że jesteś naszą matką. Niewdzięczne z nas córki, mogliby ludzie powiedzieć, niedobre dla matki, która poniosła tyle ofiar. No tak, Mamo, ale sądzi, że największą ofiarą, jaką zażyłaś, był nasz ojciec. Wprawdzie krew się nie polala, wszystko zostało załatwione czysto i po cichu. Nie pisano o tym w gazetach. Ja jednak nigdy nie zapomnę jego twarzy w tym dniu, kiedy umarł na małżeńską miłość, nazywaną niekiedy Zawalem serca.

No tak, wreszcie powiedziałam to, co myślę. Mąż mój siedzi obok i czeka, żeby przeczytać, co napisałam. Ale ja się tego nie lękam. Bo jeśli o nas chodzi, to nie żądamy wiele, każde z nas Znasz K? w drugim coś, z czego może szanować. Wiem, że Fred nie straciłby dla mnie szacunku, nawet gdyby odkrył, że jestem leniwa i niedbała. Tej właśnie pokusie Ty, Mamo, nigdy nie umiałaś się oprzeć, podobnie jak wielu innych ludzi-

A więc masz odpowiedź- Dzieci są zdrowe. Przykro mi, że Mamy tutejsza przyjaciółka okazała się tak wstrętną osobą, ale może zyskała P%y bliższym poznaniu. Każde lustro ma dno.

*Pozdrowienia od Twojej córki Merle,
która była zmuszona do tych słów prawdy, Mamo.*

Pani Flack dotychczas tylko raz w życiu była świadkiem aktu obrażającego poczucie przyzwoitości. W tej chwili zdarzyło jej się to po raz drugi. I nad tym drugim aktem szuflada się zacięła. Pani Flack pchnęła ją krzywo, ale w końcu zamknęła porządnie.

Pani Jolley po powrocie zauważyła dziwny wyraz twarzy przyjaciółki i zrozumiała, że pani Flack rozwiązała jedną z wielu zagadek i że niezupełnie jest zachwycona tym odkryciem. Jej wszakże było to obojętne.

- Położę się na chwilę - powiedziała. - Dokuczają mi te zajęte zatoki.

- Oczywiście, niech droga pani się położy, zaraz przyniosę filiżankę herbaty - odparła pani Flack.

- Nie! - odrzuciła propozycję pani Jolley. - Spróbuję wdychać to lekarstwo, które dał mi aptekarz.

Od tego dnia ustawicznie podawały sobie wzajem niezliczone filiżanki herbaty i dziękowały jedna drugiej uprzejmie za te usługi. Co nie przeszkadzało, że pani Jolley wylewała niekiedy herbatę do zlewu, a pani Flack wołała po namyśle odstąpić herbatę ozdobnej roślinie *Monstera deliciosa* rosnącej w doniczce.

Myśli stały się sztyletem, którego teraz już żadna z nich nie wahała się wypróbować na sobie, podczas gdy przedtem używała go niemal wyłącznie przeciw przyjaciółce.

- Mam taką saszetkę na chusteczki wyszywaną w bratki... Droga pani z pewnością ją widziała? - odezwała się kiedyś pani Jolley.

Pani Flack odkaszlnęła sucho.

- Tak, zdaje się, że ją zauważyłam.

- Wyhaftowała ja dla mnie mała Deedree, najstarsza córka Elmy.

- Nigdy nie miałam saszetki na chusteczki - powiedziała pani Flack - ale przez długie lata przechowywałam we flakoniku mleczone zęby.

- Och! - wykrzyknęła pani Jolley niemal z bólem; bardzo chciałyby ten flakonik zobaczyć. - I co się z nim stało?

- Wyrzuciłam go - rzekła pani Flack - w końcu. Ale czasem zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam.

Najokrutniejsze były myśli nocne, toteż często dwie kobiety w długich, miękkich, powłóczystych szlafrokach zderzały się z sobą w korytarzach albo wyciągniętymi palcami trafiały na inne palce i łagodnie odprowadzały jedna drugą z powrotem ku ciemnościom pierwotnym. Były sobie nawzajem rozpaczliwie potrzebne, błakając się w tym labiryncie. Bez przewodnika dusza może w piekle zgubić drogę. Nim dom został ostatecznie zrównany z ziemią, buldożery wtargnęły w busz Xanadu. Stalowe gąsienice wspinały się na wzgórze, miażdżąc młode drzewka i krzaki na swojej drodze, pokonując wszelkie opory. Czasem jakaś bardziej sprężysta kepa krzewów podnosiła się, cała drżąca, o własnych siłach, ale następny atak kładł ją już na zawsze. Łysiny ziały wśród bujnych dawniej trawników. Przesieki otwierały się w zwartej gęstwie zarośli. Najbrutalniejsza rzeź dokonała się w różanym ogrodzie, gdzie w glinie, sprowadzonej przez Norberta Hare'a z innych okolic, otwarły się czerwone rany, a szczęk metalu orzącego i prasującego ziemię akompaniował agonii starych różanych krzewów, wrywanych z korzeniami i wleczonych jak pęki kolczastego chrustu. Przywieziono mechaniczną piłę, by ściąć te spośród większych drzew, które przedstawiały wartość handlową. Cisza wibrowała zgrzytem, gdy zęby piły wgryzały się w drewno, i tylko bardzo trzeźwi ludzie mogli wdychać woń zniszczenia nie upajając się nią tajemnie. Większość obecnych musiała szukać oparcia, chwiejąc się na nogach. Wielu bowiem mieszkańców Sar-saparilli przychodziło patrzeć na likwidację ogrodu, tak samo jak przedtem ściągali tutaj, żeby być świadkami rozbiórki domu. Z czasem zaczęli brać w tym udział nawet obojętni, nieśmiali, leniwi, bezmyślni i słabowici.

Tylko pani Godbold nie dawała się wciągnąć w te lokalne historyczne wydarzenia, ale mało kto zauważył nieobecność tej osoby niemającej i nieustosunkowanej. W ciągu wszystkich lat swego życia wyhodowała w sercu miłość i szacunek dla przedmiotów pospolitych i czynności codziennych. Może w nich kryło się jakieś jądro, jakieś utajone znaczenie? Czymkolwiek spróbujemy to tłumaczyć, pani Godbold zawsze sadyła na grządkach fasolę, tak jakby nie wtykała po prostu nasienia w ziemię, ale jakby uczyła się wciąż na nowo pewnego niezmiernie doniosłego sekretu. Krzątała się między donicami z paprocią, uwalniając młode pędy z oplotu pajęczyn. W każdym razie w późniejszych latach siedziała czasem przez pół godziny przy desce do prasowania w baraku, który jak już wtedy było niewątpliwe, stał się stałym domem. Z pewnością naznaczona skazami powierzchnia żółtej deski, rozmaite naczynia i sprzęty potrzebne w jej pracy nie znalazłyby nigdzie indziej miejsca tak odpowiedniego dla ich sakralnego dostojenstwa. Tak więc pani Godbold i jej narzędzia pozostały w tym przybytku. Przesiadywała tutaj zdana na łaskę słońca, mrużąc oczy lub uśmiechając się do przebłysków prawdy, które dane jej było dostrzec. Ale pani Godbold zawsze była bardzo prostą kobietą. Nie ruszała się prawie z domu. Nikt nie pamiętał jej ubranej inaczej niż w kretonową suknię latem, a zimą w żakiet wełniany lub w odwieczny kloszowy płaszcz. Masywna jej sylwetka nie zmieniała się nigdy, chyba w okresach ciąży, gdy nabierała większej jeszcze masywności. Jedynym urozmaiceniem jej prawie roślinnej egzystencji były spacer w dół wzgórza; wychodziła zwykle przed powrotem do domu dzieci, kiedy bryza ciągnęła od południa, żeby przejść się trochę, popatrzeć - jak się zdawało bez zainteresowania - na ziemię. Często biegł za nią kot. Wtedy pani Godbold oglądała się i wołała:

- Tib, Tib, Tib! Albo:

- Biedny Tibby! Nie bój się, nie porzucę cię przecież! Podnosiła wielokątną bryłę swego kota, tuliła ją do piersi i śmiejąc się z radości, że daje komuś schronienie, wyciągała grubą szyję ku słońcu, jak gdyby podnosiła ku niebu trąbę.

Gdyby ktoś w ogóle zwracał na nią uwagę, pani Godbold mogłaby się stać przysłowiowa z powodu swojej prostoty.

Za najbardziej pożądane uchodziły stoliki najdalsze od wejścia. Tam siedzący goście mieli z lekkiego wzniesienia estrady widok na salę. A nikt nie mógł na nich patrzeć bezkarnie. Jeden z tych pożądanych stolików zarezerwowano dla trzech pań, które właśnie zbliżały się, idąc po zasypanym popiołem chodniku, mocno trzymając się chromowanej poręczy, żeby na wysokich obcasach nie wylądować głową naprzód u celu. Poręcz, nie mówiąc już o powierzchowności dam, nadawała im jakąś obłądną godność. Zdawało się, że wszystkie sztuce na stolikach przyklaskują ich wejściu. Gdyby była tutaj orkiestra, zapewne akompaniowałyby fanfarą zstępowaniu ze schodów tej trójcy, ale w porze lunchu nigdy nie grywała muzyka, wystarczać musiało nieustające *pi%icato* rozmów; słowa, nie zbaczając z toru, trafiały prosto w bezbronne bębenki uszu.

Trzy panie, które przewyciężywszy niebezpieczeństwa ulicy i schodów dotarły bezpiecznie na poziom sali, były niewątpliwie ważnymi osobistościami. Zatrzymały się, urocze w swej bezradności, podczas gdy kelnerzy zlatywali się zewsząd jak jaskółki wracające do gniazd.

Wcześniej przybyli goście, siedząc już przy stolikach, z narażeniem życia wykrecali szyje, co może by zaniepokoiło poddane obserwacji damy, gdyby nie to, że pragnęły być oglądane. Wszystkie

trzy miały bowiem na głowach dość zabawne kapelusze. Pierwsza, i chyba najmniej pewna siebie, wybrała obrzydliwy atłasowy toczek przypominający bombonierkę jaskraworóżowego koloru i tak przesadnie zsunięty na jeden bok, że robił wrażenie rażącej asymetrii, zniekształcenia, bulwiastej narośli. Niezbyt pewna siebie dama, przejęta własnym zuchwalstwem, zerknęła na najbliższą sąsiadkę, czekając bodaj słówka pochwały. Lecz druga pani nie udzieliła jej pociechy. Ta druga bowiem czuła się nietykalna we własnej twardej skorupie i tylko z musu zносиła towarzystwo pierwszej. Druga dama miała na głowie lakierowany kadłub kraba. Oczywiście nie myślała o nim wcale. Tkwił jednak na jej włosach i w jednej parze prawdziwych kleszczy trzymał brylantową rozgwiazdę, podczas gdy druga para zwisała, ściskając miniaturową muszlę ze szlifowanego kryształu. Nieświadoma właścicielka tej ozdoby zdjęła zgodnie ze zwyczajem rękawiczki, odzyskując giętkość rąk. Kiedy ostrzyła o powietrze swoje paznokcie, można było stwierdzić, że są one jakimś zbiegiem okoliczności dokładnie tego samego koloru co zuchwały krab.

Kelnerzy uwielbiali wszystkie trzy damy, lecz najrdzenniejsze włoskie uśmiechy kierowali pod adresem trzeciej z nich, niewątpliwie najstarszej. Trzecia, a raczej, jak teraz już wypada ją nazwać, pierwsza dama, miała kapelusz ze wszystkich najzabawniejszy. Na jej niebieskich puklach sterczał niewinny mały stożek z filcu zgrzebnego, ziemistego koloru, tak prosty i bezpretensjonalny, że jej właścicielkę mógłby ktoś może wziąć za zbłąkanego starego kłowna, gdyby nie spostrzegł, że filcowy szczyt jest z lekka wymodelowany i że wydobywa się z niego dym, tak, autentyczny dym. Starsza pani w swym wulkanicznym kapeluszu stała na środku sali eleganckiej restauracji z ustami rozchyłonymi radosnym uśmiechem, osiągnęła bowiem wiek

towarzyskiej niewinności i znów była uzależniona od osobistych sukcesów. Uśmiechała się więc abstrakcyjnie na intencję oślepiających lamp błyskowych dwóch fotografów, a także dlatego, że usiłowała nie dostrzegać artretycznego bólu w kolanach.

Wkrótce damy usadowiły się na tyle wygodnie, na ile pozwalały na to ich stroje oraz różne dolegliwości. Wszystkie trzy zgodziły się za radą kelnera zamówić homara *a la Thermidor* wbrew herezji nietaktownej właścicielki różowego toczka, która wspomniała o popularności małży.

- Ale czy się ośmielimy? - mizdrzyła się. - Czy to wypada?

Zachwycona swoim parafiańskim żarcikiem.

Krab zauważył, że Toczek ma wrodzoną szparę między środkowymi górnymi zębami, co nadaje twarzy wyraz jednocześnie wulgarny i drapieżny.

Wulkan nie trudził się już dostrzeganiem czegokolwiek prócz rzeczy, które chciał widzieć albo których potrzebował.

Dama w dymiącym kapeluszu pochyliła się nad stołem i zupełnie bez związku z poprzednią rozmową, ale ze swoistym, trochę zmęczonym wdziękiem powiedziała:

- Od dawna marzyłam, żeby panie ze sobą zapoznać, ponieważ przeczuwam, że obie panie będą miały jak najlepszy wpływ na pracę naszego komitetu.

Pani z krabem na głowie miała minę niedowierzającą, lecz uprzejmą. Zresztą nawet dama, która to zdanie wypowiedziała, nie bardzo chyba w nie wierzyła, bo zaraz dodała nieco mgliście:

- Chciałam przez to wyrazić przekonanie, że przyjaźń i osobisty wpływ są najlepszą drogą do dobroczynnych celów. A chciałabym, żeby Bal Arlekina udał się wspaniale.

- Jinny jest urocza. Ale to idealistka. Przecież to czysty idealizm, nie sądzi pani, pani Wolfson? - spytała dama

z krabem, zwracając się do damy w toczku, nie dlatego że była ciekawa jej opinii, lecz dlatego że taki był styl jej konwersacji.

Nie czekała też na odpowiedź, lecz wybuchnęła sztucznym, do rżenia podobnym śmiechem, od którego twarz jej nabiegła czerwienią charakterystyczną dla najbardziej oschłych kobiet. Przy tej okazji można było stwierdzić, że szyję ma zbyt żyłastą.

Dama z wulkanem położyła starczą, miękką, białą dłoń na mocniejszej i ciemniejszej ręce damy z krabem.

- Pani Colquhoun jest moją przyjaciółką od tak dawna, że wątpię, czy może między nami istnieć jakiegokolwiek nieporozumienie - rzekła, zwracając się do pani Wolfson.

Usiłując w ten sposób włączyć ją do towarzystwa, lecz w rezultacie wyłączając ją z niego jeszcze dobitniej.

- Znowu idealizm! - zarżała pani Cokjuhoun, jak gdyby nie mogła nigdy całkowicie wyładować zasobów organicznej wesołości. Od wielu już lat nie miała męża.

Ja też jestem idealistką - ostrożnie wyznała pani Wolfson - podobnie jak pani Chalmers-Robinson. Dlatego wydaje mi się takie ważne, żebyśmy pomogły biednym sparaliżowanym dzieciom. Mój mąż - także idealista - obiecał mi solidny czek na dokładkę do zysku z balu.

- To świetnie! - zawołała pani Chalmers-Robinson, odpłacając miłością za miłość.

- Och, nie ma nic ważniejszego od wspomaganie bliźnich - stwierdziła pani Wolfson, z wolna posilając się filetemi z homara.

Wypowiedź chwalebna, ale im staranniejsze pani Wolfson wymawiała każde słowo, tym bardziej pani Colquhoun utwierdzała się w przekonaniu, że rozpoznaje akcent pani Dorothy Drury, od której sama także brała lekcje w początkowym i prawie zapomnianym okresie swej kariery. Pani

Colquhoun coraz mniej chętnie znosiła towarzystwo pani Wolfson.

- Na przykład kościół - ciągnęła tymczasem pani w różowym toczku. - Pan Wolfson... Louis... poprawiła się spostrzegłszy minę pani Colquhoun - mój mąż gorliwie wspiera kościół. Ofiarował kościołowi anglikańskiemu Świętego Marka, do którego parafii należymy, oświetlenie neonowe, a chociaż jest szalenie zapracowany, zgodził się zorganizować zabawę z pieczeniem na ognisku barana.

Pani Chalmers-Robinson utkwiała swoje wciąż jeszcze ładne oczy w jakiejś odległej i nietykalnej wizji.

- Uroczy stary kościół - zaintonowała na tradycyjną nutę. Kochała gwiazdziste szafiry i pastelowoniebieski kolor.

Resztki jej piękności domagały się spokoju.

- W takim razie zna pani zapewne kanonika Ironside'a?

- wyzywająco zagadnęła pani Colquhoun.

Pani Wolfson schroniła się głębiej w swoje nurkowe futro przed tym inkwizytorskim i mroźnym spojrzeniem.

- Wtedy jeszcze nie należałam do tej parafii - wykrztusiła. Pani

Colquhoun rzuciła się na to wyznanie jak na łup.

- Ależ jestem pewna - powiedziała, obliczając w myślach

- że kanonik wyjechał do kraju zaledwie sześć, no, może siedem miesięcy temu.

Pani Wolfson przyglądała się swemu talerzowi, na którym zostało mnóstwo zakazanego jej sosu. Po jedzeniu czuła się melancholijnie.

- Tak, tak - kiwnęła różowym toczkiem. - Właśnie wtedy jeszcze tam nie bywaliśmy.

Przy pechowym stoliku dwie przyjaciółki zastygły w oczekiwaniu na jakieś przykre, lecz rewelacyjne wyjaśnienie.

- Brałam ślub w kościele anglikańskim pod wezwaniem Świętego Marka

- powiedziała pani Wolfson i pokazała szparę między zębami, która tak bardzo raziła panią Colquhoun.

- I nie dawał pani ślubu kanonik Ironside? - dociekała pani Colquhoun.

- Sheila bardzo niedawno wyszła za Louisa Wolfsona

- wytłumaczyła pani Chalmers-Robinson. - To jej drugi mąż.

- Tak - westchnęła pani Wolfson, próbując dźwięku sztuców, które jeszcze zostały przy jej nakryciu. - Chaim... Harry umarł.

Ale pani Colquhoun miała minę bardziej zmartwioną niż pani Wolfson.

O tej porze wszyscy goście restauracji przycichli. Oczy wyzierające przez szpary powiek podkreślały sztuczność masek. Było jeszcze za wcześnie, żeby pociągnąć wargi świeżą szminką, skazaną za chwilę na ponowne zamazanie. Trzy kobiety siedziały sennie. Nawet pani

Chalmers-Robinson, jak ogólnie było wiadomo, dość bogata w inwencję mimo delikatnego zdrowia, przestała wibrować. Chwilowo straciła zaufanie do swojej pamięci, która mogłaby jej przypomnieć pewnych ludzi. Wszystkie kobiety na tej sali nawiedziła może ta sama myśl: że mężczyźni odchodzą wcześniej, że nieznośni, lecz potrzebni wirtuozi umierają znużeni swą wirtuozerią, podczas gdy instrumenty, z których wydobywali melodie, zostają same i z przyzwyczajenia dalej dźwięczą lub szepczą. W tym momencie jednak milczały. Chociaż za chwilę musiały znów się odezwać, skoro cisza jest śmiercią muzyki.

Pani Chalmers-Robinson czuwała i wreszcie dosłyszała z oddali, że znów zaczyna wibrować. Ułożyła twarz w stały, błękitny i mglisty wyraz, który z wszystkich masek, jakimi rozporządzała, pozyskał jej najwięcej pochwał i który najchętniej określała mianem promienności.

- Byłam konfirmowana w kościele Świętego Marka

- oznajmiła. - Pamiętam żyły na grzbietach dłoni biskupa.

Uklękałam na niewłaściwym schodku. Byłam taka zdenerwowana, taka przejęta. Oczekiwałam chyba jakiegoś cudu.

- Podobno cuda się zdarzają - zaśmiała się pani Col-quhoun, spoglądając przez ramię na wyludniającą się salę.

- Moja córeczka, póki była mała, szalenie interesowała się cudami - powiedziała pani Wolfson.

Dwie jej towarzyszki były już przygotowane na najgorsze.

- Potem dostała rozstroju nerwowego - ciągnęła pani Wolfson. - Ach tak, początek i koniec kobiecości bywa trudny. Ale teraz moja Rosie pracuje w kwiaciarni. Oczywiście, nie dlatego żeby potrzebowała zarobkowej pracy - jej ojciec zostawił fabrykę, którą mój syn bardzo dobrze nadal prowadzi. A poza tym Louis jest uosobieniem hojności. Ale w kwiaciarni jest tak czysto. Louis - mój mąż - uważał, że to zajęcie może działać leczniczo.

Trzy damy zamówiły lody z sałatką owocową i syropem ślazowym.

Ucieszyły się ze swej lekkomyślności w tej sprawie.

- A więc panie znają kościół Świętego Marka - rzekła pani Wolfson, wracając z uśmiechem do poprzedniego tematu.

Zrobiła to z nadzieją. Chciała poczuć się w tym towarzystwie swojsko.

- Nie chodzę tam od lat. Z wyjątkiem oczywiście ślubów. Widzi pani, pociągnęła mnie Wiedza Chrześcijańska - odparła pani

Chalmers-Robinson.

- Wiedza!

Pani Wolfson nie wierzyła własnym uszom.

- Jinny ma na myśli Wiedzę Ch r z e ś c i j a ń s k ą - wyjaśniła pani Colquhoun.

Wszyscy usłyszeli wyraźnie to ostatnie słowo. Pani Wolfson omal nie krzyknęła: „Dobrze, już dobrze, to chodzi za człowiekiem jak jego cień, ale w końcu każdy się przyzwyczaja, a cień nikomu nie może zrobić krzywdy!”.

Zamiast tego powiedziała:

- Ależ to nadzwyczajne!

I zanotowała w pamięci, że trzeba się dowiedzieć, co to za wiedza.

- Powinna pani także spróbować - rzekła pani Colquhoun i roześmiała się, lecz śmiech przeszedł w ziewnięcie i musiała odwrócić głowę.

- Nie sędzę, żeby Wiedza mogła się naprawdę przyjąć wśród Europejczyków - z powagą oznajmiła pani Chalmers-Robinson.

- Uwielbiam Europejczyków - wyznała pani Colquhoun, patrząc na niemal pustą już salę.

Rzeczywiście uwielbiała Europejczyków. Kolekcjonowała konsulów, z wyjątkiem stuprocentowych Murzynów.

Zbiło to z tropu panią Wolfson. Najpierw uczono ją, żeby się wyzbyła europejskich naleciałości, a teraz znów zachęcano, żeby wróciła do tego, co tak usilnie starała się zapomnieć. Co jednak pamiętała. Dla niej też życie było serią masek, które wciąż musiała zmieniać, stając się Sheilą Wolfson, Shirl Rosetree czy Szulamit Rosenbaum, zależnie od okoliczności.

Tak więc ciemnowłosa smagła dziewczyna odnalazła się pod trwałą ondulacją, zapudrowanymi zmarszczkami i futrem z nerek. Poczwała się pewniejsza siebie.

- Jeśli mowa o cudach - powiedziała pani Chalmers-Robinson - zdaje się, że pani Colquhoun mieszkała przez kilka lat w Sarsaparilli?

Mówiąc to wysunęła twarz ku środkowi stołu, ku temu punktowi, nad którym po jedzeniu wymienia się często poufne zdania.

- Sarsaparilla! - wykrzyknęła z odrobiną niesmaku pani Colquhoun. - Nie sposób tam było zostać. Teraz już nikt nie mieszka w Sarsaparilli.

683

- A co z tym cudem? - ośmieliła się zapytać pani Wolf-son, wbrew złemu przeczuciu.

- Żadnego cudu nie było - stwierdziła pani Colquhoun marszcząc czoło.

- Miałam na myśli pewne zdarzenie o nadprzyrodzonym charakterze - szepnęła pani Chalmers-Robinson z uśmiechem niedowierzania. Była za stara, zanadto urocza, żeby jej niedyskrecje można było traktować jak niedyskrecje.

- O żadnym cudzie nie było mowy - zaprzeczyła ponownie pani Colquhoun.

Strużka stopniałych lodów omal nie wyciekła z kącika tego, co kiedyś było jej ustami.

- Rzeczywiście zdarzył się, jak słyszałam, niemiły wypadek w Barranugli - przyznała. - Sprawcami było kilku pijanych chuliganów, ciemny tłum, nie mówiąc już o rozhis-teryzowanych kobietach. Zaczęło się w Barranugli, skończyło w Sarsaparilli. Ale cudu żadnego nie było. Stanowczo nie było.

Pani Colquhoun prawie krzyczała.

- Temat zbyt przykry do dyskusji.

- Ale Żyd został ukrzyżowany - nieustępliwie stwierdziła pani Chalmers-Robinson, umyślnie odzierając swój głos z wdzięku, jak gdyby przed pójściem do łóżka zdejmowała z palców pierścionki.

- Ojoj! - jęknęła pani Wolfson.

Twarz jej się wykrzywiła, porysowała pod warstwą cielistego pudru czarnymi zmarszczkami. Znów była instrumentem, z którego wydobywano muzykę. Kołysały nią dysonanse krwawiących strun, dysonanse, które chciała, koniecznie chciała słyszeć, których jednocześnie za nic słyszeć nie chciała.

- Pani coś o tym wie? - zwróciła się do niej pani Chalmers-Robinson.

Ale pani Wolfson, szarpana i wstrząsana, nie mogła odpowiedzieć. Wiolonczela w niej jęczała prawie dosłyszalnie.

- Och, nie - załkała. - Właściwie - powiedziała - coś słyszałam. Tak, coś takiego się zdarzyło.

Czy wiedziała! Wiedziała w głębi serca wszystko. Każde z jej kilku wcieleń było obciążone podobną wiedzą.

- A co! Ostrzegałam! - wykrzyknęła pani Colquhoun. Nigdy nie ustalono, która z trzech pań to zrobiła, ale na szczęście jedna z nich strąciła filiżankę z kawą na okryte szaroniebieską suknią kolana pani Chalmers-Robinson. Przez chwilę wszystkie były zajęte ratunkiem i mówiły chórem.

- Jinny, kochanie najdroższe. To po prostu potworne.

- Ajaj! Taka piękna suknia. Na nic zniszczona. Co za pech.

Pani Wolfson postanawiała w duchu, że oczyści się z wszelkich możliwych win, posyłając pani Chalmers-Robinson ładny prezent, coś trwałego, na przykład jakiś drobiazg, półklej-nocik. Odkryła, że uprzejmości tego rodzaju popłacają.

Ale młody kelner - Włoch - padł na kolana i fascynującymi rękoma czyścił suknię. Patrząc na jego ruchy, pani Chalmers-Robinson zrozumiała, że szkoda została niemal całkowicie naprawiona. Nie mogła tylko pogodzić niezniszczalnego kształtu doskonale pięknej głowy młodego kelnera z życiem, które kropla po kropli z niej wyciekało z każdym dniem, z każdą niemal godziną.

- Dziękuję - powiedziała wreszcie, gdy kelner wstał, i patrzyła mu prosto w twarz tak promiennie, jak tylko ona umiała, chociaż ostatnio świetliste spojrzenie zaczęło trochę drżeć.

- Otóż i mamy cuda - dodała z uśmiechem.

- A mówiłam - rzekła pani Colquhoun.

Pani Wolfson wciąż jeszcze szamotała się na mętnej fali, lecz burza już z wolna cichła. Wszystkie trzy panie czuły się wolne od win, chociaż puste.

Nie wysiłały się już na nic. Siedziały z nogami szeroko rozstawionymi wokół stolika w nieco teraz ciemnej sali restauracyjnej, bo kelnerzy w przerwie między lunchem a obiadem wygaszali światła i zwijali zużyte serwetki w kłęby.

- Miałam pokojówkę, która wyszła za mąż i przeniosła się, o ile dobrze pamiętam, właśnie do Sarsaparilli - przypomniała sobie pani Chalmers-Robinson.

Pomysłowe urządzenie wydzielające dym i ukryte w główce kapelusza wystrzeliło ostatnim rozpaczliwym pióropuszem.

- No i co? - spytała pani Colquhoun, znów hałaśliwa i pełna nienawiści.

- Dobra dziewczyna, chociaż podając przy stole półmiski, chuchała gościom na karki. Zapomniałam jej nazwiska, ale nieraz myślę, co też się z nią potem stało. Bo ona była... jak to określić? - pani

Chalmers-Robinson zadała to pytanie sobie, a nawet komuś dalekiemu, szukając go wzrokiem poza czarną płaszczyznę, na której wszystkie trzy się znajdowały. - Tak - powiedziała w końcu z przekonaniem. - Wiem, Esme, że będziesz się śmiała, ale ta dziewczyna była na swój sposób święta.

- Święta? Moja biedna Jinny. Święta w garderobie. To musiało być dla ciebie okropne.

Pani Colquhoun zaniósła się niepohamowanym - żeby nie rzec: histerycznym - chichotem, a dyndająca u jej kapelusza para kleszczy wybijała głucho rytm tego wybuchu wesołości.

- Och, jak ta rozmowa zainteresowałaby moją córeczkę. Oczywiście kiedyś, zanim dostała rozstroju nerwów - powiedziała pani Wolfson. - A jak się objawiała świętość tej dziewczyny?

Pani Chalmers-Robinson po omacku szukała w ciemnościach. Twarz jej drgała w nerwowym tiku, ale stara dama

była zdecydowana nie cofnąć się przed ostatecznym wnioskiem.

- Trudno to wytłumaczyć... dokładniej - zaczęła. - Po prostu była święta. Taka głupia, taka ufna. Ale ufność może stanowiła jej siłę - ciągnęła w upojeniu wizjonerka. - Była opoką, której wszyscy się czepialiśmy. I zupełnie bez wstydu, jak gdyby czując, że w końcu nie może dalej zajść w rozumieniu tajemnicy, dodała:

- Była opoką miłości.

- Na której wszyscy się rozbiliśmy - krzyknęła pani Colquhoun, przygryzając szminkę.

- Och, chciałabym ją spotkać - szepnęła pani Chalmers-Robinson, łudząc się nadzieją, że zbawcza łaska może się objawić widomie w głębi mrocznego czyścica, w którym wszystkie trzy przebywały. - Gdybym mogła odnaleźć tę dobrą kobietę, która wie, która już wówczas z pewnością wiedziała, czego nam się wolno spodziewać.

Pani Wolfson zauważyła, że starowina jest wyczerpana. W tym wieku była to doprawdy nieostrożność.

Rzeczywiście krater pani Chalmers-Robinson wygasł. Mimo to siedziała jeszcze przez długą chwilę razem z dwiema towarzyszkami, a każda z trzech dam usiłowała sobie przypomnieć, dokąd teraz powinna iść.

Kiedy po Xanadu nie zostało już nic prócz szczątków nagiego, czerwonego pagórka, przystąpiono do budowy domów z płyt spilśnionych. W parę dni niemal stanęły na gołej ziemi zwarte ich szeregi. Rozwijane ze szpul sznury do suszenia bielizny rosły wraz z islandzkimi makami i gladiolami. Najbardziej ustronne zakątki mieszkań nie były aż tak zaciszne, by nie dochodziło tam brzęczenie much u sąsiadów. Cienkie ściany nowych domów ocierały się o siebie w nocy,

a śpiący lokator mógł się pokusić o wtargnięcie w cudze sny, gdyby nie to, że nie różniły się one niczym od jego własnych. Czasem słyszało się, jak szczury lęku wgryzają się w bakelit, plastik lub oporną błonę dziewiczą. Toteż nierzadko ludzie uciekali na dwór i wskakiwali do samochodów. W niedzielę z reguły składali lub przyjmowali wizyty, chociaż niekiedy mijali się na drodze, nic o tym nie wiedząc. W takich wypadkach, nie zastając gospodarzy w domu, jechali dalej, byle gdzie albo w kółko. Jechali, szukając czegoś, na co by warto popatrzeć, aż wreszcie sam ruch stał się wyrazem prawdy, jedynej prawdziwej trwałości, niewątpliwie bardziej przekonującym niż domy podobne do kostek cukru. Jeśli te kostki cukru nie topniały pod wpływem czasu i zmian pogody, to tylko dlatego, że była im przeznaczona jakaś straszliwa kataliza, w której katalizatorem miała być nienawiść albo może miłość. Właściciele ich woleli więc jeździć po świecie. Jeździli w kółko. Pani Godbold straciła rachunek lat, które upłynęły od zagłady Xanadu, gdy pewnego dnia pod wpływem nagłego impulsu włożyła kapelusz i ruszyła na spacer w tamtą stronę. Był wtorek, dzień czerwcowy, pogodny mimo omglonego chłodem nieba. Pani Godbold nie zmieniła się ani zewnętrznie, ani wewnętrznie, bo życie wcześniej zadało jej najcięższy cios, potem zaś o niej zapomniało, zajęte niszczeniem innych swoich ofiar. Wszędzie wokół niej szerzyły się zmiany, ale na zboczu wzgórza, gdzie stał jej barak, nadal pieniały się gęsto krzaki jeżyn, a ziemię zaścielały potłuczone butelki i zardzewiałe druty. Ta część Sarsaparilli miała wygląd opłakany, lecz nikt już nad nią nie płakał; widocznie wyższe względy jakiegoś spekulanta okazały się w tym przypadku zgodne z bardziej jeszcze tajemniczymi, może nawet boskimi planami. Pani Godbold mieszkała więc w dalszym ciągu na dawnym miejscu i stosownie do swych zwyczajów oraz

potrzeb wydeptała wiele ścieżek pośród lśniących jeżynowych zarośli. Tym razem wybrała najwłaściwszą ścieżkę ku Montebello Avenue, a za nią jak zwykle pobiegł kot - może ten sam, a może inny niż przed laty. - Sio! - krzyknęła. Wracaj do domu, głuptasie. To dla ciebie za daleko. Tym razem nie pójdziesz ze mną. - Roześmiała się i dodała: - Wybrałam się w daleką podróż.

Kot dał się skłonić do powrotu i pomknął, prześlizgując się aksamitnym futerkiem pomiędzy cierniami.

Chłód owiał panią Godbold, ale wzrok jej pozostał jasny. Ułamała gałązkę, żeby mieć w drodze towarzystwo, i ssała jej koniec, idąc dalej.

- A to kto? - spytała, przystając przy furtce jednego z domów. - No, powiedz. Jak się nazywasz?

Żartowała oczywiście. Był to jej wnuk. On też ją znał, a lepiej nawet niż głos poznawał ciężki zapach mydła; zaniemówił, pełen skupienia i poufnych wspomnień.

Pani Godbold dotknęła jego policzka. Chłopczyk poddał się tej pieścizocie, ale nie podniósł wzroku.

- A to kto? - spytała pani Godbold, wskazując drugiego malca, który zjawił się na ścieżce z pełnymi ustami, z okruchami bułki na twarzy.

- Bob Tanner - odpowiedział natychmiast starszy chłopiec.

Miała ochotę zjeść go z czułości.

- A ty jesteś Ruth Joyner! - zawołał.

- Aha - roześmiała się. - To ty jesteś ten sam zuchwały chłopak, który nigdy nie dostaje w skórę od matki.

Chłopczyk tupnął z rozmachem. Młodszy brat poszturchiwał go, objawiając najżywsze uznanie dla tej wymiany dowcipów.

- No, to do widzenia - powiedziała babcia; wargi jej drżały, tak zawsze wzruszał ją i zachwycał widok własnego potomstwa. - Kłaniajcie się ode mnie mamusi.

- Ojej, babciu! - krzyknął starszy chłopiec. - Nie wejdzie babcia do domu? Są placki kukurydziane.

- Dzisiaj nie mam czasu - odparła. - Wyruszyłam w podróż. Omal się znów nie roześmiała, ale zamiast tego odkaszlnęła tylko.

- Zabierz mnie z sobą! - prosił chłopczyk.

- Za daleko! - odpowiedziała.

- Nie, nie! Ja zajdę nawet bardzo daleko! - krzyczał.

Pani Godbold szła dalej drogą, którą postępowo wolał ominąć.

Dwie z jej córek były zamężne, dwie zaręczone, a najmłodsza para także już prawie po słowie. Sześć dziewcząt gromadziło się czasem na klepisku za barakiem razem z małymi jak lalki dziećmi najstarszej. W zielonym świetle plotły wianki z rozmaitych najpospolitszych kwiatów, pnących wilców na przykład, sarsaparilli i pomarszczonych dzikich frezji. Stroiły się w kwiaty, mizdrzyły jedna przed drugą i śpiewały chórem:

*Wpadnę w złość, gdy jakiś gość cielny dość
Zaczepi mnie. Ten, co się
liczy, pochlebstw nie krzyczy, lecz będzie czekał na mnie z daleka. On to
mój pan, buzi mu dam, dam, dam, darni¹*

Przełożyła Zofia Kierszys.

Ale Poppy Godbold wykrzykiwała:

- A ja żadnego nie pocałuję! Nigdy! Nigdy, przenigdy! I zaraz łamała śluby, schylając się nad dziećmi i wołając:

- Chyba że Boba Tannera!

Chłopczyk protestował głośno i bronił się przed napaścią niemądrej, najmłodszej, niezdarnej ciotki, której twarz płonęła rumieńcem tuż nad jego buzią.

Tak więc pani Godbold miała gromadkę dzieci. Miała swoje córki. Na jak długo? Dwie już z domu odeszły. Czasem siadywała przed barakiem, gdy wszystkie dziewczęta opuściły ją, niknąc w wieczornym zmroku i zostawiając tylko na kolanach matki girlandy zwiędłych kwiatów. Miała wtedy wrażenie, że już wypuściła ostatnią strzałę z kołczana i jest teraz zużyta, pusta. Czowała dotknięcie ciemności. Rozcierała kostki dłoni, żeby z nich wypłoszyć reumatyzm. Często wspominała tę noc, gdy jej przyjaciel Żyd umarł we wnętrzu baraku, pod którego ścianą siedziała. Nawet najmłodsza córka, chociaż przespła śmierć pana Himmelfarba, pamiętała ową noc, bo sen jak gdyby nie przeszkodził jej uczestniczyć w całym zdarzeniu. Toteż oczy córek Godbold widziały dalej, niż sięga wzrok innych dziewcząt. Zahartowany tamtej nocy metal stwardniał. W końcu kobieta siedząca samotnie przed opustoszałym domem musiała zrozumieć, że wypuszczając sześć strzał w ciemność, zatrzymała jej pochód. Gdziekolwiek jedna ze strzał trafiła, mnożyły się nowe strzały. I znów ich zdrowe, czyste drzewce rozszczepi się, by dać życie następnym. Tak oto jej strzały będą zawsze godziły w różne kształty ciemności, ona zaś sama jest niewyczerpanym nigdy kołczanem.

- Rozmnażanie! - powiedziała na głos i zaczerwieniła się, bo musiało to zabrzmieć niedorzecznie w tej chwili na drodze do Xanadu.

Raz jeszcze obejrzała się na małych chłopców, którzy kołysali furtką tak energicznie, że musiało to skończyć się wyłamaniem zawiasów.

Pani Godbold szła krętą ścieżką pod szpalerem zdziczałych akacji.

Wspominała tę zimę, gdy panna Hare leżała chora i gdy ją odwiedzała, pielęgnując biedaczkę; wspominała, jak rozmawiały, same w ogromnym domu, i jak panna Hare zaczęła mówić o Wozie. No cóż. Każdy widzi inaczej. Panna Hare, jak powiadali ludzie, była obłąkana. Właśnie dlatego. Panna Hare widziała Wóz cały z ognia. Pani Godbold nigdy nie śmiała przeczyć osobom wyżej niż ona postawionym, a tym bardziej chorej, ale miała w tej sprawie inne zdanie. Miała własną wizję Wozu. Nawet teraz, na samą myśl o tym, poczuła głęboko we własnym wnętrzu muśnięcie skrzydeł miłości i miłosierdzia. Nie zatrzymując się, musiała jednak na chwilę przymknąć oczy i mocno objąć ramionami własne ciało, jak gdyby lękała się, że wypłynie z niego roztopiony szpik.

Gdy znów otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą nowe osiedle Xanadu, zbudowane na terenie, który pan Cleugh, kuzyn panny Hare, sprzedał. Pani Godbold nie mogła się oprzeć uczuciu podziwu dla nowych domów, ponieważ tchnęło z nich życie: dzieci wracały ze szkół, młode kalafiory rosły na grządkach, rekonwalescentka wyszła w szlafroku do ogródka, żeby zerwać zapóźnioną różę.

- Za zimno, proszę pani! Za zimno! - krzyknęła pani Godbold i podkreśliła słowa gestem, otulając szalikiem własną szyję.

- Coo? - spytała niewyraźnie kobieta, mocując się z oporną różą.

- Zaziębi się pani! - ostrzegała pani Godbold.

Miała do ofiarowania więcej miłości, niż ludzie gotowi byli przyjąć.

Kobieta w szlafroku nie chciała, jak się zdawało, słyszeć przestrogi, ale wróciła do domu, gdy w końcu udało jej się zerwać różę.

Dzieci przyglądały się przechodzącej obcej osobie i doszły do wniosku, że pewnie jest trochę pijana.

- Cieszysz się, że wracasz do domu, co? - powiedziała.

- Nie! - odparł chłopiec.

Parę dziewczynek prychnęło śmiechem.

Ale pani Godbold wystarczyło, że patrzy na Xanadu. W przyszłości, gdy będzie tu znów przychodziła, ludzie już ją poznają i będą czekali na jej następne odwiedziny, nie tylko ci, których uzdrowiła z jakiegoś lęku, ale także ci, którzy ją podejrzewają o jakiś godny pozazdrosczenia sekret. Będą wypatrywali kobiety, której czas nie zmienia, która zawsze ma na głowie czarny, odwieczny kapelusz.

Zwłaszcza w tym miejscu, gdzie kiedyś siedziała przy chorej przyjaciółce, w starym rozsypującym się domu, a gdzie teraz nowe domy tętniły i szumiały nowym życiem, gmach wspomnień wznosił się w całej strukturalnej różnorodności, a jego wirujące, zawile szczegóły, zwłaszcza zaś najbardziej chyba wzruszające, nie dokończone sklepienia otwierały perspektywy dalekie i mgliste. Pani Godbold budowała. Albo odbudowywała. Starannie układała kamienie, rok po roku, niemal dzień po dniu całego swojego życia. Czasem jednak mieszały się do jej budowli kolumny drzew. Czarne pnie dębów i wiązów, a także bardziej widmowe pnie gumowców, przeoczonych przez Norberta Hare'a, wyrastały znów na podmiejskich działkach i zaciemniały obraz teraźniejszości, usiłując spleść się ostatecznie w sklepienie nawy i kaplice. Światło i muzyka dokładały swoją część. Szare światło znad moczarów zimą wdzierało się na trotuary przez uchylone drzwi, gałęzie najbielszego światła kwitły na wielkanocnym stole, rozjarzone klejnoty wieczoru sypały się

poprzez sieć splecioną z gałązek i kamieni. Rozporządzając takimi skarbami ducha, nie mogła się oprzeć pokusie doczesności i wprowadzała do swego gmachu zielone, śliskie wazony, mieniające się świątynne bogactwa, które zrazu tak ją onieśmiały w hallu starego domu Xanadu. Niezwykły musiał być także ten człowiek, który w katedrze mówił jej o muzyce; nie mogła go sobie wyraźnie przypomnieć, ale pamiętała przekonującą jego obecność. Samą muzykę wspominała często, pozwalając znów lśnić rusztowaniu dźwięków piętrzących się coraz wyżej we wnętrzu spirali, która się poddawała ich harmonii. Czasem jednak szare rury organów przyprawiały ją o dreszcz swym potężnym głosem. Słyszała nie do zniesienia bolesną, zatrzymaną w powietrzu nutę, która okrążała głowę jej brata zmiażdżoną pod kołami wozu, widziała krew nie zakrzepłą jeszcze w oczodołach.

Gotyckie bogactwo wizji czasem przejmowało panią Godbold zimnym dreszczem. Kamienne figury, które położyła na grobowcach, poruszały się pod zbroją wieczności. Wtedy starała się wyzwolić je, wyzwolić jak najwięcej zapamiętanych postaci. Pannę Hare bełkoczącą gorączkowo, z piegowatymi rękami oblepionymi świeżą ziemią; tubylca, z którym wspólnie celebrowała misterium owej nocy, gdy poszła do domu pani Khalil po Teda.

Czas rozbił na mozaikę obraz, który niegdyś zdawał się jednolity, natrętny, rzeczywisty i bolesny. Pani Godbold mogła teraz z bliska oglądać dzieło swego życia, jak malarz, gdy po dłuższej przerwie podchodzi, żeby osądzić swoją pracę. Nareszcie postać Zbawiciela stała przed nią w prezbiterium i spoglądała na nią spod żółtych powiek wzdłuż silnego, lekko orlego nosa. Pani Godbold odchodziła uspokojona, że wszystkie drogi zbiegły się w końcu u stóp zmartwychwstałego Chrystusa i że własnymi oczyma stwierdziła, iż rany są już zagojone.

Za pierwszym razem, gdy po latach odwiedziła zmienione Xanadu, zdawało jej się, że nie zdobędzie się na ponowne odwiedziny, mimo radości, jaką jej sprawiało wiele przejawów życia. Ale oczywiście wróciła. Podczas pierwszej pielgrzymki tak była wzruszona, tak wstrząśnięta wspomnieniem przeszłości, że ułamała gałąź, by się nią podeprzeć. Wracając do Sarsaparilli i do swego baraku przyciskała do ust chusteczkę. Nawet w szczytowych momentach w gruncie rzeczy pozostawała wielką część prawdy zaledwie niejasno przeczuwana. Pani Godbold przywykła chodzić prostymi drogami, ale naprawdę była zawsze tylko prostaczką brnącą po omacku naprzód. Komuś, kto by na nią patrzył z tyłu, jej tęgie biodra opięte zakietem mogłyby się nawet wydać śmieszne, ale nie pomyślałby tak o niej nikt spośród tych nielicznych, którzy wiedzieli, że pani Godbold nosi także koronę.

Owego wieczora szła drogą o tej godzinie, gdy złoto wlewa się w bruzdy rozmiękłego nieba. Ta sama chwała ozłociła znużone od blasku powieki pani Godbold. Ale chociaż tak ciężka, kładła się lekko, a nawet dźwigała ją na wysokości, gdzie pani Godbold na mgnienie oka spotkała Istoty Żyjące, które niegdyś znała, i wiele innych, nieznanym. Raz jeszcze wyciągnięta ręka potwierdziła wszystko.

Jeśli podczas następnych pielgrzymek do Xanadu nie doznała już niczego podobnego, to dlatego, że pani Godbold mocno jeszcze trzymała się stopami ziemi. Spuszczała oczy, żeby uniknąć olśnienia, i szła dalej, dysząc ciężko, bo droga do baraku, w którym nadal mieszkała, była stroma.

Słowniczek wyrazów żydowskich

Ahaszweros - król Persji występujący w *Księdze Estery*. Współcześni badacze utożsamiają go z Kserksesem. Tradycyjna postać w sztuce purymowej

ajin hara (ajin hore) - zły urok, „złe oko”; zła siła pochodząca ze sfery demonów i czyhająca na ludzi

Anszej Cedek (hebr.) - dosł. „sprawiedliwi, szlachetni ludzie”; nazwa stowarzyszenia dobroczynnego

Arka Przymierza (hebr. aron ha-kodesz) - szafa ołtarzowa umieszczona we wschodniej ścianie bożnicy lub domu nauki, w której przechowywane są rodłały **Tory**

babiniec - część synagogi przeznaczona dla kobiet

badchan (badchen) - wesolek, błazen, zabawiający weselnych gości żartami i dowcipnymi rymowaniami

bar miewa (hebr.) - uroczystość symbolicznego uzyskania przez chłopca po ukończeniu trzynastu lat pełnoletności pod względem religijnym. Od tej chwili ma obowiązek przestrzegania przykazań, może uczestniczyć w minjan, a do modlitwy zakłada filakterie

Chanuka (Chanuke) - ośmiodniowe święto światła przypadające w grudniu, upamiętniające wznowienie kultu religii możeszowej w odbudowanej w roku 165 p.n.e. Świątyni Pańskiej w Jerozolimie

cheder (hebr.) - dawna elementarna żydowska szkoła religijna, w której dzieci uczyły się modlitw i Biblii

chumec (hebr.) - chleb na zaczynie; w przeddzień świąt Pesach jego pozostałości są usuwane ze wszystkich zakamarków domu.

cadyk (hebr. cadik) - „mąż sprawiedliwy”; w chasydyzmie charyzmatyczny przywódca duchowy społeczności pośredniczący między zwykłymi ludźmi a Bogiem

chupa (chupe) - baldachim, pod którym udziela się ślubu żydowskim nowożeńcom

cyces (hebr.) - frędzle przymocowane do czterech rogów tałesu

cymes - słodka potrawa z marchwi i suszonych owoców podawana jako deser w szabas i inne święta

Cztery Pytania (albo Ma Nisztana) - pierwsze dwa słowa tekstu ceremonii odbywanej w pierwszy wieczór Pesach, w czasie sede-ru, na początku Hagady, kiedy to najmłodszy z uczestników zadają cztery pytania dotyczące obyczajów sederu

Debora - prorokini, za radą której doszło do zwycięskiej bitwy Izraelitów z Kananejczykami ok. XII w. p.n.e. (*Sd*⁴)

drejdl (jid.) - czworoboczny bąk służący do zabawy dzieciom w czasie Chanuki. Dzieci grają nim o pieniądze, tzw. „chanuka gelt”

dybuk (hebr.) - dusza nieboszczyka wstępująca w ciało żyjącego człowieka

filakterie (tefilin) - dwa pudełeczka zawierające pergaminy z cytatami z *Tory*, przytwierdzone przez mężczyzn rzemykiem do czoła i do lewego ramienia w czasie porannych modlitw w dni powszednie

gehenna (hebr. Ge Hinnom) - miejsce straszliwych cierpień; określenie to pochodzi od doliny Hinnon w starożytnej Jerozolimie, gdzie wywożono nieczystości

Gemara (Gemore) - część *Talmudu* zawierająca komentarze do *Miseny*.

Gemara sformułowana została w języku aramejskim (*Talmud*

Jerozolimski, ok. roku 400 n.e. i *Talmud Babiloński*, ok. roku 500 n.e.)

gwałt (jid.) - „ratunku”, „biada”, okrzyk, wołanie o pomoc
Gog i Magog - według żydowskich wierzeń eschatologicznych wojny zwiastujące przyjście Mesjasza
goj - nie-Żyd
golem - żydowska forma homunculusa; postać ulepiona z gliny przez człowieka i ożywiona za pomocą magicznej formuły; motyw występujący w tradycji i w literaturze żydowskiej. Golem zazwyczaj niesie pomoc Żydom w trudnych czasach, ale ma także wrodzoną żywiołową siłę niszczycielską
Hagada (Hagode) - zob. seder
hora - izraelski taniec ludowy; pochodzi z Bałkanów, ale zyskał popularność w Palestynie po I wojnie światowej.
Jamim Noraim (Jomim Nojroim) - Groźne (Straszne) Dni, dziesięć dni pokuty od Rosz Haszana do Jom Kipur
jesziwa (jesziwe) - wyższa uczelnia talmudyczna
jeszybot zob. jesziwa
Jom Kipur (Jojm Kiper) - Sądny Dzień, najbardziej uroczyste święto żydowskie, w czasie którego obowiązuje 24-godzinny post
Kadisz (hebr.) - powszechna aramejska modlitwa codzienna, ale zazwyczaj modlitwa za zmarłych
kidusz (dosł. poświęcenie) - modlitwa odmawiana nad kielichem wina w domu i w bożnicy w celu uświęcenia szabasu lub święta
Kol Nidre (Koł Nidrej) - „wszystkie ślubowania”, uroczysta modlitwa śpiewana w wieczór rozpoczynający Jom Kipur, unieważniająca wszystkie ślubowania i obietnice
koszer (hebr.) - zgodny z żydowskimi przepisami rytualnymi
lechaim (hebr.) - „na zdrowie”, dosł. „na życie”; toast przyjęty u Żydów
mały tałes zob. tałes kotn

mażł tow (hebr.) - dosł. „dobry los”; słowa wyrażające życzenia i gratulacje składane z okazji radosnego wydarzenia.

melamed - nauczyciel w chederze

menora - siedmioramienny świecznik obrzędowy

mezuzah (mezuzę) - amulet, zwitek pergaminu zawierający cytaty z *Tory* znajdujący się w futerale z blachy lub drewna i przybity do framugi drzwi

midrasz (medrasz) - komentarz do ksiąg biblijnych, ułożony w formie przypowieści. Midrasze powstawały od ok. roku 20 do ok. X w. n.e.

minjan - zgromadzenie złożone z dziesięciu Żydów płci męskiej powyżej trzynastego roku życia, niezbędne do odprawienia publicznych modłów w synagodze i niektórych uroczystości religijnych

Mis^na [Mis\ne]- część *Talmudu* zawierająca zebrane i zapisane przez rabina Judę w końcu II wieku główne przepisy prawa zwyczajowego ujęte w 63 traktaty

mykwa - łaźnia przeznaczona do kąpieli rytualnych

opaska - Żydzi w południowych i zachodnich Niemczech mieli zwyczaj z okazji pierwszych odwiedzin chłopca w synagodze, zwykle po ukończeniu pierwszego roku życia, składać jako dar opaskę na zwoje, złożoną z czterech pasków pociętej pieluszki, używanej podczas obrzezania, z imieniem ojca i syna oraz napisem: „On przystępuje do *Tory*, do chupy i do dobrych czynów”

parochet - kotara zasłaniająca Arkę Przymierza, w której przechowuje się zwoje (rodały) *Tory*

Pesach (Pejsech) - święto upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu; przypada na wiosnę

Purim - święto upamiętniające ocalenie Żydów przed zagładą szykowaną im ze strony Hamana, biblijnego dostojnika perskiego

rabonim - liczba mnoga od raban, „mistrz, nauczyciel”, honorowy tytuł sławnych uczonych żydowskich

rabin - przełożony religijnej gminy żydowskiej, orzeka w sprawach sądowych i rytualnych oraz nadzoruje nauczanie

reb - tytuł grzecznościowy, podkreślający uczoność mężczyzny; może służyć także jako odpowiednik polskiego „pan”.

Rosz Haszana (Rosz Haszone) - Nowy Rok, najważniejsze (wraz z Jom Kipur) święto żydowskie obchodzone w jesieni

sabra (dosł. „kaktus”, kaktus bowiem ma chropawą skórę, ale słodki miąższ) - określenie Żyda urodzonego w Izraelu (w odróżnieniu od Żydów urodzonych w diasporze)

seder - uroczysta uczta paschalna odbywająca się według ustalonego rytuału w pierwszy, a w diasporze także w drugi wieczór Pesach;

odczytuje się podczas niej *Hagadę*, opowieść o wyjściu Żydów / z Egiptu
sela (hebr.) - określenie używane często w *Księdze Psalmów* i różnie interpretowane, najczęściej jednak jako błogosławieństwo: „na wieczność”, „po najdłuższe czasy”

siksa (szikse) - pejoratywne określenie młodej dziewczyny nieżydowskiej

sofer (sojfer) - piszący *Tory*, tefilin, mezuzy, kontrakty ślubne i akty rozwodowe

Sukot - święto Szałasów znane także pod nazwą Kuczki, upamiętniające stawianie szałasów w trakcie wędrówki Żydów przez pustynię. Także uroczystość zakończenia zbiorów

Symchat Tora (Symches Tojre) - radosne święto obchodzone w ostatni dzień Sukes, związane z zakończeniem rocznego cyklu czytania *Tory*

szabas - cotygodniowe święto zaczynające się w piątek wieczorem, a kończące w sobotę

szadchen (hebr.) - swat

szames (hebr.) - posługacz w bożnicy

700

Szawuot (Szwues) - święto przypadające w siedem tygodni po Pesach; zwane również świętem nadania prawa, zbiega się bowiem w czasie z rocznicą objawienia na górze Synaj

szechina (dosł. „wspaniałość boska”) - Duch Boży, obecność Boga w świecie; żeński pierwiastek natury

sziwa (sziwe) - siedem dni ścisłej żałoby liczonych od dnia pogrzebu bliskiego krewnego

szlemiel (jid.) - głupiec, nieudacznik, oferma; typ bohatera pojawiający się bardzo często w literaturze jidysz i folklorze żydowskim

sznorer (jid.) - żebrak

szofar (szojfer) - róg barani, którego dźwięki rozlegają się w bożnicach w czasie nabożeństwa w dniu Rosz Haszana oraz na zakończenie Jom Kipur; ma też obwieścić przyjście Mesjasza

szojchet - rzeźnik rytualny

szojfer zob. szofar

Szolem alejchem! (Szolem alejchem) - pozdrowienie, dosł. „pokój wam”

szomerim (hebr.) - członkowie Ha-szomer, organizacji syjonistycznej powstałej na początku XX wieku, mającej na celu obronę osiedli żydowskich w Palestynie

sztrajmł (jid.) - męska czapa obramowana lisim albo innym futrem

Szulchan Aruch (S^ulchn Orech)- dzieło Jojsefa Karo z XVI wieku zawierające kodeks praw i zasad postępowania Żydów

tachrichim - gieźło, całun pogrzebowy, w który po obmyciu spowija się zwłoki zmarłego Żyda

Talmud - dzieło religijne składające się z **Mis^uny** i **Gemary**, zawierające pobiblijny dorobek judaizmu

tales - białe okrycie (najczęściej w czarne lub niebieskie pasy) z cyces używane do modlitwy przez żonatyh mężczyzn

tales kotn - mały tałas, czyli mały szal lub kaftanik noszony przez Żydów stale pod ubraniem już od dzieciństwa, w odróżnieniu od tałesu dużego, zakładanego na ubranie w czasie modlitwy wyłącznie przez mężczyzn żonatych

tanaim (tanoim) - uczeni zajmujący się wyjaśnianiem i komentowaniem *Tory* działający od ok. roku 20 do 200 n.e.

Tora (Tojre) - w znaczeniu węższym *Pięcioksiąg*, w szerszym - nauka, wiedza. Oznacza także rodła przechowywane w Arce Przymierza

Zohar - podstawowe dzieło kabalistyczne napisane przez Mojżesza z Leonu w XIII w., będące mistycznym komentarzem do *Pif-cioksięgu*
Słowa pochodzenia hebrajskiego podajemy najczęściej w dwóch wersjach: w brzmieniu przyjętym w nowoczesnym hebrajskim oraz (w nawiasie) brzmieniu w języku jidysz. Słowa pochodzące z hebrajskiego lub jidysz, które przyjęły się i rozpowszechniły w języku polskim, podajemy zwykle w jednym brzmieniu. Także nazwy własne występują w słowniczku zwykle w jednej wersji, przyjętej w języku polskim.

Biblioteka Bestsellerów

0

PATRICK WHITE (1912-1990); pisarz australijski, laureat Nagrody Nobla w 1973 roku. Do jego najwybitniejszych powieści należą: *Voss*, *Węzeł*, *Wiwisekcja*, *Oko cyklonu*, *Przepaska z liści*.